



Daphne du Maurier Przeklęta krew

Tytuł oryginału: Hungry Hill



KSIEGA PIERWSZA

Miedziany John

1820-1828

TLR

Trzeciego marca 1820 roku John Brodrick wyruszył z Andriff do Doonhaven, zamierzając pokonać piętnastomilowy dystans przed zapadnięciem zmierzchu. Pogodę miał typową dla południowego zachodu: chmury sunęły nisko, a łagodny, choć porywisty wiatr niósł z sobą przelotne ulewy, po których wyłaniał się nie większy od męskiej pięści skrawek błękitnego nieba. Jeśli nawet błysnęło na chwilę słońce, nie zwiastowało to bynajmniej żadnej zmiany.

Droga, jak to w owych czasach, była nierówna i wyboista, więc karetka pocztowa kołysała się z boku na bok. John Brodrick krzyknął w końcu na woźnicę, żeby bardziej uważał, bo inaczej obaj wylądują na noc w rowie z połamanymi kośćmi i na dodatek bez kolacji.

Ciągle się mówiło o budowie nowego gościńca, ale na rozmowach się kończyło, jak zresztą zawsze w tym kraju^{*1}. Rząd nigdy nie dał nawet złamanego pensa na naprawę dróg, tak więc w dalszej perspektywie koszty spadną pewnie na Johna Brodricka i innych właścicieli ziemskich. Kłopot w tym, że żaden z nich nie miał dość energii, by sięgać do cudzych kieszeni, a gdyby nawet ktoś się na to porwał, napotkałby zdecydowany opór. Zalano by go takim potokiem słów na temat ciężkich czasów, zaległości w wypłatach, opieszałości dzierżawców, że oszczędzając własne nerwy i czas, szybko porzuciłby temat i zostawił drogi w stanie tylko trochę lepszym od bagien wokół Kileen.

Jednakże w Slane odbędą się niebawem wybory, więc jeśli Hare chce utrzymać swój mandat (a niewątpliwie ma taki zamiar), John Brodrick uświadomi mu z całą mocą, że głosów nie otrzymuje się za nic, a z pewnością nie powinni się ich spodziewać ministrowie siedzący z założonymi rękami w Londynie i zaniedbujący własny kraj.

¹ * Ilekroć mowa jest o „tym kraju”, wiadomo, że chodzi o Irlandię, choć owej nazwy autorka nie użyła ani razu. Natomiast określenie „za wodą” zwykle odnosi się do Wysp Brytyjskich (wszystkie przypisy tłumaczki).

Kiedy już wszystko zostało powiedziane i zapięte na ostatni guzik, była ich zaledwie garstka udziałowców. Nie chodzi o próżność, ale naprawdę nikt poza nim samym nie zdołałby dokonać tego, co właśnie dziś w Andriff doczekało się finału. Tylko on jeden wierzył, że całe przedsięwzięcie jest realne.

- To zbyt ryzykowne - orzekł na początku stary Robert Lumley, kręcąc głową i wysuwając jedno zastrzeżenie za drugim; nigdy nie odzyskają swych pieniędzy, będą musieli wyprzedać majątki i pójdą z torbami.

- Ryzykowne? - zachnął się John Brodrick. - Cóż, z pewnością jest w tym jakieś ryzyko, ale nie większe od tego, jakie człowiek podejmuje codziennie, kiedy wystawia głowę za drzwi, narażając się na złamanie karku. Zgoda, koszt uruchomienia kopalni nie będzie błahy, potrzebne będą maszyny, siła robocza; przyznaję też, że tutejszy grunt bardzo różni się od kornwalijskiego, gdzie wystarczą łopaty i wózki, by w błyskawicznym tempie dokonać załadunku rudy. Tutaj z pewnością nie obejdzie się bez dynamitu. Ale miedź jest nasza i tylko czeka, by ją wydobyć. W zeszłym tygodniu objeżdżał ze mną teren niejaki pan Taylor, jeden z najbardziej doświadczonych kornwalijskich dyrektorów kopalni. I wiesz pan co, panie Lumley? Mamy na swoich gruntach fortunę! Jeśli zgodzicie się na utworzenie prywatnej spółki pod moim zarządem - a weźcie pod uwagę, że zgodnie z warunkami, jakie przedstawił mój agent, ja ryzykuję znacznie więcej niż wy - obiecuję, że w ciągu paru lat wasze zyski przekroczą tysiąc funtów rocznie. Ale bez waszego uczestnictwa nie ma o czym mówić.

To rzekłszy, podniósł się z krzesła, zgarnął swoje papiery i dał znak agentowi, że na tym zamyka dyskusję. Był w połowie drogi do drzwi, kiedy Robert Lumley zawołał:

- Ależ drogi panie, nie ma powodu do pośpiechu. To przecież oczywiste, że zanim podejmę ostateczną decyzję, trzeba wyjaśnić parę punktów.

Zasiedli więc ponownie i cierpliwie omawiali to, co zostało już omówione ze dwadzieścia razy, przy czym stary Lumley kręcił nosem na swój, i tak wysoki, procent zysku. Ostatecznie jednak porozumienie zostało podpisane. Opieczęto wano dokumenty, panowie uścisnęli sobie dłonie, po czym do biblioteki wniesiono poczęstunek. Wprawdzie teraz, po osiągnięciu celu, John Brodrick wołałby jak najprędzej odjechać, ale nikt nie chciał o tym słyszeć, więc został i z czystej uprzejmości zamienił kilka słów z gospodarzem.

- Mam nadzieję, że gdy interesy sprowadzą pana do Doonhaven, odwiedzi mnie pan w Clonmere. Moje córki powitają pana z zachwytem, a synowie zorganizują jakieś polowanie.

Stary Lumley, udobruchany swym dwudziestoprocentowym udziałem w przyszłej kopalni, zrewanżował się zaproszeniem młodych Brodricków do Dun-croom na zajęcia i bażanty.

John Brodrick zawołał woźnicę. Wsiadał właśnie do karetki, kiedy wrócił z polowania zięć Lumleya, Simon Flower, z twarzą i butami zabrudzonymi błotem. Obejmował ramieniem swą dwunastoletnią córkę.

- I co? - zapytał z uśmiechem na przystojnym, rumianym obliczu. - Namówi-łeś starego, by ci podpisał ten świstek?

- Utworzyliśmy kompanię do eksploatacji złóż na Hungry Hill, jeśli o to wła-śnie ci chodzi - odparł sucho Brodrick.

- Czy naprawdę dopiąłeś swego w ciągu tych kilku godzin? Toż ja pracuję nad nim od piętnastu lat, aby zgodził się położyć kilka nowych dachówek! Ale choć przysięgam, że deszcz mi kapie do gęby, kiedy leżę w łóżku, stary nie po-zwala nawet mieszać zaprawy.

- Nie minie rok, a będziecie mieli tyle pieniędzy, że starczy i na nowy dach, i nawet na dodatkowe skrzydło, jeśli wola.

Simon Flower wzniosł oczy ku niebu z szyderczą pokorą.

- Sumienie nigdy mi na to nie pozwoli - oświadczył. - I powiem ci szczerą prawdę, mój drogi Brodricku: nawet gdybym wierzył, że dzięki znoej pracy młodych mężczyzn i chłopców z tych gór popłynie miedź, nie tknąłbym złama-nego pensa z pieniędzy mego teścia. Niech już lepiej dach zawali mi się na głó-wę.

John Brodrick patrzył z okna karetki na ojca i córkę. Oto uśmiechnięty, non-szalancki Simon Flower, jego rówieśnik, który nigdy nie splamił się uczciwą pracą i żył z pieniędzy swej żony - i ład-niutka, zaróżowiona dziewczynka o lek-ko skośnych oczach, wtórująca śmiechem swemu ojcu.

- Powinieneś zostać dyrektorem kompanii, Flower. To oznacza długie godzi-ny spędzone na nadzorowaniu pracy robotników, pilnowaniu porządku i tak da-lej. Co sześć miesięcy trzeba wysyłać statek z urobkiem do huty w Bronsea, prowadzić rachunki i wykonywać dziesiątki innych czynności.

Simon Flower pokręcił głową i westchnął.

- Szkoda, że w ogóle budujecie tu kopalnię. Tak spokojnie nam się dotąd żyło! Po co te wszystkie kłopoty i zamieszanie, po co wyciskać z ludzi siódme poty, a nieszczęsne wzgórze rozsadzać dynamitem?

Brodrick usadowił się wygodnie.

- Ja tam wierzę w postęp. Chcę dać zatrudnienie biedakom, którzy teraz ledwie wiążą koniec z końcem, chcę też zrobić pieniądze, by zapewnić przyszłość moim dzieciom i wnukom.

- Ach, wcale ci za to nie podziękują. Dobra, Brodrick, rozkręcaj swoją kopalnię, zbijaj fortunę, ja zaś będę siedział z założonymi rękami i zgarniał zyski. - Flower uśmiechnął się i pocałował córkę w czubek głowy. - Pomyśl o tych wszystkich umęczonych górnikach, ryjących w ziemi dla naszej wygody.

Zaśmiał się, po czym uniósł kapelusz i machnął nim wesoło na pożegnanie.

Typowe, myślał John Brodrick, patrząc na zatokę Mundy. Typowe dla niemal wszystkich ludzi w tym kraju. Nieodpowiedzialni, lekkomyślni, w głowie im tylko psy i konie. Pół roku spędzają na kontynencie w pogoni za słońcem, a drugie pół na ziewaniu z nudów we własnych czterech ścianach. Dzierżawcy się z nimi nie liczą, ziemia leży odłogiem, a sami dziedzice już o drugiej są nieźle wstawieni.

Bez trudu usunął ze swych myśli Simona Flowera, gdyż ludzi, których nie rozumiał, miał w głębokiej pogardzie. Kiedy patrzył na długie atlantyckie fale, pędzące ku zatoce, wyobraził sobie statki z rudą, które niebawem wyruszą z portu Doonhaven i przez kanał popłyną do Bronsea. Transport to najbardziej newralgiczna część przedsięwzięcia. W basenie portowym jest za niski poziom wody, jak na tak wielkie obciążenie; zła pogoda może unieruchomić statki nawet na kilka tygodni. Przypomniawszy sobie, że tak właśnie się zdarzyło, kiedy tuż przed narodzinami Jane miał przewieźć do Bronsea biedną Sarę; przez trzy tygodnie nie mogli ruszyć się z portu, bo szyper nawet na krótko nie chciał narażać statku na południowo-zachodni sztorm, a podróż lądem była dla żony niewskazana z powodu wyboistej drogi.

Tak, statki będą musiały nieźle się zwijać w czasie letnich miesięcy, gdyż zimą wszystko ulegnie spowolnieniu. Z satysfakcją pomyślał o paru świetnych kutrach, które parę tygodni wcześniej zauważył przy nabrzeżach w Slane - jeden z nich dopiero co zwodowano, nawet nie obeschła na nim farba. Na pewno uda mu

się je zdobyć za stosunkowo niską cenę, musi tylko wystąpić z propozycją dostatecznie wcześniej, zanim rozniesie się wieść o kopalni. Owen Williams z Bronsea też będzie miał oko na odpowiednie jednostki po drugiej stronie wody. Na szczęście on, Brodrick, już doszedł do znakomitego porozumienia z firmą, która w przyszłości miała transportować rudę do wytopu. W następnych latach czekają go coraz częstsze podróże do Bronsea, a skoro tak, trzeba będzie się rozejrzeć za jakąś niedużą posiadłością w pobliżu portu, bo w samym Bronsea zatrzymywać się nie sposób. Będzie to także miła odmiana dla dziewcząt. Clonmere leży na odludziu i jest odcięte od wszelkich rozrywek - teraz, kiedy córki dorosły, zaczyna im to doskwierać, robią różne aluzje, szczególnie Eliza. Z chłopcami jest inaczej - po Eton i Oksfordzie Clonmere wydaje im się wymarzonym miejscem na wakacje. No cóż, dziewczęta nie strzelają do zajęcy na wyspie Doon ani nie wioślują po rozlewiskach w pogoni za słonkami.

Karetka mijала właśnie kościółek w Ardmore, samotnej nadmorskiej osadzie. Była to najdalej wysunięta placówka szeroko rozrzuconej parafii Doonhaven. Dalej droga wznosiła się i wiła wokół Hungry Hill. John Brodrick kazał woźnicy stanąć.

- Zaczekaj na mnie. Niedługo wrócę.

Szedł pod górę, póki karetka nie zniknęła mu z oczu. Mniej więcej po pięciu minutach znalazł się na miejscu przyszłej kopalni. Stał tam przez jakiś czas z założonymi rękami, rozglądając się dokoła. Pomyśleć, że za kilka miesięcy powstaną tu szyby, kominy i wszystkie te ponure, przemysłowe zabudowania... Tam gdzie nie ma teraz nawet ścieżki, wybuduje się drogę, chaty dla górników, będzie słychać warkot i buczenie maszyn.

Tymczasem niską trawę rozwiewał wiatr. Zza chmury wyjrzało słońce, oświetlając omszałą skałę, która niedługo miała się rozpaść, wysadzona dynamitem. Nagle z ziemi zerwała się słonka i pomknęła naprzód w nerwowym, nierównym locie.

John Brodrick spojrział w górę. Tuż nad nim rozciągał się wielki masyw Hungry Hill - dziki, z wierzchołkiem ukrytym we mgle. Brodrick znał to wzgórze przy każdej pogodzie, o każdej porze roku. Zimą, nawet kiedy Doonhaven omijały mrozy, na szczycie leżała czapa śniegu, a położone nieco niżej jezioro kryła cienka tafla lodu. Białą ścianę zbocza widać było aż z Clonmere. W lutym, kiedy przeciągały burze i deszcze, wzgórze chowało się za kurtynę mgły, aż nagle wczesną wiosną wstawał ranek pełen niewiarygodnego blasku, z powietrzem przesiąkniętym cudowną miękkością, spotykaną tylko tutaj, w rodzinnym kraju

Brodricka. Hungry Hill uśmiechało się doń spod błękitnego nieba, bez śladu mgieł i burz, kusząc go nieprzeparciem, by rzucił wszystkie powszednie sprawy i obowiązki dziedzica. Przypominało o słonkach, o zającach, o rybach ukrytych w toni jeziora oraz o szorstkiej, wygrzanej trawie, na której człowiek mógł się wyciągnąć i uciąć sobie drzemkę w ciepłych promieniach słońca.

Albo letni skwar: cisza, spokój, na tle nieba widać zastygłego w locie jastrzębia, powierzchnię jeziora muskają motyle, a czysta, chłodna woda zaprasza do kąpieli...

Teraz ukryte skarby Hungry Hill miały wyjść na jaw, a cisza i spokój paść ofiarą postępu. Moce natury, myślał John Brodrick, trzeba poskromić i zaprząć w służbę człowieka. Pewnego dnia ten kraj, tak dotąd biedny i zaniedbany, zajmie należne sobie miejsce pośród narodów świata. Nie nastąpi to za życia Johna Brodricka, nawet nie za życia jego synów, ale za sto lat - kto wie?

Kolejna chmura przesłoniła słońce i na głowę Brodricka spadły krople deszczu. Odwrócił się tyłem do zbocza i zaczął schodzić.

Kiedy dotarł do karetki, zobaczył, że ktoś na niego czeka. Był to wysoki, przygarbiony mężczyzna w wieku około sześćdziesięciu lat, wsparty ciężko na lasce. Błękitne oczy dziwnie kontrastowały z twarzą w kolorze mahoni. Ujrzawszy Brodricka, uśmiechnął się, ale raczej mało przyjaźnie. Wyglądało to tak, jakby miał jakiś własny, ukryty powód do radości.

- Dzień dobry, Donovan - powitał go Brodrick, skinąwszy nieznacznie głową.
- Daleki spacer, jak na waszą chorą nogę.

- Dzień dobry, panie Brodrick. Co do mojej nogi, to przywykła do wędrówek po wzgórzach i drogach, całkiem nieźle mi służy. Jak pan znajduje teren swojej nowej kopalni?

- Skąd wiecie o kopalni?

- Może krasnoludki mi powiedziały - odparł tamten z uśmiechem, drapiąc się laską po siwej głowie.

- Cóż, nie ma w tym żadnej tajemnicy. Rzeczywiście na Hungry Hill istnieją złoża miedzi. Właśnie dziś podpisałem umowę z panem Lumleyem z Duncroon i zamierzamy jak najszybciej rozpocząć wydobywanie.

Człowiek nazwiskiem Donovan nic nie odpowiedział. Przyglądał się przez chwilę swemu rozmówcy, po czym skierował wzrok w stronę wzgórza.

- Wiele pan na tym nie zyska - rzekł wreszcie.

- Owszem, spodziewamy się sporych zysków.

- Ach, ja nie mówię o pieniądzach. - Stary machnął pogardliwie ręką. - Miedź zarobi je dla pana, o tak, a także dla pańskich synów i wnuków, natomiast ja i moi zbiedniejemy do reszty na naszym skrawku ziemi. Mam na myśli kłopoty, jakie ściągnie pan sobie na głowę.

- Damy sobie radę.

- Powinien pan najpierw poprosić wzgórce o zgodę, panie Bro-drick. - Starzec wskazał laską górujące nad nimi zbocza. - Och, może pan się śmiać. Jest pan wykształconym prawnikiem, czyta pan uczone książki o wielkim postępie. Pańscy synowie i córki chodzą po Doonhaven z takimi minami, jakby to miejsce zbudowano wyłącznie dla ich wygody, a jednak powiadam panu, że pańska kopalnia popadnie w ruinę, pański dom będzie zburzony, dzieci zostaną zapomniane i może okryją się hańbą, ale to wzgórze przetrwa wszystko i nadal będzie się tu wznosić na pańskie urągowisko.

John Brodrick wsiadł do karetki, nie zważając na ów popis retoryki.

- Może pan Morty Donovan sam zechce przystąpić do naszego przedsięwzięcia? Wtedy przynajmniej nie okazywalibyście tak jawnie swej niechęci, zresztą robotnikom zamierzam dobrze płacić. Jeśli wasi synowie nabiorą dla odmiany chęci do uczciwej pracy, z przyjemnością ich zatrudnię.

Stary splunął z pogardą na ziemię.

- Moi synowie nigdy nie pracowali dla żadnego pana i póki ja żyję, nie będą. Czyż nie mają prawa do całej tej ziemi, razem z miedzią, i czy nie mogą jej sobie zabrać, gdy tylko taka myśl wpadnie im do głowy?

- Mój drogi Donovanie - odparł poirytowany Brodrick - żyjecie przeszłością sprzed dwustu lat i gadacie jak głupiec. Jeśli chcecie tej miedzi, to czemu nie utworzycie kompanii, nie najmiecie robotników i nie ustawicie maszynierii?

- Dobrze pan wie, panie Brodrick, że jestem biedny. A czyja to wina, jeśli nie pana i pańskiego dziadka?

- Obawiam się, że nie mam czasu na dyskusje o starych waśniach. Najlepiej o nich zapomnieć. Do widzenia!

I dał znak do odjazdu. Stary, wsparty na swej lasce, odprowadzał go wzrokiem, już bez uśmiechu na twarzy.

Kiedy karetka pięła się pod górę, John Brodrick przyglądał się widokowi w dole. Tam, po drugiej stronie zatoki, której wlotu strzegła wyspa Doon, znajdował się mały port. Dalej, za Doonhaven, u ujścia potoku, stał samotny strażnik tych wód - zamek Clonmere.

Karetka z turkotem zjeżdżała do miasta. Minęła port, rozpędziła bydło i gęsi na placu targowym, omal nie zabijając psa, który z donośnym szczekaniem rzucał się na koła. Tylko cudem nie rozjechała małego, bosego chłopca, zaganiającego kury. Następnie za pocztą i sklepikiem Murphy'ego wydostała się poza zabudowania, na wzgórze w Oatmont, by wreszcie koło stróżówki wjechać do parku. Brama była otwarta, co sprawiło, że John Brodrick zmarszczył brwi. Przez takie zaniedbanie krowy wydostały się niedawno na wrzosowisko, gdzie przechwyił je człowiek Morty'ego Donovana i na domiar złego ocechował własnym znakiem, co jeszcze bardziej popsuło i tak złe stosunki między dwiema rodzinami. Brodrick postanowił przy najbliższej okazji rozmówić się stanowczo z wdową Creevy z domku przy bramie i przypomnieć jej, że stanowisko odźwiernego należy do najbardziej zaufanych. Jeśli pani Creevy nadal będzie zaniedbywać obowiązki, to wielu dzierżawców tylko czeka na jej miejsce, z pożytkiem dla obu stron.

Za parkiem była druga brama, a dalej pas drzew, sadzonych jeszcze przez dziadka Johna Brodricka, i krzewy rododendronów - duma biednej Sary. Teraz pielęgnowały je córki. Gładki, żwirowany podjazd prowadził obok potoku i wodnego ogrodu przez kamienny łuk aż pod szare mury zamku.

2

Brodrickowie jadali o piątej. Zanim John umył się i zmienił podróżny strój na zwykły, obiad był już na stole. W jadalni zebrała się cała rodzina, gotowa powitać ojca po tygodniowym pobycie w Slane i Mundy. Jego żona Sara nie żyła od kilku lat, więc miejsce pani domu zajmowała najstarsza córka Barbara. Wyszła ojcu naprzeciw i ucałowała go serdecznie, potem to samo uczyniły jej siostry -

Eliza i Jane. Henry, najstarszy syn, przywitał ojca wcześniej, tuż po przyjeździe, teraz zaś ostrzył przy bufecie nóż, którym pan domu miał zaatakować pieczone prosię. Lokaj Thomas stał z boku, gotów do usług. Przed krojeniem mięsa John Brodrick zmówił krótką modlitwę i do-pełniwszy w ten sposób formalności, zaczął nakładać plastry na podawane przez Thomasa talerze.

- Czy to prawda, ojcze - odezwała się Barbara - że jacyś okropni spiskowcy chcieli zamordować ministra podczas jego podróży po kraju?

- O tak, to pewne, że był spisek. Na szczęście wykryto go w porę i nic się nikomu nie stało. To sprawa jakichś opryszków, ale ktokolwiek za tym stoi, niechybnie trafi przed sąd. Oczywiście w Slane nie mówi się o niczym innym. Nie pozostanie to bez wpływu na wybory.

- Czy kandydatem hrabstwa znowu będzie pan Hare? - spytał Henry.

- Tak sądzę. Aha, Henry, zapowiesz wszystkim, że mają głosować, jak im się powie, a jeśli ktoś pozwoli sobie tego dnia na nieobecność, nie będąc obłożnie chorym, to może wkrótce znaleźć się bez dachu nad głową.

- Mogę już teraz wymienić kilku, którzy z pewnością będą mieli wysoką gorączkę i nawet księdza przy łóżku - zaśmiał się Henry.

- Wielebny będzie wolał trzymać się z dala od kłopotów, jeśli ma choć trochę rozsądku - zauważył John Brodrick, zajmując swe miejsce u szczytu stołu.

Spojrzał na puste sąsiednie krzesło i zmarszczył brwi.

- John znowu się spóźnia. Czy nie wiedział, że wracam?

- Chyba popłynął na wyspę - wyjaśniła Barbara. - Wybierał się na całodzienne polowanie z jednym z oficerów z garnizonu. Może w drodze powrotnej wyniknął jakiś kłopot z łodzią.

- Nie toleruję braku punktualności u nikogo, a już szczególnie u dziewiętnastoletniego młokosa. Clonmere to nie Andriff i nikt tu nie będzie robił, co mu się podoba, jak u Simona Flowera. Zapamiętajcie to wszyscy, a ty, Henry, przypomnij łaskawie bratu o dobrych manierach. Sądziłem, że w Eton i Oksfordzie przynajmniej tego was uczą.

- Przepraszam, ojcze - bąknął Henry, wymieniając spojrzenia z siostrą.

- John nigdy nie miał poczucia czasu - rzekła oskarżycielsko Eliza, spodziewając się za to poparcie szczególnych względów ojca. - Ciągłe przesypia porę śniadania, Thomas musi wołać go dwa razy.

Nieszczęsny John w tym właśnie momencie stanął w progu. Wszyscy (z wyjątkiem ojca i Elizy) spojrzeli na niego ze współczuciem. Zaczerwieniony po uszy, mamrotał pośpiesznie słowa usprawiedliwienia. Ledwie zajął miejsce, powiększył pulę swych win, rozlewając sos na obrus.

- Ciekawe - zauważył sucho jego ojciec - że po dłuższym pobycie w naszym kraju człowiek staje się takim prostakiem, że aż marnuje jedzenie. Twoi przyjaciele z Brasenose College pewnie by cię nie poznali. Ale mówmy o czym innym. Thomas, możesz nas zostawić. Panicze Henry i John sami obsłużą swe siostry. Chodzi o to - dodał po wyjściu służącego - że mam wam do powiedzenia coś ważnego na temat przyszłości.

Odłożył sztućce na talerz i uśmiechnął się do Henry'ego, jak gdyby potwierdzając wcześniejsze porozumienie. Reszta rodziny zamieniła się w słuch.

Senior rodu przeżywał właśnie swą chwilę chwały. Przez całe miesiące, odkąd zaświtał mu pomysł wydobywania miedzi z Hungry Hill, John Brodrick nie myślał o niczym innym. Z całą determinacją zabrał się do walki z marazmem i nieufnością właścicieli sąsiednich majątków, wiedział bowiem, że sam nie podoła początkowym kosztom. Poza tym tereny przyszłej kopalni nie były w zasadzie jego własnością. Część Hungry Hill należała do Duncroom - posiadłości Roberta Lumleya - i bez jego zgody na utworzenie kompanii nic nie dało się zrobić. Ale wreszcie stary podpisał stosowny dokument i prace mogły ruszyć. I wcale nie chodziło o to - myślał John Brodrick, wodząc dumnym wzrokiem po twarzach swych dzieci - że chciał zbić fortunę, obojętne, dla siebie czy dla nich. Owszem, pieniądze też napłyną, to oczywiste. Po jego śmierci Henry będzie żył wygodnie w Clonmere, by następnie przekazać je swoim potomkom. Może dokupi gruntu, zasadzi więcej drzew, dobuduje nowe skrzydło zamku, może też, jeśli przyjdzie mu taka myśl, sięgnie po ziemię za wodą?

Nie to jednak stanowiło istotę rzeczy, tylko fakt, że bogactwo leżało w zasięgu ręki i tylko lenistwo ziomków stało na przeszkodzie w czerpaniu z niego korzyści. Brodrick poczytywał sobie za obowiązek wobec kraju i Boga wydobyć ukryte w Hungry Hill skarby, po czym zaoferować je po odpowiedniej cenie ludziom z całego świata. Zerknął nad kominek, gdzie wisiał portret jego dziadka, także Johna Brodricka, który zbudował Clonmere, a w roku 1754 zginął od kuli w plecy w drodze do kościoła, ponieważ próbował położyć kres przemytowi na

wybrzeżu. Tak, dziadek na pewno przyklasnąłby pomysłowi budowy kopalni, i byłaby to dla niego kwestia zasad, podobnie jak dla jego wnuka. Cóż, może i on zarobi kiedyś kulkę w plecy. Niech mu kaleczą bydło i podpalają zbiory, ale nie powstrzymają go od spełnienia tego, co uważa za swą misję. Uśmiechnął się do zebranych, przyglądając się kolejno każdej twarzy.

- Dziś na zamku Andriff - oświadczył - podpisałem umowę z Robertem Lumleyem. Utworzyliśmy kompanię i zamierzamy zbudować na Hungry Hill kopalnię miedzi.

Młodzi patrzyli na niego w osłupieniu. Uświadomił sobie z rozbawieniem, ale i z dumą, że w gruncie rzeczy są bardzo do siebie podobni. Każde z jego dzieci, poczynając od wysokiego Henry'ego, a na małej Jane kończąc, ma wprawdzie własny, indywidualny charakter, lecz we wszystkich zakorzenione jest głęboko owo nieomyślne, czysto Bro-drickowskie przeświadczenie o własnej wyższości nad zwykłymi śmiertelnikami, i to zarówno pod względem rozumu, jak wychowania.

Przypomniał sobie, jak jego ojciec, Henry, złamał na polowaniu kręgosłup. Nieśli go potem na powiązanych żerdziach do najbliższej chaty, chcąc rannego położyć na łóżku, ale ten ich tylko sklął: „Do wszystkich diabłów, pozwólcie mi umrzeć pod gołym niebem i wtedy, kiedy zechcę!“. No i mokli przez pięć godzin na deszczu, podczas gdy ojciec gapił się w niebo. Teraz z drugiej strony stołu uśmiechał się jego dwudziestojednoletni wnuk, także Henry, o takim samym ufnym spojrzeniu ciemnych oczu. Tylko jego jednego John Brodrick wtajemniczył w swe przyszłe plany, spotykając się zresztą z gorącym entuzjazmem i ofertą pomocy.

A oto Barbara - najstarsza w rodzinie, dwudziestotrzyletnia panna, o miękkich, brązowych włosach, opadających na czoło. Czoło to zmarszczyło się właśnie, gdyż Barbara zwykle potrzebuje czasu, by oswoić się z nowym projektem; z natury jest konserwatystką i nie lubi zmian. Młodsza o rok Eliza - tęższa, o jaśniejszych włosach, bardziej podobna do matki - już pewnie kalkuluje, co też jej przyszłość przyniesie. Ojciec zrobi fortunę, to oczywiste, a wtedy może nie będą musieli spędzać całego roku w Clonmere, tylko na przykład wybrać się w sezonie do Bath czy nawet na kontynent, jak córki lorda Mun-dy'ego w zeszłym roku.

Myśl o podróży na kontynent zaświtała także Henry'emu, kiedy obserwował wyraz twarzy ojca. Kochał Clonmere, kochał też swą rodzinę i wierzył, że eksploatacja złoża to poważne pod każdym względem przedsięwzięcie, korzystne dla ludzi i kraju. Jeśli dzięki temu będzie mógł zwiedzić Francję, Włochy, Niem-

cy, Rosję, obejrzyć wszystkie słynne obrazy i posłuchać muzyki, o której dyskutowano w Oksfordzie, to czemu nie? Im prędzej na Hungry Hill ruszą maszyny, tym lepiej dla niego.

Drugi z braci patrzył tymczasem przez okno na płynący w dole potok. Razem z siostrą Jane stanowili parę o najciemniejszych włosach w rodzinie. Było coś niemal hiszpańskiego w ich oliwkowej karnacji i ciepłych piwnych oczach, jakaś cygańska cecha, której inni nie posiadali.

Hungry Hill i kopalnia... Huk maszyn przepłoszy dzikie ptactwo, króliki i zające, a na ich miejsce zacznie napływać dzień w dzień tłum ohydnych wyrobników. Będą ryc pod ziemią, ciesząc się, że mają pracę, dzięki której nie zdechną z głodu, a zarazem kląć w żywy kamień tego, który im tę pracę dał. John wiedział, jak to będzie. Oglądał to już w Doonhaven, ilekroć ojciec mówił ludziom o postępie. W oczy same uśmiechy i grzeczności, ale gdy tylko odwrócił się tyłem, zaczynały się gniewne pomruki, potem ktoś przewracał płot, kradł krowę czy kałeczyl konia, powodowany dziwną, bezsilną złością.

No trudno. Ojciec będzie miał kopalnię, a oni wszyscy zostaną milionerami, i tyle. Tak długo, póki jemu, Johnowi, nie każą nadzorować robót czy przyjmować posady związanej z jakąkolwiek odpowiedzialnością, to wszystko mu jedno, niech sobie zakładają nawet dziesięć kopalń, byle tylko zostawili w spokoju wierzchołek wzgórza. Będzie tam jak dotąd trenował psy i leżał do góry brzuchem w słońcu, zażywając samotności bez poczucia, że ojciec wciąż czegoś od niego chce.

Jane już w wieku ośmiu lat była rodzinną pięknością, toteż pieściła ją (ale nie psuła) cała rodzina. Dziewczynka, która miała bujną wyobraźnię i często fantazjowała, widziała już oczyma duszy krwisty strumień miedzi, spływający po zboczu Hungry Hill, tłum górników uwijających się tam niczym czarne diabły, a wśród nich ojca siedzącego na wysokim tronie jak sam Bóg.

- Kiedy zamierzasz wystartować z robotami? - spytał Henry.

- W przyszłym miesiącu, ale wstępne wykopki można rozpocząć jeszcze wcześniej. Mam w Bronsea kogoś, kto obejmie nadzór i przywiezie z sobą inżyniera. W ciągu lata powinniśmy dotrzeć pod ziemię, a przy odrobinie szczęścia zdążymy przed nastaniem jesieni przeprowadzić trzymiesięczną próbę. Jeśli będzie coś do sprzedania, nie wolno nam przepuścić szczytu cenowego. Ale nie spodziewam się dużego zysku w ciągu pierwszych dwóch lat, bo trzeba spłacać koszty.

- A co z siłą roboczą? - zapytała Barbara.

- Zaangażowałem już sztygara. To Kornwalijszyk, zapewne sprowadzi tu swoich ludzi. Potem... no cóż, zobaczymy.

Przez chwilę panowało milczenie. Henry zerknął z ukosa na ojca.

- Będą protesty - rzekł cicho.

John Brodrick podniósł się z za stołu i ukroił sobie przy bufecie jeszcze jeden plaster mięsa.

- Jasne, że będą. Ludzie pyskowali, kiedy do Doonhaven po raz pierwszy dotarła poczta, pyskowali też wtedy, kiedy otwarto aptekę. Nie oczekiwałem niczego innego. Ale inaczej zaśpiewają, kiedy zobaczą, jak Kornwalijszczy nabijają sobie co tydzień kabzy. Mieliśmy ciężką zimę, prawda? Może zechcą pomyśleć o następnej, przynajmniej ja tak uważam. A wtedy przyjdą na Hungry Hill i poproszą o robotę.

Młody John ze zmarszczonym czołem bawił się widelcem.

- No, John, co o tym sądzisz? - zagadnął go ojciec.

Chłopak się zaczerwienił. Nigdy nie był zbyt elokwentny w obecności ojca.

- Owszem, przyjdą, masz rację, ojczu. Ale uraza pozostanie. Pomyślą sobie: „Czemu mamy być wdzięczni, że nie daje nam umrzeć z głodu?”. To im przewróci w głowach, rozumiesz? A potem będą utrudniać i wstrzymywać pracę na wszelkie sposoby, nie bacząc, że z niej żyją.

- Ty chyba z nimi trzymasz?

- Nie, ojczu - wyjąkał John. - Tylko widzisz, oni jeszcze ciągle traktują nas jak intruzów, nie ma co temu zaprzeczać.

- To śmieszce! Przynależymy do tego kraju w tym samym stopniu, co oni. Przecież żył tu już wasz pradziadek, a przed nim jego stryj. Brodrickowie mieszkali tu już w szesnastym wieku!

- Więc czemu zastrzelili pradziadka?

- Wiesz przecież. Za to, że przestrzegał swych obowiązków wobec Boga i króla. Za to, że wierzył w prawo. Przemyt był przestępstwem, więc mój dziadek chciał położyć mu kres.

- Nie, nie, ojciec. To tylko pretekst. Tak naprawdę Donovanowie zastrzelili pradziadka, ponieważ jego ziemia należała przedtem do nich. Nie mogli zapomnieć, że ich przodkowie władali Clonmere, Doonhaven i wyspą Doon wtedy, kiedy Brodrickowie byli tylko gryzpiórkami w Slane. I nie zapomnieli tego po dziś dzień. Dlatego Morty Donovan pozwala swym dzierżawcom kraść nasze bydło i dlatego twoi Kornwalijscy nie utrzymają się tu dłużej niż jeden sezon.

Zapadła cisza. John Brodrick przyglądał się z namysłem synowi, pozostałe rodzeństwo zaś siedziało skępowane i oszołomione wybuchem brata.

- Bardzo dobrze, Johnie - odezwał się wreszcie ojciec. - Widzę, że Eton i Brasenose dały ci więcej, niż myślałem. Jeszcze parę lat w Lincoln's Inn^{*2} w Londynie i będzie z ciebie mówca całą gębą. A teraz, Barbaro, jeśli skończyliście jeść, pozwólmmy Thomasowi posprzątać i chodźmy do salonu na herbatę.

- Tak, ojciec - odrzekła Barbara, zerkając z wyrzutem na Johna. Ruszyła pierwsza na górę, gdzie służący przygotował już zastawę

do herbaty.

- Ty głupku - rzekł Henry, klepiąc brata w ramię, zanim ojciec pojawił się w salonie. - Co cię podkusiło? Wiesz, że ojciec wścieka się na samą wzmiankę o Donovanach. I jeszcze występujesz przeciwko kopalni!

- To było bezmyślne, drogi Johnie - poparła go Barbara - zwłaszcza że spóźniłeś się na obiad. Teraz będziesz na czarnej liście co najmniej do końca tygodnia.

- Ach, do licha z tym wszystkim - westchnął John, rzucając się na fotel. - Czemu ja zawsze muszę wszystko zepsuć? I dlaczego wszyscy, ze mną włącznie, tak bardzo wzdragają się przed prawdą? Chyba nie sądzicie, że lubię Donovanów? Stary Morty to łajdak, dobrze o tym wiem.

Wyciągnął rękę do Jane. Dziewczynka usiadła mu na kolanach i oplotła ramionkami jego szyję.

- I co teraz zrobimy, serduszko? Może uciekniemy i zbudujemy sobie chatkę na wyspie Doon?

² * Jedna z czterech korporacji prawniczych w Londynie, nadająca przywilej obrońcy sądowego.

- W zimie tam będzie okropnie - roześmiała się Jane, skubiąc kołnierzyk brata. - Zaraz wpadniesz w zły humor i zaczniesz się wyzywać na biednej Jane. Henry lepiej niż ty znosiłby niewygody.

- Henry wszystko znosi lepiej niż ja - westchnął John. - Nieprawdaż, stary? Ty chodzisz przykładnie na wszystkie zajęcia w Oksfordzie i jadasz śniadania z połową wykładowców. Lista znajomych naszego braciszka ma chyba cały jard, a do nrmie przychodzą tylko handlarze albo hodowcy, którzy próbują mi sprzedać psa.

- Czy myślicie - wtrąciła się Eliza - że gdy kopalnia zacznie przynosić zyski, będziemy bardzo bogaci?

- Jasne! Tacy bogaci, że zubożali hrabiowie zbiegną się z całego kraju, by uderzyć do ciebie w konkury - odparł Henry, mrugając do brata. - Powinnaś pomyśleć o stosownej garderobie. Biedna pani Murphy będzie musiała przygotować spory zapas igieł, nici i materiałów.

- Pani Murphy! - fuknęła Eliza. - Dziękuję bardzo, z nią już koniec. Stroje będę kupować w Bath i Cheltenham.

- To byłoby niezbyt uprzejmie - upomniała ją Barbara. - Czasem można i u niej zamówić to lub owo. Biedna kobieta robi, co w jej mocy, lepiej, żeby nie dowiedziała się o Bath.

- Arbiter Barbara! - wykrzyknął John. - Zawsze musi wszystkich zadowolić i nikogo nie urazić. Co byśmy bez niej poczęli? Jane, ty mały potworze, zostaw mój kołnierzyk. Czy nie powinnaś już iść spać? Mam cię zanieść czy zaczekasz, aż Marta po ciebie przyjdzie?

- Jeszcze nie powiedziałam „dobranoc” tatusiowi.

- Więc zrób to, a potem cię zaniosę.

Mała zbiegła na dół i przystanąła pod drzwiami biblioteki, skąd słychać było głosy. Na widok siedzącego na sofie mężczyzny w kapeluszu z szerokim rondem skrzywiła się i spojrzała na brata, który obserwował ją ze schodów.

- U ojca jest Ned Brodrick - szepnęła.

- Nie szkodzi, na chwilę możesz wejść.

Drobne ramionka Jane zatrzęsły się od śmiechu, ale dziewczynka zaraz się opanowała i przybrawszy stosowną, poważną minę, zapukała do drzwi. Ojciec

stał przed kominkiem, zwrócony do swego gościa, którego wychudła, trupia twarz uderzająco przypominała jego własną. Ned Brodrick był w rzeczy samej naturalnym bratem Johna i ten, kierując się szczególnym poczuciem obowiązku, dał mu kilka lat temu posadę rządcy. Matka Neda, obecnie bardzo szanowana kobieta, wpadła w oko dziedzicowi, gdy była mleczarką w Clonmere. Żyła ze skromnej pensyjki w jednym z domków w Oak-mount. Syn, który z nią mieszkał, otrzymał po zmarłym w roku 1800 ojcu dziesięciofuntową rentę wraz z pobożnym życzeniem, by - według słów Henry'ego Brodricka - „trzymał się z dala od figli, które sprowadziły go na świat”. Życzenie to nie zostało spełnione, gdyż Ned Brodrick, nie bacząc na ojcowskie przestrogi, miał już co najmniej czworo nieślubnych dzieci, i to każde z innej matki. Dlatego też z zadowoleniem przyjął propozycję powiększenia swego dochodu o pensję rządcy swego brata i pilnie przestrzegał zasady, by nigdy nie pozwalać sobie na najmniejsze nawet aluzje do łączącego ich pokrewieństwa. Zawsze zwracał się do brata „panie Brodrick”, a do jego dzieci „panienko” i „paniczu”. Był zresztą najlepszym rządcą, jakiego John Brodrick mógł znaleźć, a jeśli nawet od czasu do czasu przywłaszczył sobie dodatkową sumkę, fałszując wykazy należności dzierżawców, to i tak nie brał więcej, niż zrobiłby to kto inny na jego miejscu.

- Dobry wieczór, panienko Jane - rzekł i przywitał ją obowiązkowym ukłonem. Miał przy tym tak namaszczone minę, że nikt by go nawet nie podejrzewał o zlekceważenie ojcowskiej woli w sprawie „figli”.

- Dobry wieczór, Ned - odpowiedziała dziewczynka, szybko podchodząc do ojca i podnosząc ku niemu buzię.

Ten ucałował ją w oba policzki. Surowy wyraz jego twarzy wyraźnie złagodniał. John Brodrick bardzo kochał tę córeczkę, kto wie, czy nawet nie bardziej niż Henry'ego, i nie mógł się doczekać, kiedy naprawdę zacznie mu dotrzymywać towarzystwa zamiast być tylko uroczą pieszczoską.

- Dobranoc - rzekł. - Śpij dobrze.

Patrzył za nią przez chwilę, ale gdy zamknęła za sobą drzwi, natychmiast usunął ją z myśli i znów zwrócił się do brata.

Jane weszła na schody, rozglądając się za Johnem, ale ten oczywiście - to dla niego typowe! - zdążył już zapomnieć o swej obietnicy. Musiała więc powędrować przez korytarz do jego pokoju na wieży, w końcu domu. Siedział przy otwartym oknie i wpatrywał się w potok połyskujący srebrem w księżycowym

blasku. Daleko majaczył ciemny garb wyspy Doon. Jane uklękła obok brata na podokiennej ławeczce i tkwili tak razem w milczeniu.

- John - odezwała się po chwili - co oni zrobią z Hungry Hill? Czy zniszczą je tak, że już nigdy nie wybierzemy się tam na piknik?

- Tylko to miejsce, gdzie będzie kopalnia. Sprowadzą maszyny, wybudują sztolnie i szyby. Widziałś to na obrazku, prawda? Ale tę dziką część przy samym wierzchołku zostawiają w spokoju, nie tkną też jeziora. Nadal będziemy mogli tam chodzić i miło spędzać czas.

- Gdybym była tym wzgórzem, chyba bym się rozżołościła. Zgładziłabym śmiałka, który odważyłby się naruszyć mój spokój. Wiesz przecież, jak tam jest zimą, kiedy wszystko zasnuwa mgła i pada deszcz. Wzgórze wygląda wtedy jak zły olbrzym. Na miejscu ojca nie urządziłabym tam kopalni, znalazłabym jakieś inne miejsce.

- Tak, serduszko, ale gdzie indziej nie ma miedzi.

- Więc obyłabym się bez miedzi.

- Nie chcesz być bogata i wyjść za hrabiego, jak Eliza?

- Ani trochę. Jestem podobna do Barbary: chcę, żeby każdy był szczęśliwy.

- Ja tam będę szczęśliwy, kiedy przestanę być dłużnikiem połowy oksfordzkich handlarzy - westchnął John.

- Aż tyle jesteś im winien? To niedobrze. Słyszałam, jak ojciec mówił, że nie wolno się zadłużać, szczególnie u ludzi niższego stanu.

- To nie jest takie złe, tylko irytujące. Nie mówmy o tym więcej. Chodź, zaniosę cię do łóżka.

John zawsze zmieniał temat, kiedy rozmowa ocierała się za bardzo o jego sumienie. Wziął dziewczynkę na ręce i zaniósł ją do sypialni, którą ciągle dzieliła ze starą piastunką Martą.

Marta wyszła akurat na kolację, więc Jane rozebrała się przy bracie, poskładała ubranie, tak jak ją nauczono, a potem uklękła na jego kolanach i odmówiła pacierz ze szczerą pobożnością, bez cienia skrepowania, które zwykle dręczyło Johna. Ucałował ją na dobranoc, otulił kołdrą i ruszył na dół do salonu, ale przed drzwiami zmienił zdanie; paplanina Elizy i dobroduszne żarty Henry'ego dziwnie go dziś drażniły. Przez kuchenne schody i boczne wyjście wydostał się na po-

dwórze, a potem poszedł do stajni, gdzie rezydowała jego suka Nellie w otoczeniu szczeniaków.

Stajenny Tim czekał na niego z latarnią i obaj chłopcy, ramię w ramię, przykłąkli obok legowiska. John wziął najslabszego pieska w swe silne, lecz delikatne dłonie.

- Biedny malec! - westchnął. - Nie będzie z niego żadnego pożytku z tą przygniecioną nóżką.

- Lepiej go utopić, paniczu - zasugerował Tim.

- Nie, Tim, tego nie zrobimy. Jest zdrowy i choć nigdy nie zdobędzie nagrody, nie ma powodu pozbawiać go życia. Już dobrze, Nellie, nie skrzywdzę twoich dzieci.

John przy psach zawsze zapominał o wszystkich troskach. Uległość i przywiązanie zwierzaków wyzwalały w nim wszystkie najlepsze cechy. Najchętniej przesiedziałyby w stajni pół nocy, ale Tim musiał iść na kolację, a potem do łóżka.

- Czy to prawda, paniczu, co gadają w Doonhaven? - spytał chłopak, ryglując drzwi i stawiając puste wiadro przy pompie.

- A co takiego gadają?

- No, że pan Brodrick zamierza sprowadzić z Bronsea dynamit, żeby rozsadzić Hungry Hill, a potem powyrzuca nas z domów, żeby zrobić miejsce dla kornwalijskich górników.

- Nie, Timie, to bujda na resorach, a z ciebie też niezły gagatek, że ją powtarzasz. To prawda, ojciec z panem Lumleyem chcą wybudować na wzgórzu kopalnię, ale nikt nie będzie musiał wynosić się z domu. Przeciwnie, ci, którzy nie mają ani pracy, ani ziemi, będą teraz mieli szanse na zarobek.

Chłopak patrzył na niego z powątpiewaniem, kręcąc głową.

- W Doonhaven powiadają, że nic dobrego nie przyjdzie z mieszania się w sprawy matki natury. Gdyby święci chcieli, by z tej miedzi był jakiś pożytek, to spływałyby ze wzgórza strumieniem, żebyśmy mogli ją znaleźć.

- Kto tak mówi? Morty Donovan?

- Po prostu ludzie gadają - odparł wymijająco Tim, nie dając się ciągnąć za język. Potem powiedział „dobranoc” i zniknął w kuchni.

John wzruszył ramionami i wsadziwszy ręce do kieszeni, okrążył dom. Z wysokiej, porośniętej trawą skarpy zszedł na brzeg potoku.

Nad małą zatoczką u podnóża zamku świecił księżyc. Szeroka srebrna smuga prowadziła aż do rozległych wód wokół wyspy Doon. Za jej ciemnym kształtem kryła się zatoka Mundy, a dalej otwarte morze. Za Doonhaven, mniej więcej siedem mil od zamku, wyrastał czarny masyw Hungry Hill, daleki i posepny w księżycowej poświacie.

Tymczasem w bibliotece John Brodrick senior mówił z irytacją do swego rządcy:

- Sam pozwoliłem oficerom z garnizonu strzelać do słońek i bażantów na wyspie, pod warunkiem, że zostawią w spokoju zajęce i przepiórki. Zgodzili się chronić zwierzynę w miarę swych możliwości. Nie mogę uwierzyć, że oficerowie, z których większość jest dżentelmenami, złamali umowę. A jednak powiadasz, że została ledwie połowa zajęcy?

- Tak mi mówił Baird, panie Brodrick. Podobno widziano, jak strzelało kilku młodszych oficerów. Był z nimi Morty Donovan.

- Morty Donovan? Zawsze i wszędzie on, gdy tylko wyniknie jakiś kłopot. Przejdź się do niego w moim imieniu, Ned, i zapowiedz, że jeśli jeszcze raz ktoś mi wejdzie w paradę na Doon, ukarzę go z całą surowością i pozwę do sądu w Mundy.

- Dobrze, panie Brodrick. Ten człowiek nie ma wstydu, ciągle to powtarzam w Doonhaven.

- Morty Donovan nawet nie wie, co to wstyd, podobnie jak cała reszta jego rodziny. Więc myślisz, że będą mi szkodzić w związku z kopalnią?

- Tego nie powiedziałem, panie Brodrick, ale nie chciałbym być w skórze tych kornwalijskich górników. Może się okazać, że najlepiej by postąpili, nie ruszając się z domów.

- Z ciebie też niezłe ziółko, Ned. Jestem przekonany, że gdy tylko się odwrócę, plotkujesz po chałupach jak stara baba i jeszcze odmawiasz z nimi różaniec.

- Klnę się Bogiem, panie Brodrick, że nigdy nie zadaję się z miejscowymi. Chodzę do nich tylko po czynsze, a to żadna przyjemność nawet w najlepszych czasach. Co zaś do różańca, to czyż nie widzi mnie pan co niedziela w naszym anglikańskim kościele i czyż nie daję na tacę?

- To prawda, Ned, wcale się nie skarżę. Zawsze wypełniałeś swoje obowiązki i tego ci nie zapomnę. Ale jak mam się nie irytować, kiedy taki niedouczoney półgłówek jak Morty Donovan wykorzystuje tutejsze przesady i wmawia ludziom, że to, co robię, jest dziełem szatana czy czarów? Przecież gdyby mieli rozum, pojęliby, że chcę dać im chleb za nic.

- Nie ma wdzięczności w narodzie, panie Brodrick, i to jest błąd.

- Wdzięczności? Do diabła, nie proszę o żadną wdzięczność. Proszę tylko o szczyptę zdrowego rozsądku. No, dość już o tym. Idź do domu, Ned, póki księżyc świeci. Nie mamy już nic do omówienia. I przypomnij odźwiernej, że ma trzymać bramę zamkniętą. Nie lubię widoku moich krów, błakających się po wrzosowiskach z cechą Mor-ty'ego Donovana.

Zostawszy wreszcie sam, odłożył księgi na bok i poskładał starannie papiery. Na dziś koniec ze sprawami majątku.

Niebawem uda się na górę, pogada godzinę z dziewczętami, wypyta je, co sądzą o ewentualnym nabyciu małej posiadłości za wodą, skąd mogłyby w sezonie robić wypady do Bath. A kiedy pójdą spać, pogrzebie w palenisku i opowie Henry'emu o górniczych metodach w Kornwalii, o propozycjach człowieka z Bronsea, o tym, jak stary Lumley uparł się przy swych dwudziestu procentach i jaka to szkoda, że Simon Flower jest takim nicponiem.

Ale najpierw trzeba obejść grunty i zaczerpnąć trochę świeżego, morskiego powietrza dla większej jasności umysłu. Zszedł na brzeg potoku i nagle, patrząc w stronę wyspy, uświadomił sobie, że nie jest sam. Nieopodal stał jego drugi syn - dziwnie samotny i powściągliwy, wyraźnie pogrążony w bezcelowej zadumie.

- Nie jesteś z innymi, Johnie? - spytał obcesowo. Chłopiec drgnął. Nie zauważył zbliżającego się ojca.

- Nie.

Zapadła cisza. Żaden nie wiedział, co powiedzieć, gdyż obaj mieli w pamięci incydent przy stole. Dopiero po chwili chłopak wyjąkał impulsywnie:

- Przepraszam, ojcze, za to, co mówiłem przy obiedzie.

- W porządku, Johnie, już o tym zapomniałem. Zastanawiał się, czy powiedzieć synowi, że rozumie, co tamten

chciał wyrazić. Miał ledwie dziewiętnaście lat, on zaś czterdzieści osiem i świetnie wiedział, dlaczego naprawdę pierwszy John Brodrick dostał kulkę w

plecy. Wiedział też, że miejscowi do dziś o tym gadają, chociaż on sam uznał za wygodne zapomnieć o całej sprawie. W tym kraju nie wolno mieć zbyt długiej pamięci, na tym właśnie polega błąd miejscowych. Owszem, on też wierzył w sprawiedliwość, dlatego aż do przesady uczciwie traktował tych, którzy mieli mniej szczęścia od niego, ale zbyt głębokie zagłębianie się w szczegóły uważał za niebezpieczne. Nadmiar współczucia sprawia, że ludzie stają się słabi, leniwi, zaczynają rozpamiętywać w nieskończoność domniemane krzywdy wygasłe wanie, przeszłość, która dawno powinna być pogrzebana. Jeśli nie pokieruje prawidłowo synem, nie wpoi mu posłuszeństwa, dyscypliny i szacunku wobec starszych i mądrzejszych, wyrośnie z niego taki sam gamoń, jak Simon Flower.

Dlatego nie odezwał się już ani słowem. Stał na brzegu potoku, patrząc w stronę swej przyszłej kopalni. Tuż przy nim podenerwowany syn obserwował, jak na ciemnej ścianie Hungry Hill drgają promienie księżyca.

3

Kiedy John Brodrick obiecywał Robertowi Lumleyowi, że za kilka lat jego należność za koncesję górniczą wyniesie niemal tysiąc funtów, nie kierował się tylko czczym optymizmem, ale silną wiarą w rzetelność swego oświadczenia. Pod koniec czwartego roku suma wpłacona na rachunek starszego pana w banku w Słane przekroczyła półtora tysiąca, a wszystkie wstępne koszty zostały spłacone w niecałe dwa lata.

Cena miedzi nigdy jeszcze nie była tak wysoka. Dzięki zakupowi trzech statków, które przeznaczono wyłącznie do transportu rudy z Doonhaven do Bronsea, udało się utrzymać koszty frachtu na niskim poziomie. W tej sytuacji Robert Lumley zapomniał o swych poprzednich uprzedzeniach i usiłował wymusić na wspólniku podwojenie liczby zatrudnionych, żeby w ziemi nie pozostała nawet uncja kruszcu. Brodrick jednak odmówił.

- Pewnie, możemy zatrudnić więcej górników i po prostu wybrać jak najprędzej najlepszą rudę. Ja jednak mam na uwadze przyszłość naszych rodzin. Może się zdarzyć, że jeśli Nicholson zejdzie zbyt głęboko pod ziemię, pokrzyżujemy

nasze własne zamiary. Siła wody jest ogromna, więc jeśli dojdzie do zalania, nie zdołamy jej opanować i stracimy dostęp do złoża.

Raz na pół roku Robert Lumley przyjeżdżał do Doonhaven na inspekcję kopalni i za każdym razem wytykał takie czy inne błędy. Zupełnie nie znał się na robocie, toteż John Brodrick, który miał tyleż doświadczenia, co sami górnicy, tracił do niego cierpliwość.

- Narzekasz pan, że kopalnia nie jest zarządzana, jak należy? Więc zechciej łaskawie przeczytać, co pisze jeden z największych specjalistów, który odwiedził nas w ubiegłym miesiącu.

Staruszek zerkał przez okulary do listu z pochwałami, odkładał go na bok i oświadczał, że bez względu na dobre czy złe zarządzanie, płace są za wysokie, a już zwłaszcza pensja kierownika Nicholsona.

- W Kornwalii - tłumaczył mu Brodrick - istnieje stary zwyczaj, według którego właściciele wypłacają sztygarom premie proporcjonalne do wielkości urobku jako dodatek do stałej pensji. Proponuję przyznać panu Nicholsonowi taką samą premię.

- Ale to oznacza kolejne uszczuplenie naszych zysków, czyż nie?

- Owszem, ale uważam to za konieczne. Pan Nicholson pracuje w tej kopalni od samego początku, i to w warunkach nieraz wyjątkowo przykrych zarówno dla niego, jak dla jego ludzi, co wynika z wrogiego nastawienia miejscowych. Mimo to trwa na swym stanowisku i nigdy nie groził, że wróci do Kornwalii.

Lumley wyklócał się i protestował, ale ostatecznie dawał za wygraną, po czym wsiadał do powozu i odjeżdżał. Na miejscu zostawał poirytowany dyrektor, który marzył tylko o tym, by jak najprędzej wykupić udziały starego i pozbyć się go na zawsze.

Kopalnia okazała się sukcesem. Zyski były wysokie, ale wciąż jeszcze pozostawały do pokonania pewne trudności. Po pierwsze, mieszkańcy Doonhaven szkodzili im więcej, niż Brodrick się spodziewał. Bynajmniej nie oczekiwał serdecznego powitania swych Kornwalijszczyków, owszem, był przygotowany na pewne animozje, którym jednak starał się zapobiec. Na własny koszt wybudował w pobliżu kopalni chaty, wyposażył je także w niezbędne meble, pościel, a nawet naczynia kuchenne, gdyż niektórzy górnicy przywieźli ze sobą rodziny.

Pierwsze kłopoty wynikły, kiedy przybysze wybrali się do Doonhaven na zakupy. W sklepie Murphy'ego półki świeciły pustkami, nie było nawet jednej

świeczki ani kawałka mydła. Właściciel, cały w przeprasających uśmiechach, zapewniał zawiedzione żony Kornwalijszczyków, że świec nie widział u siebie od trzech miesięcy, a co do mydła, to jego żona nie dalej jak dziś rano przyniosła z plaży kubeł piachu do szorowania podłogi w sklepie. To samo kobiety słyszały przy próbie zakupu jajek, masła czy nawet mleka na pobliskich farmach. Kury nie niosą się od Wielkanocy, zapadły na jakąś zarazę, a słońce tak przygrzewa, że mleko kwaśnieje i trzeba je wylewać, nawet świnie nie chcą pić tego paskudztwa. Tak więc nieszczęśni górnicy zagłodziliby się na śmierć, gdyby John Brodrick nie wysłał do Slane statku po zaopatrzenie. Sposób ten szybko stał się zwyczajem i Kornwalijszczyki żywili się odtąd wyłącznie tym, co raz w tygodniu sprowadzano dla nich z Mundy, gdyż w Doonhaven nie mogli niczego kupić. Tym większa zasługa pana Nicholsona, że potrafił ich powstrzymać przed powrotem do domu.

Statek z aprowizacją zapewnił im pewną niezależność, z czasem zaczęli uprawiać jarzyny i hodować po kilka kur, toteż w sumie żyło im się dość znośnie. Ale szybko się okazało, że sadzonki ziemniaków i główki kapusty znikają nocami z pola, a kury giną bez wieści. Kiedy przybysze próbowali wypytywać sąsiadów, ci kręcili tylko głowami i unosili ze zdziwieniem brwi. John Brodrick musiał więc wynagradzać straty, posyłając worki ziemniaków z własnych zbiorów, sadzonki kapusty i kurczęta do hodowli. Zimą - ponieważ ginęło drewno opałowe i torf - górnicy chodzili zbierać chrust i kłody wyrzucone przez morze koło Clonmere. Ned Brodrick starał się prośbą i groźbą nakłaniać miejscowych mężczyzn do pracy w kopalni i wreszcie na początku drugiego roku zaczęli się zgłaszać po dwóch, po trzech. Nie wpłynęło to jednak na poprawę ich wrogiego stosunku do kopalni.

O tak, nie było łatwo. Dlatego takim wytchnieniem stały się dla Johna Brodricka wypadki za wodę, do Bronsea i Lletharrog, gdzie kupił przytulny, wiejski dom, aby córki mogły tam spędzać kilka zimowych miesięcy. Marzenie Henry'ego także się spełniło: odwiedził Paryż, Brukselę i Wiedeń, a John nadal studiował w Lincoln's Inn.

Jesienią roku 1825, kiedy rodzina od sierpnia siedziała w Lletharrog, John Brodrick otrzymał list ze stemplem Doonhaven, adresowany do biura okrętowego w Bronsea. Pismo było zamazane i trudne do odczytania. Anonimowy nadawca pisał:

Radzę przyjechać do domu, bo mogą być kłopoty.

Brodrick wetknął list do kieszeni i zupełnie o nim zapomniał. Przypomniawszy sobie dopiero po tygodniu, kiedy do Bronsea zawinęła „Henrietta”, jeden z jego statków z rudą. Pokazał list szyprowi jako ciekawostkę, ale ten zasepił się i przez chwilę nic nie mówił.

- Nie miał pan wiadomości od pana Nicholsona? - spytał w końcu.

- Nie, ostatni raz pisał do mnie jak zwykle na początku miesiąca. Czemu pan pyta? Stało się coś złego?

- Może nie chciał pana niepokoić, zresztą i tak nie bardzo jest o czym mówić. Po prostu zastanawiam się, czy w liście, który pan otrzymał, nie chodzi czasem o ostatnie straty w kopalni.

- Straty? Jakie straty?

- Nie powiem panu zbyt wiele, bo zawijam do Doonhaven tylko po załadunek, który trwa raptem cztery dni. Ale podobno w Slane, Mundy i innych miejscach na wybrzeżu pojawiła się ruda z Hungry Hill. Nie przewiozły jej pańskie statki, nie przeszła też przez ręce pana Nicholsona ani żadnego z nas.

- Skąd pan to wie?

- Bo kilka razy słyszałem, jak ludzie pana Nicholsona o tym gadali. Pod ziemią wszystko idzie swoim trybem, a na powierzchni dzieją się cuda. Zapewne pan Nicholson wprowadził warty w nocy, bo właśnie wtedy urobek jest rozkradany, ale nic więcej mi nie wiadomo.

- Czy w Doonhaven w ogóle się o tym mówi?

- Nie wprost, proszę pana. Ale mam wrażenie, że ludzie o wszystkim wiedzą.

John Brodrick podziękował szyprowi „Henrietty” i wezwawszy swój powóz, odjechał do Lletharrog. Postanowił wieczorem napisać do Nicholsona i zażądać natychmiastowych wyjaśnień. List jednak nie został wysłany, gdyż rano nadeszła wiadomość od samego sztygara, pisana w wielkim pośpiechu i wyraźnie w stanie skrajnego zdenerwowania.

Trwa zorganizowana grabież, która, jeśli tak dalej pójdzie, może położyć kres naszej robocie. Od jakiegoś czasu zauważyłem, że urobek składowany na powierzchni, w oczekiwaniu na załadunek, po trochu znika, ale ostatnio wyparowała duża partia, przy

której ustawiłem straż, podejrzewałem bowiem, że do kradzieży dochodzi po zmroku. Wartownik - Kornwalijszyk nazwiskiem Collins - został znaleziony o świcie z roztrzaskaną głową i nie spodziewamy się, by przeżył. Jak się wydaje, uderzono go z tyłu, żeby nie widział napastnika. Atak napędził stracha jego ziomkom, tak że mam trudności z wyznaczeniem następnych wartowników. Niektórzy nawet mówią o pakowaniu rzeczy i powrocie z rodzinami do Kornwalii.

John Brodrick odczytał głośno list córkom i oznajmił, że natychmiast wraca do Clonmere.

- Napisałem już do Henry'ego i Johna w Londynie, żeby także przyjechali, jeśli im się uda. Dobrze wiem, kto za tym wszystkim stoi.

- Masz na myśli Morty'ego Donovana? - spytała po chwili wahania Barbara.

- Jest za sprytny, żeby osobiście przykładać rękę do kradzieży, ale zdziwiłbym się, gdyby nie był mózgiem całej sprawy.

- Jak myślisz, kto napisał ten list? - zainteresowała się Eliza.

- Nie wiem i nie chcę wiedzieć. Może jakiś dzierżawca, który ze strachu przed Mortym Donovanem wolał nie podpisywać się własnym nazwiskiem? Zresztą to nieważne. Sprawcy jednak powinni być przykładnie ukarani i doprowadzę do tego, choćbym miał ryzykować głowę.

Córki wymieniły zaniepokojone spojrzenia.

- Błagam cię - rzekła Barbara - nie rób niczego pochopnie. Czy nie mógłbyś uzyskać pomocy z garnizonu na wyspie?

- Ależ moja droga! Jeśli nie dam sobie rady z paroma miejscowymi szkodnikami bez angażowania w to wojska, nigdy nie będę mógł chodzić po Doonhaven z podniesionym czołem. Wasz pradziad nie prosił o pomoc, kiedy rozprawiał się z przemytnikami.

- Nie, nie prosił - przyznała Jane. - I dostał kulkę w plecy. John Brodrick popatrzył na nią surowo.

- Pewnie to John namącił ci w głowie.

Jane zaprzeczyła milcząco, ale oczy napęłniły jej się łzami. Zerwała się z krzesła i okrążywszy stół, przy którym jedli śniadanie, rzuciła się ojcu na szyję.

- Weź mnie ze sobą, proszę! Nie boję się Donovanów ani nikogo, ty zaś będziesz potrzebował kogoś, kto o ciebie zadba i dopilnuje porządku w domu. Nie jestem już dzieckiem, mam prawie czternaście lat!

John Brodrick uśmiechnął się i poklepał ją po policzku.

- Myślisz, że Miedziany John nie potrafi o siebie zadbać? Nie patrz z takim zakłopotaniem, Elizo, dobrze wiem, jak mnie nazywają w Doonhaven. A więc, Jane, dziecino, chcesz się mną opiekować, tak? Przypilnujesz tych leni służących, żeby grzali mi wodę, podawali obiad na czystych talerzach, sprawdzisz, czy pościel nie jest wilgotna? Cóż, musisz zapytać o zdanie Barbary, to nie moja sprawa. Ale cokolwiek uzgodnicie, jutro wyjeżdżam do Bronsea i wieczorem wsiadam na statek do Slane.

Do Londynu poszedł więc list z prośbą, by - o ile to możliwe - Henry i John przybyli do Clonmere, a następnego dnia John Brodrick i Jane, której towarzyszyła stara Marta, wsiedli na pokład pocztowego parowca, kursującego regularnie między Bronsea a Slane. Przy okazji pobytu w Slane, gdzie zatrzymali się na nocleg, Brodrick próbował zasięgnąć informacji na temat nielegalnej sprzedaży miedzi i odpowiedzialnych za to osób.

Dyrektor biura okrętowego zainteresował się sprawą, ale mimo szczerego współczucia niewiele mógł pomóc. Przyznał, że dochodziły do niego wieści o czarnym rynku w hrabstwie. Zawsze znajdują się pobawieni skrupułów agenci, którzy zgodzą się kupić rudę i wysłać ją za wodę do wytopienia, ale co to za jedni i z jakimi firmami współpracują, trudno powiedzieć.

John Brodrick opuścił biuro w nastroju ponurej determinacji. Jest gorzej, niż się spodziewał. Wystarczyły trzy miesiące nieobecności, by uruchomiono cały system kradzieży, który zmierzał do zrujnowania kopalni. Brodrick miał za złe panu Nicholsonowi, że ten nie uświadomił mu w porę, co się dzieje, podobnie zresztą jak Ned Brodrick.

Ten ostatni czekał na niego w Mundy. Widząc wyraz twarzy swego chlebowdawcy, od razu zaczął się usprawiedliwiać.

- Chciałem wsiąść na statek i przy płynąć do Bronsea, ale pan Nicholson upierał się, że sam sobie ze wszystkim poradzi. I prawdę rzekłszy, miałem tyle pracy przy posiadłości, że zostawiłem kopalnię na jego głowie.

Brodrick nic nie powiedział, gdyż odgadł prawdę: Ned spędził trzy miesiące jego nieobecności w błogim lenistwie. Na pewno przesiadywał po całych dniach

w domku swej matki w Oakmount, grzejąc nogi przy kominku, a przy ładnej pogodzie strzelał do bażantów na wyspie albo flirtował z licznymi w okolicy wdówkami, które wyraźnie upodobały sobie jego patykowatą postać o trupiej karnacji.

Powóz pokonał drogę z Mundy do Doonhaven w czasie o połowę krótszym niż kilka lat wcześniej; budowa nowego gościńca nareszcie dobiegła końca, głównie zresztą dzięki interwencjom Johna Brodricka u posła do parlamentu.

- Teraz ewentualnie można by się obawiać najwyżej uszkodzenia nasypów, które chronią drogę przed zapadnięciem - tłumaczył Jane, która wychyliła się z okna powozu - ale nie sądzę, by nam coś takiego groziło. Ciekawe, czy Simon Flower wygrał zakład i przejechał tędy w dwie godziny. O, jesteśmy już przy kopalni. Jedź z Martą do Clonmere, Jane, a potem odeślij tu powóz.

Padął drobny deszczyk i wierzchołek Hungry Hill tonął we mgle. Z gościńca do kopalni wiódł szeroki trakt o powierzchni porytej koleinami od kół furgonów, kursujących tam i z powrotem do przystani w Doonhaven. Wzdłuż traktu ciągnął się długi szereg drewnianych górniczych domków, na końcu stały zabudowania kopalni i wysoki szyb. Na widok dyrektora robotnicy zatrudnieni na powierzchni dotykali z szacunkiem kapeluszy i rzucali zaciekawione spojrzenia - nikt im nie mówił o powrocie Miedzianego Johna. Wieść rozniosła się wkrótce po całej kopalni. Towarzyszyło temu uczucie głębokiej ulgi z pewną domieszką lęku, gdyż z pewnością należy się spodziewać surowych konsekwencji za kradzież urobku, a niewykluczone, że przy okazji ucierpią także niewinni.

Sztygar Nicholson przyjął dyrektora w biurze, gdzie mogli porozmawiać bez obawy podsłuchu. Na szczerzej, zwykle tak pełnej ufności twarzy Kornwalijczyka widać było zdenerwowanie - to oczywiste, że ten człowiek od wielu dni nie spał, jak należy. Potwierdził fakt kradzieży miedzi, którą następnie wywożono do sąsiedniego hrabstwa, a także do Mundy i Slane, ale sprawcy, jak dotąd, pozostawali nieuchwytni.

- Jestem przekonany, że moi Kornwalijczycy nie mają z tym nic wspólnego i że winni są miejscowi. Ci, którzy sami nie kradną, kryją swych kompanów z fałszywego poczucia lojalności i ze strachu przed represjami.

- Czy rewidujecie ludzi po szychcie?

- Tak jest, panie Brodrick. Po wyjściu na powierzchnię każdy górnik, kornwalijski czy tutejszy, idzie do myjni i tam jest przeszukiwany. Nigdy nie znaleźli-

śmy niczego. A jednak ruda musi zniknąć z baraków obróbki jeszcze przed załadunkiem na wózki. Innej możliwości nie ma.

- Chciałbym teraz zejść na dół.

- Proszę bardzo, pójdę z panem.

Obaj mężczyźni nałożyli kombinezony i specjalne górnicze kapelusze ze świeczką na przodzie. Po długiej drabinie, która prowadziła na różne poziomy - niektóre są tak wąskie, że dwóch ludzi nie mogło się wyminąć - zeszli pod powierzchnię. Miedziany John wizytował każdy chodnik i rozmawiał z każdym napotkanym górnikiem.

Nie darował sobie nawet najmniejszego zakamarka; przy okazji pomógł umieścić ładunek wybuchowy pod skałą, którą trzeba było wysadzić. Zaczekał na eksplozję, a potem przyglądał się uprzątnięciu rumowiska. Kiedy wrócili z Nicholsonem na powierzchnię, było późne popołudnie. Miedziany John nie zdradzał jednak oznak zmęczenia i od razu zabrał się do inspekcji baraków obróbki i sortowni. Obejrzał nawet rząd wózków ustawionych na poboczu traktu, aż wreszcie zmierzch uniemożliwił dalszą inspekcję.

- No dobra, Nicholson. Na razie nie odnieśliśmy wielkich sukcesów, ale bynajmniej mnie to nie zniechęca. Możesz pan być pewien, że niedługo dogrzebie się do sedna tej sprawy. Proszę postępować tak jak dotąd, to znaczy przeszukiwać każdego górnika po zakończeniu pracy i wystawiać na noc warty. Jeśli trzeba, płacić strażnikom podwójne wynagrodzenie. Zobaczymy się rano.

Następnego dnia po południu Miedziany John wyruszył z Clonmere na zachód, na wrzosowiska Kileen. Towarzyszył mu przyrodni brat z psem.

Powietrze, jak na koniec lata, było łagodne i ciepłe. Słonka nad mokradłami zataczała kręgi, to znów dawała nura w wodę, spłoszona przez spaniela, który biegł przed swoim panem z nosem przy ziemi. W dole, ukryte za lasami Clonmere, leżało Doonhaven, a jeszcze dalej sterczał na tle nieba samotny czubek Hungry Hill. Bracia minęli drogę, która doprowadziłaby ich na zachód, do rzeki Denmare, i skręcili na ścieżkę biegnącą wzdłuż brzegu bagna. Po paru milach droga kończyła się nagle przy płocie farmy. Nierówny podjazd wił się wokół stromego pagórka aż do domostwa na szczycie.

Ponure, odludne miejsce otaczał skrawek zapuszczonego ogródka. Dom zbudowany był z brunatnego kamienia. Wielkie, przeważnie nieosłonięte okna ziały

puszką. Kiedy szli w stronę drzwi, zza węgła wychynał kundel - mieszaniec charta z terierem - i powarkując z cicha, ruszył na ich spotkanie z podkulonym ogonem.

Hałas wywabił z domu kobietę. Na widok obcych chciała zatrzaskać drzwi, ale nagle zmieniła zdanie i nawet dygnęła.

W młodości musiała być ładna, zresztą i teraz zwracała uwagę regularnością rysów, ciemnymi oczami i pełnym godności zachowaniem.

- Nieczęsto zaszczyca nas pan swoim towarzystwem, panie Bro-drick. Obawiam się, że wędrówka po tych bezdrożach do naszej biednej chatki okazała się dość uciążliwa. Życzy pan sobie rozmawiać z moim mężem?

- I owszem, pani Donovan. Czy jest w domu?

- Jest, nie wychodzi już od trzech tygodni. Noga nie daje mu spokoju dniem i nocą. Znajdzie go pan w bawialni, od czasu choroby stoi tam jego łóżko. Proszę nie wycierać butów, mój nieszczęsny dywan i tak rozpadnie się lada chwila.

Ta nutka litości nad sobą nie umknęła uwagi Johna Brodricka. Przepraszając za ciemność w korytarzu, kobieta otworzyła drzwi bawialni.

- Oto pan Brodrick z rządcą - powiedziała. - Panowie przyszli pieszo aż z Clonmere.

Pokój był zimny i przepełniony dymem z torfu, który dawał mało ciepła. Pod oknem, na polowym łóżku, leżał wsparty na niezbyt czystych poduszkach Morty Donovan. Postarzał się znacznie od ostatniego spotkania z Brodrickiem, a jego mahoniowa twarz mocno przybladła. Patrzył na przybyłych bladoniebieskimi, pozbawionymi wyrazu oczyma.

- Siadajcie, panowie - rzekł - jeśli potraficie znaleźć krzesło, które nie załamie się pod waszym ciężarem. Jak widzicie, nie mogę wstawać, ta piekielna noga w końcu mnie zmogła. Co się tak gapisz, kobieto, przynieś trochę wina i trzy szklanki! Może jesteśmy biedni, ale nikt nam nie zarzuci braku gościnności wobec jaśniepaństwa. Mam w swojej piwnicy klaret, który może iść w zawody ze wszystkim, co trzyma pan w Clonmere.

Rządca spojrział z nadzieją na gospodynię. Szklaneczka klareta byłaby mile widziana, ale chlebowca machnął ręką na znak, że jest innego zdania.

- Nie przyszedłem tu pić ani waszego, ani mojego zdrowia. To nie jest sąsiedzka wizyta. Chcę wam powiedzieć, że doskonale wiem o szkodach na Hun-

gry Hill i że zamierzam z tym skończyć. To jedyny powód mojego powrotu w te strony. Jeśli nie każecie swoim ludziom zaprzestać zorganizowanej grabieży, wszyscy robotnicy trafią za kratki.

Na twarz Morty'ego Donovana wypełznął leniwy uśmiezek.

- A potem ława przysięgłych w Mundy wszystkich uniewinni. Nie mam pojęcia, o co panu chodzi, panie Brodrick. Od kilku miesięcy nie zbliżam się nawet do Hungry Hill. Co zaś się tyczy kradzieży, to proszę zapytać pańskich Kornwalijszczyków i sztygara Nicholsona, którego stać na haftowane szale dla żony. Doszły mnie słuchy, że baba paraduje po Doonhaven wystrojona i dumna jak pawica.

- Kornwalijszczycy są w porządku i dobrze o tym wiecie. Ludzie z Doonhaven także pracowaliby uczciwie i cieszyli się z możliwości zarobkowania, gdybyście nie spiskowali za moimi plecami i nie rozsiewali swoich jadów.

- Jadów, powiada pan? - krzyknął stary z udawanym wzburzeniem. - Więc ja dem jest wzywanie świętych, by zlitowali się nad panem za niepokoje, jakie wywołał pan w Doonhaven, budując kopalnię, w której zmusza pan młodych ludzi, dzieci niemal, do nabijania panu kabzy? Wzywam mury tego domu na świadków, że z mych ust nie wyszło ani jedno słowo na temat kopalni, które mogłoby pana zdenerwować, przeciwnie, moja mowa jest przepełniona litością dla pana.

Miedziany John wysłuchał starego do końca, bynajmniej nie poruszony tym popisem elokwencji.

- Możecie zdzierać sobie gardło, Donovan, ale i tak doskonale wiecie, że pozostanę przy swoim. Bądźcie pewni, że bez względu na to, jakich sposobów się imacie, by wykraść rudę i sprzedawać ją w Mundy, Slane i sąsiednim hrabstwie, wykryję je i z winowajcami surowo się rozprawię. Nie sędzę, byście chcieli zakończyć swoje życie w więzieniu, ale tak się stanie, jeśli nie przestaniecie grabić mnie i mojej kompanii.

Morty Donovan nie odpowiedział, ale jego oczy przygasły. Opadł z powrotem na poduszki, jakby zmęczyła go ta dyskusja.

- Jeśli nawet ludzie z Doonhaven sprzedają rudę za pańskimi plecami, to sam pan jest sobie winien, panie Brodrick. To pan uruchomił kopalnię i wystawił tych biedaków na pokusę.

Tego już Miedzianemu Johnowi było za wiele. Wstał i skinął głową gospodarzowi.

- Pamiętajcie - rzekł na odchodnym. - Przyszedłem tu, aby ostrzec zarówno was, jak waszych synów. Będę też wdzięczny, jeśli zostawicie moich dzierżawców w spokoju i dopilnujecie swego bydła, by pasło się tam, gdzie powinno.

Wyminął stojącą w progu kobietę i wyszedł na podwórze razem z rządcą.

- Byłem głupi, że zmarnowałem tyle czasu, ale przynajmniej go ostrzegłem. Wie już, czego się spodziewać.

W tym momencie kundel Donovanow dopadł spaniela Neda Bro-dricka. Psy zwarły się z sobą, warcząc i szczekając, podczas gdy rządcą daremnie próbował je rozdzielić. Na przeraźliwy krzyk pani Donovan z przybudówki wyszedł mężczyzna i odciągnął kundla, kopiąc go przy tym i tłukąc tak, że biedne zwierzę umknęło ze skowytami.

Sam Donovan miał około trzydziestki i stanowił niefortunną mieszankę cech obojga swych rodziców, nie dziedzicząc jednak nic z ich urody. Miał wodniste niebieskie oczy, a kilkudniowy zarost na brodzie krył miękkie, sflaczałe usta. Zwykł uśmiechać się półgębkiem, patrząc przy tym w ziemię i skrobiąc się za uchem.

- Dzień dobry, Samie - powitał go John Brodrick. - Jeśli chcesz wiedzieć, czemu wkroczyłem w wasze progi, to lepiej zapytaj ojca, póki zachował jeszcze moją wizytę w pamięci.

- Pewnie chodzi o płot Toma Moore'a, ale kiedy krowy tu wtargnęły, byłem w Doonhaven - tłumaczył się Sam, zerkając to na Miedzianego Johna, to na rządcę. - Chodzi o to, że ten płot jest za bardzo wysunięty na północ i narusza nasze ziemie, każdy panu to powie. Tom Moore nie miał żadnego powodu, by go stawiać.

- Sprawa płotu trafiła do arbitrażu pół roku temu i doskonale o tym wiesz - wtrącił się rządcą, popisując się przy okazji swą władzą.

- Czyż osobiście nie mierzyłem gruntu? Mam dwóch bezstronnych świadków na rzetelność tego, co zostało uzgodnione. Przypomnij sobie, sam powiedziałeś, że...

- Wystarczy, Ned - przerwał mu niecierpliwie John Brodrick. - To rzecz bez znaczenia, a Sam dobrze wie, że jeśli krowy jego ojca uszkodziły płot, to trzeba zapłacić i tyle. Wracajmy do domu, zanim zupełnie przemokniemy.

Odwrócił się na pięcie i odszedł, nie żegnając się z Samem Donovanem. Rządcą, chcąc nie chcąc, podążył za bratem. Żałował, że dyskusja się urwała.

Gdyby przeciągnęła się jeszcze trochę, może wróciliby do środka i kontynuowali ją przy szklaneczce whisky. Niestety, w towarzystwie chlebobdawcy nie można było na to liczyć.

Pogoda się zmieniła, co często zdarzało się w tym kraju. Zjawiała się gęsta mgła i padał kapuśniaczek. Wrzosowiska w deszczu wyglądały tak, jakby tego dnia w ogóle nie świeciło słońce. Jedno jest pewne, myślał Miedziany John, wędrując brzegiem bagien co najmniej pięć kroków przed rządcą. Nadszedł czas, by Donovanowie zrozumieli raz na zawsze, że ich wpływy w Doonhaven muszą się skończyć. Ta śmieszna rodzinna nienawiść należała do martwej i dawno pogrzebanej przeszłości. Jeśli Donovanowie stracili swą pozycję w świecie, to tylko przez lenistwo i nieudolność, sukcesy Brodricków nie miały z tym nic wspólnego. Każdy grosz swego majątku John Brodrick zawdzięczał własnej energii i umiejętnemu podążaniu z duchem czasu. Skoro tamci tego nie rozumieją i obstają przy swej polityce rzucania kłód pod nogi, należy ich pokonać. Im szybciej to nastąpi, tym lepiej dla Doonhaven. W całym kraju jest wiele podobnych rodzin - dumnych, leniwych i do niczego niezdatnych, za to zawsze gotowych sprzeciwić się prawu. Stanowią ciągle zagrożenie dla rządu i lojalnych właścicieli ziemskich, takich jak on sam. Dopóki tym ludziom nie przytrze się rogów i nie zmusi, by dopasowali się do nowych czasów, w kraju nigdy nie zapanuje dobrobyt.

Tak przynajmniej sądził John Brodrick, wychodząc po długim marszu przez mokre wrzosowiska na drogę w ociekającym wilgocią płaszczu. Kiedy dotarł do domku przy bramie, odprawił rządcę i powędrował dalej podjazdem. Niebo rozpogodziło się tak nagle, jak przedtem zachmurzyło. Trawa skrzyła się w słońcu. W lesie, nad brzegiem wody, czaple zerwały się ze swych gniazd na wysokich drzewach i z ciężkim łopotem pofrunęły wolno nad potok. Brodrick zboczył z podjazdu i stał na skraju gładkiego trawnika przed zamkiem, ogarniając pełnym dumy i uczucia spojrzeniem szare mury, wieżę, porośnięte drzewami wzgórze z tyłu. Marzył, że dobuduje kiedyś drugie skrzydło, o jeszcze mocniejszych murach, większych oknach, z dodatkowymi wieżami - nie dla siebie, o nie, dla Henry'ego i jego dzieci. Kiedyś zamek Clonmere wpisze się na stałe w krajobraz, będzie go widać w całej okolicy, a podróżni udający się z Mundy do Doonhaven będą przystawali przy Hungry Hill i mówili, wskazując za wodę: „To Clonmere, siedziba rodu Brodricków”. Obok zaś będą sterczeć szyby kopalni.

Henry i John przyjechali z Londynu w końcu tygodnia. Tymczasem w kopalni nie wydarzyło się nic nowego; według pana Nicholsona to powrót dyrektora odstraszył złodziei i być może przywiódł ich do nieco uczciwszego życia.

Opinia ta miała jednak krótki żywot. Następnego dnia po przyjeździe młodych ludzi jeden z załadowanych urobkiem wózków pozostawiono - jak zwykle - na noc przed barakiem, gdzie miedź płukano i oddzielano od pozostałości skalnych. Rano, po przetoczeniu wózka do miejsca dalszej obróbki, okazało się, że w środku zamiast miedzi są żelazne odpady. Sztymar Nicholson wezwał natychmiast ludzi odpowiedzialnych za ten właśnie wózek i skrupulatnie ich wypytał, ale obaj górnicy byli tak samo zaskoczeni. Zjechał więc sam na dół i przez wąski chodnik doczołgał się do wczorajszego przodka. W ciągu ostatniego tygodnia często używano prochu i w powietrzu wisiał jeszcze gryzący, gorzki zapach. Gruz nie uprzątnięto do końca. Ludzie, którzy wybierali urobek i napełniali kubły, pochodzili z Doonhaven, ale podobnie jak ci z powierzchni, przysięgali, że nie mają pojęcia, jakim sposobem odpady dostały się do wózka. Na dowód swej niewinności przypomnieli sztygarowi, że sam był obecny przy rewizji na zakończenie szychty (ostatnio weszła ona w zwyczaj) i że nie znaleziono przy nich nawet śladu żadnego minerału.

- Myślisz pan, że łykamy to świństwo, czy jak? - spytał jeden z nich ze złością. - Może rozetniecie nam brzuchy, żeby sprawdzić?

- Ja tam wierzę - dodał drugi poważnie - że to duchy starego wzgórza zabierają miedź, a na nas rzucają czary, abyśmy nie widzieli, jak czają się obok ze swymi małymi taczkami.

- Jedyne duchy w tej kopalni to te, które sami przynosicie w butelkach ze sklepu Murphy'ego³. Teraz bierzcie się do roboty i bądźcie gotowi na dalsze pytania, kiedy zjawi się tu pan Brodrick. Według mnie wszyscy traficie do aresztu w Mundy.

Nowe niepowodzenie oznaczało znaczną utratę twarzy dla sztygara Nicholsona, który zdążył już sobie pogratulować przezwyciężenia kryzysu. Dlatego z

³ * Nieprzetłumaczalna gra słów: duchy po angielsku to m.in. *spirits*, tak samo jak alkohol.

największą niechęcią wysłał do Clonmere chłopaka z wiadomością o tym, co się stało.

Miedziany John w godzinę był na miejscu razem z obydwoma synami. Wysłuchał Nicholsona w milczeniu, z surową, nieprzenikniętą twarzą.

- No, Henry - zwrócił się do syna - masz młody mózg i dopiero przystępujesz do interesu. Co o tym sądzisz?

Henry nie odpowiedział od razu. Choć miał już dwadzieścia pięć lat, obaj z młodszym o rok bratem tak przywykli do ulegania opiniom ojca i ukrywania własnych poglądów, że tego rodzaju pytanie było dla nich zaskoczeniem.

Podróż do Francji i Niemiec dodała Henry'emu sporo pewności siebie, której wciąż brakowało jego bratu. Na szczęście odznaczał się nie tylko rozumem, ale także wielkim urokiem osobistym i swobodą obejścia. Zwróciwszy się do Nicholsona z ujmującym uśmiechem, zapytał, czy mógłby zejść na dół.

- Ależ oczywiście, zaraz pana poprowadzę - zaofiarował się sztygar.

- Nie, proszę nie robić sobie kłopotu. Wolę pojechać sam, ewentualnie z bratem. Możemy natrafić na coś, co pchnie nas na właściwy trop i nasunie rozwiązanie problemów.

- Życzę wam szczęścia - zaśmiał się jego ojciec. - Tylko uważajcie, żebyście nie pobłądzili. John gotów gdzieś spaść i skręcić sobie kark, to całkiem do niego podobne.

Bracia wyszli z biura. Minęli baraki obróbki oraz wózki i odnaleźli drabinę do szybu.

- No - odezwał się John - co ci chodzi po głowie?

- Coś. Nie mogę ci jeszcze nic powiedzieć, ale potrzebuję twojej pomocy. Kiedy zjedziemy na poziom, gdzie wczoraj trwały roboty, wciągniesz ludzi do rozmowy. Muszę obejrzeć sobie to miejsce i nie chcę, żeby mi przeszkadzano. Dam ci znak, wycierając nos.

- O czym mam z nimi rozmawiać? - nastroszył się John.

- O czymkolwiek, na przykład o swoim nowym charcie. Byle odwrócić ich uwagę.

- Zakichany interes! Na miejscu ojca zostawiłbym tę sprawę. Niechby sobie zabierali miedź, na pewno jest jej tyle, że dla wszystkich starczy. Pluń na to, Henry, spójrz, co zrobiono ze wzgórzem!

Wskazał na wysoki, wąski szyb, na długi rząd baraków, na ścieśnione obok siebie górnicze domki.

- A wszystko to po to - zaśmiał się jego brat - żeby ja mógł szaleć w Paryżu i Brukseli, a ty hodować wyścigowe charty!

Włożyli górnicze kombinezony i kapelusze, po czym zaczęli schodzić. W szybie panował chłód, a jednocześnie zaduch. Świece w rozmieszczonych w regularnych odstępach kinkietach płonęły ponurym, migotliwym blaskiem.

Wkrótce dotarli do pierwszego poziomu. Obok szybu dwaj górnicy mocowali na łańcuchach kubły, które następnie windą wyjeżdżały na powierzchnię. Henry zapytał, gdzie wczoraj wysadzano skałę. Uzyskał odpowiedź, że jeszcze niżej.

- To najwęższy chodnik w całej kopalni - powiedział jeden z mężczyzn. - Będą panowie musieli iść pojedynczo, a na pewnym odcinku nawet się czołgać.

Henry wyraźnie czuł się jak ryba w wodzie. Rozglądał się wokół z zainteresowaniem, opukując od czasu do czasu ścianę i pogwizdując pod nosem, co czynił zwykle wówczas, gdy intensywnie nad czymś myślał. John, który przewyższał go wzrostem i pod niskim sklepieniem poruszał się z trudem, podążał za bratem w milczeniu, czując z każdym krokiem coraz większe przygnębienie. Tęsknił do chwili, gdy wreszcie wydostanie się na powierzchnię i odetchnie świeżym powietrzem na szczycie Hungry Hill. Uważał, że jest coś poniżającego, godnego potępienia w takim myszkowaniu we wnętrzu wzgórza i wysadzaniu prastarej skały dynamitem tylko po to, aby dostać się do ukrytych minerałów.

Głuchy łoskot i stłumiony huk niedalekiej eksplozji ostrzegły ich, że zbliżają się do przodka. Mrocznym, zadymionym chodnikiem posuwali się ostrożnie przed siebie, aż dotarli do górników.

Twarze mężczyzn wyglądały szaro i mizernie w nikłym świetle. Johnowi ścisnęło się serce. Jeśli tych ludzi podczas ich ciężkiej pracy spotka jakakolwiek krzywda, będzie to wina ojca i jego samego.

Henry od razu wszedł między górników, gawędził z nimi swobodnie i zadawał różne pytania, John tymczasem stał z boku, popatrując na ociekające wilgocią ściany i rumowisko, po którym uwijali się ludzie z kilofami i łopatami. Słyszał, jak brat pyta, dokąd sięga chodnik i gdzie w ostatnim tygodniu podkładano

ładunki wybuchowe. Kornwalijczyk, do którego obowiązków należało podpalenie lontu, wskazał na sam koniec, gdzie leżała masa zwalonego bezładnie gruzu, a wysokość sklepienia nie przekraczała czterech stóp.

- Tracimy tylko czas - powiedział. - To kredowa skała i nie zawiera żadnych minerałów. Można wysadzać ją tygodniami, ale i tak nie znajdzie się nic prócz kredy. Według mnie wzgórze w tym miejscu gwałtownie opada, a tuż pod powierzchnią utworzyła się obszerna komora.

- Owszem - zgodził się Henry. - Podczas wędrówek wokół wzgórza często widywałem te zagłębienia, wyglądały jak naturalne kamieniołomy. Można by rzec, że w dawnych czasach prowadzono tam jakieś wykopy.

- Tak, proszę pana - zgodził się Kornwalijczyk, nie będąc pewnym, co Henry ma na myśli, mówiąc o wykopach.

W tym momencie John zauważył, że brat energicznie wyciera nos. Szybko podszedł do grupki górników.

- Czy podczas eksplozji często zdarzają się wypadki? - zapytał.

- Nie, proszę pana - odparł uprzejmie jeden z mężczyzn. - To tylko kwestia ostrożności. Oczywiście, trzeba się znać na robocie.

Kornwalijczyk pokazał mu dziury, w które wkładano ładunki. John zadawał mnóstwo pytań, okazując żywe zainteresowanie, tak obce jego naturze. Trzej pozostali górnicy, zadowoleni z chwili wytchnienia, oparli się na styliskach i włączyli ochoczo do dyskusji o tym, gdzie i kiedy po raz pierwszy zastosowano w górnictwie środki wybuchowe.

Nikt nie zwrócił uwagi, że Henry nie uczestniczy w dyskusji, zniknąwszy w ciemnym końcu chodnika. Spędził tam około kwadransa (John zdążył tymczasem zrelacjonować z wielką swadą historię Spisku Prochowego, opowiadając się stanowczo po stronie Guya Fawkesa^{*4} i dzięki temu zyskując sobie pewien szacunek ze strony dwóch rdzennych mieszkańców Doonhaven), a kiedy wrócił, miał odzież zabrudzoną kredą i błyszczące podnieceniem oczy.

⁴ * Spisek Prochowy miał na celu wysadzenie w powietrze gmachu parlamentu brytyjskiego w dniu 5 listopada 1605 roku. Próba została udaremniona, a przywódcę Guya Fawkesa stracono.

- No, John - rzekł - dość się nagadałeś. Pora wracać do pracy. I podziękowawszy krótko górnikom, ruszył w stronę drabiny.

Wspinali się w milczeniu, John nie zadawał żadnych pytań. Dopiero gdy wyszli na powierzchnię, Henry otrzepał ubranie z kredy i rzucił bratu triumfalne spojrzenie.

- Instynkt mnie nie zawiódł! Od razu się domyśliłem, któredy te czorty wynoszą urobek. Ale chodźmy do biura, gdzie wszystko opowiem.

Ojciec zaczynał już zdradzać oznaki zniecierpliwienia; chodził tam i z powrotem po pokoju z założonymi za plecy rękami.

- I co? - spytał. - Obeszło się bez połamanych kości?

- Jak dotąd tak - odparł Henry. - Ale nim zamkniemy tę sprawę, to i owo może się zdarzyć. Panie Nicholson, czy nikt nas tu nie podsłucha?

- Nie, proszę pana. Kancelistka wyszła na obiad i w pobliżu nie ma żywego ducha.

- Doskonale. Więc mogę wam oznajmić, że materiał znika jeszcze pod ziemią.

- Co to, u diabła, ma znaczyć? - spytał ostro ojciec.

- Zaraz wyjaśnię, ojcze. Zawsze mi się zdawało, że w prehistorycznych czasach na Hungry Hill mieszkali jaskiniowcy, którzy ryli pod ziemią korytarze i tunele. Ślady istnieją do dziś. Widywałem je podczas wędrówek po wzgórzu, ale nigdy nie zapuszczałem się w głąb. Dopiero kiedy usłyszałem o kradzieżach, przypomniałem sobie o tych miejscach.

- I co z tego?

- Teraz, kiedy zeszliśmy na drugi poziom, zostawiłem Johna z ludźmi, którzy odpalali ładunki, a sam udałem się na koniec chodnika, gdzie roboty ustały, bo natrafiono na kredę. Uprzątnąłem trochę gruzu i przesunąłem duży głaz, który wyglądał tak, jakby ktoś go tam specjalnie ustawił. Potem poczołgałem się dalej i znalazłem to, czego oczekiwałem: wąski tunel, taki że można go pokonać tylko na czworakach, biegnący pod górę i dalej na powierzchnię. Jest uprzątnięty, jakby niedawno używany. Nie penetrowałem go dalej, bo bałem się, że mnie zauważą, ale doskonale wiem, dokąd prowadzi: do starych pieczar w zboczu wzgórza. Najprostsza rzecz pod słońcem - ktoś czołga się tunelem i składa urobek na końcu, a nocą ktoś inny podjeżdża wózkiem zaprzężonym w osła i ładuje. I łatwo

się domyślić, jak to wszystko funkcjonuje. Dwóch miejscowych załatwia sobie pracę na tej samej zmianie. Jeden wchodzi do tunelu, drugi stoi na warcie. Pańscy Kornwalijscy są absolutnie niewinni, panie Nicholson, jestem o tym przekonany. Ten, który wczoraj podkładał ładunki, miał tyleż pojęcia o istnieniu tunelu za złożem kredy, co mój brat, ale gdyby przejawiał choć odrobinę ciekawości, szybko by go odkrył. Tak to wygląda, ojcze, a teraz rób, co uważasz.

Uśmiechnął się do obu starszych mężczyzn i mrugnął do brata. W końcu ten wyczyn był swego rodzaju triumfem.

- No cóż, Nicholson - odezwał się Miedziany John. - Wygląda na to, że mój syn w pół godziny dokonał więcej, niż pan w ciągu kilku tygodni. Sam zresztą też nie jestem bez winy. Oto mój plan: kiedy ludzie wyjdą dziś wieczorem na powierzchnię, zejdzie pan z Henrym na dół i przeszukacie tunel do samego wyłotu. Potem co noc będziemy trzymać na wzgórzu wartę, póki nie złapiemy tych ptaszków na gorącym uczynku, a jeśli ktoś przy tym oberwie, tym lepiej. John, ty jesteś rodzinnym prawnikiem. Co na to powiesz?

John z całego serca nie cierpiał prawa, ale nie miał odwagi tego wyznać. Zerknął błagalnie na brata, ten jednak nie zwrócił na to uwagi.

- Nie wiem, ojcze - bąknął. - Czemu po prostu nie powiesz tym ludziom, że gra skończona, a potem nie zablokujesz tunelu? Przynajmniej obejdziesz się bez rozlewu krwi.

- Jeśli tego właśnie uczą cię w Lincoln's Inn, nic dziwnego, że nikt nie powie-
rza ci żadnej sprawy. Obawiam się, panie Nicholson, że mój młodszy syn lepiej
zna się na psach niż na swym zawodzie. Doskonale, John, możesz zostać w domu
i opiekować się Jane, nie potrzebuje- :\ my tu takich ofert. Mam nadzieję, że
możemy polegać na pańskich, Kornwalijskich, Nicholson? Znajdę do pomocy
paru sąsiadów, nie chciałbym jednak wzywać wojska. Można namówić Simona
Flowera

z Andriff; ma pewne wady, ale jest dość silny.

John Brodrick wrócił do Clonmere w znakomitym humorze. Tylko patrzeć,
jak złapią złodziei na gorącym uczynku i dadzą im taką nauczkę, że nikt więcej
nie ośmieli się pochopnie podnosić ręki na jego własność. Opowiedział o
wszystkim Jane, której radość ze sprytu starszego brata popsuł widok ponurej
miny młodszego. Od razu się domyśliła, że Johna gnębi kompleks niższości.

- Niech sobie Henry pełza po tym przeklętym tunelu - powiedział jej później, rozparty na fotelu ojca w salonie. - Nie dam złamanego pensa za to, co tam wykryją. Mdli mnie od całej tej sprawy.

- Więc po coś tu przyjechał, mój drogi, skoro nie chcesz pomóc ojcu?

- Czy słyszałaś kiedy, żebym odmówił zgody na dodatkowe wakacje? Przecież bażanty na wyspie same się proszą pod strzał.

Chodźmy do kredensu, pomożesz mi czyścić strzelbę, Możesz być spokojna, że tamci i beze mnie wyłuskają każdy okruch miedzi z Hungry Hill.

Zdecydowano, że następnej nocy na wzgórzu wystawi się wartę, w dzień zaś Miedziany John skrzyknie na pomoc sąsiadów. Henry i John pojedą do zamku Andriff pogadać z Simonem Flowerem. Stary Robert Lumley przebywał w Cheltenham, gdzie zwykł spędzać zimę, ale nawet gdyby był na miejscu, i tak nie zdałby się na wiele.

Przy pięknej, bezchmurnej pogodzie i w doskonałych humorach dwaj młodzi Brodrickowie wyruszyli do Andriff, wioząc pani Flower prezent w postaci bażanta. Ta duża kobieta o dość srogiej aparycji i wielkim poczuciu własnej ważności ani na chwilę nie zapomniała, że jej mąż był bratem hrabiego Mundy, który to fakt sam Simon wolał pomijać milczeniem. Zamek Andriff działał na gości raczej odpychająco. Na pierwszy rzut oka salon dorównywał splendorem królewskiemu pałacowi; były tam marmurowe posadzki i złożone krzesła, a pani Flower niczym królowa podnosiła się majestatycznie z tronu na powitanie gości. Przy bliższym spojrzeniu jednak wychodziło na jaw, że nogi wielu połączanych krzeseł są nadłamane i siadanie na nich nie jest wcale bezpieczne, a zabłocone przez setery marmury można porównać najwyżej z psiarnią. Wypudrowany lokaj w liberii, który powitał braci Brodricków i poprowadził ich do salonu, miał cery na białych pończochach, a towarzyszący mu odór nawozu świadczył, że fagas spędził ranek w stajniach. Z góry dobiegał gwar podniesionych głosów służby roztrząsającej jakieś sprawy o zapewne wielkiej doniosłości. W zwadzie tej nie przeszkadzały dźwięki fortepianu, na którym, jak się wkrótce ku zdumieniu braci okazało, grał sam pan domu. W kapeluszu zsuniętym na tył głowy, z długą fajką w zębach i z przymkniętymi oczami kiwał się w takt dziwnej melodii własnej kompozycji.

Pani Flower, ubrana jak na przyjęcie w Londynie, cerowała właśnie rozdarcie w brokatowej kotarze znad łóżka. Wejście gości bynajmniej nie wprawiło jej w zakłopotanie.

- Cieszę się, że was widzę - powiedziała, wyciągając łaskawie rękę. Henry zastanawiał się, czy powinien ją ucałować. - Zastaliście nas jak zwykle w stanie dezorganizacji. Siadajcie, proszę, i mówcie, co słyhać... Nie tutaj, panie Brodrick, ta noga jest nadłamana... Jak miło, że wasz ojciec przysłał nam podarunek z polowania! Tak się składa, że mój szwagier, hrabia Mundy, przebywa akurat poza swą rezydencją, zwykle bowiem zasypuje nas zwierzyną, jak łatwo sobie wyobrazić... Czy wasze siostry dalej są na wywczasach w tym wiejskim domku? Panna Brodrick pewnie wyobraża sobie, że jest Marią Antoniną w Petit Trianon. Taka odmiana po Clonmere...

Nie przestawała trajkotać; przerwy robiła tylko dla nabrania tchu i ani razu nie dawała gościom dojść do głosu. Mówiła przy tym bardzo głośno, starając się przekrzyczeć fortepian, więc Simon Flower także zwiększał natężenie dźwięku, aż wreszcie z legowiska wylazł jeden z seterów i zawtórował swemu panu żalonym skowytem.

- Biedny Borys nie znosi fortepianu! - wrzasnęła pani Flower. - Czasem wyje tak przez godzinę, ale mojemu mężowi nigdy to nie przeszkadza. Kiedy wybieracie się do Duncroom na polowanie z chartami mojego ojca?

Prowadzenie rozmowy w takich warunkach okazało się ponad siły Henry'ego, nawet przy całym jego uroku osobistym. Mógł tylko uśmiechać się, kłaniać i wykonywać drobne gesty rękami. John w ogóle się nie wysiłał, tkwił w milczeniu, jak zwykle wówczas, kiedy w duchu dobrze się bawił.

Wreszcie koncert zakończył się wspaniałym bogactwem akordów i głośnym uderzeniem w basy, co wywołało ostatni jęk protestu ze strony setera.

- Mówi się, że kiedy pies śpiewa przy muzyce, świadczy to o jego inteligencji - rzekł Simon Flower, machając fajką do braci. - Słyszeliście? Wyraźnie próbował mi akompaniować. Uważam, że wkładał w to całą duszę. Serce mi się ścisnęło, gdy tego słuchałem.

- Co ty wygadujesz, Simonie, przecież ten zwierzak nie znosi muzyki.

- Nie znosi? A ja ci powiadam, że siedzi przy mnie jak cień z oczami utkwionymi w nuty! On uwielbia instrument. Ale mniejsza o to, przecież ci młodzieńcy muszą się pokrząć po podróży. Chodźcie do piwnicy, dam wam coś lepszego niż herbata mojej żony.

Poprowadził ich wąskimi kręconymi schodkami do labiryntu pod zamkiem i przy ogarku świeczki odnalazł butelkę starej madery. Zaraz zaczął przelewać wino do starej karafki, która stała w schowku razem z sześcioma kieliszkami.

- Kiedy nastanie mróz i nie mogę polować - mówił z powagą -srowadzam tutaj przyjaciół. Nawet nie macie pojęcia, jak miło płynie nam czas! Zona myśli, że gramy w bilard, więc aby ją oszukać, każę służącemu szturchać bile kijem. Nigdy się jeszcze nie połapała, kochana staruszka! Nalejcie sobie, chłopcy, i czujcie się jak w domu. Tu jest beczka piwa, można na niej wygodnie usiąść.

TLR

Młodzi mężczyźni wraz ze swym gospodarzem rzeczywiście dokonali słusznego wyboru, decydując się na wino w piwnicy zamiast na herbatkę w salonie. Kiedy ostatecznie wynurzyli się z podziemi na światło dnia i mrugając oczami, dobrnęli ponownie na górę, okazało się, że Henry zapomniał o swej misji, John był w stanie dobrodusznego ośpienia, pan Flower zaś śpiewał „O, moja pani, gdzie mi się podziała?”, która to piosenka w opinii Johna raczej nie pasowała do srogiej gospodyni. Mimo wszystko podano herbatę i Henry zdołał otrzeźwieć na tyle, by w oględnych słowach wyjawic cel wizyty. Historia brzmiała nieco mętnie, więc nic dziwnego, że mimo piwnicznego interludium pod koniec wywodu Simon Flower pokręcił przecząco głową.

- Nie będę pełzał pod ziemią jak królik ani dla waszego ojca, ani dla nikogo innego - oświadczył, ziewając. Moc starej madery zaczynała już wyzierać z jego zamglonych niebieskich oczu. - Jeszcze się tam zgubię i wszelki ślad po mnie zaginie. Pamiętasz, Mario? W taki sam sposób straciliśmy biedną Trouncer. Wlazła do borsuczej nory i to był jej koniec. Najlepsza suka, jaką udało mi się wyhodować!

- Źle mnie pan zrozumiał - powiedział Henry. - Nie ma mowy o żadnym schodzeniu pod ziemię i zagłębianiu się w tunel. Plan mego ojca zakłada, że razem z nami stanąłby pan na czatach u wylotu na zboczu, a wtedy moglibyśmy wyłapać kolejno wszystkich złodziei.

- Polujecie na lisy czy na ludzi?

- Na ludzi, panie Flower. Już panu tłumaczyłem. Na ludzi, którzy kradną z kopalni miedź. Mój ojciec zamierza wtrącić ich do aresztu i dać w ten sposób przykład innym. Uważa, że za tym wszystkim stoi Morty Donovan.

- Ależ ja nie kiwnę palcem przeciw Morty'emu Donovanowi! Czyż nie sprzedał mi ojca tej Trouncer, o której wam dopiero co mówiłem? Fantastyczny pies, John, ty byś docenił tę parę. Nie, nie. Po cóż miałbym leżeć całą noc na wzgórzu i zadzierać z Mortym Donovanem? Nie rozumiem, dlaczego wasz ojciec chce koniecznie wścibiać w to nos.

- Ale na pewno stoi pan po stronie prawa. Przecież sam jest pan sędzią.

- Wstydz się, Simonie - wtrąciła się pani Flower. - Tam, w Doon-haven, biedny pan Brodrick wyłazi ze skóry, by uratować własność swoją i mego ojca, a ty nie chcesz nawet kiwnąć palcem. Że też nie ma tu mego szwagra! Hrabia Mundy na pewno nie przyglądałby się biernie takiej niesprawiedliwości. Śmiem twierdzić, że gdybym użyła swoich wpływów i przesłała mu słówko za wodę...

- Znakomicie, proszę pani, ale sprawa jest pilna. Mój ojciec spodziewa się, że pan Flower jeszcze dziś z nami pojedzie.

- Dzisiaj? Wykluczone. Nie ruszę się z Andriff tej nocy nawet dla złodziei z całej Europy! - zawołał z patosem pan Flower. - Niech sobie Morty Donovan ucieka z miedzią. Może przyniesie mu więcej szczęścia niż temu domowi.

I nacisnąwszy mocniej kapelusz, znów zasiadł do fortepianu.

Henry zerknął na brata i wzruszył ramionami. W tym momencie drzwi otworzyły się z impetem i do salonu wpadła córka państwa Flowerów z silnymi rumieńcami na twarzy. Oczy płonęły jej gniewem, burza splecionych kasztanowych włosów opadała w nieładzie na plecy.

- To hańba! - wrzasnęła. - Straszliwa hańba, mówiłam jej, że tego nie zniosę! Podrapałam ją i zamknęłam w bieliźniarce, mam nadzieję, że tam zdechnie!

Trzasnęła z całej siły wiekiem fortepianu, zmuszając ojca do ciszy, i dysząc ciężko, utkwiała wzrok w matce.

Młodzi Brodrickowie podnieśli się z krzeseł i stali jak porażeni, nie mogąc wykrztusić ani słowa. Bo też przy siedemnastoletniej Fan-ny-Rosie Flower każdy mężczyzna zapominałby o bożym świecie, a co dopiero o własnych obowiązkach.

W złości była jeszcze ładniejsza. Rumieńce podkreślały głębię zielonych oczu, a ze splecionymi włosami wyglądała jak bachantka z lasu. Bose nogi wydawały się całkowicie zgodne z jej charakterem. Dopiero teraz zauważyła, że rodzice mają gości.

- Witam panów - rzekła tonem królowej, jak matka, za to z serdecznym uśmiechem ojca. - Przepraszam za to zamieszanie. Właśnie pobiłam się z guwernantką, ale mam nadzieję, że już po raz ostatni.

- Fanny-Roso - wycodziła przez zęby pani Flower - przykro mi tego słuchać. Co pomyślą o tobie panowie Brodrickowie? Panna Harris gotowa się tam udusić!

I opuściła pośpiesznie salon, jej mąż natomiast rzucił córce pobłażliwe spojrzenie.

- Nigdy nie lubiłem panny Harris. Ma skłonności do biadolenia, zupełnie do nas nie pasuje. Chyba już najwyższy czas, żebyś obchodziła się bez guwernantki.

Ochłonawszy po wybuchu, Fanny-Rosa usiadła w fotelu matki i zerknęła kątem oka na gości.

- Myślałam, że jesteście w Londynie - rzekła cicho. - Zwykle przyjeżdżacie do Clonmere dopiero po Bożym Narodzeniu, prawda?

Henry ani się obejrzał, jak opowiedział jej całą historię od początku. Tym razem wysłuchano go znacznie uważniej. Fanny-Rosa stuknęła o podłogę bosymi stopami, nie spuszczać oczu z jego twarzy.

- Ach, jak bym chciała pójść z wami zamiast ojca! Z rozkoszą pełniłabym nocną straż na wzgórzu. Wcale bym się nie bała, choćbyście mieli się bić z tymi górnikami.

- Powiem ci coś, Fanny-Rosa - odezwał się jej ojciec. - Starcie z panną Harris wprawiło cię w wojowniczy nastrój, ot co! Nie wątpię, że ci młodzieńcy chętnie wzięliby cię na siodło, a ty nieźle byś się spisała. Ale nie powiedziałaś nam jeszcze, o co ci poszło z panną Harris?

- Powiedziała Tilly i mnie, że już czas, abyśmy nauczyły się składać ubranie, a ja odmówiłam. „Młode panienki - ona na to - powinny mieć to we krwi, a nie rozrzucać wszystko po podłodze jak dziewczki kuchenne. Co by powiedział twój wuj, hrabia Mundy, na takie słowiańskie*⁵ obyczaje?”. A ja odparowałam: „Może by mi wybaczył, gdybym usiadła bliżutko, pociągnęła go za wąsy i zapewniła, że jest bardzo przystojny”. Wtedy spuściła ten długi nochal na kwintę i kazała mi się wyuczyć całej strony francuskich słówek. No więc wepchnęłam ją do białizniarki i poznaję po oczach pana Brodricka, że zrobiłby tak samo.

Rzuciła chytre spojrzenie Johnowi, który zaczerwienił się po nasadę włosów, kryjąc uśmiech. Fanny-Rosa nałożyła sobie duży kawał ciasta i naląła trochę herbaty. Obaj młodzieńcy nie mogli oderwać oczu od jej bosych stóp.

- Podróżował pan po kontynencie, prawda? - zwróciła się do Henry'ego z pełnymi ustami. - O, ja wiem o panu wszystko, nasz lokaj jest kuzynem waszej kucharki. My też byliśmy zimą w Paryżu. Dziadek zostawił ojcu trochę pieniędzy, więc zamiast kupić nowe zasłony do sypialni mamy, skoczyliśmy do Paryża.

⁵ * Po angielsku „słowiański” (*slovenly*) znaczy „nieporządny, niechlujny”. Tym razem jednak tłumaczka nie potrafiła sobie odmówić wiernego przekładu, traktując to jako ciekawostkę leksykograficzną.

- Owszem, ty szelmutko - dodał Simon Flower - a tam w każdej galerii włókł się za nami ogon młodych Francuzów. W końcu obcy ludzie zaczęli się nam kłaniać, bo nas wzięli za rodzinę królewską ze świtą.

- Wtedy naszą guwernantką była niejaka panna Wilson. Wymknęłam się jej dwa razy na ulicy, więc pomyślała, że mnie porwali, zaczęła płakać i wezwała policjanta. Oczywiście nie rozumiał, o co jej chodzi, ponieważ nie znał angielskiego. Po powrocie musiała wyjechać do jakiegoś wiejskiego ustronia, bo dostała rozstroju nerwowego. Uwierzy pan? Od czternastego roku życia miałam już tuzin guwernantek, ale na tym koniec, bo w zeszłym miesiącu skończyłam siedemnaście lat.

- Będzie to także koniec twoich rodziców - rzekła surowo pani Flower, która właśnie wróciła po daremnej próbie ułagodzenia nieszczęsnej panny Harris. - Może się pan uważać za szczęściarza, panie Brodrick, że pańskie siostry nie zachowują się w taki sposób. Mam nadzieję, że im pan nie opowie, co tu się działo.

- Słuchajcie, chłopaki - zawołał nagle Simon Flower. - Po co w ogóle macie wracać? Niech sobie wasz ojciec gania górników, skoro mu to sprawia przyjemność, a wy zostańcie u nas na obiedzie. Przy okazji złożymy jeszcze jedną wizytę w piwnicy. Fanny-Rosa na pewno pójdzie z nami.

Ale Henry pokręcił przecząco głową i, ku żalowi brata, ruszył do drzwi.

- Bardzo to uprzejmie z pańskiej strony, ale jesteśmy już sporo spóźnieni. Ojciec będzie się niepokoił.

Simon Flower machnął niedbale ręką i wrócił do fortepianu.

- Wybiorę się z twoim ojcem na polowanie, kiedy tylko zechce. -Nigdy nie odrzucam tego rodzaju zaproszeń. Ale żebyś miał się czołgać za Donovanem w środku nocy? Nie, nie ma mowy. Możesz mu to powtórzyć.

I znów zaczął śpiewać przy akompaniamencie wiernego setera. Zamek Andriff zęgnął Brodricków kakofonią porażających akordów fortepianowych, którym wtórował głęboki baryton pana domu oraz ujadanie co najmniej sześciu psów. Panna Flower, czarująca bosonoga istota, pomachała im ręką z kamiennych schodów.

Oszołomieni i nieco wstawieni bracia zmierzali do domu w tempie, które Miedzianego Johna doprowadziłoby do szału. Dopiero na widok Doonhaven ściągnęli wodze i Henry wrócił do rzeczywistości.

- Wiesz, John? Ojciec ma absolutną rację. W tym kraju nigdy nie zapanuje dobrobyt, jeśli nadal będą się tu rodzić ludzie pokroju Flo-werów.

John nie odpowiedział. Dobrobyt kraju nic dla niego nie znaczył. Niech sobie Henry prowadzi swoje krytyczne obserwacje i obrzuca błotem Simona Flowera. Dla niego, Johna, liczyło się tylko jedno: nigdy w życiu nie widział tak ślicznej panny jak Fanny-Rosa.

5

W następną sobotę wieczorem, po wczesnym, jak zwykle, obiedzie, Brodrickowie siedzieli przy kominku w bibliotece. Jane w ciągu dnia nazbierała szyszek i dorzucała je teraz do torfu. Syczały i trzeszczały w ogniu, zagłuszając wycie wichru w koronach drzew. Za zatoką Mundy szalał potężny sztorm. Długie atlantyckie fale pędziły wprost na wyspę Doon i załamywały się tam jak na naturalnym falochronie, oszczędzając zatokę.

Potok szybko przybierał, broniąc się przed wiatrem wysoką falą, ale sam zamek był doskonale osłonięty i tylko nagłe drgania lasu ponad domem ostrzegały, że okres dobrej pogody dobiegł wreszcie końca.

Henry siedział przy ojcowskim biurku i pisał list do Barbary. John rozłożył się swoim zwyczajem w najwygodniejszym fotelu; jedną ręką pieścił ucho ulubionego charta, drugą podpierał książkę, której nie czytał. Przyglądał się pękającym szyszkom i Jane; zerkając na niego spod półprzymkniętych powiek, zastanawiała się, o czym też brat rozmyśla.

Tydzień upłynął spokojnie. Żadnych dalszych kradzieży nie wykryto i chociaż co noc wystawiano na wzgórzu warty, nikt się tam nie pojawiał. A jednak w powietrzu wyczuwało się dziwny niepokój, jakieś dręczące poczucie zagrożenia. Górnicy popatrywali podejrzliwie jeden na drugiego, pracowali niechętnie i w milczeniu.

I nie dotyczyło to tylko terenu kopalni. Kiedy Jane ze starą Martą udała się do Doonhaven na zakupy, Murphy, którego przecież знаła od dziecka, unikał jej wzroku, kręcił się niespokojnie, wreszcie pod pierwszym lepszym pretekstem zniknął na zapleczu, pozostawiając jej obsługę nierozgarniętemu chłopakowi.

Także na rynku widziała wokół siebie wrogie spojrzenia, a kiedy pozdrowiała ludzi z uśmiechem, ci odwracali się tyłem i udawali, że jej nie widzą. Doonhaven nagle stało się pełne szeptów, postaci zerkających przez szpary w drzwiach i natychmiast znikających, toteż Jane, która odnosiła się serdecznie do wszystkich mieszkańców, wróciła do domu z ciężkim, pełnym złych przeczuć sercem.

- Nie podoba mi się to wszystko - powiedziała Henry'emu. - Uważam, że ojciec nie przemyślał sprawy dostatecznie. Zależy mu tylko na tym, by złapać tych kilku górników i ukarać za kradzież. Nie rozumie, że dosłownie wszyscy w Doonhaven nienawidzą tej kopalni z całego serca.

- Bo po prostu nam zazdroszczą. Chcieliby czerpać wszelkie korzyści z miedzi, a jednocześnie oszczędzić sobie kłopotów związanych z jej wydobyciem. Ojciec wie, co mówi. Trzeba ich trzymać żelazną ręką, inaczej w tym kraju nigdy nie będzie żadnego postępu.

- Byliśmy szczęśliwi i bez postępu.

- To czysty sentymentalizm. Pewnie znów słuchałaś Johna. Jane wrzuciła do ognia następną szyszkę. Zaskwierczała, syknęła, a potem nastąpiła cisza, zakłócana tylko skrzypieniem pióra Henry'ego i od czasu do czasu szelestem kartek książki Johna. Nagle pies nastawił uszu i spojrzął na drzwi. W progu stał Miedziany John w płaszczu zapiętym po samą brodę i kapeluszu nasuniętym na czoło, tak że wystawał tylko długi nos i cienkie wargi nad kwadratową szczęką. W ręku trzymał swą ulubioną krótką, wytworną laskę, zakończoną jak maczuga. Za jego plecami stał Ned Brodrick, którego zboląła mina jaskrawo kontrastowała z silną determinacją na twarzy Miedzianego Johna.

- Chcę, żebyście zaraz ze mną poszli - zwrócił się Miedziany John do synów.
- Za pięć minut ruszamy do kopalni. Na podjeździe czeka około tuzina dzierżawców, a także pastorzy, celnik, Sullivan z poczty, doktor Beamish i paru ochotników. Nie ma chwili do stracenia.

Cała trójka rodzeństwa zerwała się na równe nogi. Henry napięty i czujny, John nieco oszołomiony, zbyt gwałtownie sprowadzony do rzeczywistości, Jane poblądła i zdenerwowana, z zaciśniętymi przy piersi rękami.

- Czy coś się stało? - spytał Henry. Miedziany John uśmiechnął się ponuro.

- Zawiadomiono nas, że ponad trzydziestu ludzi maszeruje z Doonhaven na Hungry Hill. Prowadzi ich sześciu górników, których Nicholson podejrzewał o udział w kradzieży. Na pewno coś knują, więc spróbujemy ich powstrzymać.

Jane wyszła za ojcem i Nedom do hallu, gdzie bracia zapinali już płaszcze. W nikłym blasku świec odcinały się ich blade, podekscytowane twarze. Przez otwarte drzwi widziała na podjeździe grupkę mężczyzn, którzy naradzali się szeptem, szurając nogami po żwirze. Kilku wymachiwało latarniami, a wszyscy trzymali mocne kije.

Deszcz nadal nie padał, ale dął porywisty wiatr i chmury szybko sunęły po ciemnym niebie. Było około wpół do dziewiątej, księżyc nie świecił, ledwie widoczne punkciki gwiazd ukazywały się i znikwały.

Miedziany John z synami przyłączyli się do zebranych; Jane, stojąc w progu, odprowadzała ich wzrokiem, wsłuchując się w odgłos ich kroków po żwirze. Niebawem zza budynku stajni wyszli Tim i Casey z końmi i po chwili cała grupa znikła za zakrętem.

W Doonhaven panowała cisza - miasteczko spało. Przez szczelnie pozamykane drzwi i okna nie przenikał ani jeden promień światła. Po głównej ulicy i placu nie błąkał się żaden zapóźniony przechodzień, a jedyne dźwięki wydawały bijące o brzeg fale.

Tuż za miastem Miedziany John zarządził postój i podzielił grupę na dwie części. Jedni wraz z nim i Henrym na czele kontynuowali marsz w stronę kopalni, pozostali (wśród nich John) mieli się udać do wylotu tunelu na wzgórzu. Tuż, na wzniesieniu, wiatr atakował ich całą siłą, popychając do przodu, tak że zataczali się wśród kamieni i wrzosu. John Brodrick, nagle pozbawiony towarzystwa ojca i brata, czuł nieznane dotąd, niemal radosne podniecenie. Nie miało to nic wspólnego z kopalnią czy gniewnymi mieszkańcami Doonhaven, po prostu walcząc z wiatrem na zboczu Hungry Hill, poczuł się w swoim żywiole. Daleko w dole morze omywało długi brzeg zatoki, pędząc fale ku zamkowi Andriff, gdzie może słyszała je Fanny-Rosa. Zrodzony z wichru szum, bynajmniej nie gniewny ani wrogi, lecz mimo to donośny i nieustępliwy, wydał mu się pieśnią triumfu. Ludzie z tyłu przeklinali nierówny grunt, przytrzymując wydęte przez wiatr płaszcze. John zerknął w niebo na galopujące chmury. Na policzek kapnęła mu pierwsza kropla deszczu - zwiastunka nadciągającej burzy. Zaśmiał się i przyśpieszył kroku, wykorzystując kamienie i kępy mokrego mchu jako punkty oparcia dla nóg. Powietrze wypełniał aromatyczny zapach wrzosu. Wreszcie znaleźli się u wylotu tunelu, tak dobrze ukrytego wśród gęstych, splątanych janowców, że niemal niemożliwym do odszukania w ulewnym deszczu i ciemności. Kryjąc się pod występami skalnymi, czekali na rozwój wypadków. Wichura nie ustawała, a niebo jeszcze bardziej pociemniało. Ned Brodrick trzymał się z dala

od reszty; przycupnął we wrzosach obok bratanka ze ściągniętą twarzą i tylko od czasu do czasu gryzł palce, by przywrócić krążenie.

- Pański ojciec powinien dogadać się jakoś z Mortym Donovanem, paniczu Johnie. Mało to razy sam dochodziłem do porozumienia z tą rodziną, ale w przyjaznej atmosferze, przy szklaneczce wina czy whisky? Niestety, pański ojciec jest dumnym, bezwzględny człowiekiem, a Morty Donovan także ma swoją ambicję. Powiadam panu, nic dobrego nie wyniknie z dzisiejszej nocy i gdyby to ode mnie zależało, siedziałbym teraz w Oakmount za szczelnie zasłoniętymi oknami, nie mając o niczym pojęcia.

- Nie wątpię, że pan by tam siedział, ale cóż? Tkwimy na Hungry Hill, bo nie mamy wyboru i musimy wykorzystać ten czas jak najlepiej.

- Tu trzeba dyskrecji, paniczu Johnie - ciągnął Ned. - Mam w tym doświadczenie. Jako rządca muszę przecież dogadywać się i z pańskim ojcem, i z dzierżawcami. Tak żeby zadowolić obie strony i nikogo nie urazić. Nigdy w życiu z nikim się nie pokłóciłem.

- Więc jak pan sobie radzi, kiedy dzierżawcy zalegają z opłatami i trzeba wyciągnąć od nich pieniądze?

- Cóż... Między nami mówiąc, paniczu Johnie, czasem poprawiam nieco liczby na wykazie. Wygląda wtedy, że wszystko jest zapłacone, a tymczasem często nie widzę złamanego pensa. Ale może łyknie pan kropelkę dla lepszego nastroju?

- I oglądając się trwożnie przez ramię, wyciągnął z kieszeni butelkę. Potem skulił się przy ziemi i pociągnął porządny łyk z pełnym satysfakcji westchnieniem. - Powiadam panu, paniczu Johnie - dodał, ocierając usta rękawem - naprawdę jestem oddany waszej rodzinie i prędzej trupem padnę, niż pozwolę, by Morty Donovan was skrzywdził. Ale pan jest najlepszy z całej paczki, co nie znaczy, że nie poważam panicza Henry'ego.

John parsknął śmiechem. Dobrze wiedział, że gdyby zamiast niego siedział tu Henry, usłyszałby słowo w słowo to samo. łyknął swoją „kropelkę”, która musiała być jakimś straszliwym samogonem produkcji Neda, gdyż wydała mu się płynnym ogniem, i oddał rządcy butelkę. Zrobił to w samą porę, gdyż w tym momencie nadbiegł jeden z ludzi czuwających nieco dalej.

- Łuna na wschodzie, panie Johnie! - krzyknął. - Po mojemu górniczy wcale dziś tędy nie wyjdą, za to podłożyli ogień w kopalni!

Pozostali mężczyźni zbiegali ze zbocza, krzycząc i machając rękami. Teraz i John zobaczył płomień bijący pod niebo z dalszej części wzgórza.

- On ma rację, paniczu Johnie! - zawołał rządcą. - Dziś nie będzie żadnego myskowania pod ziemią. Cokolwiek knują, pozostaną na powierzchni, może w zabudowaniach. Oby Bóg skarał ich za zdradę i szatańskie pomysły!

- Hej, spójrzcie tam! - krzyknął nagle jeden z dzierżawców. - Ktoś tu jedzie wózkiem zaprzężonym w osła. Widać, jak wózek telepie się po wrzosowisku, zaraz tu będzie.

- Można by sądzić, że to zwierzę zna na pamięć każdy cal gruntu albo że woźnica je zaczarował - dodał inny. - O, zsiadł... nie, nie, znalazł kawałek równiejszej drogi. Pogania bydlaka kijem jak wariat...

Wózek z osłem zbliżał się w dzikim pędzie, podskakując na kamieniach. Człowiek, który na nim siedział, wymachiwał wściekle batem, wrzeszcząc coś ze śmiechem. W czarnym, wydętym niczym żagiel płaszczu robił wrażenie olbrzyma z bajki.

- To szatan we własnej osobie! - krzyknął ktoś z boku. - Diabeł, który wyszedł z piekła, żeby nas zgładzić!

Przez chwilę nie wiedzieli, co robić. Uciekać czy rzucić się na twarze i błagać o litość? Nagle jeden z mężczyzn, mniej przesądny od innych, rozpoznał przybyśsza.

- To Morty Donovan! Spójrzcie na twarz, na oczy! Panie Johnie, według mnie, on do reszty zwariował!

Stary balansował na wózku z lewą nogą wyciągniętą do przodu i podpartą. W jednej ręce trzymał lejce, w drugiej bat, którym wywijał nad głową. Kiedy podjechał bliżej, zatrzymał osła i rozpoznawszy mimo ciemności Johna, znów zaniósł się dzikim rechotem.

- Więc chcieliście ich zwabić w pułapkę? - ryknął. - A potem związać i wsadzić do więzienia? No to wam powiem, że tylko tracicie czas, każdy co do jednego! Chłopaki rozpały wielkie ognisko w kopalni pańskiego ojca, panie Johnie! Do rana nie zostanie kamień na kamieniu! Niech pan teraz idzie do ojca i brata, spalcie się wszyscy na popiół i niech was piekło pochłonie!

Raz jeszcze trzasnął z bata i przekleństwem popędził osła naprzód.

- Zatrzymać go! - krzyknął ktoś. - Zatrzymajcie i jego, i to bydlę, bo zrobią sobie krzywdę!

Jeden z mężczyzn rzucił się osłu na łeb. Wystraszone zwierzę zatoczyło się na wrzos, przewracając mężczyznę. Jednocześnie John wskoczył na stopień wózka, próbując wyrwać bat Donovanowi. Stary jednak był szybszy. Z nienawiścią w oczach chlasnął chłopaka przez twarz, oślepiając go na chwilę. Z jego ust bluznęła potok przekleństw, a dziki śmiech zmienił się w niepohamowaną złość.

- Przekląłem już dziś twego ojca i brata, a teraz przeklinam ciebie! Nie tylko ciebie, ale twoich synów i wnuków! Niech to bogactwo nie przyniesie wam nic prócz rozpacz, osamotnienia i zła, póki ostatni z Brodricków nie stanie w pokorze i poniżeniu wśród ruin zamku, a Donovanowie nie wrócą do Clonmere, na ziemię, która do nich należy!

John cofnął się od wózka z rozciętą, zakrwawioną twarzą, zamroczony od siły ciosu. Grupa mężczyzn, z początku przerażonych pasją starego, trzymała się na uboczu i tylko Ned Brodrick stał nieporuszony, z drżącym uśmiechem i wyciągniętą ręką.

- Daj pan spokój, panie Donovan! Przecież nikt tu nie chce pańskiej krzywdy, ani ci ludzie, ani panicz John. Sam porozmawiam z panem Brodrickiem i poproszę go o sprawiedliwą, bezstronną opinię...

Ale Morty Donovan zaśmiał się tylko urągliwie.

- Zamknij gębę, durniu, a potem idź schować się między spódnicami! Czyż w twoich żyłach nie płynie ta sama przeklęta krew? Puśćcie mnie, do diabła!

Raz jeszcze trzasnął z bata, osioł ruszył niechętnie. Wózek potoczył się naprzód, zataczając się na boki, aż wreszcie zniknął za zakrętem.

- Bardzo pana zranił, paniczu Johnie? - spytał Ned, przyglądając się twarzy bratanka. - Może wróci pan do domu i niech kobiety obmyją tę ranę? Myślę, że i tak zrobiliśmy, co w naszej mocy.

- W porządku, Ned, to szybko się zagoi. A powrót do domu nie wchodzi w rachubę. Nie słyszałeś pan, co mówił ten szaleniec? Kopalnia płonie, musimy tam pędzić co sił w nogach, i to jak najkrótszą drogą.

Krew spływała mu po twarzy, głowa pulsowała boleśnie, a cała radość z wyprawy gdzieś zniknęła. Wystawiając się ponownie na wiatr i coraz intensywniejszy deszcz, John ruszył na przełaj w stronę kopalni. W ciągu dwudziestu minut

reszta grupy odnalazła w ciemnościach drogę, na której końcu majaczył wysoki szyb w poświęcie ognia. Dobiegał stamtąd gwar podniesionych głosów i okrzyki komend. Panował kompletny chaos, ludzie wpadali na siebie w ciemnościach, jedni rozkazywali, inni szydzili, w zamieszaniu nie sposób było odróżnić przyjaciół od wrogów.

- To domki Kornwalijczyków! - zauważył ktoś z grupy Johna. - Proszę spojrzeć na drogę, wszystkie stoją w płomieniach!

Rzeczywiście drewniane budyneczki zajmowały się błyskawicznie jeden od drugiego. W ogródkach stały przerażone, zapłakane kobiety z dziećmi. Mężczyźni podawali sobie wiadra z wodą, próbując zdławić, ogień.

Pożar nie tknął, jak dotąd, żadnego z zabudowań kopalni, ponieważ Miedziany John ze swymi ludźmi, wspomaganymi przez Nicholsona, ustawili się murem przed barakami i zbuntowani górnicy nie ośmielili się podejść bliżej, choć niewątpliwie mieli taki zamiar. Musieli się zadowolić zniszczeniem chat Kornwalijczyków, kradzieżą tego, co wpadło im w ręce, i zastraszeniem kobiet i dzieci. Kiedy na scenę wkroczył John ze swą grupą, około pół tuzina górników razem z przywódcami penetrowało właśnie barak płuczki. Zachęceni okrzykami bardziej bojaźliwych kompanów, przewracali wózki i wśród triumfalnych wrzasków wyrzucali ich zawartość przez otwarte drzwi.

Nagle John poczuł na ramieniu ucisk ręki brata. Henry wyskoczył z budynku biura i wciągnął go do środka.

- Cicho bądź! Na ziemię! - szepnął. - Zobaczysz, co ojciec im szykuje. Zaraz przeżyją największy szok swego życia.

Dygocząc z podniecenia, pokazywał mu dwie sylwetki - ojca i Nicholsona, którzy stojąc o parę kroków od baraku, trzymali coś w rękach. Miedziany John był bez płaszcza i kapelusza, gęste, siwe włosy rozwiewał mu wiatr. Na widok młodszego syna uśmiechnął się szeroko i pokazał mu, co trzyma Nicholson.

W tym momencie John zrozumiał i serce ścięło mu się lodem.

- Dobry Boże, Henry... - szepnął. - Przecież to morderstwo! Brat nie odpowiedział. Nie spuszczał wzroku z ojca i Nicholsona.

Górnicy, pochłonięci dziełem zniszczenia, nie zauważyli dwóch postaci, które skradały się krok po kroku za barak płuczki. Dotarłszy do celu, pochyliły się pod ścianą, odczekały chwilę, a następnie rzuciły się do ucieczki w stronę biura, gdzie padły na podłogę obok Henry'ego i Johna.

- Teraz ich mamy! - szepnął Miedziany John. Uwagi jego młodszego syna nie uszedł triumfalny błysk oczu ojca i jego zaciśnięte usta.

Przez chwilę panowała cisza. Nagle powietrzem targnął huk eksplozji, a w ślad za nim trzask walących się desek, łoskot kamieni i krzyki ludzi.

Miedziany John wstał i spojrzał bez słowa na Nicholsona. Wyszli obaj z baraku i obserwowali przez jakiś czas rozgrywającą się przed nimi scenę.

Po podłożeniu ładunku wybuchowego z płuczki została sterta gruzu i kamieni. Ściana przy przeciwnym końcu jeszcze stała, ale i tam dotarły już płomienie. Z rumowiska wytoczył się na chwiejnych nogach jedyny żywy z szóstki górników, którzy jeszcze przed chwilą wznosili ze środka triumfalne okrzyki.

Z tłumu podniósł się wielki krzyk trwogi. W obawie, że wybuch był zaledwie pierwszym z serii, gapiów ogarnęła panika. Rzucili się do ucieczki, wrzeszcząc wniebogłosy i tratując się nawzajem. Szeroki trakt do kopalni w jednej chwili wypełnił się masą przerażonych ludzi. Grozę scenerii podkreślały trzaski płonącego baraku.

- Za nimi! - ryknął Miedziany John. - Żeby żaden się nie wymknął!

Przepchnął się przez tłum, torując sobie drogę łaską. Za nim podążał sztygar Nicholson i reszta sprzymierzeńców. John stał jak skamieniały na stopniach budynku. Czuł narastające mdłości i straszliwe wyczerpanie. Wdychał gorzki zapach prochu, nie widząc nic poza kręłą sylwetką ojca i jego łaską walącą na oślepych wystraszonych i zdesperowanych, pierzchających w popłochu górników, w których po śmierci przywódców wygasła wszelka chęć do walki. Niebawem do ich krzyków dołączyły się lamenty kobiet i płacz dzieci tratowanych podczas ucieczki. Płomienie trawiące górnicze domki zdążyły już stracić na sile, a reszty dokonał deszcz. Z czarnego nieba lunęły nagle całe potoki, moczając wszystkich do suchej nitki i powiększając ogólne zamieszanie. Przyjaciel tłukł przyjaciela, wróg tulił się do wroga, a ponad całym tym ludzkim kłębem niósł się potężny głos Miedzianego Johna. Wydawał rozkazy, pouczał, wzywał Nicholsona, Henry'ego i resztę sprzymierzeńców. Tylko John stał ciągle na stopniach, zapatrzyony w rumowisko, które niedawno było barakiem płuczki.

Dopiero koło wpół do trzeciej nad ranem przywrócono jaki taki porządek. Kilkanaście osób zamknięto w biurze, reszta wzięła nogi za pas, kryjąc się na wzgórzu albo po domach w Doonhaven w nadziei, że w ciemnościach nikt ich nie rozpoznał. Deszcz, który przeszedł teraz w monotony kapuśniaczek przy słabnącym wietrze, zagasił resztki ognia i tylko wilgotny, tłący się żar wskazy-

wał miejsca, gdzie stały domostwa Kornwalijczyków. Na resztę nocy ich rodziny zaproszono do budynków kopalni - rano pomyśli się o jakimś zabezpieczeniu. Tak, do rana nic więcej nie da się zrobić, ale już teraz Miedziany John siedział przy stole w kantorku ze szklaneczką rumu przy łokciu i dyktował polecenia Nicholsonowi.

- Sądzę, że teraz skończą się kłopoty z ludźmi z Doonhaven. Ci, których nie złapano na wzgórzach, wrócą do pracy, możliwe, że zgłoszą się też nowi kandydaci. Z tunelem poradzimy sobie tak samo, jak z barakiem płuczki. Proszę pamiętać, żeby z samego rana zabrać się do uprzątnięcia rumowiska. Powinno się z tym skończyć w czterdzieści osiem godzin, potem zaś ruszamy z budową nowego baraku. Trzeba też pochować tych, którzy leżą pod gruzami... to znaczy, to, co z nich zostało, pewnie niewiele tego... No dobrze, panowie, muszę wam wszystkim razem i każdemu z osobna podziękować za wsparcie. Nie jestem niewdzięcznikiem. Proponuję, aby ci, którzy nie są za bardzo zmęczeni, wrócili ze mną i moimi synami do Clonmere. Córka z radością was podejmie.

Ale przemoknięci uczestnicy wyprawy ledwie trzymali się na nogach, toteż jeden po drugim grzecznie się wymówili i zniknęli. W deszczu i ciemnościach, jak zwykle głębszych tuż przed świtem, Miedziany John wsiadł na konia i wraz z synami ruszył przez ciche ulice Doonhaven ku Clonmere. W hallu czekała na nich zdenerwowana Jane z Martą i resztą służby. Na widok całych i zdrowych mężczyzn Marta wybuchnęła płaczem i z wyrzutem w oczach zaczęła cmokać nad spuchniętą twarzą Johna.

- No, no, Marto, dość tego - rzekł Miedziany John, odprawiając pozostałych służących ruchem ręki. - Nikomu nic się nie stało, wszystkie kości całe. Panicz John też przeżyje swoją ranę. Teraz trzeba nam jedzenia, picia i ognia na kominiku, a potem szybko spać, bo niewiele już nocy zostało. Rano czeka nas robota.

Stali całą czwórką w bibliotece - ojciec ze szklaneczką w jednej ręce, a drugą założoną na plecy. Sroga twarz złagodniała nieco, kiedy uśmiechnął się do córki. Jane próbowała mu się odwzajemnić, ale wciąż jeszcze była tak błada i roztrzęsiona, że jej uśmiech robił dość upiorne wrażenie. Oparty o kominik John krył w dłoniach spuchniętą twarz. Henry'ego oblepiało mokre ubranie. Mimo że zęby mu szczękały, podniósł szklaneczkę i stuknął się z ojcem.

- Tak czy inaczej górą nasi, prawda, ojcze?

- Tak, Henry - odrzekł Miedziany John. - Górą nasi.

Wypili razem, patrząc sobie z uśmiechem w oczy znad krawędzi szkła.

Kopalnia ocalała, myślała Jane. Na Hungry Hill znów ruszą maszyny, a Morty Donovan przegrał z kretesem. Ojciec i bracia są bezpieczni; wprawdzie John ma spuchniętą twarz, ale poza tym wszystko w porządku. Co do niej, to do końca życia nie zapomni widoku ojca i syna, złączonych we wspólnym toaście... Zapamięta też, jak John zerknął na dygoczącego brata i warknął: „Na miłość boską, Henry, idźże się przebrać, przecież zaziębisz się na śmierć!”.

I jeszcze jak deszcz tłukł o szyby, jak wiatr zawodził z cicha, ona zaś, choć najbliższym nic już nie zagrażało, wciąż się bała.

Młodzi Brodrickowie spali tej nocy jak zabici. Miedziany John raz tylko się poruszył i wymamrotał coś, jakby odganiając zły sen. Wiatr jeszcze trochę pojękiwał, aż wreszcie ucichł na dobre. Deszcz szumiał, zacinał o szyby, ale i on ustał. Pięć mil dalej, na wrzosowiskach, drżący osiołek stał obok przewróconego wózka i patrzył na Morty'ego Donovana, który leżał pod kołami z przetrąconym karkiem, zaciskając w martwej dłoni garść kamieni i mchu z Hungry Hill.

6

Raz w miesiącu, bez względu na to, gdzie przebywał i jakie interesy go pochłaniały, John Brodrick z Clonmere pisywał do swego wspólnika, Roberta Lumleya z Duncroom, składając mu raport o stanie kopalni na Hungry Hill. Była to jedna z zasad, które sam dla siebie ustanowił na początku ich partnerstwa, i chociaż nie darzył Lumleya specjalną sympatią i widywał go najwyżej dwa razy w roku, listy co miesiąc wychodziły - z Clonmere, z Londynu, Bath, Lætharrog, Bronsea - każdy starannie wykaligrafowany spiczastym charakterem pisma, z pieczęcią Brodricka (sztylet w zaciśniętej pięści), na złożonym pokratkowanym papierze, jak nakazywał obyczaj.

Z przyjemnością zawiadamiam Pana, że Pańskie tantiemy z tytułu eksploatacji złoża są w bieżącym roku wyższe niż w poprzednim. W dniu dzisiejszym - to jest 14 lutego - wpłaciłem na Pański rachunek w banku w Slane -kwotę dwóch tysięcy funtów.

Nie byłby jednak sobą, gdyby nie dodał do tej miłej wiadomości gorzkiej pigułki:

Niestety, nasze koszty w tym roku również są wysokie. Zostałem zmuszony do zainstalowania następnej maszyny parowej, któ-

rej koszt zostanie potrącony z Pańskich tantiem w nadchodzącym roku. Ponieważ obecna cena miedzi jest wysoka, sądzę, że warto zaryzykować stosowną sumę na próbne wiercenia w miejscu nieco oddalonym od obecnej kopalni - w północnej części wzgórza, powyżej drogi. Będzie to dość droga inwestycja, ale ze względu na znaczne korzyści z przyszłej kopalni dla kraju, gotów byłbym ponieść ryzyko, nawet kosztem mniejszego zysku.

Wykopałoby się nowy szyb, ruszyłaby nowa kopalnia, powstałoby więcej miejsc pracy. Następnie zakupiłoby się kolejne statki do transportu rudy z Doonhaven do hut w Bronsea - i tak, najpierw z wolna, potem zaś coraz szybciej, rosłaby fortuna Brodricków. Miedziany John mógłby do swej posiadłości w Clonmere dodać trochę ziemi tu, trochę tam, na przykład kawałek brzegu za wyspą Doon czy grunty za Kileen, po drodze do Denmare.

Pozostała jeszcze kwestia rozdziału stanowisk w Doonhaven. Właściciel Clonmere uważał, że to do niego należy prawo ich obsadzania, nie zaś do Roberta Lumleya.

Prawdopodobnie w najbliższym czasie zostaniemy pozbawieni usług doktora Beamisha w Doonhaven. Jest rzeczą wielkiej wagi, by wykorzystać ten moment do pozyskania zdolnego lekarza, który potrafiłby sprostać dolegliwościom biednych ludzi, a jednocześnie zdobyć i nasze zaufanie. Słyszałem, że niejaki doktor Armstrong, lekarz garnizonowy na Doon, skłania się do przejścia w stan spoczynku i nie ma nic przeciwko osiedleniu się w naszych okolicach. Pułkownik Leslie wyrażał się o nim z najwyższym uznaniem, a jak sądzę, doktor Beamish też go dobrze zna. Jak Pan wie, dystrybutora leków w naszym hrabstwie wybiera się przez głosowanie. Każdy subskrybent otrzymuje liczbę głosów proporcjonalną do zadeklarowanej sumy. Stwierdzam niniejszym, że ponieważ mój wkład przewyższa dwa albo i trzy razy udziały wszystkich innych osób w okręgu, jestem jedynym uprawnionym do głosowania, toteż jeśli wyrażę takie życzenie, a doktor Armstrong zechce je spełnić - on właśnie obejmie ów urząd.

Nie ma potrzeby wspominać, że istotnie tak się stało, ku satysfakcji młodych Brodricków, gdyż w osobie doktora Armstronga od dawna mieli najmilszego kompana i przyjaciela.

W ostatnim liście prosił mnie Pan o radę w kwestii dzierżawców - pisał dalej Miedziany John - Otóż oświadczam, że plan umorzenia im rent uważam za bardzo zły. Ci, którzy skłonni są płacić, dojdą do wniosku, iż nie są traktowani lepiej od zalegających, i oczywiście nie będzie to dla nich zachętą na przyszłość. Mój własny system polega na tym, że ziemię niepoprawnych dłużników oddaję tym, którzy wnoszą regularne opłaty, a wtedy ci ostatni pilnują się jeszcze bardziej.

Z każdym miesiącem wyraz oczu Brodricka stawał się coraz twardszy, a usta zaciskały się coraz mocniej. List kończył się zwykle uwagami na temat rodziny.

Na początku września wybieramy się za wodę; zimę spędzimy w Lletharrog. Niestety, mój starszy syn wciąż niedomaga i bardzo się o niego martwimy. Dotąd nie pozbył się kaszlu, a że lekarz, którego odwiedził w Brighton, zalecił cieplejszy klimat, Henry wyrusza w tym samym czasie lub nieco wcześniej na Barbados. John czuje się dobrze. Trzyma jakieś charty i twierdzi, że jeśli nie da im się wybiegać przed sezonem, to się zmarnują. Zamierza przywieźć psy do Duncroom, gdy następnym razem będzie Pan w domu. Córkę - miło mi donieść - cieszą się dobrym zdrowiem i przyłączają się do moich najlepszych życzeń dla Pana...

Jeszcze grzecznościowa formułka na zakończenie, podpis - i już można list złożyć, zapieczętować i oddać Thomasowi do wysłania. Jeszcze jeden obowiązek spełniony, jeszcze jedna sprawa z głowy...

Po uporaniu się z korespondencją opuszczał dom i wyszukawszy stosowną łaskę, udawał się na obchód gruntów. Schodził do potoku, sprawdzał stan wody, przyglądał się łódce Johna, zacumowanej na zwykłym miejscu, zerkał na wodny ogródek Jane obok szopy na łódzie, potem na czaple w koronach drzew, na dym nad garnizonem na wyspie, wreszcie przenosił wzrok dalej, gdzie za portem Donhaven wznosiło się Hungry Hill. Następnie piał się pod górę do warzywnika na tyłach domu - Barbara spierała się tam zaciekle ze starym Bairdem na temat najkorzystniejszej metody pielęgnacji nowego gatunku winorośli w szklarni. Stamtąd - przez las sadzony ręką dziadka, gdzie wiatr szumiał w gałęziach niczym przybrzeżna fala, przez wąskie, kręte ścieżki (dumą Barbary) - wędrował do letniego pawilonu, który wiosną zbudowali dla Henry'ego. Chory leżał tam teraz na szeszlunku, a siedząca obok Jane coś mu czytała.

Henry uśmiechnął się i zwrócił na ojca błyszczące nienaturalnie oczy. Miał silne rumieńce, toteż Miedziany John, nie bacząc na wychudłe ciało pod kocem, doszedł do wniosku, że synowi z pewnością się polepszyło.

- Uważasz, ojcze - zaśmiał się Henry - jak bardzo się rozleniwiłem? Muszę wyznać, że przespałem połowę popołudnia i pewnie spałbym nadal, gdyby Jane się tu nie zakradła, aby poczytać mi wiersze.

- O nie, Henry, jesteś niesprawiedliwy - rzekła z wyrzutem Jane. - Przecież przyszedłem na twoje specjalne życzenie, a poza tym wcale nie spałem, tylko leżałem z rękami pod głową i wyglądałem na bardzo słabego. Ba, wołałabym, żebyś spał, doktor Armstrong mówił Johnowi, że powinieneś jak najwięcej wypoczywać.

- Willie Armstrong to stara baba. Trzęsie się nade mną, jakbym był dzieckiem, a nie tęgim chłopem, który przez własną głupotę przeziębził się ostatniej zimy. Poczekaj, aż wrócę z Barbados. Chyba każę się wytatuować i zapuszczę brodę. Idziesz na spacer, ojcze? Pozwól, że będę ci towarzyszył, dość mam już tego leżenia.

Chcąc pokazać, jak gardzi swą słabością, odrzucił koc i wstał, nucąc coś pod nosem. Natychmiast też wszczął dyskusję na temat interesów. Ojciec ujął go pod ramię i pomaszzerowali przez las w stronę gospodarstwa.

Na pewno zajdą za daleko, myślała Jane. Ojciec, zajęty rozmową, nawet się nie zorientuje i wieczorem Henry będzie tak wyczerpany, że nie tknie jedzenia. Barbara się zmartwi, a kiedy wyjrzą na korytarz po północy, u Henry'ego znowu będzie się świecić...

Siedząc w pawilonie przy opuszczonym szezlongu brata, zastanawiała się, o czym też myślał przez całą wiosnę i lato, kiedy tak leżał tu dzień po dniu. Przecież nade wszystko lubił ruch, dyskusje, towarzystwo, podróże, a teraz musiał się tego zupełnie wyrzec i nawet nie pomagał ojcu w prowadzeniu kopalni. Każdy na jego miejscu popadłby w rozdrażnienie, melancholię, stałby się przykry dla otoczenia, a tymczasem Henry zawsze miał dla wszystkich uśmiech, żart, sypał anegdotkami, ciągle snuł jakieś plany, opowiadał, co też będą robić, kiedy na dobre wyzdrowieje, dokąd wybiorą się na piknik i tak dalej.

- Jeden piknik i tak urządzimy jeszcze przed moim wyjazdem na Barbados - oświadczył tego dnia. - Weźmiemy konie i pojedziemy do jeziora na Hungry Hill, tam gdzie bywaliśmy jako dzieci. Zaprosimy Williego Armstronga i Dickiego Foxa z garnizonu... coś się tak zaczerwieniła, Jane? I Fanny-Rosę Flower,

jeśli pani White ją puści, i jej brata Boba, jeśli ciągle jest na urlopie z regimentu... Zobaczycie, będziemy się świetnie bawić, nikt nie będzie chory ani smutny.

Tak się podniecił tą rozkoszną wizją, że w końcu dostał ataku kaszlu. Jane znów stanęła przed oczami koszmarna noc pożaru w kopalni, kiedy Henry stał w bibliotece w mokrym ubraniu, drżąc na całym ciele. Potem nie było już żadnych kradzieży ani bójek, a Morty Donovan nie żył. Sam Donovan sprzedał rodzinną farmę i prowadził sklep w Doonhaven. Ależ by się wściekał dumny starzec, taka hańba dla Donovanów - sklep! Drugi syn klepał biedę przy drodze do Den-mare, trzymając parę świń, krowę i handlując na lewo whisky. Tak, kłopoty z Donovanami się skończyły. Stara kopalnia prosperowała, ruszyła też nowa, zatrudniono więcej ludzi i wszyscy byliby szczęśliwi, gdyby nie niepokój o Henry'ego. Jane poczuła lekki dreszcz. Pawilonik wydał jej się nagle dziwnie opustoszały, jak gdyby Henry już odpłynął na Barbados. Słońce też się schowało. Trzeba będzie przyciąć gałęzie, bo pewnego dnia zupełnie zasłonią pawilon i nie dotrze tam ani jeden promień. Podniosła swój tomik poezji, poduszkę oraz pled ^ i przez ogród kwiatowy poszła w stronę domu.

Przystanąwszy na skarpie, zauważyła Johna i doktora Armstronga, cumujących łódkę po powrocie z wyspy, dokąd wybrali się wcześniej, by przegonić charty. John patrzył w górę; ciemne włosy opadały mu na czoło. Zobaczył siostrę i pomachał jej ręką ze śmiechem. Uwiązane psy wyglądały niecierpliwie zza burtę, naciągając smycz, by jak najprędzej skoczyć na ląd. Srebrny puchar, który wygrały w zeszłym sezonie, stanowił największą dumę Johna i zdobił teraz bufet w jadalni. John pokazał go Fanny-Rosie, kiedy wraz z ojcem i bratem przyjechała dowiedzieć się o zdrowie Henry'ego. Ku wielkiemu rozbawieniu Jane proponowała wówczas z całą powagą, aby nad pucharem zawiesił dla większego splendoru herb rodziny, a także kazał go wyszyć na psich derkach.

Biedny John siedział potem kompletnie otumaniony, natomiast Fanny-Rosa popijała herbatę, obserwując go kątem oka. Ciekawe, czy rzeczywiście mówiła szczerze? Czyżby jednak odziedziczyła coś ze snobizmu swej matki? A może po prostu robiła sobie żarty z Johna, próbując go sprowokować?

Prześliczna panna i taka miła, myślała Jane. Dziwne, że doktor Armstrong, który także bawił wówczas w Clonmere, tak stanowczo stwierdził później, iż Fanny-Rosa jest zbyt wyzywająca i impulsywna jak na jego gust. Odznacza się też pewną nonszalancją, co bynajmniej nie wiąże się z młodym wiekiem, po prostu ma to we krwi.

- A jaki typ kobiety wzbudziłby pański zachwyty? - spytała niewinnie, on zaś spojrział na nią tak, jakby od dawna chciał jej coś wyznać.

Nie zrobił tego jednak, tylko zauważył, że lekarze z racji swego zawodu nie mogą sobie pozwolić na żadne zachwyty, ponieważ każda kobieta jest dla nich potencjalną pacjentką. I odszedł do Dickiego Foxa oraz innych młodych oficerów z Doon, jakby już tylko oni zostali mu do podziwiania.

Wszystkie te sceny przesuwały się jej przed oczami, kiedy patrzyła, jak wyprowadzają z łódki psy. Ciekawe, co by powiedział doktor Armstrong, gdyby przypadkiem doszło do jego uszu, że tomik poezji, który trzymała w ręku, przysłał jej porucznik Fox, zaznaczywszy krzyżykiem wiersz elżbietańskiego poety pod tytułem „Wchodząc do komnaty mej pani”. Może by się zgorszył.

Tymczasem z okna sypialni wychyliła się Eliza, wołając, że Thomas dzwonił już na przebieranie i do obiadu został tylko kwadrans. Jeśli John z doktorem zamierzają odprowadzić psy, to się spóźnią i ojciec będzie zły.

W tym momencie z lasu wynurzył się Miedziany John z Henrym, wspartym na jego ramieniu, a od strony warzywnika nadeszła Barbara z koszykiem rozgrzanych na słońcu nektarynek. Jane ogarnęło nagle błogie poczucie bezpieczeństwa. Wszyscy są, cała rodzina. Uśmiechają się do siebie, gawędząc miło na błahy temat. Niebawem podadzą im obiad. Thomas już idzie z kuchni ze swą tacą, przez otwarte na oścież drzwi i okna wpadają ostatnie promienie słońca, które lada chwila zniknie za drzewami. Ach, gdyby tak zatrzymać tę chwilę na zawsze, żeby nikt się nie pakował ani nie wyjeżdżał, żeby nie przykrywać mebli pokrowcami, nie zamykać okiennic i nie wsiadać na statek do Slane w chłodny, jesienny ranek... No cóż, zima za pasem, a wraz z nią być może rozterki i zmiany...

I tak minęły długie sierpniowe dni. Wrzesień nadciągnął stanowczo za szybko i za wcześnie, podobnie jak przygotowania do podróży Henry'ego. Uzgodniono, że wypłynie z Doonhaven na „Henriecie”, która zabierała ładunek rudy do Bronsea, następnie pojedzie do Li-verpoolu i dopiero tam wsiądzie na statek do Indii Zachodnich.

Henry czuł się teraz znacznie lepiej, kaszel już go tak nie męczył. W sam dzień wyjazdu odbył się ów od dawna zapowiadany piknik na Hungry Hill. Ranek wstał piękny i bezchmurny, w powietrzu czuło się już ową łagodną miękkość schyłku lata. Niewielka kawalkada, razem z Henrym uroczyście wiezionym przez stajennego Tima, wyruszyła z Clonmere. Błyszczący wierzchołek wzgórza krył w sobie zapowiedź woni wrzosu i wygrzanej w słońcu trawy, wałek śmig-

jących wesoło nad taflą jeziora, ciepłych głazów i skał, pokrytych rudymi porostami.

Pięli się zachodnim zboczem, z daleka od kopalni. Kiedy trakt się skończył i powóz nie mógł dalej jechać, John zsiadł z konia i pomógł bratu wdrapać się na siodło. Objuczony kosztami Tim włókł się z tyłu. Cóż za osobliwą grupę tworzyli! Barbara z monstrualnym parasolem (żeby odstraszyć muchy); Eliza ze szkicownikiem, stołkiem i sztalugami (na wypadek, gdyby nabrała ochoty na malowanie akwarelami); Jane z dwoma tomami poezji, eskortowana z obu stron przez młodych oficerów z garnizonu - poruczników Focha i Daviesa (ten ostatni, choć zaproszony przez Elizę, wyraźnie zapominał o swych obowiązkach); doktor Armstrong prowadzący konia Henry'ego, przy czym sam Henry i John ciągnęli go każdy w swoją stronę, Bob Flower, który jako kapitan dragonów miał się za kogoś lepszego od oficerów z garnizonu; wreszcie Fanny-Rosa. Ta ostatnia wysforowała się do przodu, nie bacząc na nierówności gruntu i nie słuchając żadnych ostrzeżeń, czym doprowadzała do rozpaczony całe towarzystwo, a w szczególności Johna.

Ostatecznie - wśród okrzyków ulgi ze strony panów i zachwyty ze strony pań - dobrnęli jakoś do jeziora. Barbara natychmiast zajęła się rozpakowywaniem wiktuałów, rozkładaniem koców, na wypadek gdyby ziemia okazała się mokra (co oczywiście nie nastąpiło) i sprawdzaniem, czy aby Henry zbytnio się nie przemęczył. Ten położył się na wznak z zamkniętymi oczami, spokojny i szczęśliwy na ciepłej trawie.

Fanny-Rosa wdrapywała się na skałę, żeby mieć lepszy widok na zatokę; dla większej swobody ruchów podciągnęła halki powyżej kolan. John, który pragnął być przy niej, obserwował to z niezadowoloną miną. Jeśli teraz przyłączy się do dziewczyny, wszyscy pomyślą, że chodzi mu o te bezczelnie obnażone nogi, co tylko w pewnym stopniu odpowiadało prawdzie. A ponieważ nie mógł się zdecydować, dalej kręcił się na brzegu jeziora, żalując, że w ogóle wziął udział w pikniku. Z drugiej strony, gdyby został w domu, byłby jeszcze bardziej przygnębiony... tak czy inaczej dzień jest wybitnie pechowy.

Jane z młodymi oficerami gdzieś zniknęła. Doktor Armstrong, wzdychając z jakiegoś powodu, zapytał Barbarę, czy ma jej pomóc w wydawaniu jedzenia.

- Proszę bardzo - zgodziła się z wdzięcznością.

Miała nadzieję, że lekarzowi nic nie dolega, wzdychanie nie należało bowiem do jego zwyczajów. Jednocześnie z tą myślą pojawiła się inna: co się stało z tu-

zinem pasztecików, które własnoręcznie zapakowała do koszyka? Jeśli zniknęły po drodze, kurcząt nie starczy dla wszystkich i trzeba będzie szepnąć rodzinie, by brali udka, zostawiając białe mięso gościom.

Eliza, czerwona na twarzy i skrzywiona, ciągnęła ją za ramię.

- Powinnaś pogadać z Jane - szeptała gorączkowo. - Zniknęła za skałą z tymi młodymi ludźmi. Wygląda to bardzo niestosownie. Co sobie pomyśli kapitan Flower?

Barbara, wciąż nerwowo poszukując pasztecików, odpowiedziała z irytacją:

- Kapitan Flower niech lepiej pilnuje swojej siostry. A Jane z oficerami na pewno łapie motyle.

Eliza, prychając gniewnie, odparła, że i tu jest pełno motyli, nie trzeba więc kryć się za skałami, by je złapać. A co do porucznika Da-viesa, to ona nie rozumie, dlaczego w ogóle zaproszono go na piknik; to paskudny typ i za głośno się śmieje. Ona, Eliza, na pewno nie pozwoli mu zaglądać sobie przez ramię podczas malowania, bo jest pod każdym względem odrażający.

- Może wcale nie zechce, kochanie - rzekła Barbara z roztargnieniem, bo oto - ach, co za ulga! - przypomniała sobie wreszcie, gdzie są paszteciki: zawinęła je w serwetkę, by dłużej trzymały ciepło.

- Zechce pan ogłosić, że lunch jest gotowy? - zwróciła się do doktora Armstronga.

Natychmiast udał się na poszukiwanie Jane i oficerów. Niebawem ich przyprowadził; mężczyźni popatrywali na siebie podejrzliwie niczym teriery, Jane, cicha i poważna, przyglądała im się kolejno dużymi brązowymi oczami.

- Jakże tu jest rozkosznie! Tak świetnie się czuję i tylko twoim głupim kolegom po fachu zachciało się wysłać mnie na Barbados -mówił Henry do doktora, spoglądając na kuszące dania. - Barbaro, umieram z głodu, poproszę dwa paszteciki!

Wkrótce zeszli się wszyscy uczestnicy wyprawy i dosłownie rzucili się na kurczęta, paszteciki, bekon i galaretkę - zupełnie jakby nie jedli od kilku dni.

Fanny-Rosa siedziała z nogą założoną na nogę. John zastanawiał się, czy tylko on zauważył, że ta trzpiotka ma pod suknią bosc stopy - wyraźnie widział czubki palców. Wmawiała właśnie Henry'emu, że on jest sułtanem przy uczie, ona zaś niewolnicą na jego usługach.

- To byłoby coś fantastycznego - rozmarzył się Henry, składając jej ukłon. - Może mam pani przywieźć złote bransolety i zausznicę? Niewolnice zwykle noszą takie rzeczy, rozumie pani, na znak uległości.

- Och, tak, proszę! I jeszcze tamburyn, a wtedy dla pana zatańczę.

John też chciałby prowadzić takie lekkie, dowcipne rozmowy, ale nie potrafił. Henry musiał nauczyć się tego na kontynencie, podobnie jak Fanny-Rosa.

- Jeśli Barbados się panu nie spodoba - mówiła - to proszę przyjechać do nas, do Neapolu. Wybieramy się tam na zimę, to już postanowione.

- Rodzice nic mi nie wspominali o wyjeździe do Włoch - wtrącił się jej brat. - Wydaje się to mało prawdopodobne.

- Ty i tak będziesz w swoim regimencie, więc co ci do tego? Jak się uprę, to rodzice ustąpią. Pojedziemy do Neapolu, chcę gapić się na Wezuwiusz i słuchać muzyki. Ojciec będzie w siódmym niebie, popadnie w sentymentalny nastrój i zacznie za dużo pić, a ja kupię całą stertę sukien i przebiorę się za neapolitankę, i zatknę sobie kwiat za uchem, i będę z balkonu przesyłać Henry'emu całusy.

- Nie słuchaj jej - powiedział kapitan Flower. - Muszę z żalem wyznać, że obie moje siostry mają bzika. Ta młodsza, Matylda, jest jeszcze gorsza od starszej. Teraz, kiedy nie mamy w domu guwernantki, całe dni spędza w stajniach. Zamek Andriff to istny dom wariatów.

- Biedna pani Flower! - westchnęła Barbara. - Powinnaś jej pomagać, Fanny-Roso, dając siostrze dobry przykład. Jane, chociaż młodsza od ciebie o trzy lata, jest dla mnie wielką wyręką.

- Ach, bo też Jane zawsze myśli o innych, panno Brodrick, a ja tylko o sobie. „Baw się, póki możesz, bo zanim rok się skończy, możemy wszyscy być w grobie”, tak poradził mi wczoraj ojciec.

- Z pewnością ma rację - zgodził się Henry - ale przedtem spotkajmy się jednak w Neapolu. Upomnę się o tego całusa z balkonu!

Tak przekomarzali się przez cały lunch, wśród żartów i śmiechów snuli różne plany, podczas gdy John opychał się tłustym bekonem, dumając o Lincoln's Inn, o tamtejszych ponurych salach, o szarym, deszczowym grudniu, który nie miał nic wspólnego ze słonecznym Neapolem i balkonami.

Po lunchu jeszcze trochę rozmawiali, aż wreszcie jedni zaczęli wzdychać, inni ziewać i każdy zatęsknił do odrobiny swobodnego wypoczynku. Henry leżał w

cieniu głazu, tuż obok pod parasolem ułożyła się Barbara, Jane z młodymi oficerami czytała poezje za kępą wrzosu. Eliza usadowiła się naprzeciw karłowatego janowca, skąd mogła zerkać do woli na porucznika Daviesa i wmawiać sobie, jak bardzo jest pospolity, a potem wracać wzrokiem do sztalug, gdzie z wolna nabierał kształtu szkic portu w Doonhaven. Bob Flower zasnął i głośno chrapał, co Eliza uznała za bardzo niestosowne. Zamiast spać powinien pilnować siostry, która znowu zniknęła.

John bezmyślnie rzucał kamieniami w jezioro. Co za głupota, że nie wziął wędki, właśnie na środku coś plusnęło, na pewno są tam pstrągi. Zaczął iść brzegiem w stronę drugiego końca, chciał zniknąć wszystkim z oczu. Jakże tu ciepło i spokojnie, jak cicho! Nikt by się nawet nie domyślił, że zaledwie parę mil dalej są te paskudne szyby kopalni. Miękki, nasiąknięty wodą mech chlupotał pod jego krokami, od jeziora niósł się cierpki, bagienny zapach, zmieszany z aromatem wrzosu. Biedny Henry! To by mu się podobało, na pewno wołałby stać z twarzą wystawioną na podmuch łagodnego wietrzyku, zamiast leżeć pod pledem z głową na ramieniu.

Wyłowił uchem głośniejszy niż dotąd plusk - pewnie to jakiś wielki pstrąg... John wspiał się szybko na głaz... O Boże! To wcale nie żadna ryba, tylko Fanny-Rosa - naga, z rozpuszczonymi włosami - wychodzi z jeziora, rozchlapując dłońmi wodę!

Zobaczyła go! Ale zamiast pisnąć wstydliwie, jak pewnie uczyniłyby jego siostry, uśmiechnęła się i zapytała:

- Czemu nie wchodzisz? Jest tak chłodno i przyjemnie! Poczuję, że się czerwieni, a na czoło występują mu kropelki potu.

Nic nie mówiąc, odwrócił się i ruszył szybko w przeciwnym kierunku. Niestety, po paru krokach noga uwięzła mu w króliczej jamie i klnąc szpetnie, wylądował we wrzosach. Siedział przez jakiś czas, masując obolałą kostkę. Tuż przed nim frunął spłoszony skowronek i zawisł pod niebem, wyśpiewując swą pieśń wolności.

Po pewnym czasie - wydało mu się, że minęły godziny, ale nic go to nie obchodziło - usłyszał kroki. Ktoś przy nim usiadł. John obejrzał się i ujrzał Fanny-Rosę, tym razem już ubraną, z błyszczącą po kąpielu twarzą i mokrymi włosami na ramionach.

- Masz mnie za bezwstydnicę, co? - spytała cicho. - Pewnie cię zgorszyłam.

- Och, nie - odrzekł szybko, ogarniając ją wzrokiem. - Nic nie rozumiesz. Uciekłem, bo byłaś taka śliczna....

Zająknął się, gdyż słowa uwięzły mu w gardle na widok jej uśmiechu.

- Nie powiesz panie Brodrick, prawda? - prosiła przymilnie. -Już nigdy nie zaprosiłaby mnie do Clonmere, może nawet napisałaby do mojej matki.

- Nikomu nic nie powiem.

Zapadła cisza. Fanny-Rosa skubała od niechcienia trawę drobnymi paluszkami, potem przysunęła ręce do wielkich dłoni Johna jakby dla kontrastu. Nadal się nie odzywał, więc nakryła je swoimi.

- Chyba się na mnie gniewasz.

- Gniewam? Ależ Fanny-Roso, jak można się na ciebie gniewać? Nagle znalazła się w jego ramionach. Leżała na wrzosach z przymkniętymi powiekami, a on ją całował.

Po chwili otworzyła oczy, ale nie spojrzała na Johna, tylko wodziła wzrokiem za skowronkiem. Potem podniosła rękę, dotknęła jego policzka i ust, potem oczu i włosów.

- Od dawna chciałeś mnie pocałować, prawda?

- Od prawie dziesięciu miesięcy nie marzę o niczym innym.

- A teraz pewnie się rozczarowałeś? -Nie.

Ach, gdyby potrafił jej opowiedzieć o swym wezbranym czułością sercu, o tęsknocie ogarniającej całe jego ciało! Ale słowa przychodziły mu z takim trudem... Nie umiał nimi żonglować, mógł tylko patrzeć na nią, leżącą na wrzosach, wielbić ją i cierpieć.

- Myślałam, że zależy ci tylko na chartach. - Wyciągnęła do niego ręce i pozwoliła mu całować każdy palec po kolei. - Tamtego dnia w zimie, kiedy przyjechaliście do Andriff... pamiętasz? To ty wtedy żartowałeś, a twój brat był poważny. Ale teraz, gdy poznałam was lepiej, myślę, że jest odwrotnie. Henry jest ten wesoły, a ty stateczny.

Kiedy wspomniała o Henrym, poczuł igiełkę zazdrości. Przypomnił sobie zaraz, jak flirtowała z jego bratem przez cały lunch, a na niego nawet nie spojrzała. To odmieniło mu nastrój. Usiadł i zapatrzył się na wzgórze. Skowronek, który przed chwilą śpiewał pod niebem, wrócił na ziemię i gdzieś się schował.

- Lubisz Henry'ego, prawda? - spytał. - Wszyscy go lubią,

- Lubię was obu.

Z daleka dobiegał gwar kilku głosów. Fanny-Rosa skrzywiła się.

- Zastanawiają się, co się z nami stało - powiedziała. - Może powinniśmy wracać.

Wstała i wygładziła suknię, nucąc cicho. John obserwował ją ze ściśniętym sercem. Jak mało wiedziała o uczuciu, które nim owładnęło! A gdyby nawet się domyśliła, pewnie uznałaby go za głupca. Trzymał ją w ramionach i całował. Była to rzecz tak wielkiej wagi, że od dziś życie z całą pewnością nabierze zupełnie nowych barw. Nigdy nie zapomni widoku jej nagiego ciała w wodzie ani dotyku rąk i warg w rozgrzanych wrzosach.

Ale dla Fanny-Rosy to tylko interludium, chwila uciechy po kąpieli. Przepętniony uczuciem, zastanawiał się, czy postąpiłaby tak samo z jego bratem albo z Williem Armstrongiem czy którymś z oficerów. Teraz podała mu rękę jak dziecko, jak dawniej Jane, i poprowadziła go przez wzgórze z powrotem do jeziora. Po drodze opowiadała jakieś bzdurne historie o Simonie Flowerze i jego dzierżawcach - podobno na któreś Boże Narodzenie spoił ich wszystkich whisky i pijanych odesłał do domów - on zaś zerkał na jej profil, na burzę kasztanowych włosów i był szczęśliwy aż do bólu, choć to szczęście miało posmak goryczy.

Puściła jego rękę, dopiero kiedy znaleźli się w zasięgu wzroku innych. To już koniec, pomyślał. Koniec dnia i wszystkiego. W milczeniu podszedł do konia, osiodłał go i pomógł Timowi przy pozostałych - nie potrafiłby teraz żartować i śmiać się jak Fanny-Rosa, to ponad jego siły. Czuł się obco w rozbawionym gronie, wołał już towarzystwo flegmatycznego Tima.

- Co za wspaniały dzień! - entuzjasmował się Henry. - Musicie wszyscy odprowadzić mnie na statek i pomachać mi na pożegnanie.

Ruszyli z powrotem przez wrzosy i kamienie do traktu, gdzie czekał powóz. Fanny-Rosa zaintonowała piosenkę i wszyscy przyłączyli się do chóru; najgłośniej wyśpiewywali oficerowie. Jaskrawy błękit nieba zmienił się w spokojny, rozbielony odcień, typowy dla wrześniowego wieczoru, wokół słońca zaczęły się gromadzić drobne obłoczki. Na Hungry Hill pokazały się pierwsze cienie.

Taki śliczny dzień, myślała Jane. Ale już się kończy. Jezioro, wrzosy, skały zostały daleko w tyle. Nasze głosy nie będą więcej zakłócać ciszy. To wszystko

właściwie już przeszłość, coś, co będziemy wspominać, mówiąc: „Pamiętasz tamto? Pamiętasz, jak Henry się śmiał, jak śpiewał z Fanny-Rosą Flower?”.

W końcu dotarli do drogi i zaczęli schodzić do Doonhaven. Na placu Casey z drugim służącym i stajennym z zamku Andriff czekali, żeby przytrzymać konie. Wszyscy posiadali i pieszo udali się do portu; „Henrietta” stała na kotwicy. Załoga układała żagle w rejach, gotując się do wyjścia w morze. Sztygar Nicholson z nabrzeża nadzorował załadunek, obok Miedziany John rozmawiał z szyprem. Na widok syna uśmiechnął się i przeprosiwszy tamtych, wyszedł Henry'emu na przeciw.

- Nie zmęczyłeś się, chłopcze?

- Nie, ojcie. To był dla mnie najwspanialszy dzień w życiu.

- Świetnie. Tego życzyliśmy ci wszyscy. Dobrze, że zakończyłeś go w porę. Nie ma czasu na długie pożegnania i tak dalej. Szyper chce podnieść kotwicę, gdy tylko wejdiesz na pokład. Wiatr jest pomyślny i jeśli się utrzyma, migiem dopłyniecie do Bronsea.

Henry ucałował siostry, uścisnął dłoń bratu i przyjaciółom, przy czym każdy zmuszał się do dowcipów. Eliza przymawiała się, by każdej z sióstr przywiózł szal, Barbara przypominała o zażywaniu lekarstw, oficerowie przestrzegali przed utratą serca na rzecz jakiejś miejscowej ślicznotki.

- Szybko wracaj do zdrowia, dla mnie tylko to się liczy - powiedział ojciec.

Potem Henry zszedł do łodzi, która natychmiast odbiła od brzegu, uwożąc go na „Henriette”. Podniósł się jeszcze z rufy i pomachał wszystkim kapeluszem.

- Do zobaczenia w Neapolu! - zawołał do Fanny-Rosy. - To obietnica, prawda?

Kiwnęła głową, odwzajemniając uśmiech.

- Będę czekała na balkonie.

Patrzyli, jak łódź dobija do burty i jak Henry z szyprem wchodzi na pokład. Prawie natychmiast na statku zaczął się ruch, hałas, majtek z pokładu dziobowego powtarzał głośno komendy, zaskrzypiała winda kotwiczna.

- Nie czekajmy dłużej - odezwała się nagle Jane. - Nie cierpię patrzeć na odpływające statki. Jest w tym coś ostatecznego.

- Przecież tam jest twój brat - zaprotestowała Fanny-Rosa. - Patrz, odwraca się do nas... coś woła.

- To na nic - rzekł Miedziany John. - Wiatr wszystko głuzy i jeszcze to skrzypienie... Chodźmy, Jane ma rację, nie ma powodu sterczeć tu dłużej. Z Clonmere też zobaczymy statek, jeśli dojdziemy do ujścia potoku.

Ledwie się odwrócił, jakiś pies podciął mu nogi, tak że Miedziany John omal nie wylądował na bruku. Zaklął siarczyście i uderzył zwierzę laską. Zawyło przeraźliwie i kulejąc, powlokło się do sklepu.

- Czemu nie pilnujecie psa?! - krzyknął Miedziany John do właściciela, który wyszedł na próg, zaczerwieniony ze złości i gotów do kłótni.

Kiedy Brodrick go poznał, odwrócił się tyłem i wraz z córkami i synem poszedł w stronę rynku. Mężczyzna obserwował go z niechęcią jakiś czas, po czym pochylił się nad psem, mruczając coś do siebie. Nagle nie wiadomo skąd zebrał się tłum. Różni ludzie zaczęli go wypytywać i zasypywać radami.

- Jak źle się stało! - szepnęła Barbara, okrywając się rumieńcem. - Widziałaś?

- Tak - odpowiedziała Jane. - Tak... to był Sam Donovan. Obejrzała się jeszcze przez ramię. „Henrietta” sunęła naprzód.

Holowniki wprowadziły ją na środek toru wodnego, nad rejami strzelały w górę żagle.

Ojciec nie wspomniał ani słowem o incydencie. Pomógł Fanny-Rosie wsiąść na konia, potem zamienił parę słów z Bobem Flowerem, prosząc, by za następną wizytą w Duncroom przekazał swemu dziadkowi pewne wiadomości. Doktor Armstrong uścisnął dłonie oficerom i każdy ruszył w swoją stronę. Flowerowie pięli się konno ku Andriff, Brodrickowie odjechali powozem do Clonmere. Słońce zaszło już za drzewa - zamek i potok okrywał cień. Postali trochę na podjeździe, odprowadzając wzrokiem „Henriettę”, póki nie zniknęła na dobre za wyspą Doon.

Miedziany John szedł wolno ku domowi z założonymi do tyłu rękami. Tuż za nim postępowały Barbara z Elizą. Tylko John i Jane udali się do krańca lądu, gdzie duża jodła wyciągała konary nad morzem. Patrzyli poza port, na dalekie Hungry Hill w ostatnich promieniach słońca.

- Szkoda, że tak się stało - rzekła Jane.

- Co masz na myśli?

- Wolalabym, żeby ojciec nie uderzył psa Sama Donovana.

- Ach! Rzeczywiście, to przykry zgrzyt w tak miłym dniu. Chciałem rzucić okiem na zwierzaka, ale nic by to nie dało. Ojciec by się rozgniewał, a Sam Donovan nie uwierzyłby w moje dobre intencje.

- Nic nie mogłeś zrobić. Ale szkoda, że w ogóle do tego doszło... Czy naprawdę uważasz, że Henry'emu polepszy się na Barbadosie?

- Jestem pewien. A na wiosnę wybiera się do Neapolu. Pewnie słyszałaś, jak umawiał się z Fanny-Rosą.

Zawrócił w stronę domu; Jane ujęła go pod ramię. Oboje milczeli, myśląc o Henrym. Jane wspominała jego wesołość, śmiech, ruch ręki, którą machał im z łodzi. Zastanawiała się, czy był szczery? Do jakiego stopnia udawał, ukrywając chorobę przed rodziną i samym sobą? John natomiast widział tylko jedno: balkon w Neapolu, a na nim dziewczynę, która rzuca Henry'emu wyjęty zza ucha kwiat. Może w okolicach Neapolu są jakieś wzgórza, a wśród nich jeziora, tak jak na Hungry Hill? Może Fanny-Rosa zechce się tam wykapać i pokazać nago Henry'emu? Henry bardziej na to zasługuje, jest mądry, miły, lepszy od niego pod każdym względem... i chory. Zazdrość, jaka owładnęła Johnem w tym momencie, wydała mu się tak haniebna i godna potępienia, że niemal znienawidził siebie i swoje myśli. Przecież kocha brata, a jednak czuje urazę o jedno spojrzenie, jedno dotknięcie ręki Fanny-Rosy, chociaż dzięki temu umierający człowiek mógł zyskać choć parę tygodni radości i zapomnienia. Urazę - to mało powiedziane. Czuje nienawiść. Już sama myśl o Fanny-Rosie w chwili błogiego rozleniwienia wydała mu się czymś tak okropnym, że aż się zmienił na twarzy. Jane, widząc, jak pobladł, spytała ze zdziwieniem:

- Co się stało? Źle się czujesz?

- Nie, nie, nic.

Zawahała się przez chwilę, ale stali już w drzwiach. John widział przez okna, że w pokojach zapalono świece i zaciągnięto zasłony. Nastął wieczór, a jemu się wydało, że na całym świecie nie ma i nie będzie niczego tak ważnego, jak owa tęsknota do Fanny-Rosy. Mógłby dla tej dziewczyny popełnić krzywoprzysięstwo, morderstwo, pójść do samego diabła, gdyby tylko czekała na niego tam, w pokoju na wieży. Na niego, Johna, nie na Henry'ego.

Jesień 1827 roku była dla Miedzianego Johna wyjątkowo przykra. W listopadzie rozszalały się takie sztormy, że między Doonhaven i Bronsea wstrzymano kursowanie statków, a tym samym ustał i transport rudy. Nowa kopalnia okazała się mniej dochodowa, niż oczekiwano. Po pierwsze, sztygar Nicholson zszedł za głęboko pod ziemię i na poziomie, do którego dotarł, woda zupełnie uniemożliwiła wydobywanie. Nie pomogła nawet nowa pompa, zainstalowana kosztem kilku setek funtów. W tej sytuacji podjęto decyzję o porzuceniu owego miejsca i rozpoczęto wiercenia nieco dalej na wschód. Tutaj wyniki od razu potwierdziły opłacalność prób, chociaż grunt okazał się tak skalisty, że nic nie dało się zdziałać bez użycia prochu. I znów koszty skoczyły w górę. Każda uncja prochu, jaką sprowadzano do kraju, podlegała kontroli króla. Miedziany John musiał trzymać swoje baryłki w magazynie garnizonowym na wyspie Doon i wypełniać nowy formularz, ilekroć przywoził choćby jedną z nich na stały ląd. Poza tym cena miedzi, dotychczas wyjątkowo wysoka, gwałtownie spadła. Wielkie kompanie hutnicze z Bronsea mogły bez przeszkód dyktować swoje warunki, toteż Miedziany John przychylił się do opinii, że najlepiej będzie pozbyć się części produkcji poprzez zawarcie prywatnego kontraktu.

Po wietrznej, deszczowej pogodzie nadeszły siarczyste mrozy, sprawiając dziedzicowi Clonmere nowe kłopoty. Ziemiaki prawie wcale nie obrodziły i wielu dzierżawców zaczęło przymierać głodem. Nie pozostało więc nic innego, jak przedłużyć termin uiszczenia półrocznej opłaty. Z możliwości tej skorzystali skwapliwie ci, którzy nie będąc w krytycznej sytuacji, postanowili po prostu nie płacić, póki się da. Wywołało to nieuniknione kłótnie między dzierżawcami i obnażyło całą podłość ich charakterów. Kiedy po całodziennych naradach w kopalni Miedziany John wracał do Clonmere, czekał na niego rządcą z kolejną porcją bzdurnych historyjek, żądając wydania opinii, choć zasługiwały tylko na śmiech.

Trudności przysparzał też Brodrickowi fakt, że był w okolicy jedynym dziedzicem, który nie bał się stosowania drastycznych środków. Nie otrzymywał za to ani podziękowań, ani wsparcia ze strony sąsiadów. Robert Lumley rzadko bywał w Duncroom, a wtedy wpadał do kopalni jak po ogień, interesując się tylko raportami finansowymi i narzekając na słabe zyski. Hrabia Denmare wciąż siedział za granicą, chyba że akurat przyjechał łowić łososie, lord Mundy zaś był

tak schorowany, że ledwie nadążał za lokalnymi sprawami. Co do Simona Flowera, nie miało sensu prosić go o jakąkolwiek pomoc. Człowiek, który pije w stajniach z własnymi parobkami, a nawet zaprasza ich do salonu, kiedy żona idzie spać (przynajmniej takie krążyły plotki), nie nadawał się przecież na strażnika prawdy i sprawiedliwości. Zresztą Flowerowie wyjechali do Włoch - Henry spotkał się z nimi we Florencji i wybierał się też do Neapolu, choć jego ojciec uważał, że to strata czasu. Podróż na Barbados znakomicie Henry'emu pomogła, tak przynajmniej napisał. Znacznie mniej kaszle i ojciec nie powinien się już o niego martwić. Jeszcze kilka miesięcy we Włoszech - i niewątpliwie wróci do pełni zdrowia.

W połowie kwietnia Miedziany John spędzał z córkami Wielkanoc w Lletharrog. Postanowił zrezygnować z pierwotnego planu i nie wracać z końcem miesiąca do Doonhaven, gdzie nowa kopalnia dawała znakomite wyniki, tylko wybrać się do Włoch. Klamka zapadła, kiedy Barbara otrzymała z Paryża list od przyjaciółki, niejakiej panny Lucy Mallet, która mieszkała z matką w wynajętym apartamencie.

Dopiero co wróciliśmy z Włoch. Byliśmy w Rzymie i w Neapolu, gdzie miałyśmy przyjemność spotkać Twego brata w towarzystwie państwa Flower z córką. Z przykrością dowiedziałyśmy się, że brat Twój bardzo chorował - rzeczywiście wyglądał nader mizernie i podobno cały tydzień spędził w łóżku, tak mówiła pani Flower...

Dalej następowały opisy włoskich widoków, którymi Miedziany John nie zaprzętał sobie już głowy. Patrzył przed siebie, bębniąc palcami po stole, siedzące obok córki pobladyły, wyraźnie zaniepokojone.

- Pojadę do Włoch - oznajmił w końcu. - Myśl o Henrym nie dawała mi spokoju przez całą zimę, a ten list przypieczętował tylko decyzję.

- Czy możemy pojechać z tobą? - spytała Barbara.

- Nie, moja droga, wolę podróżować sam. Trochę to dziwne, że Flowerowie nie zawiadomili nas o chorobie Henry'ego, skoro tak długo są razem. Simon Flower nie lubi pisać, ale jego żona ma chyba trochę rozumu.

- Na pewno Henry nie chciał nas niepokoić - zauważyła Barbara. -1 może udawał, że to nic poważnego, nawet wobec Flowerów.

- Niewykluczone, że Lucy Mallet przesadza - dodała Eliza. - Nie widziała Henry'ego od paru lat, a patrząc na niego teraz, każdy doznałby wstrząsu. Pisywał takie pogodne listy, szczególnie ten ostatni do Jane, w którym opisywał karnawałowe zabawy...

- I pewnie przecenił swoje siły - rzekł ojciec. - Tak czy inaczej, jadę do Włoch i to prawdopodobnie już w końcu przyszłego tygodnia. Miałem nadzieję spotkać się z Robertem Lumleyem w Cheltenham, ale mogę z tym spokojnie poczekać do powrotu.

Zapytał Barbarę, czy - według niej - powinien zawiadomić syna o swym przyjeździe, ostatecznie jednak postanowił nie usłuchać jej rady i zrobić Henry'emu niespodziankę. Niestety, interesy zmusiły go do przełożenia podróży na późniejszy termin i wyruszył dopiero w końcu maja. Ponieważ wolał uniknąć długiej morskiej trasy, jechał etapami przez Francję i Włochy, spędzając większość czasu na spisywaniu z pamięci zysków i kosztów kopalni, od jej uruchomienia w roku 1820 do bieżącego miesiąca. Kompletnie nie zwracał uwagi na krajobrazy. Uważał, że upały są nieznośne, muchy dokuczliwe, wszyscy cudzoziemcy to bandyci i w ogóle nie wiadomo dlaczego ludzie uważają podróżę za taką przyjemność.

Kiedy w Neapolu wysiadł z dyliżansu, był już trzeci tydzień maja - pora gorąca, duszna i w ogóle nie do zniesienia. Pierwszą osobą, na którą padł wzrok Miedzianego Johna, okazał się Simon Flower. Siedział w kawiarni na placu, kurzył ogromne cygaro i pozwalał się zabawiać jakiejś Włoszce podejrzanego konduity. Nagłe pojawienie się sąsiada wśród kosmopolitycznego tłumu nie zdziwiło go ani trochę. Uchyliwszy kapelusza, wskazał Johnowi Brodrickowi krzesło przy swym stoliku.

- Mój drogi! Co za cudowne spotkanie! Ta damulka nie mówi po angielsku, więc możesz się nie krępować. Cieszę się, że cię widzę, ale co ty tu robisz?

Miedziany John, który nigdy nie gustował w towarzystwie Flowera, a tym bardziej przy końcu długiej podróży, odparł krótko, że nie usiadzie, bo nie ma czasu. Chce natychmiast jechać do hotelu Henry'ego, więc może Simon Flower powie mu, gdzie go szukać.

Tamtemu opadła szczeka.

- Henry? Przecież wyjechał dwa tygodnie temu!

Miedziany John patrzył na niego bez słowa. Wreszcie usiadł ciężko na krześle, wyraźnie wstrząśnięty nowiną, która zrujnowała wszystkie jego plany. W milczeniu przyjął szklanę z napojem, nie protestował też przeciwko następnej.

- Powiedz mi - wykrztusił wreszcie - co się właściwie stało.

- Nic się nie stało, ale odbyłeś długą podróż na próżno. Pewnie minęliście się w drodze. Henry nie czuje się zbyt dobrze i postanowił wracać, zanim nastaną upały. Najlepiej wsiądź do następnego dyliżansu i jedź tą samą drogą, to go dogonisz. Ale przedtem zatrzymaj się na dwa dni w Neapolu, obiecuję ci, że nie pożałujesz. Jeśli ta panienka ma koleżankę... Znam parę miejsc, które...

- Czy z Henrym było bardzo źle? - przerwał mu Miedziany John. - Zrozum, proszę, cała nasza rodzina odchodzi wprost od zmysłów ze zdenerwowania!

- No cóż... chyba nie. Napij się jeszcze, dobra? To tylko kwestia klimatu, zapewniam cię. Ale moja córka więcej wie na temat jego zdrowia niż ja. Gonila go po mieście i kazała się wszędzie oprowadzać. Najlepiej ją zapytaj.

- Czy zastanę teraz w hotelu twoje panie?

- O, na pewno. O tej porze zwykle wypoczywają, dlatego wykorzystałem okazję, żeby się tu wymknąć. Ta mała nie ma przyjemności znać mojej żony.

- Tak przypuszczałem.

Miedziany John wstał. Życzył Flowerowi miłego dnia (ignorując kompletnie jego towarzyszkę) i oddalił się, zostawiając parę w stanie błędnego upojenia.

Szedł zdecydowanym krokiem przez zatłoczone ulice. Wysoka postać o szerokich barach i kwadratowej szczęce robiła pewne wrażenie na przechodniach, bo ci, których potrącił, odwracali się i patrzyli za nim, póki nie znikł im z oczu. Dotarwszy do upragnionego hotelu, wysłał swą kartę do apartamentu pani Flower.

Przyjęła go bardzo zaaferowana i z miejsca zaczęła przeproszać: pokoje są byle jakie, wynikło kolejne nieporozumienie z zarządcą hotelu, czuje się okropnie zawstydzona. Simon kompletnie nie ma głowy do pieniędzy, jej suknia jest nieodpowiednia do przyjmowania gości, pan Brodrick musi jej to wybaczyć. Tak, rzeczywiście Henry wyjechał dwa tygodnie temu; widywali się bardzo często, Fanny-Rosa ogromnie polubiła jego towarzystwo. Właściwie pani Flower sama nie wie, jak to się stało, biedak musiał się przemęczyć, wydawał się ostatnio taki smutny... Pewnego dnia oznajmił po prostu, że wraca do domu. Fanny-Rosa bardzo się zmartwiła, mówiła, że Henry jest zazdrosny o pewnego Włocha -

wie pan, jakie głupstwa plotą dziewczęta - oczywiście to kompletna bzdura, po prostu jakaś drobna sprzeczka, w każdym razie Henry kaszłał i wyjechał w straszną spiekotę, może we Francji będzie mu chłodniej. ona nierzównajmniej ma taką nadzieję. Pan Brodrick na pewno go dogoni, Henry chyba zanadto się nie śpieszy...

Wtem otworzyły się drzwi i weszła Fanny-Rosa. Na kasztanowe włosy narzuciła na włoską modłę koronkowy szal i nawet Miedziany John, który niewiele miał czasu na jej podziwianie, był pod wrażeniem żywego kolorytu, skośnych zielonych oczu i wielkiej urody córki Simona Flowera. Na widok gościa spłoszyła się lekko i zbladła.

- O co chodzi? Coś się stało? - zapytała.

- Odbyłem podróż na próżno - odrzekł Miedziany John. - Chciałem zobaczyć się z Henrym, a tymczasem powiedziano mi, że wyjechał. Nasza znajoma, panna Mallet, napisała nam o fatalnym stanie jego zdrowia, więc zamiast do Clonmere przyjechałem tutaj. Mogłem oszczędzić sobie tej fatygi.

Fanny-Rosie wyraźnie kamień spadł z serca. Usiadła przy matce i zaczęła skubać obrębek sukni.

- Chyba trochę za dużo szalał w karnawale - powiedziała. - Potem wyglądał mizernie i kilka dni spędził w łóżku.

- Taki uroczy młodzieniec! - zachwycała się pani Flower. - Byliśmy nim wprost oczarowani. To na pewno ten ostatni wieczór tak go wyczerpał. Wybrali się z Fanny-Rosą oglądać jakiś korowód, prawda, moja droga? Wrócili bardzo późno, ja już spałam. Bóg wie, co się działo z twoim ojcem, w każdym razie nie wrócił na noc. A następnego dnia Henry nie wychodził z pokoju, nieprawdaż, Fanny-Roso?

- Ja... nie przypominam sobie.

Złożyła krótki ukłon, poprosiła Miedzianego Johna, by pozdrowił od niej Henry'ego, kiedy się z nim spotka, i po chwili wahania wyszła z pokoju. Po paru minutach John Brodrick też się pożegnał. Postanowił zjeść obiad, odpocząć parę godzin, a potem złapać powrotny dyliżans. Flowerowie nie na wiele mu się przydali. W całej tej sprawie wykazali się typową dla siebie niefrasobliwością i brakiem rozwagi. Tak samo zachowywali się w zamku Andriff. To obrzydliwe, żeby mężczyzna w średnim wieku, obarczony rodziną, przesiadywał w biały dzień w kawiarni z jakąś ladacznicą. I pomyśleć, że pieniądze, które tam trwonił, a któ-

rych nieszczęsny właściciel hotelu na pewno dotąd nie zobaczył, pochodziły z kieszeni jego teścia, Roberta Lumleya, ten zaś zawdzięczał je ostatnim znakomitym wynikom finansowym kopalni. On, John Brodrick, jako dyrektor harował po dziesięć godzin dziennie, dzięki czemu na Hungry Hill powstała najlepiej zarządzana kopalnia w królestwie, a wszystko po to, żeby ten pasożyt wygrzewał się na słońcu i zgarniał żniwo.

Wyjeżdżał z Neapolu znużony i w kiepskim nastroju. Nudna podróż do domu przy braku pewności, czy spotka się z synem, była dla niego istnym koszmarem. Na każdym postoju, w każdym miasteczku wypytywał o szczupłego młodego człowieka o jasnej karnacji, który wyglądał na zmęczonego lub chorego. Parę razy omal nie odniósł sukcesu. Owszem, w pewnym hotelu ludzie widzieli młodzieńca odpowiadającego opisowi. Zatrzymał się pod ich dachem tydzień, może dziesięć dni temu. Wydawał się bardzo wycieńczony i mocno kaszlał. Zostawił do wysłania list... Nie, nie do Anglii. Chyba do Neapolu. Nie przypominają sobie adresata. Oczywiście, pan Brodrick już niedługo dogoni syna... Ale w następnym miasteczku odpowiedziano mu pustym spojrzeniem i wzruszeniem ramion. Niestety, nie widziano tu opisywanego pana...

Dziwne, że Flowerowie nie wspomnieli o żadnym liście. Henry nie pisał chyba do nikogo innego. Może list zaginął... Dalej więc w drogę, dzień za dniem, teraz już przez Francję, gdzie upałowi nie towarzyszyła taka duchota, ale drogi były pełne pyłu i słońce stało niemal w zenicie na bezchmurnym niebie. Czwartego dnia pod wieczór dyliżans zaturkotał po bruku miasteczka o nazwie Sens - jakieś siedemdziesiąt mil od Paryża - by niebawem stanąć przed hotelem „de l'Ecu". Jutro, pomyślał Miedziany John, wysiadając z dusznego wehikułu, będę już w stolicy. Tam na pewno dowiem się czegoś o Henrym. Chłopak niewątpliwie odwiedził Malletów, może nawet zatrzymał się w ich apartamencie. Cóż to będzie za ulga, kiedy wreszcie będę miał za sobą trzy czwarte podróży! Do domu wrócimy już razem...

Wszedł do hotelu - ciemnego, staroświeckiego budynku - i zapytał o właściciela. Natychmiast zjawił się duży mężczyzna o wesołej, okrągłej twarzy. Po drodze otarł usta wierzchem dłoni, gdyż właśnie jadł kolację. Miedziany John swą kiepską francuszczyzną zadał mu to samo pytanie: czy zetknął się ze szczupłym młodym człowiekiem o jasnej karnacji, który mógł się wydać zmęczony lub chory? Na te słowa właściciel hotelu zmienił się na twarzy. Położył Brodrickowi rękę na ramieniu i zalał go potokiem francuskich słów. Widząc, że przybysz nie rozumie, zniknął na chwilę, po czym wrócił z żoną i dwiema osobami z

personelu. Zaczęli mówić jeden przez drugiego, zadając mnóstwo pytań, aż wreszcie zdesperowany podróżny im przerwał:

- Jestem ojcem tego młodzieńca. Na miłość boską, czy nikt tu nie mówi po angielsku?

Po chwili ciszy odezwała się kobieta:

- *C'est le pere. Quelle tristesse! Faut lui montrer la chambre...*^{*6} Zaczęli naradzać się po cichu, w końcu zasmucony gospodarz poprosił Miedzianego Johna o chwilę zwłoki. Chce posłać po lekarza, pana Getifa, który zna angielski i wszystko wyjaśni. Teraz Miedziany John wpadł w prawdziwą panikę. Najwyraźniej ci ludzie widzieli Henry'ego, a ów lekarz się nim opiekował... Kobieta zaproponowała Brodrickowi coś do picia, ale odmówił. Usiadł i czekał; Francuzi przez szacunek trzymali się w pewnej odległości, obserwując go i wymieniając szeptem niezrozumiałe dlań uwagi. Groza wyczekiwania była nie do zniesienia, ale już po dwudziestu minutach gospodarz wrócił w towarzystwie wysokiego, szczupłego mężczyzny z brodą i w okularach. Na widok Miedzianego Johna lekarz wystąpił naprzód, uklonił się i zdjawszy szkła, zaczął je przecierać - wyraźnie zdenerwowany.

- Pan jest ojcem? - spytał ściszym głosem.

- Tak. Błagam pana... co jest mojemu synowi? Monsieur Getif przełknął ślinę i rozłożył ręce.

- Bardzo mi przykro, ale musi się pan przygotować na wielki szok. Pański syn był poważnie chory na *congestion pulmonaire*^{*7}. Zrobiłem, co w mojej mocy, ale choroba okazała się zbyt zaawansowana.

- Co właściwie próbuje mi pan powiedzieć?

- Odwagi, monsieur... Pański syn zmarł wczoraj o piątej rano... Ciało jest w pokoju na górze.

Miedziany John nie odpowiedział. Patrzył za okno, na brukowaną, pełną pyłu ulicę, nie widząc lekarza ani współczujących, zaciekawionych twarzy właścicieli.

⁶ * To ojciec: Co za nieszczęście! Trzeba pokazać mu pokój...

⁷ * gruźlicę płuc

Zaturkotał jakiś wóz, furman pokrzykiwał na konie, trząsał z bata, pobrzękiwały dzwoneczki uprząży, po drugiej stronie placu zegar wybił godzinę. John Brodrick rozluźnił węzeł fularu i zacisnął dłoń na lasce.

- Czy mogę tam pójść? - spytał po chwili.

Lekarz poprowadził go na schody; z tyłu postępował gospodarz z żoną. Weszli do pokoju na pierwszym piętrze z oknem na ulicę. Szczelnie zsunięte story nie dopuszczały światła, przy wezglowiu i w nogach łóżka płonęły świece. Henry spoczywał pod białym prześcieradłem i tylko twarz pozostała odsłonięta. Wyglądał bardzo młodo i spokojnie. Na krześle pod ścianą leżały starannie złożone ubrania, na półce nad kominkiem - portfel i klucze. Zona właściciela pierwsza przerwała milczenie, szepcząc kilka słów.

- Mówi, że nikt tu niczego nie ruszał - przetłumaczył lekarz. - Wszystko leży tak, jak zmarły poukładał.

- Jak długo tu mieszkał? - spytał Miedziany John.

- Sześć dni. Zachorował w nocy, zaraz po przyjeździe. Nie pozwolił nam napisać do Anglii, powiedział, że nie chce wzbudzać niepokoju.

- Wspominał coś o rodzinie? O mnie?

- Nie, monsieur, był na to za słaby. Po prostu leżał, bardzo cierpliwie i spokojnie. Madame słyszała rano, jak kaszłał, weszła do pokoju i zastała go w agonii. Posłała po mnie, ale było za późno... Naprawdę bardzo nam przykro, monsieur...

- Dziękuję państwu. Jestem bardzo wdzięczny za wszystko, co państwo zrobili.

Wycofali się po kolei, zostawiając go z synem. Przysunął sobie krzesło i usiadł przy łóżku. Zza okna dobiegał turkot wozów i brzęk uprząży. Ktoś kogoś wołał, w domu naprzeciwko jakaś kobieta śpiewała.

Miał sporo do załatwienia. Trzeba zabalsamować ciało, zorganizować pogrzeb w Paryżu. Później spróbuje przewieźć trumnę do Anglii. Nie chciałby dręczyć się myślą o synu, leżącym samotnie w obcej ziemi. Musi zawiadomić Barbarę, Roberta Lumleya, Flowerów... tyle listów do napisania... Henry miał dwadzieścia osiem lat. Trzy miesiące temu obchodził urodziny, po śmierci wyglądał jednak młodziej, znacznie młodziej. Miedziany John przypomniał sobie, jak razem z Sarą odwiedził kiedyś chłopców w Eton. Później, w Oksfordzie, poznał ty-

lu jego przyjaciół. Henry zawsze tak się cieszył z wizyt... On, ojciec, nigdy w życiu nie musiał go uderzyć, nigdy nie widział w nim żadnej wady. A w ostatnich latach, kiedy ruszyła kopalnia, miał w nim prawdziwego przyjaciela. Na pewno Henry niedługo by się ożenił i osiadł z żoną w Clonmere... Teraz posiadłość przejdzie na Johna... John Brodrick wciąż siedział na krześle, wpatrując się w ciało syna; z coraz niższych świec kapały na podłogę krople wosku.

Po godzinie zapukano do drzwi. Zona hotelarza zapytała, czy nie zszedłby na dół, żeby coś przegryźć. Musi być silny, nie wolno mu się poddawać.

Tak, tak, życie powinno toczyć się dalej. Trzeba jeść, pić, podejmować plany, spać - to wszystko składało się na egzystencję, śmierć Henry'ego nic tu nie mogła zmienić.

Miedziany John zszedł do niewielkiej salki i samotnie zjadł obiad. Później zjawił się lekarz i razem udali się do domu mera, monsieur Jacques'a-Theodore'a Leroux, gdzie czekały już odpowiednie dokumenty. Lekarz i mer podpisali świadectwo zgonu oraz pozwolenie na zabalsamowanie i przewóz zwłok do Paryża. Załatwianie formalności poprawiło nieco nastrój Miedzianego Johna. Przynajmniej miał coś do roboty, nie trawił czasu na samotnych rozmyśleniach. Spacerował potem po Sens aż do zmierzchu, a następnie wrócił do hotelu i raz jeszcze zajrzał do pokoju syna. Zupełnie jakby spodziewał się jakiejś zmiany - może Henry się poruszył albo ktoś grzebał w jego rzeczach? Ale zmarły leżał spokojnie jak przedtem i tylko mocno nadtopione świece płonęły coraz słabiej w swych lichtarzach. Miedziany John pogasił je starannie, czując, że dokonuje czegoś ostatecznego. To było jego pożegnanie z Henrym.

Opuścił potem pokój, zamykając za sobą drzwi. Poprosił hotelarza o papier, atrament i pióro. Kiedy podpisywał świadectwo zgonu, przypomniał sobie, że od dwóch miesięcy nie wysyłał do Roberta Lumleya raportów o stanie kopalni i wspólnik, którego zawiadomił w maju, iż właśnie wybiera się w podróż, może się niepokoić. Na szczęście zabrał ze sobą dane z ostatnich sześciu miesięcy. Dobrze by było, gdyby i Lumley otrzymał kopię dla porównania.

Umoczył pióro w kałamarzu i zaczął pisać.

Hotel „de l'Ecu”, Sens, Dept. De Yonne, France

Szanowny Panie Lumley,

Na pewno dotrze do Pana wiadomość, że podróż biednego Henry'ego do Włoch, przedsięwzięta celem poratowania zdrowia, okazała się daremna. W drodze powrotnej udało mu się dotrzeć tylko do francuskiego miasteczka Sens, gdzie w trzecim dniu bieżącego miesiąca wyzionął ducha. Był to dla mnie i całej naszej rodziny ciężki cios, ale modlimy się do Najwyższego, byśmy potrafili mężnie go znieść. Zakładam, że otrzymał Pan 1499 funtów tytułem tantiem za ubiegły rok. Nowa kopalnia, jak dotąd, nie przynosi zysków, chociaż mam nadzieję, że okaże się nawet bardziej dochodowa niż pierwsza...

TLR

KSIEGA DRUGA

John Chart

1828-1837

TLR

Lato roku 1828 mijało powoli - Johnowi w Lincoln's Inn wydawało się, że dni nie mają wprost końca. Kiedy stojąc w oknie swego pokoju, patrzył na wąski, duszny dziedziniec, myślał o morzu szturmującym brzegi wyspy Doon i bystrym potoku u podnóża Clonmere. Praca, jak zwykle, mało go interesowała, toteż przeważnie rozpierał się w krześle, ogryzając koniec ołówka i nie przejmując się plikiem dokumentów na biurku. Od czasu do czasu pojawiał się kancelista i prosił o taki czy inny wypis z kartoteki - wyszukiwanie odpowiedniej pozycji ciągnęło się w nieskończoność. John tęsknił za domem bardziej niż kiedykolwiek. Teraz, po śmierci Henry'ego, z łatwością mógłby porzucić tę fałsz, jaką było studiowanie prawa w Londynie, miał przecież naturalne i zgodne z prawdą usprawiedliwienie: jest potrzebny w Clonmere. A jednak coś go przed tym wstrzymywało - jakiś dziwny stan umysłu, którego nie potrafił się pozbyć od czasu śmierci brata. W ciągu owych długich tygodni w Londynie wciąż dokuczało mu poczucie winy, że pozostał żywy, podczas gdy Henry, o całe niebo lepszy, spoczywa zimny i sztywny na ponurym francuskim cmentarzu. Gdyby to on, John, znalazł się na jego miejscu, nie miałoby to aż tak wielkiego znaczenia i rodzina szybko by o nim zapomniała, ale Henry? Taki wesoły, inteligentny, uwielbiany przez siostry, niemal ubóstwiany przez ojca - czyż ktokolwiek mógłby go zastąpić? Nie, nigdy nie pogodzą się z tą stratą, będą w kółko omawiać okoliczności jego choroby, będą wzdychać i snuć wspomnienia, tak samo jak wtedy, w Lle-tharrog, po powrocie ojca z Francji.

- To właśnie tamtej nocy tak się przeziębił - mówiła Barbara. - Pamiętacie, jak w następnym tygodniu wrócił do Bronsea z wysoką gorączką i potem leżał w łóżku aż do Bożego Narodzenia?

- A przecież - zareplikowała Eliza - Henry'emu często zdarzało się zmoknąć do suchej nitki i nic mu potem nie było. John na pewno także wówczas zmókł, prawda, braciszku? I jakoś nie zachorował.

- Henry spisał się wtedy na medal, nigdy tego nie zapomnę - dodał ojciec. - Nic a nic się nie oszczędzał, wszystkim nam świecił przykładem.

John zaś, z rękami w kieszeniach, stał przy oknie i patrzył na zadbane ogródki Barbary, wyczuwając w głosie ojca podświadomy wyrzut. Gdyby tamtej no-

cy bardziej przyłożył się do pracy, być może Henry nie wzięłby na swoje barki aż tyle. Już dawniej ojciec i siostry nie mieli zeń wielkiego pożytku, a teraz tylko on jeden im został i -niestety - ich zawiódł. Wiedział, że powinien postarać się zająć miejsce Henry'ego i pozyskać nie tyle uczucia, ile szacunek ojca, przyjmując na siebie część jego obowiązków, na przykład w Bronsea. Powstrzymywała go jednak nieśmiałość, kompleks niższości i obawa, że cokolwiek zrobi czy powie, ojciec pomyśli: „Jakiż on beznadziejny w porównaniu z Henrym!”. Dlatego John wolał nie robić nic, po prostu zapadał się w sobie coraz bardziej i milczał. Zamiast towarzyszyć ojcu do Bronsea, brał wędkę i szedł łowić ryby w strumieniu poniżej zabudowań gospodarczych, nie przestając przy tym wspominać zmarłego brata. Ciekawe, o czym on myślał w ostatnich dniach życia, kiedy leżał samotny i chory we francuskim hotelu? Siostry w salonie wymieniały uwagi typu: „John jest doprawdy strasznym egoistą. Wcale się nie przejął śmiercią Henry'ego”. I tylko jedna Jane, która odgadła, jakie piekło przeżywa jej brat, podchodziła czasem i obejmowała go za szyję, nawet ona jednak, mimo swej intuicji, nie znała strasznych myśli, które chodziły mu po głowie. Po dwóch tygodniach wrócił do Londynu, a kiedy w sierpniu, podczas koszmarnych upałów, ojciec poprosił go w liście, by jak zwykle przyjechał do Clonmere, John odpowiedział, że ma mnóstwo pracy i raczej nie wybierze się tego lata za wodę. Na tak oczywiste kłamstwo ojciec już nie zareagował, nadszedł natomiast długi i pełen wyrzutów list od Barbary: żadne z nich nie rozumie, co go opętało, on chyba w ogóle nic a nic nie czuje do rodzinnego domu. Potem John, gryząc obsadkę w dusznym londyńskim biurze, próbował wytłumaczyć swej siostrze, że przed przyjazdem wstrzymuje go nie co innego, jak właśnie nadmiar uczuć. Oczyma duszy widział siebie, przyszłego dziedzica, obchodzącego swe włości z ojcem. Omawialiby pewnie ewentualne zmiany, spoglądaliby na okna i mury z szarego kamienia... A potem cała radość prysłaby niczym bańka mydlana, bo przypomniałby sobie, że to wszystko zawdzięcza tragedii, że w gruncie rzeczy nie ma żadnego prawa do Clonmere, które należało się Henry'emu. Ojciec też o tym wiedział i z pewnością, spacerując z Johnem przed zamkiem, myślałby o tym samym. Nie, to na nic się nie zda. Barbara nie zrozumie, o co mu chodzi. John podał list i drugiego już nie napisał. Niech sobie myślą, co chcą. Zamiast do domu pojechał do Norfolk, gdzie jego stary przyjaciel z Oksfordu hodował wyścigowe charty. Potem już John przez całą jesień i zimę wymykał się tam pod pierwszym lepszym pretekstem. Myślał i mówił tylko o chartach, gdyż jak zwierzał się przyjaciółom: „Psy to jedyne istoty, jakie rozumiem i jakie mnie rozumieją”. Uważał charty za stworzenia piękne, wrażliwe i delikatne. Te z dobrym rodowodem, dobrze ułożone, są bardziej skłonne do popisów, lubią błyszczeć, ale brak właściwego treningu jest błędem nie do naprawienia. John każdego psa traktował indywidualnie, wiedział,

czego się po nich spodziewać danego dnia: jedne przy deszczu i wietrze traciły wigor i chęć do współzawodnictwa, inne ścigały się do upadłego w każdą pogodę. Miał dla nich wiele czułości, gładził je delikatnie swymi silnymi, kwadratowymi dłońmi. Potem nadchodziła pora na trening, a jeszcze później John zbierał nagrody za swe zdolności i cierpliwość: sama gonitwa, zakłady, wrzaski widzów... I pomyśleć, że Lightfoot, który z początku wydawał się tak delikatny i nerwowy, w kilka minut udowodnił swą wartość na oczach tłumu, dopadając po szaleńczym pościgu przerażonego zająca. Raz jeszcze Johnowi gratulowano, klepiąc go po plecach, raz jeszcze do jego rąk trafił srebrny puchar, a drżący z podniecenia i rozkoszy Lightfoot nie odstępował pańskiego kolana.

W marcu sezon wyścigowy dobiegł końca i John, który od pół roku myślał wyłącznie o swoich chartach, stanął wobec konieczności spędzenia następnego lata w Londynie. Musiał albo uzupełnić zaległości w pracy, albo porzucić na zawsze farsę Lincoln's Inn i osiąść przy ojcu i siostrach w Clonmere. Gdyby wybrał to drugie, mógłby sobie rozkosznie leniuchować przez całe lato, jesienią trenować w sąsiedztwie psy, aby po Bożym Narodzeniu, kiedy rodzina wróci do Lletharrog, przywieźć je znowu do Norfolk. Perspektywa wydawała się zbyt kusząca, by z niej zrezygnować. John zastanawiał się też, czy nie wyszedł na głupca, reagując tak gwałtownie na śmierć brata. To była tragedia, a tragedie mają to do siebie, że w miarę upływu czasu stają się mniej dotkliwe. Nikt na świecie nie mógłby czuć urazy, że został dziedzicem Clonmere, a już najmniej sam Henry.

Tak więc w maju John pożegnał się ze swymi plikami papierów i atramentem, otrzepał z butów kurz Lincoln's Inn i w poczuciu odzyskanej wolności wsiadł na statek pocztowy do Slane, następnie zaś wraz z chartami i towarzyszącym mu psiarczykiem wyruszył do Doonhaven. Kiedy dotarł do wzniesienia drogi za kopalnią na Hungry Hill i spojrzął na szarą bryłę Clonmere przy ujściu potoku, ogarnęło go dziwne uczucie dumy i zachwyty, jakiego nigdy dotąd nie zaznał. Clonmere w jego oczach stało się czymś osobistym, bardziej znaczącym - pięknym obiektem, który pewnego dnia stanie się jego własnością.

Sam przyjazd do domu okazał się bardzo miłym wydarzeniem. Ojciec i siostry wyszli daleko na drogę, aby Johna powitać, nie było ani śladu chłodu czy skrepowania. Ojciec uściskał mu serdecznie rękę, zauważył, jak dobrze wygląda, wypytywał o charty. Psy od razu zeskoczyły na ziemię, prezentując się z dumą, a potem cała rodzina udała się spacerkiem do zamku. Szli ścieżką nad potokiem, gawędząc ze śmiechem - siostry trzymały go z obu stron pod rękę. Poniżej drzew

ziemia ugięła się pod nogami, powietrze pachniało już wczesnym latem; John chłonał pełną piersią ów niepowtarzalny aromat sosen, pierwiosnków, rododendronów i słonego przybrzeżnego mułu, odsłoniętego przez odpływ.

Koło ujścia potoku wyszli z lasu i przystanęli przy wodnym ogródku Jane. Podziwiali wspólnie nowe gatunki roślin, krytykowali wyłożoną kamieniami ścieżkę, potem zaś skręcili do szopy na łodzie, gdzie jakiś człowiek pilnie malował żaglówkę Johna; obok na wodzie kołysał się gig*⁸. Wszyscy się uśmiechali, wszyscy byli zadowoleni, John także poczuł w sercu jakieś nieznane dotąd ciepło, coś, czego nie potrafiłby wyrazić. W domu pobiegł prosto do pokoju na wieży. Były tam jego strzelby, wędki, stare szkolne książki o sfatygowanych okładkach, obrazki przedstawiające kaplicę w Eton i dziedziniec kolegium w Oksfordzie, a także gablotka z motylami (ta pasja trwała tylko jedno lato) i kolekcja ptasich jajek. Na półce nad kominkiem leżały przeróżne skarby, gromadzone od czasów dzieciństwa: krzemień z Hungry Hill, dziwny kamyk o kształcie podobnym do jajka, znaleziony na wyspie Doon, kawałek zeschłego mchu z bagien wokół Kileen.

- Jutro idziemy na łososie - zapowiedział Jane. Przytrzymał ją na długość ramienia i przekrzywiając głowę, zauważył: - Wiesz? Robisz się coraz ładniejsza.

Dziewczyna zaczerwieniła się i powiedziała, żeby nie gadał głupstw.

- Pozuje do portretu - odezwała się Barbara. - Wszyscy uważamy, że podobieństwo jest świetnie uchwycone, chociaż Willie Armstrong jest zdania, iż portret nie oddaje jej sprawiedliwości.

Rzeczywiście w salonie stały sztalugi, a na mokrym jeszcze płótnie widniała replika Jane, która stała obok brata w nowej kremowej sukni, kupionej tej zimy w Bath, i w naszyjniku z pereł. Ciepłe brązowe oczy miały tak dobrze mu znany wyraz zadumy z odrobiną niepewności.

- A co Dick Fox mówi o tym portrecie? - spytał.

- Och, jest zachwycony, rzecz jasna - odparła Eliza. - Przychodzi na każde posiedzenie i zabawia Jane rozmową, żeby się nie nudziła. Pewnie dlatego ma na portrecie taką głupawą minę.

⁸ * wiosłowa łódź wyścigowa o smukłych kształtach i płaskiej ściętej rufie

John, zerknąwszy na siostrę, zauważył, że słowa Elizy ją zabolęły i że jest bli-ska łez. Uśmiechnął się do niej i pokręcił głową.

- Nie przejmuj się Elizą - szepnął. - Te winogrona są bardzo kwaśne. -I szyb-ko zmienił temat.

A więc Jane dorasta, myślał przy obiedzie. Jest zakochana w Dicku Foksie z wyspy Doon. Zdawałoby się, że zaledwie wczoraj czytała baśnie przy kominku w starym dzieciennym pokoju. Dick Fox to z pewnością porządny chłop... Mimo to John poczuł w sercu igielkę zazdrości. Oto jego ukochana siostrzyczka, a zara-zem świetna kom-panka, patrzy przychylnym okiem na innego mężczyznę. Sama myśl, że jakiś parszywy oficerek z garnizonu mógłby ją całować, może nawet obmacywać, była nie do zniesienia.

- ...dlatego chciałbym zasięgnąć twojej rady w sprawie tej dzierżawy, zanim ostatecznie podpiszę umowę - mówił do niego ojciec, odkładając nóż i widelec.

John drgnął.

- Tak, ojcze, oczywiście, będzie mi bardzo miło - wybąkał, nie mając poję-cia, o co chodzi.

Barbara szturchnęła go kolanem.

- Zawarłem porozumienie - kontynuował Miedziany John - na mocy którego miałem otrzymać połowę zaległej sumy i wypuściłem mu ziemię za sto trzydzie-ści funtów rocznie. Oczywiście nie zobaczyłem ani pensa, toteż zapowiedziałem mu na piśmie, że ma się wynieść do końca marca, czego nie uczynił do tej pory. Sam widzisz, że nie sposób tego tolerować.

- O, tak ojcze, absolutnie nie sposób.

- Zamierzam dołożyć wszelkich starań, żeby ustanowić stałą komunikację między Doonhaven a Denmare, a do tego potrzeba nam dobrej drogi. Zgodzisz się chyba, że posiadłości Roberta Lumleya i lorda Mundy'ego kolosalnie na tym zyskają, a jeśli na dodatek powstanie trakt od jezior, poprzez Denmare, Doon-haven i Mundy do Slane, to moim zdaniem goście z zachodu będą woleli wracać tamtędy niż tą samą drogą. Wówczas spokojnie możemy zbudować w Doon-haven zajazd, co może zachęcić dżentelmenów do zatrzymania się w tej okolicy. Co o tym sądzisz, synu?

- Jestem dokładnie tego samego zdania.

- Nie wiem, czy rząd ma dość pieniędzy na ten cel, ale oczywiście zasięgnę wszelkich informacji. Mogliby zrobić to wszystko na własne ryzyko. Otwarcie komunikacji z zachodnią częścią kraju to sprawa wielkiej wagi, można by tą drogą zaopatrywać okręty na wypadek wojny. Mam nadzieję, że nasi ministrowie nie wywołają nieoczekiwane jakiejś awantury, bo wtedy wszyscy wpadniemy w tarapaty.

- Też mam taką nadzieję, ojczu.

W gruncie rzeczy mało go to interesowało, ale starał się nadać głosowi na tyle przekonujące brzmienie, by ojciec czuł się usatysfakcjonowany.

- Nawiasem mówiąc, Flowerowie są już w zamku Andriff - powiedziała Barbara. - Byli, jak zwykle, za granicą, dopiero co wrócili. Z przyjemnością stwierdzam, że Fanny-Rosa nie jest już taką trzpiotką i dzikuską. Pobyt za granicą utemperował ją nieco i dobrze wpłynął na jej zachowanie. Ale i tak robi, co chce, a biedna pani Flower nad młodszą córką także nie panuje.

- Podobno w Fanny-Rosie zakochał się rozpaczliwie jakiś Włoch -dodała Eliza. - Nawet utytułowany, ale żonaty.

- Nigdy nie nadstawiaj ucha na skandale, Elizo - upomniał ją ojciec. - Nic dobrego z tego nie wynika, nie tylko dla tego, kto o nich rozpowiada, ale i dla tego, kto słucha. Przejdźmy do biblioteki, John, pokażę ci na planie Hungry Hill miejsce, w którym prowadzimy dalsze wiercenia. Miedź tam jest, i to niezbyt głęboko, więc koszty będą niewielkie.

John posłusznie poszedł za ojcem i udawał, że interesują go cyfry i kalkulacje, ale myślą cały czas wybiegał ku Fanny-Rosie. Nie widział jej od osiemnastu miesięcy, od owego niezapomnianego pikniku na Hungry Hill, kiedy to trzymał ją w ramionach nad jeziorem, a Henry odpływał na Barbados. Podczas upalnego lata w Londynie zastanawiał się, jak często brat widywał ją w Neapolu. Czy zmartwiła się jego śmiercią? Te myśli powiększyły tylko zamęt w głowie Johna a Fanny-Rosa stała się dla niego kimś wyjątkowym - pięknym, niedościgłym marzeniem, dziewczyną z dalekiej krainy, której nie spodziewał się już zobaczyć. Pewnie wyjdzie za jakiegoś Włocha, a po latach zjedzie do zamku Andriff z gromadką dzieci i z pretensjonalnym mężem, sama także krzykliwa, gruba i bez śladu dawnego wdzięku...

Umyślnie próbował wytworzyć przed oczami taki obraz, aby pozbyć się bólu. Myśl o ewentualnym małżeństwie Fanny-Rosy z cudzoziemcem, o tym, że mogłaby zniknąć z życia jego, Johna, na zawsze, sprawiała mu teraz jakąś dziwną,

chorobliwą satysfakcję. Jego Fanny-Rosa, zjawą zrodzona z piękna Hungry Hill, stała się odtąd tylko wspomnieniem, podczas gdy tamta, która wciąż gdzieś żyła, nie miała z nim nic wspólnego. Teraz zaś owo starannie pielęgnowane wspomnienie zostało zniszczone, i to przez prawdziwą Fanny-Rosę, nie żadnego tam ducha, ale dziewczynę z krwi i kości, w dodatku nadal wolną. Nawet gdyby się pokładała ze wszystkimi Włochami z Neapolu, już za tydzień przyjedzie do Clonmere (tak powiedziała Barbara), w dodatku jeszcze piękniejsza niż dotąd. Może zechce obejrzeć charty? Na wszelki wypadek zapowiedział Jimowi, że wszystkie psy muszą być czyste, wyszczotkowane i mimo upału mieć na sobie kubraczki, gdyż czerwone i szare zdobienia są naprawdę eleganckie, a wielkie inicjały „JLB” wspaniale się odcinają od tła.

Na dwie godziny przed przybyciem gości ogarnął go lęk. Ze ściśniętym sercem powędrował na sam koniec parku i usiadłszy pod ostatnią jodłą, wpatrywał się w wyspę Doon. Może lepiej będzie wsiąść na łódź i zniknąć na cały dzień, nie wracać do domu i nie spotykać się z Flowerami? Nagle poczuł, że wcale nie chce widzieć się z Fanny-Rosą ani z nią rozmawiać, a jeśli już, to wcale nie o tym, co sobie zaplanował. Ona na pewno nie znosi chartów, jego trofea skwituje pogardliwym uśmiechem i cały czas będzie trajkotać o Włochach z Neapolu. Ten dzień to istna katastrofa, błąd od początku do końca... O, teraz słyhać powóz. Wyminął już łuk z rododendronami i skręcił ku domowi. Z oddali dobiegał głos Barbary i dość irytujący piskliwy śmiech Elizy. Barbara zawołała: „John! John!”, ale chłopak nie ruszał się spod drzewa, zdecydowany nie pokazywać się gościom. Zastanawiał się tylko, jakby tu przemknąć się niepostrzeżenie do swego pokoju na wieży. Głosy stopniowo ucichły, pewnie wszyscy weszli już do domu, za to pojawił się Casey, żeby odprowadzić powóz i zabrać konie do stajni. Jakiś silniejszy od Johna impuls kazał mu wstać i ruszyć z wolna przez trawnik w stronę zamku. Ręce mu drżały, więc schował je do kieszeni. Wtem uświadomił sobie, że z okna salonu ktoś go obserwuje.

- Jak się masz, John?

Podniósł wzrok i uśmiechnął się szeroko, gdyż stała tam Fanny--Rosa, jego zjawą z Hungry Hill. Osiemnaście miesięcy, które minęły od ich ostatniego spotkania, przestały istnieć, liczył się tylko wciąż żywy w pamięci Johna dotyk jej rąk i ciepło warg, kiedy leżała w jego ramionach na rozgrzanych słońcem wrzoscach.

Potem stali obok siebie w salonie, Bob Flower szeptał mu coś do ucha, wszyscy śmiali się, rozmawiali, jedli ciasto, John słyszał, jak jego własny głos proponuje Bobowi kieliszek madery.

- Ojciec jest w kopalni - mówiła Barbara - ale wróci na obiad, jak zwykle, o piątej. Wy, panowie, lepiej zbierajcie się na ryby, póki jest pogoda.

- Też bym chciała pójść! - wykrzyknęła Fanny-Rosa. - Czyżby John nie wpuszczał pań na swą łódkę?

-Ależ... oczywiście, bardzo proszę. Nigdy nie marzyłem, że zechcesz.

I wśród radosnego zgiełku zaplanowano od nowa cały dzień, gdyż Jane zapragnęła towarzyszyć Fanny-Rosie, poza tym Bule Rock okazała się zbyt odległa, a morze za bardzo wzburzone. Postanowili więc płynąć na wyspę, w związku z tym należało zabrać więcej prowiantu, a dla Fanny-Rosy szal Barbary, na wypadek zbyt silnego wiatru. Jak miło wędrować razem do potoku, przygotowywać łódź... John podwinął do łokci rękawy, odrzucił do tyłu włosy, a gdy podniesiono żagiel i zamocowano rumpel, kazał Bobowi odbijać. Potem wypłynęli na otwarte wody Doonhaven i skierowali się ku długiej wyspie, za którą czekało pełne morze. Po lewej stronie błyszczał w słońcu zielony masyw Hungry Hill.

Jak dobrze przestać się boczyć, skończyć wreszcie z ciągłymi żalami, nieśmiałością, nienawiścią do samego siebie, humorami! Jak dobrze móc robić to, co się lubi - żeglować z wiatrem we włosach i Fan-ny-Rosą u boku, na rufie. Wcale się nie zmieniła, co najwyżej jeszcze wypiękniała i nabrała gracji, jakiej przedtem u niej nie widział. Zielony szal Barbary wspaniale harmonizował z oczami dziewczyny - narzuciła go niedbale na ramiona, patrząc na Johna z uśmiechem, w którym dostrzegał obietnicę, a wraz z nią - nadzieję.

- Słyszałam, że najlepiej w całym kraju znasz się na chartach -zagadnęła. - Opowiedz mi o wszystkim, co robiłeś od naszego ostatniego spotkania.

Zaczął więc mówić o chartach, z początku nieco powściągliwie w obawie, że nie będzie go słuchać, ale potem nabrał pewności siebie, aż wreszcie doprowadził ją do śmiechu, opowiadając o wyścigach, tłumach widzów oraz o drobnych intrygach i oszustwach właścicieli psów.

Bob też się zainteresował i zadawał wjele pytań. John doszedł do wniosku, że to bardzo przyjemnie przemawiać raz w życiu z pozycji autorytetu, wiedząc, że wszyscy odnoszą się z respektem do wygłaszanych opinii.

Na czas lunchu rzucili kotwicę. Zjedli zimny posiłek, złożony z pasztecików i kanapek z rzeżuchą, potem Bob, patrząc w stronę garnizonu, przypomniał Johnowi o pewnym przyjacielu, który ostatnio zaciągnął się do tamtejszego batalionu w charakterze adiutanta. Nagle rzucono myśl, aby przybić do wyspy i zapytać o niego w kasynie. John zerknął na niewinną twarzączkę siostry, zastanawiając się, czy Dick Fox nie tkwi czasem przy lunecie w oknie kasyna.

Kiedy dotarli do kotwicowiska, Fanny-Rosa oznajmiła, że woli zostać w łodzi. Wybrała się z nimi, by nacieszyć się wodą, a nie pić wątpliwej jakości klaret w garnizonie. Jane na pewno się nie obrazi, że tylko Bob będzie jej towarzyszył, on świetnie potrafi zabawiać panie. Zatem Jane powędrowała na ląd. Wyglądała bardzo uroczo i skromnie, kiedy oddalała się ścieżką, wsparta na masywnym ramieniu Boba, i tak się dziwnie złożyło, że tą samą ścieżką nadchodził właśnie z przeciwnej strony porucznik Fox.

John wykręcił łódź i pożeglował na wschód, w stronę Hungry Hill. Teraz, kiedy został sam na sam z Fanny-Rosą, ogarnęło go jakieś dziwne skrepowanie. Nie mógł wykrztusić ani słowa, bał się, że wszystko, co powie, zabrzmii głupio albo sztucznie. Cały czas wbijał wzrok w żagiel, na swą towarzyszkę nawet nie zerknął. Tam, za wodą, był ląd, a n? nim wznosiło się ku niebu wielkie wzgórze. Wydawało się takie odległe i nierzeczywiste z wyłocnym w słońcu wierzchołkiem. I jeszcze jezioro - spokojne, zimne jezioro...

- Pamiętasz tamten wrześnieowy piknik? - spytała znienacka Fanny-Rosa.

John nie odpowiedział od razu. Chciał na nią spojrzeć, ale nie śmiał, więc tylko pociągnął nieco bliżej brezent.

- Bardzo często o nim myślę.

Poruszyła się nieznacznie, poprawiając poduszkę pod plecami. Teraz jej ramię spoczywało przy kolanie Johna, co przyprawiało go o rozkoszne męki.

- Tacy byliśmy weseli - szepnęła. - Tacy pełni radości... Mówiła miękkim, niemal smutnym głosem, jakby wspominała

przeszłość, która już nigdy nie wróci. John zastanawiał się, czy Fanny-Rosie tak mocno wrył się w pamięć ów moment na wrzosowisku, czy raczej śmiech Henry'ego. Znów ogarnęła go dawna zazdrość, wróciły dawne żale, zwątpienie, niezdecydowanie. Obrócił gwałtownie łódź i ruszył w stronę pełnego morza, byle dalej od Hungry Hill. Łódka kołysała się lekko na fali, przez burtę przelało się

trochę wody i ściekało na stopy Fanny-Rosy. Dziewczyna bez słowa zdjęła pantofle i przycisnęła się mocniej do kolana Johna.

- Często widywałeś Henry'ego podczas jego ostatnich miesięcy?

Padły wreszcie te słowa. Wprost nie mógł uwierzyć, że je wypowiedział. Tym razem zmusił się, by na nią spojrzeć, w nadziei że zobaczy na twarzy dziewczyny jakiś cień smutku, odpowiadający jego żalowi, ale jej czysty profil zwrócony był w stronę morza. Strząsnęła wodny pył z włosów i schowała bose stopy pod suknię.

- Owszem - przyznała. - Chyba podobało mu się w Neapolu. Wielka szkoda, że wyjechał tak szybko, zmęczony i niezdrów. Bardzośmy to wszyscy przeżyli.

Głos jej brzmiał jednak obojętnie i konwencjonalnie. Chyba gdyby zależało jej na Henrym albo jemu na niej, nie mówiłaby tego tak lekko?

- Henry zawsze lubił ludzi, a także nowe miejsca. Pod tym względem różniliśmy się od siebie.

- Ty w ogóle go nie przypominasz. Jesteś ciemniejszy i mocniej zbudowany. Henry był bardziej podobny do Barbary.

To wszystko nie ma znaczenia, myślał John, podczas gdy łódka przechylała się na wietrze, czy mam ciemne, czy jasne włosy albo kto jest do kogo podobny. Chciałbym wiedzieć tylko jedno: co oni naprawdę do siebie czuli w tym Neapolu i czemu Henry tak nagle wyjechał, a jego zdrowie gwałtownie się pogorszyło. Kochali się, a potem pokłócili? Czy ostatnią istotą, o której myślał, leżąc w hotelowym pokoju w Sens, była ta sama Fanny-Rosa, która teraz przy mnie siedzi? Łódź zanurzyła się głębiej, morze załśniło w słońcu, Fanny-Rosa ze śmiechem uklękła i przywarła do jego ramienia.

- Chcesz mnie utopić? - spytała, odsuwając mu włosy z czoła.

- Nie chcę - odparł, kierując łódź pod wiatr i puszczając rumpel, żeby wziąć w ramiona dziewczynę, bo właśnie całowała go w usta.

Zrozumiał wtedy, że ani on, ani nikt inny nigdy się nie dowie, co zaszło w Neapolu. Historia mężczyzny, który doznawszy zawodu, wyjechał, aby umrzeć w samotności we francuskim hoteliku, jeśli rzeczywiście się wydarzyła, to i tak nie zostanie opowiedziana. Sekret przez cały czas spoczywa w sercu Fanny-Rosy, John zaś może się zastanawiać, mieć wątpliwości, kreować w wyobraźni

najrozmaitsze obrazy, ale i tak do końca będzie go nachodzić owa bezsensowna zazdrość, nigdy się z niej nie uleczy

Henry umarł. Wesoły, czarujący Henry nie należał już do tego świata, Fanny-Rosa natomiast żyła, i to John trzymał ją w ramionach. Przecież takie szczęście nie mogłoby się zmienić w truciznę.

- Wyjdiesz za mnie, Fanny-Roso?

, Uśmiechnęła się i wysunęła z jego objęć. - Zatopisz tę łódkę, jeśli nie będziesz uważał. 7 Chwycił rumpel i brezent, po czym wziął kurs z powrotem na wyspę.

- Nie odpowiesz na moje pytanie?

- Mam zaledwie dwadzieścia jeden lat. Nie myślę jeszcze o małżeństwie i statecznym życiu. Jest tyle zabawnych rzeczy, którymi można się zająć...

- Co masz na myśli?

- Na przykład podróże. Lubię jeździć na kontynent i robić, co mi się podoba.

- Małżeństwo ci w tym nie przeszkodzi.

- Nie, to już nie to samo. Na kontynencie byłabym tylko panią Brodrick. Panowie mówiliby: „Ach, ona jest mężatką”, i nie zwracaliby na mnie uwagi. Musiałabym nosić w domu czepek, jak moja matka, rozmawiać o konfiturach, robótkach i służbie... Nie, to mnie nie interesuje.

- Wcale nie oczekuję, że będziesz rozmawiała o takich sprawach. Jeśli zapragniesz podróżować, to czemu nie? Możemy podróżować, możemy pływać łódką, a jeśli kiedyś przy śniegu i mrozie przyjdzie ci ochota na jazdę do Slane, to pojedziemy, choćby konie miały paść po drodze. Zobaczysz, będę bardzo potulnym mężem.

Roześmiała się i zerknęła na niego kątem oka.

- Też tak myślę, ale co ty będziesz z tego miał?

- Ciebie. Czy to nie dosyć dla każdego mężczyzny?

Patrzył na nią i już wypowiadając te słowa, wiedział, że się myli. Ona nigdy nie będzie należała ani do niego, ani do żadnego innego człowieka, ponieważ ten, kto ją poślubi, zyska co najwyżej cząstkę -uśmiech, pieszczotę czy też coś inne-

go, co ona raczy mu ofiarować pod wpływem impulsu. Ale ta prawdziwa Fanny-Rosa wymknie mu się, ucieknie.

Podpłynęli znów do wyspy, gdzie na grobli czekali już Bob Flower, Jane, adiutant oraz Dick Fox. Obecność postronnych osób i ogólna rozmowa sprawiły, że nastrój intymności prysnął, trzeba było odłożyć sprawę na inny dzień.

- Zabieramy kapitana Martina i porucznika Foxa na obiad do Clonmere - oznajmiła Jane, po czym wszyscy wpakowali się na łódź, a przeklęty Martin wciąż zerkał z podziwem na Fanny-Rosę.

Popłynęli więc z powrotem, w górę potoku, zacumowali łódź w zwykłym miejscu i spieszenie ruszyli w stronę zamku, gdyż zbliżał się wieczór. John włókł się z tyłu, obserwując, jak reszta towarzystwa oddala się brzegiem skarpy. Obie siostry wyszły im na spotkanie; Eliza zachnęła się na widok obcego oficera. Kapitan Martin odczekał, wyprostowany, aż Fanny-Rosa odda Barbarze szal i podziękuje jej, a potem zaczął podziwiać wodny ogródek.

Fanny-Rosa pokazała mu świeżo rozkwitłe irysy, oglądając się przez ramię, by spytać o coś Barbarę. Słońce igrało na jej włosach, gdy pochylała się w skupieniu nad kwiatami, John zaś zrozumiał w tym momencie, że żaden obraz z jego wyobraźni, wykreowany podczas samotnych godzin, nie może równać się z owym wcielonym wdziękiem, który ogląda teraz na własne oczy. Zjawą z jego marzeń ożyła, napełniając go od nowa szczęściem i bólem.

- Nie jesteście zmęczeni? - spytała Barbara, kiedy znaleźli się przed zamkiem.

- Nie - odparła Fanny-Rosa. - Ja nigdy się nie męczę, jest tyle rzeczy wartych obejrzenia i poznania...

Spojrzała przelotnie na Johna, wciąż zajętego przy łodzi, a potem przeniosła wzrok na szare, solidne mury, otwarte okna, wieżę, wreszcie na wysokie drzewa z tyłu zamku.

- Jak tu ślicznie! - zauważyła, odgarniając loki na plecy. - Przypuszczam, że teraz, kiedy Henry nie żyje, wszystko to przejdzie na Johna?

- Tak - odparła Barbara - posiadłość podlega prawu majoratu, oczywiście, jak zresztą cały majątek. Biedny Henry! A jednak z nich dwóch to John był zawsze bardziej przywiązany do Clonmere.

Fanny-Rosa nie odpowiedziała, zdawała się nie pamiętać swego pytania. Nisko pochylona, klepała po grzbiecie teriera, który wyszedł na schody, aby ich powitać.

Jak ona się zmieniła na korzyść, myślała Barbara. Taka jest urocza, czytana, nie ma w niej ani śladu tamtej głupiutkiej, frywolnej dzikuski, nieodrodnej córki Simona Flowera. Nawet doktor Armstrong, najsurowszy z krytyków, nie może odmówić jej urody ani dopatrzeć się ukrytych za gładką buzią wad.

2

Pewnego ranka w porze śniadania przyjechał z Duncroom parobek z wiadomością, że Robert Lumley dostał poprzedniego dnia jakiegoś ataku i raczej już długo nie pożyje. Miedziany John natychmiast zamówił powóz i wyruszył do rezydencji swego współnika. Zastał go bez przytomności; według opinii wezwanego wcześniej doktora Armstronga, chory miał przed sobą zaledwie kilka godzin. Zaraz wysłano list do jego syna Richarda, nieobecnego w kraju, ale było mało prawdopodobne, by ten zdążył zobaczyć ojca żywego. Richard Lumley nigdy nie był w dobrych stosunkach ze swą siostrą, panią Flower, a o jej mężu miał jak najgorszą opinię, toteż gdy pani Flower zjechała do Duncroom zaraz po Miedzianym Johnie, bardziej obawiała się rodzinnych scysji i spotkania twarzą w twarz z bratem niż perspektywy bliskiej śmierci ojca.

- Zobaczcie - mówił Miedziany John do swych dzieci następnego dnia - gdy tylko doktor Armstrong ogłosi, że staruszek wyzionął ducha, Simon Flower otrzyma to, na co zasłużył, a co wulgarnie nazywa się kopniakiem w tyłek. Bardzo bym się zdziwił, gdyby on albo jego żona mieli udział w spadku.

- Będzie to dość przykre dla pani Flower i dziewcząt - zauważyła Barbara. - Mimo wszystko pan Lumley zawsze był do nich przywiązany i kiedy przyjeżdżał do kraju, wiele czasu spędzał w zamku An-driff, nawet więcej niż w Duncroom. Na pewno coś im zostawił, a jeśli nie, Richard Lumley jakoś je zabezpieczy.

- Richard Lumley jest przypuszczalnie tak samo trudny i kłótniwy, jak jego ojciec. Niewielka to satysfakcja mieć go za współnika w kompanii. Najchętniej wykupiłbym jego udziały i przejął całe przedsiębiorstwo, ale zobaczymy, co się wydarzy.

Wyjechał do Duncroom na dwa dni, aby wziąć udział w pogrzebie i odczytaniu testamentu. Po powrocie tryskał wprost dobrym humorem.

Zdjąwszy czarną krepę z kapelusza, przede wszystkim zasiadł do porządnego obiadu. Pochłaniał pieczone jagnię z ziemniakami, niewiele się odzywając, póki nie zaspokoił pierwszego głodu.

- No cóż - rzekł w końcu, opierając się wygodnie i wodząc wzrokiem po twarzach swych dzieci. - Dziś zrobiłem naprawdę świetny interes: przekonałem Richarda Lumleya, że najkorzystniej postąpi, sprzedając mi swoje udziały w kopalni.

Krusząc machinalnie kromkę chleba, uśmiechał się na wspomnienie tamtej rozmowy.

- To absolutna prawda - ciągnął - że spekulacje związane z drugą kopalnią zawiodły. Wytknął mi to sam, a ja nie mogłem zaprzeczyć: zesłaliśmy zbyt głęboko. Kompania ostatnio musiała zapłacić z góry trzy tysiące funtów za instalację nowej maszyny parowej, a zysku nie spodziewamy się szybko. Wyznałem mu szczerze, iż z punktu widzenia właściciela nie ma bardziej ryzykownego interesu niż górnictwo. Być może poziom, do którego dotarliśmy, stanowi także granicę bezpieczeństwa. „Jestem gotów - mówiłem - prowadzić dalsze odwierty w innych częściach wzgórza, ale z jakim szczęściem - trudno przewidzieć. Jeśli pan sobie życzy, mogę zaoferować dobrą cenę za pańskie udziały i tym samym zaoszczędzić panu ewentualnej straty. Wóz albo przewóz, decyzja należy do pana”.

Miedziany John ponownie ujął widelec i nóż, zabierając się do jedzenia.

- Więc pan Richard Lumley zdecydował się sprzedać? - spytała Eliza.

- Tak jest, i z całą szczerością mogę ci powiedzieć, że nie pożałuje swej decyzji. Zapłaciłem mu za udziały zawrotną sumę, a dzierżawa gruntu opiewa na dalszych siedemdziesiąt lat. Jeśli będziesz kiedyś miał synów, Johnie, oni zdążą się już zestarzeć, a wówczas odnowią umowę albo nie, jak zechcą. - Zaśmiał się i spojrzał na córki. - Nie sądzę, by do tego czasu zostało wiele miedzi we wnętrzu Hungry Hill.

- Za siedemdziesiąt lat będzie 1899 rok - zauważyła Jane. - Wtedy wszyscy, jak tu siedzimy, będziemy w grobach.

Miedziany John nappełnił kieliszek i przysunął karafkę synowi.

- A jak wyglądał testament? - indagowała Barbara.

- Testament? - Miedziany John machnął ręką. - Dokładnie tak, jak przewidywałem. Wszystko przypadło Richardowi. Pani Flower dostała chyba legat na kilka setek rocznie i jakieś obrazy. Muszę przyznać, że zniosła to bardzo dzielnie. Mam nadzieję, iż ma tyle zdrowego rozsądku, by nie dopuszczać męża do pieniędzy. Simon Flower zachował się wręcz obrzydliwie, w życiu czegoś takiego nie widziałem. W chwili odczytywania testamentu nie mogli go odnaleźć, wreszcie okazało się, że siedzi w kredensie z lokajem (nigdy nie ufałem temu fagasowi) i w najlepsze popija z nim porto biednego nieboszczyka. Nie muszę chyba dodawać, że nie był w stanie wysłuchać testamentu teścia i zasnął w samym środku. Wątpię, by Richard Lumley wpuścił go jeszcze kiedy pod swój dach. Wychodziliśmy już, gdy Flower się ocknął. Niestety, zamiast siedzieć cicho i się wstydzić, zażądał koni. Ostatni raz widziałem go, jak wyśpiewując na całe gardło, mknął powozem przez podjazd, aż jego biedna żona musiała przytrzymać swój czepek. Zobaczycie, że któregoś dnia skręci sobie kark, zresztą na nic lepszego nie zasługuje.

- Obawiam się, że zamek Andriff niedługo się zawali, jeśli nie doczeka się remontu. Biedna pani Flower i Fanny-Rosa także! Bardzo mi ich żal.

- Nie musisz się tak martwić, moja Barbaro - wtrąciła Eliza. - Bob mi mówił, że Fanny-Rosa nie może opędzić się od wielbicieli i tylko od niej zależy, którego wybierze na męża. Ostatnio skłania się ponoć ku pewnemu utytułowanemu dżentelmenowi, krewniakowi jej wuja, hrabiego Mundy.

- Jedno jest pewne - zmienił temat Miedziany John - że choć żal mi starego Lumleya, rodzina Brodricków wyszła bardzo dobrze na całej tej sprawie.

Wstał od stołu i przeszedł do biblioteki, aby jak zwykle zająć się listami. W progu zatrzymał się na chwilę w nadziei, że John zechce mu towarzyszyć i wypytać o dalsze szczegóły transakcji. Ten jednak nie zauważył niemego zaproszenia, tylko smętnie gapił się w okno. Miedziany John przymknął na chwilę oczy i z zaciśniętymi ustami zamknął za sobą drzwi.

A więc to dlatego, myślał John, Fanny-Rosa tak mi się wymykała podczas ostatnich odwiedzin w zamku Andriff. Owszem, była mowa o jakimś kuzynie. Na pewno za niego wyjdzie, potem opuści kraj, i to będzie koniec wszystkiego. Może i dobrze, bo gdyby czekało mnie więcej takich miesięcy jak te ostatnie, ani chybi palnąłbym sobie w łeb. Wyprawa łodzią odbyła się w maju, teraz był sierpień, a Fanny--Rosa nadal wymigiwała się od odpowiedzi na zadane wówczas pytanie. Wciąż miała jakieś humory, John zaś za każdym razem przeżywał męki niepewności. Przyjmowała go obojętnie, ziewając z nudów, jak z łaski godziła

się na jego propozycje, by potrenować razem psy na wzgórzu, czepiała się wszystkiego, co powiedział czy zrobił, krytykowała charty. Mówiła, że psie wyścigi to beznadziejny sport, dobry najwyżej dla prostaków, toteż mało brakowało, a John rzuciłby to wszystko, sprzedał psy, wrócił do domu, by na zawsze zapomnieć o zamku Andriff, ale wtedy następowała zmiana wiatru, a zarazem pogody: Fanny-Rosa miękła, brała go za rękę, opierała policzek na jego ramieniu i prosiła, by wybaczył jej zły humor.

- Gdybyś za mnie wyszła, Fanny-Roso - mówił, dotykając jej włosów - zawsze byłbym przy tobie, żeby w razie potrzeby cię pocieszyć.

Nie odpowiadała. Stała tylko bliźniutko, z rękami na jego ramionach, i patrzyła w dal, na wzgórza za zamkiem i zatokę Mundy. Potem uśmiechała się tak, że aż kręciło mu się w głowie i myślał już tylko o tym, by zatracić się w miłości. A wtedy:

- Wypuśćmy jeszcze raz psy. Na pewno Hotspur będzie najlepszy, tak jak mówiłeś.

I już za chwilę dyskutowała z pasją i entuzjazmem o zaletach chartów, wypytywała o nadchodzący jesienny sezon, John zaś, ogłupiały ze szczęścia, zastanawiał się, o co w tym wszystkim chodzi, czy jej w ogóle na nim zależy, a może ta cała zabawa i nieustanne prowokacje miały służyć po prostu zabiciu czasu?

Następnym razem bywało jeszcze inaczej. Spotkali się w domu jej wuja, Mundy House, gdzie zebrało się spore grono rozbawionych gości i gdzie zapewne Fanny-Rosa poznała owego kuzyna, o którym kiedyś wspominała Eliza. Prawie się tam do Johna nie odzywała, przez co czuł się jak piąte koło u wozu, gbur, co to ma w głowie tylko psy i wyścigi. Po takich afrontach wycofywał się do swego pokoju albo wsiadał na łódkę i płynął na wyspę, zapominając o obiedzie, zupełnie jak za chłopięcych czasów. Po powrocie rzucał kilka słów zdawkowych przeprosin i padał na fotel, zasłaniając się sportową gazetą.

Jane, a także Barbara, szybko odgadły, co się święci, i dały mu spokój, ale ojciec w miarę upływu dni coraz bardziej tracił cierpliwość. Co za pożytek z syna, który nie chce rozmawiać o kopalni, nie interesuje się posiadłością, spędza całe dnie na gonieniu psów po niedochodowych wzgórzach Andriff, a kiedy wreszcie raczy zjawić się o piątej na obiad, siedzi z ponurą miną albo, co gorsza, pije za dużo porto i wygaduje głupstwa na temat polityki kraju, o którym nie ma pojęcia.

- Ty to masz szczęście, mój drogi Johnie - zauważył pewnego wieczoru, kiedy syn wydawał się jeszcze bardziej nieobecny duchem niż zwykle i nie zwracał

najmniejszej uwagi na to, co ojciec mówi o nowej kopalni. Znajdowała się ona powyżej drogi do Mundy i wszystko wskazywało na to, że będzie przynosiła największe zyski ze wszystkich trzech. - Moje posunięcia w ciągu ostatnich dziewięciu lat okazały się tak trafne, że zamiast być niefortunnym dziedzicem podupadłego lorda, staniesz się w wieku dwudziestu ośmiu lat spadkobiercą całym pokąźnym majątku. W dodatku nie musiałeś w tym celu nawet kiwnąć palcem i najwyraźniej w ogóle nie zamierzasz tego zrobić.

Przy stole zapadła cisza. Jane uparcie patrzyła w talerz, Barbara i Eliza przełykały nerwowo ślinę. John poczerwieniał. Wiedział, że nie wywiązuje się z obowiązków, ale porto Uderzyło mu do głowy, toteż nie zważał na to, co mówi.

- Święta prawda, ojczy, rzeczywiście mam diabelne szczęście. Oby z bebeczków Hungry Hill długo jeszcze płynął strumień miedzi. Piję za twoje zdrowie, a także za starego Morty'ego Donovana, którego śmierć tak bardzo pomogła nam w interesach!

Skłonił się ojcu i wypił wino jednym haustem.

Eliza wciągnęła głośno powietrze. Miedziany John wstał.

- Przykro mi - powiedział - że w tych swoich psiarniach utraciłeś resztki dobrych manier. Dobranoc.

I wyszedł sztywnym krokiem z jadalni, trzaskając drzwiami. Siostry spoglądały po sobie ze zgrozą.

- Johnie, jak mogłeś! - wykrzyknęła Barbara. - Ojciec nigdy ci tego nie wybaczy. Co ci strzeliło do głowy?

- Ze też musiałeś wspomnieć akurat Morty'ego Donovana! - dołożyła swoje Eliza. - To temat, którego zawsze unikamy. Cóż, podpisałeś na siebie wyrok, ani słowa! Chyba najlepiej będzie, jeśli wrócisz do Londynu. I wylałeś wino na obrus, na pewno zostanie plama.

Jane zbladła i wyraźnie była bliska płaczu.

- Przestań zrzędzić, Elizo. Nie widzisz, jaki jest przygnębiony?

- Przygnębiony?! Dlaczego miałby być przygnębiony? Oczywiście, ty zawsze bierzesz jego stronę, bo przymyka oko na twoje śmieszne zauroczenie porucznikiem Foxem i pewnie ułatwia wam spotkania.

- A cóż ma do tego porucznik Fox? - oburzyła się Jane.

- Dajcie spokój - odezwała się Barbara. - Nie ma sensu o wszystko się kłócić. Johnie, mój drogi, wiem, że się uniosłeś, ale może do rana zmienisz zdanie.

Musnęła wargami jego policzek i wyszła razem z Elizą. Jane prze-siadła się bliżej brata i odsunęła karafkę, zanim zdążył ją chwycić.

- O co chodzi? - spytała. A kiedy nie odpowiadał, szepnęła: -O Fanny-Rosę, tak? - Wzięła go za rękę i zaczęła się bawić palcami. -Widzisz, ja wszystko rozumiem, bo sama przez to przechodzę. Nie jestem „zauroczona” Dickiem Foxem, co za wstrętne, głupie słowo! Bardzo go lubię i wiem, że nie jestem mu obojętna, ale co z tego? Mogą go w każdej chwili wysłać za granicę, a w wojsku nie zawiera się młodo małżeństw, uważają to za nieuczciwe. John posadził ją sobie na kolanie.

- Moja biedna siostrzyczka! Jakież ze mnie podły egoista, że myślę tylko o własnych przeklętych uczuciach, a nie o tobie! Jak ten młody dureń śmie tak cię traktować? Mam ochotę stłuc go na kwaśne jabłko.

Jane zaśmiała się przez łzy.

- Tu cię mam! Nie zniósłbyś ze strony Dicka tego, co cierpisz przez Fanny-Rosę. Zresztą on w niczym nie zawinił. Czemu chłopak w jego wieku, który ma przed sobą służbę za granicą, miałby obarczać się żoną? A dlaczego Fanny-Rosa miałaby się godzić na żywot kury domowej, skoro tego nie chce?

- Masz więcej cierpliwości ode mnie, malutka. Na pewno będziesz latami czekać na swego porucznika i nie staniesz się od tego gorsza, ale ja, jeśli poczekam dłużej na Fanny-Rosę, zacznę chyba mordować.

- To oczywiste, że ona cię lubi. Widziałam, jak na ciebie patrzy. Ale jest taka śliczna, a zarazem rozpuszczona przez swego niemądrego ojca i wszystkich młodych ludzi, jakich spotykała za granicą! Trzeba jej czasu na podjęcie decyzji. Małżeństwo dla kobiety to poważna sprawa.

Przez chwilę John miał ochotę wyznać siostrze swe wątpliwości na temat Fanny-Rosy i Henry'ego, a także wszystkie stare, dawno pogrzebane obawy, ale zaraz się rozmyślił. Nikomu tego nie powie, nawet Jane, to zbyt osobisty temat, zbyt bolesny, by roztrząsać go o tak późnej porze, kiedy Jane jest w kiepskim nastroju, a on sam na rauszu.

- Wiesz? - odezwała się Jane, spoglądając na brata mądrymi brązowymi oczami. - Nie bardzo wiem, jak to powiedzieć, może w ogóle nie powinnam, ale według mnie Fanny-Rosa to gorąca, namiętna natura. Gdybyś okazał trochę wię-

cej śmiałości... to znaczy, postąpił tak, jak pragniesz... poczułaby się zobowiązana do małżeństwa.

Johnowi zrobiło się gorąco pod kołnierzykiem. Dobry Boże, że też Jane, jego skromna siostrzyczka, wymyśliła to samo, co i jemu tak często przychodziło do głowy!

- I ty dopiero za trzy tygodnie kończysz osiemnaście lat! - mruknął, obserwując ją spod oka.

- Czyżbym cię zgorszyła?

- Zgorszyła? Mnie? Nie, moja Jane. Pomyślałem tylko, jak niewiele brat i siostra wiedzą o sobie nawzajem. Ile czasu zmarnowaliśmy, nie poruszając tych tematów! Niech ci Bóg wynagrodzi dobrą radę, ale nie sądzę, by mi się przydała.

Jane wstała z kolana brata i przyglądała mu włosy.

- Nie martw się już. Na pewno wszystko się ułoży, mam takie przecucie, a wiesz, że moje przecucia na ogół się sprawdzają.

Wymknęła się z pokoju i pobiegła na górę, do sióstr. John wlał do kieliszka resztkę porto i próbował się przygotować do rozmowy z ojcem. Wiedział, że musi go przeprosić - im prędzej, tym lepiej. Jedyne możliwe sposoby to przede wszystkim dobrze się wzmocnić, potem wy-bąkać kilka słów przeprosin, obiecać poprawę i jak najprędzej wyjść. Thomas już dwa razy zaglądał, pewnie chce posprzątać, nie można dłużej zwlekać. John zastanawiał się, co powiedzieć ojcu i jak sformułować przeprosiny, żeby nie zabrzmiały zbyt sztywno i żeby nie wyjść na głupka. Wstał i poszedł przez hall do biblioteki. Oczywiście drzwi były zamknięte, więc zapukał, czując się jak Thomas, kiedy przynosi pocztę. Usłyszawszy krótkie: „Proszę”, wszedł. Ojciec siedział przy biurku, zajęty pisaniem, i John przypomniał sobie dawne szkolne czasy, kiedy coś przeskrobał i oczekiwał lania. Tym razem jednak ojciec nawet na niego nie spojrział.

- Słucham, o co chodzi? - spytał, nie odrywając wzroku od papierów.

- Chyba zanadto się uniosłem przy obiedzie. Jeśli cię obraziłem, ojcze, to bardzo żałuję.

Miedziany John przez chwilę nie odpowiadał. Potem odsunął papiery i obróciwszy się w krzesło, patrzył uważnie na syna. Bardzo mu w tym momencie przypominał wychowawcę z Eton.

- Nie obraziłeś mnie, Johnie. Po prostu rozczarowałem się do ciebie. Po śmierci Henry'ego miałem cię nadziei, że się do siebie zbliżymy. Tak się jednak nie stało i nie sądzę, by wina leżała po mojej stronie.

Zawiesił głos i John zrozumiał, że ojciec oczekuje odpowiedzi.

- Bardzo przepraszam.

- Twój brat interesował się żywo wszystkim, co wiązało się z kopalnią - ciągnął Miedziany John. - Zanim zachorował, towarzyszył mi często do biura Nicholsona, gdzie we trójkę prowadziliśmy dyskusje o bieżących sprawach, przy czym Henry od czasu do czasu miewał bardzo trafne i"»omvslv. Nie nmmvlf i si^p ch^ba, ffdy nowiem, że od swe-go powrotu do domu ani razu nie zaproponowałem, byśmy się razem wybrali do kopalni. Zresztą w sprawach posiadłości wykazujesz taką samą bierność, choć tyle jest do zrobienia. Ned Brodrick z radością przyjąłby twoją pomoc, ale podobno prawie cię nie widuje. Ja sam każdą minutę dnia mam wypełnioną pracą i nie mogę wprost pojąć, jak udaje ci się dotrzeć do wieczora w tak niepoprawnym lenistwie.

Znów wychodzi z niego pan i władca, pomyślał John. Ileż to razy w Eton słyszał podobne słowa. Raz jeszcze o władnęła nim ta sama zapiekła złość, jaką zawsze odczuwał, gdy zarzucano mu lenistwo.

- Nawet kiedy przebywałeś w Lincoln's Inn, nie przykładałeś się do pracy. To, co tobie zajmowało sześć miesięcy, ja zrobiłbym w sześć dni.

- Bardzo się od siebie różnimy, ojcze. Ty masz w sobie wrodzoną pracowitość, ja natomiast nie. Skoro mówimy szczerze, to muszę wyznać, że nie cierpię robić czegoś, co mnie nie pociąga.

Miedziany John patrzył na syna, nic nie rozumiejąc. Nagle wzruszył ramionami, jakby do niego dotarło, że dalsza dyskusja nie ma najmniejszego sensu.

- Masz teraz dwadzieścia osiem lat i ukształtowany charakter, więc nie mam już nic do dodania. Eton, Oksford i Lincoln's Inn niewiele ci dały. Ale trudno mi ukryć zawód, że mój jedyny już teraz syn odrzuca lekką ręką solidne wykształcenie i szerokie możliwości, że nie zamierza stać się odpowiedzialnym członkiem społeczeństwa, wykazuje natomiast wszelkie wady, jakie składają się na nasz nieszczęsny narodowy charakter. Mam tylko nadzieję, że nigdy nie upadniesz tak nisko, jak Simon Flower.

Gdybyś miał w sobie choć odrobinę tolerancji Simona Flowera, myślał John, jego uroku osobistego, wspaniałomyślności... Gdybyś, jak on, potrafił zrozumieć,

iż młodzi lubią żyć według własnych zasad, na pewno dogadalibyśmy się lepiej niż teraz.

- Ten kraj - mówił dalej ojciec - mógłby dojść do potęgi, gdyby tylko jego obywatele wykazali się inicjatywą i poczuciem odpowiedzialności. Niestety, podobnie jak tobie, brakuje im obu tych zalet.

- Może wcale nie pragną żyć w potężnym państwie.

- Więc czego, do diabła, chcą? - rozłościł się nagle Miedziany John. - Ponieważ jesteś jednym z nich, to może mnie oświecisz, gdyż od czterdziestu lat próbuję do tego dojść!

Johnowi zrobiło się żal ojca, z którym tak niewiele miał wspólnego. Po raz pierwszy ujrzał w nim nie człowieka sukcesu, nie bogatego dyrektora kilku kopalń i właściciela wielkiej posiadłości, ale samotnego wdowca, który utracił jednego syna, srodze zawiódł się na drugim, a w dodatku pomimo ciężkiej pracy i usilnych starań nie potrafił zrozumieć ani zadowolić swych ziomków.

- Co do mnie, ojcze, to nie pragnę niczego poza tym, by zostawiono mnie w spokoju. Czy reszta ludzi w tym kraju chce tego samego, nie umiem powiedzieć.

Znow odpowiadano mu wzruszenie ramion. To oczywiste, że nie mówili tym samym językiem.

- Powiedz no, czy ty kiedy myślisz o czymś innym niż o chartach? Przypuścimy, że wyznałbym prawdę, myślał John. Przypuścimy, że

wyspowiadałbym się ze wszystkich myśli, które kłębią mi się w głowie... Wyznałbym, jak nienawidzę kopalni, tego symbolu postępu i pomyślności, za oszpeccenie Doonhaven; jak mało obchodzi mnie posiadłość, ponieważ nie potrafię się zainteresować czymś, co nie jest moją niepodzielną własnością; jak bardzo jestem ostatnio rozdrażniony i za dużo piję, gdyż duszą i ciałem pożądam Fanny-Rosy, córki człowieka, którym mój ojciec gardzi; jak myślę tylko o tym, czy pewnego dnia ją zdobędę, a jeśli tak się stanie, to czy przedtem należała do mego nieżyjącego brata... I jak ojciec by na to wszystko zareagował? Popatrzyłby tylko z niebotycznym zdumieniem i kazałby mi wyjść, więc lepiej już siedzieć cicho.

- Czasem o łososiach w potoku i zajęcach na Hungry Hill, ale przede wszystkim obchodzą mnie charty.

Miedziany John odwrócił się do biurka.

- Żałuję, ale brakuje mi czasu na podzielenie twych zainteresowań. Nie widzę też sensu, by przedłużać tę rozmowę, a zatem dobranoc.

- Dobranoc, ojcze.

John wyszedł z biblioteki i wolnym krokiem udał się do pokoju na wieży. Zrobił swoje - przeprosił, ale przepaść między nim a ojcem jeszcze bardziej się pogłębiła.

3

Osiemnaste urodziny Jane przypadły w trzecim tygodniu sierpnia i z tej okazji zdecydowano się wydać uroczyste przyjęcie. Barbara wpadła na pomysł, by połączyć je z prezentacją gotowego już portretu, który zawisł w jadalni. Tuzin zaproszonych osób rozrósł się w błyskawicznym tempie do trzydziestu, jak to zwykle bywa, a wtedy Miedziany John zaczął się zastanawiać, czy nie ugościć przy okazji wszystkich dzierżawców z Clonmere. Można by ich podjąć na trawniku przed zamkiem, gdyż oczywiście nie powinni się mieszać z gośćmi w zamku. Podobne rozwiązanie zastosowano już dawniej z okazji pełnolecia Henry'ego, a zdaniem Neda Brodricka taki gest mógł skłonić opornych dłużników do uregulowania zaległości.

- Jak to dobrze - mówiła Eliza do Barbary - że do tego czasu zakończymy żałobę po biednym Henrym! Inaczej wyglądałybyśmy niczym wrony w naszych czarnych sukniach.

- Gdybyśmy nadal byli w żałobie, nigdy nie zdecydowałabym się na rozesłanie zaproszeń - odrzekła łagodnie Barbara. - Jane także nie miałyby pewnie na to ochoty.

- Tej sukni, którą nosiłam podczas świąt Bożego Narodzenia przed śmiercią Henry'ego, nikt tu jeszcze nie widział - kontynuowała Eliza z satysfakcją. - W Bronsea miałam ją na sobie dwa razy, a potem raz w Cheltenham, kiedy wyjechałyśmy tam na tydzień.

- Mam nadzieję, że nie jest biała - wtrącił się John, który przysłuchiwał się z rozbawieniem rozmowie. - Obie z Barbarą jesteście zbyt blade, by nosić biel. Co innego Jane, ona ma kremową karnację.

- Wcale nie jestem zbyt blada! - zaprotestowała Eliza. - Mam tylko najjaśniejszą w całej rodzinie skórę. I to bez piegów, jak Fanny-Ro-sa Flower.

- Piegi Fanny-Rosy rzeczywiście są imponujące - zauważyła Jane. - Chciałabym mieć choć kilka... Ale bardzo was proszę, nie złościć się ani nie sprzeczaćcie z powodu moich urodzin! Chcę się nimi cieszyć i wszystkim życzę tego samego. Włożę tę samą suknię, co na portrecie, i jeszcze naszyjnik z pereł. A jeśli Barbarze uda się namówić Dana Sullivana, by nam zagrał na skrzypcach, to poprowadzę kadryla z tobą, braciszku, jako partnerem. Nie sędzę, aby ojciec się zgodził zatańczyć nawet na moich osiemnastych urodzinach.

- Będzie to dla mnie zaszczyt, łaskawa pani - odparł z ukłonem John. - Ale obawiam się, że cały garnizon z wyspy tak ci będzie deptał po piętach, że brat się do ciebie nie dociśnie.

W wielkim dniu pogoda dopisała i w miarę jak zbliżało się popołudnie, w całym domu narastał radosny rozgardiasz. Nieco wcześniej od „zamkowych” gości zaczęli napływać dzierżawcy. Większość z nich podejrzliwie ustosunkowała się do zaproszenia, ale starali się ukryć prawdziwe uczucia pod osłoną uśmiechów, ukłonów i mocno przesadzonych komplementów pod adresem zarówno dziewczynki, który wyświadczył im tak wielki zaszczyt, jak i urody trzech panien Brodrick. Barbara pilnowała, by gościom „z zewnątrz” podano solidny poczęstunek, niezachęcający wszakże do żadnych ekscesów. Nie minęło wiele czasu, a wszyscy mężczyźni, kobiety i dzieci rzucili się hurmem do zastawionych stołów. Ned Brodrick krążył wśród nich w starym błękitnym surducie, należącym niegdyś do jego dziadka (wspólnego z Miedzianym Johnem). Wkładał go tylko od wielkiego dzwonu z okazji takich uroczystości, jak śluby czy pogrzeby, razem z ogromnym pilśniowym kapeluszem, który - tak głosiła złośliwa plotka - sprawił sobie po spłodzeniu kolejnego potomka. Dzisiejsze przyjęcie bardzo mu odpowiadało, gdyż lubił bratać się z dzierżawcami, każdemu po kolei już to przyklaskiwać, już to współczuć, zależnie od potrzeby, a zarazem mieć oczy i uszy szeroko otwarte na każdy strzęp informacji, którą mógłby rozgłosić, by wywołać w ten sposób następne plotki.

- Paniczu Johnie - mówił swym rozwibrowanym, melodyjnym głosem - jeśli wolno zauważyć, wygląda pan dziś lepiej niż kiedykolwiek, to szczerą prawdą. I

jakich wspaniałych rzeczy dokonał pan ze swymi chartami, w całym kraju aż huczy, tak przynajmniej słyszałem w Mundy.

- Muszę przecież jakoś spędzać dni, nieprawdaż, Ned? - odparł tamten, przypomniawszy sobie, jak zaledwie tydzień wcześniej Ned skarżył się ojcu, że „panicz John w ogóle mu nie pomaga”.

- Rzeczywiście - rzekł stary hipokryta. - Gdybym tak miał młodsze nogi, zaraz bym się do panicza przyłączył. Cóż za piękny mężczyzna z pana Simona Flowera! I jak miło z jego strony, że pozwala paniczowi trzymać charty w swojej psiarni... A jego córka to wprost żywy portret ojca!

- Panna Flower niedługo tu będzie, więc możesz pan komplementować ją osobiście.

- Ach, teraz to już panicz żartuje - westchnął rządcą z fałszywą jowialnością. - Cóż panna Flower miałaby do powiedzenia takiemu starcowi, jak ja? Proszę spojrzeć na panienkę Jane... Wprost skóra zdjeta z matki, wszyscy to dziś powtarzają... - I ruszył w stronę swej najmłodszej bratanicy, zapominając, że przed dwiema minutami przekonywał pewnego zawianego dzierżawcę, iż panienska Jane to cały ojciec.

John roześmiał się i zaczął iść skrajem podjazdu, pilnując nadjeżdżających powozów. Podziwiał mądrość Neda, który tak świetnie umiał kierować rozmową, starał się nikogo nie urazić, a jeśli miał do powiedzenia coś przykrego, to przynajmniej krasił to uśmiechem. Zawsze też pałał szczerą chęcią, by raczej załagodzić niż zaostrzyć sytuację.

Goście zaczynali się już zjeżdżać. Na potoku przycumowały łodzie wypełnione młodymi oficerami z garnizonu - w galowych mundurach wyglądali jak z obrazka. John zauważył, że Jane, stojąca z ojcem na trawniku przed zamkiem, poruszyła nerwowo parasolkę.

Wkrótce ją otoczono. Nieszczęsny doktor Armstrong, który zdołał wykraść parę minut dla siebie, zanim tłum ją zagarnął, znalazł się poza kręgiem; musiał wrócić do jadalni, by z braku dostępu do oryginału kontemplować portret. Barbara dwoiła się i troiła, uważając, by nikomu nie zabrakło kanapek, ciasta czy kieliszka pierwszoklasowego wina. Co do Elizy, to było jej niewygodnie w sukni z pobytu w Cheltenham, ponieważ od tego czasu przytyła i musiała się zadowolić towarzystwem mniej ciekawych oficerów, którzy nie dopchali się do Jane.

John zaszedł dość daleko, zanim ukazały się oczekiwane przezeń konie. Fanny-Rosa wysforowała się nieco przed towarzyszącego jej stajennego. Miała na sobie zieloną, harmonizującą z kolorem oczu amazonkę i śmieszny słomkowy kapelusik, który nie zakrywał jej kasztanowych włosów.

- Mama prosi o wybaczenie - rzekła, wyciągając rękę do Johna. - Jest jeszcze w żałobie po dziadku. A ojciec z Matyldą siedzą w stajni i grają w karty ze stan-gretem i psiarczykiem, dlatego przyjechałam tylko ze stajennym. Prosiłam, żeby zabrali się wszyscy razem z kartami, ale woleli zostać. Poza tym Matylda nie ma sukni.

- Pewnie nawet nie wiedziałyby, co z nią zrobić - zaśmiał się John. - Ale pozwolę sobie przypomnieć, że kiedy pierwszy raz cię ujrzałem, nie miałaś na sobie trzewików, a włosy opadały ci na plecy.

- Tak, Johnie, a od tego czasu widziałeś mnie w ogóle bez niczego... Och, nie czerwień się tak i nie podrzucaj głową, biedny Nobby jest głuchy jak pień. A teraz powiedz, co będziemy tu robić poza podziwianiem portretu i piciem wina Barbary?

- Możemy zatańczyć kadryla. Dan Sullivan zagra nam na skrzypcach...

- Nie wiem, czy lubię kadryla. Wolę tańce wiejskich dziewczek z halkami powyżej kolan, takie jak na placu targowym w Andriff.

- Proszę bardzo, ale tylko dla mnie, nie na oczach całego garnizonu.

- Myślę, że oficerowie świetnie by się ubawili.

- Niewątpliwie. Ale jeśli pokażesz im halkę, to cię zastrzelę. Szedł obok jej konia, póki nie dotarli do drzew za domem, gdzie podjazd się rozdzielał: jedna część wiodła do stajen. Zaprowadzili konie na podwórze, gdzie zostawili je z pacholkiem; Fanny-Rosa zeskoczyła na ziemię i tylnym wejściem wśliznęła się do zamku, żeby przebrać się w suknię. Kiedy po kilku minutach zeszła na dół, jeszcze bardziej czarująca niż zwykle, wsunęła Johnowi rękę pod ramię z miną posiadaczki, co go wprowadziło w zachwyt, i powędrowali razem obejrzeć portret. Jadalnia była pełna gości. Wszyscy jedli, pili i podziwiali podobieństwo do prawdziwej Jane. John ubawił się, patrząc, jak Fanny--Rosa zachowuje się wśród obcych: zupełnie inaczej niż przy nim czy w ścisłym kółku rodzinnym. Nie jest to już ta beztroska, niecierpliwa dzikuska, tak bliska jego sercu, tylko uprzejma, pełna gracji osóbka o manierach wielkiej damy.

- Clonmere wygląda dziś bardzo pięknie - zauważyła. - Lubię, jak wszędzie kręcą się goście, wszyscy tacy weseli, pełni życia. Czemu wasi lokaje nie noszą liberii? Nasi noszą. To wygląda znacznie lepiej niż te czarne surduty.

- Mieszkamy na odludziu, więc nieczęsto wydajemy przyjęcia - wyjaśnił z uśmiechem John. - Posłuchaj, Dan Sullivan stroi już skrzypce. Chodźmy popatrzyć na tańce.

W salonie, z którego usunięto część mebli, przy szpinecie siedziała Barbara, obok niej zaś stał Dan Sullivan. Ten ostatni, przyzwyczajony raczej do skocznych wiejskich tańców niż statecznego, odmierzonego rytmu, próbował dostroić się do powolnego tempa panny Brodrick w pierwszych dźwiękach kadryla. Rezultat wprawdzie nie wytrzymywał porównania z salami recepcyjnymi w Bath, ale brzmiał dość żywo i miło dla ucha. Jane, zarumieniona i szczęśliwa, musiała zapomnieć o danej bratu obietnicy, gdyż stała pośrodku salonu, szykując się do tańca z niepowstrzymanym poręcznikiem Foxem. John ze śmiechem wyciągnął rękę do Fanny-Rosy. Widok takiego natłoku młodości i urody, pięknych kreacji pań i szkarłatnych kurtek oficerów okazał się zbyt ciężką próbą dla Dana Sullivana. Skrzypce całkowicie wymknęły mu się spod kontroli i po pierwszych taktach kadryla rozbrzmiały tak zniewalającą melodią jiga, że wkrótce w kącie poszły salonowe maniery, wojacy ścisnęli mocno talie swych partnerek i wśród gwizdów i śmiechów ruszyli z przytupem w tany, aż drżała podłoga. Stara Marta, obserwując ich od progu, mruknęła, że jakby widziała chłopaków i dziewczęta na jarmarku w Kileen. Starsze pokolenie, kręcąc z naganą głowami, wycofało się na dół, do jadalni. Miedziany John, uznawszy, że pod czujnym okiem Barbary nic zdrożnego nie może się stać, uciekł do biblioteki z dwoma przyjaciółmi i starannie zamknął drzwi przed nawałą dźwięków.

Cienie letniego wieczoru pełzły już po zamkowych murach, zza Hungry Hill wytoczył się na niebo wielki księżyc, a Dan Sullivan wciąż grał jak nawiedzony. Skoczne tony przez otwarte okna dobiegały też na trawnik, gdzie syci i podchmieleni dzierżawcy zrzucili surduty, a ich kobiety chustki, po czym całe towarzystwo dało się porwać szaleństwu tańca przy blasku księżyca.

Dostrzegł ich z okna jeden z oficerów.

- Spójrz tylko - zawołał do swej partnerki - co działał nasz przykład!

I zaraz w oknie zrobiło się tłoczno od roześmianych twarzy i wymachujących rąk. Fanny-Rosa odwróciła się do Johna z tak dobrze mu znanym przewrotnym błyskiem w oczach.

- Chodźmy do nich! Zatańczmy boso na trawie!

Doktor Armstrong mruknął na to, że dość ma już tańca na dziś, a płąsy przy księżycu są raczej niestosowne.

- Przejmowanie się tym, co wypada, zatruwa nam tylko życie - odcięła się Fanny-Rosa, ciągnąc Johna za rękę. - Chodźcie z nami, chodźcie wszyscy!

Rzucili się biegiem po schodach; wieczorowe suknie gnioły się wśród mundurowych kurtek, męskie dłonie w białych rękawiczkach ścisnęły damskie w mitenkach, aż zmieszali się z tłumem rozbawionych dzierżawców na srebrzystym dywanie trawy, połyskującym tajemniczo pod białym księżycem. Tańczyli wszyscy - okoliczni dziedzice i wiejskie dziewczki, sztywni oficerowie i wyniosłe młode damy, zachowując się niczym dzikusy z za gór, zupełnie jakby księżyc rzucił na nich czar. Dopiero kiedy stał już wysoko na niebie, oblewając swym blaskiem nawet wyspę Doon, Dan Sullivan otarł pot z czoła, odłożył na bok skrzypki i podparł głowę rękami. Baśniowi tancerze, których wyczarował swym smyczkiem, stali się na powrót śmiertelnikami o obolałych nogach i plecach, poczerwieniałych twarzach i rozczochranych włosach.

Dzierżawcy rozchodzili się, jeden po drugim, wśród żartów i przekomarzań. Wspomnienie „panienki Jane wchodzącej w dojrzały wiek” długo jeszcze będzie stanowiło pożywkę dla plotek. Po wyżej urodzonych gości zaczęły zajeżdżać powozy, oficerowie powsiadali na łodzie, a Miedziany John z Clonmere, którego zamek na ostatnich kilka godzin opanowali barbarzyńcy, stał w progu, żegnając gości bardziej niż szczerym życzeniem: „Z Bogiem”.

- Nigdy więcej - rzekł potem stanowczo. - Nigdy.

Barbara i Eliza, chociaż padały z nóg, zdołały pozbierać się na tyle, by kłaniać się i uśmiechać do odjeżdżających, Jane zaś, zbuntowana jak zawsze, zniknęła gdzieś, żeby pożegnać bez świadków porucznika Foxa.

Na podwórzu przy stajniach John i Fanny-Rosa pochylali się nad śpiącym stajennym z zamku Andriff. Chłopak był kompletnie pijany i bezradny jak dziecko.

- Przecież on nie może nigdzie jechać - śmiała się Fanny-Rosa, już znowu w swej zielonej amazonce, trzymając kapelusz za tasiemki.

- Ja cię odwiozę - zaproponował John. - Księżyc oświetli nam drogę. Spojrzała na niego pobłażliwie.

- Będę w domu prędzej, niż ty się wdrapiesz na siodło.

Podprowadziła konia do słupka, wsiadła i ujęła wodze. Potem machnęła Johnowi przed nosem szpicrutą i odjechała, zerkając ze śmiechem przez ramię. John kazał Timowi osiodłać konia i w parę minut później pędził za nią, razem z drugim wierzchowcem, na którym przyjechał pacholek. Fanny-Rosa, widząc, że jest ścigana, zaśmiała się jeszcze głośniej i spięła konia do galopu. John gonił ją na podjeździe, potem przez drogę i całe Doonhaven, ale zrównali się dopiero u podnóża Hungry Hill.

- Mogłaś skrócić kark przy takim diabelskim tempie!

- Złego diabli nie biorą. Ach, Johnie, co za księżyc!

Zatoka Mundy rozpościerała się przed nimi niczym srebrna tafla, samo zaś Hungry Hill majaczyło nad drogą w tajemniczej, białawej poświacie.

- Pojedźmy na wrzosowisko - zaproponował John.

Zboczyli z drogi i skierowali konie na trakt, który przemierzyli już dawniej, owego pamiętnego dnia, kiedy odbywał się piknik. Wówczas trawa spalona była słońcem, a ciepło na skałkach i wrzosach utrzymywało się przez cały dzień. Dziś wszędzie panowała cisza i przyświecał księżyc. John zeskoczył z konia i wyciągnął ręce, by pomóc Fanny-Rosie. Zsiadając, przytuliła policzek do jego twarzy i objęła go mocno za szyję, on zaś zaniósł ją na wrzosa i sam położył się obok, obserwując srebrne błyski na jej włosach.

- Czy byłaś dziś szczęśliwa?

Za całą odpowiedź dotknęła tylko jego twarzy i uśmiechnęła się lekko.

- Czy kiedyś mnie pokochasz? - padło następne pytanie. Przyciągnęła go do siebie i oparła mu ręce na ramionach.

- Chcę cię kochać teraz - szepnęła.

Ucałował jej zamknięte oczy, włosy, kącik ust, a kiedy przywarła do niego z westchnieniem, znów nawiedziła go niczym upiór tamta myśl o Henrym. Więc chociaż miał dziewczynę tak blisko przy sobie, skąpaną w księżycowym blasku, nie mógł powstrzymać pytania:

- Czy całowałaś się z Henrym, zanim wyjechał z Neapolu? Otworzyła oczy, on zaś wyczytał w nich namiętność, pożądanie, ale także dziwne zaskoczenie.

- Czemu mnie o to pytasz? Co Henry miał wspólnego z tobą i ze mną? On umarł, a my żyjemy!

Ukryła twarz na jego ramieniu i zaraz wszystkie wątpliwości i zazdrość roztopiły się w wielkiej fali miłości i czułości. W księżycową noc na Hungry Hill nie liczyło się już nic poza pragnieniem, które ogarnęło ich oboje. Przeszłość powinna zostać pogrzebana na zawsze, gdyż czeka ich przyszłość pełna nadziei i błogiej pewności, to zaś, co dzieje się teraz, to radość tak żywa i silna, że potrafi zniszczyć wszystkie upiory lęgnące się w mrokach umysłu.

List Johna do Barbary, pisany w zamku Andriff 29 września 1829 roku:

Droga Barbaro,

Wspomniałem pani Flower o konieczności natychmiastowego wyjazdu ojca do Bronsea, a właściwie, że musi tam być 1 listopada. Wobec tego postanowiła 25 następnego miesiąca zakończyć całą sprawę. Fanny-Rosa i ja także wybieramy się tego dnia do Clonmere. Ponieważ pani Flower nie mówiła nic na temat Twojego pobytu, ja także nie podnosiłem tej kwestii, zwłaszcza że Fanny-Rosa w ciągu miesiąca po naszym ślubie chce wyjechać za wodę. Z wielu powodów cieszy mnie, że zdecydowała się najpierw na Clonmere. Ma nadzieję, iż zostaniesz jej druhną. Ślub odbędzie się w Mundy, a udzieli go wielebny Sadler, po czym od razu wyjedziemy. Czy Marta będzie mogła zostać z nami przez miesiąc? To dla nas wielka wygoda, a Ty z pewnością dasz sobie bez niej radę w tym czasie. Porozmawiaj z nią i zapytaj Thomasa, czy nadal chce być lokajem, bo jeśli tak, to od razu zamówię mu liberię. Pani Flower zgodziła się odstąpić nam na miesiąc pokojówkę. Przykro mi, że nie zaproponowała Ci przyjazdu, ale powetujemy to sobie w Lletharrog. Dzięki temu, że ojciec musi być 1 listopada w Bronsea, zaoszczędziłem co najmniej trzy tygodnie. Ufam, iż nie będzie oponował przeciwko tak długiemu pobytowi, zwłaszcza że ten wcześniejszy wyjazd znów odsunie całą sprawę na bok. Do poniedziałku za trzy tygodnie już niedaleko.

Dowiedz się, czy ta kobieta z wyspy potrafi gotować i czy może zgodzić się na miesiąc. Jeśli tak, to sprowadzimy ją tu na jeden dzień i wypróbujemy jej ragout. Musisz natychmiast zamówić suknię u panny Grazely. Nie może być biała, ale koniecznie bardzo piękna. Jestem pewien, że nie odmówisz przyjęcia jej od tego, który bez względu na to, jak poczynął sobie w życiu, nie mógłby

być oskarżonym o brak rodzinnych uczuć. Mam nadzieję, iż ojciec bezzwłocznie każe odmalować kabriolet i zainstalować w nim poręcze, tak jak w powozie, oraz czerwone zasłonki: chcę, żeby powóz był wykończony jak najszybciej. Gdybyśmy tak mogli wrócić w nim do Clonmere -wolałbym nie wieźć Fanny-Rosy bryczką - potem odestalibyśmy go do Lletharrog. Nie pisz do mnie, chyba że miałabyś coś szczególnego do przekazania, bo listy często tu nie dochodzą, i nie wspominaj też o tym, że ojciec ma być nieobecny 1 listopada. Mamy dość czasu, by przygotować wszystko przed następną niedzielą. Do tej pory na pewno będę w domu.

Twój kochający brat

John L. Brodrick

4

Całą pierwszą jesień po ślubie John i Fanny-Rosa spędzili w Clonmere - nie pojechali za wodę, jak to pierwotnie planowali. Reszta rodziny przebywała w Lletharrog i młoda para miała pusty dom do własnej dyspozycji. Dla Johna był to okres takiego spokoju i szczęścia, że aż nie mógł w nie uwierzyć. Czasem się zastanawiał, czy znowu nie śni na jawie, tak jak dawniej, i czy pewnego dnia nie obudzi się w najczarniejszych mrokach samotności. W takich chwilach rozglądał się po swym pokoju na wieży, w którym wkrótce po ślubie dał się odczuć wdzięczny wpływ Fanny-Rosy. Kolekcje ptasich jajek i motyli pozostały na miejscu, podobnie jak obrazki z Eton i Oksfordu, ale pod ścianą przybyła toaletka ze srebrnymi szczotkami i lustrem, w szafie obok jego surdutów zawisły suknie, a pod krzesłem stała para aksamitnych pantofelków. Osobowość Fanny-Rosy odcisnęła swe piętno na całej komnatce. Gdy John przebywał tam sam, wiedząc, że żona jest w salonie czy ogrodzie, zwykł dotykać jej rzeczy, i wówczas rozlewało się w nim jakieś dziwne ciepło. Teraz te osobiste przedmioty stanowiły część jego życia, jego miłości. Fanny-Rosa uosabiała wszystkie najśmielsze marzenia, a nawet więcej... Dawna obojętność i chłód, z jakim nieraz go traktowała, zniknęły, na ich miejscu zaś pojawiło się bogactwo uczuć i niewiarygodny wprost żar miłości. Nie było już owej nieobliczalnej kapryśnicy, była jego własna, kochająca, szczerą żoną, która z radością spędzała z nim dni sam na sam.

Nie potrzebowała żadnego innego towarzystwa ani wyrafinowanych rozmów o Paryżu, Londynie, Włoszech czy poznanych tam ludziach.

- Nie znużyłaś się mną jeszcze? - spytał, kiedy słotny dzień zatrzymał ich w domu.

- Jak mogłabym się tobą znużyć? - odparła, zarzucając mu rękę na szyję. - Za bardzo cię kocham.

On zaś pomyślał w tym momencie, że całe to gadanie o tym, jak ważne są w małżeństwie jednakowe gusta, zamiłowanie do tych samych zajęć, książek czy też do podróży - to czysta bzdura, wymyślona przez zazdrosnych ludzi po to, by rozdzielić tych, którzy do siebie należą. Bo przecież tak naprawdę liczy się tylko jedno, to, co Fanny--Rosa potwierdzała każdego dnia: że mąż powinien żonę rozumieć i wiedzieć, jak ją uszczęśliwić. Wielką satysfakcją sprawiała mu też świadomość, że mają Clonmere dla siebie, a ojciec siedzi za wodą. Jak miło pomyśleć, że na przykład godzina obiadu to rzecz bez znaczenia; kiedy wrócą z przechadzki albo z polowania na zające i bazanty na wyspie, mogą po prostu opaść na fotele w salonie i nie muszą pędzić natychmiast do jadalni, by pokrajać pieczeń. John teraz sam wydawał polecenia Thomasowi, z czystym sumieniem napełniał sobie po obiedzie kieliszek bez świadomości, że ojciec nie spuszcza czujnego oka z karafki, słowem, mógł wreszcie cieszyć się upragnioną wolnością we własnym domu. A kiedy Ned Brodrick wpadał w sprawie dotyczącej posiadłości, John kordialnie klepał go po ramieniu, po czym załatwiał wszystko od ręki, zgodnie z jego życzeniem.

Cała służba odetchnęła z ulgą pod rządami nowego pana. Kiedy kiper Baird przychodził w sobotę rano, by przedstawić tygodniowy raport na temat personelu spoza domu, zastawał „panicza Johna” nie przy biurku w bibliotece, tylko w fotelu, z nogami wyciągniętymi w stronę kominka, panicz John witał Bairda wesołym uśmiechem i tylko kątem oka zerkał na kolumny liczb. Potem sięgał do kieszeni wyjmował klucz od biurka i wypłacał bez dyskusji żadaną sumę, wobec czego Baird postanawiał za tydzień powiększyć ją o połowę. A jeśli „pani Johnowa” zawadzi w swych wędrówkach o cieplarnię i zerwie najpiękniejsze winogrona, nim zdążą dojrzeć, potem zaś dotknie każdego jabłka, pozostawiając ślady na skórce (w oczach panienki Barbary to karygodne przestępstwo), no to co? W końcu panienki Barbary tu nie ma, a „pani Johnowa” tak bardzo lubi owoce...

Thomas obnosił z dumą nową liberię; wolał cierpieć z powodu ciasnawej kurtki i słyszeć od dziewczki kuchennej, jak strasznie jest przystojny, niż chodzić w praktycznej czerni. Mógł teraz podawać obiad o godzinę później, a nie z wybi-

ciem zegara o piątej, mógł też spokojnie wypijać resztki z karafki i nie prosić o klucz do piwnicy za każdym razem, kiedy potrzebna była nowa butelka.

W miarę jak zbliżała się zima 1830 roku, John codziennie mówił sobie w duchu: „Dziś koniecznie muszę wybrać się do kopalni i zamienić słówko ze sztygarem Nicholsonem, choćby po to, by zachować twarz”. I codziennie wynikała jakaś przeszkoda. A to za późno wstał, potem zaś Fanny-Rosa żądała, by jej podał śniadanie do łóżka - i zanim się ubrał, mijała najlepsza część ranka. Innym razem dzień był tak piękny i rześki, wprost wymarzony na słońki, a bagna Kileen leżały w zupełnie przeciwnym kierunku niż Hungry Hill. W słotne dni Johna nachodziły myśli o brunatnych pstrągach w Glen Begh - szkoda byłoby je zostawić, a kopalnia przecież nie zajac. Zawsze znalazł się jakiś pretekst, by uniknąć wizyty i nie zajmować się też sprawami posiadłości. Czy odbyła się następna dysputa na temat podziału gruntów między Jacka Mahoneya a wdowę Connor? No cóż, trzeba będzie powiedzieć Nedowi, by rozsądził rzecz tak, jak uważa za słuszną, bo on, John, nie ma o niczym pojęcia. Ostatecznie niech Ned da im po worku ziemniaków z majątku.

Oboje z Fanny-Rosą z rzadka opuszczali posiadłość - jeździli tylko na wyścigi do Slane. John z przyjemnością patrzył na siedzącą przy nim żonę. Podobało mu się, że inni spoglądają na nią z podziwem, cieszyło go też żywe zainteresowanie Fanny-Rosy chartami.

- Co się stało z ową szaloną dziewczyną, która galopowała przez Hungry Hill i ani rusz nie pozwalała się dogonić? - pytał z uśmiechem.

- Zniknęła. A na jej miejsce pojawiło się uległe, nieciekawe stworzenie. Wiesz, Johnie? Ja chyba jestem podobna do twojej suki Fancy przed urodzeniem szczeniaków. Może w ogóle kobiety są jak psy i dlatego tak dobrze je rozumiesz?

- Masz rację. Też potrzebują pieszczot i czułych słówek, zanim pozwolą się wziąć na smycz. Ale nie zapominaj, że Fancy urodziła biedną Hasty, która ani razu nie wygrała. To była moja jedyna pomyłka.

- Fancy w niczym tu nie zawiniła, po prostu dostała zbyt flegmatycznego męża. Za to nasz syn, najdroższy, będzie z pewnością najprzystojniejszym i najgenialniejszym mężczyzną w całym kraju. Może zostanie namiestnikiem, a nawet ożeni się z księżniczką krwi?

- Raczej wprost przeciwnie. Wyrośnie na jeszcze większego próżniaka niż jego ojciec.

- Mam co do niego wielkie ambicje - mówiła zupełnie serio Fanny--Rosa. - Często o nim myślę, leżąc rano w łóżku, kiedy tyjesz na dole śniadanie. Nazwiemy go John Simon, po tobie i moim ojcu. Stanie się naszą podporą na stare lata. Oczywiście będziemy też mieć inne dzieci, ale on będzie najwspanialszy z całej gromadki. Mam nadzieję, że następne miesiące upłyną równie przyjemnie, jak ten pierwszy... Nie sędzę, by urodzenie dziecka było specjalnym problemem.

- Chciałbym, aby czas płynął jak najwolniej - westchnął John, dotykając jej włosów. - Nie zapominaj, że w końcu marca wraca ojciec i reszta rodziny.

- Dam sobie radę z twoim ojcem. Wcale się go nie boję.

- O, zapewne - zaśmiał się John. - Ale to wszystko zmieni. Każą nam przychodzić punktualnie na posiłki, nie pozwolą trzymać w domu psów, a ja będę musiał zainteresować się kopalniami, może nawet jeździć co rano z ojcem na Hungry Hill.

- Tak, lecz kiedy wrócisz, będę na ciebie czekała, a to duża różnica. A jeśli będziesz smutny, wymkniemy się na chwilę do naszego pokoju i na pewno szybko się pocieszysz. Nie pozwolę ojcu napadać na ciebie, obiecuję! Przekona się, że ma przeciwko sobie dwoje, a niedługo nawet troje!

- Trzeba za wszelką cenę unikać seysji. Wolę siedzieć po całych dniach pod ziemią z górnikami niż dać się wciągnąć w kłótnie z ojcem czy kim innym.

Minął styczeń, luty i nastał marzec, a wraz z nim pierwsze podmuchy ciepła. Słońce grzało coraz mocniej, topiąc śnieg na wierzchołku Hungry Hill, z brunatnej ziemi wyjrzały pierwsze zielone kiełki, leśne drzewa wyzbyły się ponurej nagości. Podeschły bagna, a na wrzosowisku w pobliżu Kileen zakwitły janowce. Aromat kwiatów i ciepły wiatr znad morza mieszały się z zapachem torfu, wszystkie zaś te kolory i wonie, łącząc się z sobą, składały się na bogactwo ziemi, która je zrodziła. Czasem John zabierał Fanny-Rosę na łódź i wiosłowali nieśpiesznie po potoku i wodach Doonhaven w poszukiwaniu małych łososi, które kobiety z wyspy przyrządzały zwykle na śniadanie, ale częściej po prostu wylegiwali się w wodnym ogródku, urządzonym przez Jane w górze potoku. John robił to, co lubił najbardziej, czyli nic, Fanny-Rosa zaś pilnie haftowała sukieneczkę dla Johna Simona. Koniec marca nadszedł stanowczo za szybko. Trzydziestego pierwszego stangret Casey z Timem wyruszyli do Mundy, by przywieźć rodzinę końmi, gdyż parostatek nie zawijał do Doonhaven. Młode małżeństwo spędziło cały ranek na rozpaczliwych próbach doprowadzenia domu do porządku. Musieli uprzątnąć jadalnię z wszelkich śladów po psach, które nabrały

zwyczaju asystowania państwu przy stole, usunąć z salonu sprzęt wędkarski i nieładnie pachnący słoik z przynętą, ukryć niezliczone koronkowe czepeczki miniaturowych rozmiarów, żeby Miedziany John nie zorientował się przedwcześnie, iż zostanie dziadkiem, chociaż Fanny-Rosa odgrażała się, że skoro rzecz ma być trzymana w tajemnicy, to ona sama się schowa.

John stał na schodach przed wejściem. Obejmując żonę ramieniem, nasłuchiwał turkotu powozu. Za parę minut, myślał, Clonmere nie będzie już moje. Wracca dziedzic. Teraz ojciec będzie wkraczał pierwszy do jadalni i wzywał Thomasa, on będzie wypłacał ludziom zasługi w sobotnie ranki, ja zaś znów stanę się nikim - leniwym nicponiem, młodszym synem, który miał robić karierę w Lincoln's Inn, ale zawiódł.

Za podjazdem zaczęły szczekać psy. Ze stajen nadszedł stary Baird i stanął wyczekująco z boku. Zza zakrętu wytoczył się powóz, z którego wychylały się obie siostry, wymachując radośnie rękami. Zaraz też podniósł się wesoły harmlider, przerywany salwami śmiechu. John ukradkiem ścisnął mocno Fanny-Rosę - miało to być milczące pożegnanie z jego Clonmere.

Przy obiedzie zajął swoje dawne miejsce po prawej ręce Barbary, która z wrodzoną uprzejmością zaprosiła Fanny-Rosę do szczytu stołu. Ta jednak odmówiła: zawsze słyszała, że świeżo upieczona mężatka powinna siedzieć po prawicy gospodarza. Mówiąc to, zerknęła chytrze na Miedzianego Johna, który wiedząc o swej synowej tylko tyle, że jest córką Simona Flowera, spoglądał na nią nieco podejrzliwie. Podczas modlitwy Fanny-Rosa przymknęła oczy i złożyła ręce. Podła oszustka, myślał John, obserwując żonę spod oka. Wiedział, że gdy znajdą się bez świadków w swoim pokoju, Fanny-Rosa wykpi to wszystko bez miłosierdzia. Obiad minął w przyjemnej atmosferze, a młoda małżonka zdołała do tego stopnia oczarować teścia, że pod koniec wprost tryskał dobrym humorem. Żartował nawet z rodzimych polityków, choć zwykle ów temat budził w nim raczej złość niż śmiech.

Znów tego dokonała, myślał John. Kolejny podbój na koncie!

Już widział siebie, jak przez resztę życia chowa się pod spódnicą żony i wysuwa ją przed siebie niczym tarczę w razie jakichkolwiek kłopotów.

- Widzisz? - szepnęła mu tej nocy. - Zmuszę staruszkę, by jadł mi z ręki, a potem go wykończę.

- Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. Wolałbym, abyś zajmowała się tylko jednym Brodrickiem naraz.

Jeśli przyjazd rodziny i powrót do dawnego trybu życia zachmurzyły nieco niebo nad głową Johna, to Fanny-Rosa zdawała się w ogóle nie odczuwać zmiany. Paplała wesoło z teściem, pomagała Barbarze układać kwiaty, dyskutowała o akwarelach z Elizą. Można by pomyśleć, że sprawia jej to taką samą przyjemność, jak przesiadywanie sam na sam z mężem. John - chociaż szczerze wdzięczny za swobodę, jaką wniosła w domowe stosunki - zastanawiał się, czemu nigdy nie wspomniała choćby słowem, że tęskni do tamtych pierwszych wspólnych miesięcy. Lubiła błyszczeć, w otoczeniu ludzi czuła się jak ryba w wodzie, podczas gdy on w takiej sytuacji zamykał się w sobie i milczał. Domyślał się już, na czym będzie polegało ich dalsze wspólne życie. Widział siebie, jak z pewnego oddalenia śledzi każdy ruch, każdy uśmiech Fanny-Rosy, łowi uchem każde słowo, grzejąc się w odbitym blasku jej obecności. I bardzo dobrze, nie ma nic przeciwko temu, pod warunkiem, że nigdy mu się nie wymknie, pozwoli się kochać i nawzajem będzie go darzyć miłością.

- Wiesz? - powiedziała pewnego dnia Jane, kiedy Fanny-Rosa zostawiła ich samych. - Patrzysz na nią jak na jakąś boginię.

- Bo tak jest.

- Musi być bardzo szczęśliwa, że tak ją kochasz.

- Chyba nie ma o tym pojęcia. A gdyby wiedziała, na pewno by mnie wykpiła, ona nie rozumie takich rzeczy.

- Miło będzie mieć w domu niemowlę. Ciocie okropnie je rozpuszczą... Ach, co za szczęściara z tej Fanny-Rosy!

- O co chodzi, malutka? Coś mi się ostatnio nie podobasz. Zauważyłem to zaraz po twoim powrocie.

- Jestem tylko sentymentalną gąską, braciszku. Wiesz, że Dick Fox wyjeżdża na Wschód?

- Nie, nie wiedziałem.

- Jest bardzo tym przejęty, bo to oznacza awans. Nie będzie go kilka lat... sześć albo siedem.

- I nie zamierza przedtem cię poślubić?

- Co by mu z tego przyszło? I tak mnie z sobą nie weźmie. Ma dwadzieścia jeden lat, ja zaś osiemnaście. Zanim skończy dwadzieścia siedem, może poznać kogoś, na kim bardziej mu będzie zależało.

- Więc pozwolisz Dickowi tak odjechać? Przecież możesz go już nie zobaczyć!

- Nie mam wyboru. Będzie się martwił przez kilka dni, wspominając dziewczynę z portretu, a potem podróż i nowe widoki zrobią swoje.

- A ty?

- Ach, ja się nie liczę. Zostanę chrzestną matką twojego dziecka, taką baśniową chrzestną, która będzie mu wyczarowywać prezenty i strzec go przed złymi wrózkami.

Przesłała bratu pocałunek i poszła na poszukiwanie Fanny-Rosy. John odprowadzał ją wzrokiem, przeklinając w duchu młodego kretyna i jego ambicje. Jak można przekładać krew i kurz wyimaginowanych wschodnich bitew nad życie z Jane, która ma dla niego tyle miłości?

Inne sprawy także szły na opak. Kiedy wrócił ojciec, John musiał zdać mu raport ze swoich rządów podczas zimy i wyjaśnić, czemu wzrosły rachunki. Ned Brodrick, kiedy poddano go przesłuchaniu, miał na wszystko tylko jedną odpowiedź: „Panicz John powiedział, że to bez znaczenia”.

Miesiąc później w bibliotece odbyła się burzliwa scena.

- Dla ludzi, których zatrudniam, lepiej byłoby, gdybyś spędził zimę za wodą - grzmiał Miedziany John. - Nawet gdy wyjeżdżałem na pięć miesięcy, wszystko szło swoim trybem, ale oni wykorzystali twoją obecność, żeby robić to, na co nigdy nie pozwalałem. Nawet Baird, któremu zawsze ufałem, przyniósł tasiemcowy rachunek i powiada, że miał twoją zgodę na wydatki.

- Nie przypuszczałem, że trzeba być aż tak skąpym.

- Skąpym? Zawsze byłem liberalny w stosunku do służby, ale nie pozwolę się okradać. Pewne pozycje w rachunku Bairda uważam za zupełnie zbyteczne i nie sądzę, by te rzeczy w ogóle zostały zakupione. Oczywiście już za późno na sprawdzanie, powinienesz zrobić to dawno temu. Widzę tu kilka narzędzi gospodarczych, podobno zamówionych przez pastucha, o których Ned Brodrick nic nie wie.

- Może posłużą przez dłuższy czas i nie trzeba będzie kupować później.

- Jeśli to miał być żart, to raczej w złym guście. Co się takiego dzieje, że kiedy człowiek zamieszka w tym kraju, robi się z niego bezużyteczny gamoń, z którym nikt się nie liczy? - Miedziany John patrzył z rozpaczą na syna. - Sądziłem,

że małżeństwo wzmocni ci trochę kręgosłup, ale rozleniwiłeś się jeszcze bardziej. Twoja żona warta jest dwa razy tyle, co ty, i na szczęście ma swój rozum. Aha, mówił mi Nicholson, że podobno przez całą zimę ani razu nie pokazałeś się w kopalni. To mnie po prostu zadziwia!

John cały czas na to czekał. Nie miał nic na swoje usprawiedliwienie. Czyż mógł wyznać, że wolał spędzać ranki z Fanny-Rosą w łóżku? To trochę bezczelne, ale cóż, kiedy prawdziwe...

- Wybierałem się kilka razy. To wielkie zaniedbanie z mojej strony, ale było mi trudno. Fanny-Rosa nie może teraz jeździć konno, a nie chciałem zostawiać jej samej.

- Ale na sakramenckie wyścigi w Mundy to mogłeś ją zabrać powozem?

John umilkł. Tym razem nie potrafił już nic wymyślić na swą obronę.

- Przepraszam, ojciec - wykrztusił wreszcie. - Byłem leniwy, przyznaję.

- Wobec tego nie masz pojęcia o kłopotach, jakie wynikły z tą nową kopalnią powyżej drogi? Pompa, którą tam zainstalowałem, nie sprostала zadaniu, a po zimowych i wiosennych deszczach zrobiła się prawdziwa powódź. Zamówiłem nową pompę za wodą, ale dostarczą ją dopiero za kilka tygodni, a tymczasem tracimy rudę, gdyż nie sposób wydobyć jej na powierzchnię. Obaj ze sztygarem bardzo się denerwujemy. Idzie lato, a miedź marnuje się pod ziemią.

Jak zwykle to samo, myślał John. Zawiódł ojca, i tyle. Ma teraz się kajać, obiecywać, że odtąd co rano będzie z nim jeździł do kopalni, a potem siedzieć jak mumia, kiedy ojciec z Nicholsonem będzie omawiał techniczne szczegóły? Oczywiście, pompa i to, co powinno się z nią zrobić, to sprawa wielkiej wagi, ale on nie potrafi się zmusić do odpowiedzialności. Nagle ogarnęła go złość. Baird i jego rachunki, pastuch ze swoimi grabiami, Nicholson, wreszcie ta głupia pompa! Czemu ojciec traktuje to wszystko tak serio? John wyszedł z biblioteki wściekły na ojca i cały świat, na dodatek okazało się, że Fanny-Rosa i Jane wyjechały jednokonnym powozikiem do zamku Andriff, zamierzając wrócić dopiero przed zmierzchem. Zona nie wspomniała mu nic o tej wizycie, oczywiście dlatego, że zabroniłby jej jechać. W ogóle o siebie nie dbała, a ponieważ czuła się dobrze, jeździła po całej okolicy, nie bacząc na swój stan. Tylko Fanny-Rosa i on sam zdawali sobie sprawę, jak bliski jest dzień rozwiązania, chociaż dokładna data i dla nich pozostawała nieokreślona. Obie siostry wierzyły - albo udawały, że wierzą - iż poród nastąpi na początku lipca, John jednak stawiał raczej na połowę maja, a właśnie kończył się kwiecień. Gdyby Fanny-Rosa rzeczywiście

miała urodzić za trzy tygodnie, było z jej strony czystym szaleństwem trząść się przez piętnaście mil w niewygodnym powozie i wracać tego samego dnia w towarzystwie jednej tylko Jane.

- Chyba oszalałaś! - oburzał się na Barbarę. - Jak mogłaś ją puścić?

- Ależ John, one się wybrały bez mojej wiedzy! Fanny-Rosa powiedziała Elizie, że na pewno pojechałaś z ojcem do kopalń, a ona jest niespokojna i przejazdka dobrze jej zrobi. Sądziłam, że chodzi o parę mil, ale Tim podsłuchał, że wybierają się aż do Andriff.

- Jane powinna być rozsądniejsza. Pozwala Fanny-Rosie na wszystko, podobnie jak ja i wszyscy inni przekłeci głupcy!

- John! - wykrzyknęła z wyrzutem Barbara.

- Muszę się wybrać do Williego Armstronga. Obiecał mi, że zajmie się Fanny-Rosą, kiedy nadejdzie jej czas. On mi powie, czy to było szaleństwo, czy też nie. Ja tam nawet szcennych suk nie wożę po wyboistych drogach, a teraz okazuje się, że nie upilnowałem własnej żony. Zupełnie jakbym traktował ją gorzej niż psy!

- Zapominasz, mój drogi - mitygowała go Barbara - że Fanny-Rosa cieszy się doskonałym zdrowiem i nigdy się nie męczy. Poza tym do porodu jeszcze daleko.

- Bzdura! Doskonale wiesz, że tylko kilka tygodni. Dlaczego my zawsze musimy przed sobą udawać? W każdym razie sprawdzę, czy Willie Armstrong jest w domu. W razie potrzeby wprost stamtąd pojedę do zamku Andriff i dopilnuję, by Fanny-Rosa została tam na noc.

Ruszył do stajni i kazał Timowi osiodłać konia.

- Czy aby na pewno pani Brodrick i panienka Jane wybierały się do Andriff? - zapytał stajennego.

- Z całą pewnością - zaklinał się Tim. - Sama pani Brodrick mówiła, że dotrą tam tuż po pierwszej i będą miały dość czasu, by zaproponować porucznikowi jakiś poczęstunek, zanim jego statek odpłynie z Mundy.

- Tim, o czym ty mówisz?

- No, przecież porucznik Fox odpływa dziś na Wschód i młode panie miały go pożegnać. Panienska Jane wypłakuje sobie oczy, że go tam zamordują jakieś dzikusy.

- Ach, rozumiem... Nie, Timie, o niczym nie wiedziałem.

Więc to dlatego wyjechały na cały dzień. Biedna Jane chciała pożegnać swego Dicka z dala od oczu rodziny, a Fanny-Rosa ofiarowała się jej towarzyszyć.

John ruszył z kopyta do Doonhaven i odnalazł lekarza. Willie Armstrong, który właśnie siadał do posiłku złożonego z zimnego mięsa i ziemniaków, zaprosił gościa do stołu.

- Lepiej będzie, jeśli ze mną pojedziesz - sugerował przyszły ojciec, pochłonawszy z wielkim apetytem lunch - i pomożesz mi sprowadzić te dwie wariatki do domu. Albo odwieziesz Jane, a ja z Fanny--Rosą zostanę na noc.

- Nie sądzę, by Jane życzyła sobie mego towarzystwa. Wyjazd Dicka Foxa musiał być dla niej wielkim wstrząsem.

- Wiele bym dał, by do tego nie doszło - westchnął John. - Złamane serce w wieku osiemnastu lat to fatalny start w dorosłe życie. Niech diabli porwą tego człowieka, po co w ogóle zawracał jej głowę!

- Cóż, sam ma zaledwie dwadzieścia jeden lat; oboje są niemal dziećmi. Często myślałem, jakim starym nudziarzem muszę się jej wydawać przy moich trzydziestu pięciu latach.

- Prawdę rzekłszy, bardziej mnie niepokoi moja żona niż Jane. Dziecko ma się urodzić za parę tygodni, jak zapewne odgadłeś. Trzydzieści pięć mil po wybojach to chyba istne szaleństwo?

- Nie sądzę, by pani Brodrick to zaszkodziło - odparł doktor Armstrong i poszedł otworzyć drzwi, ponieważ ktoś dzwonił.

Doktor zawsze odnosił się nieco burkliwie do Fanny-Rosy, ale mimo wszystko zgodził się odebrać dziecko i nawet trzymać je do chrztu. Wrócił do stołu z listem w ręku.

- Za drzwiami czeka wasz służący. Zdaje się, że przysłał go twój ojciec, bo w kopalni wynikły jakieś kłopoty.

John skrzywił się i rozerwał list.

Przyjedź natychmiast do nowej kopalni. Woda poczyniła znaczne straty i potrzebujemy każdej pary rąk, by nie dopuścić do całkowitej ruiny.

- No i nie mogę jechać do Andriff - oznajmił, rzucając list lekarzowi. - Wybierz się ze mną, Wiilie, to wygląda na coś poważnego. Ojciec opowiadał mi o tym przy śniadaniu. Przypuszczam, że zeszedli zbyt głęboko, a maszyna okazała się bezużyteczna. Teraz nie będzie końca zamieszaniu, jestem tego pewien.

Wyruszyli razem ze służącym w ciągu dwudziestu minut. Kiedy znaleźli się na drodze, musieli zsiąść z koni i zostawić je pod opieką pachołka, a potem przeciskać się wśród tłumu około dwustu górników, zebranych przy wejściu.

- Woda cały czas się podnosi - powiedział któryś z mężczyzn, dotykając z szacunkiem kapelusza. - Jeden biedak utonął, właśnie wydobyli ciało na powierzchnię, a dwóch innych zaginęło. Pan Brodrick zszedł na pierwszy poziom, ale sztygar nakłonił go do powrotu. O, tam jest, przy wlocie szybu.

I rzeczywiście stał tam z gołą głową, bez surduta i z rękawami podwiniętymi do łokci. Właśnie puścił wielkie wiadro, które pomagał wydźwignąć, i pokręcił ze smutkiem głową.

- W ten sposób niczego nie zdziałamy - rzekł. - Woda podnosi się cały czas o stopę lub więcej... To ty, Johnie? O, dzień dobry, Armstrong. Obawiam się, że będzie pan miał co robić, zanim z tym skończymy. Temu biedakowi już pan nie pomoże.

. Co parę minut wiadra wyjeżdżały na powierzchnię na skrzypiących łańcuchach. Z wylanej na ziemię wody zdążył się już utworzyć szeroki strumień, który spływał traktem, coraz bardziej przybierając na sile i coraz głębiej żłobiąc grunt. Duże wiadra, używane zwykle do wydobywania miedzi, przenosiły teraz wodę, poza tym ludzie ustawieni na szczeblach długiej drabiny podawali sobie z rąk do rąk mniejsze kubelki. Gdy ktoś się zmęczył, inny zajmował jego miejsce. Po chwili John także ściągnął surdut i zajął miejsce w rzędzie. Zszedł niemal na pierwszy poziom, do którego dotarła już woda. Ludzie stali tam zanurzeni po pas i zerkali nań pustymi z wyczerpania oczami, ociekając potem.

- Powiedźcie sztygarowi i panu Brodrickowi, że to na nic się nie zda! - zawołał pewien zwalisty, całkiem rozebrany Kornwalijczyk. - Woda ciągle przybiera, nie możemy nadażyć z wyczerpywaniem. Jeszcze jednego nieszczęśnika porwała, nie dało rady mu pomóc, widziałem już tylko rękę, zanim zniknął mi z oczu... To koniec kopalni, więcej nic nie zrobimy.

John zajął do czarnej otchłani. Nie słyszał ani jednego dźwięku poza skrzy-
pieniem łańcuchów, ciężkim sapaniem zmęczonych mężczyzn i ciągłym chlupo-
tem wody o skałę. Chodnik był już zalany, wyglądał jak ciemny, wąski kanał,
znikający w mroku. Gdzieś w tym kanale leżało ciało człowieka. Woda wydzie-
lała słonawy, nieco kwaśny odór. John zawrócił. Po długiej drabinie wspiął się na
powierzchnię, ocierając się o górników, podających sobie bezużyteczne już wia-
dra.

Przy wlocie szybu czekał ojciec z tak dobrze znaną synowi ponurą de-
terminacją na twarzy.

- Woda stale przybiera - oświadczył John. - Ludzie nie wytrzymają tam dłużej
niż kwadrans. Musisz kazać im wracać.

- Tego się obawiałem - rzekł Nicholson. - Pan John ma rację, lepiej odwołaj-
my ludzi, zanim ktoś jeszcze straci życie.

- Nie dopuszczę, by pokonała mnie woda - zaprotestował Miedziany John. -
Jeśli usuniemy ją z chodników, ten poziom da się znów uruchomić. Istnieje tylko
jedna szansa uratowania kopalni: wysadzić ścianę na tym poziomie i tym samym
utworzyć ujście na zewnątrz wzgórza. Wtedy woda spłynie.

- Doskonale, panie Brodrick. Jeśli nam się powiedzie, eksplozja zburzy ścianę
powyżej drogi, ale siła wody zniszczy nasypy.

- Do diabła z drogą! Można ją odbudować, w dodatku za państwowe pienią-
dze, ale na nową kopalnię rząd nie da mi ani pensa.

John odwrócił się, wzruszając ramionami. Skoro ojciec chce zabawiać się
prochem na tym przeklętym poziomie, ryzykując życie, to jego sprawa. Gdzieś
płakała kobieta - pewnie wdowa po topielcu, którego wydobyto już na po-
wierzchnię. Wokół ciała zebrał się spory tłumek, był tam i Willie Armstrong.
Górnicy mieli blade, ściągnięte twarze; przez cały czas brzęczały łańcuchy koło-
wrotu, wyciągającego kolejne wiadra. Wylewana z nich woda tworzyła coraz
szerszy strumień. Czemu ojciec nie może po prostu zamknąć kopalni, puścić lu-
dzi do domów i na tym zakończyć sprawę? Było coś przerażającego w tej zacie-
klej wędcie o uratowanie paru ton miedzi, za którą kilku ludzi oddało życie. Szty-
gar Nicholson wydawał już rozkazy, na wózku wieziono beczkę z prochem, pod-
nieceni górnicy pchali się jeden przez drugiego, gdyż Miedziany John zwoływał
ochotników. Gdyby żył Henry, myślał John, zszedłby teraz na dół z ojcem i całą
resztą. Wspomnienia kilku ostatnich lat wróciły z całą wyrazistością. Znow w-
dział, jak blady, podekscytowany brat dygocze w strugach deszczu i śledzi każdy

ruch ojca, który podpala lont. Tamtej fatalnej nocy zginęło z powodu miedzi pięciu ludzi. Nawet sześciu, jeśli wliczyć w to Henry'ego, bo przecież to wtedy zapadł na chorobę, która zabrała go półtora roku później. Ilu zginie dziś? John odsunął się od grupy górników, czując, że zbiera mu się na mdłości; był pełen obrzydzenia do tego, co się działo. Znow dała mu się we znaki własna beużyteczność. Nie potrafił nawet pomóc wdowie, tak jak Willie Armstrong, mógł tylko stać z boku i czekać. Tym razem nie było walki ani krzyków, a eksplozje, kiedy już nastąpiły, zabrzmiały głucho, spod ziemi, niczym dalekie grzmoty. Ludzie zebrani przy wylocie szybu rozmawiali ściszymi głosami, tu i ówdzie podawano sobie z ust do ust wiadomość, że ścianę udało się wysadzić i utworzył się kanał, a woda nareszcie przestała się podnosić. John znow poczuł, że coś go ciągnie do drabiny. Ludzie odsunęli się, by zrobić mu miejsce. Zaczął opuszczać się na dół, tuż za nim posuwał się doktor Armstrong. W szybie kwaśny odór wody mieszał się z gorzkim, gryzącym zapachem prochu i dymu. Kiedy zeszli niżej, usłyszeli kilka głosów, odbijających się głucho od nagich skał. Z czarnej czeluści dobiegał jeszcze jeden dźwięk: szum wody spływającej nowym kanałem na zewnątrz wzgórza. Wtem rozległ się ogłuszający huk kolejnej eksplozji i zewsząd posypały się odłamki skalne. W ciemności poruszali się ludzie, widać było ich oczy, zęby, dłonie. John rozpoznał ojca - z czarną od prochu, podrapaną twarzą. Z rany w kąciku oka spływała mu krew.

- Udało się! - krzyknął Miedziany John. - Woda opadła już o trzy stopy, spójrzcie na znak na skale! Widzicie ten kanał?

Woda pędziła naprzód z sykiem i bulgotem niczym żywa istota, wlewając się szerokim strumieniem w nowe koryto. Ludzie wciąż je poszerzali, rąbiąc resztki skały i usuwając kamienie dragami. Miedziany John wyrwał łom najbliższemu mężczyźnie.

- Mocniej, młody człowieku! - wrzasnął i uderzył z taką siłą, że posypała się cała lawina okruchów i kamieni.

Górnicy parsknęli śmiechem i rażno zabrali się do roboty, waląc w skałę, aż się kurzyło. Ponieważ woda znalazła ujście, rozstawili się bez obaw wzdłuż chodnika, a niebawem i John z doktorem Armstrongiem dali się ponieść fali ogólnego podniecenia. Chwycili dragi i włączyli się w kanonadę dźwięków, krusząc ścianę. Śliska, czarna, obrzydliwie cuchnąca woda, która sięgała im po kolana, podążała nieustannie w swoją stronę, ku skalnemu wąwozowi.

- Pański ojciec jest nie do pobicia - zauważył sztygar. - Bez niego nigdy bym się na to nie odważył.

Miedziany John zaśmiał się tylko na te słowa.

- Więc wolałby pan stać z boku i patrzeć, jak bezpowrotnie przepada kilka tysięcy funtów? Daj pan spokój, człowieku, trzeba przyłożyć się trochę do swoich interesów!

Zbliżała się siódma, kiedy wyszli na powierzchnię, zmordowani, brudni, ale triumfujący, i ogłosili wszystkim dobrą nowinę: woda płynie teraz poniżej chodnika i więcej się nie podniesie.

- Gdy tylko zainstalujemy nową maszynę - oznajmił Miedziany John w krótkim przemówieniu do zebranych wokół szybu górników - nie będzie nam już zagrażać żadne zalanie. Chciałbym wszystkim serdecznie podziękować za pracę i lojalność, jaką okazaliście mi dzisiaj. Nigdy wam tego nie zapomnę.

Wodził wzrokiem po wielkiej rzeszy mężczyzn. Musieli dostrzec coś niezwykłego, nieposkromionego w jego postawie, przenikliwych oczach w usmolonej twarzy, posiwiałych włosach, kwadratowej, znamionującej siłę szczękę, krwawiącym wciąż zadrapaniu w kącie oka - gdyż z ich piersi wyrwał się nagle gromki ryk aplauzu. Ktoś zawołał: „Po trzykroć hura dla Miedzianego Johna!”, i tłum, uwolniony nagle od strachu, dał upust swej niemal histerycznej radości. Ludzie pchali się jeden przez drugiego, by uścisnąć mu rękę. Widzieli w nim teraz nie pryncypała, którego zwykle się obawiali, ale swego przywódcę. Na koniec, wśród śmiechów i protestów Miedzianego Johna, podnieśli go na ramionach, by obejrzał na własne oczy ogrom zniszczeń na wzgórzu.

- Szczęściarz z twojego ojca - orzekł doktor Armstrong. - Za jednym zamachem zdobył popularność i uratował kopalnię. Pójdziemy zobaczyć szkody?

Nad zatoką Mundy zachodziło słońce i John, mrugając nienawykłymi jeszcze do światła oczami, ujrzał na zachodzie pierwszą wieczorną chmurę. Było później, niż się spodziewał.

Służący, który przez całe popołudnie czekał przy koniach, zbliżył się doń z szerokim uśmiechem.

- Szkoda, że nie widział pan drogi! Z góry runął istny wodospad i podobno jest zupełnie zniszczona. Nasypy rozmyły się na wszystkie strony i cała droga zawałiła się do morza. Dobrze, że Doonhaven leży w przeciwnym kierunku.

Nagle John zobaczył, że twarz Armstronga tężeje. W ułamku sekundy zrozumiał, co się stało. Serce ścieło mu się lodem i krew odpłynęła z policzków.

- Dobry Boże, Fanny-Rosa!

Zaczął biec zboczem w stronę drogi, ale wkrótce pojął, że to nic nie da. Ze ściany wzgórza waliła kaskada spienionej wody, porywając z sobą wszystko - ziemię, kamienie, gruz skalny. Nawet w pobliżu miejsca, gdzie się zatrzymał, tworzyły się już szczeliny. Tłumnie zebrani górnicy rzucali w kipiel kije i kamyki, robiąc sobie żarty z niszczącego żywiołu i zakładając się między sobą, jak długo jeszcze droga wytrzyma.

- Zawołaj ojca! - wrzasnął John do doktora. - Powiedz mu, że dwukółka wraca właśnie z Andriff i jest odcięta!

I nie czekając na odpowiedź, zaczął brnąć w poprzek nurtu na drugą stronę wodospadu, gdzie być może została jeszcze droga. Przed oczami przesuwały mu się same upiorne obrazy. Oto nadjeżdża dwukółka z zagadanymi, niczego nieświadomymi młodymi kobietami. Mija zakręt... i nagle spada na powóz lawina błota i kamieni, a potem cała potęga uwolnionej z kopalni wody!

Biegł chwiejnym krokiem w dół zbocza, z trudem łapiąc oddech, półprzytomny ze strachu. Obejrząwszy się przez ramię, zobaczył, że ojciec z doktorem idą tuż za nim, w otoczeniu całej gromady górników, w tym sztygara Nicholsona. Biegając, modlił się - on, który od dzieciństwa nie odmawiał pacierza - a zarazem bez ustanku nawoływał:

- Fanny-Rosa... Fanny-Rosa...

Kiedy dotarł do skraju wzgórza, okazało się, że droga jest zasypana odłamkami skalnymi i ziemią, zdewastowana bardziej, niż się spodziewał, a z góry ciągle spływa na nią struga wody z głównego nurtu. Nagle... dobry Boże! Wśród skał leży przewrócona dwukółka, przy niej koń, ledwie poruszający nogami, na środku drogi zaś ktoś rozpaczliwie wzywa pomocy...

- Fanny-Rosa... Fanny-Rosa!

Runął na drogę przez osypujące się zbocze i po chwili trzymał w ramionach łkającą, roztrzęsioną żonę. Drżąc na całym ciele, pokazywała wierzgającego konia i przewrócony do góry kołami powozik. Przez cały czas w uszach Johna rozbrzmiewał huk spływającej na drogę wody. Ojciec z Williem Armstrongiem spoglądali ze zgrozą w oczach na rumowisko.

- Fanny-Rosa... Fanny-Rosa...

Wziął ją na ręce i trzymając mocno przy piersi, przeniósł na drugą stronę drogi, gdzie nasypy jeszcze się trzymały, na miękką, wilgotną murawę. Całował jej ręce, wargi, włosy, ona zaś przywarła do niego z całej siły, nie przestając płakać.

- Nic mi nie jest... Nic mi się nie stało... - powtarzała. - Ale Jane... Każ im odszukać Jane... Gdzie ona jest?

W tym momencie droga zniknęła pod lawiną błota i kamieni. W ślad za nią runęła rozwścieczona woda.

5

Tej nocy w Clonmere narodził się John Simon Brodrick, znany później w rodzinie jako Szalony Johnnie. Zabrakło jednak baśniowej chrzestnej matki, która z czarodziejską różdżką w ręku szeptałaby dobre zaklęcia nad ciemną główką. Opuściła ich bowiem na zawsze, udając się do krainy cieni za swym bratem Henrym.

Kiedy dziecko skończyło trzy miesiące, Fanny-Rosa orzekła, że przyda mu się zmiana powietrza. Mały nie przybiera na wadze tyle, ile powinien, i chociaż doktor Armstrong z uporem twierdził, że trudno o bardziej krzepkie niemowlę o równie świetnie rozwiniętych płucach, Fanny-Rosa się z nim nie zgadzała. Doktor Armstrong nie zna się na dzieciach, a zresztą najważniejszy jest instynkt matczyński. Stało więc na tym, że John z żoną, synkiem oraz wszystkimi chartami udadzą się za wodę i na kilka miesięcy osiadą w Lletharrog.

W wiejskim domu panowała prawdziwie sielska, błoga atmosfera. Wieczorem, kiedy dziecko spało bezpiecznie na górze pod okiem starej Marty, Fanny-Rosa lubiła przesiadywać w zaciszu saloniku przy zaciągniętych zasłonach. Płonęły świece, na kominku żarzył się słaby ogień, ona zaś pochylała się nad nową sukienką dla rosnącego jak na drożdżach malca. Od czasu do czasu popatrywała z uśmiechem na męża, rzucając jakąś uwagę, przeważnie na temat rozwoju synka.

Świetny pomysł z tym wyjazdem za wodę, dumał John. W tej osłoniętej od wiatru dolinie, ze zwierzętami kręcącymi się po farmie, a zarazem w bliskości miasteczka, majowa tragedia wydawała się jakąś odleglejsza i w ciągu dnia rzadko kiedy się ją wspominało. Tutaj szok po śmierci Jane nie dawał się tak mocno

we znaki, zresztą kiedy John wracał myślą do wypadku, zaczynał dochodzić do wniosku, że może taki koniec był dla siostry lepszy niż długie lata staropanieństwa, na co wyraźnie się zanosilo. Znał przecież Jane aż za dobrze. Pośpieszne pożegnanie, potem zapomnienie, po roku lub dwóch małżeństwo z kimś innym - to nie dla niej. Jane wzdychałaby i wiedła jak kwiat. Lepiej, że odeszła tak nagle i mężnie, u podnóża Hungry Hill, nie pozostawiając po sobie złych wspomnień, tylko portret osiemnastoletniej dziewczyny o brązowych, pełnych nadziei oczach, dotykającej smukłą dłonią naszyjnika z pereł. Owszem, będzie mu brakowało ukochanej siostrzyczki, nic nie wypełni pustki w jego sercu, ale tu, w Lletharrog wierzył, że dla niej to najlepsze rozwiązanie.

Pierwsze tygodnie po jej śmierci były wprost nie do zniesienia. Ojciec, ogłuszony i nagle postarzały, zamknął się w bibliotece i nie rozmawiał z nikim, nawet z Barbarą. Jak bardzo cierpiał, siedząc sam, po ciemku, w ponurym pokoju, tego nikt z rodzeństwa nie wiedział. Ale kiedy stamtąd wyszedł, oni zaś obawiali się, że zobaczą załamanego starca, cień człowieka, okazało się, iż mało co się zmieniło, tylko zmarszczki na twarzy mu się pogłębiły, a wzrok jeszcze bardziej stwardniał.

John, którego nienawiść do kopalni nasiliła się od czasu powodzi, zrozumiał, że teraz tym bardziej nie potrafi rozmawiać z ojcem o interesach. Każdego ranka patrzył niemal z obrzydzeniem, jak Miedziany John wyjeżdża tuż po śniadaniu na codzienną wizytę w kopalni. Kiedy zaś w niecałe trzy tygodnie po śmierci Jane ojciec oznajmił z satysfakcją, że zainstalowano nową maszynę parową, która bez najmniejszego wysiłku pompuje wodę, a w ciągu miesiąca ruszy transport rudy z nowej kopalni do Bronsea, John wstał i wyszedł z pokoju. Wkrótce potem Fanny-Rosa zaproponowała przeprowadzkę do Lle-tharrog, on zaś po raz pierwszy w życiu cieszył się z wyjazdu z Clon-mere.

Zdał sobie sprawę, iż teraz, kiedy ma żonę i syna (a przypuszczalnie w przyszłości pojawi się więcej dzieci), pobyt pod jednym dachem z ojcem jest wręcz nieprzyjemny. Przez sześć krótkich miesięcy zaznał uroków posiadania, ale po powrocie rodziny Clonmere nie należało już do niego. Pewnego dnia, może po wielu latach, odzyska je dla siebie, ale do tego czasu woli przyjeżdżać tam tylko jako gość, a dla swojej rodziny znaleźć jakąś inną siedzibę.

- Cały kłopot w tym - mówiła Fanny-Rosa - że nie potrafisz stawić czoła ojcu. I ty, i dziewczęta okropnie się go boicie, a tymczasem porządna awantura mogłaby oczyścić atmosferę.

- Jeszcze bardziej nie znoszę kłótni i wrzasków. Clonmere należy do ojca i póki on żyje, lepiej nie podejmować prób podziału. Dlatego, najdroższa, mamy dom po tej stronie wody, gdzie nikt się do nas nie wtrąca, gdzie ja mogę trenować psy, a ty rodzić dzieci.

- Masz w sobie, mój drogi, jakąś diabelską pychę. Pożadasz Clonmere tak mocno, że nie potrafisz się nim dzielić.

- Może to rzeczywiście diabelska pycha. Może i nie chcę dzielić się także moją żonką z tym czarniawym, wrzeszczącym diabełkiem, który ma wszystkie wady swego ojca i przewrotność matki, a za to ani jednej zalety. Kiedy urodzisz następne dziecko, ten młodzian zostanie odstawiony na boczny tor, więc lepiej się pośpiesz.

Fanny-Rosa objęła męża i uśmiechnęła się po swojemu, mówiąc, że jest zazdrosnym niedźwiedziem, ona zaś nie kocha go ani trochę. I nagle wymknęła mu się, uciekła ze śmiechem, zerkając przez ramię, jak owa dawna, nieuchwytna dziewczyna z Hungry Hill.

W zimie ich problemy zostały częściowo rozwiązane. Ojciec niespodziewanie kupił dom położony o trzydzieści mil od Lletharrog w modnym kąpielisku Saunby, zaledwie o godzinę drogi od Bronsea, co znacznie ułatwiało podróże. Johnowi i Fanny-Rosie zaproponowano osiedlenie się na farmie na stałe, gdyż ojciec i siostry mieli teraz spędzać zimy w nowym domu, nazwanym Brodrick House i uznanym za ich stałą siedzibę po tej stronie wody. Takie rozwiązanie podobało się wszystkim, więc John zaprzestał poszukiwań. Lletharrog bardzo mu odpowiadało, podobnie jak Fanny-Rosie i Johnniemu, który mimo narodzin w kwietniu siostrzyczki Fanny zachował w pełni dotychczasową pozycję. Także pojawienie się w rok później małego Henry'ego nie zmieniło tego stanu rzeczy. Johnnie istotnie rósł na domowego tyrana i nikt poza matką nie potrafił mu się sprzeciwić. Był ładnym dzieckiem, o ciemnych włosach i oczach ojca, ale - zdaniem starej Marty - po matce odziedziczył krewki charakter. Jeśli czegoś zapragnął - domagał się tego krzykiem, a potem, znudzony się żądanym przedmiotem, wrzeszczał, by dać mu co innego.

- On nigdy nie jest zadowolony - mówił John, patrząc z przerażeniem na synka, który właśnie wrzucił w ogień zabawkę, gdyż nie podobał mu się jej kolor. - Czemu nie może siedzieć spokojnie jak Fanny?

- Energia go rozsadza - odpowiadała matka. - Prawda, kochanie? „Kochanie” spojrzało spode łba i zaczęło bębnić piętami o podłogę.

- Nigdy w życiu nie uderzyłem szczeniaka z własnej hodowli, więc syna także nie ukarzę w ten sposób, ale Bóg mi świadkiem, że chciałbym znaleźć sposób na uciszenie tego pętaka. Spójrz tylko, teraz ciągnie Fanny za włosy! Ja Barbary nigdy nie ciągnąłem.

- Na pewno ciągnąłeś, tylko już nie pamiętasz - oświadczyła Fan-ny-Rosa, biorąc synka na ręce i dając mu lizaka. - Zawołaj Martę, niech zabierze Fanny na górę. Ta mała jest strasznie głupia, dlatego tak drażni Johnniego.

- Powiedziałbym, że po prostu jest inna.

- Bzdura! Fanny zawsze wyje, gdy się ją ciągnie za włosy, a to strasznie Johnniego złości. Zaraz pójdziemy do miasta, koteczku, i zobaczymy, co stara pani Evans ma dla ciebie w swoim sklepiku. A jeśli będziesz bardzo grzeczny, pozwolimy ci zjeść obiad z mamusią i tatusiem i w nagrodę napić się piwa z noworocznego kubeczka.

Czym sobie Johnnie zasłużył na nagrodę, skoro zniszczył zabawkę i ciągnął siostrę za włosy, John nigdy nie miał zrozumieć, ale obietnica odniosła skutek. Grymas zniknął, a na buzi malca pojawił się promienny uśmiech, zmieniając złośliwego chochlika w uroczonego aniołka, drepczącego grzecznie przy matce.

John wzruszył ramionami i pogwizdując, poszedł do psiarni. Wychowywanie dzieci absolutnie go przerastało, kobiety niewątpliwie znały się na tym lepiej, chociaż gdyby w dzieciństwie zachowywał się wobec sióstr tak, jak Johnnie, ojciec na pewno sprawiłby mu lanie. On jednak nie potrafiłby spuścić synowi spodenek i podnieść nań ręki. Kiedy w domu wybuchało zamieszanie z powodu Johnniego, po prostu wychodził do ogrodu albo nad rzekę i wracał, kiedy było po wszystkim, bo takie postępowanie wydawało mu się najłatwiejsze. Stopniowo polityka uników zaczynała obejmować i inne dziedziny. To Fanny-Rosa rządziła w Lletharrog i ona użerała się ze służbą. Jeśli ktoś z personelu okazał się leniwy lub nieuprzejmy, Fanny-Rosa zwalniała go z pracy. Skoro Marta nie rozumie Johnniego i kłóci się z Fan-ny-Rosą, to niech ją żona zwolni, tylko na miłość boską, niech go nie zmusza do żadnych konfrontacji.

- Jesteś taki, jak mój ojciec - narzekała Fanny-Rosa. - Uciekasz od odpowiedzialności. Co za szczęście dla ciebie, że nie jestem nieśmiałą, bojaźliwą myszką, która we wszystkim ci ulega!

- Ulegasz mi w jednym, a dla mnie tylko to się liczy - odpowiadał, obejmując ją w pasie.

- Ach, ty nicponiu! Nie zapominaj, że jestem matką trojga dzieci, a zanim się obejrzymy, może urodzić się czwarte! Ty zaś po całych dniach tylko gapisz się na mnie z głupim uśmiechem, ziewasz i głaszczesz te swoje charty! W końcu i one rozleniwiają się do reszty.

To prawda, ostatnio John przestał się interesować wyścigami. Miesiące mijały tak szybko, że zanim się zorientował, sezon był w toku, a psy, rozpuszczone przez lato bogatą dietą i małą ilością ruchu, nie nadawały się do współzawodnictwa. Wymagałoby to sporego wysiłku i energii ze strony ich pana, ten jednak nie potrafił się do tego zmusić.

- Nie ma się co oszukiwać - oświadczył pewnego dnia po powrocie z wystawy, na której krytyczni sędziowie przyznali jego pupilom zaledwie kilka punktów - nie nadają się już do wyścigów. Nie bawi mnie to więcej, sam nie wiem dlaczego. Kiedy obserwowałem dziś psy, wydawało mi się, że po prostu biegają sobie luzem, bez żadnego celu. Zależy im tylko na tym, by dopaść biednego zająca, który może zostawił gdzieś rodzinę. Dziękuję, to nie dla mnie, już wolę iść z wędką nad rzekę. Nawet jeśli złapię bardzo małą rybkę, zawsze mogę ją wypuścić.

I opadł ciężko na fotel w zaniedbanym salonie, w którym nikt nie rozpoznałby wychuchanego, czystutkiego pokoju z czasów Barbary.

Trzymając na jednym kolanie Henry'ego, a na drugim Johnniego, z małą Fanny wyglądającą mu zza pleców, pokazywał im swą drogocenną gablotkę z owadami, których kolorowe skrzydełka stanowiły nieodpartą atrakcję dla dzieci. Na przeciwległym fotelu rozpierał się pies, na dywaniku przed kominkiem leżała kotka z kocieciami, po całej podłodze poniewierały się zabawki i książki. Fanny-Rosa, ogarnięta nagle pasją szycia, pochylała się z nożycami nad stołem, tnąc niemiłosiernie fałdy wieczorowej sukni. Miał z nich powstać żakiet, który by nieco zakrył znów powiększający się brzuch.

Porody niewiele zmieniły w jej wyglądzie. Była - przynajmniej w oczach męża - tak samo ładna, jak w dniu ślubu, ale też równie nieobliczalna, kapryśna i beztroska, prawdziwa córka Simona Flowe-ra. Służący nigdy nie wiedzieli, czego się po niej spodziewać. Jednego dnia hojna i łaskawa, dawała im na obiad pieczone i proponowała wychodne, a już następnego miotała się po domu niczym huragan, wpadała do kuchni z paczką cukru, przysięgając, że został ukradziony z jej szafki z zapasami. Z ust rozzłoszczonej pani płynął potok takich wyrazów, jakich - zdaniem personelu - mogła nauczyć się wyłącznie od stajennych swego ojca. John, słuchając z bawialni tych tyrad, śmiał się w kułak, po czym wymykał

się do ogrodu. Fanny-Rosa miała wtedy scenę dla siebie i mogła się wyżywać do woli. Wpadała do sypialni dzieci i prawdopodobnie tłukła wystraszoną dziewczynę z wioski, przyjętą na miejsce Marty, a potem - niczym promyk słońca po burzy - szła, nucąc pod nosem, do męża, z Henrym pod pachą i Johnniem drepzącym z tyłu.

- Lletharrog to teraz istny barłóg - narzekła Eliza, wróciwszy do Brodrick House z tygodniowego pobytu u brata i bratowej. - Nie ma gdzie usiąść, bo na każdym krześle leży pies, kociak albo brudna pielucha. Kuchnia jest wprost skandaliczna. Mogłabym przysiąc, że miałam wilgotną pościel, ale nie chcę się skarżyć, bo Fanny-Rosa wyhaftowała mi nocną koszulę godną królowej. Pierwszego ranka zapędziła cały dom do smażenia dżemu. Zużyła straszliwe ilości cukru (co za marnotrawstwo!), ale większość wyjadły dzieci, zanim jeszcze trafił do rondla, i teraz dżem na pewno się nie zetnie.

- A jednak drogi John wydaje się bardzo zadowolony? - zauważyła Barbara, marszcząc brwi.

- Och, on jest najszczęśliwszy w tym bałaganie. Nic nie robi po całych dniach, tylko siedzi w fotelu i się śmieje. Zapuścił bokobrody, żeby, jak twierdzi, zaoszczędzić sobie golenia.

- A dzieci?

- Dzieci mają się świetnie, są śliczne i zupełnie nieposkromione. Co do kochanego Johnniego, to może jest z niego mały złośnik, ale to najmilsze dziecko z całej trójki. Bardzo się do mnie przywiązał, nazywa mnie „najdroższą ciocią” i zamierza się ze mną ożenić, gdy dorośnie.

Biedna Eliza dobiegała już czterdziestki i napawały ją dumą każde oświadczenie, nawet sześciolatniego bratanka.

Raz na rok John i Fanny-Rosa z dziećmi zjeżdżali na trzy miesiące do Clonmere, ale ponieważ Miedziany John całe dni spędzał w kopalniach, a wieczory w bibliotece, inwazja młodych nie stanowiła wielkiej przeszkody. Fanny-Rosa ze swą zwykłą chytryością stała się uosobieniem słodyczy, a mały Johnnie instynktownie pojął, że złe zachowanie nie popłaca i przy dziadku nie pozwalał sobie na żadne wybryki. Dopiero gdy na podjeździe milkł tupot końskich kopyt, dawał upust swym wrodzonym skłonnościom. Wtedy zaczynały się wrzaski, okrzyki zachwyty, wymachiwanie łukiem. Biada Fanny, bawiącej się na trawniku lalkami, biada Henry'emu, zmagającemu się z bakiem. Nawet mały Edward, ssący swój smoczek, nie miał chwili spokoju, gdy starszy brat kręcił się w pobliżu. W

ciągu trzech minut lalka leżała w rododendronach, bąk lądował w potoku, a niemowlę miało su-kieneczkę zarzuconą na główkę. Sam Johnnie, z kogucim piórem w ciemnych kędziorach, wykonywał taniec wojenny, mierząc z łuku do ciotki Barbary, która zasłaniała się parasolką.

- Johnnie, kochanie, uważaj, bo wyrządzisz jakąś szkodę! Johnnie zaś, nie zważając na nic, wypuszczał strzałę z wojennym

okrzykiem na ustach, po czym biegł do lasu dręczyć starego Bairda. Z rozpiętych na ścianie drzew zrywał brzoskwinie, wykopywał z ziemi sadzonki sałaty i kłuł staruszka strzałą w siedzenie, gdy ten odwrócił się tyłem.

- Czemu ten Johnnie jest taki rozwydrzony? - pytała Barbara brata, usuwając gniazdo myszy z pudełka do robótek. - My w jego wieku nie płataliśmy tylu psikusów. A z drugiej strony, to taki uczuciowy, inteligentny chłopczyk, tylko wyraźnie nie zna żadnych granic.

- Odziedziczył wszystkie nasze wady i ani jednej zalety. Nie mogę go bić, bo widzę, że on po prostu robi to wszystko, na co ja zawsze miałem ochotę, tylko brakowało mi śmiałości.

- Nie wierzę, że chciałeś wylać miskę pomyj na biedną panią Ca-sey, kiedy obierała ziemniaki, albo przymocować krakera*⁹ do krowiego wymienia, tak jak to Johnnie zrobił wczoraj. Wiem, bo Mahoney mi mówił. To przecież bardzo niebezpieczne.

- Z pewnością dowodzi wypaczonego poczucia humoru, ale sam zrobiłbym to z dziką rozkoszą.

- Nie wierzę. Mówisz tak, żeby go bronić.

- Ten chłopak się zmarnuje, jeśli ktoś nie weźmie go w karby - tłumaczył z powagą doktor Armstrong, chrestny ojciec Johnniego. - Gdybym był jego ojcem, spuszczałbym mu łanie regularnie co tydzień, póki nie nabrałby dobrych manier. Co za pożytek z jego inteligencji, skoro nie umie jej wykorzystać? Poza tym wcale nie jest taki sprytny. Mały Henry jest znacznie bystrzejszy, poczekaj, to się przekonasz, a nie ma z nim takich kłopotów.

⁹ * Papierowy walec z ogniem bengalskim i drobną niespodzianką w środku. Zabawka typowa dla gwiazdkowych przyjęć; wybucha, gdy dwie osoby ciągną walec w przeciwne strony.

- Nie sędzę, by bicie coś tu zmieniło - odparł John. - Widziałem wiele psów o dużym temperamencie, zmarnowanych przez baty. Według mnie wychowanie mało ma wspólnego z kształtowaniem charakteru. Johnnie urodził się niepokromiony i taki pozostanie, nic na to nie poradzimy.

John, już trzydziestosześcioletni, z kilkoma siwymi włosami' w ciemnej czuprynie, wsadził ręce do kieszeni i ruszył przez trawnik na poszukiwanie pierwotnego. Myślał przy tym z uśmiechem, ale i z żalem o swym synu, poczętym z wielkiej namiętności pod białym księżycem na Hungry Hill.

- Prawda jest taka - przekonywał doktor Armstrong Barbarę - że chłopak ma w sobie za mało z Brodricków, a za dużo z Flowerów. Kiedy myślę o tym, co się dzieje w zamku Andriff, kiwam ze smutkiem głową nad przyszłością Clonmere.

Dla pocziwego, rozsądnego Williego Armstronga, urodzonego i wychowanego w hrabstwie Buckingham, pozostającego od piętnastu lat w służbie swego króla, tryb życia w tych stronach był mało zrozumiały. Dotyczyło to szczególnie Simona Flowera z zamku Andriff. Niemal sześćdziesięcioletni mężczyzna, który spędza większość czasu w piwnicy, grając w karty i pijąc wino z parobkami, kiedy dach mu się wab, a dzierzawcy kpią zeń w żywe oczy, to - zdaniem doktora - postać godna prędzej ubolewania niż pogardy. Kiedy jednak Simon Flower pozwolił swej młodziutkiej córce Matyldzie uciec z szewcem z miasteczka, w dodatku człowiekiem żonatym, a potem oddał kochankom do dyspozycji stróżówkę i spokojnie patrzył, jak na świat przychodzi jedno dziecko po drugim, doktor Armstrong uznał, że ktoś taki stanowi zagrożenie dla kraju. Nie rozumiał, jak Flower może bywać w towarzystwie z podniesionym czołem, ale cóż, to zupełnie inne towarzystwo niż tamto za wodą.

Skandal z Matyldą i jej szewcem nie zrobił na nikim wielkiego wrażenia. Nawet pani Flower, zamiast umrzeć ze wstydu, westchnęła tylko ciężko i oświadczyła, iż „biedna Tilly nigdy właściwie nie przyszła do siebie, odkąd w wieku czternastu lat spadła z konia”, a ten Sullivan to w gruncie rzeczy pocziwe chłopisko i jak miło z jego strony, że godzi się wykonywać za darmo różne prace w zamku.

- Najbardziej przeżył to Bob - mówiła Fanny-Rosa, odkładając su-kieneczkę po Edwardzie dla siostry. - To naprawdę przykre, kiedy przyjeżdża się z przyjacielem na urlop do domu, a tu bramę otwiera ci „szwagier”, dotykając z szacunkiem kapelusza, z okna stróżówki zaś wychyla się Tilly i woła: „Jak się masz, Bob!”. Nie bardzo mi odpowiada, że obie spodziewamy się w tym samym czasie,

bo ta sukieneczka przydałaby się naszemu dziecku, ale nie mogę jej żałować biednej Tilly.

A jednak to dziwny kraj, myślał doktor Armstrong. Zastanawiał się nieraz, dlaczego właściwie nadal tu mieszka, ponieważ powód, dla którego wystąpił z wojska i przyjął posadę w Doonhaven, dawno przestał istnieć. Teraz o tamtych niespełnionych marzeniach przypominał mu tylko portret na ścianie jadalni w Clonmere. Przyłgął do rodziny Brodricków tylko ze względu na tę, która odeszła. Wydawało mu się, że każdy z mieszkańców Clonmere - od Miedzianego Johna z jego cierpkim humorem, rzadko teraz okazywanym, do małego Edwarda o ciepłych brązowych oczach - ma w sobie jakąś jej cząstkę - uśmiech, gest, sposób mówienia, miękkość głosu. Clonmere łatwo mogło przedzierzgnąć się w coś w rodzaju zamku Andriff, szczególnie kiedy przebywała tam Fanny-Rosa z dziećmi i wszędzie szwendały się psy, a zabawki i robótki leżały na wierzchu we wszystkich pokojach. John też mógł stać się drugim Simonem Flowerem, zwłaszcza teraz, gdy przybrał na wadze i nie zażywał ruchu, a jednak od samej obecności pełnej wdzięku młodej rodziny Clonmere się ożywiło i poweselało, co zdawało się równoważyć kłopoty i zamieszanie.

Faktem jest, myślał doktor, że John, Fanny-Rosa i nawet ten mój rozwydrzony chrześniak przynależą do tego kraju i do Clonmere. To ich powietrze, ich gleba, wyrosli tu tak samo jak ich bydło, gęsi czy świny. Brodrickowie są częścią Doonhaven, a Doonhaven jest częścią tego kraju.

Dwa dni później stał przy łóżku najstarszego przedstawiciela rodziny, Neda Brodricka, którego atak serca powalił podczas objazdu posiadłości, podobnie jak wcześniej jego ojca. Zanim wydał ostatnie tchnienie, spojrzął z powagą na doktora i poszperawszy pod materacem, wyciągnął sakiewkę pełną monet. Zbierane od lat, stanowiły część należności od dzierżawców i dawno powinny być przekazane jego bratu, a zarazem pracodawcy.

W pogrzebie uczestniczyła cała rodzina. Miedziany John i jego córki stali przy grobie rządcy z pochylonymi głowami, a ludzie z Doonhaven swoim zwyczajem głośno zawodzili. Mówiło się też, że naturalną koleją rzeczy trumnę powinno nieść na ramionach czterech nieślubnych synów nieboszczyka.

We wrześniu 1837 roku Thomas Dowding, pracownik spółki górniczej z Doonhaven, wracał wczesnym wieczorem z kopalni, mając przy sobie kwotę trzystu funtów. Następnego dnia powinien ją wpłacić na pocztę w miasteczku, stamtąd zaś pieniądze miały trafić do Slane. Tak się jednak nieszczęśliwie złożyło, że na rynku natknął się na Sama Donovana, jego siostrę Mary Kelly oraz szwagra Jamesa Kelly'ego. Mary, głupia, popędliwa baba, sprzedawała jarzyny na straganie ustawionym jak zwykle tuż przy wejściu na pocztę. Według zeznań przechodniów, główka kapusty ze straganu potoczyła się prosto pod kopyta konia Dowdinga. Spłoszone zwierzę stanęło dęba i zrzuciło jeźdźca. Ten w zdenerwowaniu oskarżył Mary Kelly, że umyślnie zepchnęła kapustę, by spowodować wypadek. W tym momencie z pubu naprzeciwko wytoczyli się Sam Donovan i James Kelly i ruszyli w stronę urzędnika. Jeden z nich - nikt nie zauważył dokładnie który - wyszarpnął mężczyźnie sakiewkę i rozrzucił jej zawartość po ziemi. Banknoty fruwały po całym placu, Dowding zaś, przerażony obrotem wypadków, sięgnął po rusznicę otrzymaną do obrony przed rabusiami od Miedzianego Johna i wystrzelił w powietrze. Chciał tylko doprowadzić do opamiętania tych, którzy rzucili się na kolana w poszukiwaniu cennych papierków, ale na swoje nieszczęście trafił Jamesa Kelly'ego w oko, śmiertelnie go raniąc. W kilka minut później na ulicy zebrał się rozwścieczony tłum. Dowding, obawiając się o własne życie, schronił się na pocztę. Mądry naczelnik wykazał tyle zdrowego rozsądku, że założył sztaby na drzwi i okna, a tylnym wyjściem posłał chłopaka po policję oraz po Miedzianego Johna. Niebawem w mieście przywrócono porządek, ciało Jamesa Kelly'ego zanesiono do domu szwagra, dokąd wcześniej odprowadzono roztrzęsioną wdowę, Thomasa Dowdinga zaś odwieziono zamkniętym powozem do więzienia w Mundy. Wyszedł stamtąd dopiero na rozprawę przed ławą przysięgłych, która po wysłuchaniu wielu sprzecznych zeznań uniewinniła go z zarzutu zabójstwa, udzielając jednocześnie surowej reprimendy, aby na przyszłość uważniej obchodził się z bronią. Po tych ciężkich przeżyciach urzędnik bez żalu zrezygnował z posady i wyjechał na drugi koniec kraju w nadziei, że czas i zmiana miejsca usuną z jego pamięci owo straszne wydarzenie. Doonhaven jednak nie zapomniało. Dawna nienawiść do kopalni, która na dziesięć lat uległa zawieszeniu, wybuchła ze wzmożoną siłą. Ilekroć Brodrickowie przejeżdżali przez miasteczko lub okolice, ścigały ich wrogie spojrzenia. Dzierżawcom znów zaczęto niszczyć płoty, palić zbiory, wykradać bydło. Ludzie nie mogli darować, że rusznica urzędnika pochodziła z zamku Clonmere, co - według popleczników Donovanów - czyniło z Miedzianego Johna mordercę. James Kelly, tępawy prostak ze skłonnością do mocnego piwa, urósł w ich oczach na

męczennika i wzór wszelkich cnót. Wdowa twierdziła, że został stworzony na podobieństwo świętych, ona zaś przez piętnaście lat małżeństwa nie usłyszała od niego złego słowa.

- Był za dobry dla tego świata i dla mnie, niech go Bóg wspomóże, a tych podłych Brodricków, którzy zmówili się, by zniszczyć jego świetlane życie, na pewno w swoim czasie spotka zasłużona kara.

Tak się złożyło, że John, który z Fanny-Rosą i dziećmi spędzał akurat lato w Clonmere, został przez przypadek wciągnięty w całą aferę, ponieważ to właśnie on kilka tygodni wcześniej wręczył Dow-dingowi rusznicę. Powołano go na świadka i musiał wraz z ojcem stawić się przed ławą przysięgłych. Uważał cały proces za coś absurdalnego i dopiero kiedy się okazało, że jego dwa ulubione charty, które poprzedniego wieczoru cieszyły się najlepszym zdrowiem, zostały otrute, zrozumiał, że teraz on zamiast ojca stał się obiektem nienawiści Donovanów.

- Co, do diabła, mam robić? - spytał Fanny-Rosę, kiedy pochowali biednego Lightfoota i jego brata pod starym kasztanem w otoczonym murem ogrodzie. - Nie mogę przecież pójść do Sama Donovana i zapytać go wprost, czy to on otruł moje psy. On po prostu uśmiechnie się krzywo i oświadczy, że nawet nie wiedział, iż miałem jakiegoś psa.

- Ale Tim widział, jak syn Sama przełaził nocą przez płot od strony psiarni. Oczywiście, że to jego robota. Czemu po prostu nie weźmiesz kija i nie wygrzmocisz łobuza?

- Tak, a potem Sam oskarży mnie o napaść. Daj spokój, eo mi z tego przyjdzie? Przecież nie wskrzeszę Lightfoota ani Dauntlessa. Zawdzięczam tym psom najszcześniejsze chwile mego życia, zaraz po tobie, rzecz jasna. Może to głupie, ale od lat nic mnie tak nie zmartwiło.

Odszedł samotnie do letniego pawilonu, tego samego, w którym swego czasu Henry odbywał rekonwalescencję, i pogrążył się w rozmyślaniach o psach. Od szczeniństwa hodował je na czempiony, a teraz odeszły z tego świata w cierpieniu, z dala od swego pana, i leżą sztywne pod kasztanem... Czy go wołały przed śmiercią? Czy czuły się opuszczone? Wspominał radość owych dawnych wyścigowych dni, pierwszego sezonu w Norfolk, kiedy Lightfoot zdobył najwięcej punktów i wygrał wszystkie puchary. Później, już w tym kraju, zabierał je razem z Fanny-Rosą do Mundy i miał wciąż w uszach wrzaski tłumów, a w oczach uśmiechy sędziego i samego Lightfoota, takiego smukłego, czekającego na każde

słowo pana, na dotyk jego ręki. Ileż piękna było w tym psie! I miał duszę, John mógłby na to przysiąc. Ostatnimi laty zaniedbał psy, przez co się rozleniwiły i upały, podobnie jak on sam. No, teraz będzie z tym koniec. Czasy wyścigów minęły, ale na bufecie w jadalni wciąż jeszcze stały srebrne puchary. Taka bezsensowna śmierć - otrute przez Donovaną... On sam nigdy w życiu nie skrzywdził nikogo z tej rodziny, ale pamiętał klątwę Mor-ty'ego, rzuconą tamtej deszczowej nocy na Hungry Hill. Może to właśnie są skutki, szkoda tylko, że ucierpiały psy... Myśli Johna powędrowały teraz do rodziny Donovanów. Próbował znaleźć się na ich miejscu. Zanim Brodrickowie postawili stopę na tej ziemi, Clonmere należało do Donovanów. Odebrano im je po rebelii 1741 roku - wiele rodzin utraciło wówczas majątki - i oddano w posiadanie takiemu ązy innemu parowi, później zaś posiadłość trafiła w ręce Henry'ego Brodricka pierwszego. To naturalne, że byli mu niechętni i że nie znosili też przestrzegającego skrupulatnie prawa Johna, który rozprawił się ze szmuglem, zabierając im jedyną szansę zarobku. Nic dziwnego, że któryś z Donovanów zaczął się na niego przy drodze do kościoła i strzelił. Nie można też nadmiernie winić zabójcy, że ucieszyła go skuteczność strzału. Podobno jeszcze teraz w rocznicę śmierci Johna w potoku pokazuje się krew. Razem z Henrym chodzili jako dzieci to sprawdzić, ale nigdy nie zauważyli nawet kropli, chyba że kobieta ze stróżówki zabijała akurat kurczaka. Tak czy inaczej, owego Donovana, który oddał fatalny strzał, zabili później przyjaciele Brodricka. Dopilnowali też, by dom zabójcy został zburzony. Nic dziwnego, że obie rodziny wstąpiły na wojenną ścieżkę.

Gdybym miał charakter, myślał John, poszedłbym do Doonhaven i postawił sprawę jasno. Zaproponowałbym Samowi, by wreszcie położyć kres waśniom, inaczej ta śmieszna klątwa nigdy nie przestanie nad nami ciążyć. Johnnie i syn Sama zaczną się wodzić za łby, chociaż nie sędzę, by mój chłopak oglądał się na czyjąś pomoc.

Opuścił pawilonik w znacznie lepszym nastroju. Psy są martwe, ale w końcu miały całkiem szczęśliwe życie. Może to lepiej, że odeszły nagle, w kwiecie wieku, i nie musiały znosić cierpień starości - reumatyzmu, wypadania zębów, niezdolne nawet pogonić zająca.

Wyszedł z lasu na nasyp powyżej domu. Wśród kwitnących hortensji krzątała się uzbrojona w nożyce Barbara. Ostatnio nie wyglądała dobrze i John z niepokojem myślał, że jej kaszel za bardzo przypomina kaszel Henry'ego. Oczywiście nie ma sensu o tym wspominać. Dzieci wybiegły mu na spotkanie - Johnnie, fikając

koziołka, przewrócił Edwarda na buzię. Na progu ukazała się Fanny--Rosa z ma-
lutkim Herbertem w ramionach. Pięcioro dzieci w ciągu ośmiu lat - całkiem nie-
zły wynik... Oddała niemowlę szwagierce i podeszła do męża. John poczuł ciepło
w sercu. Czy już zawsze będzie miała nad nim taką władzę? Czy zawsze jej oczy,
uśmiech, dotknięcie ręki będą na niego tak działać?

- Dwudziestego dziewiątego przypada nasza rocznica ślubu - powiedział żo-
nie. - To już dziewięć lat, zdajesz sobie sprawę?

- Czyż mogłabym zapomnieć? - odrzekła, wskazując dzieci. - Może już czas,
żebym zaczęła nosić w domu czepek i przestała uganiać się po polach. Podobno
dziesiąty rok małżeństwa jest najtrudniejszy.

- Naprawdę? A pod jakim względem?

- Noo... czasem mąż ma dość widoku tej samej twarzy na swej poduszce i za-
czyna się rozglądać za kimś innym.

- Skąd wiesz, że już sobie kogoś nie znalazłem?

- Bo jesteś na to za leniwy, najdroższy, poza tym póki nosisz te bokobrody,
żadna na ciebie nie spojrzy.

- Wcale nie jestem tak leniwy, jak na to wyglądam. A w tym tygodniu zrobię
coś takiego, że spadniesz z krzesła, kiedy się dowiesz.

- Co to może być?

- Nie powiem. Będziesz mnie dręczyć po swojemu, ale dotrzymam swego se-
kretu.

Chodziło o to, że John ostatecznie postanowił rozmówić się z Samem Do-
novanem i podjąć próbę zakopania po dwustu latach topora wojennego. Dla nie-
go samego nie miało to większego znaczenia, ale czuł, że winien jest tę próbę
swoim dzieciom. Czemu Johnnie, Henry, Edward, Herbert czy Fanny mieliby się
przez całe lata handryczyć z Donovanami? Dlatego też w tydzień po incydencie z
psami wyruszył do Doonhaven, niechętnie odmówiwszy żonie i dzieciom udziału
w pikniku.

- Jeszcze nieraz będzie okazja - powiedział. - Raz w życiu zamierzam odwa-
lić kawał dobrej roboty.

- Tylko nie zamęcz się na śmierć - zaśmiała się Fanny-Rosa.

- O tym nie ma mowy.

Przyjemnie było przespacerować się w słoneczny, październikowy dzień, kiedy na leśnej ścieżce chrzęszczą pod nogami zeschnięte liście. Stare czaple, słysząc ludzkie kroki, poderwały się z ciężkim łopotem ze swych gniazd na drzewach, na potoku zaczął się przypływ. W parku palono liście i w powietrzu unosił się gryzący zapach dymu. Tylko patrzeć, jak zacznie się sezon i może uda się namówić ojca, by wziął sobie wolny dzień, żeby trochę postrzelać. Mogliby upolować kilka słonek na bagnie, a kiedy indziej wypuścić się na wyspę na zające. John chciał zaproponować Fanny-Rosie, by zostali w Clonmere aż do Bożego Narodzenia. Pięcioro małych dzieci w Lletharrog to niemal jak dziesięcioro. Jeśli tak dalej pójdzie, trzeba będzie oddać ojcu farmę i pomyśleć o czymś większym.

Na wyludnionym jak zwykle po południu rynku było - mimo października - parno i duszno niczym w lecie. John zszedł na nabrzeże i odszukał sklep Sama. Drzwi wprawdzie były zamknięte, a okno zakrywały okiennice, ale kiedy zapukał, otworzyła mu żona właściciela, chuda, mizerna kobiecina, która wycierała ręce w brudny fartuch. Zza jej pleców wyglądała mniej więcej jedenastoletnia dziewczynka z szopą jasnych włosów i bladoniebieskim oczami, jak u wszystkich Donovanów.

- Zastałem Sama? - spytał John, świadom, że jego głos brzmi odrobinę zbyt serdecznie, by miało to być szczere.

- Nie ma go - odparła kobieta, patrząc podejrzliwie na gościa.

- Co za szkoda! Przyszedłem, by pomówić z nim w bardzo szczególnej sprawie.

Ponieważ nie doczekał się odpowiedzi, odwrócił się, by odejść; * że wszystko pokpił. Nagle usłyszał, że dziewczynka szepcze coś do matki, a potem biegnie za nim na nabrzeże.

- Ojciec jest u stryjka Denny'ego. To przez tę chorobę. Może pan tam pójść, my nie widziałyśmy go od dwóch tygodni.

John podziękował i oddalił się nabrzeżem. Przyszedłszy do Doon-haven w określonym celu, odczuł jako zawód fakt, że nie zastał Sama w domu i że wysiłki poszły na marne. Zegar kościelny wydzwonił czwartą; za późno, by przyłączyć się do pikniku. Nie, nie, wyznaczył sobie zadanie i musi je wypełnić. Pójdzie do Denny'ego Donovana i porozmawia z obydwoma braćmi za jednym zamachem. Teraz, kiedy już się zdecydował, trzeba wszystko zapiąć na ostatni guzik. Poza tym to idealny dzień na spacer, trochę wiejskiego powietrza na drodze do Denmare dobrze mu zrobi po zaduchu miasta.

Tak więc, zostawiwszy za sobą Doonhaven, a także stróżówkę i bramę do parku, skręcił na zachód, na drogę przez wrzosowisko. Ojciec postawił w końcu na swoim i drogę miejscami poszerzono. Biegła teraz prosto do rzeki Denmare, ale John nie dostrzegał w tym żadnych korzyści, tyle że znacznie więcej ludzi ściągało do miasta w dni targowe i z okazji świąt. Pub Denny'ego Donovana był właściwie obskurną rudera, położoną o kilka mil dalej. Na podwórku grzebało się w piasku kilka nędznych kur, w szopie stał wózek, a na wrzosowisku pasł się puszczony luzem koń.

Jeśli nawet nie ma tu Sama, to przynajmniej jest Denny, pomyślał John.

Zza żaluzji w pokoju na górze zerknęła kobieta, w której rozpoznał Mary Kelly, wdowę po zastrzelonym. Odwaga zaczynała go opuszczać. Może kieruje nim zwykła donkiszoteria? Główne drzwi były zamknięte i założone sztabą, więc obszedł podwórze i odnalazł tylne wejście. Dziwne, że Denny Donovan tak się zamyka przed ewentualnymi klientami... Pewnie skończyła mu się gorzałka, a nie mógł wybrać się do Mundy, żeby uzupełnić zapasy.

John zapukał, a nie usłyszawszy odpowiedzi, nacisnął klamkę i wszedł. Na dole nie było nikogo, ale z sypialni na piętrze dobiegały jakieś odgłosy. W barze panowała stęchła atmosfera zaniedbania, wszystko pokrywała gruba warstwa kurzu, na ładzie stało kilka brudnych szklanek, które robiły wrażenie, jakby pozostawiono je tak wiele dni temu. Uderzył pięścią w bar i po chwili usłyszał odgłos kroków na podniszczonych schodach. Sam Donovan miał na sobie nocną koszulę wetkniętą w spodnie i był nieogolony. Gapił się na gościa, drapiąc się za uchem, ze swym zwykłym półuśmiechem na twarzy.

- Dzień dobry, Sam - przywitał go John, wyciągając rękę, którą tamten ujął z pewnym wahaniem. - Od dawna chciałem zamienić z wami parę słów, więc wybrałem się dziś do sklepu, ale wasza żona odesłała mnie tutaj. Mam wrażenie, że coś z wami nietęgo?

- Och, mnie nic nie dolega, panie Brodrick, to Denny złapał chorobę i razem z Mary go pielęgnujemy. Podobno zaraził się, pijąc złą wodę w Mundy, kiedy staliśmy przed sądem.

- Bardzo mi przykro.

- Może pan wejdzie do niego na górę? Oczywiście leży w łóżku, ale to nie ma znaczenia. Gorączka już go opuściła, więc może mówić.

John udał się więc do tej samej sypialni, z której okna widziała go Mary Kelly. Przy szczelnie zamkniętych oknach powietrze wprost ścinało z nóg. Chory leżał w łóżku, obok siedziała jego owdowiała siostra w czarnym koronkowym czepku, którego - John mógłby na to przysiąc - nie miała na sobie, kiedy widział ją w oknie. Denny Donovan wyglądał blado i mizernie. Bez względu na to, czy historia ze złą wodą miała coś wspólnego z prawdą, musiał być poważnie chory.

- Coś kiepsko wyglądacie, Denny - zagadnął John.

-Już mi lepiej, panie Johnie - odparł tamten, obserwując go uważnie z pościeli - ale gorączka trzymała mnie przez wiele dni, i sam się dziwię, że w ogóle jeszcze kołaczę się na tym świecie po tym, co wycierpiałem. I ta biedna Mary... dopiero co pochowała męża, nie wiedząc nic o zarazie, podobnie jak Sam, a jednak oboje pośpieszyli mi z pomocą. Nie ma to jak braterskie uczucia...

- No tak, rzeczywiście - przyznał John, chociaż pamiętał, jak w dzień Nowego Roku Sam grzmocił Denny'ego, ile wlezie, wyzywając go od bandytów. Widać obaj musieli porządnie pofolgować sobie przy pożegnaniu starego roku. - A skoro już mowa o uczuciach, to właśnie w tej sprawie tu jestem. Po pierwsze, bardzo mi przykro z powodu tego strasznego wypadku z mężem pani Kelly i chciałbym, żebyście mi uwierzyli.

- To był święty człowiek - westchnęła kobieta. - Nie znajdzie się drugiego takiego na ziemskim padole.

- Ponura sprawa - dodał Sam. - Biedna Mary zagłodzi się na śmierć, bo nie ma synów, którzy by ją wsparli. Denny i ja niewiele możemy pomóc, sami jesteśmy biedni i mamy rodziny. Nie dalej jak dziś po południu rozmawialiśmy, że byłby to prawdziwy akt miłosierdzia, gdyby jakiś miły dżentelmen zechciał się z nią zaprzyjaźnić, ale gdzie takiego dziś szukać?

- Gdybym wiedział, co się stanie, nigdy nie dałbym Dowdingowi tej rusznicy.

- Używał jej dla ozdoby. Lubił z nią paradować na oczach ludzi. Cały czas ci to powtarzałem, Sam, no nie?

- Jeśli pani Kelly naprawdę potrzebuje pomocy, to chętnie jej udzielę - zapewnił pośpiesznie John. - Poza tym, czy nie sądzicie, że czas już zapomnieć o

starych waśniach? Pierwszy przyznaje, iż po naszej stronie było wiele prowokacji. Na skutek takich czy innych okoliczności mieliśmy więcej szczęścia, a wy ucierpieliście. Czy możemy już do tego nie wracać i po prostu uścisnąć sobie ręce?

Przez chwilę panowała cisza. Wdowa westchnęła ciężko, a Sam podrapał się za uchem.

- Ile byłby pan skłonny odpalić mojej siostrze? - spytał.

- Zależy, ile jest dla was warta - odparł John.

Podszedł do okna, otworzył je i wdychał pełną piersią aromatyczne powietrze z wrzosowisk. Musiał chyba na głowę upaść, że tu przyszedł. Teraz myślą, że chciał się wykupić od kłopotów na przyszłość. Dobrze mu tak. Ależ ojciec by go wyśmiał, gdyby się dowiedział. Czysta głupota, a w dodatku przyjdzie się rozstać z pieniędzmi...

Tymczasem rodzeństwo pilnie się naradzało.

- Mary uważa, że da sobie radę za pięć szylingów tygodniowo - oświadczył Sam.

- Doskonale - zgodził się John. - Dopilnuję, by je dostawała. - Wyjął z kieszeni kilka monet. - To pierwsza wypłata. Najlepiej otwórzcie rachunek na pocztę, tam pieniądze będą bezpieczne.

- Sam, nalej panu Johnowi drinka - zarządził chory. - Trzeba uczcić taką okazję. W kredensie jest butelka whisky, a tu dodatkowa szklanka. Wypiłbym z wami, gdyby nie ta gorączka. Mam tak spuchnięte gardło, że gorzałka pali mnie jak roztopiony ołów.

Oto, myślał John, najbardziej bezsensowny moment mojego bezsensownego życia. Właśnie wziąłem na utrzymanie Mary Kelly i na dodatek piję gorzałkę z Donovanami. Nie sądzę, bym się odważył powiedzieć o tym Fanny-Rosie.

Wdowa tymczasem wyraźnie odzyskała ducha i przepiwszy do Johna, zaczęła go wypytywać o dzieci.

- Niczego sobie chłopaki, panie Brodrick, tylko rzadko mam okazję ich widywać. Istne aniołki z nieba.

- Nie mówiłaby pani tak, gdyby musiała żyć z nimi pod jednym dachem.

Absurdalność całej sytuacji uderzyła go z taką siłą, że omal nie roześmiał się na głos. Ci sami ludzie, którzy otruli mu psy, teraz biorą go pod włos, klepią po ramieniu, on zaś daje im pieniądze...

- No dobra, Denny, miłego dnia - rzekł, odstawiając szklanę. - Niech to będzie dla was nauczka, żebyście nigdy nie pili wody.

Zszedł na dół, eskortowany do drzwi przez Sama i wdowę, wśród uśmiechów i słodkich słówek.

- Do widzenia panu - pożegnał go Sam. - Jeśli będzie pan potrzebował czegoś z mojego sklepiku, wystarczy dać znać.

- Dobrze, Samie, będę pamiętał.

I ruszył w drogę do Clonmery, trzęsąc się w duchu ze śmiechu, że tak się dał podejść. No cóż, może uciszy to Donovanów na następnych dziesięć lat.

Kiedy dotarł do domu, rodzina siadała właśnie do obiadu po powrocie z pikniku. Dzieci bawiły się świetnie, a Johnniemu wypadł przedni ząb. Fanny-Rosa była zarumieniona, piegowata i godna uwielbienia. Wszyscy tryskali dobrym humorem, może dlatego, że Miedziany John wyjechał na kilka dni do Slane i atmosfera w domu stała się znacznie lepsza.

Przy deserze zjawił się Willie Armstrong. Zaciągnęli wcześniej zasłony, zapalili świece i rozsiedli się wokół kominka, piekąc kasztany.

- Nawiasem mówiąc - rzekł doktor - pewnie ucieszysz się, Barbaro, że nie ma najmniejszego zagrożenia epidemią. Przypadki są odosobnione i nikt z chorych nie miał kontaktu z innymi ludźmi. Całe szczęście, bo dyfteryt jest bardzo poważną chorobą.

- Ach, jaka jestem ci wdzięczna! Nie mogłabym znieść myśli o epidemii, kiedy dom jest pełen dzieci.

- Dennis Donovan naprawdę miał kupę szczęścia, że tak szybko wyzdrowiał. Ale u nich to rodzinne, wszyscy są silni jak byki.

John rzucił niezjedzony kasztan do ognia i wlepił oczy w przyjaciela.

- Powiadasz, że Denny Donovan miał dyfteryt?

- Tak, a bo co?

John wstał i podszedł do okna. Stał tam dłuższą chwilę, myśląc gorączkowo, co robić. W końcu odwrócił się do rodziny.

- Obawiam się, że muszę wam coś wyznać. Dzisiejsze popołudnie spędziłem u Denny'ego Donovana. Nic nie wiedziałem o żadnej chorobie.

Wszyscy spojrzeli na niego z przerażeniem. W kilku słowach cichym głosem przedstawił im całą historię. Kiedy skończył, popatrzył na Fanny-Rosę, błagając ją wzrokiem o miłość i zrozumienie. Siedziała bardzo spokojnie, ale w oczach miała panikę.

- Jeśli ściągnąłeś zarazę na ten dom, na Johnniego, nigdy ci nie wybaczę - oświadczyła.

Tak ciemno w pokoju... Nie widać nawet obrazków z Eton na ścianie ani gałotek z motylami, ani kolekcji ptasich jaj. Przez to czuł się jeszcze bardziej osamotniony. Był przywiązany do swych pamiątek i kiedy znikwały mu z oczu, miał wrażenie, że jest wyrzucony poza nawias, a łóżko, po którym się miota, należy do kogoś innego. Wciąż spadał w jakąś bezdenną dziurę o ścianach wilgotnych i zimnych niczym skały w kopalni. Ojciec zaglądał do niego z góry, kręcił głową i odwracał się, mówiąc, że nie jest wart ratunku. Potem zmieniał się w opiekuna z Eton, patrzył przez okulary w złotej oprawce i groził palcem ze słowami: „Brodrickowi młodszemu brak inicjatywy...”. W tym cały problem. Zawsze mu brakowało inicjatywy. „Brodrick młodszy” nigdy nie chciał służyć swojemu krajowi ani praktykować jako adwokat, ani pomagać ojcu w prowadzeniu kopalni, w ogóle nie chciał robić nic, czego się po nim spodziewano. Pragnął tylko jednego: żeby zostawiono go w spokoju. Najlepiej rozumiały go charty; stały przy nodze, drząc z niecierpliwości, takie smukłe, o mądrych oczach, gotowe na każde skinienie, każde słowo pana. Lubił dotykać ich pysków i szeptać do ucha jakieś bzdury. Lightfoot, dumny i nonszalancki, nawet nie napinał smyczy, tylko od razu skakał, dawał gdzieś nura, a potem zawracał - i na wyspie było o jednego zajęcia mniej. Gorąco tu... Zupełnie jakby zamknięto go w piecu, a kiedy prosił o otwarcie okna, jakiś nieznany głos nakazywał mu, by leżał spokojnie. Czuł się wtedy jak za dziecięcych lat, kiedy opiekowała się nim Marta.

Ach, gdyby tak mógł wstać z tego łóżka, wyjść na powietrze, wdychać zapach wrzosowisk i trawy na Hungry Hill! Kąpać się w jeziorze i czuć chłodny powiew na nagim ciele... I żeby przyszła Fanny-Rosa, na otwartej przestrzeni nie będzie się chyba bała zarażenia... To dziwne, że chociaż zawsze brakowało mu celu w życiu, chociaż niczego nie osiągnął, zawiódł ojca i psuł wszystko, czego się

tknął, potrafił jednak dać szczęście Fanny-Rosie. Wszystko inne nie miało znaczenia. Warto było leżeć w ciemnym pokoju i wspominać wspólnie spędzone chwile. Żadna dziewczyna nie mogła się równać z Fanny-Rosą, stojącą wtedy przy jeziorze na Hungry Hill. Ileż to lat minęło? Dziesięć? Dwanaście? A może to było wczoraj? Rozgniewała się na niego, że poszedł się spotkać z Dennyem Donovanem i naraził wszystkich, szczególnie Johnniego, na chorobę. Zamknęła się z dziećmi w drugim końcu domu i w ogóle się do niego nie zbliżała. A teraz on leży w gorączce, lecz dzieci są bezpieczne; żadne się nie zaraziło, Fanny-Rosa także nie. Uroda Fanny-Rosy... Boże, jakież on straszne głupstwo palnął! Siedział na łóżku Denny'ego, pił z nim whisky i obiecał łożyć na jego siostrę do końca życia. Zaczął się śmiać. Ciekawe, czy ktoś na świecie doceni komizm tej sytuacji? Niestety, nikt, no, może Johnnie. Pewnego dnia Johnnie opowie tę historię i jego zabawna, uparta, lecz przystojna twarz nie będzie mogła opanować śmiechu. Tak to, mimo upływu lat, ojciec i syn rozumieją się nawzajem.

Człowiek przetrzymał ugryzienie,

Ale pies teraz gryzie ziemię.

Czytał tę rymowanąkę dzieciom pewnego wieczoru przy kominku w Lletharrog, ale dziwnie pasowała mu do obecnej sytuacji. Za dwa dni dwudziesty dziewiąty października - rocznica ślubu. Może Fanny-Rosa pokaże się chociaż na końcu korytarza i spojrzy na niego, pomacha ręką, prześle palcami pocałunek?

Znów się pogрузył w ciemności. Nie wiedział, czy jest dzień, czy noc, ale w pewnym momencie ujrzał z dziwną wyrazistością cały ciąg wydarzeń, które doprowadziły go do choroby; przecież gdyby nie dał Dowdingowi rusznicy, siedziałby teraz w ogrodzie z Fanny-Rosą i dziećmi. I gdyby Dowding nie jechał z kopalni z trzystoma funtami w kieszeni... Jane zawsze mówiła, że kopalnia przyniesie im nieszczęście, ale ojciec w to nie wierzył. Pewnie będzie sprzedawał miedź jeszcze przez następnych dwadzieścia lat, kiedy po jego synu zostanie tylko srebrny puchar z wyścigów w roku 1829.

Chory musiał chyba długo spać, bo kiedy się obudził, zobaczył przez zaciągnięte zasłony przeblysłk dziennego światła. W lesie za zamkiem gruchały gołębie, a na podwórzu przy stajniach pobrzękiwały wiadra. Poczuł, że jest bardzo zmęczony, ale spokojny i zadowolony.

Może i byłem najgłupszym Brodrickiem, pomyślał, ale na pewno najszcześliwszym.

TLR

KSIĘGA TRZECIA

Szalony Johnnie

1837-1858

TLR

Patrząc wstecz na swoje dzieciństwo, Johnnie widział je jako długi ciąg wybryków mających na celu wyłącznie prowokowanie dorosłych. Zawsze wydawało mu się, że istnieją dwa światy: jeden to świat fantazji, wykreowany przez niego na własne potrzeby, gdzie dowodził bandą niesfornych dzieciaków, co odpowiadało mu najbardziej, drugi zaś to świat władzy, symbolizowanej przez dziadka - Miedzianego Johna, postać o takiej mocy, że samą swą obecnością budził w John-niem złość i bunt. Poważna, zacięta twarz o kwadratowej szczęce i twarde spojrzenie oznaczały, że dzieci muszą trzymać swe temperamenty na wodzy, ściszyć głosy, a jeśli chcą wrzeszczeć i śmiać się, muszą się wynieść na strych. Johnnie, który zwykł buszować po zaniedbanej bawialni w Lletharrog, rzucać poduszkami matki, kopać zabłoconymi nogami meble, uważał takie zesłanie za poniżenie i obrazę.

Dziadek był zatem potworem, baśniowym olbrzymem z twierdzy, Johnnie zaś - młodym, dzielnym więźniem, który w końcu odcina mu głowę i stoi z miną zwycięzcy nad jego martwym ciałem. Przynętę na potwora zastawiało się podczas rodzinnych modlitw, najlepiej poprzez pułapkę na kogoś ze służby. Czasem Johnnie okręcał sznurek wokół klęcznika, przeciągał go pod dywanem, sam zaś klękał przy krześle w drugim końcu pokoju i od czasu do czasu szarpał, a wtedy niefortunna służąca wpadała na klęcznik, wywołując ogólne zamieszanie. Innym razem przynosił oswojoną myszkę i puszczał ją ukradkiem na podłogę. Prędzej czy później zwierzątko chowało się pod spódnicę którejś z dziewczek kuchennych, a Johnnie mógł zerkać przez palce i obserwować, jak garkotłuk najpierw stara się opanować babski strach przed myszami, ale wreszcie nie wytrzymuje i wydaje z siebie donośny pisk, narażając się na gniew bestii. Ciekawe, że żadna ze służących nigdy go przed dziadkiem nie zdradziła. W pewnym sensie trzymały wręcz jego stronę, bo później, po kolejnym incydencie, Johnnie zachodził do kuchni, gdzie pani Casey zagniatała ciasto, nazywał ją swoją ukochaną, swoją królową, łaskotał ją pod brodą, tak że po prostu nie mogła się na niego gniewać i jeszcze dawała mu ciastko. „Panicz Johnnie ma tupet” - brzmiał wydany pod schodami werdykt, ale mimo to nikt na niego nie skarżył. Miał na nich „swoje sposoby”, podobnie jak reszta dzieci, nawet malutki Herbert o wielkich brązowych oczach. A już biedna pani Brodrick, która owdowiała po zaledwie dziewięciu latach małżeństwa, i samotnie wychowywała gromadkę dzieci, nieodmiennie

budziła współczucie całej służby, choć sama znacznie prędzej zapomniała o swym smutku.

Przez pierwsze trzy miesiące Fanny-Rosa okazywała swój żal na wszelkie możliwe sposoby, posuwając się nawet do ekstrawagancji. Groziła, że popełni samobójstwo, nie wstawała w ogóle z łóżka, dogładana najczulej przez Barbarę i Elizę, przysięgała, że nie ma już dla niej życia, lecz potem, tuż po Bożym Narodzeniu, szwagierki namówiły ją jakoś, by resztę zimy spędziła z nimi w Saunby. Zmiana miejsca, wizyty przyjaciół, temperament dzieci - wszystko to sprawiło, że otrząsnęła się nieco z żałoby i kiedy wiosną wróciła do Clonmere, była już niemal dawną Fanny-Rosą. Niemal, czyli jednak nie do końca. Coś z niej definitywnie uszło i nigdy nie miało powrócić. Blask oczu, radość życia, bijący w oczy powab, mający swe źródło w miłości i czułości Johna, zniknęły na zawsze. Przeszły dla niej istnieć takie sprawy, jak wygląd zewnętrzny, suknie, fryzury. Kiedyś bawiło ją kupowanie toalet i kapeluszy, ponieważ John patrzył na nią wtedy tym swoim rozświetlonym wzrokiem i wyciągał do niej ramiona. Po cóż miałaby teraz zawracać sobie głowę materiałami i szyciem? Suknie z zeszłego sezonu są przecież zupełnie dobre. Można by się spodziewać, że niespełna trzydziestoletnia wdowa wyjdzie ponownie za mąż i doktor Armstrong, kiedy zobaczył Fanny-Rosę po jej powrocie do Clonmere, powiedział sobie, iż kobieta o takim temperamencie na pewno nie pozostanie długo we wdowieństwie. A jednak się mylił, gdyż ta strona życia miała być dla niej zamknięta już na zawsze. Widoki na przyszłość zaś sprowadzały się do jednego: że pewnego dnia Johnnie będzie panem na Clonmere, więc i jego matka stanie się ważną personą. Któregoś dnia, pewnie już niedługo, teść umrze, a Johnnie odziedziczy posiadłość i majątek. Ale prawdziwą panią zostanie ona, Fanny-Rosa. To ona będzie wydawać wszystkie polecenia, wypłacać zasługi, trzymać kasę, a przecież Johnnie dostanie do rąk ogromną fortunę. Miedź przynosiła przez całe lata kolosalne zyski, toteż pani Brodrick, zarządzająca w imieniu syna majątkiem, zdobędzie poważną pozycję w okręgu. Nigdy nie zapomniała, że jest siostrzenicą hrabiego Mundy, i od czasu do czasu przypominała o tym szwagierkom, rzucając, niby mimochodem, jakieś słówko. To zwykle wystarczało, by przywrócić im nieco poczucia rzeczywistości, skoro w codziennym obcowaniu pozwalały sobie na uchybienia.

Powoli zaczęła też opowiadać, jakie zmiany wprowadzi w Clonmere, kiedy posiadłość przejdzie w jej - a raczej Johnniego - ręce. Barbara i Eliza uznały takie wzmianki za nieco przedwczesne. Ojciec nie miał jeszcze nawet siedemdziesiątki i cieszył się znakomitym zdrowiem. Nie zanosilo się jakoś, by w ciągu najbliższych lat ustąpił miejsca wnukowi.

- Szkoda - zauważyła pewnego dnia Eliza - że Fanny-Rosa ciągle mówi o Clonmere jak o swojej własności. Uważam, że bardzo się zmieniła od śmierci Johna. Straciła dawną wesołość i zrobiła się nie do zniesienia.

- Biedna Fanny-Rosa! - westchnęła Barbara. - Żadna z nas nie ma pojęcia, jak bardzo brak jej Johna. Musimy być cierpliwe i nie przejmować się tymi fochami. Nie zapominaj, jak bardzo jest oddana temu kochanemu Johnniemu.

- Przecież nie mam zastrzeżeń co do jej macierzyńskich uczuć, tylko przykro mi słuchać, kiedy szarogęsi się w stajniach i każe siodłać dla siebie mojego konia, ilekroć ma ochotę na przejażdżkę.

- Pamiętaj - tłumaczyła Barbara, wieczna pacyfistka - że Fanny--Rosa przywykła do wydawania rozkazów. - W Lletharrog trzęsła wszystkim; zameźna kobieta, pani domu, czuje się zagubiona, jeśli nie może dyrygować służbą. Ciągle spotykam ją w kuchni, gdzie wydaje polecenia sprzeczne z moimi. Wmawia kucharce, że niektóre potrawy są nieodpowiednie dla dzieci, i pewnie ma rację, więc się nie odzywam. Cokolwiek robi, starajmy się za wszelką cenę unikać scysji.

- Dziwi mnie, że ojca to czasem nie denerwuje. Fanny-Rosa często zaprzecza mu przy obiedzie, a przecież nie zniósłby tego od żadnej z nas.

- Fanny-Rosa dużo podróżowała i jest bardzo odczytana. Poza tym zauważyłam, że z kobietą, która miała męża, panowie chętniej dyskutują, starym pannom natomiast zwykle ucierają nosa. Może tamte mają jakąś wyższą wiedzę o życiu, której nam brakuje?

Eliza prychnęła gniewnie. Nie cierpiała, kiedy wypominano jej staropanieństwo i średni wiek, ale owdowiała bratowa zadomowiła się u nich na dobre i Barbara miała rację: co za sens wywoływać awantury? Toteż „pani Johnowa”, jak Fanny-Rosę nazywała służba, zaczęła z czasem zajmować wyższą pozycję w domu niż „panna Barbara” czy „panna Eliza”, chociaż objawiała swą władzę w inny sposób. Spóźnione posiłki czy kurz w pokojach niewiele dla niej znaczyły, ale niech no tylko na stole pojawiło się ciasto, kiedy ona zamówiła budyń, wpadała jak burza do kuchni i krzyczała na biedną panią Ca-sey, zawstydzając ją przy innych służących. Albo jeśli z jej toaletki zniknął jakiś drobiazg (który przeważnie sama gdzieś zarzuciła, bo zawsze miała w pokoju bałagan), zaraz wymyślała pokojówce od złodziejek, a czasem nawet bez zgody i wiedzy Barbary natychmiast zwalniała ją z pracy.

Dzieci nigdy nie mogły przewidzieć, jak się zachowa. Raz psuła je do niemożliwości, innym razem zaś krzyczała i karciała je za byle głupstwo. Wprawdzie przez całe lata najbardziej bały się dziadka - postaci zdecydowanie dominującej w Clonmere - ale drugie miejsce przypadło matce, osobie nieobliczalnej, o zmiennym charakterze. Czasem była aniołem z wesołymi iskierkami w oczach i burzą włosów wokół twarzy, kiedy indziej zaś istną piekielnicą, złą wróżką z bajek, z której ust padały jak grad gniewne słowa.

Jedynym człowiekiem, który spuszczał Johnniemu łanie, był jego chrzestny ojciec, doktor Armstrong, nazywany przez dzieci „wujkiem Williem”. Chłopiec nigdy mu tego nie wybaczył, przede wszystkim dlatego, że pierwszą w jego życiu karę wymierzono mu niezasłużenie.

Ciotka Barbara nie czuła się dobrze, ostatnio ciągle kaszłała i wujek Willie wciąż ją odwiedzał. Robiła na drutach szal dla pewnej chorej kobiety w Oakmont i często zostawiała go w salonie. Kiedyś leżała w swoim pokoju i poprosiła wujka Williego, by jej przyniósł robótkę, ten zaś stwierdził, że włóczka jest zabrudzona i splątana, niedokończony zaś szal podarty na strzępy. Wezwana na przesłuchanie służba przyznała, że panicz Johnnie bawił się po śniadaniu włóczką, toteż niebawem chłopiec stanął przed obliczem chrzestnego, oskarżony o przestępstwo. Na próżno tłumaczył, że tylko dotknął szala, a potem go zaraz odłożył, i że to na pewno sprawa szczeniaka, który musiał wyrwać się z dzieciennych pokoi, a jemu, Johnniemu, bardzo jest z tego powodu przykro, gdyż nigdy nie zasmuciłby tak chorej ciotki. Chrzestny jednak zarzucił mu kłamstwo.

Johnnie poczerwieniał.

- Wcale nie kłamię, bodaj cię wszyscy diabli! - wrzasnął (a miał wtedy zaledwie dziewięć lat) i ruszył do wyjścia.

Wujek Willie złapał go za kołnierz, a że był potężnie zbudowanym mężczyzną, łatwo sobie poradził z wierzgającym chłopczykiem.

- Za to, że wyrządziłeś szkodę i jeszcze kłamiesz, dostaniesz w skórę, a żeby sprawa nie przyschła, wymierzę ci karę osobiście, w obecności służby. Niech się dowiedzą, jaki z ciebie zepsuty, źle wychowany chłopak.

Wszyscy zebrali się na podwórzu przy stajniach: pani Casey, Tim, Thomas, a reszta dziewczek kuchennych stała w oknie. Johnniemu ściągnięto spodni, wystawiając na powszechny widok jego tylną część ciała, po czym chrzestny ojciec wymierzył mu dwanaście uderzeń trzcinką.

Chłopiec był zbyt zszokowany, by płakać. Dopiero kiedy egzekucja dobiegła końca i został sam, zrozumiał ogrom swej hańby. Oto stoi na podwórzu z opuszczonymi spodniami, a dziewczki kuchenne chichoczą, śmieją się z niego w kułak... Jeszcze nigdy nie spotkało go tak wielkie nieszczęście. Pobiegł do lasu, rzucił się na ziemię i tam dopiero utopił we łzach swoje upokorzenie i gorycz. Nigdy, przenigdy jego noga nie postanie w tym domu. Jak mógłby spojrzeć w oczy Timowi i tym dziewczętom? Zniewaga, niesprawiedliwość, słowem, czysta zgroza! Zaczął się z pasją modlić o śmierć wujka Williiego, a także o to, żeby jakimś zrządzeniem losu on, Johnnie, mógł się znaleźć daleko od Clonmere. Zrobiło się ciemno i zimno, ale chłopiec wciąż leżał na ziemi. Ładna twarzyczka spuchła mu od płaczu, ślady po uderzeniach coraz bardziej piekły, a serce coraz bardziej ciążyło. Mama na pewno by go pożałowała i niewątpliwie zrobiła straszną awanturę wujkowi Williemu. Zaraz też chciałyby kłaść kompres na obolałe pośladki, ale on nie potrzebował litości, tylko podziwu i uczucia. Chciał, by go uważała nie za chłopczyka, któremu ściągnięto publicznie spodnie, tylko za najwspanialszego bohatera. Nie, mama nie zrozumiałaby jego żalu, zawstydzienia, poczucia bezsilności. I wtedy, kryjąc twarz w dłoniach, rozszlochał się na dobre. Czemu, ach, czemu umarł tatuś? On nigdy nie potraktowałby mnie w ten sposób... Jak przez mgłę Johnnie pamiętał wysoką postać mężczyzny, którego nazywał ojcem. Widział jego uśmiech, czuł na ramieniu dotyk jego ręki. Niewiele lub w ogóle nic nie rozumiał tuż po śmierci ojca, teraz jednak po raz pierwszy uświadomił sobie swą stratę.

Wyczerpany ciężkimi przeżyciami, wkrótce zapadł w sen, i tam właśnie, pod drzewami odnalazł go Baird, który wracał przez las do swego domku. Dobrotliwy staruszek szybko połapał się w sytuacji i zaniósł chłopca do siebie, nie wspominając ani słowem o incydencie, chociaż służba zdążyła mu już opowiedzieć całą historię, i to mocno upiększoną. Podzielił się z Johnniem kolacją, potem zaś pozwolił mu wziąć fretkę¹⁰ i asystować przy zakładaniu sideł. O dziewiątej chłopiec na tyle odzyskał humor, że dość chętnie przyjął od Bairda latanie i wrócił do domu. Wszedł bocznym wejściem i przemknął chyłkiem do wspólnej z Henrym sypialni, obawiając się, by matka lub dziadek go nie usłyszeli i nie zaczęli wypytywać, czemu nie był na obiedzie.

¹⁰ * Fretkę używano dawniej do polowań na króliki. .

- Zakładałem z Bairdem sidła - pochwalił się bratu, ściągając ubranie. - Powiadam ci, to coś wspaniałego! Fretka wcale mnie nie ugryzła i w ogóle się jej nie bałem.

- Szczęściarz z ciebie - westchnął Henry, ziewając. - Mógłbyś mnie kiedy zabrać, tu jest okropnie nudno. Fanny i Edward bawili się w dom, aleja za tym nie przepadam, to zbyt dziecinne.

- Mama pytała, czemu nie było mnie na obiedzie?

- Jej samej też nie było - odparł sennym głosem Henry. - Pojechała do Andriff obejrzeć nowe dziecko cioci Tilly. A wujek Willie powiedział cioci Elizie, żeby się ciebie raczej nie spodziewała, więc wcale się nie zmartwiła.

To oznaczało pewien przebłysk zrozumienia ze strony wujka Williego, ale Johnnie i tak mu nie przebaczy.

- Mówił coś jeszcze? - spytał od niechcienia.

- Nie wiem, zbadał ciocię Barbarę i zaraz sobie poszedł. Biegłem trochę przy jego koniu. Pójdziemy jutro do fretki? To tak miło wybrać się gdzieś razem!

- No, nie wiem - odparł z wyższością Johnnie. - Chyba jesteś za mały na fretki.

Obrócił się na bok i zaraz zasnął. Następnego dnia uważał przy ubieraniu, by cały czas stać przodem do brata, i zszedł na modlitwę pełen niepokoju, czy nie zobaczy wzgardy na twarzach służących. Wiedział już jednak, że wujek Willie nie pisał ani słowa rodzinie, więc mocno mu ulżyło i z tej radości przez resztę dnia uprzykrzał życie młodszym dzieciom. Przechwalał się też głośno, jak dzielnie poczynał sobie z fretką, a podziw matki i chłopców dla jego męstwa szybko zatarł poczucie hańby. Mimo wszystko jednak, choć dzień minął bez incydentów, jakiś wewnętrzny głos wciąż mu szeptał, że żaden z niego bohater, tylko głupi dzieciak, którego obnażono na oczach służby, i kiedyś cały świat się o tym dowie. Z zainteresowaniem słuchał wieczorem opowieści matki o tym, jak to „biblioteka będzie jego po śmierci dziadka”.

- Ależ ciocia Barbara z pewnością ma do niej większe prawo niż ja! Przecież jest najstarsza po dziadku.

Fanny-Rosa zaśmiała się z dziecięcej logiki swego syna.

- Wiek nie ma z tym nic wspólnego - wyjaśniła. - Kiedy dziadek umrze, Clonmere będzie twoje. Zrobisz z tymi pokojami, co zechcesz.

- Chcesz powiedzieć, że będę panem, jak dziadek teraz, i wszyscy służący będą musieli robić, co im każę?

- Oczywiście, kochanie.

-I mógłbym wtedy nie wpuścić wujka Williego do domu i poszczuć go psami, gdyby ośmielił się złamać zakaz? Fanny-Rosa zaśmiała się znowu.

- Myślę, że to doskonały pomysł. Wujek Willie potrafi być czasem bardzo dokuczliwy. Z największą chęcią zobaczyłabym, jak ucieka przed sforą psów.

- Nie lubisz go? - spytał Johnnie, ośmielony tym szczerym wyznaniem.

Zawahała się przez chwilę.

- Nie mogę powiedzieć, że go nie lubię, ale nigdy mi się nie podobały jego dyktatorskie zapędy. Uważa się za Bóg wie kogo, bo przyjaźni się z rodziną, ale to przecież tylko wiejski lekarz. Wielu ludzi z towarzystwa w ogóle by go nie przyjmowało.

- Czy być lekarzem to coś poniżającego?

- Wiesz, dżentelmeni raczej unikają tego rodzaju profesji. Mogą co najwyżej wybrać służbę w wojsku albo w Kościele, ale najlepiej po prostu żyć z własnego majątku, i to właśnie czeka ciebie.

Chłopiec pomyślał chwilę.

- Może dziadek umrze już za miesiąc. Wtedy zaraz poszczuję wujka Williego psami.

Pomysł, który wykiełkował wówczas w jego głowie, zakorzenił się na dobre. Od tej pory Johnnie zasypywał matkę pytaniami, jak będą żyć i co robić, kiedy nadejdzie ów wielki dzień. Chłopcu się wydawało, że dopiero kiedy zostanie panem na Clonmere, potrafi przejść do porządku nad tamtym laniem, którego wspomnienie wciąż go dręczyło. Wówczas służba nie ośmieli się z niego wyśmiewać. Zaczął więc uważnie śledzić dziadka i doszukiwać się najdrobniejszych nawet oznak pogorszenia stanu jego zdrowia. Czasem pytał go przy śniadaniu, czy dobrze spał, i Miedziany John, nieprzyzwyczajony do takiej troskliwości ze strony najstarszego wnuka (to raczej młodszy, Henry, odziedziczył wraz z imieniem stryja cechy jego charakteru), zaczął dochodzić do wniosku, że może ten Johnnie ma jednak jakieś ludzkie uczucia. Kto wie, czy nie wyrośnie z czasem na prawdziwą podporę dziadka? Ostatnio często czuł się samotny. Dwaj synowie nie żyli, podobnie jak Jane, a Barbara była praktycznie inwalidką. Pewnego dnia

zabrał więc chłopca do kopalni i niektóre jego pytania mocno go ubawiły, szczególnie jedno, zadane sztygarowi: czy dziadek umarłby, gdyby go ktoś zepchnął do szybu?

- Obawiam się, że tak, paniczu - odrzekł Nicholson, a Miedziany John wzruszył się mocno, kiedy wnuk się zadumał, potem zaś zauważył, że skoro w pobliżu kręci się tyle niebezpiecznych typów, dziadek nie powinien nigdzie chodzić bez laski.

Kiedy jechali z powrotem - dziadek na koniu, wnuk na kucyku - powiedział mu:

- Jak podrośniesz, będziesz jeździł ze mną do kopalni i pomagał pilnować porządku. Czeka nas mnóstwo pracy.

- Mogę zacząć już teraz - zapalił się chłopiec. - Bardzo bym chciał jeździć z tobą codziennie.

Miedziany John się roześmiał. Ubawiło go, że ten kędzierzawy, rumiany dzieciak zaczął wreszcie interesować się tym, co go otacza.

- Będzie na to dość czasu, gdy skończysz szkoły. Twój stryjek Henry, zanim poznał bliżej kopalnię, przeszedł przez Eton i Oksford.

- Ale, dziadku... - zaczął Johnnie i urwał. Raczej nie wypada przypominać starszemu, że ten może wówczas od dawna leżeć w grobie - ...mam nadzieję, że nie zmęczyłeś się jazdą? - dokończył zgrabnie.

- Nie, wcale. Mogę jeździć dwa razy dłużej bez śladu zmęczenia. Wnuk musiał być pod wrażeniem, gdyż znów popadł w zadumę.

No cóż, pomyślał Miedziany John, chłopak wyraźnie się cywilizuje.

Jesienią Fanny-Rosa kazała namalować swe dzieci. Obraz zawisł w jadalni, naprzeciwko portretu Jane. Przedstawiał pięcioro ładnych dzieciaków w czerwonych aksamitnych pantalonkach, bawiących się na trawniku przed zamkiem. Matki Herbert siedział w długiej sukience na ziemi z pogodnym uśmiechem na buzi, podobnie jak ! Edward - z główką całą w lokach. Henry wyglądał na zamysłonego, -Fanny zaś wypadła dość blado i mizernie, przytłoczona widać odpowiedzialnością jako jedyna dziewczynka w rodzinie. Nad całą grupą górował Johnnie z burzą bezładnych kędziorów, puszczonej luźno na ramiona. Dzierżąc przed sobą łuk i strzałę, patrzył przed siebie butnie i arogancko, jakby chciał dać

do zrozumienia tym, którzy po latach będą oglądać obraz, że Johnnie Brodrick z Clonmere ma w nosie wszystko i wszystkich.

2

Kiedy Johnnie skończył czternaście lat, wysłano go do Eton. Z każdymi kolejnymi wakacjami Fanny-Rosa zagarniała coraz więcej miejsca dla siebie i swoich chłopców. Barbara, obecnie zupełnie zniepełniała inwalidka, rzadko opuszczała swój pokój i cały dom oddała pod zarząd bratowej. Eliza starała się robić dobrą minę do złej gry, ale wolała teraz spędzać więcej czasu w Saunby. Co do Miedzianego Johna, to w siedemdziesiątym roku życia wyglądał najwyżej na sześćdziesiątkę. Chociaż czupryna mu posiwiała, a sylwetka nieco się przygarbiła, umysł miał bystry jak zawsze i sprawy kopalni prowadził tak sprawnie, jakby był o połowę młodszy. W miarę upływu lat stawał się też coraz większym postrachem dla wnuków. W jego zaciętej, surowej twarzy, szerokich barach, masywnej szczęce było coś, co nieodmiennie budziło w dzieciach atawistyczny lęk, ponieważ kojarzyło się im z Bogiem wszechmogącym. Kiedy przy śniadaniu zajmował swe miejsce u szczytu stołu, mając przed sobą otwartą Biblię, chłopcom się wydawało, że oto na Doonhaven zstąpiła sama Najwyższa Obecność, która w każdej chwili może ich unicestwić jednym błyskiem przenikliwych oczu. „Jam jest Alfa i Omega, Początek i Koniec” - obwieszczał wszem wobec uroczysty głos. W takiej chwili mały Herbert święcie wierzył, że dziadek mówi o sobie, i tylko czekał, by z nieba sfrunęła gołębicą i zaczęła krążyć nad głową patriarchy rodu, tak jak to widział w książce do nabożeństwa. Fanny, stworzenie lękliwe z natury, naprawdę bała się starszego pana i czmychała do swego pokoju, gdy tylko napotkała jego spojrzenie. Z całej rodziny tylko jeden Henry pozostawał z dziadkiem w normalnych stosunkach. Był szczerym, ujmującym chłopcem o szczególnym wdzięku i uderzającym podobieństwie do stryja. Być może właśnie owo podobieństwo sprawiło, że Miedziany John przywiązał się do niego bardziej niż do innych wnuków. Podczas letnich wakacji chodzili razem na obchód posiadłości - Miedziany John z nieodłączną laską i w kapeluszu z szerokim rondem. Henry pytał go często o zdanie na temat aktualnych problemów politycznych, ku cichemu rozbawieniu dziadka. Johnnie natomiast nastawiony był teraz wręcz antagonistycznie. Rozkazujący ton głosu przy obiedzie, zabraniający odezwać się,

kiedy on sam mówi, stanowił nieustanne źródło irytacji chłopca. Znudzony, niepokojny Johnnie myślał tylko o tym, jak by tu uciec od stołu do swego konia.

- Żeby cię diabli wzięli, stary durniu - mrucał do siebie pod nosem, wiedząc, że dziadek nie ma już tak dobrego słuchu, jak dawniej, i ze złośliwą satysfakcją patrzył na przerażoną twarz siostry, która wszystko słyszała.

Czasy psot się skończyły. Młodzieniec, który pobiera nauki w Eton, nie wpuszcza myszy pod kiecki służących ani nie stawia dzbanka z wodą na drzwiach. Nadeszła jednak pora na inne zabawy, raczej niecieszące się aprobatą dorosłych, takie jak palenie tytoniu w kryjówce za stajniami i picie piwa z wiejskimi chłopakami w Doon-haven.

To bardzo podniecające wymykać się pod osłoną ciemności do parku przez kredensowe okno, kiedy wszyscy myślą, że jesteś w łóżku, i spotykać się tam z Patem Dolanem, Jackiem Donovanem oraz paroma innymi, starszymi o kilka lat, ale o wiele głępszymi albo przynajmniej udającymi takowych. Leżeli potem do góry brzuchami w wysokiej trawie z fajkami w zębach (prawdę rzekłszy, Johnniego nieco mdliło) i „młody dżentelmen” opowiadał o życiu w Eton: że ma tam mnóstwo kolegów, że wychowawca nie może sobie dać z nim rady, że jeśli tylko zechce, może stamtąd odejść, jeszcze zanim skończy osiemnaście lat. „Kiedy stary kipnie, to wszystko będzie moje - mówił od niechcienia, machając ręką. - Wtedy, jak zechcę, zaproszę was wszystkich do zamku”. Ileż to będzie chichotania wśród młodych, jak wszyscy będą mu schlebiać i nazywać „byczym chłopem, najlepszym z całej ferajny”, on zaś będzie się grzał w blasku chwały. Tak naprawdę miał w Eton zaledwie kilku kolegów, a nie całe tabuny, jak opowiadał w miasteczku. Trzeba przyznać, że Henry w trzy tygodnie zadomowił się tam lepiej niż on przez trzy lata i wsiąkł w obcy świat elitarnej szkoły z łatwością i wdziękiem. Johnnie, niechętnie nastawiony do rygoru i ziejący nienawiścią do pracy, dopiero co pokłócił się z najlepszym przyjacielem i wymienił go na innego, ale z zazdrością obserwował, jak Henry śmieje się i żartuje, z jaką swobodą nawiązuje kontakty z kolegami i wychowawcami. Zastanawiał się wówczas z goryczą, co jest z nim nie w porządku, dlaczego wciąż musi wojować z całym otoczeniem.

- Nie cierpię Eton - wyznał bratu tuż po siedemnastych urodzinach, kiedy wracali do Clonmere na wakacje. - Miałem dobry pomysł, że spytałem mamę, czy mogę rzucić szkołę. Nie ma dosłownie nikogo, z kim warto by zamienić słowo, poza tym straszne tam nudy.

- Szkoda, że nigdy nie spróbowałeś wiosłowania - odparł Henry. - To dla mnie wielka frajda, wszyscy najlepsi koledzy wiosłują. W drugiej połowie lata

zamierzam przyłączyć się do polowań z psami. I Lockley, i Middleton zaprosili mnie na tydzień i bardzo chciałbym pojechać. Podobno ojciec Lockleya urządza najlepsze polowania w Anglii.

Johnnie milczał. Kiedy on miał czternaście lat, nikt nie zapraszał go na tydzień wakacji. Owszem, odwiedził paru kolegów w domach, ale wcale się dobrze nie bawił. Właściwie przyjaźń to bardziej brzemię niż przyjemność. Zerknął na brata, który uśmiechał się do siebie znad gazety, a potem nagle zobaczył w szybie swą ponurą, naburmuszoną twarz i kontrast przykro go zaskoczył. Jeśli zawsze ma taką minę nic dziwnego, że nie uważają go za atrakcyjnego kompana.

Matka jak zwykle przywróciła mu nieco pewności siebie.

- Mój kochany syneček! - zawołała, wyciągając doń ręce. - Ależ wyrosłeś w ciągu tych trzech miesięcy! Jesteś już prawie mężczyzną. To rzeczywiście nie ma sensu, żebyś nadal tkwił w szkole i ślęczał nad książkami.

Johnnie uściskał ją serdecznie. Jak miło, kiedy ktoś wypowie na głos twoje własne myśli! Matka zawsze była wspaniała, ale czemu, na miłość boską, okręciła sobie głowę pończochą zamiast nałożyć czepek? Chyba nie powinna nosić czerwonego żakietu przy tak jaskrawych włosach... No i jakoś ostatnio przytyła.

- Dobrze, że tak uważasz. W Eton niczego już się nie nauczę i właśnie chcę się wypisać.

- Oczywiście, możesz to zrobić. Pomówię z wujkiem Bobem, żeby przyjęli cię do dragonów. Wiesz, że twój biedny dziadek nie żyje?

- Co?!

- Nie, nie - dodała szybko, oglądając się przez ramię. - Chodzi o dziadka Simona. Wuj Bob przebywa teraz w Andriff i próbuje doprowadzić sprawy do porządku. Oczywiście panował tam niewiarygodny bałagan.

- Wolałbym, żeby to był dziadek Brodrick.

- Ja także, ale po co o tym wspominać? W każdym razie dziadek Simon miał lekką śmierć. Wypił więcej niż zwykle i kiedy położył się spać, zapalił się jego koc. Pewnie biedakowi fajka wypadła z ust, bo gdy służący wszedł do pokoju, omal nie padł trupem od wyziewów tytoniu, whisky i dymu. Kochany staruszek musiał się udusić własnym oddechem. Zdaniem służącego twarz miał bardzo spokojną.

- Przypuszczam, że zamek Andriff przejdzie teraz w ręce wuja Boba?

- Tak, i wszystkie pieniądze, których jest pewnie nie więcej niż dwa pensy. Ale cały zapas porto dziadek zostawił tobie.

- No, to już jest coś. Czy nie moglibyśmy sprowadzić tego do Clon-mere i tak schować, żeby dziadek się nie zorientował?

Matka roześmiała się i przymknawszy oko, położyła palec na ustach. Przez chwilę wyglądała jak dawna Fanny-Rosa.

- Już to zrobiłam. Złożyłam wszystko na jednym ze strychów. Dziadek nigdy tego nie znajdzie. Zresztą ostatnio to ja jestem panią domu, nikt nie ośmieli się zadawać mi pytań.

- Jak się czuje ciotka Barbara?

- W zasadzie tak samo. Nigdy nie opuszcza swego pokoju, a jada tyle co ptaszek. Wujek Willie nie sądzi, by przeżyła zimę. Oczywiście przydałby się jej ciepły klimat, ale biedaczce brak już sił na podróż.

- Ile ona ma lat?

- Ciotka? Och, nie więcej niż czterdzieści osiem.

- W naszej rodzinie umiera się dziwnie młodo - zauważył John-nie. - Można by przypuszczać, że ktoś rzucił na nas klątwę.

- Twojego dziadka to chyba nie dotyczy. Wiesz? To oczywiście tylko plotka, ale podobno kopalnie przynoszą aż dwadzieścia tysięcy zysku rocznie! A mimo to wciąż jadamy w niedziele zimne kolacje i przed październikiem nie wolno rozpalać kominka. Ostatnio nie mogłam już tego znieść, więc kazałam Thomasowi przynieść do mojego pokoju trochę torfu i coś do jedzenia na tacy, na wypadek gdybym poczuła się głodna. Aha, nie gap się zbyt obcesowo na nową pokojówkę. Jest zezowata i ma trochę źle w głowie.

- A co się stało z Meg?

- Och, pokłóciłyśmy się okropnie i musiałam ją odesłać. Teraz mówią w Donhaven, że żadna dziewczyna nie chce przyjść do nas na służbę, bo podobno jestem taka niedobra. Słyszałeś kiedy większy absurd? Przecież jestem najłagodniejszą panią w okolicy i nigdy nie zaglądam pod łóżka. Za bardzo się boję tego, co mogłabym tam znaleźć.

Chłopcy wybuchnęli śmiechem. Jaka zabawna potrafi być ich matka, jeśli tylko zechce, przy swej skłonności do śmiechu, lekko skośnych oczach, wyrazistej

gestykulacji... I czy to ważne, że przestała walczyć z piegami, że nigdy nie szczotkuje splątanych, płomiennych włosów i nosi tę śmieszoną pończochę wokół głowy?

- Mam wielkie plany co do Doonhaven - ciągnęła. - Zaczęłam uczyć okoliczne dziewczęta koronkarstwa. Sześć z nich przychodzi do zamku w każdy czwartek.

- Po co ci to, u licha? - zdziwił się Johnnie.

- No cóż, to rodzaj sztuki, prawda? Poza tym, co one mają robić? Pokładać się z chłopakami pod żywoptem? Zresztą nasz wielebny wpadł tu niedawno w strasznym gniewie. Krzyczał, że to „dzieło szatana”, bo rzekomo nabijam dziewczętom głowy pomysłami, które wykraczają poza ich stan. „Zanim skończą naukę, wszystkie będą niezadowolone ze swego losu, a jeśli chce pani naprawdę zrobić coś dobrego, to proszę lepiej zająć się bękartami swej siostry” - oto jego słowa. Powiedziałam mu wtedy coś, czego nie zapomni do końca życia... Biedna ciocia Tilly! Czyż nie posyłam jej paczki z ubraniami na każde Boże Narodzenie? Ma już jedenaścioro dzieciaków i wszystkie biegają boso po drogach Andriff. Można by się spodziewać, że Sulli-van robi im buty, skoro jest szewcem.

W salonie panował teraz taki sam bałagan, jak w Lletharrog. Na podłodze i krzesłach poniewierały się próbki koronek, w wazonach stały zwiędłe kwiaty, gdyż Fanny-Rosa wciąż zapominała je usunąć. Na sekretarze leżały paczki z książkami, obok nich porzucono niedbale papier i sznurek. Fanny-Rosa wciąż zamawiała nowe książki, ale kiedy nadeszły, wcale ich nie czytała. Szczeniak nabrudził na środku dywanu, ale nikt po nim nie sprzątnął, a w kącie sofy któreś z dzieci - prawdopodobnie Herbert - wcisnęło rozmiękły cukierek. Johnnie i Henry poszli przywitać się z ciotką. Leżała przy oknie, bardzo blada i mizerna, ale jak zawsze cierpliwa i łagodna. Spytała, jak się miewają, i z żalem oświadczyła, że, niestety, nie może wstać na obiad, bo w ogóle nie schodzi na dół, odkąd wyjechali z domu. Ma jednak nadzieję, że porządnie przewietrzono im łóżka. Do pokoju na wieży często wkrada się wilgoć, no, ale już ich matka dopilnuje, by ogrzano im prześcieradła. Johnnie mocno w to wątpił, ale głośno nic nie powiedział. Potem ciotkę znów chwycił przykry, rozdzierający kaszel. Zawsze taktowny Henry odwrócił wzrok i udał, że przygląda się obrazkom na ścianie, ale Johnnie dostał ataku nerwowego śmiechu. Wyszedłszy na korytarz, opadł na podłogę i wepchnął sobie do ust chusteczkę, podczas gdy zszokowany brat błagał go, by się uspokoił.

- Jak możesz? Przecież ona nie pożyje już długo. To takie smutne...

- Wiem o tym, głupku jeden. Lubię ją tak samo, jak ty, ale ten kaszel...

I znów pociekły mu po twarzy łzy od tłumionego śmiechu, aż wreszcie zaraził nim Henry'ego. Obaj bracia pognali do ogrodu, skręcając się w histerycznych spazmach. Johnnie ochłoniął dopiero wtedy, gdy błyskawicznie zrzuciwszy ubranie, dał nura do zimnego potoku.

Jak to dobrze, myślał Henry, że dziadek wróci dopiero jutro! Ależ by miał minę, gdyby zobaczył Johnniego na golasa! Do końca wakacji nie mówiłby o niczym innym.

- Wychodź, wariacie! - zawołał do brata, oglądając się trwożnie przez ramię.
- Jeszcze cię zobaczy któraś z pokojówek!

Johnnie otrząsnął się jak psiak i uśmiechnął szeroko. Nie miał ręcznika, musiał wytrzeć się koszulą.

- Dopieroż by miały uciechę! Myślę, że ta ślicznotka z kuchni chętnie rzuciłaby na mnie okiem.

- Patentowany osioł! Też masz powody do dumy!

Johnnie roześmiał się, ale nie odpowiedział. Zaczął wciągać ubranie, pogwizdując z cicha. Był teraz w znacznie lepszym nastroju. Matka zgodziła się, by rzucił szkołę od Bożego Narodzenia, wujek Bob załatwi mu patent do dragonów. Johnnie będzie mógł wyjechać za granicę, pozna mnóstwo ludzi, a ten pocziwy Henry nadal będzie nosił mundur i przykładowie chodził spać o dziesiątej.

- W samą porę - mruknął Henry, bo właśnie wyszła z domu ciotka Eliza i wyraźnie zmierzała w ich stronę.

- Moi drodzy chłopcy! - wykrzyknęła, nadstawiając do pocałunku obwisły policzek i wydzielając silny zapach kulek na mole. - Kochany Johnnie to już młody mężczyzna, a i Henry bardzo wyrósł. Niedługo w ogóle nie zechcecie rozmawiać ze starą ciotką.

- Tylko nie „starą”, ciociu - zaprotestował z galanterią Henry. -Dla mnie jesteś wiecznie młoda. Jak tam twoje szkice?

- Namalowałam dwie całkiem przyjemne scenki, kiedyś wam pokażę. Johnnie, czy nie wybrałbyś się jutro do Słane, żeby spotkać się z dziadkiem? Statek przybędzie dopiero za trzy dni, a dziadek nie ma tam nic do roboty i chętnie wróciłby z tobą powozem.

- Czemu nie?

- Jestem pewna, że dziadek to doceni. W końcu nie widział cię od pół roku.

- Czy w Saunby nie dokucza mu samotność? - spytał Henry, kiedy wchodzili do hallu. - Co on tam robi po całych dniach bez swoich kopalni?

- Nadal dwa razy w tygodniu przeprawia się do Bronsea - odrzekła Eliza. - Od czasu do czasu wpada też do Lletharrog. Na szczęście pani Collins jest świetną gospodynią i potrafi o niego zadbać. Ja nie mogę nigdzie się ruszyć, bo trzymamnie tu choroba Barbary.

- Poczekaj, ciociu, niech no tylko dostanę patent oficerski, to zaraz zaproszę cię do Londynu i spędzę z tobą cały urlop. Spodobam ci się w czerwonej kurtce?

- Oczywiście, złotko. Wszystkie młode panny oszaleją z zazdrości. Thomas, czy obiad gotowy? Konam z głodu.

- Pani Johnowa kazała dziś podać godzinę później. Chciała wykończyć jakiś haft.

- A niech to licho! W tym domu godziny posiłków zmieniają się każdego dnia. Wczoraj, kiedy wróciłam ze spaceru, właśnie sprzątano ze stołu, bo strzeliło jej do głowy, żeby zjeść wcześniej. Nigdy nie dojdę z nią do ładu.

Johnnie zajrzał przez szparę do biblioteki. Pokój miał wygląd surowy, spartański, wiało od niego chłodem, jak zwykle od wnętrza nieużywanego od wielu miesięcy. A jednak wciąż wyczuwało się obecność dziadka, nawet zapach pozostał ten sam: skóra, atrament, papier. W panującej tam atmosferze było coś groźnego, posepnego, podobnie jak w kościele. Jakiż kontrast z wesołym rozgardiaszem salonu, gdzie Fanny-Rosa z wypiekami na twarzy upinała na córce wykrój sukienki, wydzierając się przy tym na całe gardło, Edward z Herbertem wspinali się na meble i okładali pięściami, a dwa rozjazgotane spaniele obserwowały to wszystko z zachwytem w oczach.

Nazajutrz Johnnie wyruszył do Slane w doskonałym humorze, ponieważ Tim pozwolił mu powozić, a właściwie oddał lejce na wyraźne polecenie. Stary Casey nie żył już od pewnego czasu, a dawny stajenny, obecnie żonaty mężczyzna pod pięćdziesiątkę, siedział na koźle obok panicza, pełen najgorszych obaw. Paniczowi Henry'emu można powierzyć konie, on ma wrodzoną zdolność postępowania ze zwierzętami, ale paniczowi Johnniemu stanowczo brakuje cierpliwości. Szarpie za uzdę i tak śmiga batem, że nawet najłagodniejsze zwierzę mogą zawieść nerwy.

- Proszę pozwolić koniowi robić, co do niego należy, paniczu. Najlepiej zostawić go w spokoju.

Ale Johnnie uznał, że koń za bardzo się wlecze i trzeba go pogonić.

- Czemu nie zostaniesz karawaniarzem, Tim? Powinno ci to pasować. Wio, wy leniwe bydła! Jesteście takie zapasione, że niemal ciągniecie brzuchy po ziemi. Zupełnie jak ten dureń, który was dogłąda!

- Nieładnie tak mówić do kogoś, kto zna panicza od urodzenia.

- Ależ, Tim, wiesz przecież, że więcej szczekam, niż gryzę. Nigdy w życiu nie zraniłbym twoich uczuć - zmitygował się Johnnie i sięgnął do kieszeni po sztukę srebra. - Masz, wypij w Slane za moją zgubę.

- Wolałbym tego nie brać, paniczu.

- Nie bądź śmieszny. Przecież nie co dzień zdarza ci się wozić mnie do Slane, więc korzystaj, póki możesz.

Zabawnie było znaleźć się w mieście samemu i mieć całkowicie wolną rękę. Końmi i powozem zajęto się w zajeździe, dziadek siedział u dyrektora banku i pewnie zostanie tam jeszcze ze dwie godziny. Johnnie zawędrował nad rzekę. Obserwował statki, chłonał dźwięki i zapachy Slane. Wszystko musie podobało, czuł się wolny i beztroski, ponieważ miał siedemnaście lat i pieniądze paliły mu kieszeń. Skręcił za róg ulicy i wpadł prosto na dwóch mieszkańców Doonha-ven. Jednym z nich był Jack, syn Sama Donovana, właściciela sklepiku na nabrzeżnej uliczce - wysoki, dobrze zbudowany młody człowiek, starszy od Johnniego o sześć lat, o rudej czuprynie i wyłupiastych niebieskich oczach.

- Patrzcie tylko! - zawołał. - Młody pan Brodrick we własnej osobie! Właśnie mówiłem do Pata, że już najwyższy czas, żeby pan wrócił do domu z tej eleganckiej szkoły za wodą.

- Jak się macie - rzucił niedbale Johnnie, wyciągając do niego dwa palce. - Dokąd się wybieracie? Właśnie czekam na dziadka i mam do stracenia dwie godziny.

- A, skoro tak, to pokażemy panu Slane - zaproponował Jack, mrugając do kompana. - To wspaniałe miasto, tylko trzeba umieć się w nim połapać. Chodźmy zwilżyć gdzieś gardła, to pogadamy.

- Ale nie mogą pana zobaczyć w pubie - dodał drugi chłopak. - Jeszcze doniosą dziadkowi i skóra będzie w robocie.

- Zrobię, co zechcę - burknął Johnnie. - Prowadźcie, bo mam straszne pragnienie.

Doskonale wiedział, że gdyby go przyłapano w tym towarzystwie, drogo by za to zapłacił, zwłaszcza że jeden z chłopaków nazywał się Donovan, a z jakiegoś powodu dziadek nie znosił tej rodziny, podobnie jak matka i ciotki. I właśnie z powodu tej niechęci Johnnie chciał być szczególnie miły dla Jacka. Wkrótce cała trójka zajęła miejsca przy barze w jednym z licznych pubów. Panował tam zaduch i tłok. W mieście odbywał się jarmark i w pubach było pełno wieśniaków - staruszków opowiadających w nieskończoność różne historie, jazgo-czących kobiet, roześmianych dziewczek w szalikach okręconych wokół głowy.

- Co pijesz? Whisky? - spytał Jack.

- Tak, jeśli wy także - odparł śmiało Johnnie.

W domu pił piwo, jeśli mu się udało, i od czasu do czasu, kiedy dziadek przysunął mu karafkę, mały kieliszek porto.

- To mi się podoba! - wykrzyknął z podziwem Jack, gdy Johnnie wychylił swą szklaneczkę jednym haustem i nawet nie mrugnął okiem. - Trzeba to koniecznie powtórzyć. Hej, Pat, jeszcze jedna whisky dla tego przystojnego dżentelmena!

Drugą porcję Johnnie pił już wolniej. Ależ to dobre! Diabelnie dobre! Wraca człowiekowi życie! Oraz charakter. Prędzej diabli go wezmą, niż wróci do Eton na następny semestr. Wujek Bob musi natychmiast załatwić mu patent.

- Za parę miesięcy wstępuję do dragonów! - oświadczył, obserwując kompanów spod oka.

- To jest dopiero życie! - westchnął Jack. - Będzie pan wyglądał jak ta lala w królewskich kolorach. Zgłaszam się razem z panem. Jeszcze jedną whisky?

- Ale pod warunkiem, że ja stawiam.

- No to pańskie zdrowie! - wykrzyknął towarzysz Jacka. - Moje najlepsze życzenia dla największego zucha, jakiego w życiu spotkałem, klnę się Bogiem, że to szczerą prawdą! A mamy już dwadzieścia jeden lat?

- Siedemnaście.

- No nie, teraz to pan kłamie. Wzywam wszystkich świętych na świadków, że to wierutne kłamstwo. Nie, Pat?

- Ależ zapewniam, że w maju skończyłem siedemnaście.

- Żeby w tym wieku tak golić whisky! Może pan być z siebie dumny. Przysięgam, że ma pan dwadzieścia jeden. Widzisz pan tę dzierlatkę, co popatruje na pana przez okno? Ona też mogłaby przysiąc.

Było mnóstwo śmiechu, huśtania się na stołkach, ale Johnnie ze zdziwieniem stwierdził, że trzyma się zupełnie prosto. Uśmiechnął się do dziewczyny w szaliku, ona zaś odwzajemniła mu się i kiwnęła palcem.

- Ooo, co za konkietta! Teraz jest dla nas stracony - lamentował Jack, wznosząc oczy ku niebu. - Ale skoro ma tylko siedemnaście lat, to może niech lepiej zostawi Betty Finnigan w spokoju. Ona nie bierze takich młodziaków.

- Co masz na myśli? - zdenerwował się Johnnie.

Recht nowego kompana wydał mu się nagle urągliwy. I jeszcze te rude kłaki... Może mimo wszystko dziadek ma rację z tymi Donova-nami. W izbie zrobiło się gorąco jak w piekle, a goście stanowczo za bardzo hałasowali.

- Założę się, że nie uwiniesz się z Betty tak szybko, jak z tymi dwiema szklaneczkami - oświadczył Jack, przysuwając o wiele za blisko roześmianą gębę.

- O, doprawdy? Dlaczego tak sądzisz?

- Bo w tej cacanej szkole za wodą nie wolno wam robić takich rzeczy. Każdy potrafi lać w gardło gorzałę, ale żeby sprostać kobiecie, trzeba prawdziwego mężczyzny.

Kolejna salwa śmiechu. Któryś z gości odwrócił się na stołku i spojrzał na Johnniego.

- Zabaw się, chłopcze! Nie widzisz, że tych dwóch po prostu ci zazdrości? Mam rację, Betty, co nie?

Jasnooka dziewczyna w szaliku skinęła głową i znów uśmiechnęła się do Johnniego.

Ten wstał powoli i spojrzał z góry na Jacka.

- Dzięki za towarzystwo, Jack. Któregoś dnia musimy jeszcze się napić. Teraz mam inne spotkanie. - Rzucił kilka sztuk srebra na ladę i nacisnął kapelusz na głowę. - Idziesz w moją stronę czy ja mam pójść w twoją? - zwrócił się do Betty Finnigan.

Dopiero o piątej znalazł się z powrotem pod bankiem. Wszystko było poza-
mykane, żaluzje ściągnięte. Dziadek musiał wyjść dobrą godzinę temu... Może
jest w zajeździe? Cóż, niech stary ramol trochę poczeka. Dziwne, myślał John-
nie, wcale się go nie boję. Niech sobie patrzy tymi srogimi, zimnymi oczami,
niech mnie wzywa do swego ponurego gabinetu, i tak mam to gdzieś. Skąd się w
nim wzięł ten chłodny spokój, nie umiałby powiedzieć. Może to przez whisky,
może przez dziewczynę, którą dopiero co trzymał w ramionach, a może po prostu
przez to, że miał siedemnaście lat i był Johnniem Brodrickiem z Clonmere. Niech
no kto spróbuje mu się sprzeciwić, a zarobi w zęby. Jak mógłby teraz bać się
starca po siedemdziesiątce, który już dawno powinien leżeć w grobie?

Kiedy Johnnie dotarł do zajazdu, zobaczył powóz przed bramą. Tim kręcił się
przy koniach, a przy otwartych drzwiczkach stał Miedziany John z zegarkiem w
ręku.

- Dzień dobry, dziadku - powitał go Johnnie. - Czyżbym się spóźnił?

To dziwne. Musiał sporo urosnąć w ciągu ostatnich miesięcy, bo był znacznie
wyższy od dziadka. A może to staruszek się skurczył? Z pewnością wydaje się
bardziej przygarbiony, kiedy tak opiera się na lasce...

Miedziany John spojrzał na wnuka i schował zegarek do kieszonki.

- Już chciałem jechać bez ciebie - rzekł, wsiadając do powozu i sadowiąc się
w kącie. - Cóż takiego robiłeś, he?

Johnnie wyciągnął chustkę i wydmuchał nos. Ach, cóż by to była za rozkosz,
gdyby nie zważając na nic, po prostu powiedzieć prawdę, a potem zobaczyć minę
dziadka... Omal nie parsknął śmiechem, ale w porę się opanował.

- Podziwiałem uroki Slane - odparł gładko. Dziadek chrząknął znacząco.

- Przyjechałeś do miasta około drugiej. Do czwartej zdążyłbyś trzy razy
obejść plac i zobaczyć wszystko, co jest warte obejrzenia. Otwórz okno, chłop-
cze, powietrze tu jest nieznośne.

Wyczuł whisky w moim oddechu, pomyślał Johnnie. No, teraz mi pokaże.
Będę musiał nakłamać, że zrobiło mi się słabo i poszedłem położyć się na zaple-
czu pubu... Znów poczuł w gardle narastający śmiech. Na szczęście dziadek nie
odezwał się więcej. Wydawał się zadumany i przemęczony ponad zwykłą miarę.
Może spotkanie z dyrektorem banku nie przebiegło po jego myśli, chociaż to
chyba niemożliwe. Przy dwudziestu tysiącach rocznego dochodu? Ale matka
zawsze miała skłonność do przesady. Może to wszystko bajki i interesy idą kiep-

sko? Tak czy inaczej, to nie jego sprawa. Johnnie ziewnął i rozparł się wygodnie na poduszkach, przytrzymując się dla równowagi rzemyka przy oknie. Czuł błogą senność i niewiarygodne wprost zadowolenie, a skoro takie były skutki whisky oraz bliższej znajomości z Betty Finnigan, to jak, u diabła, będzie się czuł za kilka lat, kiedy posmakuje na dobre służby w dragonach? Świat mimo wszystko nie jest taki zły... Po paru minutach spał już kamiennym snem. Z mocno zaczerwienioną twarzą i włosami w nieładzie wyglądał, prawdę rzekłszy, na znacznie mniej niż siedemnaście lat.

Obudził go dopiero turkot powozu po brukach Doonhaven. Wróciwszy do przytomności, Johnnie wzdrygnął się na myśl o siedzącym obok dziadku, ale po chwili z zaskoczeniem i ulgą zauważył, że dziadek też zasnął, a więc nie będzie czynił mu wyrzutów ani nazywał leniwym nicponiem.

Miał wielką chęć zwierzyć się Henry'emu, jak spędził popołudnie w Slane, lecz coś go powstrzymywało. Kto wie, może młodszy brat zamiast pogratulować mu wylewnie, raczej odsunie się od niego zgorszony? Może Johnnie straci w jego oczach? Rodzina była już po obiedzie, podobnie dziadek, który jadł w Slane, więc głodny jak wilk Johnnie rzucił się dosłownie na zimną kolację, pozostawioną dlań w jadalni, a na pytania brata odpowiadał zdawkowo.

Młodsze dzieci leżały już w łózkach, toteż tylko najstarsi chłopcy poszli do salonu, by powiedzieć „dobranoc” starszym. Dziadek stał przed kominkiem z dziwnie zafrasowaną miną, matka i ciotka Eliza siedziały naprzeciwko siebie przy oknie. Na widok chłopców natychmiast odłożyły robótki i zwróciły wzrok na seniora rodu. Dobry Boże, myślał Johnnie, dowiedział się i zaraz im powie...

- Zaczekajcie chwilę - odezwał się dziadek. - Obaj powinniście usłyszeć, co mam do powiedzenia waszej matce i ciotce. Usiądźcie, dobrze?

Wnukowie usłuchali bez słowa. Miedziany John odkaszlnął i założył ręce do tyłu.

- Będę się streszczał. Przyjechałem tu na krótko, aby odwiedzić kopalnię i omówić bieżące sprawy. Zaraz potem wracam za wodę. Na przyszłość zamierzam spędzać tam nieco więcej czasu niż dotychczas, a główną kwatere, oczywiście za twoim pozwoleniem, Fanny-Roso, założę w Lletharrog. Eliza może korzystać z domu w Saunby, ilekroć jej przyjdzie ochota. Clonmere pozostanie do dyspozycji całej rodziny i moje wnuki mogą uważać je za swój dom.

Umilkł i znów odkaszlnął. Eliza, wyraźnie zaintrygowana, rzuciła szybkie spojrzenie bratowej.

- Jak sobie poradzisz, ojczy, zupełnie sam w Lletharrog? To za daleko od Bronsea, żeby kursować tam i z powrotem. Przecież głównie dlatego przeprowadziłeś się do Saunby.

- Nie będę sam, moja droga. To właśnie chciałem wam powiedzieć. Trzy tygodnie temu pani Collins zgodziła się zostać moją żoną. Ślub odbył się w Bronsea, a potem pojechaliśmy do Lletharrog. To dobra i kochająca niewiasta, bardzo mi oddana. Jestem bardzo szczęśliwy, iż mogę nazywać ją panią Brodrick. Mam nadzieję, że i wy będziecie ją tak nazywać.

Przez chwilę panowała głucha cisza.

- Dobry Boże! - wyrwało się w końcu Fanny-Rosie. Zawtórował jej spazmatyczny szloch Elizy.

- Ojczy, jak mogłeś! Pani Collins, twoja kucharka! - wołała wśród łkań. - Co za wstyd, jakaż hańba po tych wszystkich latach! Co powiedzą ludzie, wszyscy nasi przyjaciele z Saunby? Przestaną się w ogóle do nas odzywać!

- Jedno jest pewne - rzekła Fanny-Rosa. - Ta nowina nie może dotrzeć do Barbary. Będziemy musieli bardzo uważać.

- Barbara już wie. Powiedziałem jej dziś wieczór. Doskonale mnie rozumie.

- Gdyby nie jej choroba, nigdy by do tego nie doszło! - łkała dalej Eliza. - Uzależniłeś się od... od tej kobiety, bo Barbara nie wstaje z łóżka, a ja muszę jej doglądać. Nigdy nie nazwę jej panią Brodrick, ojczy, za dużo ode mnie wymagasz! I znów zalała się łzami.

- Twój ojciec, Elizo - upomniała ją Fanny-Rosa - ma prawo robić to, na co ma ochotę. Pani Collins nie jest już taka młoda i na pewno nie może... Chcę powiedzieć, że to małżeństwo nie narusza chyba w niczym praw Johnniego?

- Zapewniam cię, moja droga, że interesy Johnniego absolutnie na tym nie ucierpią, podobnie jak twoje, Elizo, i w ogóle nikogo z naszej rodziny. Mam siedemdziesiąt pięć lat, a moja żona pięćdziesiąt. Oczywiście zrobię zapis na jej rzecz, ale bez uszczerbku dla żadnego z was. A co do naszych przyjaciół w Saunby, to nie masz powodów do zmartwienia, Elizo. Będziemy sobie żyli spokojnie w Lletharrog, pani Brodrick nie zamierza nigdzie bywać. Możesz nawet nikomu nie wspominać o naszym ślubie, ale spodziewam się, że nikt z rodziny nie będzie miał pretensji do kobiety, która zgodziła się umilić mi ostatnie lata życia.

Nikt się nie odezwał, spoglądali tylko po sobie w milczeniu. Thomas wszedł zaciągnąć zasłony. Brzęk ich kółek zabrzmiał w tej ciszy jak coś ostatecznego. Jakby kończyła się jakaś epoka. Nic już nie będzie takie jak przedtem, myślał Henry. Co z tego, że Clonmere pozostanie na miejscu, że on i jego rodzeństwo będą tu spędzać wakacje, skoro zabraknie dziadka? Biblioteka opustoszeje, w hallu nie zobaczy się już lasek ani znajomego kapelusza, ponieważ dziadek będzie za wodą, w dalekim Lletharrog, razem z tą wesołą kobietą o szerokiej twarzy, kucharką, która piecze takie pyszne placuszki i mówi tym paskudnym, śpiewnym akcentem z Bronsea... To straszne, to się po prostu nie mieści w głowie. Dziadek, który zawsze napawał Henry'ego takim lękiem, po prostu runął ze swego piedestału, zupełnie jakby Pan Bóg się zhańbił. Biedna ciocia Barbara, biedna ciocia Eliza! Ależ muszą się okropnie czuć! Postara się teraz być dla nich szczególnie miły, dopilnuje też dzieci, żeby za bardzo nie hałasowały.

Chwała Bogu, myślała Fanny-Rosa, że postanowił zamieszkać w Lletharrog i nie sprowadził baby tutaj. W ten sposób nikomu nie stanie się krzywda, a ster rządów pozostanie w moich rękach. Na szczęście nie jest już młoda, więc nie grożą nam żadne dzieci. Starzy mężczyźni są czasem tacy głupi i nigdy nic nie wiadomo...

Dobrze mu mówić, myślała Eliza, że mogę zamieszkać w Saunby. O niczym innym nie marzę, jeśli tylko zapewni mi dość pieniędzy na utrzymanie domu, ale to i tak za blisko nich... Zresztą nie zostawię Barbary, chociaż to kwestia zaledwie kilku miesięcy. Muszę jednak być twarda. Powinien dać mi tyle, żebym mogła żyć w Saunby na odpowiednim poziomie. W końcu niedługo już tylko ja mu zostanę z dziećmi...

- Skoro nikt nie ma nic więcej do powiedzenia - przerwał ciszę Miedziany John - pozostaje mi tylko życzyć wam dobrej nocy. Spotkamy się o ósmej przy śniadaniu, potem, jak zwykle, pojedę do kopalni.

Ucałował córkę i synową, wnukom podał rękę i wyszedł.

Johnnie słyszał, jak dziadek zamyka za sobą drzwi biblioteki. Biedny, stary zręda... Nie miał przez te wszystkie lata żadnej przyjaznej duszy. Zona nie żyje od trzydziestu lat, synowie umarli jeden po drugim, córka także... Oto człowiek, którego nienawidziłem i którego się bałem, odkąd sięgam pamięcią, a jednak mimo wszystko to ludzka istota. Jest taki, jak ja, pragnie tego samego, potrzebuje pociechy. Nie jest Bogiem wszechmogącym, nigdy nim nie był. To tylko biedny, tragicznie samotny starzec. Niech będzie szczęśliwy z tą swoją kucharką. Matka i

ciotki mogą się gorszyć, ile zechcą, i opowiadać o rodzinnej hańbie. Nie wiedzą, ile ten człowiek wycierpiał, nic nie rozumieją...

- Co za ohyda, prawda? - zagadnął go Henry, kiedy leżeli już w łóżkach.

- Bzdura! - oburzył się Johnnie. - Czemu staruszek nie może robić, co mu się podoba?

- Dziwnie będzie przyjechać na wakacje i nie zastać dziadka. Nie cierpię zmian. Chciałbym, żeby zawsze było tak samo.

Johnnie nie odpowiedział. Leżał na wznak z rękami pod głową, a przez głowę przelatywały mu w dzikim galopie wypadki dzisiejszego dnia. Powożenie końmi, spacer po Słane, spotkanie z Donovanem i jego kompanem, popijawa w pubie, ta dziewczyna, wreszcie dziadek ze swymi rewelacjami. I jeszcze pomysł opuszczenia Eton i wstąpienia do dragonów - kto wie, może za parę miesięcy czeka go walka gdzieś za granicą?

Henry szybko zasnął, ale Johnnie - może z powodu drzemki w powozie - długo jeszcze przewracał się na łóżku, w miarę upływu godzin coraz bardziej rozbudzony. Wciąż miał przed oczami uśmiechniętą gębę Jacka Donovana, który przysuwał się do niego o wiele za blisko, proponując kolejnego drinka. Kiedy zegar stajenny wybił trzecią, Johnnie usiadł i odrzucił kołdrę; Henry nawet nie drgnął, w całym domu panowała cisza.

Ciekawe, pomyślał Johnnie, czy w piwnicy znajdzie się trochę whisky.

Wyszedł z pokoju i przemknął się na tylne schody. Kamienne stopnie chłodziły mu bosc stopy. Nasłuchiwał przez chwilę, a nie usłyszawszy nic podejrzanego, zszedł ostrożnie do części kuchennej. Gdzieś w pobliżu tykał zegar. Johnnie wyciągnął rękę i odnalazł po omacku drzwi do piwnicy. Przynajmniej raz Thomas zaniedbał swego obowiązku - klucz tkwił w dziurce...

3

Był deszczowy wieczór drugiego grudnia 1856 roku. Kryty powóz, który wyjechał z Piccadilly, skręcił w St James Street, a następnie potoczył się przez Pall Mail, aby stanąć pod numerem 17a, gdzie mieściły się umeblowane pokoje dla kawalerów. Woźnica zadzwonił do drzwi i poczekał, aż portier zapali światło. Dopiero wtedy otworzył drzwiczki swej pasażerke.

- Parszywa noc, nie, psze pani? - zagadnął, wyciągając rękę po zapłatę.

Dała mu pieniądze i z miną królowej wycedziła:

- Dziękuję, dobry człowieku.

Patrzył za nią z szerokim uśmiechem, kiedy szła po schodkach do drzwi. Nie mogła wiedzieć, jakie robiła wrażenie w czerwonym aksamitnym płaszczu na ramionach i kapeluszu tej samej barwy na błyszczących włosach. No, no, rzekł sobie w duchu woźnica. Swego czasu musiała być wyjątkową pięknoscią. Nie wiele kobiet daje dziś półkoro-nówkę napiwku, mężczyzn zresztą także.

- Kapitan Brodrick jeszcze nie wrócił, łaskawa pani - poinformował ją portier.
- Prosił, żeby pani zaczekała, niedługo się zjawi. Zdaje mi się, że poszedł na Jermyń Street obciąć włosy.

- Mam nadzieję, że nie do skóry jak jakiś więzień. Zawsze powtarzam, że na co mu takie piękne włosy, skoro i tak je goli na łysą pałę? Proszę zapalić gaz, zimno tu jak w trupiarni. Zastanawiam się, co pan kapitan porabia w tej nędznej norze, ale tego chyba mi nie powiecie?

I z filuternym uśmiechem zaczęła ściągać rękawiczki. Portier czuł się niezręcznie. W końcu ta dama jest matką kapitana Brodricka, a choć wygląda cokolwiek niekonwencjonalnie, nie powinien z nią rozmawiać o zachowaniu lokatora. Obserwował, jak poprawia przed lustrem kapelusz i otworzywszy mały woreczek, nakłada trochę bielidła na twarz, co jednak nie przyniosło pożądanego skutku.

- O co chodzi? - spytała ostro, pochwyciwszy w lustrze jego spojrzenie.

- Ależ o nic, łaskawa pani - odrzekł pośpiesznie i skłoniwszy się, zniknął za drzwiami.

- Przeklęty głupiec - mruknęła Fanny-Rosa i starła nadmiar pudru.

Potem spięła pelerynę pod szyją elegancką diamentową broszą - odznaką regimentu Johnniego. Zapięcie źle trzymało i Fanny-Rosa wiedziała, że kiedyś ją zgubi. Zaczęła krążyć po pokoju. Brała do rąk przedmioty ustawione nad kominem, otwierała pudełka, przyglądała się obrazom. Biurko było zamknięte, ale klucz leżał na słoiku z tytoniem. Fanny-Rosa, nucąc z cicha, otworzyła szufladę. Mnóstwo porzrzuconych papierów, kopert, bibułek. Okropny bałagan, zupełnie jak u mnie, pomyślała. Było tam kilka niezapłaconych rachunków - przeczytała je z uwagą - kilka zaproszeń - rzuciła na nie okiem - oraz list, pisany wyraźnie kobiecą ręką, oskarżający adresata o zaniedbanie i podpisany *Twoja kochająca Doodie*. Fanny-Rosa uśmiechnęła się pobłaźliwie. Doodie... Też coś! W innej szufladzie znalazła receptę, która ją zaintrygowała, ale, niestety, nie potrafiła odcyfrować pisma lekarza, oraz pudełko pigułek. Powąchała je i skrzywiła się z niesmakiem. Smak także miały okropny. Nagle za drzwiami rozległy się kroki. Fanny-Rosa drgnęła, zatrzasnęła biurko i głośno nucąc, odwróciła się do lustra. Ale to pewnie portier się krzątał, gdyż nikt nie wszedł. Wróciła więc do biurka, lecz reszta zawartości okazała się nieciekawa; szuflady były pełne map, wojskowych podręczników i pisemnych rozkazów. Fanny-Rosa zajęła się teraz szafką. Wisiały tam ubrania: płaszcz, kurtka mundurowa i wysokie buty. Nic ciekawego, ale lubiła dotykać rzeczy syna, więc położyła z czułością rękę na mundurze ze wstążeczką na piersi. Biedactwo! Zniszczył mundur na tym okropnym Krymie*¹¹, dziwne, że nie zamarzył tam na śmierć. Co za idiotyczna porażka! Po co było się w to wszystko pakować? Zaraz, zaraz, a to co takiego? Za buty wciśnięto

¹¹ * Mowa o wojnie krymskiej (1854-1856), w której Wielka Brytania występowała przeciwko Rosji w obronie Turcji.

jakiś przedmiot opakowany w słomę. No tak, tego się spodziewała. Butelka po porto. A za nią druga. I wiele innych... Wszystkie puste. Ciekawe, gdzie trzyma pełne? Zamknęła szafkę i otworzyła drzwi do małej sypialni. Nic... tylko łóżko, miska do mycia i komoda. Zawahała się przez chwilę, zanim sprawdziła szafkę przy łóżku. Butelka whisky! Opróżniona do połowy. Fanny-Rosa wróciła do pierwszego pokoju.

Skoro już musi pić, myślała, to czemu nie trzyma butelek na wierzchu? Przecież nikt go nie widzi... Zresztą sama wypiłabym z chęcią kieliszek porto.

Przysunęła sobie krzesło do słabego ognia i szturchnęła węgle pogrzebaczem. Mężczyźni, a już szczególnie wojskowi, nie mają pojęcia o wygodzie. Tak przywykli do zrywania się o świcie i żelaznych łóżek, że niczego innego nie oczekują. Edward, kiedy też wstąpił do regimentu, zrobił się taki sam. Tylko Henry jest inny; to jedyny z jej synów, który wie, jak żyć. Bo Herbert, który po opuszczeniu Oksfordu został pastorem w biednej dzielnicy Liverpoolu, zupełnie wymknął się jej z rąk. A przecież był kiedyś takim bystrym, zabawnym chłopaczkiem... Co do Fanny... no cóż, to zupełnie w jej stylu poślubić duchownego. Nie żeby Fanny-Rosa miała coś przeciwko Billowi Eyre'owi - zięć jest bardzo wartościowym i nawet dość zamożnym człowiekiem, pochodzi zresztą z jednej z najstarszych rodzin w kraju. Ale duchowni mają w sobie coś takiego... Właściwie Fanny-Rosa nigdy do końca nie mogła zrozumieć, co ich pcha do małżeństwa, a tym bardziej posiadania dzieci. Kiedy pomyśli o tym sztywnym, zacnym Billu i swej nieśmiałej, dość nudnej córce, doprawdy nie umie sobie wyobrazić... A jednak coś w tym musi być, gdyż za trzy miesiące spodziewają się dziecka. Ciekawe, jak też będzie się czuła jako babka. Gdzież się podziewa ten Johnnie? Pewnie wstąpił gdzieś na jednego, biedaczek. Iluż kłopotów by się uniknęło, gdyby zachowywał się bardziej otwarcie! Mógł przecież wrócić do domu i wtedy razem zasiedliby do butelki. W kącie stoją jego szpady. Nigdy nie wiedziała, czy wojskowi potrzebują ich tylko na pokaz, czy też naprawdę używają w bitwie. Johnnie opowiada takie śmieszne historyjki o krwi i jatkach, że nie sposób mu wierzyć. O, już jest. Drzwi otworzyły się z trzaskiem i kochany chłopiec wpadł do pokoju.

- Wybacz, że musiałaś tak długo czekać - rzekł, ściskając ją serdecznie.

- Już cię ostrzygli? - spytała, okręcając go w kółko, on zaś roześmiał się i pochylił ciemną głowę, by pocałować matkę.

- Gdybym chciał cię słuchać, mamó, musiałbym wciąż nosić włosy do ramion.

Johnnie, już dwudziestosześcioletni, wyglądał niemal tak samo, jak w wieku lat siedemnastu. Był teraz wyższy i bardziej rozrośnięty w ramionach, chociaż nadal brakowało mu dwóch cali do wzrostu Henry'ego. Twarz nabrała nieco grubszych rysów, linia ust znamionowała upór, oczy spoglądały czujnie i arogancko, jakby w każdej chwili spodziewał się słów potępienia i chciał uprzedzić ewentualny atak.

- No dobra, o co ten cały szum? Dlaczego mam iść na tę kolację?

- Mamy okazję do świętowania. Spotkał nas wielki zaszczyt. Henry został głównym szeryfem Slane, a przecież ma dopiero dwadzieścia cztery lata.

- Wielkie nieba! - Johnnie przez chwilę milczał, a potem parsknął śmiechem. - Zawsze wiedziałem, że Henry daleko zajdzie. Zgarnął w Eton wszystkie zaszczyty, a ja ani jednego. Oczywiście, że trzeba to oblać, cieszę się z jego sukcesu. Główny szeryf Slane, tak? Trzeba go będzie porządnie naciągnąć!

Fanny-Rosa poczuła ulgę. Czasem podejrzewała, że kochany Johnnie może być zazdrosny o karierę brata. Wszyscy tak bardzo lubili Henry'ego, zarówno w tym kraju, jak i za wodą. Miał całe hordy przyjaciół. Gdziekolwiek pojechała, czy to do Saunby do Elizy, czy do Londynu, gdy tylko padło jej nazwisko, zaraz ją pytano: „Czy jest pani matką Henry'ego Brodricka? Jak miło panią poznać! Ogromnie lubimy pani syna!”. Cieszyło ją to oczywiście i napawało dumą. Henry jest z pewnością bardzo kochany, uroczy i przystojny, ale czasem wolałaby, żeby ktoś powiedział: „Poznałem w ubiegłym tygodniu pani najstarszego syna, kapitała Brodricka. Co za wspaniały człowiek!”. Ale nigdy z niczyich ust tego nie usłyszała. Raz tylko w Londynie natknęła się na kogoś, kto znał Johnniego, ale okazał się dziwnie małomówny. „A tak, służyliśmy razem w wojsku, jeszcze przed wojną... Potem już go nie widywałem” - oświadczył i zaraz zmienił temat. Kiedyś zagadnęła Edwarda, czy czasem Johnnie komuś się nie naraził. Edward wyraźnie posmutniał.

- Nie sądzę, żeby chodziło o coś konkretnego - odparł. - Ale wiesz, biedny Johnnie jest taki porywczy i czasem kogoś rozdrażni. Nie przeszkadza im, że jest narwany, ale jak wleje w siebie za dużo portu i wszystkich wyzywa od świń i bękartów, to sama rozumiesz...

- Tak... Tak, rozumiem.

Patrzyła na swego najstarszego syna szcزتkującego przed lustrem krótko ostrzyżone włosy. Jakież mógłby być uroczy, gdyby tylko zechciał, ileż w nim uczucia... Pod względem umysłowym na pewno dorównuje Henry'emu, tylko nie

zaprzęta sobie głowy mądrościami, podobnie jak jego ojciec. A co do prędkiego charakteru, no cóż, odziedziczył go po niej. Przynajmniej nie brak mu ikry ani zdecydowania.

- Chodźmy już, Johnnie. Umówiłam się z tamtymi na wpół do ósmej.

- Doskonale, powóz już czeka. Dobson cię odprowadzi, ja zjawię się za chwilę.

Idąc przez hall, obejrzała się za siebie i zobaczyła przez szparę, że Johnnie otwiera szafkę.

Chce się napić przed wyjściem, pomyślała. Bóg raczy wiedzieć, ile wlał w siebie przedtem.

Portier trzymał nad nią parasol, kiedy wsiadała. Johnnie rzeczywiście przyszedł po paru minutach, wymachując chustką. W powozie zapachniało wodą kolońską.

- Kto tam będzie? - zapytał.

- Tylko rodzina. Henry, Edward, Fanny z Billem i jego siostrą Katherine, której chyba nie znasz.

- Czy jest taka nudna jak Bill?

- Nie mów źle o swoim szwagrze! Jestem bardzo do niego przywiązana. A Katherine jest przeurocza, chyba wpadła w oko Henry'emu. Johnnie, zrób to dla mnie i bądź miły dla wszystkich. I żadnych uwag na temat wyglądu Fanny, jest bardzo czuła na tym punkcie.

- Więc po co, u diabła, pokazuje się w towarzystwie?

- Tylko dziś, z powodu Henry'ego. Potem wyjeżdża z Billym do Clifton i tam będzie czekać na rozwiązanie.

- Co za parszywy, mokry wieczór! - Johnnie przetarł szyby i wyrztał w ciemność. - Dokąd ten stangret jedzie? Przysięgłbym, że skręcił nie tam, gdzie trzeba. Hej, ty sakramencki kretynie... - Opuścił szybę i obrzucił woźnicę wyzwiskami.

Fanny-Rosa odchyliła się do tyłu i nic nie powiedziała. Zawsze to samo! Dla Johnniego żaden stangret nie jechał właściwą drogą. Zanim dotarli do celu, jej syn zdążył wyrazić głośno swe wątpliwości co do prawego pochodzenia woźnicy, jego moralności, wierności małżeńskiej oraz higieny osobistej. Już zastanawiała się poważnie, czy nie obejdzie się bez bójk, ale właśnie dojechali do

Portman Square. Wówczas Johnnie zmienił front, dał woźnicy gigantyczny napiwek i wyznał mu, że za nic w świecie nie przyjąłby takiej posady. Wreszcie zostawił otumanionego i czerwonego na twarzy poczciwca, podał matce ramię i wprowadził ją do hotelu. Henry i Edward już na nich czekali.

- Tamtych tylko patrzeć, panie zawsze się grzebią - powiedział Henry. - Jak się masz, stary! Nie umiem wprost wyrazić, jak cieszy mnie twój widok!

Uścisnął rękę bratu, którego nie widział dwa lata, i ucałował matkę.

- Moje gratulacje dla szeryfa Slane! Co nowego w prawie, polityce i innych dziedzinach, którymi się zajmujesz?

- Wszystko w porządku. Lubię zajmować się wieloma sprawami naraz. Teraz chcę, żebym startował w następnych wyborach, ale chyba zaczekam z tym kilka lat.

Przedsiębiorczy gość, pomyślał Johnnie. Macza palce wszędzie, gdzie się da. O, jest Fanny... Ależ groteskowo wygląda... I szlachetny Bill, i...

- Mój brat Johnnie. Oto Katherine Eyre. - dokonał prezentacji Henry.

Owszem, matka mówiła, że jest urocza, ale nie wspomniała nic o urodzie. Ciemne, gładkie włosy, upięte nisko w węzeł, spokojne brązowe oczy, mleczno-biała cera... Cała jej sylwetka tchnęła spokojem i pogodą ducha, która promieniowała na wszystkich obecnych. Johnniemu zabrakło słów, a ponieważ nigdy dotąd nie odczuwał nieśmiałości wobec kobiet, zaczął się popisywać. Pokrzykiwał na kelnera, narzekał na wybór stolika (jest zanadto dosunięty do ściany, bardziej im odpowiada ten naprzeciwno). W końcu Henry przejął dowodzenie, ułagodził obsługę i żartami odwrócił uwagę brata. Johnnie usiadł po lewej stronie Katherine. Zadała mu kilka pytań na temat wojny, on zaś w obawie, by nie uznała go za nudziarza i gbura, zaczął pleść niestworzone historie o Krymie.

- Chciałabym tam być i pomagać panie Nightingale - westchnęła. - Niewiele znam się na pielęgnowaniu rannych, nie sądzę, bym to wytrzymała, ale mogłabym nieść im pociechę, na pewno czuli się tacy samotni...

Uśmiechnęła się do niego. Johnnie odwrócił twarz i zaczął nerwowo kruszyć kromkę chleba. Przypomniawszy sobie nagle tę straszną rzeź w Sewastopolu i zupełnie inny rodzaj pociechy, jakiej zaznał w ramionach brudnej skośnookiej dziewczynki. Musiał wówczas przez pięć dni obejść się bez whisky i w rezultacie o mało nie umarł.

- Nie sędzę, by wiele pani działała...

W tym momencie zobaczył, że z drugiego końca stołu Henry wpatruje się w nią z czułością i uwielbieniem. Johnniego ogarnęła rozpacz. Znów poczuł się wyrzutkiem, pariasem. Co on tu robi przy jednym stole ze swym bratem i taką Katherine Eyre? Przecież oni należą do zupełnie innego świata, do świata normalnych ludzi, którym się poszczęściło i którzy śmiało patrzą w przyszłość, a nade wszystko wierzą w siebie.

- No proszę - rzekł głośno. - Nikt nic nie pije. Czy nie wzniesiemy toastu za szeryfa Slane?

I uderzył pięścią w stół, by przywołać kelnera. Inni goście poodwracali się na dźwięk jego głosu.

- Henry podporządkowuje sobie ludzi uprzejmością, ja mam na nich inne sposoby - wyjaśnił Katherine.

Nie odpowiedziała, więc znów poczuł się zagubiony i przegrany. Nie, nie dostrzegł w jej oczach ani śladu potępienia czy dezaprobaty, ale sam widok dziewczyny sprawiał, że Johnnie zapragnął być innym - kimś tak samo cichym i pełnym spokoju, jak ona. Pomyślał, że dla niej pewnie nie ma znaczenia, czy ktoś stawia na swoim, czy też nie, ale, tak czy inaczej, na pewno nigdy nie posunęłaby się do krzyku i awantur.

Matka mówiła właśnie coś ze śmiechem do Billa. Lubiała cieszyć się życiem i nie zamierzała z tego rezygnować bez względu na okoliczności. Bill, uczciwy pastor, gawędził uprzejmie z teściową, choć bez wątpienia nie pochwalał jej farbowanych włosów ani pudru na twarzy. Fanny, która lada moment mogła urodzić, siedziała cichutko jak myszka. Ta z pewnością nigdy w życiu nie zakłóciła nikomu spokoju. Edward z Henrym omawiali wydarzenia dnia, jakby słowa konserwatystów albo liberałów miały jakiegokolwiek znaczenie. Tak, on, Johnnie, był czarną owcą i wszyscy tu obecni, może z wyjątkiem matki, woleliby się go stąd pozbyć.

- No - rzekł, odchylając się w krześle - skoro wypiliśmy już zdrowie Henry'ego jako szeryfa, to może czas wypić za moje przejście do cywila?

Rozmowy umilkły i wszystkie spojrzenia zwróciły się na John-niego.

- Co masz na myśli, kochanie? - zapytała matka.

- Tylko to, że występuję z regimentu. Dziś wysłałem papiery. Natychmiast zasypali go pytaniami. Co przez to rozumie? Jaka

szkoda, przecież zawsze mówił, że takie życie mu odpowiada... jeden banał po drugim. I tylko Edward, sam żołnierz, powstrzymał się od komentarza. Fanny-Rosa zaś, wiedzona intuicją, zastanawiała się, czy czasem Johnniego nie poproszono o rezygnację.

- Ach, mam już dość służby! Wszystko to bardzo pięknie, jeśli jest okazja do powojowania, ale sterczenie po całych dniach na placu w koszarach wcale mnie nie bawi. Już od pewnego czasu zamierzałem odejść. Co będę robił? Nie mam zielonego pojęcia, pewnie wyjadę za granicę. Zresztą jakie to ma, u diabła, znaczenie? Faktem jest, panno Eyre, że mając dwadzieścia sześć lat, uważam za poniżające i niezbyt opłacalne czekanie na śmierć osiemdziesięcioczworoletniego starca, który ma mi zostawić majątek.

Wywołało to dość przykre wrażenie. Siostra Johnniego zaczerwieniła się i zerknęła na męża. Matka z nieco przesadną wesołością zaczęła głośno opowiadać Henry'emu o planach na Boże Narodzenie. I tylko jedna Katherine Eyre pozostała niewzruszona.

-To rzeczywiście bardzo przykra sytuacja - zauważyła z powagą. - Trudno jest żyć w takim zawieszeniu. Ale proszę nie wyjeżdżać za granicę.

-Dlaczego? - zdziwił się Johnnie.

-Nie będzie pan tam szczęśliwy.

- Nigdzie nie jestem szczęśliwy.

- A czyja to wina?

-Niczyja. To mój przeklęty los, że urodziłem się z takim charakterem.

-Proszę tak nie mówić. Jest pan najlepszym i najszlachetniejszym z ludzi. Często rozmawiam o panu z Henrym, on pana bardzo lubi.

-Czyżby? Raczej w to wątpię.

-Lubi pan przedstawiać się gorszym, niż jest. To niemądre. Powinien pan pojechać za wodę i zainteresować się własnym krajem.

-A co mój kraj dla mnie zrobił?

-Przede wszystkim dał panu życie.

Zaśmiała się cichutko, jemu zaś gwałtownie zabiło serce. Tak mało wiedziała o jego prawdziwej naturze - o egoizmie, skłonności do występku, braku zasad...

-Urodziłem się o kilka tygodni za wcześnie, może dlatego nie jestem wzorem wszelkich cnót. A najmilsza osoba z rodziny, ciotka Jane, zginęła w dniu moich narodzin. Ona jedna mogła coś ze mnie wykrzesać, miała być moją chrzestną matką. Myślę, że jest pani trochę do niej podobna, sądząc z portretu, który wisi w Clonmere.

-Ale chyba nie chce pan, żebym została pańską chrzestną matką w jej zastępstwie?

Spojrzał na nią podejrzliwie. O co jej może chodzić? Te słowa można by uznać za zachętę do flirtu, ale raczej ze strony starszej, doświadczonej kobiety. W ustach Katherine Eyre zabrzmiały zupełnie inaczej - po prostu szczerze. Patrzyła na niego spokojnymi, brązowymi oczami i znowu się uśmiechała.

- Myśli pan, że chcę się bawić w guwernantkę? Przyrzekam, że nigdy tego nie zrobię. Ale skoro mój chrześniak ma problemy, to chętnie mu pomogę.

W tym momencie Johnnie zapomniał o rodzinie, o innych gościach, o kelnerach, o zgiełku i zamieszaniu. Wydało mu się, że na całym świecie istnieje tylko on ze swą udręczoną, zbuntowaną duszą i błogosławiona, kojąca obecność Katherine Eyre.

- Jest pani bardzo niezwykłą osobą - wyrzekł powoli. - Żałuję, iż nie poznałem pani wcześniej.

- Teraz będziemy się często widywać, więc szybko nadrobimy zaległości. Musi pan koniecznie odwiedzić nas w Slane.

Czemu okazywała mu tyle życzliwości? Zupełnie jakby nie było jej obojętne, co się z nim stanie. Jakby zależało jej na nim w pewien szczególny, osobisty sposób, a przecież dopiero co się poznali. Gdyby choć przez chwilę pomyślał, że znajdzie się ktoś, kto zechce zaprzętać sobie nim głowę, okazać mu pomoc, uśmiechać się i rozmawiać -uwierzyłby, że nie wszystko stracone. Zaprosiła go do Slane? Czy tam właśnie mieszkali Eyre'owie? Nie pamiętał. Jakaż jest niezwykła, że nie ulega konwenansom! I nie ma w niej cienia podobieństwa do tych wysztafirowanych kokietek, z którymi zabawiał się w Londynie. Tak, Johnnie wróci do kraju, złoży wizytę w Slane i jeśli zacznie częściej widywać Katherine, może zyska jakiś cel w życiu. Katherine jest dobra i wyrozumiała, a gdyby zda-

rzyło mu się przeklinać i wrzeszczeć po pijanemu, na pewno by mu wybaczyła. Tego właśnie potrzebował najbardziej: wybaczenia i wyrozumiałości.

Henry podniósł się z miejsca z kieliszkiem w rękę, pewnie chce wznieść nowy toast...

- Mamo, Fanny, Billu, Johnnie i Edwardzie! Mam wam coś ważnego do powiedzenia. Dziś jest najszczęśliwszy dzień w moim życiu, ponieważ Katherine zgodziła się zostać moją żoną. Ślub odbędzie się za dwa miesiące w Slane.

Wszyscy się rozpromienili i zaczęli mówić jednocześnie. Edward klepał Henry'ego po plecach, Fanny przechyliła się nad stołem i ucałowała Katherine, matka wykrzyknęła: „Ależ Katherine, kochanie, co za wspaniała nowina”, a Bill przeproszał żartem za wtargnięcie do rodziny Brodricków aż dwojga Eyre'ów. Johnnie ze zdziwieniem usłyszał, że ktoś jego własnym głosem mówi: „Gratulacje, stary, zasłużyłeś sobie na szczęście, niech wam Bóg błogosławi”. Nagle atmosfera stała się nie do wytrzymania - radość na wszystkich twarzach, pośpieszne plany, dyskusje pań na temat ślubnych strojów, druchen i Bóg wie czego jeszcze, wreszcie sam Henry - taki pewny siebie i dumny, ogarniający pełnym miłości wzrokiem swą przyszłą oblubienicę...

- Zostaniesz moim przyjacielem, co, stary? - zapytał. Johnnie odepchnął krzesło i odrzekł szorstko:

- Nigdy w życiu! Nie umiałbym zachować się w kościele. Lepiej poproś Edwarda albo sprowadź Herbiego z Liverpoolu, przynajmniej będzie was dwóch w obrożach na szyi! Ja będę stał na ulicy i rzucał starym trzewikiem za waszym powozem.

Oczywiście Henry'emu zrobiło się przykro. Johnnie zauważył w jego oczach ów znany mu od dzieciństwa wyraz, oznaczający: „Co mu się stało tym razem?”. Niedobrze, myślał. Że też zawsze muszę kogoś zranić! Psuję każde przyjęcie... Najlepiej, jeśli sobie pójdę, i tak nie pasuję do świątecznej atmosfery. Niech Henry żeni się z Katherine, to dla niej odpowiedni mąż, przynajmniej uszczęśliwią się nawzajem. Ona zapewni mu spokój i zrozumienie, a co do mnie... dam sobie radę, też znajdę pocieszenie, niechby nawet w butelce albo w ramionach sprzedanej dziewczki, kogo to obchodzi?

- Przepraszam bardzo - rzekł - ale właśnie sobie przypomniałem, że o świętej mam spotkanie. Zresztą beze mnie będziecie się znacznie lepiej bawić. - Wyciągnął z kieszeni dwa suwereny i rzucił bratu na talerz. - Za moją kolację. Dobranoc, mammo.

I wyszedł niespiesznym krokiem z sali, świadom, że ludzie odwracają się za nim z ciekawością. Niektórzy się uśmiechali, wzruszali ramionami, a jeden podniósł znacząco kieliszek. A niech was licho! -pomyślał Johnnie. Niech piorun strzeli całą waszą przeklętą zgrają.

Machinalnie włożył płaszcz i kapelusz, wziął od szatniarza laskę. Deszcz przestał już padać, ale dął chłodny, przenikliwy wiatr. Johnnie wyszedł na ulicę; z naprzeciwka zbliżało się trzech mężczyzn idących ramię w ramię. Spodziewał się, że się rozstąpią i dadzą mu przejść, lecz albo go nie zauważyli, albo nie mieli na to ochoty, więc bez wahania wepchnął się w środek, skutkiem czego jeden wylądował w rynsztoku, drugi na ścianie domu, trzeci zaś uderzył łokciem w latarnię.

- Na przyszłość pamiętajcie o dobrych manierach! - wrzasnął za nimi.

Tamci byli zbyt oszołomieni, by się odciąć, ale jeden zdołał zawołać policjanta. Zanim nadszedł, zrobiło się zbiegowisko, ale Johnnie zdążył uciec. Stał teraz na środku drogi, próbując zebrać myśli.

- Właściwie dokąd to chciałem iść? - mruczał do siebie.

Nagle przypomniał sobie swą wymówkę: spotkanie o dziewiątej. Cóż, w zasadzie to prawda - jego pułkownik wydawał o tej porze przyjęcie w swym domu na Grosvenor Street. To ten sam nadęty osioł, który jeszcze dziś rano oświadczył wśród nerwowych pomruków i pochrząkiwań, że bardzo mu przykro, ale w tych okolicznościach... jest pewien, że Johnnie go rozumie... Krótko mówiąc, lepiej, żeby wystąpił z regimentu, zanim zostanie wyrzucony. No i bardzo dobrze, o niczym innym Johnnie nie marzył. Sięgnął teraz do kieszeni i wyciągnął zaproszenie, które nadeszło jeszcze przed tą rozmową. *Pułkownik George Greville wraz z małżonką...* - i tak dalej. Przeczytał je raz jeszcze przy świetle latarni.

- No więc będą mieli przyjemność mnie gościć, skoro tego pragną - rzekł sobie.

Ruszył chwiejnie chodnikiem z uśmiechem na ustach, a gdy z naprzeciwka wyjechała dorożka, zatrzymał ją laską.

- Grosvenor Street numer jedenaście.

Miło było rozsiąść się wygodnie z głową na poduszce. Wydało mu się, że jazda na Grosvenor Street trwała stanowczo zbyt krótko. Wygramolił się z kanapki i uiścił zapłatę. Dom pułkownika był rzęsiście oświetlony, a od schodów do jezdni rozciągał się czerwony chodnik. Na ulicy zebrał się tłum gapiów, przy-

patrujących się gościom. Drzwi uchylono na chwilę, by wpuścić kilku oficerów - kolegów Johnniego - z żonami, i zaraz zamknięto z powrotem.

- Ej, nie masz pan żony? - zagadnęła go jakaś dziewczyna.

- Niestety, nie - odparł, uchylając kapelusza z ukłonem. Zaniósła się śmiechem. Była to wymalowana prostytutka, która

przywędrowała tu z Piccadilly, żeby się przyjrzeć zabawie.

- Ciekawe, co by powiedzieli, gdybym tak weszła do środka? - zażartowała.

- Sam chciałbym wiedzieć. Spróbujemy czy może się boisz? Dam ci pięć funtów, jeśli się odważysz.

Uśmiechnęła się z zakłopotaniem, ale koleżanka pociągnęła ją za rękaw.

- Daj se spokój! Nie widzisz, że gość jest podcięty?

- Podcięty to mało! - wyprężył się dumnie Johnnie. - Po prostu urznąłem się w trupa, skoro już chcecie wiedzieć. Hej, co wy na to? - Wytrząsnął na dłoń pięć suwerenów.

- Dobra, idę! - podjęła prostytutka śmiałą decyzję. - Lepiej zmiataj stąd, Annie.

Johnnie podał jej ramię i zadzwonił. Raz jeszcze drzwi się otworzyły i stanął w nich wypudrowany lokaj. Johnniego i jego towarzyszkę ogarnął gwar rozbawionych gości. Na schodach tłoczyli się oficerowie w mundurach i panie w wieczorowych sukniach. U szczytu witał ich siwowłosy pułkownik ze stateczną małżonką.

- Jak ci na imię, złotko? - spytał Johnnie nową znajomą.

- Vera. Vera Potts... Chyba mnie pan tam nie zaciągnie, co?

- Oczywiście, że tak. - Wręczył kapelusz i płaszcz drugiemu lokajowi, który szeptał coś gorączkowo swemu kompanowi. - Bądź łaskaw nas zaanonsować - zażądał Johnnie, przepychając się w stronę schodów. - Kapitan Brodrick i panna Vera Potts. Witaj, drogi Robinie, jak się miewasz? A twoja małżonka? Cieszę się, że was widzę. Chyba nie znasz jeszcze panny Potts. Panna Potts - kapitan sir Robert Fra-zer, lady Frazer. Pozwól tedy, moja droga...

Goście rozstępowali się w popłochu, kiedy Johnnie prowadził trzymającą się go kurczowo dziewczynę. Mimo pewnego zamroczenia widział, że wiele głów

zwróciło pusty wzrok w ich stronę. Ktoś z dołu wykrzykiwał coś nerwowo, on jednak parł naprzód, ogarnięty nagle potężnym przypiływem determinacji. Wreszcie pułkownik także go dostrzegł. Konwencjonalny uśmiech na twarzy jego żony zastygł, a dłoń w długiej białej rękawiczce opadła, jeszcze zanim dotknęła jej szorstka prawica nieproszonego gościa.

- Dobry wieczór, pani Greville, dobry wieczór, panie pułkowniku -powitał ich Johnnie. - Przedstawiam państwu pannę Vere Potts ze starej firmy Potts, Piccadilly.

- Miło mi państwa poznać - rzekła panna Potts.

Pani Greville miała nieobecny wzrok osoby, która nagle otrzymała cios między oczy, i przez ułamek sekundy wydawało się, że zemdleje. Opanowała się jednak po mistrzowsku i zdołała nawet wykrztusić kilka słów.

Sam pułkownik nawet nie mrugnął okiem. Powitał uprzejmie Johnniego i uścisnął rękę jego towarzysze. Tylko żyłka pulsująca na skroni zdradzała jego prawdziwe emocje.

- Morton - zwrócił się do czerwonego jak burak adiutanta. - Myślę, że pannie Potts przyda się łyk świeżego powietrza. Bądź łaskaw ją odprowadzić, dobrze? Tam, po lewej stronie, za podestem, są drugie schody. Dziękuję. A ty, Frazer, wezwij powóz i niech ktoś odwiezie Brodricka do domu, bo chyba nie czuje się dobrze.

- Wprost przeciwnie - zaprotestował Johnnie. - Czuję się znakomicie i zamierzam osobiście odprowadzić pannę Potts do jej przyjaciół. Dobranoc panu

Skłonił się i znów podał ramię dziewczynie. Pożegnawali majestatycznie do drzwi, odprowadzani licznymi spojrzzeniami. Jeszcze tylko kapelusz, płaszcz, laska - i znów stali na czerwonym chodniku przed zatrzaśniętymi drzwiami.

Znacznie później Johnnie rozsunał zasłony w swym pokoju przy Pall Mail, stwierdzając, że ranek jest szary i mglisty. Z początku nie pamiętał, co wydarzyło się w nocy. Sięgnął po butelkę, którą trzymał w szufladzie nocnej szafki. Pociągnął łyk i po chwili zrobiło mu się lepiej. Dopiero wtedy jego wzrok padł na śpiącą obok Vere Potts. Dziwne, ale Johnnie nie miał pojęcia, co się z nim działo po opuszczeniu Grosvenor Street. Przeszedł do bawialni i rozejrzał się półprzytomnie. Zobaczył swój płaszcz, krzykliwy kapelusz Very i futerko, którym okręcała szyję. Pociągnął kolejny łyk i dopiero wtedy zauważył leżącą na stole depe-szę. Otworzył ją drżącymi rękami, a potem zapatrzył się przed siebie.

- Co się stało? - spytała Vera.

Zdawał się jej nie słyszeć. Obserwował pilnie mgłę spowijającą świat za oknem.

- Mój dziadek umarł - rzekł po dłuższej chwili. - To znaczy, że Clonmere jest moje.

4

To śmieszne, ale wciąż jeszcze czuł się tak, jakby biblioteka należała do dziadka. Kiedy otwierał szuflady wielkiego biurka z żaluzjo-wym zamknięciem albo przekręcał klucz w szafie z książkami, robił to z pewnym zażenowaniem, jakby Miedziany John miał lada chwila wejść, stanąć z założonymi do tyłu rękami i patrząc groźnie spod krzaczastych brwi, zapytać, czego Johnnie tu szuka. W powietrzu unosił się jeszcze charakterystyczny zapach, zresztą cały pokój sprawiał surowe, przygnębiające wrażenie. Johnnie wiedział, że nigdy tu nie zasiądzie, nie napisze bez skrepowania żadnego listu, bo zawsze będzie mu towarzyszył cień dziadka.

Oczywiście nie było czym się przejmować. W końcu dziadek nie mieszkał w Clonmere od sześciu lat. Kiedy Johnnie próbował go sobie wyobrazić, stawał mu przed oczami głuchy starzec, który mieszkał w Lletharrog ze swą żoną-gospodynią i czekał na śmierć, nie widując nikogo i do nikogo nie pisząc (wyjątek stanowiły wysyłane raz w miesiącu listy do dyrektora kopalni). I czego tu się bać takiej enigmatycznej postaci, przesiadującej przy kominku w odległym wiejskim domu? A jednak Johnnie czuł, że ciarki mu chodzą po grzbiecie. Zamykał wtedy biurko, odsuwał krzesło i zostawiał bibliotekę pająkom, wychodząc na słońce. Przez całe życie czekał na tę chwilę, marzył o niej, snuł różne plany, a teraz, kiedy wreszcie nadeszła, okazało się, że straciła dlań cały urok. Za późno, myślał, obchodząc grunta i słuchając z roztargnieniem rządcy. Za późno to przyszło. Już mi na tym nie zależy. Powinno się to stać dziesięć lat wcześniej, wtedy może bym to docenił. Rządca nazwiskiem Adams miał irytujący sposób bycia. Johnnie go nie znał. Człowiek ów cały czas mówił o Henrym tak, jakby to on, a nie Johnnie, odziedziczył posiadłość. „Tak, kapitanie Brodrick, pański brat kazał zasadzić te drzewa. Spędzał tu lato z kilkoma dżentelmenami, kiedy pan był za granicą”. Albo: „Pan Henry sugerował, aby wyremontować budynki gospodar-

cze. Uregulował też spór między starym Bairdem a tym nowym, Phillipsem. Uznał, że Baird nie nadaje się już do pracy, dlatego zatrudnił Phillipa". I jeszcze: „Pan Henry bardzo często odwiedza kopalnie. Myślę, że to on odbierał wszystkie raporty”.

To oczywiste, że kiedy Johnnie przebywał w regimencie, a dziadek w Llet-harrog, Henry miał na wszystko oko. Teraz jednak dziadek nie żył, a głową rodziny był Johnnie, więc niech Henry lepiej pilnuje własnego nosa.

- Na przyszłość - zapowiedział - wszystkie meldunki w sprawach kopalń i posiadłości mają trafiać do mnie.

Dzierżawcy także bez przerwy pytali o Henry'ego, patrząc z powątpiewaniem na Johnniego, tak jakby nie miał tu żadnych praw. To samo w kopalniach. Poprzedni sztygar, Nicholson, dawno odszedł na emeryturę, a jego miejsce zajął dyrektor Griffiths, który dość chętnie pokazał Johnniemu raporty finansowe. Wydawał się człowiekiem kompetentnym i uprzejmym, ale kiedy Johnnie zaczął go wypytywać o różne urządzenia, odrzekł:

- Pan Henry uważał, że ta instalacja wymaga remontu, więc może zechce pan uzgodnić z bratem, jakie kroki należałoby poczynić.

- Mój brat jest teraz bardzo zajęty w związku ze swym ślubem, poza tym sprawy kopalni do niego nie należą.

- Oczywiście, panie kapitanie, teraz pan tu rządzi - przyznał pośpiesznie Griffiths. - Na pewno zechce pan dopilnować wszystkiego osobiście.

I zaczął się rozwodzić nad szczegółami technicznymi oraz pokazywać Johnniemu liczby, z których ten nic nie rozumiał. Nie zdradzał się jednak ze swą ignorancją, tylko gorliwie kiwał głową, zadawał pytania i przybierał ważne miny, żeby dać dyrektorowi nauczkę.

Niech mnie diabli, jeśli pozwolę Henry'emu czy komukolwiek innemu wodzić się za nos, myślał. Po powrocie do zamku zebrał wszystkich służących i na początek obrzucił ich wyzwiskami, tylko po to, by zrozumieli, że nie zniesie żadnych nonsensów. Zdenerwował się, gdy stary Thomas oświadczył, że skoro panu kapitanowi nie odpowiadają jego usługi, to chętnie przeniesie się do pana Henry'ego i jego żony.

- Proszę bardzo, droga wolna! Nie chcę, by służył mi ktoś, kto mnie nie lubi!

- To nie dlatego, proszę pana - wykręcał się stary sługa. - Po prostu znam dobrze zwyczaj pana Henry'ego, a pana, po tak długim pobycie za granicą, mogę nie zadowolić.

Tak więc Thomas wyjechał do Słane, a wraz z ilim kilku innych służących, Johnnie zaś z rozpaczy posłał po swego dawnego ordynan-sa z regimentu, który natychmiast przejął rządy w domu. Wkrótce zjechała Fanny-Rosa z trójką służby, licznymi bagażami i kilkoma psami, oświadczając, że kochany Johnnie nie może mieszkać w Clonmere zupełnie sam, więc ona zamierza o niego zadbać.

- Wiesz, kochanie - mówiła, wsuwając mu rękę pod ramię, kiedy spacerowali przed domem - powinieneś się ożenić. Najlepiej z jakąś cichą, spokojną panienką, która urodzi ci tuzin dzieci i będzie zawsze pod ręką. Nie powinna jednak mieć za dużo rozumu, bo przecież nie chcielibyśmy, aby wchodziła nam w paradę. Na pewno znajdzie się w tym kraju ktoś odpowiedni dla naszych celów, oczywiście z dobrej rodziny, nie żadna parweniuszka.

- Nie znoszę cichych, spokojnych kobiet, ty zresztą także. Poza tym taki drań, jak ja, nie nadaje się na męża, więc nie ma o czym mówić.

- Henry jest taki szczęśliwy ze swoją Katherine! Szkoda, że nie możesz pójść w jego ślady. Przy żonie byś się ustatkował, zyskałbyś jakieś oparcie... Dobrze wiem, o czym mówię, nie myśl, że jestem głupia.

- Nie chcę się ustatkować! A jeśli zaczniesz wygłaszać mi kazania, to ci przypomnę, że to mój dom, nie twój.

Fanny-Rosa zerknęła na niego z ukosa. Dziwne, że Johnnie tak się jeży na każdą wzmiankę o Henrym i Katherine.

- Nie gadaj głupstw, kochanie. Dobrze wiesz, że nigdy nie prawie kazań.

Postanowiła jednak wziąć na spytki nowego służącego i wyciągnąć od niego, ile też whisky wypija jego pan, gdzie trzyma klucz do piwnicy, co porabia wieczorami, czy przychodzą do niego listy. Musi też dopilnować, żeby Johnnie przez cały czas miał jakieś zajęcie. Rozesłała listy do wszystkich sąsiadów w promieniu trzydziestu mil, zapraszając ich na polowanie do Clonmere, zanim skończy się sezon. Próbowwała przyciągnąć każdego, kto mógłby zawrzeć bliższą znajomość z Johnniem, w tym swego brata Boba, który wraz z żoną mieszkał w zamku Andriff, oraz różnych kuzynów, jak hrabia Mundy i Lumleyowie. Kogo tylko się dało, bombardowała zaproszeniami, zapewniając, że „drogi Johnnie” marzy, by się z nimi zobaczyć. Ci, którzy zdecydowali się przyjechać, byli podejmowani

przez gadatliwą damę o płomiennych włosach, do tego strojną we wszystkie możliwe kolory. Później, zdecydowanie później wychodził do nich gospodarz, mocno czerwony na twarzy i poruszający się nieco chwiejnym krokiem. Zachowywał się to kordialnie, to znów agresywnie, raz śmiał się do rozpuku, kiedy indziej zaś popadał w pełne urazy milczenie. Goście z kolei czuli się niezręcznie, nie wiedząc, czego się od nich oczekuje: czy mają polować, czy też wsiadać do powozów i odjeżdżać. W każdym razie na następne zaproszenie odpowiadali, że mają już inne plany.

- Jacy ludzie są dziwni - mawiała Fanny-Rosa. - Zeszłej zimy, kiedy byli tu Henry i Herbert, różni znajomi zjeżdżali się na polowania nawet po kilka razy w tygodniu. A teraz każdy wykręca się, jak może, to drogami, to znów odległością.

- Nie ma w tym nic niezwykłego - tłumaczył jej Johnnie. - Przyjeżdżali, bo chcieli zobaczyć się z Henrym i Herbertem, a mnie nie lubią. Na miłość boską, przestań ich prosić, mam własnych przyjaciół, jak zechcę, to sam ich tu ściągnę.

Z braku innego towarzystwa spoufalił się ze stróżem oraz kilkoma dzierzawcami i snuł się z nimi po okolicy.

Właśnie przy tego rodzaju okazji natknął się kiedyś na Jacka Donovan, którego nie widział od czasów wczesnej młodości. Od razu przypomniał sobie dawno zapomniany incydent w pubie. Jack niewiele się zmienił, nadal miał marchewkową czuprynę i beczelne spojrzenie. Natychmiast wyciągnął do Johnniego rękę i zapytał o zdrowie, chociaż dubeltówka pod pachą aż nazbyt wyraźnie wskazywała, że kłusował.

- No proszę, w końcu wrócił pan do nas, kapitanie! Przynajmniej zaczniesz się coś dziać. Właśnie mówiłem chłopakom w Doonhaven: „Zobaczycie, czeka nas dobra zabawa. Ten dżentelmen rozrusza całą okolicę”.

Johnnie zaśmiał się, chociaż z początku miał ochotę go rąbnąć.

- Przyłącz się do nas, Jack, i nagoń nam kilka zajęcy.

- Już się robi! - odparł Donovan, mrugając porozumiewawczo. - Znam okolicę jak własnych pięć palców, ale póki pan kapitan przebywał poza domem, musiałem poruszać się bardzo cicho. To teren łowiecki doktora Armstronga, a on nie należy do przyjaciół mojej rodziny.

- Co tam doktor Armstrong! Teraz dla odmiany postrzelasz sobie jako mój gość.

Fakt, że chrzestny ojciec odnosił się wrogo do Donovana, natychmiast zjednał temu ostatniemu sympatię Johnniego. Wujek Willie pojawił się w Clonmere kilka razy z krótką wizytą i zawsze przy tych okazjach wtykał młodemu gospodarzowi jakąś szpilkę. Czy zamierza to a to, czy pójdzie w ślady dziadka w tym lub innym względzie, czy zasięgał rady Henry'ego w takiej a takiej sprawie? Prawdę rzekłszy, chrzestny ojciec pozwala sobie ostatnio stanowczo na zbyt wiele. Ma już ponad sześćdziesiąt lat, więc jeśli nie będzie się pilnował, Johnnie wyrzuci go z posady i odda praktykę komuś młodszemu.

- Czym się ostatnio zajmujesz, Jack? Tamten wzruszył tylko ramionami.

- Sam pan widzi, kapitanie, że mam dziury na łokciach. Słabo się handluje w tej okolicy, a stary sklepik, który objąłem po ojcu, niedługo zawali mi się na głowę. Razem z moją siostrą Kate myślimy o wyjeździe do Ameryki, bo tu nie mamy czego szukać.

- Wcale nie musicie wyjeżdżać, znajdę ci coś w Clonmere. Właściwie skoro już o tym mowa, to chciałbym zainstalować kogoś w stróżówce przy bramie. Nie dalej jak tydzień temu musiałem wyrzucić dotychczasowych lokatorów, bo za dużo sobie pozwalali. Możesz się tam wprowadzić razem z siostrą.

Jack Donovan zerknął na niego podejrzliwie.

- Żarty pan sobie robi, kapitanie?

- Ależ skąd. Czemu nie mielibyście tam zamieszkać?

- Jasne, pan tu decyduje. Posiadłość jest pańska i może pan dobierać ludzi według własnej woli. Stary pan Brodrick nigdy by tam nie wpuścił żadnego Donovana, co to, to nie.

- Jeszcze jeden powód, abym ja to zrobił. A jeśli ktoś ośmieli się zaprotestować, odeślesz go do mnie.

Johnnie szybko zapomniał o całej sprawie, ale po kilku dniach przyszedł do niego rządcą w stanie wielkiego wzburzenia. Czy pan kapitan wie, że Jack Donovan z Doonhaven i jego siostra Kate mieli czelność wprowadzić się do stróżówki, którą on, rządcą, obiecał pewnemu dzierżawcy z Kileen? Czy wobec tego pan kapitan każe im natychmiast się wynosić?

- Nie ma mowy - odparł Johnnie, obserwując z satysfakcją, jak rządcy rzednie mina. - Donovanowie wprowadzili się za moim pozwoleniem.

- T-to wbrew zwyczajom... - wykrztusił pan Adams, ale Johnnie kazał mu iść do diabła i opuścić pokój.

Później poruszyła ten temat matka.

- Co ja słyszę? - napadła na niego przy obiedzie. - Podobno ci wstrętni Donovanowie zagarnęli stróżówkę. Służba o niczym innym nie mówi. Oczywiście wyrzucisz ich stamtąd?

- Ani mi się śni. Jack Donovan to porządny chłop i jako jeden z nielicznych wydaje się mnie lubić. Będzie tam mieszkał z siostrą, jak długo zechce.

- Ależ Johnnie! Brodrickowie zawsze unikali wszelkich kontaktów z Donovanami, na pewno o tym słyszałeś. To straszna rodzina. Zarazili twego ojca śmiertelną chorobą, nigdy im tego nie daruję!

- Co mnie obchodzi, że ojciec miał pecha i zaraził się dyfterytem? To nie powód, bym obarczał winą następne pokolenie. Myślałem, że masz więcej rozsądku. Najlepiej zrobisz, jeśli pójdziesz do Kate Donovan i zapytasz, czy czegoś nie potrzebuje.

- Mój drogi, nigdy nie zamieniłam ani słowa z nikim z tej rodziny i teraz także nie mam takiego zamiaru. Jeśli chodzi o ową blondynkę o chytrych oczkach, którą widziałam dziś na podjeździe, to wiedz, że nie mam o niej dobrego zdania. Tam powinni zamieszkać Mahoneyowie. Lubię panią Mahoney, czemu nie poprosiłeś mnie o radę?

- Bo wolę polegać na własnym zdaniu - odparł Johnnie, sięgając po karafkę.

- To wielki błąd - oświadczyła Fanny-Rosa, obserwując, ile płynu trafia do kieliszka. - Nie powinno się sprowadzać z miasta nowych ludzi, niezwiązanych z posiadłością. Próbowалаm tego ze służbą i nigdy się nie udało. W końcu przez wiele lat zarządzałam tym domem sama i z pomocą Henry'ego, więc mam pewne doświadczenie. Czemu nie wykończysz tej karafki, skoro masz ochotę?

Johnnie odstawił kieliszek i spojrzał jej prosto w oczy.

- Już czas, żebyśmy sobie to i owo wyjaśnili. Za życia dziadka często rozmawialiśmy o tym, jak to będzie, kiedy Clonmere przejdzie w moje ręce, prawda? Myśleliśmy, że zamieszkamy tu razem i tak właśnie się stało, ale oboje wiemy, że to pomyłka. Nic z tego nie będzie, więc co chcesz dalej robić?

- Co masz na myśli?

- Tylko to, że dla nas obojga będzie lepiej, jeśli zamieszkaś gdzie indziej.

Przez chwilę Fanny-Rosa nie odpowiadała. Skubała nerwowo serwetkę, a na policzki wystąpiły jej krwiste rumieńce. Johnnie obserwował ją spod oka, nienawidząc się w duchu za to, co powiedział. Za nic w świecie jednak nie cofnąłby swej decyzji.

- Rozumiem, że działałam ci na nerwy - rzekła w końcu. - Dobrze, żeś mi to uświadomił. Matki czasem są takie ślepe!

Podeszła do kominka i stała tam przez jakiś czas, grzejąc ręce nad ogniem. Johnnie nagle przypomniał sobie, jak wyglądała dwadzieścia lat temu z tą samą burzą włosów (teraz farbowanych i niejednorodnych w kolorze) opadających na czoło i jak tuliła go - wówczas małego chłopczyka - w ramionach. Pamiętał zapach jej perfum i cudownie chłodną skórę. Teraz miała nieco obwisły podbródek, a nadmiar pudru osypywał się na suknię, tworząc drobne plamki. Johnnie poczuł bolesny skurcz w sercu i przeklinał w duchu lata, które ich od siebie oddzieliły. Nic już nie da się zrobić. Roześmiana, beztroska dziewczyna na zawsze zmieniła się w ową dość komiczną, podstarzałą istotę, która wzruszała go tylko ze względu na przeszłość.

- No cóż, nie ma co robić tragedii - rzekła Fanny-Rosa lekkim tonem. - Skoro wolisz być sam, dobrze, że powiedziałeś mi to w porę.

Johnnie odwrócił krzesło i też zapatrzył się w ogień.

- Nic nie rozumiesz. To naprawdę jest tragedia. Przez całe lata myślałem, jak będziemy tu sobie mieszkać, co będziemy robić i tak dalej. I nagle znaleźliśmy się w pułapce. Czy, twoim zdaniem, to nie jest tragiczne?

Wciąż patrzyli w ogień - on z kieliszkiem w ręku, ona z ręką na jego ramieniu.

- Ciekawe - odezwała się nagle - co by się stało, gdyby twój ojciec nie umarł.

Jakaś nutka w głosie matki dziwnie chwyciła go za serce. Johnnie rzucił jej szybkie spojrzenie, a potem wziął ją za rękę. Ale kiedy obrócił ku sobie jej twarz, zobaczył uśmiech. Zaraz też zaczęła wesoło paplać, jak to sobie wynajmie na jesień i zimę małą wille, może na południu Francji. Często myślała, że tam byłoby jej dobrze. W młodości zawsze spędzała zimy za granicą - we Francji lub Włoszech. Sama rozkosz, szkoda tylko, że tak drogo.

- I co z tego? Wiesz doskonale, że dam ci na wszystko, co trzeba.

- Mój kochany! - rozpromieniła się zaraz. - Jak to miło i wspaniałomyślnie z twojej strony! - Poklepała go po głowie, co było dla niego gorsze, niż gdyby zrobiła awanturę. - Może i Eliza się zdecyduje na wyjazd? Miałaby odmianę po Saunby. Najpierw zamieszkamy w hotelu, a potem spokojnie się rozejrzemy. Jeszcze dziś do niej napiszę. Najbardziej odpowiadałoby mi Monte Carlo, tam się tyle dzieje...

I wyszła, zostawiając go samego w jadalni. Nagle uświadomił sobie, że po tych wszystkich latach nic o niej nie wie. Co dzieje się w jej umyśle, w sercu? Czy złamał to serce dziś wieczorem? Czy może nie było żadnego serca do złamania? Tego już nigdy się nie dowie - on ani nikt inny. Tylko Najwyższy jest w stanie przeniknąć duszę Fan-ny-Rosy i poznać prawdę.

Następnego ranka obudził się pełen wyrzutów sumienia z powodu swych twardych słów. Poszedł do pokoju matki, by prosić ją o wybaczenie i pozostanie w Clonmere. Za dużo wczoraj wypił, nie powinna zważać na to, co powiedział... Ale zastał ją wśród pudeł, książek i wszelkich innych relikwii przeszłości - niemodnych ubrań, kapeluszy, szarf, rękawiczek.

- Jakie to zabawne - zauważyła. - Wciąż się natykam na dawno zapomniane rzeczy. O, tu jest stary kapelusz, który nosiłam, kiedy zaręczyłam się z twoim ojcem... - Podniosła zgnieciony przedmiot ze słomki, wielkości spodka. - W sam raz się nada na prezent dla pomy-waczki - dodała, odkładając go na bok. - A tu twój pierwszy bucik -zaśmiała się, pokazując czerwony niemowlęcy pantofelek. - Tego nie wolno wyrzucić. Nosileś go raptem kilka tygodni, bardzo szybko rosły ci stopy. A spójrz na tę atlasową suknię. Zamówiłam ją na pobyt z twoim ojcem w Bath, ależ to był cudowny tydzień, istne szaleństwo... A potem poczęłam Edwarda i w ciągu paru miesięcy zrobiłam się za gruba, by ją nosić. Pamiętam, jak mnie to zdenerwowało. Za to teraz wystarczy kilka przeróbek i w sam raz się nada. - Przyłożyła suknię do siebie.

Johnnie patrzył na to z rozpaczą w sercu. Ileż smutku w tych wszystkich rzeczach, które kiedyś stanowiły jej część...

- Myślę, że wczoraj zachowaliśmy się bardzo głupio. Wolałbym, żebyś jednak została.

- Och, co za nonsens! Nigdy nie powinno się cofać decyzji, to wielki błąd. Poza tym nie mogę się już doczekać mojej willi. Będę widywać mnóstwo ludzi, bywać w towarzystwie, słowem, cieszyć się każdą chwilą. Depczesz mi po mufce, kochany, przesun się, dobrze?

Może mimo wszystko nie udawała. Może naprawdę chciała wyjechać? Nagle wydało mu się to jeszcze bardziej tragiczne od chęci pozostania z nim w Clonmere. Poszedł do jadalni i wypił pół butelki whisky.

Matka wyjechała w ciągu tygodnia. Johnnie zamknął się w domu i przestał się spotykać z ludźmi. Pogoda była paskudna. Nad potokiem wisiała mgła, która zasnawała też wyspę Doon. Stojąc w oknie, obserwował smętny, zacinający deszcz, szare chmury, spowijające Hungry Hill, słuchał szumu wody w rynnach. Nagle, nie mając nic innego do roboty, wyszedł na dwór i drogą przez park powędrował do stróżówki na pogawędkę z Jackiem Donovanem. Bawił go ten człowiek; miał chropawy, niewybredny dowcip i znał całą masę historyjek o ludziach z Doonhaven, które odpowiadały wypaczonemu pojęciu komizmu Johnniego. Przypuszczalnie większość z nich była nieprawdziwa, ale nie miało to większego znaczenia. Z kolei Johnnie rozwodził się szeroko o swych przygodach za granicą, na ogół tych mało zaszczytnych, ponieważ one wywoływały u Jacka największe salwy śmiechu. Najchętniej opowiadał, jak pewnego razu wtargnął do haremu i kochał się z czyjąś zawołaną żoną pod nieobecność męża. Kate też lubiła się przysłuchiwać. Zerknęła na niego spod oka, udając, że jest zajęta gotowaniem obiadu. Miała gładkie, jasne włosy z przedziałkiem pośrodku; Jack twierdził, że sięgają aż za pas i że Kate mogłaby na nich usiąść.

- No to się przekonajmy - zaproponował Johnnie. Natychmiast zrobiła zgorzsną minę i nawet nie chciała o tym słyszeć, ale brat wybił jej z głowy fochy.

- Jazda, Kate, nie odstawiaj damy przed kapitanem!

W końcu po wielu namowach rozpuściła włosy, ale zakryła przy tym twarz, spoglądając na Johnniego przez palce. Przeobraziło ją to; ze zwykłej, pospolitej dziewczyny zmieniła się w istotę oryginalną i intrygującą. Johnnie nagle zapragnął zanurzyć ręce w tych włosach, bawić się nimi, okręcać je na palcach...

Widok Kate Donovan z rozpuszczonymi włosami wzbudził w nim podniecenie. Odtąd niemal każdego dnia chodził do stróżówki na pogawędkę z bratem i siostrą. Mała duszna kuchnia, zapach potraw, wyświechtane koronkowe firanki, tandetna zastawa, porcelanowe figurki Matki Boskiej i świętego Józefa na półce nad kominkiem, duży drewniany krucyfiks na ścianie - wszystko wydawało mu się znacznie przytulniejsze i bardziej swojskie niż zimne, puste pokoje w zamku.

Coraz częściej tak się składało, że Jacka nie było w domu podczas wizyt Johnniego. Kate wyjmowała z kredensu butelkę whisky i szklanę, tłumacząc, że

przy takim zimnie koniecznie trzeba się napić. Johnnie obserwował ją z nad brzegu szklanki; bawiła go jej nieśmiałość, chociaż dobrze wiedział, że jest udawana. Kiedy prosił Kate, by rozpuściła włosy, z początku się wzdrgała, kręciła głową, wreszcie - odwracając twarz - spełniała jego życzenie. W kuchni panowała cisza, zakłócana tylko tykaniem zegara. Johnnie, rozgrzany od środka whisky, trzymał na kolanach Kate, bawił się jej włosami, czując, że ogarnia go błogi letarg. O ileż przyjemniej było mu tutaj niż w pustej jadalni w zamku! Przez półprzymknięte powieki widział na ścianie portret papieża i wiszący niżej różaniec. Zestawienie świętych obrazków z tym, co działo się w kuchni, budziło w nim nieodpartą chęć śmiechu, musiał więc kryć twarz we włosach Kate, żeby dziewczyna nie dostrzegła jego rozbawienia.

Czasem, po powrocie do zamku, przychodziło otrzeźwienie. To doprawdy żalotne wykradać się dzień po dniu do stróżówki, żeby uprawiać seks z siostrą własnego stróża. Wszelka rozmowa z Kate była niemożliwa, Johnnie mógł ją odwiedzać tylko w jednym celu, i głównie na tym zeszła mu jesień roku 1857.

Najbardziej cierpiał podczas sporadycznych wizyt w East Grove, domu swego brata w Slane. Ni stąd, ni zowąd nachodziła go czasem bezsensowna tęsknota za Katherine. Gdy tylko przestępował próg jej domu, ogarniał go panujący tam spokój, którego nie udało mu się doświadczyć w żadnym innym miejscu. Szła ku niemu przez salon z wyciągniętymi rękoma, mówiąc:

- Jak miło cię widzieć, Johnnie! Zostaniesz na noc, oczywiście.

Nie przyjmowała do wiadomości odmowy, więc Thomas wnosił bagaż do pokoju gościnnego, nakrywano do podwieczorku, a potem Johnnie siedział obok bratowej, obserwując jej dłoń na imbryku z herbatą, wygięcie ramienia, długą, smukłą szyję, doskonały, tchnący spokojem profil...

- Co porabiasz, Johnnie? - pytała, kładąc mu rękę na kolanie i zaglądając w oczy, jego zaś ogarniała wówczas zapiekła nienawiść do wszystkiego, co zrobił ze swym życiem.

Nienawidził jałowych, beznadziejnych dni, wylegiwania się do późna w łóżku, błahych pretekstów do spotkań z Adamsem, samotnych posiedzeń w jadalni przy butelce whisky, wizyt w stróżówce i plugawych, niezdarnych interludiów z Kate, po których wracał do Clonmere i otwierał następną butelkę. Teraz, w East Grove, patrzył na salon bratowej - przytulny, wygodny pokój z ogniem na kominku, wypolerowaną mosiężną kratą, dywanem w kolorze łagodnej zieleni i perkalowymi obiciami w jabłuszka. W kilku miejscach stały bukiety kwiatów,

Katherine siedziała z robótką na kolanach (niedługo spodziewała się dziecka), ale nie szyła - widać uznała, że przy gościu nie wypada.

- Tak bym chciała, Johnnie, żebyś przyjechał do nas na dłużej! Henry dość często wyjeżdża, mógłbyś dotrzymać mi towarzystwa. Nie zanosi się, żebym miała często widywać mojego chrześniaka.

- Nawet nie wiesz, jak tego pragnę.

- A więc?

Pokręcił przecząco głową.

- Nie. Para szczęśliwych ludzi nie potrzebuje, żeby ktoś trzeci psuł ich sielankę.

- Nie opowiadaj głupstw, Johnnie! Będziemy jeszcze szczęśliwsi, widząc, że i tobie jest dobrze. Musisz czuć się bardzo samotnie w tym wielkim domu, a chociaż akurat teraz nie wychodzę zbyt często, moglibyśmy razem czytać albo grałabym dla ciebie, Henry też by się cieszył, że ma towarzystwo na wieczór.

Johnnie myślał, ile by to znaczyło, gdyby tak mógł siedzieć tu z Katherine dzień po dniu w jej domowym zaciszu. Nic, tylko siedzieć i patrzeć na jej dłonie, złożone tak jak teraz, słuchać jej łagodnego głosu i od czasu do czasu napotykać jej uśmiechnięte spojrzenie, kiedy podniesie wzrok znad książki...

Niebawem Thomas sprzątnął ze stołu, a Katherine podeszła do fortepianu i zaczęła cicho grać. Siedziała, zapatrzona w okno, taka daleka, oderwana od świata. O czym dumiała? Dokąd wybiegała myślą? Czy i Henry'ego obdarzyła takim samym spokojem, jak jego brata? Johnnie zamknął oczy i słuchał, a słuchając, wyczarowywał na swój własny użytek pewną iluzję. Wyobraził sobie, że to jego dom i że przy fortepianie siedzi jego żona. Kiedy skończy, podejdzie do niego, dotknie jego włosów i zapyta, czy mu się podobało... Wtem otworzyły się drzwi i w progu stanął rozpromieniony Henry.

- Witaj, staruszkule, co za niespodzianka! - zawołał kordialnie. Johnnie znów znalazł się w domu swego brata, a jego cudowne marzenia legły w gruzach.

Katherine zamknęła fortepian i szybko podeszła do męża. Ten ucałował ją, a potem zatrzymał się przez chwilę, obejmując ją w pasie.

- No i jak ci się podoba? - zapytał z dumą Johnniego i nie czekając na odpowiedź, rozpoczął sprawozdanie z wydarzeń dnia: opowiedział zabawną historiją-

kę o nietaktownym wystąpieniu pewnego szacownego posła podczas oficjalnego lunchu.

- Przypuszczam, że załagodziłeś sytuację i zaprosiłeś wszystkich obrażonych na obiad - odezwała się Katherine.

- Nic podobnego! Zależało mi, by afera zakończyła się jak najprędzej, gdyż chciałem wrócić do żony.

Znów ją pocałował. Spojrzenie, jakim go obdarzyła, przyprawiło Johnniego o skurcz serca. Kocha go, myślał. Jest z nim szczęśliwa. Kiedy przebierał się do obiadu i słyszał, jak rozmawiają w przyległym pokoju, przyszedł mu na myśl wszystkie niekochane kobiety, które zdołały rozpalić w nim chwilowe pożądanie - i nic więcej. W ciągu lat przesunął się ich cały plugawy pochód, który zamykała Kate Donovan. O Boże, myślał z rozpaczą, gdyby wszystko potoczyło się inaczej, gdybym nie wstąpił do wojska, nie wyruszył na tę przeklętą, bezsensowną wojnę, tylko został w kraju, poznał Katherine i poprosił ją o pomoc, może wyszłaby za mnie, nie za Henry'ego. Żylibyśmy sobie w Clonmere, rodziłaby moje, a nie Henry'ego dzieci i to na mnie patrzyłaby tak jak na niego dziesięć minut temu.

Na toaletce stał wazonik z kwiatami - musiała go ustawić, zanim zaczął się przebierać - obok łóżka leżała książka, na kominku palił się ogień. To wyraźne oznaki jej troskliwości, zresztą cały pokój był starannie wysprzątany i wygodny, nie to, co jego ponura sypialnia w Clonmere. Johnnie wyobraził sobie, jak za ścianą Katherine siedzi przed lustrem i szczotkuje włosy, podczas gdy Henry wkłada kołnierzyk i krawat. Taka intymność to naturalna rzecz między szczęśliwymi małżonkami, w ten sposób jeszcze bardziej zbliżają się do siebie. On nigdy pewnie nie zazna takiego wspólnego życia, jego jedyne wspomnienia były szare i odrażające.

Obiad w East Grove jadano o siódmej. Na wypolerowanym stole paliły się świece, pokojówka pomagała Thomasowi podawać talerze. Johnnie, siedząc obok Katherine, znów porównywał manieri brata i bratowej ze swym zachowaniem w Clonmere. Jakże często rozwalał się przy stole, a gdy podano mu poplamioną serwetkę albo letnią potrawę, obrzucał służącego obelgami, aż nieszczęśnik bladł ze strachu, on sam zaś tracił apetyt na jedzenie i sięgał po karafkę.

Kiedy Katherine wstała od stołu, zostawiając braci samych, Henry zerknął na Johnniego z dziwną nieśmiałością.

- Nie miałbyś chyba nic przeciwko temu, abym został twym rządcą? - zagadnął.

- Dlaczego? Przecież jest Adams.

- Nie mówię, żebyś go zwolnił. Chcę tylko, żebyś mnie ustanowił kimś w rodzaju... powiedzmy, nadzorcy. Wiesz, stary, prawdę rzekłszy, posiadłość popada w ruinę, to wielka szkoda, gdy się pomyśli, ile pracy, troski i pieniędzy zładek w to wszystko włożył. Nie gniewaj się, że to mówię, już od dłuższego czasu nosiłem się z tym zamiarem.

Johnnie poczerwieniał i wysunął szczękę do przodu.

- Nie wiem, o co ci chodzi. Zarządzam majątkiem w sposób, jaki mi odpowiada, i na tym koniec. Prawdę rzekłszy, nie mam zbyt dobrej opinii o Adamsie i w przyszłości zamierzam sam zajmować się posiadłością. Dla ciebie byłby to zapewne większy kłopot niż zysk.

- W porządku - zgodził się Henry. - Skoro tak, to nie mówmy już o tym. Wystąpiłem z propozycją, bo myślałem, że przyda ci się pomoc. Byłeś ostatnio w kopalniach?

- Nie, nie miałem po co - odparł Johnnie, zapalając cygaro. - Mnie interesuje tylko to, ile wpływa na moje konto w banku. Dlaczego pytasz?

- Tak sobie, bez powodu. Ale jeśli ludzie czują, że właściciel kopalni o nich dba, to i praca zaraz lepiej idzie.

- Masz jeszcze jakieś rady? Henry przysunął mu karafkę.

- Tylko taką, żebyś trochę przyhamował z piciem i rzadziej widywał się z Donovanami.

Johnnie odłożył cygaro.

- Kto, u diabła, naopowiadał ci o Donovanach?

- Wiesz, jak w tym kraju lubią plotki. O tym, co dzieje się w Doon-haven, w ciągu dwóch dni wie całe Slane. Jack Donovan to nieciekawny gość. Wiadomo, że kłusuje i kradnie, poza tym rozpowiada w tutejszych pubach, jak to jego siostra owinęła sobie ciebie wokół palca, chociaż nazywa to o wiele dosadniej.

- A niech ich piorun strzeli! Czemu, do diabła, nie zostawiaj mnie w spokoju?

- Zostawiliby cię chętnie, gdybyś ty zostawił whisky. Johnnie odchylił się na oparcie i spojrzał bratu w oczy.

- Łatwo ci mówić, co? Jesteś szczęśliwy, ożeniłeś się z kobietą, którą kochasz, nie musisz się o nic martwić. Masz swoją Katherine, więc pozwól i mnie cieszyć się moją Kate.

Nalał sobie następny kieliszek porto.

- Mam po dziurki w nosie ludzi, którzy mnie pouczają - ciągnął. -Znosiłem ich w wojsku, ale w cywilu nikomu na to nie pozwolę.

- Nie chcę prawić ci kazań - powiedział cicho Henry. – Próbuję tylko ostrzec cię przed Jackiem Donovanem. Jeśli chcesz romansować z jego siostrą, to przecież cię nie powstrzymam, ale nie trać głowy.

- Donovanowie są moimi przyjaciółmi. Nikt poza nimi nie okazał mi w tym kraju cienia życzliwości.

- Doskonale, nie powiem już ani słowa. Przejdźmy do salonu, Katherine coś nam zagra.

Takiemu to dobrze, myślał Johnnie, patrząc, jak Henry odwraca żonie nuty, jak się do niej uśmiecha, jak oboje patrzą sobie w oczy. Dziś w nocy będą razem, ona zaśnie z głową na jego ramieniu, a rano, gdy Henry się obudzi, będzie ją miał przy sobie. I jutro także, i pojutrze... Jeśli czymś się zdenerwuje, ona go ukoi. Jeśli poczuje się zmęczony, ona zapewni mu odpoczynek. Kiedy mu będzie wesoło, Katherine podzieli jego radość, a gdy zechce być poważny - dopasuje się do jego nastroju. Należą do siebie, ona nosi jego dziecko. A ja nie należę do nikogo - jestem bezużytecznym, zgorzkniałym pijaczną, który za całą rozrywkę ma szybki seks z siostrą stróża.

- Johnnie - odezwała się nagle Katherine, podnosząc wzrok znad klawiatury - zostaniesz z nami na dłużej, prawda?

Henry z ręką na jej ramieniu także spojrzał pytająco na brata.

- Tak, Johnnie, bardzo cię proszę. Dużo czasu spędzam poza domem, byłbym spokojniejszy, wiedząc, że jesteś z Katherine. Na pewno będzie ci tu dobrze, już ona o ciebie zadba.

Johnnie przyjrzał się im uważnie. Lampa na fortepianie oświetlała gładkie włosy Katherine, Henry dotykał machinalnie koronki na jej kołnierzu - ot, taki drobny, intymny gest, który wdarł się w marzenia Johnniego.

- Nie - odparł. - Najlepiej będzie, jeśli zostawię was w spokoju i wrócę do Clonmere.

5

Po powrocie do domu Johnnie przede wszystkim pozbył się rządcy Adamsa. Powiedział mu, że odtąd sam będzie doglądał posiadłości. Henry i inni mądrze przekonują się teraz, że wcale nie jest takim ignorantem, za jakiego go uważali. Przez kilka miesięcy rzeczywiście wstawał wcześnie, odpisywał na listy, robił obchód gruntów i nawet ze dwa razy na tydzień odwiedzał kopalnie. Potem tak się pechowo złożyło, że się przeziębził i musiał kilka dni poleżeć. Leżał więc samotnie w swej ponurej sypialni, mając do pomocy tylko jednego służącego, i z każdym dniem popadał w coraz większe przygnębienie. Energia, która nie opuszczała go przez ostatnie miesiące, wydała mu się nagle czymś bezsensownym i absurdalnym. I co mu przyszło z przesiadywania w biurach na Hungry Hill? Marnował jedynie czas Griffi-thsa. Podczas godziny, którą tam spędzał, dyrektor wciąż się denerwował. To samo z posiadłością; Johnnie był pewien, że dzierżawcy go nie znoszą. Nikt nie witał go przychylnie, z wyjątkiem jednych Do-novanów. Na Boga, myślał, przewracając się na łóżku, to moi jedyni przyjaciele. Nikt inny nie dałby za mnie złamanego pensa. Mógłbym tu umrzeć, zanim ktoś przyszedłby w odwiedziny. Kiedyś wpadł jednak doktor Armstrong i palnął mu kazanie na temat uzalania się nad sobą. „Sam jesteś winien sytuacji, w jakiej się znalazłeś” - oświadczył bez cienia współczucia i przez pełne dwadzieścia minut przekonywał go, jakim złem jest alkohol. Potem wyszedł, Johnnie zaś, który pod wieczór zwykle czuł się gorzej, posłał służącego do piwnicy po butelkę portu. Kuracja okazała się na tyle skuteczna, że wstał z łóżka i w szlafroku zasiadł przed kominkiem w jadalni do kolacji złożonej z zimnego bekonu i ziemniaków, mając za towarzysza Jacka Donovana, który bardzo mu współczuł.

- Kate mało się nie pochorowała ze zmartwienia przez tych kilka dni. Nie dała mi spokoju, póki nie zgodziłem się tu przyjść i sprawdzić, jak się pan kapitan czuje. I co mam jej powiedzieć?

- Ze w piekle nie byłoby gorzej.

- To przez to samotne leżenie, kapitanie. A co się tyczy lekarstw, nie wynaleziono nic lepszego od butelki. Prawdziwi mężczyźni tylko z gorzały czerpią siłę.

- To właśnie chciałem usłyszeć, Jack. Bóg świadkiem, że jesteś moim jedynym przyjacielem.

- Święte słowa, kapitanie. Nie dalej jak dziś rano Kate mówiła, że prędzej by pan umarł, zanim któryś z tych wspaniałych przyjaciół czy krewnych przypomniał sobie o panu. Tyle powiem, że za bardzo pan się nimi przejmuje, ot, co! Pan lubi żyć po swojemu, więc czemu nie? A ten parszywy Adams rozpowiada wszędzie, że nie odróżnia pan jednego końca posiadłości od drugiego, och, mógłbym go za to oskalpować!

- Naprawdę tak mówił?

- Jasne! Plecie, co mu ślina na język przyniesie, bo go pan zwolnił. Ale w razie czego może pan na mnie liczyć, chętnie pomogę, gdyby pan miał kiedy za dużo zawracania głowy.

- To miło z twojej strony.

- Ach, nie ma o czym gadać. Żaden kłopot. Śmiem twierdzić, że potrafię wycisnąć z majątku więcej niż Adams. Kate także mogłaby się czymś zająć, zrobić trochę porządków w domu, co pan na to?

- Byłbym wielce zobowiązany - odrzekł Johnnie, ziewając. - Żadna z moich służących nie trzepie ścierki do kurzu po sprzątanu.

Porto poskutkowało; przyniosło błogą senność i zadowolenie, co nie udało się żadnemu z lekarstw tego starego durnia Armstronga. Johnnie znów leżał w łóżku, patrząc na ogień w kominku i Kate krzątającą się bezszelestnie po pokoju. Pozaciągała zasłony, odcinając wewnątrz od szarego listopadowego popołudnia, poskładała i schowała na miejsce jego ubranie, potem zaś, kiedy praktycznie już spał, legła cicho u jego boku. Przypomniawszy sobie East Grove - Henry i Kathrine pewnie siedzą teraz przy herbacie w salonie, potem ona otworzy fortepian, a on wyciągnie się wygodnie w fotelu, który obróci tak, by widzieć światło lampy na włosach żony. Ma swoją Katherine, a ja swoją Kate, myślał. Więc co mnie to wszystko obchodzi?

I przyciągając do siebie siostrę Jacka Donovana, poszukał zapomnienia. Deszcz znów zaczął bębnić o szyby i zapadła ciemność.

Zima mijała i w miarę upływu czasu Johnnie coraz mocniej uzależniał się od towarzystwa Donovanów. Jack miał niezłą głowę do interesów i był na tyle sprytny, że nim Johnnie się zorientował, znał wszystkie sprawy Clonmery jak własne pięć palców. Radził sobie z dzierżawcami, wypłacał zasługi, wziął na

swoje barki dosłownie wszystko, czym chlebowca nie chciał zaprzętać sobie głowy.

- Nie wiem, jak poradziłbym sobie bez ciebie, Jack. Oszczędzasz mi całej tej nudnej roboty i nie muszę się już martwić, że ktoś tam mnie nie lubi,

- Nie lubi? - dziwił się nowy rządcą. - Ależ kapitanie, jest pan najbardziej lubianym dżentelmenem spośród wszystkich Brodricków. Rozmawiają z panem nawet ci z Doonhaven, którzy nigdy nie odzywali się ani do pańskiego brata, ani dziadka. Sam ojciec Healey powiedział kiedyś do Kate, że przynosi pan zaszczyt temu krajowi.

To doprawdy godne uwagi, że ksiądz, który za czasów dziadka nie doczekał się od Brodricków niczego poza chłodnym skinieniem głowy i którego noga nie powstała nawet w parku, dla nowego właściciela miał zawsze przyjazny uśmiech i pełen szacunku ukłon. Zdarzało się nawet, że pili razem herbatę w dusznej kuchni stróżówki. Rzeczywiście porządny z niego chłop, myślał Johnnie, wyciągając z kieszeni pięć funtów dla najbiedniejszych rodzin w parafii.

- Nigdy dotąd - mówił ojciec Healey, licząc starannie monety i chowając je do podniszczonej sakiewki - żaden Brodrick nie kiwnął nawet palcem, żeby pomóc dotkniętym nędzą owieczkom z mego stada. Dach kościoła niedługo zupełnie się zawali i skąd ja mam wziąć na remont?

Johnnie wspominał na swe konto w banku, ostatnio napećniałe dzięki miedzi z Hungry Hill, i wypisał stosowny czek.

- A nie mówiłem, ojcze, że z kapitana prawdziwy dżentelmen? - cieszył się Jack Donovan. Nie omieszkał przy tym zajrzeć księdzu przez ramię i sprawdzić sumy na czeku. - Jest prostoduszny jak dziecko i taki hojny! Kate, nalej wielebnemu ojcu następną szklaneczkę i oczywiście kapitanowi także.

- Nie, nie, moje dziecko - zaprotestował ksiądz, podnosząc rękę. - Muszę już iść. Z wielką radością widzę, że człowiek o pańskiej pozycji, kapitanie, tak dobrze się czuje w otoczeniu biedaków i nie oglądając się na honor, składa im wizyty.

- Zginąłbym marnie, gdyby Jack i Kate o mnie nie zadbali - odrzekł Johnnie z uśmiechem.

- A oni zginęliby bez pana. Proszę, ta oto Kate, kochane dziecko, które znam od urodzenia, o sercu tak niewinnym, jak w dniu chrztu, okazuje panu przywiązanie, jakiego próżno by szukać wśród możliwych tego świata. Byłoby straszne,

gdyby takie oddanie miało być odrzucone, a to niewinne serce nakarmione zdra-
dą.

Do czego on pije? - zastanawiał się Johnnie. Uścisnął jednak księdzu rękę i
zapewnił go, że póki żyje w Clonmere, ani Jackowi, ani jego siostrze niczego nie
zabraknie.

- Wierzę panu - rzekł ojciec Healey, otwierając ogromny parasol, by uchro-
nić swą przysadzistą postać od deszczu. - Dał pan już wobec mnie dowód swej
wspaniałomyślności, a teraz i to kochane dziecko, któremu po śmierci rodziców
został na świecie tylko brat, oddaje swój los w pańskie ręce.

To rzekłszy, opuścił stróżówkę, udając się do wioski.

- Ach, cóż to za święty człowiek - westchnął Jack Donovan, zerkając na sio-
strę. - Tyle serca okazuje Kate! Wolałby umrzeć niż widzieć, że zbłądziła, po-
dobnie zresztą jak ja. Powiadam panu, kapitanie, gdyby się zhańbiła, udusiłbym
ją własnymi rękami. Wiesz o tym, Kate, prawda?

- Wiem - odparła potulnie, nie odrywając wzroku od robótki.

- Są tacy, może mi pan wierzyć albo nie, którzy tylko czekają, by wykorzy-
stać niewinność młodej dziewczyny i zrobić sobie z niej zabawkę za plecami jej
brata. Wiedzą, że takie biedactwo jest naiwne jak nowo narodzone dziecko. Dla
mnie to obrzydliwe.

Johnnie wzruszył ramionami i dokończył whisky. Chyba Jack nie zamierza
udawać, że nie wie, co się działo pod jego dachem w ciągu ostatnich kilku mie-
sięcy? A co do jego siostry, to ze świecą by szukać kogoś mniej niewinnego niż
Kate na drugi dzień po rozpuszczeniu włosów.

- Przyjdź rano do zamku, Jack - rzekł krótko, wstając. - Phillips przyniósł mi
rachunek za mąkę i paszę dla bydła, nic z tego nie rozumiem.

- Nie zostanie pan na kolacji, kapitanie?

- Nie, raczej nie. Dobranoc, Kate.

W domu zastał list od Katherine, pełen wyrzutów, że zapomniał o East Grove
na tak wiele tygodni. Miała nadzieję, że odwiedzi ich w Nowy Rok, ale się nie
pokazał. Jego chrzestna córka Molly rozwija się znakomicie i Henry jest z niej
bardzo dumny. A skoro Johnnie nie zamierza przyjechać, to może oni złożąliby
mu wizytę? Czy jeśli Henry przywiezie strzelbę, znajdzie się dla niego na wyspie

jakiś bażant lub zajac? Jest u nich teraz jej brat Bill Eyre, on także by się z nimi wybrał.

List wprowadził Johnniego w skrajne zdenerwowanie. Dom wygląda haniebnie, absolutnie nie nadaje się dla Katherine. Jest zimno i niewygodnie, ona nie wytrzyma tu nawet jednego dnia. A jednak jak miło byłoby znów ją zobaczyć! Niechby posiedziała w salonie choć parę godzin...

Na kilka dni przed sobotą ogarnęła go furia porządków. Z całą energią zabrał się do przywracania domu do normalnego stanu. Skłął służbę od ostatnich i w ciągu godziny wymienił cały personel. Obszedł z dozorcą całą posiadłość i kazał zorganizować polowanie. Rozesłał zaproszenia do kilku znajomych - w tym do doktora Armstronga - żeby Henry lepiej się bawił.

- Niech się przekonają - mruknął do siebie - że stać mnie na takie samo przyjęcie, jak za czasów dziadka.

W dniu przyjazdu gości ranek był świeży i rześki. Johnnie wstał wcześniej niż w ciągu kilku ostatnich tygodni, zszedł aż do potoku i przyjrzał się ośnieżonemu wierzchołkowi Hungry Hill. Słońce przeglądało się w oknach zamku, drzwi były otwarte na oścież, a w jadalni na czysto nakrytym - po raz pierwszy od wielu miesięcy - stole czekał zimny lunch.

Znów powróciła duma, której przedsmak poznał jeszcze w dzieciństwie, kiedy tak bardzo zazdrościł dziadkowi Clonmere. Pokaże Katherine, że nie zasłużył na pogardę, że jest panem tego domu i siebie samego, a ona może zrozumie, dlaczego tak mu zależało, by na jej przyjęcie wszystko lśniło. Wszedł do środka, żeby wydać ostatnie instrukcje służbie, i dowiedział się, że w bibliotece czeka pan Donovan. Zmarszczył gniewnie brwi; wyraźnie dał do zrozumienia Jackowi i jego siostrze, że na czas wizyty mają być niewidzialni. Henry nie przepada za Donovanem, a ponieważ jest gościem, należy to uszanować.

- O co chodzi, Jack? Coś się stało?

Rządca był wyjątkowo poważny. Rude włosy świeciły mu się od tłuszczu i miał na sobie niedzielne ubranie.

- Kate jest bardzo smutna, kapitanie. Pyta, czy nie mógłby pan wymknąć się do nas chociaż na chwilę?

- Wykluczone - odparł Johnnie z irytacją. - Dobrze wiecie, że lada chwila spodziewam się pana Henry'ego z żoną i paru innych osób. Nie pokażę się u was, póki wszyscy nie wyjadą. Mój brat zamierza tu zostać przez kilka dni.

Jack Donovan sposepniał jeszcze bardziej.

- Ona bardzo źle to przyjmie. Prawdę rzekłszy, sam nie wiem, co mam z nią robić. Ostatniej nocy żadne z nas nie zmrużyło oka. Wciąż płacze i tak się zamartwia, że chciałem już posłać po doktora Arm-stronga. Dobrze, że tego nie zrobiłem, skoro będzie tutaj dziś na polowaniu.

- Więc o co chodzi, do diabła? - Johnnie zerknął niecierpliwie na zegarek. - Moi goście zaraz tu będą.

Jack zakaszłał i przesunął czapkę po krawędzi biurka.

- Dzisiejsze kobiety nabijają sobie głowy różnymi głupstwami, kapitanie. Ona w ogóle nie chce mnie słuchać. „Zabiję się - powiada -skoczę do potoku, jeśli on teraz odwróci się do mnie plecami”. Więc jej mówię: „Cicho, Kate, kapitan jest naszym przyjacielem, nie potraktuje szanowanej młodej kobiety jak jakiejś nieszczęsnej dziewczki z ulicy. Możesz być pewna, że załatwi wszystko, jak się należy, zanim skandal rozniesie się na cały kraj. No bo czy inaczej mógłby spojrzeć jakimukolwiek dżentelmenowi w twarz?”.

Johnnie rąbnął pięścią w stół.

- Jack, do czego ty pijesz, na Boga? I co właściwie naszło Kate, że się tak dziwnie zachowuje?

- Ależ kapitanie - odparł agent, otwierając szeroko oczy ze zdumienia. - Czyżby pan nie wiedział, że Kate jest... no, przy nadziei, i to już od dwóch miesięcy?

Dziedzic Clonmere obrzucił go ciężkim spojrzeniem. Czuł w głowie istny mętlik.

- Pierwszy raz o tym słyszę.

Jack wciąż pocierał czapkę o biurko.

- Biedaczka jest tak rozkojarzona, że ledwie zdaje sobie sprawę, co się z nią dzieje. Teraz siedzi przy niej wielebny ojciec, modli się za nią, ale po mojemu, Kate się nie uspokoi, póki nie zobaczy się z panem.

- Nie mogę do niej pójść, to wykluczone - rzekł Johnnie, chodząc tam i z powrotem po pokoju w wielkim wzburzeniu. - Musisz jej wytłumaczyć, przecież doskonale wie, że czekam na gości. Czy w ogóle jest pewna swego stanu? Skąd... skąd wie o całej sprawie?

- Oczywiście, nasza stara ciocia z Doonhaven wszystko jej wyjaśniła. Powiadam panu, kapitanie, wystarczy tego, by złamać człowiekowi serce! Oto moja własna siostra oddaje się panu, nie myśląc o konsekwencjach, i jeszcze gotowa się zabić, jeśli nie znajdzie się jakieś honorowe wyjście!

Na podjeździe zachrząściły koła. Johnnie wyrzął przez okno i zobaczył powóz swego brata.

- Słuchaj, Jack - rzekł z desperacją - teraz nie mam do tego głowy. Wyjdź tylnymi drzwiami i nie pokazuj się, póki po ciebie nie przy- ślę. Na miłość boską, zabieraj się stąd, człowieku!

Wyciągnął z kieszeni płaszcza butelkę, wypił całą zawartość, i wyszedł powitać gości. Serce waliło mu jak młotem i wszystko się w nim trzęsło ze złości.

- Kochany Johnnie! - wykrzyknęła Katherine, wysiadając z powozu i podając mu obie ręce. Jej piękna, pełna spokoju twarz przypominała Madonnę. Co za kontrast z rumianą, rozczochraną dziewczyną ze stróżówki!

- Dobrze się czujesz, stary? - spytał Henry. - Coś nieszczęśliwie wyglądasz.

- Nic mi nie jest. A ty jak się miewasz? O, jest i Bill. Macie strzelby, oczywiście? To dobrze. A gdzie doktor? Spodziewam się jeszcze kilku panów. Może od razu pójdziemy do lasu? Chociaż nie, najpierw chcę pokazać Katherine jej pokój.

Sam już nie wiedział, co mówi. Zachowywał się tak nerwowo, że Henry i Bill wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

- Nie kłopotz się o mnie, Johnnie - prosiła Katherine. - Świetnie sobie poradzę, możecie śmiało ruszać na polowanie.

- Do diabła z polowaniem! Dla mnie najważniejsza jest twoja wygoda. - I szarpnął sznur dzwonka tak mocno, że pękł.

- Najlepiej ją zostawmy, niech robi, co jej się podoba - wtrącił się Henry. - O, idzie wuj William i reszta, jest też Phillips z naganiaczami. Chodź, stary, przyda ci się łyk świeżego powietrza.

Wszystko szło fatalnie. Zupełnie nie tak zaplanował ten dzień. Katherine zostanie teraz sama, zamiast pójść razem z nimi, poza tym wyraźnie kazał temu durniowi Phillipsowi czekać koło farmy, gdzie mieli rozpocząć polowanie, a nie pchać się na frontowy trawnik razem z tą zgrają obszarpańców, którzy wyglądali tak, jakby dopiero co szukali szczurów w kurniku.

Mocny alkohol wypity po rozmowie z Jackiem oraz tłumione podniecenie, wywołane obecnością Katherine, sprawiły, że Johnnie zupełnie przestał się hamować. Zaczął krzyczeć i wściekać się na dozorcę, który z nieznanых powodów przyszedł w starych, pocerowanych portkach z łąką na siedzeniu i wyglądał jak strach na wróble, zamiast włożyć nowiutkie sztruksowe spodnie, które Johnnie zamówił specjalnie na tę okazję.

- Do licha, tego już za wiele! Są jakieś granice nieposłuszeństwa! -I ledwie wiedząc, co robi, wypalił z dubeltówki prosto w siedzenie nieszczęśnika.

Dozorca upadł na twarz z okrzykiem bólu, a półprzytomny Johnnie patrzył, jak jego chrzestny ojciec i Bill Eyre pędzą na pomoc rannemu. Henry ujął brata pod ramię i zaprowadził go do zamku.

- Nie sądzę, by rana była groźna - tłumaczył - ale w tych okolicznościach lepiej zostać w domu, a ja poprowadzę polowanie. Oczywiście jeśli nie uznamy, że trzeba je odwołać.

Cała ta afera była tak niespodziewana i mimo wszystko tak komiczna, że Henry nie wiedział, czy śmiać się, czy gniewać. Przeraził go jednak tragiczny wyraz twarzy brata; wołał nie zostawiać go teraz samego.

- Poproszę Katherine, ona dotrzyma ci towarzystwa - rzekł, kierując się w stronę schodów.

- Nie - zaprotestował Johnnie. - Nie...

Czuł się zmęczony, niemal chory. Okropnie mu było wstyd, że zrobił z siebie takie przedstawienie, ale za nic nie chciał, by doszło to do uszu Katherine. Wyjął z kieszeni dwa suwereny i podał bratu.

- Masz, zapłać temu kmiotkowi. Powiedz mu, że bardzo żałuję, a potem ruszajcie na polowanie i bawcie się dobrze, jeśli potraficie.

Ja chyba rzeczywiście zostanę. Nawet jeśli nic wielkiego się nie stało, to i tak popsulem cały dzień.

Teraz, kiedy już wyrzucił z siebie tę absurdalną złość, poczuł się wyczerpany; chciał o wszystkim zapomnieć. Zamknął się w bibliotece, usiadł na twardym krześle dziadka i ukrył twarz w dłoniach. Słyszał na górze lekkie kroki Katherine, rozpakowującej bagaże, a potem odgłos strzałów w lesie. W domu panowała cisza i spokój.

Nagle przypomniał sobie duszną kuchnię stróżówki, krucyfiks i różaniec na ścianie, Donovanow i ojca Healeya. Przykra, zawstydzająca sytuacja, w jakiej się znalazł, napełniła go rozpaczą i bezsensownym gniewem. Miał przed oczami rodzinę zebraną w stróżówce, starą ciotkę, wypytującą dziewczynę, ojca Healeya z różańcem dyndającym na opasłym brzuchu, mamroczącego pacierze nad rozhisteryzowaną Kate. Na samą myśl o dotknięciu jej robiło mu się niedobrze. Co za upokorzenie, co za hańba! Ze też godziny spędzone w zamroczeniu alkoholowym z dziewczyną, która nic go nie obchodziła, musiały zaowocować takimi konsekwencjami! Znów usłyszał kroki Katherine i jej cichy głos, wydający polecenia pokojówce. Przypomniała mu się ostatnia wizyta w East Grove, kiedy to Henry wyznał mu z dumą, że przed Bożym Narodzeniem spodziewają się dziecka. Jakież był czuły wobec żony, jak się nią opiekował, jak pilnował, by się nie przemęczała! Na widok tej wzajemnej bliskości Johnniemu ścisnęło się serce. Zazdrościł bratu owego spokojnego, beztroskiego życia, niezakłóconych niczym miesiący wspólnego oczekiwania na dziecko, wreszcie dumy i radości, kiedy córeczka pojawiła się na świecie. A teraz na drugim końcu podjazdu, w stróżówce, znajdowała się kobieta w takim samym stanie, jak Katherine przed rokiem, i to za jego, Johnniego sprawą. Na myśl o tym cały się trząsnął, a dziewczyny nie chciał już nigdy widzieć.

Ileż to razy przedtem zdarzały się takie wypadki, choćby i w jego rodzinie. O pradziadku opowiadano, że w całej okolicy miał synów. Może wcale się tym nie przejmował. Może jadąc przez wieś konno, rzucał monety małym, ciemnowłosym żebrakom, nie wiedząc, że sam ich sprowadził na świat, i nie poświęcając im ani jednej myśli. Johnnie jednak nie mógłby tak żyć. Nie mógłby mieszkać w Clonmere ze świadomością, że gdzieś w miasteczku ukrywa się w sklepie brata niechlujna, brzydka Kate, że dziecko, w którego żyłach płynie krew Brodricków, mówi do Jacka Donovan a „wujku”.

Boże, jakież nikczemne, pozbawione radości było jego życie! Czy nie ma żadnego wyjścia? Żadnego sposobu, by skończyć z tą całą sprawą? Spojrzał na opartą o ścianę strzelbę. Tak, to zawsze można zrobić. Ale co będzie, jeśli się nie uda? Przypuśćmy, że tylko narobi zamieszania - na przykład odstrzeli sobie pół twarzy i nadal będzie żył? Przesunął ręką po lufie. Może jednak nie chybi? Tylko że, prawdę rzekłszy, brakuje mu odwagi. Najpierw trzeba by zagłuszyć strach odpowiednią dawką whisky. Otworzył dużą szufladę i wyciągnął butelkę. Nie wiele w niej było - za mało, by się porządnie zaprawić. Mimo to odkorkował ją i wtedy w drzwiach stanęła Katherine. Zatrzymała się w progu, on zaś patrzył na nią z głupim uśmiechem i butelką w ręce.

- Przepraszam, Johnnie, przyszedłam tylko po książkę. Myślałam, że jesteś na polowaniu z resztą panów.

Odwróciła się taktownie; zupełnie jakby przyłapała go w kąpieli. Johnnie odłożył butelkę z powrotem do szuflady i zatrzasnął wieko biurka.

- Proszę cię... Nie odchodź. J-ja... chciałbym z tobą pomówić. Zwróciła na niego poważne, życzliwe oczy. Ciekawe, co o mnie myśli, zastanawiał się Johnnie.

- Cały dzień na nic - rzekł. - Jak zwykle, z mojej winy. Tamci poszli polować beze mnie.

Podeszła bliżej i położyła mu rękę na ramieniu.

- Co się nie udało, Johnnie? Czy mogę ci jakoś pomóc?

Pomóc... Stała tak blisko. Wystarczyłby jeden ruch - i byłaby w jego ramionach. Katherine, niedostępna, daleka Katherine z twarzą Madonny i kojącymi, łagodnymi dłońmi...

Odwrócił się gwałtownie.

- Nie - odparł szorstko. - Nie możesz. Z jakiej racji? Nikt nie może mi pomóc. Czemu nie pójdziesz do Henry'ego i swego brata?

Nie poruszyła się nawet. Stała, nie odrywając od niego wzroku.

- Jesteś nieszczęśliwy. A kiedy ktoś ma zmartwienie, często popełnia głupstwa.

Zauważył, że zerknęła na szufladę, a potem na strzelbę.

- Więc co z tego? - burknął. - Czy nie prościej byłoby skończyć ze sobą? Nikogo by to nie obeszło.

- Mylisz się, Johnnie. Wielu ludziom na tobie zależy. Na przykład twojej matce, Henry'emu i pozostałym braciom, Fanny... I wszystkim przyjaciółom.

- Nie mam przyjaciół.

- A ja?

Przez chwilę nie odpowiadał. Katherine jego przyjaciółką?

- Ty masz Henry'ego, dziecko, dom. Czemu miałabyś zaprzętać sobie głowę kimś takim jak ja? Nie jestem tego wart.

- Nie kocha się ludzi za to, ile są warci, tylko dla nich samych. Co miała na myśli? Czy przez słowo „kochać” rozumie litość? Czy rozmawiała o nim z Henrym? Czy ustalili, że „coś trzeba z nim zrobić”?

- Jeśli myślisz, że pozwolę ci się teraz nawrócić, to tracisz czas. Podeszła do okna i spojrzała na ogród.

- To mógłby być taki szczęśliwy, spokojny dom - zauważyła. -Gdybyś tylko nie napełniał go swymi złymi, ponurymi myślami...

- Byłby szczęśliwy i spokojny, gdybyś mieszkała w nim stale, a nie tylko przez parę dni.

- Chcesz powiedzieć - odrzekła z uśmiechem - że moje radosne myśli rozproszyłyby te twoje ponure? Nie wiem, czy miałyby dość siły.

Stała, zwrócona profilem do okna. Tak właśnie kazałbym ją malować, gdyby była moja, myślał Johnnie. Z zarzutką na ramionach i nisko upiętymi włosami.

- Tak czy inaczej, kiedyś zamieszkacie tu z Henrym. Po mojej śmierci, A w jadalni obok portretów ciotki Jane i nas jako dzieci zawiesznie twój. Może wtedy wróci tu spokój, który zniszczyłem.

Patrzyła na niego z powagą, on zaś miał ochotę klęknąć i ukryć twarz w fałdach jej sukni.

- Możesz się przecież ożenić, Johnnie - zauważyła. -I mieć dzieci. Te słowa przywróciły go do rzeczywistości. Znów stanęła mu przed oczami stróżówka, a w niej ksiądz i zapłakana Kate.

- Nigdy! - rzekł z mocą. - Nigdy, przysięgam.

Groza sytuacji dosięgła go znowu ze wzmożoną siłą. Zaczął chodzić nerwowo tam i z powrotem, przesuwając ręką po włosach.

- Będę musiał wyjechać z Clonmere - oświadczył. - Nie mogę tu zostać po tym, co się stało.

- A co się takiego stało?

Zaczerwienił się i umilkł, gdyż uświadomił sobie, że powiedział za dużo. Cóż ona sobie pomyśli, jeśli się dowie, co robił w ciągu ostatnich miesięcy? Jak sta-

czał się stopniowo, by w końcu osiągnąć dno poniżenia? Będzie przerażona, zbulwersowana...

- Jeśli zrobiłeś coś, czego teraz się wstydzisz, czemu nie poprosisz o pomoc Boga?

Popatrzył na nią bezradnie.

- Katherine, Bóg nie ma głowy do takich, jak ja. Gdyby miał, nie tkwiłbym teraz w takim bagnie.

Nagle zrozumiał bez cienia wątpliwości, jak wielka przepaść ich dzieli. I nigdy nie uda się jej przekroczyć, a to z powodu tych wszystkich lat pełnych błędów, zła, pobłażania sobie. Widział teraz z całą wyrazistością, że jej życie układało się według zupełnie odmiennego wzoru - było ciche, spokojne, beztrudne, pełne wiary w Boga, ponieważ ona też była dobra, wolna od pokus i ciężkich prób. Powiedziała mu z całą prostotą, że pewnego dnia się ożeni, nie mając pojęcia, że to ona jest jedyną kobietą, którą mógłby nazwać żoną, i tylko z nią pragnąłby mieć dzieci. Czy poprosi Boga o pomoc? Tak, jeśli Katherine nauczy go, jak się modlić. Gdyby klękała przy nim co wieczór, gdyby była panią na Clonmere, jego żoną, jego ukochaną, wówczas rzeczywiście zapanowałyby w domu spokój, pobożność i radość. Czy ma jej o tym powiedzieć? Czy ma postawić wszystko na jedną kartę i wyznać jej miłość, a także swe upodlenie i hańbę?

- Katherine... - zaczął, idąc ku niej z wyciągniętymi rękami i błagalnym spojrzeniem, lecz nagle zobaczył w jej oczach błysk zrozumienia. Zbladła i oparła się o ścianę.

- Ależ, Johnnie...

W tej chwili pod oknem zachrząściły na żwirze kroki, a zaraz potem rozległ się wesoły głos Henry'ego, nawołujący żonę. Katherine odwróciła się bez słowa i wyszła z biblioteki. Johnnie patrzył nieruchomym wzrokiem na miejsce, w którym przed chwilą stała.

Johnnie siedział w kabinie „Księżniczki Wiktorii” w porcie Słane i czekał na podniesienie kotwicy. Służący wsunął kufry i inne bagaże pod koję, a sam udał się do swojej kwatery. Statek lekko się kołysał, przez otwarty iluminator dobiegało niekiedy żalosne buczenie syren innych jednostek. Z pokładu słychać było tupot nóg i gwizdy, w ciemności migotały światła Słane. Przeciąg z iluminatora poruszał płaszczem wiszącym na drzwiach. Lżejsza walizka, postawiona przez służącego na krześle, zsuwała się stopniowo na podłogę. Na nalepce napisano: *Kapitan Brodrick. Port docelowy - Londyn.* A co potem? Johnnie wzruszył ramionami. Londyn i jeszcze dalej...

Miał tylko mgliste wspomnienia z ostatnich kilku tygodni i niezbyt dokładnie pamiętał, jak w ogóle trafił na „Księżniczkę Wiktorię”. Napisał mnóstwo listów - tego jednego był pewien. Siedział przy biurku dziadka w Clonmere i pisał do wszystkich znajomych i krewnych z prośbą o przebaczenie. Dlaczego? Nie wiedział, nie pamiętał, dość, że listy zostały wysłane. Zresztą miał przed sobą niektóre odpowiedzi. Syrena znów zahuczała - żałośnie, nagłaco. Johnnie zamknął iluminator i sięgnął do kieszeni płaszcza po flaszkę. Pięć godzin do północy... A potem żegnaj, Słane, żegnaj kraju mgły i łez! Jaka przyszłość go czeka i gdzie ostatecznie wyląduje - tylko Najwyższy może to wiedzieć.

Wziął na chybił trafił jeden list - od Billa Eyre, pisany na plebanii w East Ferry.

Drogi Johnnie,

Dziękuję z całego serca za Twój tak miły i przemyślany list. Zbyt głęboko odczuwam własne słabości, grzechy i błędy, żebym nie miał Ci współczuć i modlić się za Ciebie, który jesteś teraz wystawiony na tak wielką pokusę. Odkąd opuściłem Twój dom, każdego dnia błagam Ducha Świętego, aby Cię natchnął i prowadził. Bóg nie dopuści, abym miał kiedy zaniedbać tych modlitw. Teraz zaś, mój drogi Johnnie, nie sądzę, bym pozwalał sobie zbyt wiele, zaklinając Cię na litość Boga, na Twą nieśmiertelną duszę, na wszystkie Twe nadzieje na przyszłość, na wszystko, co dla Ciebie święte, abys powstrzymał swą duszę i ciało od zniszczenia (czyli picia). Ach, drogi Johnnie, jakże drzę na myśl, że jakieś nieszczęście mogłoby Cię doprowadzić do przedwczesnej i haniebnej śmierci! Żadne słowo nie wypowie, jak bolałem nad Twą rodziną

podczas ostatniej wizyty w Clonmere. Widziałem, jak nieubłagannie staczasz się ku końcowi zbyt okropnemu, by nawet o nim myśleć, widziałem, w jak straszliwym napięciu żyjesz. Jestem przekonany, że nie obrazisz się za te słowa. Polecam Cię, drogi Johnnie, opiece Twe-go Ojca w niebiesiech i raz jeszcze błagam Go, by okazał Ci łaskę. Twój kochający szwagier

Bill Eyre

Johnnie odrzucił list na bok i wyciągnął następny - od Henry'ego.

Mój drogi Johnnie,

Miałem długą rozmowę z wujem Williem Armstrongiem o Tobie i sprawach w Doonhaven. Być może ta kobieta wyjedzie do Ameryki, jeśli pozwolą jej Jack Donovan i ojciec Healey. Obawiam się jednak, że ci dwaj prowadzą bardzo poważną grę. Chcą, abys ją poślubił, przeszedł na katolicyzm i oddał posiadłość w ich ręce. Możesz gniewać się, że to piszę, a także za to, że proszę Cię jak brat i przyjaciel, abys kazał Donovanom opuścić stróżówkę. Chciałbym, żeby Jack wyjechał z kraju, a jeśli nie, żeby trzymał się od Ciebie jak najdalej. Proszę i błagam, byś przestał pić - wtedy wszystko się ułoży. Bóg obdarzył Cię wieloma zdolnościami, nie wolno Ci ich trwonić. Porzuć, bracie, nałóg, a uszczęśliwisz i siebie, i swoich - wcale nie tak nielicznych - przyjaciół...

I tak dalej w tym stylu. Wziął trzeci list, tym razem od chrzestnego ojca.

Widziałem się z Kate Donovan - za kilka miesięcy chce wyjechać z kraju. Nie widać po niej żadnych oznak wiadomego stanu. Donovan gotów jest zgodzić się na każdą ugodę, jaką zaproponujesz jego siostrze. Sugeruję następujące kroki: oni wyjadą z Doonhaven, ty zaś upoważnisz mnie albo Henry'ego do opłacenia im kosztów podróży, dokąd tylko zechcą. Kiedy się dowiem, że przybyli do miejsca przeznaczenia, ja albo Henry w porozumieniu z Tobą ustalimy, co można dla nich zrobić. Moje racje są oczywiste i chyba nie muszę o nich pisać, sam potrafisz docenić roztropność usunięcia ze sceny obydwu stron skandalu. Szczególnie Twoja

nieobecność może się przyczynić do zawarcia ugody, toteż z każdą godziną utwierdzam się w przekonaniu, że powinieneś przez jakiś czas trzymać się z daleka. Zaufaj mi, drogi Johnnie.

Zawsze Twój - William Armstrong

Ależ muszą się w duchu cieszyć, że się go pozbyli! I w jakim pięknym, szlachetnym stylu schodzi ze sceny - ucieka niczym szczur przed odpowiedzialnością, zostawiając innym cały bałagan do uprzątnięcia. Prawdziwy bohater z tego kapitana Johna Bro-dricka, dawnego pana na Clonmere! O, a tu istna perełka, kartka od ciotki Elizy:

Mój drogi Johnnie,

Nie unieszczęśliwiał mnie, mówiąc, że jest między nami coś, co powinnam Ci wybaczyć. Zapewniam Cię z całą powagą, że nic na ziemi nie dałoby mi większej rozkoszy niż przyczynienie się w jakikolwiek sposób do Twego szczęścia. Podejrzewam, że napisałeś do mnie, ponieważ zaangażowałeś się uczuciowo, więc mogę tylko życzyć Twej wybrance, kimkolwiek jest, by dla dobra wszystkich odwzajemniła Twą miłość. Nie wiem, jak mam Ci dziękować za prezent w postaci 100 funtów, a także za pożyczkę 200 funtów, którą otrzymałam wcześniej. Zawsze uważałam Cię za najmilszego i najbardziej godnego szacunku ze wszystkich moich brataników, a im dłużej żyję, tym mocniej utwierdzam się w tym przekonaniu.

Serdeczności i szczerze podziękowania za Twą dobroć od kochającej ciotki Elizy

Śmiechu warte: najmilszy i najbardziej godny szacunku ze wszystkich brataników... Johnnie wziął cały plik listów i rzucił je w kąt kabiny. Wtem ktoś zapukał do drzwi.

- Jeśli chciałby pan rozprostować nogi na lądzie, to właśnie odpływa ostatnia szalupa - zawołał steward. - Tuż po jedenastej ma przywieźć pilota, więc będzie pan mógł z nim wrócić.

Johnnie obrzucił wzrokiem pustą, obskurną kabinę, która przez najbliższe dwie doby miała być jego domem.

- Dziękuję! - odkrzyknął. - Chętnie skorzystam.

Zza wody mrugały światła Slane. Johnnie z rękami w kieszeniach płaszcza rozmyślał o jedynym liście, którego nie napisał, więc nie doczekał się także odpowiedzi.

Co mógłby jej napisać, skoro wszystko najlepiej wyraża milczenie? Od tamtego ranka, kiedy spojrział na nią w bibliotece, ona zaś uciekła, ponieważ zrozumiała, co mówił jego wzrok, ani przez chwilę nie byli sami. Minął dzień, potem noc - i nic nie zostało powiedziane, rano zaś wszyscy goście wyjechali. Słowa, które pragnął jej powiedzieć, nie padły, pomoc, o którą tak bardzo chciał prosić, nigdy już nie nadejdzie.

Kapitan John Brodrick. Port docelowy: Londyn.

Stojąc na nabrzeżu, zastanawiał się, czy Katherine siedzi teraz w swym salonie w East Grove. Może gra na fortepianie, a Henry słucha jej w fotelu przy ogniu. Zaczął iść przed siebie, nie zważając na kierunek. Rozpychał się wśród przechodniów, jak to miał zawsze w zwyczaju, aż zupełnie bezwiednie zawędrował przed jej dom. Okna były zasłonięte, a zza okiennic przebłyskiwało światło. Stał długo, z rękami w kieszeniach, zapatrzony w drzwi. Ulicą przejechała dorożka, z oddali dobiegały odgłosy statków na rzece - gwizdy, bicie dzwonu. Podszedł do drzwi i zastukał kołatką. Po chwili w progu stanął Thomas. Przyglądał się Johnniemu, daremnie starając się przeniknąć ciemności.

- Pani Brodrick w domu?

Thomas drgnął i otworzył szerzej drzwi.

- Nie widziałem pana - rzekł przepaszająco. - Nie, państwo wyszli na obiad.

- Mniejsza o to, nieważne.

- Zechce pan wejść i poczekać? Mogą wrócić dopiero po dziesiątej. W salonie pali się ogień.

Johnnie się zawahał. Nawet tu, w progu, czuł spokój tego domu, jego ciepło i życzliwość.

- Może rzeczywiście zaczekam.

Służący wprowadził go do salonu i wycofał się, zamknawszy drzwi. Przedtem jednak pozapalał lampy i szturchnął pogrzebaczem żar. Johnnie rozsiadł się w fotelu Henry'ego. Naprzeciwko stał drugi, w którym Katherine siedziała przed wyjściem, na co wskazywało wgniecenie na perkalowym pokrowcu. Obok, na niskim stołeczku, leżała jej robótka i książka. W kącie fotela zobaczył owieczkę z białej włóczki. Pewnie Katherine trzymała na kolanach Molly i pokazywała jej zabawkę, podczas gdy Henry obserwował je obie, siedząc tam, gdzie teraz Johnnie. Potem weszła piastunka i zabrała małą do łóżeczka. Katherine przeniosła się na stół, żeby być bliżej ognia, wzięła do rąk robótkę i wypytywała męża, jak mu minął dzień. Potem razem udali się na górę, by się przebrać do obiadu. Henry trochę ponarzekał, że muszą wyjść, ale w gruncie rzeczy był zadowolony - zawsze dobrze się czuł wśród ludzi.

Katherine pewnie włożyła tę białą suknię, którą miała w Clonmere. Przed wyjściem zajrzała do salonu, żeby sprawdzić, czy lampy są zgaszone i czy założono ekran na kominek. Miał ją przed oczami tam, w drzwiach. Światło z hallu połyskiwało na jej włosach, na ramiona narzuciła płaszcz.... Coś tu po sobie zostawiła: jakąś nieuchwytną woń, odrobinę owego błogiego spokoju, który ogarnął siedzącego w cudzym fotelu Johnniego... Ale po cóż miał tu dłużej siedzieć? Musi odejść, dostać się na statek, a potem za wodę i nie wracać - może przez długie miesiące, a może lata. Nie było sensu przebywać w domu, który do niego nie należał.

Wstał i ostatni raz rzucił okiem na jej fortepian, klawisze, na których kładła palce. Podeszedł do biurka, dostrzegł panujący tam porządek - stosik gładkiego, białego papieru, czerwone pióro. Chciał zabrać ze sobą jakąś jej rzecz i wiedziony nagłym impulsem wziął z wierzchu czarny, oprawny w skórę tomik - Nowy Testament. Wsunął książkę do kieszeni, wyszedł do pustego hallu i zabrał z krzesła swój płaszcz oraz kapelusz. Thomas siedział w kuchni, w kącie tykał szafkowy zegar. Była za pięć dziewiąta, za dwie godziny łódź z pilotem musi wrócić na statek. Johnnie otworzył frontowe drzwi i rozejrzał się po opustoszałej ulicy. Są jeszcze w Slane miejsca, gdzie można znaleźć ciepło i pociechę, zapomnieć o wstrętnej, ciemnej kabinie na „Księżniczce Wiktorii” i nieubłaganej ostateczności nalepek na bagażu: *Kapitan John Brodrick. Port docelowy: Londyn*. Słaby powiew wiatru z ulicy zatrzasnął za nim drzwi domu Henry'ego. Żegnaj, Slane, żegnaj rodzinny kraju! Johnnie zaśmiał się, bo raz jeszcze przypomniał sobie list ciotki Elizy, po czym postawił kołnierz, nacisnął kapelusz na czoło i ruszył w stronę miasta.

Dwa dni później, kiedy Henry i Katherine siedzieli przy śniadaniu, zjawiała się policja. Inspektor życzył sobie rozmawiać na osobności z panem Brodrickiem. Henry wyszedł za nim do hallu, zostawiając Katherine w jadalni.

- Jest pan krewnym kapitana Brodricka, prawda?

- To mój brat. O co chodzi?

Inspektor wyjaśnił krótko, co się wydarzyło. Poszli razem przez wąskie i ciemne zaułki Slane do pewnego szarego, obskurnego domku z koralikowymi zasłonami w oknach. W sieni czekała na nich przerażona kobieta.

- To nie moja wina - zaczęła się tłumaczyć. - W tym domu nigdy nic podobnego się nie wydarzyło, przecież pan wie, panie Sweeny. Nie może pan ściągać na mnie kłopotów!

Mówiła piskliwym, nerwowym głosem i inspektor kazał jej być cicho. Prowadził Henry'ego na górę, wyjął z kieszeni klucz i otworzył drzwi sypialni. W pokoju panował bałagan. W jednym kącie leżały buty Johnniego, w drugim ubranie. Pośrodku podłogi stała piramida z sześciu butelek po whisky, szyjka najwyższej obwiązana była czerwoną podwiązką z tandetnego jedwabiu. Na pół ubrany Johnnie leżał na łóżku. Po śmierci wyglądał znacznie spokojniej niż kiedykolwiek za życia - gniewna, pełna pretensji dp świata mina znikła na zawsze. Oczy miał zamknięte, jakby spał, gęste, czarne włosy zwichrzone niczym u małego chłopca.

W jednej ręce ścisnął pustą butelkę, w drugiej - Nowy Testament.

KSIEGA CZWARTA

Henry

1858-1874

TLR

Znowu nastala zima i wierzchołek Hungry Hill bielil się od śniegu. Słońce mocno świeciło, w powietrzu wyczuwało się jakąś lekkość i świeżość, jakby stara, wilgotna melancholia jesieni miała już nigdy nie powrócić. Ten nowy, przenikliwy chłód bardziej kojarzył się z wiosną, choć zeschnięte liście w parku chrzęściły pod nogami, skurczone od mrozu. Nagie drzewa wyciągały ku błękitnemu niebu czarne konary, a niska murawa przed zamkiem lśniła w słońcu jak posypana srebrem. Potok przybierał szybko, burząc się i marszcząc od fali przypiływu, z kominów zamkowych zaś biła prosto w niebo cienka smuga dymu.

Tim zajechał powozem przed frontowe drzwi. Zsiadł z kozła i przytupywał, chuchając w zmarznięte ręce. Jak w każdą niedzielę, miał zawieźć pana Henry'ego z żoną do kościołka w Ardmore. Przyjemnie pomyśleć, że życie w starej siedzibie znowu wróciło do normy, zupełnie jakby starszy pan i jego dzieci - pierwszy panicz Henry, panicz John, panienki Barbara i Jane - nagle ożyli, choć niektórzy z nich leżeli w grobach od trzydziestu lat. Czas płynął szybko i Tim, który niedługo miał skończyć sześćdziesiąt lat, często przyłapywał się na tym, że wraca myślą do owych dawnych dni, kiedy jako parobek zaczynał pracę u starego Bairda. Niekiedy nowe pokolenie mieszało mu się w pamięci ze starym. Zdarzało się, że kręcąc z naganą głową, przestrzegał „panicza Henry'ego” przed chłodem, „bo znowu zacznie kaszleć”; wyraźnie mylił bratanka z nieżyjącym od trzydziestu lat stryjem.

O, już wychodzi pan Henry, ubrany do kościoła, z cylindrem w ręku, w rękawiczkach i z laską - podobny kropka w kropkę do swego stryja. Nawet w ruchach go przypominał - tak samo się śmiał, tak samo klepał Tima po plecach. A kiedy wyruszał z rządcą na obchód posiadłości, zakładał ręce do tyłu: wypisz, wymaluj starszy pan. Jak on, jeździł codziennie do kopalń, a raz w tygodniu do Slane, i ten powrót do starej rutyny po latach zaniedbania i bałaganu sprawiał staremu stangretowi ogromną radość.

Żona pana Henry'ego w niczym nie przypominała jego matki, starszej pani Brodrick. Nie patrzyła na wszystkich z góry, nie wybuchała złością, nie doprowadzała służby do rozpaczonych sprzecznymi poleceniami. Zachowywała się spokojnie, nie stawiała absurdalnych żądań, wszystko potrafiła rozsądnie wytłumaczyć,

a jednocześnie wiedziała, czego chce, i umiała trzymać w ryzach te głupie dzierlatki z kuchni.

Tak więc na zapleczu, gdzie przez całe lata słyszało się same kłótnie i narzekania, znów zapanował porządek. O tak, rękę nowej pani widać było w każdym pokoju, dzięki niej zamek od razu pojaśniał.

- Można by rzec - zauważyła kucharka - że ona ma uzdrawiającą moc.

Zniknęły pokłady kurzu, śmieci i wieczny bałagan, na które Fan-ny-Rosa nie zwracała uwagi, a także chłodny dyskomfort i nędza z czasów Szalonego Johniego. Pokoje zostały wysprzątane i wywietrzone, na kominkach płonął ogień, w domu pojawiły się znowu owoce i kwiaty. Trawniki przystrzyżono, ścieżki wygracowano, przetrzebiono rozrośnięte chaszczki, słowem, wszystko wyglądało jak za rządów panienki Barbary i jej ojca.

Nowa pani stała teraz w progu obok pana. Zdaniem Tima tworzyli najpiękniejszą parę w kraju. Pani była niemal tak wysoka, jak pan, miała na ramionach ciepłą pelerynę, spod kapelusza połyskiwały gładko zaczesane włosy - doprawdy, istna królowa.

- Jak stoimy z czasem, Timie? - spytał pan Henry.

- Mamy jeszcze dobry kwadrans - odparł stangret, otwierając drzwiczki powozu.

Pan Henry przywiązywał dużą wagę do punktualności, zupełnie jak jego dziadek. Spóźnienie do kościoła u niego także nie wchodziło w rachubę, ale zachowywał się o wiele uprzejmiej.

Pani sadowiła się właśnie w powozie, pan otulał jej nogi pledem, a robił to z taką czułością, że Tim przypominał sobie, co mówiono w kuchni - że podobno za kilka miesięcy spodziewane jest drugie dziecko. Tymczasem w progu stała piastunka z malutką panienką Molly w ramionach. Dziecko machało rodzicom na pożegnanie pulchną rączką. Wreszcie Tim wdrapał się na kozioł, wziął do rąk lejce i powóz ruszył. Minął łukiem pas rododendronów, potem przy potoku zatoczył koło i zniknął w lesie.

Henry trzymał Katherine za rękę pod pledem i po raz setny zastanawiał się, o czym też żona myśli. Taka wydawała się nieobecna, daleka, jej spokojna powściągliwość tak bardzo odbiegała od jego impulsywnego sposobu bycia.

- Ciepło ci? - pytał nerwowo, zaglądając jej w twarz. - Jesteś pewna, że możesz jechać?

- Ależ oczywiście - odrzekła z uśmiechem, od którego ciepło rozlało mu się w sercu. - Czuję się bardzo dobrze. Nie mogłabym opuścić cotygodniowej przejażdżki do Ardmore, przecież wiesz.

Oparł się wygodnie, znacznie uspokojony. Wujek Willie Armstrong kazał mu na nią uważać.

- Twoja matka - mówił - wydała na świat wszystkie dzieci bez najmniejszych kłopotów. Miała w sobie krzepę Simona Flowera. Ale ty, jeśli zamierzasz mieć dużą rodzinę, nie powinienes się śpieszyć. Katherine jest o wiele delikatniejszą roślinką niż Fanny-Rosa.

No i proszę - Molly ledwie kończyła roczek, a następne maleństwo już było w drodze. Ale wujek Willie zawsze lubił pogderać... Henry wyjrzał przez okno. Drzewa w końcu parku, tuż przy drodze, wyglądały dość marnie po jesiennym przycinaniu gałęzi, ale na pewno wyjdzie im to na dobre, po dwóch, albo trzech latach wrócą do dawnego stanu. Katherine skinęła uprzejmie pani Mahoney, która stała przy stróżówce, Henry jednak rozmyślnie odwrócił głowę. Stróżówka wciąż jeszcze nasuwała mu przykre wspomnienia. Jack Donovan i jego siostra wyjechali wprawdzie do Ameryki i wszelki ślad po nich zaginął, a jednak ilekroć Henry mijał bramę, prześladował go widok bezczelnej gęby tego prostaka, ukradkowe, chytre spojrzenia Kate, a ponad nimi tragicznej twarzy Johnniego, kiedy ostatni raz widział go w Clonmere. Nie były to najlepsze myśli, jak na niedzielny poranek, więc Henry, pogładziwszy raz jeszcze dłoń żony, rozpoczął wesolą pogawędkę o wszystkim i o niczym: o ostatnim polowaniu, o kolejnej sesji sądu w Mundy w następny wtorek, o liście od przebywającej w Nicei matki.

- Zauważyłaś? - rzekł ze śmiechem - Pełno w nim opisów różnych szaleństw. Zdaje się, że dopiero teraz bawi się na całego.

- Wątpię.

- Ach, bo ty nie znasz mojej matki na tyle dobrze, by móc to ocenić. Sądziłem, że śmierć Johnniego kompletnie ją załamało, ale teraz skłonny jestem przypuszczać, że kiedy minął pierwszy szok, ona po prostu wyrzuciła całą sprawę z głowy. I biednego Johnniego także.

- Twoja matka wcale nie jest taka powierzchowna, jak stara się przedstawić. Według mnie, ona udaje, i to nie tylko przed ludźmi, ale i przed sobą samą.

- Na pewno nie, możesz być spokojna. Ma teraz swoją willę, zagranicznych hrabiów, kasyno i jest w pełni usatysfakcjonowana. Patrz, kłania ci się ta wstręt-na pani Kelly. Coś ty zrobiła z ludźmi z Doonhaven? Odkąd pamiętam, nikt z tu-tejszych mieszkańców nawet nie uśmiechnął się do żadnego Brodricka, chyba że miał jakieś nieczne zamiary.

- Może - odrzekła Katherine, zerkając w bok - Brodrickowie też nigdy się do nich nie uśmiechali.

- Oczywiście, że nie. Dlatego pierwszemu z nich strzelono w plecy. Co sądzisz o nowej drodze do kopalni? Co za kapitalna nawierzchnia! Zupełnie co innego niż ten stary żwir, który zimą był nie do przebycia. Dziadkowi bardzo by się podobało.

- Zgadzam się, że to wielkie udogodnienie, ale wolałabym, żeby wziąć się raczej do domków górników. Niektóre z tych bud to po prostu hańba. Nie mogę znieść myśli o dzieciach, które tam muszą mieszkać.

- Naprawdę są w takim złym stanie? - zdziwił się Henry. - Nigdy nie przyglądałem się im z bliska. Obchodziła mnie tylko wydajność kopalni. Ale oczywiście każe wzmocnić drewno, a te najgorsze odmalować. To powinno je zabezpieczyć przed chłodem i wilgocią.

- Czemu nie każesz ich zburzyć i na ich miejscu wybudować domków z cegieł?

- Przesadzasz, najdroższa, to by kosztowało majątek!

- Zdawało mi się, że w zeszłym roku kopalnie przyniosły ogromny zysk.

- Owszem, ale jeśli zaczniemy burzyć chaty i stawiać górnikom pałacyki, możemy zapomnieć o zyskach.

- No i kto tu przesadza? Górnicy nie proszą o pałace, kochanie. Chcą tylko mieć trochę ciepła i wygody, na które w pełni zasłużyli swą ciężką pracą.

Henry zrobił nieszczęśliwą minę.

- Przez ciebie czuję się jak świnia. No dobrze, zobaczymy, co się da zrobić. Tylko ostrzegam cię: nie licz na ich wdzięczność. Prawdopodobnie powiedzą, że wolą te stare drewniane chaty.

- Nie zależy mi na wdzięczności, tylko żeby dzieci nie marzły.

Spójrz, Hungry Hill ma dziś uśmiechniętą twarz. Widzisz to słońce nad szczytem? Wygląda jak złota korona!

- Hungry Hill ma za wiele humorów, jak na mój gust. Zła pogoda przed Bożym Narodzeniem pomieszała nam szyki, cały ładunek miedzi został w porcie.

- Natura działa powoli, w swoim własnym rytmie. Kiedy się ją ponagla, zaczyna się wściekać. Patrz, Tom Ó'Callaghan idzie pieszo do kościoła, pewnie koń mu okulał. Dziwne, że nie zaczekał na nas w Doonhaven. Każ Timowi stanąć!

Henry, śmiejąc się, wysiadł z powozu i zawołał wikarego, który maszerował przed nimi wielkimi krokami.

- Tom, ty wariacie, czemu na nas nie zaczekałeś? Natychmiast siadaj koło Katherine, bo się śmiertelnie obrazimy!

Młody wikary zawrócił. Był przystojnym, potężnie zbudowanym mężczyzną z ciemną brodą.

- Taka ładna pogoda! Mój Księżę zgubił podkowę, więc postanowiłem zrobić sobie przyjemność i przejść się pieszo. Z początku było wspaniale, ale po kilku milach zacząłem uważać się za męczennika.

- Możesz za to skrócić trochę kazanie. No, schowaj dumę do kieszeni i wskakuj. Katherine bardzo się gniewa.

- Nie wiedziałem, że potrafi się gniewać - odparł wikary.

Byli kolegami z Oksfordu, toteż Henry bez większego trudu namówił Toma do przyjęcia wikariatu w Doonhaven. Do obowiązków młodego duchownego należało odprawianie co tydzień nabożeństwa w najdalej położonym kościółku parafii, czyli w Ardmore, nad samym morzem. Za wodą powodziłoby mu się znacznie lepiej, ale sympatia do Henry'ego przeważała i pastor Callaghan uznał, że woli siedzieć na odludziu blisko przyjaciela niż pławić się w zaszczytach i bogactwie w dużym mieście.

- Zgadnij, co ostatnio wymyśliła - rzekł Henry. - Ni mniej, ni więcej, tylko mam zburzyć chaty górników i zbudować im domki z cegły. Przecież to mnie zrujnuje.

- Znakomity pomysł - ucieszył się Tom. - Po pierwsze, te rudery przynoszą ci wstyd. A po drugie, masz tyle pieniędzy, że sam nie wiesz, co z nimi robić.

- Zawsze mu to powtarzam - wtrąciła się Katherine.

- Cały problem w tym, że oboje macie nonkonformistyczne sumienia, a teraz próbujecie i moje przerobić na waszą modłę. Mój dziadek nie chciałby o tym słyszeć.

- Z tego, co wiem, twój dziadek był bezbożnikiem. Ty przynajmniej nie każesz górnikom pracować w niedzielę, tak jak on.

- To także sprawka Katherine. Powiadam ci, Tom, wzeniłem się w rodzinę, która ma tyle zasad, że można zgłupieć. Przyjmij moją radę i trzymaj się od nich z daleka.

- Wolę dobre serce Eyre'ów niż spryt Brodricków. Ty przynajmniej miałeś dość zdrowego rozsądku, by poślubić Katherine, i tylko dlatego nie jesteś taki bezwzględny, jak twój dziadek. No, jesteśmy na miejscu. Oprócz was będzie pewnie jeszcze troje parafian.

Smagany wichrem kościółek stał samotnie nad szerokimi wodami zatoki Mundy. Mimo surowego położenia, które wystawiało go na działanie wszelkich możliwych wiatrów i opadów, solidne, omszałe mury z szarego kamienia kryły w sobie coś kojącego i niewzruszonego. Patrząc na nie, miało się wrażenie, że czas stanął w miejscu, wewnątrz zaś tchnęło takim spokojem, że chyba żadna zła myśl nie była w stanie przeniknąć jego niezmaconej pogody. Mogły szaleć sztormy i burze, ale kościół z Ardmore trwał na przekór wszystkiemu, jak mały bastion zanurzony w wieczności.

Henry, klęcząc obok Katherine, patrzył na jej spokojny profil, ciemne oczy zwrócone w stronę ołtarza. Żaden mężczyzna oprócz niego nie dowie się, jaka jest piękna, szczerza i czuła. Czyżby Tom Callaghan miał rację? Czy gdyby nie Katherine, Henry byłby tak samo bezwzględny, jak jego dziadek? To podejrzenie wzbudziło w nim niepokój, więc odsunął je, podobnie jak wszystkie inne niewygodne, absurdalne myśli. Nie jest bezwzględny, to musiały być żarty. Przecież odkąd sięgał pamięcią, zawsze na pierwszym miejscu stawiał dobro innych ludzi. Obowiązek przed przyjemnością, to, co słuszne, przed niesłusznym. Mógł z czystym sumieniem powiedzieć, że nigdy nie popełnił żadnej podłości, żadnego złego uczynku. Prawda, że miał w życiu szczęście; odnosił sukcesy w pracy, cieszył się ludzką przyjaźnią. Taka pomyślność to oczywiście dar od Boga, więc starał się być wdzięcznym. Co innego Johnnie. To on był czarną owcą, bezlitosnym egoistą, który wszędzie, gdzie się pojawił, siał nieszczęście. Tom Callaghan powinien go poznać...

Dlatego recytując głośno i wyraźnie spowiedź powszechną, Henry zawsze miał wrażenie, że słowa o zbłąkanych owcach nie są skierowane ani do niego, ani do żadnego przyzwoitego, szanującego prawo człowieka, który wywiązuje się z obowiązków wobec Boga i królowej. Odnoszą się do złodziei, rozpustników i pijaków, ale oni nie zaprzatają sobie głowy chodzeniem do kościoła.

Po nabożeństwie Tom poszedł przebrać się do zakrystii, a Henry i Katherine przystanęli na przykościelnym cmentarzu, żeby popatrzeć na morze. Długie, oceaniczne fale pędziły jedna po drugiej ku zatoce, w krzaku janowca śpiewał gil; przyjemne, choć smutne tony brzmiały nieco tęsknie w czystym, mroźnym powietrzu.

- Cieszę się, że tu właśnie odbył się chrzest Molly - rzekła Katherine. - Następne dzieci też ochrzczimy w tym kościółku, a kiedy nadejdzie nasz czas, chcę, żebyśmy spoczęli na tutejszym cmentarzyku.

- Daj spokój, Katherine, nie znoszę rozmów o śmierci. Lepiej mnie pocałuj... O, „Emma Mary” zmierza do Bronsea. Muszą korzystać z pogody, inaczej nie wypływaliby w niedzielę. Wiesz, jaki ładunek wiozą? Prawie sto ton miedzi!

- Mniejsza o ładunek. Zapamiętasz moje życzenie co do cmentarzyka?

- Odmawiam wszelkich zobowiązań w tak upiornych sprawach. I nie stójmy tu, jeszcze się przeziębisz. Patrz, Tom czeka już przy powozie. Jakiż to kochany człowiek! Ogromnie się cieszę, że zgodził się tu przyjechać - ciągnął, biorąc Katherine pod ramię. - Czyż to nie największa radość, kiedy ma się w sąsiedztwie samych przyjaciół? Tom, chłopie, palnąłeś kapitalne kazanie! Sam nie wymyśliłbym lepszego. Żeby pokazać, jak cię cenię, postanowiłem wybudować ci dom. Nie możesz mieszkać w tej nędznej budzie.

- Ależ mogę.

- To wykluczone. Nie kłóć się, nie znoszę kłótni przed lunchem. Zaraz ci покаżę miejsce, które mam na myśli, to się przekonasz. Wpadło mi to do głowy, kiedy śpiewaliśmy „Prastarą skałę”. Tuż za Doon-haven, zanim droga zaczyna się wznosić koło domków Oakmount, jest prawie równy kawałek gruntu. Idealnie nadaje się do budowy. Nazwiemy ten dom Heathmount, a gdy tylko stary proboszcz umrze, będziesz mógł zająć jego miejsce i urządzić tam plebanię.

- A potem Tom się ożeni, ustatkuje i jego dzieci będą się bawiły z naszymi - dodała Katherine.

- Z pewnością człowiek oszczędza sobie wielu kłopotów, jeśli przyjaciele zaplanują mu przyszłość - zauważył Tom Callaghan. - Czemu nie miałbyś pójść za ciosem i pisać za mnie kazań?

- Proszę bardzo, ale pod warunkiem, że będę je osobiście wygłaszał. Z wielką przyjemnością wykorzystam zdanie o oddawaniu cesarzowi tego, co cesarskie, z odniesieniem do ciągłych zaległości w opłatach dzierżawnych.

Miejsce pod przyszły dom Toma zostało obejrzone i zaakceptowane, następnie zaś powóz skręcił w bramę Clonmere, gdzie w jadalni czekał już gorący lunch. Na schodach ujadał zgodny chór seterów, w hallu unosił się zapach torfu, którym napalono w kominku - zewsząd witała ich domowa, swojska atmosfera.

Kiedy podano deser, piastunka przyniosła małą Molly w kokardzie i białej sukience, żeby posiedziała trochę u matki na kolanach. Henry odsunął krzesło i wyciągnąwszy wygodnie nogi, łupał z trzaskiem orzechy, żeby ją rozśmieszyć. Po pieczeniu baraniej i tarcie z jabłkami przychyliłby chętnie nieba całemu światu, jak każdy przyjemnie nasycony mężczyzna, który ma przed sobą błogie, leniwe popołudnie.

- Myślę - rzekł Tom, obserwując z uśmiechem przyjaciela - że powinieneś się uważać za najszcześniejszego z ludzi. Masz wspaniałą posiadłość, olbrzymi majątek, anielską żonę, rozkoszną córeczkę, interesy świetnie ci idą - słowem, niczego ci nie brakuje. Gdybym nie był duchownym, mógłbym ci zazdrościć.

- Ale ponieważ nim jesteś, wygłaszasz mi kazania - zaśmiał się Henry. - Na pewno zaraz usłyszę, że nie powinienem skarbić sobie skarbów na ziemi, gdzie rdza i mól je psują. To na nic, stary. Żyję przecież na tym, a nie tamtym świecie, i choć nie uważam się za materialistę, lubię korzystać z dóbr ziemskich, a nawet cieszyć się nimi. Z tego, co wiem, nie jest to żaden grzech.

- Chyba wiem, co Tom ma na myśli - odezwała się Katherine. - Kiedy człowiek jest szczęśliwy, a wszystko idzie mu jak z płatka, zagraża mu wtedy najcięższy z grzechów: samozadowolenie. Nie, Molly, kochanie, dość już tego cukru, bo rozboli cię brzusek. Możesz za to pobawić się wisiorkiem mamy.

Dziecko, które krzywiło już buzię do płaczu, szybko zajęło się medalionem, który dawał się otwierać i trzaskał przy zamykaniu.

- Widzisz, Tom? To początek wychowania - zauważył Henry, mrugając do przyjaciela. Molly chciała cukru, ale dała się oszukać czymś innym. Nie ma mowy o żadnym samozadowoleniu. Ja bym jej pozwolił zjeść tyle cukru, ile by się

zmieściło w brzuszku, a potem poczekał na nieuchronny atak bólu. To by ją nauczyło i więcej nie sięgnęłyby po cukier.

- I tu się mylisz - zaprotestowała Katherine. - Molly jest za mała, by powiązać przyczynę ze skutkiem. Dla niej ból nie miałby nic wspólnego z cukrem. Trzeba odwracać uwagę małego dziecka, a kiedy nabierze rozumu, po prostu uczyć je posłuszeństwa.

- Ona ma to wszystko w jednym palcu - pokpiwał dalej Henry. -. Od pierwszej lekcji abecadła aż do końcowych egzaminów. Nie znam nikogo, kto tak poważnie traktowałby wychowanie dzieci. Matka nigdy nas niczego nie uczyła ani nie korygowała naszego zachowania.

- Aż dziw bierze, że tak dobrze wpasowałeś się w społeczeństwo. Ale posłuchaj mojej rady i edukację swych latorośli zostaw Katherine.

- Świetnie! A jeśli nie będą dostatecznie szybko przychodzić do nogi, obdę je ze skóry. Przynajmniej jedno jest pewne: nigdy im niczego nie zabraknie.

- Następny grzech śmiertelny: za dużo pieniędzy - mruknął Tom. - Biedna Katherine, już widzę, że będziesz miała pełne ręce roboty.

Henry rzucił w niego skorupką orzecha.

- Może zostawisz moje grzechy w spokoju, a za to udzielisz mi praktycznej rady. Jak wiesz, sir Nicholas Venning zmarł i w Bronsea odbędą się wkrótce wybory uzupełniające. Zastanawiam się, czy nie wystartować z ramienia konserwatystów.

- Naprawdę o tym myślisz?

- To niezła zabawa, poza tym związki Brodricków z tym okręgiem sięgają roku 1820.

- A co na to Katherine?

- Katherine uważa - uśmiechnęła się żona Henry'ego - że jej męża rozpira energia, więc jeśli nie rozładuje jej w polityce, to znajdzie sobie coś jeszcze gorszego. Przynajmniej powstrzyma go to od wybryków.

- Typowa żona! - zauważył Henry. - Nic jej nie obchodzi moje ambicje. Nawet to, że mógłbym zostać premierem. Najważniejsze, żeby powstrzymać mnie od wybryków.

- Całkowicie się z nią zgadzam. Idź do przodu, Henry. Wygłaszaj przemówienia, wydawaj obiady, całuj dzieciaki z Bronsea i ścieraj zgniłe jajka z twarzy. Z całego serca życzę ci sukcesu. A kiedy już trafisz do Westminsteru, ja także przeprawię się za wodę, żeby wysłuchać twego pierwszego wystąpienia. Wszystkim wokoło będę opowiadał, że Henry Brodrick jest moim najstarszym przyjacielem. A za dwadzieścia lat załatwisz mi biskupstwo.

- Mówiąc serio, mogę z łatwością zdobyć większość głosów, chociaż to miejsce od dawna należało do liberała. Rodzina stanie przy mnie murem. Herbert w Lletharrog - mówiłem ci, że mieszka teraz w naszym starym domu, prawda? - ciotka Eliza w Saunby... Mogę naopowiadać niestworzonych rzeczy o moich powiązaniach w Bronsea, chociaż może nie napomknę o żonie dziadka, która mieszka we wsi i dyga, ilekroć widzi Herberta.

- A jednak jesteś snobem - zaśmiał się Tom.

- Tak naprawdę nie jestem, ale w polityce lepiej nie wyciągać szkieletu z szafy. Wiesz co? Wynajmiemy w Lodynie dom na cały sezon, bez względu na to, czy wygram, ty zaś z nami zamieszkasz. To będzie dobrze widziane, niech wiedzą, że darzę Kościół szacunkiem.

- Nie mógłbyś ostudzić nieco jego zapału? - zapytała Katherine. -Dopiero co mówiliśmy o samozadowoleniu, a on znów wpada w zachwyty nad sobą! Chodźmy, Molly, niech tata z wujkiem dyskutują o sprawach tego świata, a my pobawimy się w salonie koralikami.

Później, przy zaciągniętych zasłonach, kiedy Molly poszła już spać, a Tom Callaghan wrócił do Doonhayen na wieczorne nabożeństwo, Katherine położyła się na dosuniętej do ognia sofie Barbary, Henry zaś usiadł przy niej na podłodze, tuląc do ust jej dłoń.

- Czy rzeczywiście taki ze mnie pyszałek? - spytał z przejęciem. -Czy zaczynamy mieć dość swego męża?

Uśmiechnęła się i przesunęła palcami po jego włosach.

- Odpowiedź na pierwsze pytanie brzmi: „tak”, na drugie - „nie”. Och, mój drogi, nie chodzi o to, że jesteś z siebie zadowolony. Tylko widzisz, gdy człowiek jest szczęśliwy, staje się mniej uwrażliwiony, mniej się pilnuje. A ja nie chcę mieć za męża światowca, któremu w głowie tylko interesy, pieniądze i własne sukcesy.

- Nic na to nie poradzę, że jestem szczęśliwy, skoro się z tobą ożeniłem. Z każdym dniem kocham cię coraz bardziej. Przecież wszystko, co robię, wszystko, ku czemu dążę, jest dla ciebie, czyżbyś nie wiedziała?

- Tak, najdroższy, wiem i jestem z ciebie bardzo dumna, ale też trochę się martwię. Stawiasz mnie na pierwszym miejscu, nawet przed Bogiem, a to nie jest w porządku.

- Bóg nie jest dla mnie taki realny, jak dla ciebie. Dla mnie to Ktoś tajemniczy i nieuchwytny, ciebie natomiast mogę dotknąć, przytulić, pocałować... Dlatego, przy zachowaniu wszelkich proporcji, zajęłaś Jego miejsce.

- Tak, kochanie, ale ludzie odchodzą, a Bóg jest wieczny.

- Co mi tam wieczność! Nie chcę żadnej wieczności, chcę ciebie, teraz i zawsze. - Wyciągnął się w poprzek sofy i wtulił twarz we włosy żony. - Nic na to nie poradzę - powtórzył. - Nic nie poradzę na to, że cię kocham. Mam to we krwi. Mój ojciec także nie widział świata poza matką i chociaż ledwie go pamiętam (miałem cztery lata, kiedy umarł), przypominam sobie, jak na nią patrzył, gdy bawiła się z nami nad potokiem. A ciotka Jane? Gdyby nie zginęła w wypadku, pewnie by jej pękło serce z powodu pewnego porucznika. Szkoda słów, Katherine, Brodrickowie już tacy są, musisz się z tym pogodzić.

Przywarła mocniej do męża i pocałowała go w czubek głowy.

- Przecież się pogodziłam... A jednak czegoś się boję. Odchylił się do tyłu i z głową przy jej kolanie zapatrzył się w ogień.

- Często się zastanawiam, czy rozpacz biednego Johnniego nie wzięła się z jakiejś nieszczęśliwej miłości. Nie, nie chodzi mi o tę Donovan, to było tylko chwilowe zapomnienie, ale o coś głębszego. Tylko w kim, u diabła, miały się kochać? Nigdy o nikim nawet nie wspomniał.

Katherine nie odpowiedziała. Nadal głaskała go po włosach.

- Gdyby się ożenił i ustatkował, nie zginąłby tak marnie - ciągnął Henry. - Może gdybyś najpierw poznała Johnniego, wyszłabyś za niego, a nie za mnie.

Obrócił się do niej ze smutnym półuśmiechem i zobaczył, że żona ma oczy pełne łez.

- Kochanie, co się stało? Uraziłem cię, tak? Ależ ze mnie egoistyczny gbur! Powinienem pamiętać, że nie czujesz się dobrze, a tymczasem zamęczam cię rodzinnymi historiami. Moje biedactwo, czemu tak pobladałaś, co ja takiego zrobiłem?

- Nic... Naprawdę nic. Takie tam głupstwo...

- To był męczący dzień. Powinnaś leżeć po południu, a nie chodzić z nami po lesie. Od razu wiedziałem, że to dla ciebie za daleko, a potem jeszcze nosiłaś Molly, chociaż ci nie wolno. Jest już dla ciebie za ciężka. Czy maleństwo także ci ciąży?

- Maleństwo jest spokojne.

- Zaniosę cię do łóżka. Chodź, chwyć mnie za szyję i mocno się przytul. Gdzie twoja książka? To ta, co leży przy oknie? Sięgnij po nią, to znów pan Dickens? Co byś ty bez niego zrobiła? Przeczytam ci jeden rozdział, a potem musisz zasnąć i odpocząć za wszystkie czasy. Nie martw się o lampy, zejdem potem i wszystkie pogaszę.

Zaniósł ją korytarzem do dawnego pokoju Barbary i zgodnie z obietnicą poszedł pogasić lampy. Łzy - to coś zupełnie nie w stylu Katherine; ona nigdy nie ulega nastrojom, zawsze taka spokojna... Musi być bardzo zmęczona, nie ma innego wytłumaczenia. Wykluczone, żeby miała coś szczególnego na myśli. Ale kiedy przeczytał jej rozdział i zamknął książkę, położył się przy żonie, wziął ją w ramiona i zaglądając jej w oczy, pytał:

- Powiedz, kochanie, powiedz szczerze, czy jesteś ze mną szczęśliwa?

2

Ratusz w Bronsea pękał w szwach. Dokerzy poprzychodzili prosto z pracy, w roboczych ubraniach, w czapkach zsuniętych na tył głowy i z fajkami w zębach, robotnicy z fabryk przyprowadzili żony w chustkach owiniętych wokół głów. Zewsząd rozlegały się ich wysokie, piskliwe głosy, odmienne od mowy mieszkańców Bronsea. Większość tych ludzi zamierzała głosować na kandydata opozycji, pana Sartora z partii liberałów, na wiec zaś przyszła tylko po to, by zabawić się kosztem mówcy, ale niektórzy poprzyypinali jednak błękitne wstążeczki.

Urzednicy z biura okrętowego, którzy osobiście znali Henry'ego Brodricka, załoga statków wożących rudę z Doonhaven, wytapiacze, którzy nieraz z nim rozmawiali, drobni sklepikarze, kupcy, lekarze, dyrektorzy banków - wszyscy oni uważali, że głosowanie na konserwatystów w pewien sposób ich nobilituje i stawia ponad robotnikami.

Było bardzo głośno, ludzie gadali jeden przez drugiego, śmiali się, gwizdali. Nagle ktoś z tyłu sali zaintonował hymn, inni go podchwycili i w jednej chwili rozjazgotany motłoch zmienił się w poważny, uroczysty chór.

Podeksycytowany Henry z błękitną wstążeczką w butonierce surduta, świetnie dopasowanego do jego wysokiej, barczystej sylwetki, czekał niecierpliwie na koniec hymnu, żeby wreszcie rozpocząć wystąpienie. Zdawał sobie sprawę, że wiele nie zdziała przy takim audytorium. Ci ludzie przyszli tu raczej po to, by z niego drwić, a nie klaskać czy słuchać, co ma do powiedzenia, chociaż są wśród nich także członkowie rodziny, którzy lojalnie go wspierali. Jest Herbert - obecnie wikary w Lletharrog - i jego wesoła, przysadzista żona. Kto by przypuszczał, że właśnie on, beniaminek rodziny, taki żywy, z iskierkami w brązowych oczach, zostanie pastorem? Edward (dostał z wojska specjalną przepustkę na ten wiec), z włosami jak zwykle niepo-rządnie sterczącymi, przechyla się do Fanny i Billa Eyre'ów, którzy przybyli aż zza wody. Fanny wciąż ma ten sam, co zawsze, wyłknięty wyraz twarzy. To pewnie przez to, że chowała się wśród czterech braci, bo na pewno nie z winy swego dobrodusznego męża. Boże, co za parada pastarów! Obok tamtych dwóch siedzi wierny Tom Callag-han, wyraźnie zabiegający o względy ładnej panienki, znajomej Fanny. Kto wie, może i on się wreszcie zdecyduje na małżeństwo? Ciotka Eliza siedzi wyprostowana, z lornetką na obfitym biuście. Przykłada ją co chwila do oczu, obserwując zgromadzonych z wyrazem największego obrzydzenia. Panna Brodrick z Brodrick House w Saunby oględnie mówiąc, nie przywykła do przebywania w bezpośredniej bliskości z masami pracującymi Bronsea. I w końcu Fanny-Rosa, która przyjechała aż z Nicei wcale nie dlatego (jak oświadczyła), żeby zobaczyć, jak jej syn wygłupia się na podium. Po prostu nie ma co na siebie włożyć, więc musi zrobić stosowne zakupy. W Paryżu jest za drogo, poza tym Francuzi to taki chciwy naród! Oczekują zapłaty przy odbiorze każdego zamówienia, i to gotówką, podczas gdy w Anglii nikt nie zaprzęta sobie głowy takimi głupstwami. Fanny-Rosa od lat nie płaciła rachunków, a jeśli już je przysłano, zawsze można było udawać, że list zaginął.

Henry, chcąc nie chcąc, słuchał tej gadaniny, kiedy wiozł matkę z Londynu do Lletharrog, gdzie miała zatrzymać się u Herberta, ale przerażała go beztroska,

z jaką wpadała w długi. Miała przecież okazały dochód, a poza tym dziadek okazał się dla niej wyjątkowo hojny w testamencie.

Co zaś do ubrań, to Henry sądził, że matka nie przywiązuje do nich większej wagi. Zawsze łączyła prawdziwą elegancję z niechlujstwem, czego dowodem choćby jej dzisiejszy strój: zarzutka z aksamitu w doskonałym gatunku z wysokim sobolowym kołnierzem, ale pod spodem spłowieła czarna suknia z brudnym i obszarpanym trenem. Górna połowa - wspaniała: bujne włosy po śmierci Johniego stały się białe, zieleń skośnych oczu podkreślały szmaragdowe kolczyki, doprawdy istna królowa. Za to dolna część, z tym wystrzępionym trenem, mogłaby należeć do przekupki z targu w Doonhaven.

I to już wszyscy - cała rodzina, chociaż bez najukochańszej osoby. To oczywiście, że nie mogła wybrać się w tak daleką podróż, dziecko miało przyjść na świat lada dzień. Henry jednak wiedział, że Katherine jest z nim myślami, czuł niemal dotyk jej dłoni i słyszał głos: „Mój Henry musi powiedzieć ludziom to, co uważa za prawdę, nie będzie wysilał się cały czas na dowcipy”.

Niestety, o wiele łatwiej przychodziło mu zabawiać słuchaczy niż mówić im prawdę. Tak czy inaczej, kiedy zacznie traktować politykę serio, będzie skończony. Przewodniczący ucisza już zebranych dzwonkiem, a obok stoi on, Henry, mając naprzeciw siebie Bóg wie ile wrogich oczu. Ale jakie to ma znaczenie, kiedy już wszystko zostało powiedziane i zrobione? Ot, po prostu jeszcze jeden sposób spędzenia wieczoru.

Powitały go gwizdy, wycie i miauczenie, których wysłuchał z uśmiechem na twarzy i rękami w kieszeniach. Potem wyciągnął duży zegarek, pstryknął wieczkiem i utkwiał wzrok w tarczy. Publiczność wybuchnęła śmiechem i umilkła.

- Muszę wam pogratulować - rzekł Henry. - Na innych wiecach gawiedź miała znacznie mocniejsze płuca.

To wywołało następną falę wesołości. Henry złapał czerwoną rozetkę, ciśniętą przez jakiegoś zwolennika liberałów, i umieścił ją w drugiej klapie.

- Galant, który to rzucił, zna zapewne poglądy polityczne kandydata liberałów. Jeśli tak, to ma nade mną przewagę. Z tego, co wiem, pan Sartor głosuje raz tak, raz siak. Sam powiedział kiedyś, że za młodu był torysem i że torysowskie poglądy wyssał z mlekiem matki, z czego dowiadujemy się, że matka karmiła go osobiście. Wmówił wam także, iż torysi wywodzą się od uczonych w Piśmie i faryzeuszy. Rozumiem więc, że partia torysów istniała już wówczas, kiedy starożytni Brytowie rzucali kamieniami z klifów Dover w wojska Juliusza Cezara. Je-

śli nasz znawca historii zagłębi się jeszcze dalej w przeszłość, bez trudu odnajdzie powiązania torysów z kapłanami Baala. Zaraz, zaraz, coś mi świta, że budowniczy wieży Babel też był torysem... A podły kusiciel, który w złą godzinę przypełznął do ucha grzesznej Ewy? Tak, to ani chybi torys. I na tym zamykamy kwestię torysów, którzy, jak się zdaje, na dobre wypadli z gry.

Herbert splótł przed sobą ramiona i z uśmiechem obserwował brata. Jak bardzo przypominało mu to chłopięce lata i Towarzystwo Dyskusyjne w Eton! Henry stał tak jak teraz - z rękami w kieszeniach i lekko przekrzywioną głową - doprowadzając całą szkolną publiczność do śmiechu i samemu świetnie się przy tym bawiąc... Ale niebawem zabrnął w niewygodne tematy, przerwano mu, raz po raz padały pytania z końca sali.

- Chcecie definicji liberała? - wołał z podium. - W porządku. To ktoś, kto poczyną sobie liberalnie z cudzymi pieniędzmi. Prawdę rzekłszy, teraz nie ma liberałów, są tylko konstytucjonaliści i rewolucjoniści.

To oczywiście wywołało burzę. Fanny obejrzała się trwożnie przez ramię, zastanawiając się, czy zdąży dotrzeć do drzwi, zanim zaczną się kłopoty.

- Głośniej! Głośniej! Słucham was z największą radością! Nie ma jak różnice poglądów, życie od tego nabiera kolorów! Gdyby wszystkim podobało się to samo, pewnie zakochalibyśmy się jednej kobiecie!

Kolejna salwa śmiechu wynagrodziła mu ten dowcip. Tom Callaghan, skubiąc brodę, pokręcił głową i wymienił znaczące spojrzenie z Billem Eyre'em. Wszystko pięknie, ale w ten sposób nie wygrywa się wyborów. Henry musiał zauważyć jego minę, bo w kilka minut później roztrząsał z powagą najbardziej aktualny problem.

- Jestem przekonany, że nie wolno pomijać czcigodnych instytucji, które zakorzeniły się mocno w ludzkich sercach. Faktem jest, że u podłoża wszelkiego zła leży właśnie ignorancja w najbardziej istotnych kwestiach. Brytyjska konstytucja opiera się na dwóch filarach: na Kościele i państwie. Ci, którzy chcieliby oddzielić Kościół od państwa i wydać je na pastwę sekt, niszczą samą istotę kon-

stytucji*¹². Zmiana dla samej zmiany nigdy nie jest pożądana, ponieważ nieodmiennie pociąga za sobą upadek.

Święta prawda, myślała ciotka Eliza. Zmiana i upadek - te słowa przywiodły jej na myśl ojca i jego ostatnie długie lata w Lletharrog. Spędził je w kompletnej izolacji, jeśli nie liczyć tej okropnej kucharki, która się go uczepiła. Eliza była pewna, że drugiej żonie zostawił w testamencie więcej pieniędzy, niż się jej należało. I jakie to okropne, że przepadł srebrny serwis do herbaty! Przecież to ona, jako jedyna żyjąca córka powinna go otrzymać. Zmiana i upadek... jakież ten Henry mądry!

- Doskonalenie klasy pracującej musi być oparte na religii - ciągnął mówca.

Tom Callaghan aż się uniósł w krześle. Ach, to już koncepcja Katherine, Henry nigdy by tego nie wymyślił.

- Tylko wtedy niższe klasy zyskają lepszą pozycję w społeczeństwie. Edukacja oparta na jakiegokolwiek innej podstawie niż religia nie przyniesie żadnego pożytku. Mam nadzieję doczekać się wkrótce wielkiego odrodzenia Kościoła, jeśli tylko kler nie pomyli form i ceremonii religijnych z duchowymi formami chrześcijaństwa.

Herbert zamrugał oczami. Czy to chytry przytyk do jego osoby? Przeszedł wprawdzie przez fazę anglikanizmu, ale było to dawno temu, jeszcze w Oksfordzie. Jak dziwnie słucha się Henry'ego, kiedy przemawia z taką powagą. Czy on naprawdę tak myśli, czy tylko próbuje uwieść publiczność?

- My - partia konserwatystów - wyzwoliliśmy masy, więc jest naszym obowiązkiem, obowiązkiem każdego człowieka, objąć je dobrodziejstwem edukacji. Jestem gorącym zwolennikiem obowiązkowego kształcenia. Nikt nie ma prawa wychowywać ludzi tak, jakby hodował świnie.

Jakie to zabawne, myślała Fanny-Rosa, że Henry z poważną miną wygaduje takie bzdury. Wydaje się, że zaledwie wczoraj wbiegał golusieńki na schody w Clonmere, klepiąc się po tyłeczku, ona zaś goniła go z pantoflem w rękę, oczy-

¹² * W XIX wieku coraz to liczniejsze sekty i odłamy stanowiły prawdziwy problem Kościoła anglikańskiego.

wiecie tylko dla zabawy. Był taki piękny dzień, dzieci pozdejmowały z siebie wszystko i bawiły się na trawie przed zamkiem. Barbara ze zgorzowaną miną patrzyła na nie z okna, prosząc, by zapędzić je do domu przed powrotem ojca. Niewątpliwie Henry i jego rodzeństwo chowali się niczym śwynie, o wiele łatwiej było pozwolić im szaleć... Nagle stanął jej przed oczami Johnnie w indiańskim pióropuszu na czarnych włosach. Zerkał na nią zza krzewów rododendronu z łukiem i strzałą w rękę, a John tłumaczył jej cicho: „Nie mogę go uderzyć, żeby tam nie wiem co. To my daliśmy mu życie, jest tak bardzo nasz...”. Ale to się skończyło, nie wolno o tym myśleć, wszystko jest pogrzebane jak oni obaj. Rzeczywistość to ta zatłoczona sala i Henry na mównicy.

- Wiecie, że pochodzę z za wody. Cóż, to żaden wstyd urodzić się na ziemi Burke'a, Palmerstona, Wellingtona. Ale mogę przyznać, że należę do trzeciego już pokolenia, zaadoptowanego przez waszych rodaków. Tu żył mój dziad i ojciec, ja zaś spędziłem dzieciństwo w Lletharrog, w domu, w którym do dziś mieszka mój brat. Kości mego dziadka spoczywają w tym kraju i moje także kiedyś tu spoczną.

A potem już było po wszystkim. Publiczność klaskała, syczała, śpiewała i wrzeszczała, przewodniczący podnosił rękę, zachęcając do dziękczynnej owacji, wreszcie całe zgromadzenie ruszyło do drzwi -wprawdzie bez rzucania jajkami, ale i bez większego aplauzu.

Cała rodzina udała się do Queen's Arms na obiad. Henry zbierał gratulacje, jacyś obcy ludzie klepali go po plecach, a wszyscy zgodnym chórem powtarzali, że miejsce w parlamencie ma pewne jak w banku.

- Tak bardzo przypominasz mojego brata Henry'ego - mówiła Eliza. - Pamiętam, że w taki sam sposób akcentował swe wypowiedzi. A twój ojciec siedział tylko w fotelu ze szczeniakiem na kolanach i w ogóle nie słuchał. To dobrze, że uznałeś za konieczne istnienie klasy panującej. Niektórzy ludzie z Saunby są do prawdy okropni. Dawniej nikt by ich nie przyjmował.

- Powinnaś zamieszkać w Nicei - odezwała się Fanny-Rosa. - Nie spotkasz tam nikogo niżej hrabiego. Podobało mi się twoje przemówienie, Henry, chociaż nie rozumiem, czemu chcesz pozamykać puby w niedzielę. Mężczyźni w sobotnie wieczory będą pili na zapas. A co do uwag na temat rzymskich katolików z za wody, to mogłeś dodać stare porzekadło: „Święty Patryk był dżentelmenem i miał porządnych rodziców”. Czy w tym hotelu dadzą nam coś do jedzenia?

- Wybacz mojej matce - rzekł Henry do Toma Callaghana. -Mieszkając we Francji, stała się strasznym obżartuchem. Nie wytrzyma ani kwadransa bez omeletu czy sałatki. Kelner, proszę jak najszybciej podawać, dobrze?

- Nigdy w życiu nie otaczało mnie tak wielu duchownych - wyznała Fanny-Rosa - z wyjątkiem okresu, kiedy w Andriff nocował biskup Słane i przywoził z sobą kapelana oraz dwóch wikarych. Byłyśmy z siostrą jeszcze małe i zakradałyśmy się do ich pokojów podczas obiadu. Wyrzucałyśmy przez okno nocne koszule duchownych, a potem ich wielebności musiały spać, jak je Pan Bóg stworzył... Nie rób takiej zgorszonej miny, Bill. W końcu jesteś żonaty, na pewno nieraz spałeś bez koszuli.

- Mimo wszystko - rzekł Tom Callaghan - Henry ma z pani więcej, niż by się komu zdawało. Często słyszałem, że jest żywym obrazem stryja Henry'ego i godnym potomkiem swego dziadka, ale już wiem, po kim odziedziczył cięty język.

- Och, Flowerowie zawsze byli mocni w gębie. Dzięki temu udało nam się wybrnąć z wielu kłopotów. Ale z moich dzieci to Herbert jest do mnie najbardziej podobny. Tak się bał, co może z niego wyrosnąć, że aż schował się za kolo-ratką. A co do Henry'ego, to ludzie słusznie porównują go z dziadkiem i stryjem. On łączy w sobie przebiegłość pierwszego i wdzięk drugiego. Przekonamy się, co weźmie górę... Czy to, co niosą, to pieczone prosię? Przed urodzeniem Edwarda jadałam prosięta pasjami, zawsze mówię, że dlatego tak mu się kręca włosy, ale od tej pory nie biorę ich do ust. Zamówcie mi rybę.

Bracia mrugnęli do siebie porozumiewawczo. Matka wyraźnie była w swoim żywiole. Przynajmniej raz Katherine pomyliła się w ocenie, myślał Henry, kiedy Fanny-Rosa wzniosła toast za zdrowie przyszłego ministra. Chyba nigdy nie czuła się szczęśliwsza, już zupełnie zapomniała o Johnniem. I jak imponująco wyglądała z koroną siwych włosów, zielonymi oczami i szmaragdami w uszach, oczywiście póki nie zajrzało się pod stół i nie zobaczyło wystrzępionego obrąbka. Ileż mogła mieć lat? Pięćdziesiąt trzy albo cztery, nie wiadomo dokładnie. W każdym razie przyjęcie udało się znakomicie, nawet ciotka Eliza dostała rumieńców i zapomniała o gderaniu. Fanny wyzbyła się swej wylężnionej miny, a pastorzy dokazywali jak dzieci - tubalny śmiech Toma Callaghana niósł się po całej sali. Gdyby tylko Katherine mogła tu być, czara szczęścia przelałaby się chyba przez brzeg.

Następnego dnia odbyło się głosowanie. Wyników spodziewano się o szóstej, miano je ogłosić ze stopni ratusza. Henry'emu dzień upłynął w gorączce oczeki-

wania. Teraz, kiedy miał już za sobą przemówienie i agitację wyborczą, kiedy objechał całe Bronsea w otwartym powozie z błękitnymi wstążkami, czuł ogromne zdenerwowanie i liczył godziny do wyników. Nie był w stanie zasiąść do lunchu z rodziną, zaszył się w pubie na drugim końcu miasta, w nadziei że nikt go tam nie rozpozna. Potem błąkał się po ulicach i wydawało mu się, że niemal każdy przechodzień ma w klapie czerwoną wstążeczkę liberałów. W ciągu całego popołudnia naliczył zaledwie dwanaście błękitnych rozetek. Może jego zwolennicy głosowali wczesnym rankiem? Zresztą nie są to osoby, które włączają się po ulicach. Cała sprawa jest po prostu śmieszna, on zaś robi z siebie głupca, że się tak przejmuje. W pewnej chwili znalazł się przed biurem okrętowym Owena Williamsa, firmą, która zajmowała się w Bronsea transportem miedzi jeszcze za czasów dziadka. Wszedł do środka, żeby zamienić słówko z młodym Williamsem na temat perspektyw na lato. No proszę, nareszcie ktoś z błękitną rozetką, co za ulga! Williams powiedział, że kiedy szedł o dziesiątej głosować, ulice były zablokowane powozami, a ich właściciele mieli w klapach wstążeczki o właściwej barwie.

- Wspaniale będzie mieć za posła kogoś takiego jak pan. Przyrzekłem sobie, że przyjadę do parlamentu na pańskie pierwsze wystąpienie.

- Jeszcze mnie nie wybrano.

- To już przesądzone.

Przez jakiś czas omawiali sprawy kopalń w Doonhaven, transportu i w ogóle handlu miedzią. Henry zbierał się już do wyjścia, kiedy pan Williams powiedział mimochodem, że tego dnia odwiedził go już ktoś z rodziny Brodricków.

- Ach tak? - zdziwił się Henry.

- Och, rano wpadła tu pańska matka, jak ona świetnie wygląda! Prosiła o zwiększenie kwoty zaliczki, oczywiście nie miałem zastrzeżeń.

- Jakiej zaliczki?

- Bo przecież w ostatnim kwartale wypłaciliśmy jej awansem pięćset funtów, zresztą na pańską prośbę, o ile pan pamięta. Wysłaliśmy czek do Francji, a teraz pani Brodrick prosiła o taką samą kwotę. Oczywiście potrącimy to w końcu roku z pańskiego rachunku. Podobno wszystko z panem uzgodniła.

Henry osłupiał. Niczego z matką nie uzgadniał, nie miał pojęcia o żadnej zaliczce. Zrobiła to bez jego wiedzy... Pan Williams patrzył na niego podejrzliwie.

- Ach tak, teraz sobie przypominam - rzekł Henry z wysiłkiem. - Rzeczywiście tak się z nią umówiłem. No cóż, muszę już iść. Miło mi było porozmawiać z panem.

- Do widzenia, panie Brodrick. Wszystkiego dobrego!

Henry wracał do hotelu w stanie wielkiego wzburzenia. Dobry Boże, jak ona mogła tak kłamać! Dlaczego nie przyszła prosto do niego i nie poprosiła o pieniądze? Dlaczego, na miły Bóg, w ogóle potrzebowała pieniędzy i na co je wydawała? Musi ją koniecznie odszukać i wypytać, to niemożliwe, żeby udało mu się utrzymać rzecz w tajemnicy. Gdyby chociaż Katherine tu była! Już ona by wiedziała, jak postąpić.

Fanny i Bill siedzieli na werandzie hotelowej z panną Godwin, przyjaciółką Fanny, i nieodłącznym Tomem Callaghanem; Herbert gdzieś wyszedł. Gdyby nie panna Godwin, Henry mógłby naradzić się ze szwagrem i z Tomem, ale nie będzie przecież poruszał tak osobistych spraw przy obcej osobie.

- Gdzie matka?

- Pewnie w swoim pokoju - odparła Fanny. - A ty gdzie chodziłeś? Martwiliśmy się o ciebie. Wyglądasz na zmęczonego.

- To nerwy - zaśmiał się Tom. - Biednemu Henry'emu wszystko dotąd szło jak po maśle, a teraz nie wie, co go czeka.

Henry nie podjął dyskusji; nie miał nastroju do żartów. Poszedł na górę, odszukał pokój matki i zapukał do drzwi. Chociaż zajmowała go dopiero od trzech dni, zdążyła wszystko przewrócić do góry nogami. Pantofle leżały każdy w innym kącie, na wszystkich krzesłach poniewierały się ubrania, wszędzie rzucały się w oczy szpilki do włosów, rękawiczki, aksamitki i chusteczki. Fanny-Rosa siedziała na łóżku obok kufra i wkładała do niego coś pod złożoną suknię.

- Jest mój bohater - uśmiechnęła się na widok syna. - Nie boli cię czasem brzuszek, biedaku? Tak samo wyglądał twój ojciec przed wyścigami chartów: był cały spięty, ale udawał, że wcale mu nie zależy.

- Nie przyszedłem rozmawiać o wyborach - rzekł, siadając przy niej na łóżku. - Wszystko mi jedno, kto wygra. Chcę pogadać o tobie.

Fanny-Rosa uniosła brwi. Potem przesiadła się na krzesło przy toalecie i zaczęła poprawiać włosy.

- Wracam od Owena Williamsa. Podobno byłaś dziś u niego i pożyczyłaś z rachunku firmy pięćset funtów, rzekomo za moją zgodą.

I w poprzednim kwartale też wzięłaś taką samą kwotę. Kochana mamó, o co w tym wszystkim chodzi?

- Ależ mój drogi chłopcze, mówisz jak dyrektor szkoły! Powinieneś popierać pana Gladstone'a zamiast być jego oponentem. Rzeczywiście, młody Williams okazał mi wiele uprzejmości, jestem mu naprawdę wdzięczna.

- Ale dlaczego, u licha, nie zwróciłaś się do mnie? Czemu działałaś za moimi plecami, wykorzystując mój autorytet bez upoważnienia?

- Uznałam, że tak będzie prościej - odrzekła Fanny-Rosa, ziewając. - Po co miałabym zaprzętać ci głowę takim głupstwem?

- Znacznie bardziej mi ją zaprzętnęłaś, pożyczając pieniądze z firmy okrętowej w taki dziwny sposób. Nie rozumiesz, że to wbrew regułom? Prawdę rzekłszy, postąpiłaś nieuczciwie.

- Nigdy nie znałam się na sprawach finansowych. Dla mnie każda transakcja ma w sobie coś podejrzanego, zupełnie nie mam głowy do liczb.

Henry patrzył, jak matka przeczesuje grzebieniem gęstwą siwych włosów. Ona chyba nie ma wstydu, jest nieodpowiedzialna jak dziecko.

- Tak trudno ci wyżyć z dochodu po dziadku? - spytał z niedowierzaniem. - Zdawało mi się, że życie na południu Francji wypada o wiele taniej.

- Och, mój drogi, życie nigdzie nie jest tanie. Sam rozumiesz, obiadki, różne rozrywki... w każdym razie nigdy mi nie starcza.

Specjalnie unika odpowiedzi, myślał Henry. Nic konkretnego nie powie.

- Masz po dziadku tysiąc dwieście funtów rocznie. Czynsz za willę wynosi na angielskie pieniądze pięćdziesiąt funtów. Służba - kucharka i jedna dziewczyna, tak? - i twoje wyżywienie kosztuje sto. Ubrania i drobne rozrywki - pięćdziesiąt. To razem tylko dwieście funtów, powinien zostać ci cały tysiąc. Na co go wydałaś, skoro musiałaś pożyczyć jeszcze jeden?

- Rozeszło się i tyle. Nie pytaj mnie, jak i dlaczego, bo nie mam zielonego pojęcia. Henry, chłopcze, nie przybieraj takich min, okropnie ci z tym nie do twa-

rzy. Kiedy pozdrawiasz swoich wyborców, powinieneś uśmiechać się czarująco jak zawsze. Siedzisz na moich kolczykach, możesz mi je rzucić?

Mówiła cichym głosem, rzucając mu ukośne spojrzenia. Wreszcie wzruszył ramionami, wstał i założył jej delikatnie kolczyki.

- Masz ręce swojego ojca. Teraz rozumiem, dlaczego Katherine tak cię kocha... Obyście zawsze byli tacy szczęśliwi.

Obserwował jej twarz w lustrze. Czyżby miała łezkę w kąciku oka? Ale przecież cały czas się uśmiecha...

- Mamo - rzekł impulsywnie - daj sobie spokój z tą Francją. Czemu nie możesz zamieszkać z nami w Clonmere? Katherine byłaby zachwycona, poza tym to twoje miejsce, twój kraj!

Fanny-Rosa pokręciła głową.

- To bez sensu. Moje obecne życie odpowiada mi w każdym calu. Wszystko jest takie zabawne! Zresztą matka nie powinna mieszkać z synem, to duży błąd. Raz próbowałam i nic z tego nie wyszło. Który z tych kapeluszy powinnam włożyć na wieczór?

- Co tam kapelusze! Mamo, proszę cię, zmień zdanie i zamieszkać z nami! Dostaniesz oddzielne pokoje, będziesz mogła robić, co ci się podoba, nikt nie będzie się wtrącał.

- Nie, kochanie.

- No to może się dowiem, co robisz z pieniędzmi?

- Och, Henry, przestań głądzić! Patrz, już wpół do szóstej, powinniśmy być w ratuszu. Biegnij na dół i powiedz, żeby się zbierali. Uwielbiam tego twojego Toma, jest znacznie bardziej wyrozumiały niż większość pastorów! Zawsze miałeś szczęście do przyjaciół, a Johnnie nie umiał sobie nikogo zjednać... Pocałuj mnie, mój poważny synu, i przestań się zamartwiać. Nie będę już niepokoić pana Williamsa, obiecuję. Nadchodzący sezon wynagrodzi mi poprzedni, jestem tego pewna.

- Co masz na myśli? Mówisz jak sklepikarka, która spodziewa się przyływu gotówki.

Rzuciła mu zniewalający uśmiech i przyglądała włosy.

- Chodźmy już. Nie zapomnij o kwiatku do butonierki. Chwała Bogu, że mam takie przystojne dzieci!

Wszystko na próżno, myślał Henry, idąc za nią po schodach. Nie uda się niczego z niej wyciągnąć. Zawsze będzie budować bariery. Uśmiecha się, rzuca czułe spojrzenia, robi niestosowne uwagi, ale co dzieje się w jej głowie, tego nie sposób się dowiedzieć. Ciekawe, czy ojciec, który przecież tak ją kochał, był tego samego zdania. Czy w chwilach największej bliskości też mu się wymykała?

Rodzina czekała na werandzie, lada chwila miały nadjechać zamówione powozy.

Na ulicach panował tłok, wszystkie powozy zmierzały w tym samym kierunku i konie musiały wlec się noga za nogą, żeby nikogo nie przejechać. Henry kazał stangretowi okrążyć budynek i stanąć przed tylnym wejściem. Wolał uniknąć frontowych schodów i rozpoznania przez zebrany na placu tłum. Ale i tak dosięgnął ich gwar podnieconych głosów, co Fanny-Rosie przypominało motłoch oczekujący na publiczną egzekucję. Kiedy powozy skręciły w uliczkę na tyłach ratusza, widzieli rzędy roześmianych twarzy, wpatrzonych w balkony. Ludzie wymachiwali czapkami, zewsząd powiewały chusteczki.

- Chyba jest później, niż myślałem - zauważył Henry. - Wygląda mi na to, że wyniki już ogłoszono.

Pomógł wysiąść matce i siostrze i zostawiwszy je pod opieką Toma i szwagra, pobiegł wąskimi schodami do sali na piętrze. Serce mocno mu biło i po raz pierwszy w życiu drżały ręce. W wypełnionej sali ogarnął go gwar wielu głosów, z zewnątrz dobiegało wiwatowanie tłumu. Na balkonie stał z kapeluszem w rękę pan Sartor, kandydat liberałów. W głowie Henry'ego zatrzasnęła się jakaś klapka i w jednej chwili serce zalała mu fala goryczy.

- A bodaj to! - mruknął. - Bodaj to wszyscy diabli!

A potem się uśmiechnął i podszedł z wyciągniętą ręką do zwycięskiego rywala. Nowy poseł okręgu Bronsea zaprosił go gestem do siebie, na balkon. Wygrał większością ośmiu tysięcy głosów.

- No i koniec - oświadczył Henry, kiedy ucichły brawa, a tłum rozproszył się, by świętować zwycięstwo w pubach. - W zasadzie mogę wyznać, że ani przez moment nie oczekiwałem sukcesu, traktowałem to jak przygodę i zabawę. Teraz zjemy pyszny obiad i zapomnimy o całej sprawie.

- Mówisz jak rasowy gracz - rzekł Tom Callaghan, ujmując go pod ramię. - Ja tam czuję się zawiedziony. Tak mi się marzyło, że pojedę do Westminsteru i zobaczę, jak zwalasz wszystkich z nóg swym przemówieniem. Ale nie szkodzi, wiadać nie było ci sądzone, za to nadal będziemy cię mieli w Doonhaven.

- Następnym razem ci się poszczęści - dodał Edward.

- Następnego razu nie będzie - odparł stanowczo Henry. - To moje pierwsze i ostatnie spotkanie z polityką. Raz mogłem zrobić z siebie durnia, ale na tym koniec.

Lekką, wesołą rozmową starał się pokryć uczucie porażki. Rodzina nie może się domyślić, jak bardzo wziął to sobie do serca. Nawet sam siebie przekonywał, że tak nie jest, bo najgorsza rzecz w świecie to nie umieć przegrywać. Ot, po prostu zdrażnięta ambicja, i tyle. Henry Brodrick dotąd radził sobie ze wszystkim, więc i to przeżyje.

- Nie mogę pojąć, jak można było głosować na tego Sartora - oburzała się Fanny-Rosa. - Co za fatalna prezencja! Popsute zęby, toż to niewybaczalne. Żadnej rasy w tym człowieku!

- Ludzie z Bronsea nie zważają na takie sprawy, pani Brodrick - tłumaczył jej Tom Callaghan. - Ale wyczuwają, że Sartor wie o nich więcej niż Henry. Dlatego wygrał.

- Ach, to tak łatwo wmówić człowiekowi, który żyje chlebem i owsianką, że dzieje mu się krzywda. Ale czy od tego gadania będzie mu lepiej?

- Polityka nie jest niczym innym, jak tylko grą - zauważył Henry. - Jeśli przegrasz, wycofujesz się i zapominasz o sprawie. Właśnie to zamierzam zrobić.

- Co tylko dowodzi, że masz poczucie równowagi - rzekł Tom. - Nałogowy gracz nigdy nie wie, kiedy przestać. Kiedy przegra, bnie dalej, aż do katastrofy. To taka forma psychicznej ucieczki, jak picie, ma się to we krwi. Ale nie rozumiem, dlaczego zrobiliśmy się nagle tacy poważni. Henry, przyjacielu, nawet jeśli przegrałeś wybory, zachowałeś się jak dżentelmen i jestem z ciebie dumny.

- Wszyscy jesteśmy z niego dumni! - Fanny-Rosa poklepała syna po policzku. - Jak wspaniale prezentował się na balkonie obok tego obrzydliwego człowieczka. Jestem pewna, że wielu wyborców pożałowało swej decyzji.

Wracali do hotelu w nieszczęśliwych nastrojach, chociaż starali się tego nie okazywać. Kiedy weszli na werandę, goniec podał Henry'emu telegram na tacy.

- Pewnie jakiś dowcipniś przesyła ci kondolencje - powiedziała domyślnie Fanny-Rosa. - Nie otwieraj, tylko się zdenerwujesz.

Ale Henry zdążył już rozerwać papier i przebiec wzrokiem treść telegramu. Potem podniósł na nich roziskrzona radością oczy.

- Do diabła z polityką! - wykrzyknął, machając depeszą. - Mam syna!

Otoczyli go wszyscy, zaglądając mu przez ramię. Wiadomość była krótka, lecz treściwa.

*Nie czuj się zawiedziony, jeśli wynik okaże się niekorzystny.
Dziś urodził się Twój syn i oboje czekamy Cię w domu. Jest kropka w kropkę podobny do Ciebie, nazwałam go Hal. Sercem i myślami przy Tobie*

Katherine

- Czyż nie mówiłem, że to jedyna kobieta na świecie? Tom, zawołaj kelnera. Może w Bronsea poniosłem klęskę, ale na Boga, dziś będziemy pili szampana!

3

Dni upływały w miarę pogodnie. Miały swój własny, wyważony rytm, a wypadki następowały po sobie niczym pory roku, bez nagłych niepokojów, naruszających porządek rzeczy. Życie było czymś pewnym i bezpiecznym; siedząc przy śniadaniu w zimowy poranek, Henry wiedział, że następna zima będzie taka sama, że wszystko będzie się toczyć ustalonym trybem, podobnie jak na wiosnę, w lecie, na jesieni. Każdy miesiąc przyniesie to, czego się po nim oczekuje, plany dojrzeją i zostaną zrealizowane. Zima i wiosna upłynie im w Clonme-re, w końcu kwietnia wyjadą całą rodziną za wodę i spędzą sezon w Londynie. Cudownie będzie po wiejskim zaciszu usłyszeć uliczny zgiełk wielkiego miasta, uświadomić sobie istnienie milionów ludzi, spacerować w majowy poranek po parku, gawędzić z napotkanymi przyjaciółmi, potem wpaść do klubu przy St James, żeby przeczytać gazety, znów trochę pogadać, wreszcie zjeść lunch w zaprzyjaźnionym gronie gdzieś na Berkeley Square czy Grosvenor Street. Do stołu zasiądzie kilkanaście osób, w większości znajomych, a jeśli nawet nie, to miło będzie poznać kogoś nowego. Galerie, koncerty, wyścigi doskonale wypełnią czas, ale na

piątą zawsze wróca do domu, gdyż Katherine przeznaczyła te godziny dla dzieci i nie lubi, jeśli coś w tym przeszkodzi. Poza tym dobrze jej zrobi odrobina wyczynku przed wieczornym wyjściem na obiad. Henry także lubił między szóstą a siódmą zasiąść w salonie przy otwartym oknie, na którym w kolorowo pomalowanych skrzynkach kwitły kwiaty, i pogwarzyć o wydarzeniach dnia. Przyjemność sprawiała mu rozmowa dla samej rozmowy, zwykła czynność mówienia. Drażył pierwszy lepszy temat aż do wyczerpania, potem zaś, ogarnięty błogością, udawał się na górę, żeby przebrać się na wieczór. W sąsiednim pokoju przebierała się Katherine, wołając coś do niego przez otwarte drzwi. Przyjaciele, do których się wybierali, ugoszczą ich zapewne wyśmienitym obiadem, potem chwila muzyki, występ jakiegoś artysty - i wreszcie około północy powrót do domu w poczuciu sytości i zadowolenia. A rano wszystko od początku... Katherine przy takich okazjach wyglądała doprawdy prześlicznie; Henry pękał z dumy, kiedy ich anonsowano i wszystkie głowy odwracały się w ich stronę. Katherine szła pierwsza ku gospodarzom, szeleszcząc suknią, a jej wdzięczne ruchy, sposób trzymania wachlarza w obleczonej w rękawiczki dłoniach, uśmiech, kąt nachylenia głowy - wszystko to razem wzięte stawiało ją o klasę wyżej nad resztą kobiet - żadna z obecnych nie mogła się z nią równać. Niebawem podchodził ktoś z wyciągniętą ręką. „Dobry Boże, Henry, nie widziałem cię od czasów Oksfordu!”, po czym następowała prezentacja: „Nie znasz jeszcze mojej żony, Katherine... Kochanie, to mój bardzo stary przyjaciel”.

- Wiesz? - mówiła przy obiedzie gospodyni w charakterystyczny dla siebie, kpiarski sposób. - Wszyscy uważają was za najprzystojniejszą parę w Londynie. Ludzie ustawiają się w kolejkach, by móc zobaczyć, jak Henry Brodrick z żoną jedzie w niedzielę do kościoła.

Codziennie stykał się z podobnymi nonsensami i przekonywał sam siebie, że traktuje je z przymrużeniem oka, ale w głębi serca pochlebiał mu ten podziw, Henry cieszył się, że tak ich ze sobą łączono.

Dotrzymał słowa - nigdy więcej nie bawił się w politykę, ale pozostał zagorzałym konserwatystą. Często proszono go, by zjawił się na takim czy innym bankiecie w okolicy Bronsea i bawił towarzystwo swymi ciętymi dowcipami i dykteryjkami. W roku 1867 doczekał się nominacji na głównego szeryfa hrabstwa, z którą to funkcją wiązały się dłuższe pobyty w Saunby, przeprowadzili się więc na pół roku do ciotki Elizy, do Brodrick House.

Mały Hal, zdaniem ciotki, bardzo przypominał swego dziadka Johna. Miał takie same łagodne oczy, podobny wykrój ust, tak samo jak on wołał psy czy koty

od towarzystwa ludzi. Potrafił też godzinami bawić się w samotności, co w dzieciństwie często zdarzało się Johnowi.

- A że'na dodatek odziedziczył twoją, Katherine, powściągliwość, pewnie nie odznaczy się w świecie, jeśli zabraknie mu energii Hen-ry'ego.

- Hal będzie miał dość hartu ducha, tylko trzeba nim odpowiednio pokierować - uśmiechnęła się Katherine. - Potrzebuje zachęty, cierpliwości, trzeba mu też wpoić nieco pewności siebie. Z trudem nauczył się chodzić i mówić, podczas gdy Molly nic to nie kosztowało. Ona przejdzie przez życie radośnie i bez wysiłku, Hala natomiast trzeba prowadzić za rękę.

Ciotka Eliza prychnęła gniewnie i opuściła lornetkę.

- Mój ojciec nie uznawał takiej gadaniny. Nas nikt nigdy nie prowadził za rękę. Pochlebiam sobie, że przeżyłam swoje rodzeństwo między innymi dlatego, że miałam dość zdrowego rozsądku. Moja młodsza siostra Jane była sentymentalną gąską, zawsze powtarzałam Johnowi, że brak jej kręgosłupa. Wśród Brodriczków zawsze jest jakiś słabeusz, jeszcze się o tym przekonasz, moja Katherine.

Miło było wsiąść wreszcie na statek i popłynąć do Słane, a potem pojechać do Clonmere, minawszy po drodze Mundy, Andriff i Doon-haven. Pierwszego ranka po powrocie Henry zachodził w głowę, po co w ogóle wyjeżdżali. Wychylił się z okna sypialni i patrzył w dół na potok, chłonąc wzrokiem znajome widoki.

Po śniadaniu w jadalni przeszedł do biblioteki, dokąd wezwał na odprawę całej personel z zewnątrz. Stary Tim miał już nieco zeszywniałe stawy, ale czerwił się z oburzenia na najmniejszą wzmiankę o odejściu na zasłużony odpoczynek. Sullivan, główny ogrodnik, odziedziczył swą posiadłość po wuju, od dawnego nieżyjącego starym Bairdzie. Stróż Phillips i pastuch Mahoney pracowali w posiadłości, odkąd Henry sięgał pamięcią. Może zostanie przed lunchem trochę czasu na obchód gruntów - lasem do gospodarstwa, potem przez park, wreszcie z powrotem ścieżką nad potokiem. Po południu trzeba odwiedzić kopalnię i sprawdzić, czy wszystko w porządku. W drodze powrotnej można wpaść do Heathmount i zaprosić Toma i Harriet do Clonmere na obiad, a przy okazji posłuchać lokalnych plotek. Dobrze się stało, że kandydował w wyborach, bo chociaż sam poniósł klęskę, Tom poznał w Bronsea swą żonę - ładną, jasnooką przyjaciółkę Fanny. Mieli już córeczkę - Jinny, która dokazywała w Clonmere z latroślami Brodricków. Do domu wróci w sam raz na herbatę przy buzującym ogniu, potem wokół kolan Katherine rozsiądą się dzieci. Molly, z rozwianymi ciemnymi włosami, zawsze pierwsza proponowała, co będą robić, jaką książkę czytać, Hal dopominał się o muzykę, poważny niczym sowa, póki ze względu na najmłodszą Kitty matka nie zagrała jakiejś wesołej i skocznej melodyjki. Cała trójka tańczyła do zawrotu głowy, a najbardziej ze wszystkich szalał właśnie Hal. Wreszcie Katherine zamykała fortepian, wracała na fotel i zaczynała dzieciom czytać - powoli, wyraźnie, tłumacząc niezrozumiałe słowa.

- Ty się dla nich zamęczasz - rzekł pewnego dnia Henry. - Nie dają ci ani chwili spokoju.

- Dzieci nigdy mnie nie męczą. Gdyby tak było, odesłałabym je do ich pokoi.

- Nie wierzę - odparł z urażoną miną. - Masz za silne poczucie obowiązku. Gdyby Hal skarżył się na jakąś wyimaginowaną dolegliwość, to nawet ze straszną migreną przesiedziałybyś przy nim cały dzień, zapominając o sobie. Wieczorem zaś, kiedy chcę, żebyś poświęciła mi trochę uwagi, jesteś zupełnie wyczerpana.

- Kochany, czy czasem nie jesteś niesprawiedliwy? Czy kiedykolwiek byłam dla ciebie zbyt zmęczona?

Patrzył na nią przez chwilę z dziecinnym buntem na twarzy, ale zaraz się rozpogodził. Pochylił się i ucałował jej dłoń.

- Wybacz. Po prostu za bardzo cię Kocham.

Wyszedł z pokoju, bardzo zawstydzony swym wybuchem. Musiał omówić ze stróżem szczegóły sobotniego polowania, wciąż jednak tkwiły mu w myśli słowa wujka Williego Armstronga: „Mam nadzieję, że Kitty jest ostatnia. Gdyby Katherine znów zaszła w ciążę, nie ręczę za skutki”.

Ach, lepiej o tym zapomnieć. Henry zawsze starał się nie pamiętać o przykrościach, uszczypliwych słowach i kłopotach. Czyż to nie jedna z dewiz jego matki? Otrzymywał od niej czasem pisane w pośpiechu liściki o wszystkim i o niczym, a kiedy z rzadka decydowała się przyjechać, zawsze się okazywało, że chce pożyczyć pieniędzy. Henry nie pytał jej więcej, na co potrzebuje, po prostu wypisywał czek i wręczał jej bez słowa. Brzydził się tym i próbował zepchnąć całą rzecz do najdalszego zakamarka umysłu. Był to jego jedyny sekret przed Katherine. Skóra cierpła mu na myśl, że rodzina i znajomi prędzej czy później dowiedzą się o beztroście matki w sprawach finansowych i wybuchnie skandal, tak jak w związku z Johnniem.

Tymczasem zanosilo się na wielkie uroczystości. Trzeciego marca 1870 roku przypadała pięćdziesiąta rocznica powstania kopalni i Henry zdecydował się uczcić ją w wielkim stylu. Do uroczystego obiadu na terenie kopalni mieli zasiać wraz z rodzinami wszyscy zatrudnieni oraz załoga statków transportujących rudę do Bronsea. Będą toasty, przemówienia i wszystkie inne obrządki, w których Henry się lubował. Następnego wieczoru odbędzie się w Clonmere drugi bankiet dla tych, którzy w ten czy inny sposób przyczynili się do pierwotnej umowy, powołującej spółkę górnica. Zaproszenia otrzymają Lumleyowie z Duncroom, Flowerowie z Andriff (oczywiście wszyscy są kuzynami Brodriców), a także ci spośród okolicznych panów, którzy w ciągu pięćdziesięciu lat czerpali zyski z kopalń na Hungry Hill. Ze swej plebanii na północy przyjadą Bill i Fanny Eyre z córką i synem, a z Lletharrog Herbert z żoną i synami. Nie zabraknie Edwarda (niedawno wrócił z zagranicy) ani ciotki Elizy, jeśli staruszka nie przestraszy się przeprawy w okresie największych sztormów. Oczywiście honorowe miejsca przypadną Tomowi z żoną oraz wujowi Wil-liemu Armstrongowi, który sprowadził Henry'ego na ten świat. Nawet dzieciom - Molly, Halowi i Kitty pozwoli się z tej okazji usiąść z dorosłymi do stołu. Henry miał mnóstwo planów - obmyślał jeden po drugim z szybkością błyskawicy, aż wreszcie Katherine orzekła ze śmiechem, że kręci jej się w głowie, zresztą i tak nie wiadomo,

gdzie podziąć tych wszystkich gości. Chłopy Herberta mogą spać w szopie na łodzie, a Edward z żoną na strychu. Henry skwitował to machnięciem ręki.

- Tom i wuj Willie na pewno przenocują parę osób, a z resztą jakoś sobie poradzimy. Ale za rok będziemy potrzebowali dwa razy tyle miejsca.

- Dlaczego? Co masz na myśli?

Pokręcił tylko głową i nie wyciągnęła już z niego ani słowa. Zastanawiała się, co za nowy projekt kluje mu się w niezmordowanym mózgu.

Pierwszy dzień marca nadciągnął wcale nie jak przysłowiowy lew*¹³, tylko spokojnie i pogodnie. Lekka zachodnia bryza od zatoki Mundy zmarszczyła powierzchnię potoku, na skarpie wystrzeliły z ziemi złociste i fioletowe krokusy. Na niebie nie było ani jednej chmurki, Hungry Hill tonęło w słonecznym blasku. Do Clonmere zawitali pierwsi Brodrickowie: Herbert i Cathie z synami Robertem i Bertiem, Edward z nowo poślubioną Winifred, po południu zjechali Eyre'owie z dziećmi Williamem i Marią. Wraz z mieszkańcami Lle-tharrog przybyła ciotka Eliza, która mimo swych siedemdziesięciu dwóch lat zniosła podróż lepiej od innych. Ach, jak to miło, myślał Henry, znów mieć całą rodzinę pod jednym dachem! Brat ścisnął rękę bratu, ich żony obejmowały się serdecznie, mali kuzynkowie obserwowali się wzajemnie spod oka.

Wszyscy razem zasiedli do obfitego podwieczorku przy stole w jadalni. Ciotce Elizie przypadło honorowe miejsce u szczytu, co sprawiło jej niekłamaną przyjemność.

- Tyle razy siadywałam przy tym stole z waszym dziadkiem na miejscu Henry'ego i Barbarą u szczytu! Twój ojciec ciągle spóźniał się na posiłki, co gniewało dziadka, zresztą muszę przyznać, że sama też nie znoszę niepunktualności, to takie niestosowne. Barbara nigdy nie upominała Johna, miała dość miękki charakter, a oczywiście Jane nie mogła znieść, kiedy na niego napadano. Biedna Jane, gdyby żyła, miałyby sześćdziesiąt lat...

Hal, nieco skrepowany wspaniałością nowego munduru Eton oraz dużym białym kołnierzykiem, który pozwolono mu włożyć z powodu uroczystej okazji i zbliżających się dziesiątych urodzin, popatrzył na portret nad kominkiem. Jak dobrze, że cioteczna babka pozostała na zawsze taka młoda i piękna, zamiast ze-

¹³ * Według angielskiego przysłowia marzec nadciąga jak lew, a odchodzi jak baranek.

starzeć się jak ciotka Eliza, która krzyczała na niego za hałasy na schodach. Ale nawet owa Jane nie wytrzymuje porównania z mamą na sąsiednim portrecie. Hał, zerkając to na obraz, to na oryginał, przyciągnął wreszcie wzrok matki i uśmiechnął się do niej promiennie. Ucieszyło go, że dostrzegła te spojrzenia - to tak, jakby mieli wspólny sekret. Wtem ktoś go kopnął pod stołem; Molly ze zmarszczonymi brwiami mówiła mu bezgłośnie: „Przestań bujać w obłokach”. Dopiero wówczas zorientował się, że siedzący obok Robert z Lletharrog pyta go z wyżyn swych trzynastu lat, jakie ryby można łowić w potoku.

- Łososie i łaszki - odpowiedział grzecznie. - Może popłyniemy jutro łódką, jeśli mój ojciec się zgodzi?

- Ee, morskie ryby są do kitu, u nas łowi się pstrągi.

- W jeziorze na Hungry Hill także są pstrągi. Podobno wpuszczają je tam wróżki. W nocy ryby zamieniają się w starych ludzików i pracują w kopalniach.

Trzynastoletni Robert wytrzeszczył na niego oczy, po czym odwrócił głowę. Hał to mięczak, uznał, w dodatku jakiś dziwny. I rozpoczął dyskusję o krykocie z poważnym Williamem Eyre'em.

Pogoda utrzymała się aż do wieczornej uroczystości. Mieszkańcy Doonhaven obserwowali z progów swych domostw powozy zmierzające w stronę kopalni. Młodszy i ciekawsi tłoczyli się na drodze, pod wrażeniem pogłoski, że „panowie” mają zasiąść do jednego stołu z górnikiem. Nad Hungry Hill świecił księżyc w pełni i kiedy powozy zatoczyły koło przed starymi suszarniami, jasno było jak w dzień. Starannie wysprzątane hale przeobraziły się na ten wieczór w salę bankietową z trzema olbrzymimi stołami pośrodku. Wzdłuż ścian rozmieszczono kandelabry ze świecami, wypożyczono też ze szkoły długie ławki, na których mieli siedzieć biesiadnicy. Na końcu ustawili się z ważnymi minami kelnerzy z firmy w Słane. Kiedy nadjechali Brodrickowie, górnicy siedzieli już na miejscach. Pan Griffiths zachęcił zebranych, by powitali Henry'ego i Katherine trzykrotnym „hura” i brawami. Zaskoczeni państwo Brodrick zatrzymali się w progu.

- Podziękuję wam po kolacji - oznajmił Henry z uśmiechem, kiedy umilkły brawa. - Teraz zajmujemy się głównym zadaniem tego wieczoru, mam nadzieję, że jesteście tak samo głodni, jak ja.

Zupa, pieczony baran i wół, szczodrze podlane piwem, a na deser placek z jabłkami sprawiły wszystkim w doskonały humor. Szmer głosów, początkowo dość cichy, podniósł się pod koniec aż do ryku.

Henry mrugnął do siedzącego obok dyrektora i zauważył, że najlepsza droga do serca mężczyzny prowadzi przez żołądek. Kiedy nadeszła pora na wystąpienie, mówił krótko, gdyż, jak się wyraził, komu by się chciało słuchać przemówień po dziewiątej wieczorem. Jutro mają wolny dzień, więc pewnie wszyscy śpieszą się do domu, żeby się nim nacieszyć. Ogłosił podwyżkę płac dla górników, począwszy od następnego dnia, co zostało przyjęte rykiem aplauzu, a zakłócone tylko jednym okrzykiem z końca: „Lepiej późno niż wcale!”. Henry, mając w pamięci wiec wyborczy w Bronsea, zniósł to z kamiennym spokojem.

- Muszę przyznać, że ten pomysł, który dotyka głównie moich własnych interesów, nie wyszedł ode mnie, tylko od pani Brodrick.

Nastąpiła kolejna seria braw dla Katherine, która uśmiechnęła się i lekko zaczerwieniła, ale nie zabrała głosu.

- Pięćdziesiąt lat temu w Duncroom - ciągnął Henry - mój dziad John Brodrick podpisał z panem Robertem Lumleyem umowę w sprawie utworzenia kopalni na Hungry Hill. Pierwsi górnicy pochodzili przeważnie z Kornwalii, kilku emerytów z tej grupy jest dziś wśród nas, a ich dzieło kontynuują osiedleni tu potomkowie. Reszta to mieszkańcy Doonhaven i okolicy, czyli synowie tego kraju. Wiedzą oni, że nasz granit nie poddaje się tak łatwo ciosom kilofa, jak wapienne klify zza wody. Mój dziad od początku musiał sprowadzać dynamit, a choć dziś maszyny i środki wybuchowe znacznie ulepszono, wciąż mamy do czynienia z tą samą upartą skałą. Nadal nękają nas zachodnie sztormy, które zimą zatrzymują statki z rudą w porcie, a przede wszystkim musimy zmagać się z dziwną sprawą fluktuacji cenowych. Wiadomo, że w handlu miedzią zdarzają się hossy i bessy, których nie sposób przewidzieć. Ma to swe źródło w wahaniach popytu oraz w odkryciach innych krajów. Kopalnie miedzi na Hungry Hill, jak każdy koncern górniczy, także miały pewne kłopoty. Mój dziad musiał uporać się z buntami górników, powodzią i innymi trudnościami. Z przyjemnością stwierdzam, że mnie to ominęło. Dzisiejsze kłopoty polegają na czym innym. Musimy liczyć się z prawem popytu i podaży oraz niedoborem siły roboczej. Wielu naszych ziomków wyjeżdża do Ameryki, gdyż tamtejsze firmy oferują im - przynajmniej na papierze - korzystniejsze warunki. Poza tym im głębiej schodzimy pod ziemię w poszukiwaniu miedzi, tym większy opór stawia stare granitowe cielsko Hungry Hill. Pewnego dnia - być może niedługo - zadamy skale ostatni cios i zrozumimy, że najlepsza miedź została już wydobyta, a to, co zo stało, nie jest warte zachodu. Zanim jednak ów dzień nastąpi, życzę wam, drodzy przyjaciele, szczęścia i wszelkiej pomyślności i z całego serca dziękuję za lojalność, zapał i odwagę.

Usiadł, a sala zatrzęsa się od oklasków. Słuchając ich, Henry zastanawiał się, czy dziadek przemówiłby w podobnym stylu. A może zgodnie z duchem epoki trzymałby słuchaczy przez okrągłą godzinę, nie bacząc na oznaki zniecierpliwienia?

W imieniu górników odpowiedział dyrektor Griffiths, potem zaś były śpiewy, rozmowy i znowu śpiewy, aż wreszcie około jedenastej, kiedy powietrze w suzarni zgęstniało od dymu i towarzystwo zdrowo sobie popiło, Brodrickowie wymknęli się wraz z rodziną do powozów i ruszyli do domu w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku.

- Mam nadzieję - odezwała się ciotka Eliza - że ci ludzie są wdzięczni Henry'emu za wszystko, co dla nich zrobił. Chociaż z nimi zawsze jest tak samo; każdą uprzejmość przyjmują tak, jakby im się należała. Osobiście uważam, że te wszystkie ulepszenia tylko ich rozleniwiają. Za czasów mojego ojca cały urobek wynosiło się na powierzchnię kubłami, a teraz tyle tych maszyn...

- Powinnaś zostać dyrektorem, ciociu - zaśmiał się Henry. - Trzymałabyś ich krótko przy pysku i nie dała ani pensa podwyżki. Czy to prawda, że dziadek karał ich chłostą?

- Bynajmniej by im nie zaszkodziła, ale chyba nie. Natomiast podczas buntu w 1825 roku wysadził kilku ludzi w powietrze. I miał rację, kłopoty skończyły się, jak ręką odjął.

- Musieli być jednak bardzo rozgoryczeni - zauważyła Katherine.

- Co za bzdury! Po prostu dostali nauczkę. Ojciec zawsze uważał, że wystarczy raz okazać słabość, a zaraz wsadzą ci nóż w plecy.

- Ale można przecież wybrać jakąś pośrednią drogę między okrucieństwem a słabością? Z braku lepszego słowa nazwałabym to zrozumieniem.

- Skądże znowu - rzekł Henry. - Oni nie potrzebują zrozumienia, to naruszyłyby ich poczucie sprawiedliwości. Oni wręcz lubują się w złych uczynkach. Dziadek miał absolutną rację. Czy myślisz, że teraz, kiedy dałem im podwyżkę, będą lepiej pracować? Ani trochę! Aha, powiedzą sobie, pan Brodrick poszedł na ustępstwa. Skoro tak, to wydłużymy przerwę i wypalimy jeszcze po jednej lulce.

- Czyżbyś dał im podwyżkę, aby z nich więcej wycisnąć? - spytała Katherine.
- Przecież razem doszliśmy do wniosku, że mają za niskie płace i rodziny na tym cierpią.

Henry ze skruszoną miną sięgnął po jej rękę.

- Oczywiście, ale znasz przysłowie o dwóch pieczeniach przy jednym ogniu... Co, u diabła, wyprawia ten Tim?

Powóz przechylił się gwałtownie, rzucając Henry'ego na Katherine. Nastąpiło szarpnięcie i konie, ślizgając się na podkowach, stanęły. Tim na nie krzyczał, pojazd kołysał się między kołami, wreszcie Henry'emu udało się wyskoczyć.

- To nie moja wina, proszę pana - tłumaczył się pobladły Tim, gramoląc się na ziemię. - Wylazł prosto na środek drogi i wpadł pod kopyta, zanim zdołałem zatrzymać konie. Na pewno był pijany...

Poszedł uspokoić zwierzęta, Henry zaś pochylił się nad leżącym twarzą do dołu człowiekiem. Tymczasem nadjechał drugi powóz i Tom z Herbertem, zorientowawszy się w sytuacji, rzucili się na pomoc.

- Czy ktoś jest ranny? - spytał Tom.

- Jakiś idiota wylazł z za żywopłotu prosto pod konie - poinformował go Henry. - Tim w niczym nie zawinił. To szczęście, że nie wylądowaliśmy w rowie. Zdejmij latarnię, Herbertcie, obejrzymy, co mu jest.

Przy pomocy Toma wyciągnęli nieszczęśnika spod powozu i ułożyli go na wznak.

- Chyba złamał kręgosłup - rzekł cicho Tom. - Poluzujmy mu kołnierzyk i obróćmy twarzą do światła. Henry, niech Katherine i twoja ciotka wsiądą do naszego powozu i wracają do domu, to nie jest widok dla ich oczu. Herbertcie, zaopiekuj się nimi?

- Co się stało? Kto to jest? - spytała Katherine, wysiadając z powozu. - Biedaczysko! Henry, pozwól mi pomóc.

- Nie, kochanie. Chcę, żebyś wróciła do domu. Zrób, co ci mówię. Katherine wahała się przez chwilę, ale zaraz ujęła ciotkę pod ramię i obie zawróciły do drugiego powozu.

- Jedź! - krzyknął Henry na stajennego. - Zaraz ruszymy za wami.

Po chwili przyłączyli się do nich Edward i Bill Eyre.

- Co za parszywa sprawa - rzekł Edward. - Czy ten człowiek nie żyje?

- Obawiam się, że tak - odparł Tom. - Koło przejechało mu przez głowę.... Przenieśmy go do powozu i odwieźmy do ambulatorium; Trzeba ściągnąć lekarza. Tego młodego, nie doktora Armstronga, chociaż nie sądzę, by coś zdiagnozował. Nie poznaję tego gościa, chyba nie jest z Doonhaven. Około czterdziestu pięciu lat, siwiejące rude włosy. Poświeć tu jeszcze.

Ponownie przyjrzeni się twarzy zmarłego. Była mocno zniekształcona, ale te rudawe włosy i wytrzeszczone niebieskie oczy potrafiły jakąś strunę w pamięci Henry'ego, wyzwalać lawinę wspomnień.

- Dobry Boże... - wyszeptał. - Toż to Jack Donovan!

Bracia patrzyli na siebie w milczeniu, tymczasem stary Tim pochylił się nad zabitym i zaczął mu się przyglądać.

- Ma pan rację, to on. Słyszałem, że wrócił z Ameryki, ale go jeszcze nie widziałem. I po co mu to było? Tylko po to, żeby się urznąć i wpakować mi pod koła...

- Czy to ten człowiek, o którym mi kiedyś opowiadałeś? - spytał cicho Tom.

- Tak, ten. Co za fatalny wypadek! Po diabła musiał wracać?

- Nie ma co tego roztrząsać. Musimy zawieźć go do miasteczka. Kto jest jego najbliższym krewnym? Czy czasem jego ciotką nie jest pani Kelly? A stryjem ten łajdak Denny, który ma pub?

- Tak, proszę pana - przyznał Tim. - Denny rzeczywiście jest jego stryjem, tylko że nigdy nie trzeźwieje, więc nie ma po co go budzić. Ale jego syn Pat ma nieduże gospodarstwo za wzgórzem i tam pewnie zatrzymał się Jack.

- Rano będzie dość czasu na to wszystko - orzekł Tom Callaghan. - Teraz zawieźmy biedaka do ambulatorium.

Co za straszny koniec wieczoru, myślał Henry, gdy powóz ze swym nieszczęsnym ładunkiem zjeżdżał ze wzgórza do Doonhaven. Dlaczego musiał to być akurat Jack Donovan, który wrócił z Ameryki, by zakończyć tak głupio życie? I dlaczego nie wlaź pod jakiś inny powóz? Henry nie czuł ani odrobiny litości, Jack był łajdakiem pod każdym względem i dobrze, że świat się go pozbył, ale śmierć pod kopytami koni, zwłaszcza po tak miłej uroczystości, zawsze oznacza przykrość i kłopot. Owszem, poza samą ofiarą nikt nie ponosi winy, a jednak rzecz się stała i wskrzesiła przeszłość wraz ze wszystkimi bolesnymi sprawami, o których lepiej nie pamiętać...

Dopiero po północy Henry z braćmi wrócili do Clonmere, pozostawiwszy ciało Jacka Donovana w ambulatorium. Wezwany lekarz stwierdził, że śmierć nastąpiła natychmiast. Tim w niczym nie zawinił, to oczywiste, że zmarły był pijany. Lekarz obiecał, że sam zawiadomi rano Pata, Tom Callaghan także zgłosił chęć pomocy.

- Nie musisz się o nic kłopotać - powiedział Henry'emu. - Ja tu jestem proboszczem i przywykłem do załatwiania takich spraw, nawet jeśli Donovanowie nie należą do Kościoła. Masz pełen dom ludzi, i to o nich powinieneś się troszczyć.

Zamek w księżycowej poświacie wydawał się zupełnie cichy i tylko smużka światła z okna sypialni wskazywała, że Katherine nie śpi i czeka na ich powrót. Henry obawiał się, że żona za bardzo weźmie sobie wypadek do serca. Przeklęty Jack Donovan, oby z piekła nie wyrżał! Bracia poszli spać, ale Henry został na dole, zastanawiając się, czy nie powinien wymyślić jakiejś bajeczki na użytek Katherine. Nie, to na nic, nigdy nie potrafił jej kłamać. Stał przy frontowych drzwiach, patrząc za potok, w stronę Hungry Hill. Wzgórze otulał mrok; błądy, zimny księżyc świecił teraz wysoko nad wyspą Doon. Pięćdziesiąt lat temu dziadek też pewnie tak stał, wiedząc, że po podpisaniu umowy otwiera się przed nim przyszłość. A za następne pół wieku? Czy jego wnuk, może syn Hala, będzie patrzył na ten sam księżyc i białe, pokancerowane ściany Hungry Hill?

Zamknął za sobą drzwi i wszedł cicho na górę, do pokoju Katherine. Siedziała w łóżku, czekając na niego, z włosami splecionymi w dwa warkocze jak u dziewczynki. Wyglądała blado i była wyraźnie zdenerwowana.

- On na pewno nie żyje - brzmiały jej pierwsze słowa. - Czułam to już w chwili, kiedy kazałeś mi wracać.

- Owszem, nie żyje.

Opowiedział jej, co działo się później - jak zawieźli ofiarę do ambulatorium, jak wezwali lekarza. Kiedy jednak zapytała o nazwisko, zawahał się, przeczuwając intuicyjnie, że Katherine jeszcze bardziej się zmartwi.

- To był Jack Donovan - wykrztusił w końcu. - Podobno wrócił niedawno z Ameryki.

Prawie nic nie odpowiedziała, a kiedy rozebrał się i położył, zdmuchnęła świece i leżała w milczeniu. Przyciągnął ją do siebie, ale gdy ucałował jej oczy, stwierdził, że są mokre od łez.

- Nie myśl o tym - poprosił. - To nieszczęśliwy wypadek, paskudna sprawa, poza tym doktor powiedział, że śmierć nastąpiła natychmiast. To był niepoprawny człowiek, znowu pewnie narobiłby kłopotów w okolicy. Proszę cię, kochanie, dajmy temu spokój.

- Ja nie płaczę z powodu Jacka Donovana.

- Więc dlaczego? Nie powiesz mi?

- Płaczę, bo przypomniałam sobie Johnniego i jego nieszczęśliwe życie. Mogłam zrobić dla niego dużo więcej...

- To absurd. Cóż takiego mogłabyś zrobić?

Oczywiście to przez Jacka Donovana przypomniała im się dawna tragedia. Johnnie nie żył od dwunastu lat i Katherine nigdy dotąd o nim nie mówiła. A teraz leżała w ramionach męża i po policzkach ciekły jej łzy. Po raz pierwszy w życiu poczuł igielkę zazdrości. Jakie to dziwne i niepokojące, że jego ukochana żona, zawsze taka chłodna i opanowana, płacze jak dziecko z powodu dawno nieżyjącego szwagra...

- To był okropny wypadek. Przeżyłaś szok. Wiele bym dał, żeby do tego nie doszło. Katherine, najdroższa, kochasz mnie, prawda? Bardziej niż kogokolwiek innego? Bardziej niż dzieci, niż Hala?

Nagle zapomniał o uroczystej kolacji w kopalni, o brawach i toastach, nawet o strasznym wypadku w drodze do domu. Teraz zależało mu tylko na zapewnieniu o jej miłości. Gdyby miał zwątpić w Katherine, zwątpiłby we wszystko.

- Kochasz mnie? - pytał gorączkowo. - Czy ty... czy...

4

Henry uznał, że jednak nie wynajmą na sezon domu w Londynie. Po pierwsze, obaj lekarze - ten nowy i wuj Willie - orzekli, że to zbyt duży wysiłek dla

Katherine. Po drugie zaś, chciał osobiście nadzorować prace nad rozbudową zamku. Tego właśnie dotyczył sekret, wyjawiony rodzinie podczas marcowych uroczystości. Henry nawiązał kontakt ze znanym architektem, który na jego zamówienie nakreślił plan zupełnie nowego frontonu.

- Jak mój ojciec i ciotki mogli mieszkać w takiej ciasnocie? - dziwił się. - Ciotka Eliza zawsze powtarzała, że za czasów dziadka nie mogli zapraszać gości na noc.

Uśmiechnął się do żony i podniecony, jak dziecko nową zabawką, rozwinął przed nią rulon dostarczony przez architekta.

- Przyznasz najdroższa, że ta nowa część, w której zamieszkamy my i nasi goście, naprawdę robi wrażenie.

Katherine wzięła projekt do ręki.

- To istny pałac! Co my zrobimy z takimi wielkimi pokojami?

- Nie sądzisz, że pomysł wielkiego hallu jest wspaniały? Zawsze wstydzilem się trochę tej małej sieni, tylko trochę szerszej od zwykłego korytarza. Nie to, co w Andriff i innych miejscach, gdzie zdarzało mi się bywać. A schody? Imponujące, prawda? Oczywiście trzeba będzie kupić kilka dobrych obrazów do galerii. Następnej zimy wypuścimy się na zakupy do Florencji i Rzymu. A teraz spójrz, tu jest coś, co cię najbardziej ucieszy: buduar, twój własny buduar, między naszą sypialnią a gościnnym pokojem, w rogu. Z balkonem nad frontowymi drzwiami! A tu moja garderoba z oknem wychodzącym na las... No powiedz, podoba ci się buduar? Sam wpadłem na ten pomysł! Katherine dotknęła jego policzka.

- Oczywiście, że mi się podoba. To prawda, zawsze chciałam mieć mały pokoik tylko dla siebie, gdzie mogłabym pisać w spokoju listy i gdzie nikt by mi nie przeszkadzał.

- I to z takim widokiem! Najpiękniejszym z całego zamku, na potok i Hungry Hill! Wiesz, kochanie, gdybyś kiedy czuła się osłabiona, przyniosą ci tu śniadanie, wystarczy przejść z sypialni. W tych nowych pokojach przez cały dzień będzie słońce, a do tej pory zniknęło zimą zaraz po lunchu. Myślę, że to dlatego jesteś często taka blada.

Zwinął arkusz i wyciągnął następny, ukazujący techniczne szczegóły konstrukcji nowego dachu i kominów.

- To cię zbytnio nie zaciekawia, ale zobacz, jakie śliczne wieżyczki! Zupełnie jak na obrazach zamków nad Loarą!

Katherine obserwowała go z sofy. Tyle było w nim entuzjazmu, tyle żaru! Przebudowa zamku zajmie mu w ciągu najbliższych miesięcy wszystkie myśli, nie zostawiając czasu na nic innego. Już to samo stanowiło powód do zadowolenia. Przynajmniej nie będzie miał kiedy martwić się o nią...

- Jak długo to potrwa? - zapytała.

- Niecały rok. To, niestety, oznacza, że wszędzie będą się kręcić robotnicy. Chyba nie masz nic przeciwko temu, prawda? A może wolisz spędzić lato w Lletharrog u ciotki Elizy? Lekarze na pewno się zgodzą.

- Nie. Nie chcę znowu wyjeżdżać z Clonmere.

Potem przyszły dzieci i trzeba było raz jeszcze wyciągnąć projekt.

- Prawdziwy zamek z bajki! - zachwyciła się Molly na równi z ojcem. - Patrz, Kitty, nie będziemy już musiały mieszkać w jednym pokoju. Obecną sypialnię mamy przerobi się na pokój szkolny, a panna Frost może sypiać w starej garderobie ojca.

To ostatnie bardzo je rozśmieszyło.

- A co ze mną? - spytał Hal. - Czy mogę dostać pokój na wieży?

- Myślałem o umieszczeniu tam kogoś ze służby - odparł Henry -ale jeśli masz ochotę, to proszę bardzo. Zdaje się, że mój ojciec tam sypiał, będąc w twoim wieku.

- To najmiłszy pokój w całym domu - cieszył się Hal. - Będę tam malował. Dlaczego musimy mieć aż dwa pokoje dzieciinne, dzienny i nocny? Przecież Kitty także już się uczy i może jadać z nami w szkolnym?

Henry zerknął na Katherine, która pochyliła głowę nad igłą.

- Może pewnego dnia dostaniecie nowego brata albo siostrę.

- Ach tak? - zdziwił się Hal.

Niezbyt go to interesowało. Tak czy inaczej po dziesiątej niania nie będzie miała nad nim władzy, przynajmniej tyle dobrego. Podparł brodę rękami i przyjrzał się planom. Tak, pokój na wieży to coś w sam raz dla niego. Znajdzie klucz i

będzie się zamykał, żeby panna Frost nie mogła wejść. Będzie malował obrazy - naprawdę duże płótna - i rozwiesi je na ścianach jak prawdziwy artysta...

Robotnicy zabrali się do pracy zaraz po Wielkanocy. Podczas długiego ładnego lata 1870 roku w Clonmere bez ustanku stukwały młotki. Rusztowania pokryły całą starą fasadę, wszędzie spotykało się drabiny, stosy kamieni i worki gipsu. Nowa część zamku pomniejszyła optycznie starą, ciężką bryłę oryginalnego budynku. Słońce w pokojach zniknęło teraz jeszcze szybciej niż przedtem, ponieważ dobudowana część nieco wystawała, zagarniając światło.

- Widzisz - mówił Henry - o ile lepiej nam będzie w nowych pokojach. Są niemal dwakroć większe i i znacznie wyższe. W tych starych już się czuje ciasnotę, nie mogę się wprost doczekać końca robót.

Dzieci były zafascynowane postępem budowy. Gonili się po nowych wnętrzach, chociaż brakowało sufitów i połowy ścian. Guwernantka, panna Frost, długo musiała szukać swych podopiecznych, zanim odkryła Molly na szczycie wysokiej drabiny, gdzie groziło jej złamanie karku. Kitty z zabrudzoną ziemią buzią wpełzała z czeluści nowej piwnicy, Hal zaś asystował przy mieszaniu cementu i babrał się w mokrej glinie. Każdego dnia w południe Henry obchodził front robót z architektem, który przyjechał do Clonmere na całe dwa tygodnie, po czym obaj panowie pograżali się w dyskusji, czy duży komin nie zepsuje wyglądu budynku albo jaka powinna być odległość między oknami czy wysokość frontowych drzwi. Henry przyglądał się wszystkiemu krytycznym okiem, z rękami w kieszeniach i przekrzywioną głową, architekt pilnie kreślił na kartce jakieś liczby.

Hal nagle doszedł do wniosku, że ma dość obecności tylu ludzi. Pobiegnął przez las do starego pawilonu, gdzie lubiła wypoczywać matka. Ostatnio nie mogła dużo chodzić i przeważnie leżała. Musiała wyczuć jego obecność, bo natychmiast odwróciła głowę z uśmiechem.

- Tak myślałam, że jakiś chłopczyk na mnie patrzy. Wszedł do środka i usiadł przy niej na krześle.

- Namalowałem ci obrazek - rzekł, sięgając do kieszeni. - Potok przy bardzo złej pogodzie.

Pokazał jej obszarpaną kartkę i czekał niecierpliwie na wyrazy uznania.

Zwykły dziecinny rysunek - drzewa i potok bez żadnych proporcji, z falami jak z sennego koszmaru i deszczem lejącym się z ciemnej chmury niczym atra-

ment. A jednak coś w nim było oprócz nieporadnych starań. Jedno z drzew, pochylone na wietrze, wyglądało jak żywe, poza tym kolor nieba...

- Dziękuję. Sprawileś mi wielką radość.

- Jest dobry? Naprawdę? Bo jeśli nie, to zaraz go podre! ^f Przytrzymała go za rękę.

- Jest zupełnie dobry, jak na twój wiek, ale wybrałeś sobie trudny temat. Niejeden prawdziwy artysta miałby z tym kłopot.

Hal gryzł paznokcie, patrząc zezem na obrazek.

- Lubię malować najbardziej ze wszystkiego, ale jeśli nie mogę być lepszy od innych, to wolę przestać.

- To złe podejście. W ten sposób ludzie stają się małostkowi, zazdrośni i nie szczęśliwi. Zawsze znajdzie się ktoś, kto robi coś lepiej od ciebie. Wystarczy, że dasz z siebie wszystko.

- Nie obchodzi mnie, co ludzie mówią. Po prostu sam muszę wiedzieć, że to, co robię, jest dobre. Inaczej czuję się podle.

Katherine objęła go ramieniem.

- Rysuj dalej swoje obrazki. Rysuj dlatego, że to lubisz, nieważne, czy będą złe, czy dobre. Potem obejrzymy je razem i porozmawiamy, jakie są naprawdę.

Tak przeszło lato, potem jesień, a z początkiem stycznia, jak obiecał architekt, nowe skrzydło miało się nadawać do zamieszkania. Mury i dach były gotowe, podłogi ułożone, tylko ścianki działowe jeszcze w budowie. Z dużego hallu prowadziły przestronne schody do galerii. Henry z Katherine, wspartą na jego ramieniu, spacerowali tam, wybierając miejsca pod przyszłe obrazy, dzieci goniły się po korytarzach, ich głosy odbijały się echem od wysokiego sufitu.

- Polubisz te pokoje, prawda? - dopytywał się Henry. - Wszystko to zaplanowałem specjalnie dla ciebie, wiesz o tym, prawda?

Wciąż oprowadzał ją po pokojach, zwracając uwagę żony na to, co go szczególnie cieszyło - wspaniały kominek w salonie, wielkość nowej biblioteki, zdolnej nareszcie pomieścić wszystkie książki. Ale najbardziej lubił pokazywać jej buduar wraz z przylegającym balkonikiem.

- Latem będziesz mogła tu sobie leżeć. Specjalnie zamówiłem szerokie drzwi, żeby fotel się mieścił. A w zimie zasiądziesz przy kominku. Jeśli będę chciał, żebyś zeszła na dół, rzucę w okno garść kamyków.

- Tak - uśmiechnęła się Katherine, patrząc z balkonu na Hungry Hill. - Zawsze marzyłam o czymś takim.

Otoczył ją ramieniem i stali razem, obserwując robotników na dole.

- Kiedy już dojdiesz do siebie, wyjedziemy na kilka miesięcy za granicę, do Francji i Włoch. Będziemy kupować co tylko dusza zapagnie, meble, obrazy... Nad szczytem schodów chciałbym mieć „Madonnę” Botticellego, był też taki malarz Filippo Lippi, który namalował Madonnę zupełnie podobną do ciebie. Wisi nad ołtarzem w jednym z florenckich kościołów, pamiętasz? Oglądaliśmy ten obraz razem w rok po narodzinach Hala. W galerii zgromadzimy samych prymitywistów, a współczesnych malarzy możesz mieć w buduarze.

- Obawiam się, że pan Henry wyda całą fortunę.

- Pan Henry chce mieć dom tak piękny, jak jego żona. Dla mojego domu, mojej żony, moich dzieci muszę zdobyć wszystko, co najlepsze. Perfekcja albo nic, żadnych kompromisów.

- To bardzo niebezpieczne - uśmiechnęła się Katherine. - Można się ciężko rozczarować. Niestety, Hal też jest tego zdania, obawiam się, że czeka go wiele zawodów.

W połowie grudnia Henry musiał wyjechać na cztery dni do Slane na sesję sądu. Trzeciego dnia po powrocie do hotelu zobaczył na werandzie Toma Callaghana.

- Co proboszcz Doonhaven ma do roboty w Slane? - spytał ze śmiechem. - Chyba nie masz być świadkiem w sprawie o morderstwo? Chodź, zjemy razem obiad.

- Nie, dziękuję, stary. Przyjechałem po ciebie.

- Co się stało? - Henry chwycił go za ramię. - Czy Katherine...

- Wczoraj rano była trochę przeziębiona, ale całkiem bez sensu wstała z łóżka i poszła z dziećmi do ogrodu. Wieczorem jej stan się pogorszył i panna Frost postanowiła wezwać lekarza. Według niego, dziecko jest w drodze, więc prosił, żebym cię przywiózł. Jeśli jesteś gotowy, to proponuję, byśmy natychmiast ruszyli.

Mówił spokojnym, przyjaznym tonem. Poczciwy, stary Tom, myślał Henry. Prawdziwa podpora w ciągu tych wszystkich lat, najlepszy przyjaciel na świecie. Kazał nawet spakować jego rzeczy, bagaże czekały już w hallu. Henry napisał kilka słów usprawiedliwienia do sędziego, który zasiadał z nim w ławie, i wyjechali.

- Dzieci zabraliśmy do Heathmount. Pomagały w kuchni smażyć dzemy, narobiły straszego bałaganu, ale były uszczęśliwione. Mogą zostać nawet na kilka dni w razie potrzeby.

- Nie sądzę, by to długo potrwało, jeśli, jak powiedziałaś, poród się zaczął. Z tego, co pamiętam, Kitty dość szybko przyszła na świat.

- Nie zawsze jest tak samo. Kitty urodziła się ponad sześć lat temu, a Katherine od tej pory nie jest zbyt silna. Ale ten młody lekarz zna się na swojej robocie. Stary Armstrong uparł się, że także przyjedzie, bardziej ze względu na ciebie niż z konieczności.

- No cóż, wszystkich nas sprowadził na świat, więc zdążył liźnąć trochę wiedzy.

Kiedy dotarli do Clonmere, zbliżała się siódma. Wuj Willie musiał usłyszeć powóz, bo czekał na schodach.

- Cieszę się, że cię widzę, Henry - powitał go swym zwykłym, burkliwym głosem. - Jest przy niej młody McKay. Nic się nie zmieniło od wyjazdu pastora. Powinniście się czegoś napić. Nikt z nas niczego nie przyśpieszy.

I poszedł pierwszy do jadalni.

- Zajrzę najpierw do Katherine - powiedział Henry, ale Armstrong chwycił go za ramię.

- Lepiej nie. Na pewno chętnie cię zobaczy, ale dopiero po wszystkim. Teraz chodźcie do stołu, zostawili wam zimną kolację.

Henry nagle poczuł, że kona z głodu. Zimna wołowina, pikle, placek z brzoskwiniami...

- Chodź, Tom, czemu jesteś taki poważny? W końcu to moja żona rodzi, nie twoja.

Zaczął im opowiadać o pewnym zabawnym incydencie w sądzie. Słuchali, uśmiechali się, ale nic nie mówili. Doktor Armstrong pytał fajkę. Niebawem do jadalni wszedł doktor McKay.

- No? - spytał Henry. - Jak ona się czuje?

- Jest dość zmęczona - odparł lekarz. - To dla niej ciężka próba, ale znosi ją bardzo cierpliwie. Czy... - spojrzął na starszego kolegę. - Czy pozwoli pan ze mną na górę?

Armstrong bez słowa wstał i obaj wyszli.

- Można by się spodziewać, że ktoś do tej pory wymyśli jakiś ła- twiejszy sposób na te sprawy - mruknął Henry. - Czemu te konowały jej nie pomogą? Nie może przecież cierpieć bez końca! - Zaczął chodzić tam i z powrotem. - Moja matka urodziła nas pięcioro bez mrugnięcia okiem, a w pięć minut później siedziała nad haftem i rozstawiała służbę po kątach.

Przystanął i nasłuchiwał przez chwilę, po czym znów podjął wędrówkę.

- Wuj Willie patrzy na mnie wilkiem - ciągnął - jakby chciał powiedzieć: „A nie mówiłem?”. Pamiętam, ostrzegał mnie w zeszłym roku, że Katherine nie powinna mieć więcej dzieci... Myślał, że coś jej się przekreśliło w środku. Ale sama Katherine nigdy nie powiedziała ani słowa, wydawała się szczęśliwa. Kobiety są takie dziwne... - Zastygł z jedną nogą w powietrzu. - Chyba powinienem tam pójść.

- Nie robiłbym tego na twoim miejscu.

- Nie mogę przecież tu sterczeć. Idę do nowej części.

Wziął małą lampkę i wyszedł drzwiami prowadzącymi na korytarz między obydwoma częściami domu. Pachniało tam świeżą farbą i lakierem; robotnicy wykładali w tym tygodniu boazerią nową jadalnię. Trzymając lampkę nad głową, wkroczył do wielkiego hallu. Wyglądał solidnie, ale pusto. Przez duży świetlik w dachu wpadało blade światło. Całe to wnętrze wydawało się teraz szare i upiorne, wielka klatka schodowa otwierała się przed nim niby czeluść bez dna. Będzie dobrze, myślał, gdy tylko to umeblujemy. Duży ogień w kominku, fotele, sofa, stoły, a w rogu fortepian dla Katherine.

Wędrował po pustych pokojach i wszędzie niósł się głuchy odgłos jego kroków. Raz potknął się o drabinę i jakieś naczynia z farbą. W rogu salonu leżała kupka cementu, z dworu wpadało lodowate powietrze. Zawrócił i poszedł scho-

dami do galerii. Musiały się tam bawić dzieci, bo któreś zostawiło skakankę. Dotarł do swojej garderoby obok sypialni. Tak chciał, żeby pokój był gotowy do czasu porodu, żeby potem Katherine mogła spędzać dnie na sofie w buduarze i tylko na noc wracać do sypialni. Przystanął w progu buduaru; nawet teraz, przed umeblowaniem, robił wrażenie przytulnego, może w przedsmaku przyszłości, może dlatego, że tak dużo o tym pokoiku rozmawiali. Przekręcił klamkę w szklanych drzwiach i wyszedł na balkon. Od morza wiał chłodny wiatr, powierzchnię potoku marszczyła fala przyływu. Lampa zamigotała i zgasła.

Brnął po omacku przez ciemne, ciche pokoje, potem przez galerię aż do schodów. Zwisające z drzwi kombinezony i czapki robotników wyglądały jak cienie wisielców. Chciał wyobrazić sobie nową część już urządzoną, z dywanami, obrazami, płonącym ogniem - ale po raz pierwszy imaginacja go zawiodła. Próbował wytworzyć przed oczami obraz: Katherine w rogu hallu nalewa herbatę, obok siedzą dzieci, na podłodze leżą psy, on sarn właśnie wrócił z polowania razem z Tomem, może także z Herbertem i Edwardem, Katherine zerka na nich

TLR

z uśmiechem... A jednak nic z tego nie wychodziło; miał przed sobą tylko nagie ściany.

- Henry! - zawołał jakiś głos. - Henry...

Tom szukał go wszędzie, starając się przeniknąć wzrokiem ciemności.

- Henry, Armstrong chce z tobą mówić.

Henry poszedł za przyjacielem, mrugając odwykłymi od światła oczami. Drzwi do nowej części zamknęły się za nim z trzaskiem, który odbił się echem od pustych ścian.

- Co się stało? Już po wszystkim?

Doktor Armstrong obserwował go spod krzaczastych brwi. Wyglądał na bardzo zmęczonego i starego.

- Córka - oznajmił. - Niezbyt silna, obawiam się. Potrzebuje troskliwej opieki. Katherine jest bardzo słaba, lepiej tam pójść.

Henry patrzył to na jednego, to na drugiego.

- Tak, tak. Już idę.

Wbiegł pędem na schody i w korytarzu natknął się na doktora McKaya.

- Proszę nie siedzieć długo - ostrzegł go lekarz. - Jest bardzo wycieńczona, powinna zasnąć. Chyba... chyba zostanie tu na noc.

Henry spojrzał mu w oczy.

- Dlaczego? Czy coś jest nie w porządku?

- Pańska żona jest bardzo słaba, panie Brodrick - rzekł lekarz, wytrzymując jego wzrok. - Jeśli zaśnie, może dojdzie do siebie, chociaż niczego nie obiecuję. Uważam, że powinien pan o tym wiedzieć.

Henry nie odpowiedział. Nie spuszczał oczu z twarzy lekarza.

- Armstrong powiedział panu o córeczce? Jest trochę zdeformowana i za mało waży, jedną nóżkę ma lekko skrzywioną, ale poza tym w porządku. Kiedy podrośnie, będzie tak samo zdrowa, jak jej rodzeństwo. Teraz może pan wejście do pani Brodrick?

Znajomy płacz noworodka przeniósł go w dawne czasy, kiedy to w East Grove urodziła się Molly. Jakież był wtedy podniecony i dumny! A potem, w Londynie Kitty...

Pielęgniarka w kącie mamrotała coś do dziecka. Potem wyjęła je z łóżeczka i pokazała ojcu.

- Szkoda, że tak wyszło z tą nóżką. Nie trzeba nic mówić pani Brodrick.

Henry słyszał ją jak przez mgłę. Nie rozumiał, o czym kobieta mówi. Ukląkł przy łóżku, wziął dłoń Katherine i całował jej palce. Otworzyła na chwilę oczy, dotknęła jego głowy. Nie odezwał się, tylko nadal okrywał pocałunkami jej ręce. Pielęgniarka zabrała dziecko z pokoju i za chwilę z korytarza rozległ się pełen pretensji płacz. Henry próbował się modlić, ale z zaciśniętego gardła nie mógł wykrztusić ani słowa. Nie miał nic do powiedzenia, nie musiał o nic pytać. Miała takie zimne ręce, więc starał się je rozgrzać. Wydało mu się to sprawą najwyższej wagi. Trzymał je przy policzku, całując raz po raz, potem włożył je sobie za koszulę. Katherine uśmiechnęła się blado.

- Czuję twoje serce - szepnęła. - Stuka jak maszyna na statku.

- Ciepłej ci teraz w ręce?

- Tak. Chcę, żeby zostały tam na zawsze.

Trwał przy niej na klęczkach. Niebawem, koło szóstej, na podjeździe zachręściły kroki robotników, którzy pogwizdując i gawędząc wesoło, zmierzali w stronę zamku. Nagle ktoś wyszedł i kazał im wracać.

5

Wszystkim zajął się Tom Callaghan, wziął na swoje barki całą odpowiedzialność. Zatrzymał dzieci w Heathmount, z dala od oczu Henry'ego, póki Herbert nie zabrał do Lletharrog całej czwórki, razem z piastunką i guwernantką. To Tom pamiętał o Ardmore, wiedział też, jakie hymny i kwiaty Katherine lubiła najbardziej. Henry niczego nie widział ani nie słyszał. Jedyne polecenie, jakie wydał osobiście, dotyczyło wstrzymania robót. Sam przemówił do robotników, był opanowany i potrafił znaleźć odpowiednie słowa. Każdemu ofiarował pewną sumę pieniędzy, każdemu podziękował i uścisnął dłoń. Zabrali cegły, cement

oraz wszystkie narzędzia i opuścili Clon-mere. Architekt także wrócił do Londynu, zostawiając rulony planów Henry'emu, który zamknął je w biurku i nigdy już do nich nie zajął. Potem wyjechał do Heathmount, ale po paru tygodniach nie mógł już tam wytrzymać. „To na nic” - mówił. Każde miejsce w okolicy Doonhaven kryło w sobie jakieś wspomnienie, które nie dawało mu spokoju. Musi stąd wyjechać. Wynajmie komuś Clonmere, choćby na kilka lat.

- Nie robiłbym tego - przekonywał go łagodnie Tom. - Musisz pamiętać o dzieciach. To ich dom, są do niego przywiązane. Molly ma dwanaście lat, Hal dziesięć, Kitty siedem. W tym wieku jest się wrażliwym. Wspomnienia dla dzieci są czymś cennym, a nie bolesnym.

- Więc będą musiały mieszkać same, bo ja tam nie wytrzymam. Wszystko straciło sens, życie jest skończone.

- Wiem, stary, wiem. Ale spróbuj pogodzić się z losem, poddać się, wtedy z pewnością ból się zmniejszy. Jeśli będziesz podsycać w sobie bunt, powiększysz tylko cierpienie. A ty właśnie to robisz, drogi chłopcze, taka jest prawda.

- Jeśli się buntuję, to tylko przeciw sobie. Rozumiesz, Tom, ja ją przecież zabiłem. Nigdy sobie tego nie wybaczę ani o tym nie zapomnę. Zabiłem ją, i tyle!

- Nie, Henry, nie wolno ci tak myśleć. Katherine była po prostu za słaba, rozmawialiśmy o tym z McKayem i Armstrongiem. Od lat nie najlepiej się czuła, miała pewne dolegliwości wewnętrzne, których nie leczyła.

- Starasz się być miły, Tom, ale mnie nie przekonasz. To ostatnie dziecko nie powinno się urodzić, lecz ja wolałem o tym nie pamiętać, bo tak bardzo ją kochałem. No dobrze, nie mówmy więcej o tych sprawach, zresztą nie będziemy mieli kiedy, bo wyjeżdżam.

- Zgoda, Henry, powinieneś na jakiś czas wyjechać. Ale nie zapominaj, że to miejsce jest domem i twoim, i twoich dzieci. A i my jesteśmy pod bokiem, gdybyś nas potrzebował.

- Jesteś moim najlepszym przyjacielem, Tom. Czasem myślę, że jedynym, jakiego kiedykolwiek miałem.

- Dokąd się wybierzesz? Co zamierzasz zrobić?

- Sam jeszcze nie wiem. Chcę wyjechać w jakieś takie miejsce, gdzie każda sekunda nie przypominałaby mi o niej.

Tom próbował go przekonywać, ale Henry nie słuchał. Na nic się zdały argumenty, łagodna perswazja, cierpliwość. Na jego twarzy zaznaczyły się już surowe zmarszczki smutku. Ciepły, beztroski uśmiech, który rozświeślał jego oczy i całą aparycję, należał do przeszłości. Teraz jeśli nawet Henry się uśmiechał, polegało to na wykrzywieniu warg.

- Czy nie widzisz - mówił Tom, po raz ostatni próbując zburzyć mur rozgoryczenia - że z każdym dniem oddalasz się od Katherine, zamiast się do niej zbliżać? Jeśli tylko potrafisz sam sobie wybaczyć i otworzyć serce, to ona cię nigdy nie opuści.

- Oczywiście, że to widzę - przyznał Henry, rozkładając bezradnie ręce. - Minęły dwa miesiące od jej śmierci, Katherine należy już do przeszłości, która nigdy nie wróci. Nie ma o czym gadać, nie mogę otworzyć serca, bo go nie mam. Zabrała je ze sobą do grobu.

- Nie, Henry.

- Tak, Tom... Tak...

W połowie lutego Henry wyjechał do Londynu. Pozostał tam przez kilka tygodni, a następnie wyruszył za granicę - do Włoch i Grecji. Francja była w stanie wojny z Rosją, więc nie mógł odwiedzić matki. Napisała mu, że woli zostać na południu i ponieść konsekwencje niż ryzykować powrót. Warunki są jednak ciężkie, brakuje jej pieniędzy... Wypisał więc okazały czek - nie miało to już znaczenia. Ekstrawagancje matki przestały go martwić. Jeśli chce wziąć pieniądze i rzucić je do najbliższego rynsztoka, to niech to zrobi, skoro sprawia jej to przyjemność. Oby zaznała tyle trywialnego szczęścia, ile tylko się da. On sam nie życzył sobie niczego innego. Włochy i Grecja dały mu trochę rozrywki. Poznał nowych ludzi i dobrze się z nimi czuł, ponieważ nic nie wiedzieli o jego życiu. Kiedy jadł obiad czy kolację w towarzystwie obcych i dużo przy tym gadał, nie myślał przynajmniej o Katherine. W maju wrócił do Londynu i kupił dom przy Lancaster Gate. Kiedy zamieszkał tam na dobre, siłą rzeczy wpadł w pewną rutynę - zaczął widywać się z przyjaciółmi, czasem jadać poza domem. Sprowadził też dzieci - wydało mu się, że teraz potrafi znieść ich obecność, może nawet dzięki nim oderwie się od złych myśli.

Krzątanina związana z ich przyjazdem wprowadziła go w dziwne ożywienie. Przed dom zajechały dwa powoziki. Poczciwy Herbert ze swym nieustannym tikiem w oku i szerokim uśmiechem na twarzy pomógł wysiąść Molly, która w ciągu kilku miesięcy wyrosła nie do poznania. Za nimi ukazała się reszta: długo-

noga Kitty bez dwóch przednich zębów, blady, poważny Hal o wielkich oczach, panna Frost z górą bagaży, wreszcie piastunka z malutką Lizette. Molly rzuciła się ojcu na szyję.

- Tatusiu kochany, tak się cieszę, że cię widzę!

Kitty i Hal także cisnęli się do niego z wielkim entuzjazmem. Henry nie był przygotowany na tak ciepłe, wręcz gorące powitanie. Potem wszyscy zaczęli mówić naraz i chcieli obejrzeć swoje pokoje. Dom, cichy dotąd i nieco ponury, natychmiast ożył. Dzieci ze swą młodością i witalnością zawładnęły nim całkowicie. Z ciekawością właściwą swemu wiekowi pobiegły na górę obejrzeć pokój do nauki. Tupot ich nóg słychać było aż w salonie, gdzie Herbert i Henry zasiedli do podwieczorku.

- Są takie kochane - chwalił dzieci Herbert - cała trójka i nawet tamto maleństwo. Będzie nam ich bardzo brakowało. Ale jak ty się miewasz? Wyglądasz znacznie lepiej, niż się spodziewałem.

- Czuję się bardzo dobrze, Londyn mi służy, jak zawsze zresztą.

Zaczął opowiadać o podróży, o ludziach, których poznał, i po raz pierwszy w życiu Herbert dostrzegł w nim podobieństwo do matki. Jak ona, gawędził o drobnostkach, upajał się własnymi słowami, często wpadając w przesadę, ślizgając się po powierzchni, co przychodziło mu znacznie łatwiej niż sięganie do głębi. Herbert chciał wiedzieć, co naprawdę dzieje się w sercu brata - na przykład, czy mniej cierpi? Wymienił na ten temat wiele listów z Tomem Callaghanem, ale kiedy próbował sondować Henry'ego, ten unikał odpowiedzi i zaczynał mówić o czymś innym. Wzniósł wokół siebie mur, który trudno było przeniknąć. Może dzieciom się to uda? Może sprowadzą na powrót dawnego Henry'ego z jego urokiem osobistym, sercem na dłoni, niekłamaną wesołością?

Herbert wyjechał zaraz po podwieczorku, zostawiając brata samego z dziećmi. Zeszły o szóstej na dół, umyte i przebrane, z książkami pod pachą, jak to miały w zwyczaju w Clonmere. Henry z bólem zauważył, że instynktownie wpadły w starą rutynę, więc zaczął wypytywać je o Lletharrog. Molly jednak usiadła przy młodszych dzieciach i otworzyła książkę. Wymienili z ojcem kilka grzecznych zdań niczym mali goście, po czym Molly oparła się o jego ramię.

- Poczytasz nam, tatusiu? Mama zawsze nam czytała. Będzie tak, jak dawniej w domu.

Przysiadła na poręczy jego fotela z ufnością i swobodą; na bladej twarzy Hala pojawił się wyczekujący uśmiech. Henry wziął książkę i odchrząknął. Ledwie widział druk, poza tym czuł się niezręcznie i bezradnie - musiał udawać przed dziećmi. Pamiętał tę książkę, Katherine czytywała ją często w Clonmere. Rozpoczął lekturę, ale wymawiał słowa jak automat, nie rozumiejąc ich znaczenia. Jednocześnie zastanawiał się, dlaczego sam proces odczytywania znajomego tekstu nie rozdziera dzieciom serca tak jak jemu. Trzymały się kurczowo starej, domowej rutyny, bo dawała im poczucie bezpieczeństwa, dla niego jednak była nie do zniesienia. Chciał zapomnieć o tamtym życiu, one - wprost przeciwnie.

Po kilku stronach dał za wygraną, uznał, że to kpina z przeszłości. Niech sobie dzieci żyją Jak dawniej", ale bez niego.

- Chyba nie mam wprawy w głośnym czytaniu, gardło mnie boli -rzekł. - Wyłącz mnie, Molly.

- Ale to nie będzie tak samo - zaprotestował Hal. - Molly jest tylko naszą siostrą, niech nam czyta w pokoju szkolnym.

- Może tatuś woli zagrać w jakąś grę - zaproponowała Kitty. -Mamy „Szczęśliwe rodziny", wiem gdzie je znaleźć: są na wierzchu kufra z zabawkami.

Pobiegła na górę, a Hal zaczął przesuwać stół na środek.

- Szkoda, że nie ma fortepianu - westchnęła Molly. - U stryja Herberta brałam lekcje muzyki, teraz nie będę miała gdzie ćwiczyć.

- Kupię ci fortepian - obiecał Henry.

- Jak wrócimy do domu, Molly może grać na fortepianie mamy - odezwał się Hal. - Ma bardzo miękki dźwięk, natomiast fortepian stryja Herberta trochę brzęczy. Jak długo tu zostaniemy? Aż do wakacji?

Henry wstał i poszedł w stronę kominka.

- Po prostu będziemy tu mieszkać, trudno powiedzieć, jak długo. Musicie uważać ten dom za własny. Dorastacie, niedługo pójdziecie do szkoły, Hal już w przyszłym semestrze. Co do wakacji, to jeszcze nie wiem, może pojedziemy wszyscy do Saunby, do ciotki Elizy.

Dzieci patrzyły na niego w osłupieniu. Kitty, która właśnie wróciła z kartami do gry, zastygła na jednej nodze, gryząc kosmyk włosów.

- I już nigdy nie wrócimy do Clonmere? - zapytała. Henry unikał ich wzroku, nie wiedział, co ma powiedzieć.

- No... oczywiście, kiedyś wrócimy, ale na razie posiadłość jest wynajęta. Myślałem, że powiedzieli wam w Lletharrog. Mieszkają tam jacyś państwo Bole, przyjaciele wujka Billa i cioci Fanny.

Wciąż wpatrywały się w niego, jakby niczego nie rozumiały.

- Obcy ludzie? - spytał Hal. - W naszym domu? Używają naszych rzeczy? Ale chyba nie ruszają fortepianu mamy?

- Nie, na pewno nie.

- Jak długo tam będą? - indagowała Molly.

Wyglądały na naprawdę wstrząśnięte. Henry nie miał pojęcia, że tak bardzo przywiązane są do Clonmere. Myślał, że dzieci lubią zmiany, cieszą się z urozmaicenia. Zaczęło go to irytować, bo gapiły się na niego, jakby go oskarżały.

- Nie wiem, to zależy od ich planów.

Nie miał odwagi się przyznać, że wynajął Clonmere na siedem lat.

- Jest wiele korzyści z mieszkania w Londynie. Dziewczynki mogą brać lekcje tańca i muzyki, będziecie spotykać się z innymi dziećmi. Hal musi znaleźć wspólny język z chłopcami, zanim pójdzie do Eton. Wszyscy wasi stryjowie zgadzają się ze mną, że Londyn to najlepsze miejsce do zdobycia wykształcenia. Czeka was mnóstwo zajęć i przyrzekam, że dostaniecie wszystko, czego zapragniecie. - Czuł się tak, jakby je prosił o łaskę, jakby go osądzały. Dlaczego? Przecież to tylko dzieci, Molly nie ma jeszcze trzynastu lat. - Myślę, właściwie jestem pewien, że mama także by sobie tego życzyła.

Dzieci się nie odezwały. Kitty wolno tasowała karty do „Szczęśliwych rodzin”, Hal kreślił coś palcem po stole. Molly zabrała siostrze karty i podała je Henry'emu.

- Rozdasz, tatusiu?

Przysunęli krzesła do stołu, ale kiedy Henry rozdawał karty, wyczuł pewien przymus. Zniknęła cała przyjemność, stali się nagle obcymi ludźmi, którzy są dla siebie uprzejmi, bo tak wypada.

Uraziłem ich, myślał Henry. Zniszczyłem ich zaufanie, i nie ma nikogo, kto by mi powiedział, co mam teraz robić. Udawał, że przygląda się kartom, ale cały czas czuł na sobie ich wzrok. Zapomną, pocieszał się. Dzieci potrafią przywyknąć do wszystkiego, to przywilej dzieciństwa.

Minęło kilka miesięcy i Henry uznał, że miał rację, bo żadne z dzieci nie wspomniało więcej o powrocie do domu. Wyglądały na zadowolone, a ponieważ chciał w to wierzyć, nigdy nie zadawał im pytań, żeby nie usłyszeć zaprzeczenia. Miesiące złożyły się w rok, potem drugi. Przez cały ten czas rodzina nie wyjeżdżała z Londynu, z wyjątkiem krótkich wizyt w Saunby czy Lletharrog.

Dziewczęta brały prywatne lekcje, Hal chodził do szkoły, mała Li-zette uczyła się mówić i chodzić, powłócząc zniekształconą nóżką, której nie można będzie wyprostować. Henry, niepewny i zniecierpliwiony, czuł, że dzieci potrzebują głębszego zrozumienia, niż on jest w stanie im ofiarować. Unikał odpowiedzialności, a za to dawał im prezenty, choć w głębi serca wiedział, że w ten sposób się do nich nie zbliży.

Kiedy wiosną 1874 roku nadszedł list od Fanny-Rosy z kondolencjami po śmierci ciotki Elizy i prośbą o czek na większą niż zazwyczaj sumę, Henry ni stąd, ni zowąd postanowił wyjechać do Nicei i spędzić trochę czasu u matki.

Nie widział jej od prawie siedmiu lat. Może wreszcie uda mu się namówić ją do powrotu i wspólnego zamieszkania. Prawdę rzekłszy, czuł się samotny, zarówno pod względem fizycznym, jak psychicznym. Piętnastoletnia Molly wciąż była za młoda, by dotrzymywać mu towarzystwa, natomiast z coraz większym uczuciem wspominał wesołość matki, jej urok i cięty dowcip. Tylko ona jedna potrafi zrozumieć jego straszliwą samotność, która w miarę upływu czasu jeszcze bardziej się pogłębia.

Nazajutrz po odwiezieniu Hala na pierwszy semestr do Eton wyruszył do Francji. Pogoda w Nicei było wprost cudowna. Henry zawołał bagażowego i poszedł szukać dorożki.

Matka nie pofatygowała się na dworzec, prawdopodobnie zapomniała o jego przyjeździe. Henry z przyjemnością jechał szeroką promenadą, przyglądając się przechodniom. Po pewnym czasie woźnica skręcił w stronę przeciwną do morza i zaczął się przeciskać wśród plątaniny wąskich uliczek. Po kilkakrotnym pytaniu o drogę stanęli na rue de Lilas (nie rosły na niej żadne bzy) *¹⁴, przed niewielką odrapaną willą, która prosiła się o świeżą warstwę farby. Przy furtce brakowało połowy zawiasów. Kiedy Henry ją otworzył, zadźwięczał dzwonek, w domu rozszczękały się dwa psy, ale nikt się nie pokazał. Woźnica zestawił bagaże na ziemię i czekał.

Henry obszedł dom wkoło. Tylne drzwi także były zamknięte, psy nie przestawały ujadać. Zawrócił do furtki.

- Nikogo nie ma - poinformował woźnicę.

Nagle zobaczył, że z okna sąsiedniej willi obserwuje go jakaś kobieta. Odwrócił się do niej tyłem i raz jeszcze nacisnął klamkę. Przecież nie pomylił adresu - przez szybę w drzwiach widział wnętrze pokoju z fotografią Johnniego na kominku. Z tyłu odezwał się głos:

- Proszę sprawdzić pod obluzowaną płytką, tam może być klucz.

¹⁴ * *Lilas* - lilaki, czyli potocznie - bzy.

W drzwiach werandy sąsiedniego domu stała kobieta - dość przystojna, około czterdziestu kilku lat, o stalowosiwych włosach i intensywnie niebieskich oczach. Wyglądała na ubawioną.

- Dziękuję pani - rzekł Henry, zdejmując kapelusz. - Chyba nikt mnie tu nie oczekuje.

Pochylił się i odnalazł klucz pod płytką. Pokazał go z daleka sąsiadce; ta zaśmiała się i wzruszyła ramionami.

- Mógł być albo tam, albo między kwiatami na rabacie - wyjaśniła. - Pani Brodrick dość lekkomyślnie wybiera swoje kryjówki.

Henry raz jeszcze jej podziękował i zapłaciwszy woźnicy, wniósł bagaże do willi. Z bawialni wybiegły psy i zaczęły obwąchiwać mu buty. W pokoju unosił się ich zapach i przy zamkniętych oknach było dość duszno. W kącie stał spodek z jedzeniem, podłogę zaśmiecały okruchy herbatników. W popękanych wazonach bez wody więdły kwiaty. Krzesła i sofy nosiły ślady zadrapań od psich pazurów, miejsca, na których wylegiwały się zwierzaki, były poplamione. Na stole została filiżanka po kawie z zaschniętymi fusami, obok leżał pantofel, drugi zawędrował pod krzesło. W kominku zalegały niedopałki drewna. Henry przeszedł do jadalni, ale ten pokój nie nosił śladów użytkowania, matka prawdopodobnie przynosiła sobie tacę z jedzeniem do bawialni. W kuchni piętrzyły się brudne naczynia, surowe jarzyny wepchnięto do kubła na węgiel. Henry ruszył na górę, gdzie odnalazł sypialnię z niepościelonym łóżkiem i porozrzucanymi wszędzie sztukami garderoby. W nogach łóżka zauważył tacę z resztkami śniadania. Po drugiej stronie korytarza znajdował się pokój gościnny, wyraźnie przeznaczony dla niego, gdyż na łóżku leżały czyste prześcieradła i koce, niepowleczone jednak. Wrócił na dół i ze ściśniętym sercem patrzył na zaniedbany ogród, czując, że popada w coraz większe przygnębienie. Mimo wszystko nie spodziewał się, że tak to będzie wyglądało, wytworzył sobie w wyobraźni zupełnie inny obraz. Tamta Angielka wciąż stała na werandzie i podlewała kwiaty w doniczkach. Jej dom był czysty i schludny, nie taki, jak ohydna nora matki. Kobieta musiała usłyszeć jego kroki, bo się obejrzała.

- Znalazł pan wszystko, co trzeba? - spytała wesoło. Henry w jednej chwili uznał, że powinien jej zaufać.

- Czy zna pani moją matkę? - spytał, idąc w stronę werandy. Zawahała się przez chwilę i zaczęła ściągać ogrodnicze rękawiczki.

- Wymieniamy uśmiechy, pozdrowienia, czasem pogawędzimy chwilę przy żywopłocie, ale nigdy nie byłam w jej domu. Zresztą pani Brodrick prawie nigdy nie ma. Pan jest jej synem, prawda? Bardzo pan podobny. - Patrzyła na niego z uśmiechem, szczerze zaciekawiona. - Nazywam się Price - rzekła, wyciągając rękę nad żywopłotem. - Adeline Price. Może pan słyszał o moim mężu, generale w indyjskiej armii? Zmarł trzy lata temu, ja zaś zamieszkałam tutaj. Czy mogę w czymś panu pomóc? Może napije się pan herbaty czy czegoś innego? To takie smutne przyjechać do pustego domu...

- Chciałbym, żeby pani przyszła i rzuciła okiem na to miejsce. Jestem Henry Brodrick, a matka wiedziała, że przyjeżdżam. Widziałem na biurku otwarty list.

Pani Price zeszła z werandy i po chwili stanęła przy furtce.

- Kilka razy w tygodniu przychodzi służąca. Widziałam ją przy tylnych drzwiach: niechlujne czupiradło. Nie wzięłabym jej nawet za dopłatą. Dziś chyba nie jest jej dzień.

Przeszli razem przez dom. Henry obserwował, z jaką miną kobieta patrzy na wszystko. Nic nie uszło jej uwagi - ani zwiędłe kwiaty, ani filiżanka po kawie.

- Hmm... - mruknęła w końcu. - Niezły chlew, co? Przypomina mi to niektóre z naszych kwater w Indiach. Tamejszym kobietom nie musiałam niczego powtarzać dwa razy, zapewniam pana. Bały się mnie bardziej niż mojego męża. Rzućmy okiem na resztę. Wie pan, panie Brodrick, nikt tu niczego nie tykał od tygodni. Nigdy nie widziałam czegoś tak ohydneho, nawet w Indiach. Przepraszam za szczerość, ale czy pańskiej matce źle się powodzi? Nie stać jej na porządną służącą?

Stalowe oczy wytrzymały jego wzrok bez mrugnięcia. Henry wzruszył ramionami.

- Nie. Ma wszystko, czego chce. Nic z tego nie rozumiem, to bardzo niepokojące.

Pani Price weszła do bawialni. Zerknęła na fotografię Johnniego, przesunęła palcem po ramce i pokazała Henry'emu czarną od kurzu opuszkę.

- Przypuszczam, że pani Brodrick po prostu nie zależy na utrzymaniu porządku. Nie bardzo rozumiem taką postawę. Teraz proszę posłuchać. Zabieram pana do siebie na herbatę, a tutaj przyślę dziewczynę, żeby porządnie posprzątała. Nie, proszę mi nie przerywać. Zrobi to z rozkoszą, a i mnie będzie przyjemnie

pana gościć. Idziemy, proszę już o tym nie myśleć, sama wytłumaczę się przed panią Brodrick.

Poszedł za nią do sąsiedniej willi, protestując bez przekonania. Nie sądziła chyba, że narobi sobie takich kłopotów? Ale pani Price machnęła tylko ręką. Ma nie dyskutować, tylko siadać i pić herbatę.

- Sama powinna pani być generałem - zaśmiał się.

- Tak mnie wszyscy nazywają. Proszę się rozluźnić, oprzeć wygodnie nogi na stołeczku i spróbować tej galaretki z guajawy. Herbata warta jest szczególnej rekomendacji; pakują ją specjalnie dla mnie i przysyłają z Darjeeling. Wodę zawsze gotuję osobiście, tego nie powierzyłabym żadnej służącej.

Bardzo przyjemnie było tak siedzieć i pozwalać się obsługiwać. Herbata rzeczywiście doskonała, podobnie jak galaretka, pokój porządnie wysprzątany, na stole angielskie gazety i magazyny... Co za kontrast!

Zaczął opowiadać pani Price o sobie, o dzieciach. Miała taki swobodny, zachęcający do zwierzeń sposób bycia, a dowcipne komentarze wskazywały, że jest niegłupia.

- To oczywiste, że cały czas ktoś pana naciąga. Ludzie zawsze wykorzystują samotnego mężczyznę, a pan im ustępuje. Byle tylko mieć spokój, co? Iście po męsku!

- Przyznaję, że nie wymagam zbyt wiele, a jeśli próbuję, Molly zaciekle się broni, To kwestia rodzinnego temperamentu, Brodrickowie lubią się kłócić.

- Ja bym tam nie pozwoliła, żeby piętnastolatka chodziła mi po głowie. Pan ją po prostu psuje, podobnie jak pozostałe dzieci. Dobrze, że przynajmniej chłopak trafił do Eton, tam szybko wybiją mu z głowy głupstwa. Ale po co dziewczynkom guwernantka? Zawsze uważałam, że nie powinno się zbyt długo trzymać takich osób. Wykorzystują swą pozycję i zupełnie nie panują nad dziećmi.

- Panna Frost jest u nas od lat. Molly i Kitty nie zniosłyby rozstania.

- Bo robią z nią, co im się podoba, oto dlaczego! Coś mi się zdaje, że pod tą maską wesołego cynika kryje się romantyk...

Spojrzała na niego z uśmiechem. Te błękitne oczy z pewnością były niezwykle przenikliwe.

- Aleja za dużo gadam o sobie - zreflektował się Henry, zerkając na zegarek.
- Dochodzi siódma, a matki ani śladu. Może wybrałaby się pani ze mną do miasta na obiad i dla odmiany opowiedziała coś o sobie?

Pani Price zarumieniła się gwałtownie, co z miejsca odjęło jej dziesięć lat. Henry'ego to ubawiło; pewnie od śmierci męża nikt jej nie zaprosił do restauracji.

- Bardzo proszę - nalegał. - Będzie mi niezmiernie miło. Poszła się przebrać i po dwudziestu minutach wróciła w czarnej

sukni i futrzanej etoli, stanowiącej doskonałe tło dla siwych włosów. Wyglądała doprawdy bardzo dobrze. Henry także się przebrał, udawszy się w tym celu do willi matki. Przy okazji zauważył, że służąca pani Price zostawiła dom w nieskazitelnym stanie. Nigdzie nie było ani pyłku, a jego łóżko zostało starannie pościelone. Serce zalała mu fala wdzięczności.

Dzięki Bogu, że stała przy tym oknie! Gdyby nie ona, chyba wyjechałbym stąd następnym pociągiem, pomyślał.

Podeszli razem do rogu ulicy i zatrzymali dorożkę. Henry kazał woźnicy jechać do jednego z wielkich hoteli przy promenadzie.

- To dla mnie taka niespodzianka - mówiła pani Price. - Żyję tu bardzo spokojnie, ale w Indiach dużo bywaliśmy. Bardzo mi tego brakowało.

- Powinna pani przyjechać do Londynu, a nie zagrzebywać się tutaj.

Spojrzała na niego wymownie, pocierając kciukiem o palec wskazujący.

-Renta wdowia nie jest zbyt wysoka, panie Brodrick. Tutaj mogę sobie pozwolić na więcej niż w Anglii... Proszę spojrzeć na tę babę w norkach. Dlaczego Francuzki tak mocno się malują?!

- Bo ich naturalna uroda nie dorównuje Angielkom - odparł szarmancko Henry. - Chodźmy, mam zamiar ugościć panią wszystkim, co najlepsze w całej Nicei.

Z prawdziwą przyjemnością siedział naprzeciwko tej bezsprzecznie przystojnej kobiety, która potrafiła docenić dobrą kuchnię i wino, a przy tym prowadziła tak miłą i dowcipną rozmowę. Restauracja była wypełniona gośćmi, orkiestra grała lekkie, klasyczne melodie, które Henry znał i lubił. Od lat tak świetnie się nie bawił.

- Czyż to nie znacznie lepsze od jajek i tamtych jarzyn z kubła na węgiel?

- Proszę mi nie obrzydzać jedzenia - odparła kpiąco pani Price. - Służąca mi opowiadała, co znalazła w spiżarni pańskiej matki, ale oszczędzę panu relacji.

Po kawie słuchali jeszcze trochę muzyki, a następnie Henry zaproponował wizytę w kasynie.

- Jak szaleć, to na całego!

Noc była ciepła i cicha. Nucąc melodię z „Rigoletta”, pomógł pani Price wsiąść do dorożki.

- Wie pani? Kiedy stanąłem dziś przed tą willą, kompletnie się załamałem. To był straszny moment.

- Biedaczysko! Ogromnie panu współczułam. A teraz? Poprawił się panu nastrój?

- Od miesiący nie czułem się tak wspaniale, za co jestem pani niezmiernie wdzięczny.

Poczerwieniała znowu i roześmiała się, zmieniając temat. Posuwali się wolno przez zatłoczone kasyno, przechodząc z jednej sali do drugiej. Lamy bez osłon świeciły złowrogim blaskiem, od czasu do czasu rozlegał się monotonny głos krupiera, przy stole do ruletki klekotała kulka. Przystanęli na chwilę, żeby przyrzec się grze, zerkając zza pleców stojących przed nimi ludzi. Było okropnie duszno.

- Nie wytrzymałbym tu długo - rzekł Henry. - Co za strata czasu, prawda?

- Owszem. Za godzinę głowa pękałaby mi z bólu.

Przeszli do następnej sali. Akurat wychodziło stamtąd dwóch panów.

- Ależ ona tak zawsze - mówił ze śmiechem jeden z nich. - Ilekroć przegra, urządza karczemną awanturę krupierowi. Podobno mieszka tutaj od lat.

- I nigdy jej nie wyrzucili?

- Pewnie tak, kiedy za bardzo szalała.

Kiedy Henry z panią Price podeszli bliżej, zauważyli, że wielu gości się śmieje. Niektórzy przepychali się do przodu, żeby lepiej widzieć, co się dzieje przy stole. Krupier wyklócał się z kimś łamaną angielszczyzną, jakaś kobieta próbowała go przekrzyknąć najpierw po francusku, potem po angielsku.

- Ależ madame - mówił krupier - czy mam zawołać żandarma? Ciągłe mi pani przerywa, to nie do wytrzymania!

- Pan mnie obraża! - wrzasnęła tamta. - To kasyno powinno się zamknąć! Dyrekcja bezczelnie wyłudza ode mnie pieniądze, przyłapałam was na tym nie raz i nie dwa! W moim kraju dostałbyś pan kulę w łeb, wylaliby cię na zbity pysk! Ja wam jeszcze pokażę, znam wielu wpływowych ludzi, nawet posłów do parlamentu! Mój kuzyn jest hrabią Mundy...

I rzuciła w krupiera mufką oraz rękawiczkami. Sala zatrzęsała się od śmiechu. Mężczyzna w mundurze ujął awanturnicę pod rękę.

- Puszczaj! Jak śmiesz mnie dotykać?!

Połyskliwa aksamitna peleryna, chmura białych włosów, dumnie zadarta głowa - wszystko to było dobrze znane. Kiedy *commissionaire* popchnął Fanny-Rose do przodu, ta zachwiała się na nogach i upuściła torebkę. Na podłogę posypały się drobne monety i żetony,

- Ty głupi niezdaro! Co sobie myślisz!

Nagle stanęła twarzą w twarz z synem.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Wreszcie Henry obrócił się do żandarma.

- Ta pani jest moją matką. Zajmę się nią.

Mężczyzna puścił jej ramię. W tłumie rozległy się szmery i szepty. Krupier wzruszył ramionami i puścił kulę w ruch.

- *Faites vos jeux!*

Gra potoczyła się dalej.

Henry podniósł torebkę, pozbiierał monety i oddał wszystko matce. „ - Już dobrze - rzekł łagodnie. - O nic się nie martw. Pani Price i ja odwieziemy cię do domu.

Ona jednak wyraźnie nic nie rozumiała.

- Nie chcę wracać do domu! Nie spróbowałam jeszcze szczęścia przy innych stolikach. W następnej sali będzie zupełnie inaczej.

- Nie, mam. Robi się późno, a ja mam za sobą długą podróż. Chcę się już położyć.

Ujął ją pod ramię i ruszyli w stronę drzwi. Fanny-Rosa wciąż oglądała się na stół.

- Nie cierpię tego krupiera - burknęła. - Jestem pewna, że ma tajny układ z dyrekcją. Potrafią w jakiś sposób ustawiać kulkę. Napisz o tym do gazet, Henry, jesteś taki sprytny, już ty znajdziesz odpowiednie słowa!

Kiedy schodzili ze schodów, usta jej się nie zamykały. Miotła wyzwiska na dyrekcję, opowiadała synowi i pani Price, że personel kasyna otrzymał polecenie, by nie pozwolić jej wygrywać. Bali się, że gdy raz będzie miała szczęście, gotowa rozbić bank.

- Kilka razy omal do tego nie doszło - mówiła już w dorożce. - Miałam zdumiewający przypływ szczęścia, po prostu nie mogłam się pomylić, i nagle wszystko obróciło się przeciwko mnie. Oczywiście, że to było ukartowane. Okropnie się boją, żeby ktoś nie zgarnął większej wygranej. Ale uparłam się, że ich pokonam, to kwestia zasad. Henry, kochanie, jak miło cię widzieć! Głupio mi, że zapomniałam wyjść na dworzec. Mam nadzieję, że wszystko zastałeś w porządku? Nie wiedziałam, że znasz panią Price. Musimy jutro wybrać się do kasyna we trójkę, pani Price wygląda na szczęściarę, możemy wspólnie zbić fortunę.

Trajkotała bez końca, zadawała mnóstwo pytań, ani razu nie czekając na odpowiedź. Henry patrzył w bok, trzymając matkę za rękę. Teraz dopiero pojmował smutną historię ostatnich dziesięciu lat i serce przepelniała mu gorycz. Widział, jakie życie wiodła, rozumiał jej udawaną wesołość, żalodne przypływy ostentacyjnej odwagi. Dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, rok po roku opanowywał ją ten straszny nałóg, aż wreszcie zawładnął jej duszą i ciałem, pozbawiając kompletnie rozumu i zdrowego rozsądku. Została tylko dziwna mozaika wspomnień, które niczemu nie służyły, tylko jeszcze bardziej odrywały ją od rzeczywistości. Czyja to wina? Dlaczego tak się stało? Nie nasuwała mu się żadna odpowiedź i tylko serce ścisnął coraz większy żal. Dorożka stanęła przed willą. Fanny-Rosa zmagła się z furtką, przemawiając do psów, które z ujadaniem wybiegły im na przeciwko.

- Już, moje kochaneczki! Mamusia już idzie, braciszek Henry także.

Ruszyła naprzód ogrodową ścieżką. Henry odwrócił się do Adeline Price.

- Przepraszam - rzekł. - Tak strasznie mi przykro.

- Och, proszę nie przepraszać, w końcu to pan przeżył największy szok. Jeśli rano będzie pan czegoś potrzebował, proszę się nie kępować, tylko przyjść. Osobiście jestem zdania, że najlepiej byłoby umieścić ją w jakimś zakładzie. Tam przynajmniej jej dopilnują. Rozumie pan, ona nie może żyć tak, jak dotąd, prawda?

- No tak - zgodził się Henry. - Nie może.

- Więc proszę teraz porządnie się wyspać i rano przemyśleć całą sprawę. Dziękuję za obiad, było wspaniale. Dobranoc.

Poszła do siebie, a Henry powlókł się ścieżką w stronę willi. Zastał Fanny-Rosę na podłodze przy zabawie z psami.

- Czy dzieciaczki tęskniły za. mamuszką? Ale mamuska zostawiła papu, tylko ktoś je zabrał, pewnie ta głupia służąca. Zawsze jej powtarzam, żeby nie sprzątała bawialni. Henry, koteczku, wyglądasz na zmartwionego. Czy coś się stało?

- Nie, kochanie, ale chcę, żebyś się położyła.

- Już idę. Tylko zawsze muszę ucałować moich syneków na dobranoc. Czy służąca pościeliła ci łóżko? Wyłożyłam czyste prześcieradła, ale chyba zapomniałam je przewietrzyć.

- Tak, wszystko jest w porządku.

Stała w progu swojej sypialni. Służąca pani Price wysprzątała także i ten pokój, poskładała ubrania i prześcieliła łóżko. Matka jednak niczego nie zauważyła. Patrzyła przed siebie, gryząc paznokieć. Może dręczyło ją jakieś wspomnienie? Wyglądała na taką zagubioną... Henry objął ją mocno.

- Mamo, kochanie, co się z tobą dzieje? Uśmiechnęła się tylko i poklepała go po policzku.

- Kochany Henry! Zawsze się troszczy o wszystkich. Wiesz, po prostu przyszło mi do głowy, że dziś ani razu nie wyszła dziewiątka. Jakie to dziwne! Ani razu, a ja ją za każdym razem obstawiałam.

Siedział w saloniku Adeline Price i przewracał strony indyjskiego magazynu. Zdjęcia nic mu nie mówiły, a tym bardziej słowa. Spojrzał na zegar na kominku. Powinna już wrócić, byli umówieni na trzecią. Wstał i zaczął chodzić po pokoju. Po chwili weszła pokojówka i nakryła do herbaty. Świeży chleb, masło, rzeżucha, domowe placuszki, galaretką z guajawy, na koniec lśniący srebrny imbryk. Usłyszał, że przed domem zatrzymała się dorożka, więc wyjrzał przez okno - Adeline Price płaciła właśnie woźnicy. Chyba dała mu zbyt skąpy napiwek, bo burknął coś niegrzecznie.

- Nic z tego, mój dobry człowieku - odparła wesoło. - Nie ze mną takie sztuczki, trafiła kosa na kamień.

Pomachała ręką Henry'emu i spiesznie ruszyła do domu.

- Wszyscy są tacy sami, uważają, że Anglicy siedzą na forsie z racji samego pochodzenia. Jest już herbata?

-Tak.

Weszła do pokoju, ściągając po drodze rękawiczki. Miała na sobie prostą, lecz wytworną szarą suknię. Wyglądała bardzo ładnie.

- No, zdaje się, że wszystko w porządku - oznajmiła. - Lekarz wyjątkowo sympatyczny, świetnie rozumie sytuację. Oczywiście miał do czynienia z tuzinami podobnych przypadków, podobno są nieuleczalne, zwłaszcza w wieku twojej matki. Uważa, że postępujesz bardzo prawidłowo.

Zapaliła zapałkę i przytknęła do knota podgrzewacza; imbryk zaczął szumieć. Następnie sięgnęła po kromkę chleba i masło, krzywiąc się na rzeżuchę.

- Po co to przyniosła? - zdziwiła się. - Dobrze wie, że nie tykam rzeżuchy, we Francji to niebezpieczne. Ty także nie jedz. Tych dziewcząt nie można spuścić z oka.

- Ale jak tam wygląda? - dopytywał się Henry.

- Och, bardzo miło. Jest duży ogród, kwiaty, drzewa. Widziałam, że niektórzy tam siedzą. I wybrałam jej najwygodniejszy pokój, mówiłeś, że koszty nie grają

roli. Jest o dwadzieścia franków droższy od pozostałych, ale chyba ci to nie przeszkadza?

- Ależ skąd.

- Oczywiście nie pozwolą jej bałaganić. To jedna z tamtejszych reguł, trudno mieć pretensje. Wszędzie jest tak czyściutko, że można by jeść z podłogi. Pielęgniarki noszą ładne zielone fartuszki. Poznałam tę, która ma pod opieką pokój twojej matki - sensowna kobietka, wygląda na bardzo miłą.

- Gzy ona wie, dlaczego matka tam idzie?

- O tak! I wiesz, jacy są sprytni? Pozwolą jej nawet grać w ruletkę, mają tam specjalną salę. Oczywiście to tylko na niby, bez żadnych pieniędzy, ale ona się nie dowie. Te nowe metody są doprawdy genialne.

Henry wstał i znów podszedł do okna.

- Nie chcesz herbaty?

- Skąd pomyśl, że się nie dowie? Przecież nie jest kompletną wariatką. Na pewno się domyśli, że to oszustwo i że siedzi tam jak w złotej klatce.

Pani Price nalewała herbatę.

- Wszystko uzgodniłam z lekarzem. Powiedzą jej, że to hotel, coś w rodzaju filii kasyna. Martwiłeś się, że mieszka sama i dlatego postanowiłeś umieścić ją w tym domu. Po kilku dniach na pewno się przyzwyczai i będzie zadowolona.

Henry machinalnie wziął książkę i zaraz ją odłożył.

- Gdybym tylko miał pewność, że słusznie postępuję - westchnął. - Wydawała się taka szczęśliwa w tej willi, mimo całego bałaganu i brudu. I przecież nie żałowałem jej pieniędzy na kasyno. Skoro gra dawała jej przyjemność i zapomnienie...

Adeline Price zdmuchnęła płomyk pod imbrykiem.

- Oczywiście, skoro tak sądzisz, nie ma sensu jej tam posyłać. Ale po tym, co przeszedłeś w ciągu ostatnich dziesięciu dni, spodziewałam się, że domyślisz się właściwego powodu. Chcesz, żeby wyrzucili ją z kasyna tak jak kilka dni temu? Przecież ona nie odpowiada za to, co mówi. I ciągle kłamie. We wtorek powiedziała ci, że idzie spać, i znowu znaleźliśmy ją przy ruletce. Ale jeśli wolisz, by trafiła na policję, to twoja sprawa. Bo na tym się skończy, nie ma co owijać w bawełnę.

Henry opadł na fotel.

- Masz rację. A jednak tak strasznie mi przykro... Przecież to moja matka. Była taka śliczna, kochana, wesoła. Nie potrafię wytłumaczyć, co czuję.

Napełniła mu filiżankę.

- Daj spokój, napij się herbaty. Nic tak nie poprawia humoru, jak dobra herbata, czy to mężczyźnie, czy kobiecie. Zapewniam cię, że będzie jej tam dobrze. Nawiąże nowe przyjaźnie, będzie miała z kim pogawędzić o przeszłości, ty zaś wrócisz do domu, wiedząc, że jest w dobrych rękach i że zrobiłeś, co w twojej mocy. Aha, pytali, czy mają jej podawać wieczorem trochę wina. Pewnie trzeba za to dodatkowo zapłacić, podobnie jak za ogień na kominku w chłodne wieczory. Powiedziałam, że dasz im znać. Będą ci przysyłać rachunek co miesiąc, albo możesz dać zlecenie do banku, to znacznie wygodniejsze.

Rozsmarowała na kromce trochę galaretki.

- Masz z tym tyle kłopotów - sumitował się Henry. - Przyznaję szczerze, że nie wiem, co bym zrobił bez twojej pomocy. To jakiś senny koszmar.

- Mężczyźni są całkiem bezradni w kryzysowych sytuacjach - uśmiechnęła się Adeline Price. - Mój mąż był taki sam. Już pierwszego dnia, kiedy zobaczyłam, jak zmagasz się z drzwiami, wiedziałam, z kim mam do czynienia. Dobrze, że akurat wyglądałam przez okno. Ciekawe, jak sobie radziłeś przez ostatnich parę lat, kiedy nikt się tobą nie opiekował? .

- Sam nie wiem. Jakoś tam żyłem, ale bardzo dokuczała mi samotność.

- Mnie także, ale w nieco inny sposób. Zresztą zawsze miałam mnóstwo zajęć. Dzięki Bogu, nie należę do tych, co poddają się czarnym myślom, zawsze uważałam, że to po prostu brak charakteru. - Ustawiła naczynia na tacy i zadzwoniła na pokojówkę. - Ale chyba nie sądzisz, że wzięłam na siebie zbyt wielki ciężar? Lekarz mówi, że im prędzej ją tam odwieziemy, tym lepiej. Doskonale rozumiem, jakie to dla ciebie bolesne, dlatego najchętniej załatwiłabym to sama. Jestem dla niej, bądź co bądź, obca, więc obejdzie się bez emocjonalnych komplikacji. Dlatego, jeśli pozwolisz, przejdę się teraz do niej, pomogę spakować to, co chciałaby zabrać, a potem sprowadzę dorożkę. Wszystko jej wyjaśnię, o hotelu, kasynie i tak dalej, zobaczysz, że dam sobie radę. Powiem, że musiałeś wyjechać, ale rano ją odwiedzisz i sprawdzisz, czy jest zadowolona. Nie sądzisz, że tak będzie najlepiej?

Uśmiechnęła się do niego znowu - energiczna i kompetentna w każdym calu, on zaś uświadomił sobie nagle, jak bardzo czuje się bezradny i zdany na jej opinię.

- Sam nie wiem - rzekł z rozpaczą. - Wszystko wymyka mi się z rąk. Nie potrafię podjąć decyzji, żeby nie zakwestionować jej w pięć minut później.

- Nie przejmuj się tak. Zostaw wszystko mnie. A najlepiej pójdz teraz do restauracji i zamów obiad, przyłączę się do ciebie, kiedy ją odwiozę, a ty oderwiesz się od myślenia.

Podawała mu płaszcz i kapelusz, po czym niemal wypchnęła go z pokoju.

- Zupełnie jak z dzieckiem! - zauważyła. - Ty chyba w ogóle mi nie wierzysz.

- Ależ wierzę! - zaprotestował. - Ufam ci bezgranicznie we wszystkim.

- Więc idź! I nie rób takiej zgnębionej miny.

Powędrował bezwiednie krętymi uliczkami w stronę morza. Poruszał się jak we śnie, domy, ludzie, wszystko, na co patrzył, wydawało mu się nierealne. Nie znał Nicei, czuł się tu obco. Wstrząs, jaki przeżył po odkryciu słabości matki, ukazał mu z całą mocą własne życie - także pozbawione podstaw. Nic już nie gwarantowało bezpieczeństwa, nic nie było pewne ani solidne, nawet dzieciom w Londynie brakowało realizmu. Niczym małe duchy dryfowały wraz z nim przez ocean czasu. Odkąd opuścił Clonmere i przekręcił klucz od przeszłości, wszystko stało się martwe i nierzeczywiste. Słuchając monotonnego chlupotu morza przy plaży, myślał o przypiływie atakującym potok i huku bałwanów przy wyspie Doon. Wspominał łagodny wiatr, blade słońce i białawe obłoki nad Hungry Hill, a także mały kościółek w Ardmore i gila, który śpiewał w zimie. Wszystko to odeszło na zawsze i nic go już z tym nie wiązało.

Usiadł na werandzie jednego z wielkich hoteli i czekał na Adeline. Minęła jedna godzina, potem druga - i nic. W końcu, nie mogąc tego znieść, wyszedł na ulicę, wskoczył do dorożki i kazał się wieźć do zakładu. Zrobiło się ciemno, więc niewiele widział poza niekończącymi się alejami i drzewami. Gdzieś w pobliżu słychać było fale tłukące o brzeg. Żaby rozpoczęły swój wieczorny koncert, dał zimny wiatr.

Dorożka jechała wzdłuż wysokiego muru, po czym zatrzymała się przed bramą. Była zamknięta, więc woźnica zadzwonił i niebawem przez ciasną kratę wyjrzała konsjerżka.

- Więzienie! - mruknął do siebie Henry. - Niech mówią, co chcą, to jest więzienie.

Po kilku minutach konsjerżka otworzyła bramę. Dorożka potoczyła się długą, krętą alejką wysadzaną drzewami. Kiedy stanęła przed budynkiem, świeciło się tylko w kilku oknach, przeważnie pozaciąga-no już na noc zasłony. Przed drzwiami stała druga dorożka i Henry rozpoznał woźnicę; to jeden z tych, którzy trzymali swe pojazdy na placu w pobliżu willi matki. Henry wysiadł i zapytał go, czy pani Price i pani Brodrick są w środku. Mężczyzna odpowiedział, że siedzą tam już ponad godzinę. Wspomniał coś o długim czekaniu i dodatkowej zapłacie, więc Henry natychmiast dał mu dziesięć franków. Woźnica schował je do kieszeni, mrużąc coś pod nosem. Henry zadzwonił do drzwi; otworzył mu mężczyzna w białym kitlu.

- Nazywam się Brodrick. Dziś wieczorem przywieziono tu moją matkę.

- Ach tak, numer 34 - odparł tamten dobrą angielszczyzną. - Proszę przejść do recepcji, tam wszystko panu powiem. Chce się pan widzieć z matką?

- Jeśli można. Jest z nią niejaka pani Price, może pan poprosi, żeby do mnie zeszła?

Mężczyzna wprowadził Henry'ego do dużego pokoju obok wejścia, wygodnie umeblowanego, ale pustego. Kiedy czekał, zadzwoniono na obiad i przez uchylone drzwi słyszał, jak pensjonariusze wypełniają korytarz do jadalni. Zauważył wśród nich zielony fartuch i biały czepek pielęgniarki. Jakiś staruszek kuśtykał o kulach.

- Szybciej, panie Vines, nie będziemy się wlec do północy - odezwał się ostry głos.

Inni mieszkańcy rozmawiali, ktoś śmiał się wysokim, piskliwym głosem, wreszcie kroki ucichły, a gdzieś daleko trzasnęły drzwi. Henry ciągle czekał. W końcu w drzwiach stanął mężczyzna w szarym surducie, z monoklem na czarnym sznureczku.

- Jestem doktor Wells - przedstawił się, wyciągając rękę. - Niestety, mój przełożony je obiad w mieście, a ja pełnię tylko wieczorny dyżur. Rozumiem, że jest pan synem pani Brodrick? Mieliśmy z nią pewne trudności, ale nie ma powodu do niepokoju. Pańska znajoma, pani Price, to bardzo rozsądna kobieta.

- Co pan rozumie przez trudności?

- Pani Brodrick była z początku trochę zdenerwowana. To naturalne, często się z tym spotykamy. Ale jest z nią pańska znajoma i pielęgniarka dyżurna - fantastyczna kobieta. Zdecydowaliśmy, że pańska matka dostanie dziś kolację do pokoju, a od jutra będzie mogła schodzić do jadalni. Pani Price chyba już idzie.

Odwrócił się do drzwi i rzeczywiście Adeline Price właśnie nadchodziła. Wyglądała jak uosobienie spokoju i opanowania.

- Wszystko w porządku - oświadczyła. - Już jest zupełnie spokojna i pokazuje pielęgniarce fotografie. Właśnie zanieśli jej na tacy pyszny obiad. Jedzenie dobrze przyrządzone i odpowiednio podane, muszę przyznać, doktorze, że dobrze tu o nich dbacie.

- Drobiazgi są bardzo ważne - uśmiechnął się doktor, bawiąc się monoklem.

Adeline Price zwróciła się z wyrzutem do Henry'ego.

- Po co przyjechałeś? Miałeś poczekać w hotelu. Doktor znów się uśmiechnął.

- Pan Brodrick pewnie się niepokoi - rzekł gładko - ale skoro już tu jest, nie zaszkodzi, jeśli zajrzy do matki i powie jej „dobranoc”. Przynajmniej przekona się, że nic jej nie brakuje.

- Owszem, chętnie to zrobię.

- Czy to rozsądne? - skrzywiła się Adeline. - Nie będzie jej potem przykro?

- Nie sędzę - rzekł lekarz. - To może być właściwe posunięcie. Oczywiście dostanie pigułkę na sen, w końcu to jej pierwsza noc tutaj i wszystko wydaje jej się obce.

- Poczekał na ciebie w dorożce - zdecydowała Adeline. - Nie ma sensu, żebym szła tam jeszcze raz.

I nie czekając na odpowiedź, wyszła z pokoju - wysoka, pewna siebie, ubrana w szarą suknię i takiż płaszcz. Henry ruszył za lekarzem na górę, przez korytarze o lśniących drewnianych posadzkach bez dywanów. Ściany były zielone - jak fartuchy personelu. Na szczycie schodów stała młoda, uśmiechnięta pielęgniarka. Wyglądała sympatycznie i Henry uchwycił się tego jak tonący słomki.

- Czy wśród pielęgniarek wiele jest młodych? - spytał lekarza. - Czy ta, którą minęliśmy, zajmuje się moją matką?

- Najlepiej poinformuje pana przełożona, ale oczywiście ja też mogę zapytać. Numer 34 to pokój pańskiej matki.

Zapukał i otworzyła im tęga, starszawa pielęgniarka w okularach.

- O co chodzi? - spytała ostro. - O, przepraszam, to pan, doktorze. Wejdzie pan?

Doktor Wells szepnął jej coś na ucho.

- Pan Brodrick przyjechał, żeby powiedzieć matce „dobranoc”. Zostanie tylko kilka minut.

- Dobrze, ale muszę przypilnować, żeby się umyła i jak najprędzej poszła spać. Mamy dziś dużo pracy, a mało personelu.

- Jest dopiero ósma - zaproponował Henry. - Matka nigdy nie kładzie się przed północą.

Pielęgniarka zaczęła coś mówić, ale lekarz jej przerwał.

- To tylko dziś, jutro, kiedy będzie razem z innymi, wszystko wróci do normy.

Henry wszedł do środka. Pokój był mniejszy, niż się spodziewał, o zielonych - jak na korytarzu - ścianach i z kolorowymi matami na podłodze. W dużym oknie wisiały żółte zasłony w zielone kwiaty, w kącie stał fotel. Matka siedziała na łóżku i liczyła drobne pieniądze w torebce. Nie zauważyła, jak wchodził. Rozrzucała monety po poduszce, mrużąc coś do siebie. Włosy opadały jej srebrnobiałą chmurą na ramiona. Nagle go zobaczyła i wyciągnęła ramiona.

- Kochanie! - wykrzyknęła. - Powiedzieli mi, że wyjechałeś i nie mogę cię zobaczyć.

Pochylił się nad łóżkiem i ujął jej dłoń.

- Chciałem tylko powiedzieć ci „dobranoc”. Skinęła głową i mrugnęła, wskazując na drzwi.

- Co za przedziwni ludzie! - szepnęła. - Chyba wszyscy są szaleni. Pokojówka (jestem pewna, że to pielęgniarka) chciała mi koniecznie mierzyć temperaturę. Przypuszczam, że to jeden z tych nowomodnych zakładów hydrolecniczych, ale nigdy nie słyszałam, żeby kasyno miało z nimi coś wspólnego. Pani Price mówiła, że rano mogę zagrać w ruletkę.

- Tak, kochanie.

- Czy to nie jest okropnie drogie? Wiesz, jak głupio postępuję z pieniędzmi.

- Nie, kochanie. Wszystko załatwiłem.

- Kochany chłopiec! Taki zawsze dobry! Aleja się świetnie czułam w tamtej willi, wiesz? Niepotrzebnie narobiłeś sobie kłopotu. - Zgarnęła monety do torebki. - Pani Price mówiła, że mają tu jakiś dziwny system. Dają ci mnóstwo żetonów, ale nie musisz za nie płacić. To jakiś idiotyzm. A co z dziećmiaczkami, Henry? Czy ktoś je nakarmi?

- Jakie znów dzieciaczki?

- No, psy. Będą za mną tęsknić, nie rozumieją, czemu nie wracam. Tydzień to kawał czasu.

Henry nie odpowiedział. Nadal trzymał ją za rękę.

- Postaw fotografię Johnniego na kominku, tak żebym ją widziała. Tak, teraz dobrze. W mundurze zawsze wygląda na naburmuszonego, ale tak mu do twarzy. Henry...

- Tak, mamó?

- Uważaj na swego chłopaka. Ja nie pilnowałam Johnniego. - Nie spuszczała z niego zielonych, rozszerzonych strachem oczu. - Nie mogę o tym zapomnieć, wiesz? To dlatego chodziłam do kasyna, człowiek musi coś robić. John, twój ojciec był taki kochany, taki łagodny, miły... Tak wiele rozumiał. Bez niego czuję się kompletnie zagubiona, samotna. Byliście tacy mali, kiedy odszedł. Czasem myślę, że powinnam wyjść drugi raz za męża. - Uśmiechnęła się i przeczesła palcami włosy. - Ależ ze mnie wariatka! Co ja bredzę? Coś ci powiem, Henry, prędzej szlag mnie trafi, niż pozwolę tym ludziom dorwać się do moich pieniędzy, nawet jeśli mają jakiś nowy system. Już ja im pokażę, jak się gra w ruletkę, nie poradzą sobie ze mną lepiej niż ci w kasynie.

Weszła pielęgniarka i stanęła przy łóżku.

- No, pani Brodrick, warto pomyśleć o porządnej kąpieli, co? Fanny-Rosa puściła oko do Henry'ego.

- Co za głupota! - szepnęła. - Traktują mnie jak dziecko. Ale skoro ich to bawi...

Henry ucałował matkę w czubek głowy. Wiedział, że już nigdy jej nie zobaczy.

- Dobranoc, śpij dobrze, kochanie.

Przywarła do niego na chwilę, ale nagle się roześmiała.

- Życie jest zabawne! Nie rób takiej poważnej miny, mój chłopcze. Myślenie jeszcze nikomu nie wyszło na dobre.

Odprowadziła go wzrokiem do drzwi. Na korytarzu wciąż czekał lekarz.

- Widzi pan? Niczego jej nie brak, jest całkiem zadowolona. Nie ma się o co martwić. Rozumiem, że pani Price zapewniła jej dodatkowe wygody, prawda?

- Tak. Tak, dziękuję.

Henry uściskał mu rękę, wziął swój kapelusz i laskę, po czym wsiadł do dorożki. W rogu siedziała Adeline Price.

- Zapłaciłam temu drugiemu, nie miało sensu trzymać dwóch dorożek. I co? Wszystko w porządku?

- Tak, chyba tak.

Woźnica zaciął konia i dorożka potoczyła się długą, ciemną aleją.

- Musisz być bardzo zmęczona - zatroskał się Henry.

- Ani trochę. Natomiast chętnie coś zjem, ty chyba także. - Dorożka skręciła w główną drogę. Z tyłu trzasnęła brama. - Zastanawiałam się właśnie, co mogłabym jeszcze dla ciebie zrobić. Jakie masz plany?

Henry obrócił się do niej w ciemnościach.

- Plany? Nie mam żadnych planów. A powinienem mieć? Kopyta klekotały po brukowanej ulicy, woźnica trzaskał z bata.

W dali szumiało morze. Henry myślał o długiej podróży pociągiem, o przeprawie przez Kanał, o domu przy Lancaster Gate, o Molly, Kitty, Halu i biednej, kulawej Lizette. Czuł się bardzo zmęczony i samotny.

- A może... może wyszłabyś za mnie za mąż?

KSIĘGA PIĄTA

Hal

1874-1895

TLR

Najlepsze w Eton było to, że człowiek miał tam święty spokój. Mogłeś obijać się przez cały dzień i nikt nawet nie sprawdził, czy żyjesz. Naturalnie, obowiązywały liczne reguły - o wyznaczonych porach należało przebywać w określonych miejscach, ale poza tym - hulaj, dusza! Hal mógł sobie spacerować sam i nikt nie pytał, dokąd chodzi i po co. I miał własny pokój - to sprawiało mu chyba największą radość. Powiesił na ścianie kilka swoich obrazków, sygnowanych w rogu „H. E. L. B.". Któryś z kolegów spytał, kto je malował, i Hal natychmiast skłamał, że jego zmarły stryj. Nie uważał tych obrazków za dostatecznie dobre, by się do nich przyznawać, ale kiedy zostawał sam, szczególnie w nocy, zapalał świecę i przyglądał się im z dumą. To jego dzieła, stworzył je własnymi rękami i dlatego właśnie je kochał. Pewnego dnia namaluje obraz, który pokaże wszystkim, ale do tego czasu musi się kryć, bo gotowi go wyśmiać. Mama nigdy się nie śmiała i zawsze go rozumiała. Teraz, kiedy odeszła, powinien zastąpić ją ojciec. On także mógłby cieszyć się z osiągnięć syna i być z nich dumny. I miałyby pewność, że Hal nie zawiedzie pokładanego w nim zaufania. Tylko, niestety, ojciec go onieśmielał. Mogli siedzieć w jednym pokoju i żaden się nie odzywał; ojciec czytał „Timesa”, syn przyglądał się swym butom. Nawet jeśli ojciec przerywał milczenie, traktował Hala z dobroduszną serdecznością, przybierając ów charakterystyczny ton, jaki dorośli przybierają w stosunku do dzieci i psów. Zupełnie jakby go poklepywał po grzbiecie i mówił: „Grzeczny chłopczyk”. Czasem pytał: „No, Hal, jak tam twoje obrazki?”, ale ponieważ było widać, że wcale go to nie interesuje, a samo pytanie należało do beznadziejnych, syn odpowiadał zdawkowo: „W porządku, dziękuję”, a potem znów zapadała niezręczna cisza. Ojciec czekał chwilę, w nadziei że Hal rozwinie temat, ale nie doczekawszy się, brał znowu gazetę albo zaczynał rozmowę z dziewczętami.

W marcu przypadła przerwa semestralna i akurat w tym czasie ojciec miał wrócić z Francji po blisko dwumiesięcznej nieobecności.

- Ojciec przyjeżdża wieczorem - zawiadomiła brata Molly, witając go na dworcu razem z siostrami i panną Frost. - Ma kogoś ze sobą przywieźć, ale nie powiedział kogo. Bardzo tajemnicza sprawa, nawet panna Frost nic nie wie. Według mnie, chodzi o babcię, ale Frostie mówi, że to wykluczone, bo podobno jest chora, tak jej pisał ojciec.

- Musi to być ktoś ważny, bo ma zamieszkać w tym dużym pokoju obok sypialni ojca - dodała Kitty. - Ach, żeby tak wujek Tom albo ciocia Harriet! Nie widzieliśmy ich od wieków.

- W każdym razie mam nadzieję, że wizyta nie potrwa długo, bo trzeba będzie prowadzić uprzejme rozmowy przy lunchu i obiedzie - ciągnęła Molly. - Ha! jak ty wyrosłeś! Będziesz musiał nosić frak. I jesteś jeszcze chudszy niż przedtem.

- To dlatego, że tam nie ma Frostie i nikt we mnie nie wmusza jabłek w cieście. W Eton nikt się nie przejmuje, czy jesz.

- Może i nie - uśmiechnęła się panna Frost - ale tam chyba nie chowasz jedzenia w ustach, żeby je potem wypluć po cichu, tak jak w domu. W Eton trzeba przestrzegać dobrych manier.

- Skądże znowu. Ja robię, co mi się podoba.

Kiedy zajechali na Lancaster Gate, Hal z miną lorda zapłacił woźnicy, chociaż panna Frost miała pieniądze w sakiewce.

- Daj spokój, Frostie, nie jestem już dzieckiem.

Zarzucił walizkę na plecy i poniósł ją na górę, uświadamiając sobie nagle, że w ciągu siedmiu tygodni w Eton zmienił się wprost nie do opisania. Czuł się starszy, bardziej odpowiedzialny, siostry też patrzyły nań innymi oczami, jakby stał się kimś ważnym. Odprowadziły go do pokoju i towarzyszyły przy rozpakowywaniu rzeczy, przywlokła się nawet mała Lizette. Namalował dla niej koci łeppek, wywołując całą serię radosnych pisków i okrzyków zachwyty. Dla Molly i Kitty także miał szkice - jeden domu, a drugi rzeki.

- Namalowałaś coś dla ojca? - spytała Molly.

Po krótkim wahaniu wyciągnął z dna walizki mały pakiecik.

- Widziałyście moją fotografię portretu mamy?

Przytaknęły

- No więc pożyczyłem od kolegi szkło powiększające i zrobiłem miniaturę głowy. Oczywiście nie umywa się do oryginału, ale lepsze to niż nic. - Rozwinął papier i pokazał im okrągłą ramkę. - Kupiłem ją w Eton, w sam raz pasuje.

Z miniaturki wyjrzała twarz Katherine - ciemne włosy, upięte w niski węzeł, poważne, spokojne oczy.

- Wiecie - ciągnął Hal - zawsze myślałem, jak ojcu musi być przykro, że portret został w Clonmere i on go nigdy nie widzi. Teraz będzie miał chociaż namiastkę.

Dziewczęta przyglądały się obrazkowi w milczeniu.

- To jest bardzo dobre - orzekła Molly. - Znacznie lepsze od tamtej fotografii.

- Naprawdę tak myślisz? - ucieszył się Hal. - Będzie mu się podobało?

- Szkoda, że to nie dla mnie - westchnęła Kitty. - Mam tylko to paskudne zdjęcie. Nie lubię go ani trochę.

- Pokażcie mi mamusię - poprosiła Lizette. Molly wzięła ją na kolana i pokazała portrecik.

- Jakie to okropne, że ona w ogóle nie widziała mamusi. Tak jakbyśmy opowiadały jej o kimś nierealnym. Odłóż obrazek, Lizette, bo jeszcze coś zepsujesz. Pokażemy Frostie?

- Nie - rzekł twardo Hal. - Zapakujemy z powrotem. Nie wiem jeszcze, czy zdecyduję się dać to ojcu.

Miniatura, kiedy patrzył na nią znowu, stała się dlań czymś bardzo osobistym i cennym. Nie chciał, żeby ktoś jej dotykał.

Zjedli lunch w szkolnym pokoju, a po południu wybrali się do gabinetu figur woskowych Madame Tussaud. Na Marylebone Road pojechali omnibusem i wrócili do domu akurat na podwieczorek.

- Wypijemy herbatę w jadalni - postanowiła Molly - i urządzimy ojcu uroczyste powitanie. Szkoda, że będzie ten gość, ale nic na to nie poradzimy.

- Myślę, że zostanę na górze razem z piastunką i Lizette - powiedziała panna Frost. - Ojciec będzie wolał mieć was tylko dla siebie.

- Och, Frostie, ale z ciebie tchórz! - zaśmiał się Hal. - Boisz się kontaktów towarzyskich z obcymi, ale naprawdę nie ma czego. Ja się tobą zaopiekuję.

Ale panna Frost nie dała się przekonać. O piątej Molly, Hal i Kitty zebrali się w salonie. Hal ciągle dotykał paczuszki, którą trzymał w kieszeni. Wciąż nie mógł się zdecydować, czy dać ojcu. Był bardzo zdenerwowany. Żałował, że nie może zjeść podwieczorku na górze razem z Frostie, Lizette i piastunką. Ojciec zacznie go przy gościu wypytywać o Eton, on zaś na pewno nie odpowie tak, jak powinien.

- Jest powóz! - obwieściła od okna Kitty. - A za nim dorożka wyładowana kuframi. Przecież ojciec zabrał tylko jeden kufer i neseser!

- Muszą należeć do tego gościa - domyśliła się Molly, wyglądając zza jej pleców. - Gdzież my to wszystko zmieścimy? Hał, nie uciekaj. I postaraj się rozmawiać przy herbacie, nie siedź z taką miną, jakby cię bolał ząb. Tatusiu!

Pchnęła drzwi i razem z Kitty zbiegły po schodach, żeby go powitać. Hał z rękami w kieszeniach trzymał się z tyłu. Nie wiedział, czy skoro jest już w Eton, ojciec zechce go pocałować. Tymczasem z powozu wysiadła elegancka kobieta i przywitała się z jego siostrami. Miała czarny, szerokoskrzydły kapelusz. Nigdy jej dotąd nie widział i na chwilę stanęło mu serce; mimo wszystko wciąż miał nadzieję zobaczyć wujka Toma. Podszedł jednak z wolna do ojca i bezwiednie nadstawił twarz do pocałunku.

- Jak ty się zachowujesz? - syknął Henry, chwytając go za ramię i obracając w stronę obcej kobiety. - Nie wiesz, że panie mają pierwszeństwo? Adeline, to jest Hał. Musisz przystrzyc włosy, chłopcze. Niech któreś z was przyśle służących po bagaże, chcemy się napić herbaty.

Odwrócili się i weszli na schody, kobieta mówiła coś do ojca z ożywieniem. Chyba znali się od dawna. Hał wykrzywił się do Kitty za ich plecami. Teraz tym bardziej żałował, że nie może wypić herbaty w szkolnym pokoju. Było dużo gadań i krzątania w sprawie bagaży. Obca pani pokazywała, co chce zabrać ze sobą na górę.

- Reszta niech idzie do składziku. Te dwa kufry nie będą mi teraz potrzebne, są w nich letnie rzeczy.

Pokojówka z wypiekami na twarzy pochylała się nad torbą wypakowaną laskami i parasolami.

- Wszystko sobie obejrzysz po herbacie - rzekł Henry. - Jeśli coś ci się nie spodoba, to każemy zmienić. A co z wami, dzieci? Macie podwieczorek na górze?

- Nie - odrzekła odważnie Molly. - Dziś chcemy wypić herbatę z tobą. Będzie srebrny serwis i tak dalej.

Henry zaśmiał się i zerknął na swego gościa.

- Bardzo stosowne powitanie. A zatem siadajmy do stołu. Gość przyglądał się krytycznym okiem obrazkom na ścianach.

- Nigdy nie mówiłeś, że lubisz włoskich prymitywistów. Te omdlewające madonny... Nie znoszę ich, wyglądają, jakby potrzebowały talerza porządnej pieczeni i długiego spaceru. Może to wlałoby w nie trochę życia.

Henry znów się roześmiał. W ogóle wybuchał śmiechem po każdym zdaniu kobiety. Tymczasem, ku zdumieniu dzieci, gość zajął miejsce Molly u szczytu stołu, tuż przed imbrykiem z herbatą*¹⁵.

Molly zaczerwieniła się jak burak. Halowi zrobiło się tak przykro, że wbił wzrok w talerz, nie chcąc patrzeć na jej zmieszanie. Wiedział, jak bardzo się cieszyła na chwilę, kiedy będzie mogła nalewać herbatę niczym prawdziwa gospodyni. Ojciec zdawał się niczego nie dostrzegać i obca pani sięgnęła po imbryk.

- No, coście tu porabiali? - zagadnął Henry. - Francuski, niemiecki, lekcje tańca, muzyki, wszystko po staremu? Nie uwierzysz, Adeline, ile mnie kosztuje edukacja tych dziewcząt.

- Miejmy nadzieję, że coś im to dało - odparła tamta i zadała Kit-ty pytanie po francusku.

Tym razem młodsza z sióstr wpadła w zakłopotanie i spojrzała błagalnie na Molly.

- Przepraszam, ale nie zrozumiałam. Gość wybuchnął śmiechem.

- Wspominałeś, że płynnie mówią po francusku, ale chyba je przechwaliłeś. Podaż mi te placuszki, Hal, czy zamierzasz sam wszystkie zjeść?

Miała intensywnie niebieskie oczy i w uśmiechu ukazywała olśniewająco białe zęby. Hal wymamrotał jakieś przeprosiny i podsunął jej talerz.

- Buja w obłokach, jak zawsze - skomentował to ojciec. - Według mnie, on po prostu studiuje twoją twarz, bo chce cię namalować. Mówiłem ci, że to nasz rodzinny artysta.

Hal poczuł, że się czerwieni. Tego się właśnie obawiał - towarzyskiej konwersacji, zadawania pytań.

¹⁵ * W Anglii tradycją jest, że herbatę nalewa pani domu; jeśli ktoś próbuje ją wyreczyć, popełnia wielki nietakt.

- Mój brat również malował w dzieciństwie, ale kiedy poszedł do szkoły, zupełnie o tym zapomniał. Ty chyba także nie masz w Eton zbyt wiele czasu na tego rodzaju zajęcia, prawda?

- Owszem, ma - odpowiedziała za niego Kitty. - Namalował dla nas dwa śliczne obrazki i coś zupełnie wyjątkowego dla ciebie, tatusiu.

- Naprawdę? - zdziwił się Henry. - No, Hal, co tam masz?

- Nic, to nie jest dostatecznie dobre. Raczej ci się nie spodoba. Szarpnął nerwowo filiżankę i herbata się rozlała.

- Szybko, Molly, talerz pod obrus! - rozkazał gość. - Inaczej zostanie plama na mahoniu. Co za nieporządek! Jeśli chcesz być artystą, mój Halu, musisz mieć pewniejszą rękę.

Hal wstał niezdarne, nie wiedząc, co ma robić. Nienawidził tej baby i swojej niezręczności.

- Już dobrze, siadaj - rzekł zniecierpliwiony ojciec. - Nie gap się jak cielę na malowane wrota. Opowiedz mi o Eton. Z kim się przyjaźnisz?

- Z nikim.

- Och, daj spokój, na pewno kogoś poznałeś. Ostatecznie Hal przyznał, że dość lubi niejakiego Browna.

- Brown? Jaki Brown? Nie przypominam sobie nikogo o tym nazwisku za moich czasów. Co on robi? Jakie sporty uprawia?

- Chyba nic nie robi.

- Jakiś ciekawy kolega. No dalej, opowiedz nam coś jeszcze.

Kobieta śmiała się i mrugała porozumiewawczo do ojca. Hal zaciskał ręce, wbijając sobie paznokcie w ciało. Nic z tego nie będzie, nie odpowie już na żadne pytanie.

- Obawiam się, że moja rodzina się nie popisała. Molly się dąsa, Kitty nie może wydukać ani słowa po francusku, a mój syn i dziedzic rozlewa na obrus herbatę i nie ma nic do powiedzenia o swym pierwszym semestrze w Eton, oprócz tego, że podziwia chłopca nazwiskiem Brown, który nie ma na koncie żadnych osiągnięć. Poddaję się, Ade-line. Cofam wszystko, co ci mówiłem w Nicei.

Dzieci nie odrywały wzroku od talerzy. Jowialne zachowanie ojca, ciągle żarłoczki wprawiały je w zakłopotanie. Czemu jest tak pochłonięty ową panią imieniem Adeline, która świdruje ich niebieskimi oczami i nie lubi włoskich obrazków?

W tym momencie drzwi się otworzyły i do pokoju weszła Lizette, wystrojona na tę okazję w białą sukienkę oraz w białe kokardy we włosach. Stała nieśmiało z boku z paluszkami w buzi.

- No, dziecko, o co chodzi? Przecież cię nie ugryzę - powiedziała obca pani.

Lizette zerknęła na Kitty. Nikt w tym domu nigdy nie nazywał jej „dzieckiem”.

- Zwykle dostaje o tej porze kawałek cukru - wyjaśniła Molly. - Chodź, kochanie, Molly ci da.

Dziewczynka przykuśtykała do stołu. Hal zauważył, że gość przygląda się ciekawie skrzywionej nóżce w wysokim buciku.

- Powinna robić specjalną gimnastykę. Znam kogoś, kto kulał od urodzenia, to działa cuda, tylko trzeba być wytrwałym. Ćwiczyć godzinę dziennie pod okiem fachowego trenera, dowiem się, jak to załatwić.

Lizette wpatrywała się w obcą panią, gryząc cukier. Rozumiała, że tamta mówi o jej nóżce, i wcale jej się to nie podobało.

- Czy ta pani niedługo wyjedzie? - spytała siostrę.

Wszyscy udawali, że nie słyszeli. Molly pochyliła się nad dziewczynką i szepnęła jej coś do ucha.

Hal, ciągle wpatrzony w talerz, zastanawiał się, czy ojciec spogląda teraz na Lizette w ten dziwny, dobrze mu znany sposób - jakby mu było przykro, a jednocześnie trochę wstyd. Wiedział, że gdyby nie urodziła się Lizette, matka by nie umarła, ale nie zaprzętał sobie tym myśli. Rodzenie dzieci to kłopotliwy temat, zwłaszcza gdy chodzi o własnego ojca albo matkę.

Adeline wstawała właśnie od stołu.

- A teraz obejrzymy dom - oświadczyła z werwą.

- Od tego, co najważniejsze, czyli od kuchni. Molly zerknęła niepewnie na ojca.

- Chyba jeszcze nie skończyły podwieczorku. Nigdy nie przeszkadzamy służbie o tej porze. Obawiam się, że pani Lester nie będzie zadowolona.

- Pani Lester musi się z tym pogodzić - rzekł twardo Henry. - Idź pierwsza, Adeline, odtąd ty tu rządzisz. Ja umyвам ręce od wszystkiego. - Zaśmiał się, jakby to miał być dowcip. - Kiedy będziesz w kuchni, ja pójdę złożyć uszanowanie pannie Frost i piastunce. Przy okazji oznajmię im nowinę.

Pobiegł na górę, pogwizdując, a Molly z gościem zniknęły za drzwiami do suterenu. Hal i Kitty wymienili spojrzenia.

- Co to ma znaczyć? - spytała dziewczynka. - Co ojciec chce powiedzieć pannie Frost i piastunce?

- Nie wiem. To dziwne.

- Może wracamy do Clonmere, a ta pani ma wynająć dom? Dlatego trzeba jej wszystko pokazać, łącznie z kuchnią. Och, Hal, jak to wspaniale! Myślisz, że naprawdę tak jest?

- To niewykluczone. Może wrócimy już na Wielkanoc, jeśli państwo Bole się wyprowadzą?

Nagle w ich serca wstąpiła nadzieja. Kitty pobiegła za ojcem na górę, Hal przeniósł się do salonu. Wyciągnął z kieszeni miniaturę i raz jeszcze ją obejrzał. Jeśli wrócą do domu, będzie można porównać ją z oryginałem. Ależ się popisał przy podwieczorku! Ze też musiał rozlać herbatę i wspomnieć o tym Brownie, z którym raz wybrał się na niedzielny spacer! Może uda mu się zatrzeć złe wrażenie prezentem? Ojciec przekona się, że syn coś jednak potrafi i dostrzeże, jak bardzo on czuje się samotny po śmierci mamy.

Postanowił, że zrobi to w sekrecie. Podłoży paczuszkę w takie miejsce, gdzie ojciec na pewno ją znajdzie. Podszedł do biurka i napisał na kartce: *Dla Ojca - od kochającego syna Hala*. Potem przyczepił kartkę do pacuszki i wsunął ją do środka, następnie zaś usiadł przy kominku i pogrążył się w rozmyślaniach o powrocie do Clonmere. Kitty na pewno ma rację, to jedyne wyjaśnienie całej sprawy, a także tego, dlaczego owa Adeline przywiozła tyle kufrów. Ach, Clonmere! Pokój na wieży, konie, psy, stary Tim, łąsy, potok, wujek Tom i ciocia Harriet... Życie, chociaż bez mamy, znów potoczy się dawnym trybem. Będzie pływał łódką, strzelał do zajęcy na wyspie, namaluje Hungry Hill...

Weszła Kitty z tajemniczą miną.

- Frostie jest zmartwiona - oznajmiła. - Co ojciec jej powiedział? Poszła teraz do gościnnego pokoju, żeby porozmawiać z tą panią. Miała zaciśnięte usta, a przecież na pewno ucieszyłaby się z powrotu do domu.

Umilkła na widok ojca i Molly, która wsunęła się za nim z bladą, ściągniętą twarzą. Henry zamknął drzwi i stanął obok kominka. On także wyglądał na zdenerwowanego i zdawał się nie rozumieć nastroju Molly.

- Musisz być rozsądna, drogie dziecko - mówił do niej. - Przecież zdecydowałem się na to wszystko bardziej dla was niż dla siebie. Myślicie, że tak łatwo mi się żyło przez te wszystkie lata?

- Nam było dobrze - rzekła Molly. - Nie potrzebujemy nikogo innego.

I rozpląkała się jak mała dziewczynka, a nie piętnastoletnia panna. Kitty podbiegła do niej, Hal się nie odzywał, tylko patrzył na ojca.

- To wspaniała kobieta - tłumaczył Henry. - Taka zaradna i inteligentna. Niestety, wiele spraw wymknęło mi się z rąk, wszystko się rozprzegło, a wy robiliście, co dusza zapagnie, razem z panną Frost i służbą. Teraz wasza macocha zaprowadzi tu porządek i weźmie was w garść. Jeśli macie dla mnie choć trochę uczucia, to przyjmiecie te zmiany z radością i na pewno polubicie Adeline. Wprost trudno opisać, ile już dla mnie zrobiła.

Macocha? Hal nie odrywał oczu od ojca.

- Ciebie i Kitty nie było w pokoju, kiedy powiedziałem o tym Molly - ciągnął Henry, czując na sobie wzrok syna. - Dwa tygodnie temu w Nicei poślubiłem panią Price. Okazała się cudowną przyjaciółką. Pewnego dnia, kiedy będziecie starsi, opowiem wam o wszystkim, ale tymczasem proszę, abyście powitali ją serdecznie i doceniali jej starania. Molly przyjęła to źle, nie bardzo rozumiem dlaczego, bo przecież to nie znaczy, że mniej was kocham.

Molly ciągle płakała, gryząc koniec chusteczki. Miała zaczerwienione i spuchnięte oczy.

- Idź na górę - rzekł doprowadzony do rozpaczki Henry. - Jeśli Adeline cię taką zobaczy, Bóg wie, co sobie pomyśli. Mój Boże, przyjemne powitanie, nie ma co! Żałuję, że nie zostaliśmy w Nicei.

Zaczął chodzić tam i z powrotem.

- Czy ona zamieszka tu na zawsze? - spytała Kitty. - Dlatego przywiozła tyle kufrów?

- Oczywiście, że tu zamieszka - odparł zniecierpliwiony Henry. - Jest teraz panią Brodrick. Wy możecie ją nazywać Adeline.

Molly wybiegła z pokoju. Hal słyszał tupot jej nóg na schodach i trzaśnięcie drzwi sypialni. Kitty poszła jej śladem, Hal został z ojcem sam. Było mu niedobrze i w ogóle się nie odzywał. Z góry dobiegał odgłos przesuwania po podłodze kufrów i szmer głosów. Złożony zegar na kominku tykał szybko i zbyt głośno.

- To dla waszego dobra - powtórzył Henry. - Musicie wreszcie zrozumieć. Dziewczęta potrzebują kulturalnej kobiety, która zadbałaby należycie o ich wychowanie, panna Frost się do tego nie nadaje. Z tobą jest inaczej, ty większość czasu będziesz spędzał w Eton, ale zostają wakacje. Poza tym ja też potrzebuję towarzystwa. Kiedy będziesz w moim wieku...

Reszta zdania pozostała w zawieszeniu. Cóż on wyprawia, dlaczego błaga czternastoletniego chłopca o współczucie i zrozumienie? Przecież Hal nie może wiedzieć, co jego ojciec przeżywał przez ostatnie lata. Jałowe dni, samotne noce... Teraz na szczęście można o tym zapomnieć.

- Człowiekowi jest bardzo ciężko, kiedy zostaje sam i musi dźwigać odpowiedzialność za rodzinę. Mojej matce także się to przydarzyło. Przypuszczam, że było to dla niej zbyt wielkie brzemie, choć oczywiście twoi stryjowie i ja nie mieliśmy o tym pojęcia.

Hal nadal się nie odzywał. Patrzył tępym wzrokiem na ojca. Henry podszedł do biurka, otworzył je i zaczął przeglądać plik listów, jakie zebrały się podczas jego nieobecności. Rozrywał po kolei koperty, przebiegając oczami treść. Słyszał na górze energiczne kroki Adeline, rozpakowującej rzeczy. Służący biegali tam i z powrotem po schodach, nosząc resztę bagaży. Nagle wzrok Henry'ego przyciągnęła mała paczuszka z karteczką: *Dla Ojca - od kochającego syna Hala*. Podniósł ją i spojrzał na chłopca.

- To ten prezent? - zapytał, zmuszając się do uśmiechu. - Dziękuję ci, chłopie.

Zaczął rozwijać papier.

Hal się nie poruszył, nawet nie próbował go powstrzymać. Po prostu nie był w stanie. Stał jak słup pośrodku pokoju z dziwnie ściśniętym sercem, a jakiś czarny demon szeptał drwiąco w jego głowie: „No prędzej, prędzej, otwieraj, do ciężkiej cholery!”.

Papier spadł na podłogę; Henry trzymał w rękach miniaturę. Hal nie spuszczał oczu z jego twarzy, ale nie dostrzegł żadnej zmiany, może tylko wargi zacisnęły się bardziej, tworząc w kącikach ust twarde linie. Halowi wydało się, że minęła cała wieczność, nim ojciec spojrzął na portrecik. Zegar tykał, ulicą przejechała dorożka, z kominka wypadł kawałek węgla i zaczął dymić. Wreszcie ojciec przemówił, ale jakimś obcym, dalekim głosem:

- To bardzo dobre. Świetnie uchwycone, dziękuję. - Potem włożył miniaturę do szufladki w biurku i zamknął ją na kluczyk, który razem z innymi nosił na łańcuszku. - Idź lepiej teraz do Molly i dopilnuj, żeby zrobiła coś z twarzą, nim zejdzie na obiad. Aha, Adeline lubi, żeby siadać do stołu punktualnie o wpół do ósmej, więc macie być gotowi pięć minut wcześniej.

- Tak, ojczy.

Hal odczekał chwilę, ale Henry nie spojrzął mu w oczy, tylko odwrócił się do kominka. Chłopiec zostawił go i powędrował na górę. Drzwi gościnnego pokoju były otwarte. Z krzesła zwisały arkusze papieru do pakowania, na toaletce leżały srebrne szczotki, a na łóżku obca czarna suknia. W łazience ojca ktoś puszczał wodę. Hal z ciężkim sercem powlókł się na drugie piętro.

2

Dziewczętom, oczywiście, było trudniej. Hal siedział w Eton, one zaś cierpiały nad zmianami. Molly i Kitty musiały pożegnać Frostie i pogodzić się z przyjętą na jej miejsce wstrętną szwajcarską pokojówką. Lizette w ciągu miesiąca zmieniła pięć piastunek, bo żadna nie potrafiła zajmować się odpowiednio jej nogą. Molly słała do brata jeden list za drugim, wylewając przed nim na zmianę wściekłość i żale.

Nigdy nie widzujemy się z ojcem sam na sam. Adeline trzyma się go jak pijawka, a jeśli on wychodzi z pokoju, ona natychmiast za nim idzie. Przy posiłkach wciąż do niego mówi ponad naszymi głowami. Kiedyś Kitty spróbowała wtrącić słowo, to mało jej nie zasztyletowała wzrokiem. W salonie pozmieniała wszystkie meble,

zamówiła nowe obicia. Kitty i ja uważamy, że są ohydne, ojcu też na pewno się nie podobają, ale nie mówi ani słowa, jakby nie potrafił się jej sprzeciwić.

Ojciec, tak zawsze godny podziwu, podpora całej rodziny, spadł nagle z piedestału, niczym obalony bożek. Nie miał własnej woli ani własnego zdania. Cokolwiek Adeline oznajmiła swym stanowczym, nieznoszącym sprzeciwu głosem, powtarzał jak echo nie z przekonania, ale dla świętego spokoju. Raz tylko zdecydowali się odwiedzić Hala w Eton i pomysł ten okazał się kompletnie chybiony. Przede wszystkim Adeline skrytykowała pokój Hala i na dodatek uczepiła się jego wyglądu.

- Nie garb się tak. Masz całkiem zaokrąglone plecy. Henry, ten chłopak powinien codziennie przez godzinę siedzieć z deską między łokciami. I jest bardzo blady, potrzebuje ruchu. Dlaczego nie biegasz?

- Bo nie chcę.

- W lecie będziesz grywał w krykieta. Och, ale ty pewnie jesteś wodniakiem, co? Bo to nie kosztuje tyle wysiłku. Wszyscy chłopcy są tacy sami. Trzeba ich prowadzić za rękę.

Zawsze mówiła w taki energiczny, napastliwy sposób, który charakteryzował także wszystko, co robiła, uniemożliwiając wszelki sprzeciw. Niebieskie oczy lustrowały ściany pokoju Hala, zatrzymując się na obrazkach, wargi drgały z rozbawienia.

- Trenujesz do Akademii, co? Tamto drzewo to istne dzieło sztuki, czyż nie? Nie, żebym znała się specjalnie na tych sprawach, ale potrafię odróżnić krzywą kreskę od prostej. - Obejrzała się ze śmiechem na Henry'ego. - Jeśli to twoje Clonmere naprawdę tak wygląda, to się nie dziwię, że je wynająłeś. Pewnie straszna tam wilgoć, skoro tak blisko do wody. No, Hal, co nam jeszcze pokażesz?

- Nic, zupełnie nic.

- Niezbyt płodny z ciebie malarz. Nigdy nie zbijesz fortuny. Co powiecie na lunch w Windsorze? Umieram z głodu.

I tak przez cały dzień. Drwiny, złośliwości, żarty, porównywanie wychudzonej, przerośniętej sylwetki Hala z innymi chłopcami w jego wieku.

- Tobie chyba w ogóle brak ambicji. Przecież ty się niczym nie interesujesz. Nie chciałbyś zostać kiedyś kapitanem drużyny krykieta-wej albo prezesem szkolnego klubu, czy jak tam to nazywacie?

- Niespecjalnie.

- Daj spokój, Adeline - wtrącił się ojciec. - Los obdarzył mnie synem, który niczym się nie wyróżnia. Szkoda, ale taka jest prawda.

Powiedział to lekkim tonem, wzruszając ramionami, jego słowa jednak kłuły niczym żądło.

Wyszli razem na pociąg o piątej. Ojciec dał mu suwerena.

- Na lato stryj Herbert zaprasza was wszystkich do Lletharrog. Adeline i ja prawdopodobnie wyjedziemy za granicę.

Nie pocałował go. Pociąg odjechał w kłębach pary, a Hal został na peronie z suwerenem w garści. Nigdy już go nie odwiedzili.

Wakacje w Lletharrog albo w Saunby to było jakieś wyjście. Dziewczęta szalały z radości, że udało się im uciec z Lancaster Gate. Po śmierci ciotki Elizy także Saunby przeszło na własność stryja Herberta i jego rodzina przeniosła się tam na lato.

- Szkoda, że nie możemy zawsze z wami mieszkać - narzekała Kitty. - Nie chcę już nigdy wracać na Lancaster Gate.

- Co za głupstwa! - uśmiechnął się stryj Herbert. - Przecież wiem, że kochacie ojca.

- Tam się wszystko zmieniło.

Stryj się nie odezwał, ale później, kiedy rodzeństwo wybrało się samo na plażę, Kitty powiedziała:

- Słyszałam, jak stryj wyraził się do cioci o Adeline „piekielna baba”. Rozmawiali w gabinecie, ale drzwi były otwarte. Mówił, że cała ta historia to prawdziwa tragedia. Dziwne, że duchowny używa takich słów.

- Nikt nie lubi tej jędzy - rzekła zapalczywie Molly. - Gdybym tylko się odważyła, uciekłabym i została guwernantką. Powiedziała ojcu o biednej Lizette, że

jest chytra i że wszystkie kalekie dzieci mają źle w głowie. Lizette! Takie słodkie i mądre dziecko! Ciekawe, że Adeline nie lubi Clonmere, chociaż nigdy tam nie była. Zdjęła nawet ten obrazek z salonu. I gdy tylko ktoś wspomni o kraju, robi złośliwe uwagi.

- Pomyśleć tylko - dodała Kitty - że od śmierci mamy ojciec jedynie trzy razy przeprawił się za wodę, a i to zatrzymał się w hotelu w Slane i stamtąd wydawał dyspozycje w interesach. A przecież kiedy mieszkaliśmy w Clonmere, codziennie jeździł do kopalni, zupełnie nie rozumiem, jak tam sobie radzą bez niego.

- Kierowanie koncernem nie wymaga obecności właściciela - rzekł Hal. - W mojej klasie jest chłopak, którego ojciec ma kopalnię węgla i nigdy nie widział jej na oczy. Po prostu siedzi w domu i zgarnia dywidendy. Nie ma sensu pracować, skoro i bez tego można mieć pieniądze.

- Mama nie znosiła takiego gadania - oburzyła się Molly. - To wbrew wszystkim jej naukom.

- Owszem, i co z tego? Nikt już do nas nie mówi tak jak ona. Gdybym próbował się tego trzymać, w Eton uznaliby mnie za świętoszka i frajera. Co innego, gdybyśmy wszyscy mieszkali w Clonmere. Wtedy może i ja chodziłbym z ojcem do kopalń i czułbym się z nimi związany tak jak z rodziną, ale teraz nie dałbym za nie dwóch pensów. Zresztą tak czy inaczej, pozostaną dla nas źródłem gotówki, a to najważniejsze. Ja zamierzam urządzić się w Oksfordzie i wcale się z tym nie kryję.

- Nie zapominaj, co mówił stryj Herbert o sytuacji w handlu miedzią. Podobno jest bardzo źle i kilka kopalń w Kornwalii już zamknięto - ostrzegła go Molly.

- Tak, ale wspomniał też, że niektórzy przedsiębiorcy odkryli pod warstwą miedzi cynę i zamierzają ją wydobywać, tym bardziej że ceny są bardzo wysokie i można zrobić prawdziwą fortunę.

- Nie wiadomo, czy na Hungry Hill jest cyna.

- Cyna czy miedź, co za różnica - rzuciła Kitty - skoro cały nasz zysk to mieszkanie pod jednym dachem z Adeline i szwajcarską pokojówką, która wszędzie wtyka nos? Ojciec umywa od nas ręce. Wolę już żyć w nędzy w chałupce na wrzosowiskach.

- W Londynie też dałoby się wytrzymać, gdyby nie Adeline. W końcu póki mieszkaliśmy z samym ojcem, byliśmy całkiem szczęśliwi.

- Nie, wcale nie! - wybuchnął Hal. - Po wyjeździe z Clonmere nigdy nie znaleźliśmy prawdziwego szczęścia. Odkąd umarła mama, wszystko się skończyło.

Siostry patrzyły na niego, zaskoczone. Miał bladą, napiętą twarz, a w oczach błysnęły mu łzy.

- A zresztą jakie to ma znaczenie? Czasem wolałbym nie żyć. Odwrócił się i ruszył biegiem przez piaski. Psy pędziły za nim

w podskokach, głośno naszczekując, wiatr zwiewał mu włosy na twarz.

- Jest teraz w trudnym wieku - zauważyła Molly. - Z chłopakami tak bywa, ciocia Kathie mówi, że Bob zachowuje się podobnie.

- Ale Bob ma normalny dom, a Hal tylko Lancaster Gate. Problem wakacji nabrał jeszcze większej ostrości w miarę upływu lat. Adeline nie kryła niechęci do pasierbów i nie zamierzała dzielić się z nimi mężem. Chciała go mieć tylko dla siebie i w tym celu zaczęła stopniowo osłabiać więź Henry'ego z dziećmi. Wmawiała mu, że ojciec ich nie obchodzi i tylko ona rozumie jego potrzeby. Raz już uratowała go od piekła samotności, więc i teraz potrafi go pocieszyć.

Z początku Henry'emu podobało się, że jest obiektem tak wielkiego pożądania. Było to zupełnie nowe doznanie, z którego miał same korzyści. Uważał, że to nagroda za zmarnowane lata. Uwielbienie żony pochlebiało mu i go wzruszało. Poza tym Adeline przejęła całą odpowiedzialność, sprawnie prowadziła dom, zajmowała się dziećmi, mężowi zaś mówiła to, co chciał usłyszeć, i trzymała go z daleka od spraw, o których wolał nie wiedzieć. Dzięki małżeństwu życie stało się łatwe, wygodne i przyjemne. Jeśli Molly, Kitty albo Hal sprawiali trudności, była to ich wina, powinni się przystosować, zresztą prędzej czy później i tak pójdą własną drogą. On, Henry, nie zamierza się o nich martwić. Adeline ma rację, to niewdzięczna banda, która myśli tylko o sobie. Nie wiedzą, przez co przeszedł ich ojciec, nie rozumieją, że mężczyzna potrzebuje żony, bo inaczej dom popada w ruinę. Skoro dzieci nie potrafią dostosować się do wymagań Adeline, niech jądą na wakacje do Herberta albo Edwarda. Nie mają się na co uskarżać, bo Henry zawsze nalegał, żeby dostawały wszystko, co najlepsze. Kiedy Molly zaczęła dorastać, pilnował, żeby bywała w towarzystwie i Edward z żoną specjalnie przyjechali do Londynu, żeby wprowadzić ją w świat. Adeline odmówiła szaperonowania, i bardzo słusznie, gdyż Molly nigdy nie okazywała jej uczucia. Sam Henry też zabrał ją kilka razy, ale tak się dziwnie składało, że po powrocie miał kłopoty z Adeline.

- Szkoda, że z nami nie poszłaś. Molly tak uroczo wyglądała na balu u Goshenów!

- Oczywiście, ponieważ mnie tam nie było - śmiała się Adeline. -Panna Molly lubi skupiać na sobie uwagę całego towarzystwa. Pamiętam, jak robiła słodkie oczy do dyrygenta...

- Och, daj spokój...

- Mój drogi Henry, nie jestem ślepa. Przypuszczam, że dziś także wychodzicie? Widzę, że wolisz towarzystwo córki niż żony.

- Skądże znowu. Jeśli chcesz, mogę zostać.

- Nie chodzi o to, czego ja chcę. Wiesz, że nigdy nie myślę o sobie.

Ale jeśli wolisz spędzić wieczór w przegrzanej sali i przyglądać się, jak twoja najstarsza córka wychodzi ze skóry, by złapać męża, to proszę bardzo. Ja zamierzam wcześniej się położyć. Od rana pęka mi głowa...

- No dobrze, zostanę. Edward zabierze Molly, wcale nie chcę iść. Po kilku takich incydentach prościej było całkowicie powierzyć

Molly Edwardowi. Następna trudność wynikła, kiedy Hal przysłał list z zaproszeniem na czwartego czerwca*. Tego bowiem dnia miał wziąć udział w zawodach wioślarskich jako szlakowy w osadzie seniorów i zależało mu na obecności ojca.

Proszę Cię, przyjedź sam albo z Molly i Kitty - pisał.

Henry obawiał się, że Adeline źle to przyjmie, i próbował przy śniadaniu ukryć przed nią list, ale jej bystre oko natychmiast wyśledziło stempel riton i charakter pisma Hala.

- No i co twój synalek ma tym razem do powiedzenia? Pewnie coś przeszkrobał?

- Pyta, czy nie przyjechałbym z dziewczynkami na czwartego czerwca. Startuje na kajaku.

- Mnie oczywiście nie zaprasza.

- W zasadzie nie, ale na pewno by się ucieszył, gdybyś zechciała przyjechać.

- Mój drogi, tylko nie udawaj, nie znoszę tego. Nie pojechałabym do Eton, nawet gdyby mnie zaprosił. Zresztą tego dnia urządzam lunch dla Armitage'ów i Masonów, nic nie wiedziałam, że planujesz wyjazd. Będzie mi bardzo niezręcznie zabawiać ich bez ciebie, w końcu to twoi przyjaciele. Ale oczywiście nie psuj sobie planów, nie rozumiem tylko, czemu Halowi nagle tak na tobie zależy. Pewnie chce się przed kimś popisać, bo wioślarstwo, jak się zdaje, to jedyna dziedzina, w której ma jakieś sukcesy. Poza pić, oczywiście.

- O czym ty, u diabła, mówisz?

- Ach, przepraszam. Zapomniałam, że nie widziałeś fotografii, którą przysłał Kitty. Widziałam ją przypadkiem na jej toalecie. Musiał założyć się z kolegą o to, kto więcej piwa wypije z takiego monstrualnego kufła, i chyba wygrał, stąd ta fotografia. Oczywiście zawsze uważałam, że twój syn to skóra zdarta z Johnniego, ale wolałam nic nie mówić. Lepiej na niego uważaj, bo takie skłonności są dziedziczne. - Zaśmiała się i wstała od stołu. - Mój biedaku, co to znaczy być ojcem! Przynajmniej ja mogę ci ująć ciężaru. Zabieram dziś Li-zette na masaż, a po południu przyprowadzę Kitty z lekcji tańca. Na twoim miejscu pogratulowałabym Halowi, że może zmieścić w brzuchu tyle mocnego piwka.

I wyszła na poranną sesję z kucharką.

Henry nie odpowiedział. Zabrał swoje listy i udał się do palarni. Hal taki jak Johnnie... Nikt nigdy nie dopatrzył się między nimi podobieństwa. A może jednak? Tylko nic nie mówili, żeby nie ranić jego uczuć. Adeline często miała rację, potrafiła tak trafnie osądzić różne sprawy, a tego rodzaju skłonność naprawdę jest dziedziczna. Johnnie... poza tym dziadek Simon Flower... Nie, to przecież nonsens. Nie, ma cienia podobieństwa między Johnniem, który przez długie lata ulegał nieszczęsnemu nałogowi, a młodym Halem, wychylającym kufel piwa dla zakładu. Henry bębnił palcami po półce nad kominkiem, przyglądając się pejzażowi Clonmere, który Adeline usunęła z salonu do palarni. Bole'owie nie chcą przedłużyć umowy, co on ma zrobić z tą posiadłością? Nie mógłby już tam mieszkać, ta część życia została definitywnie zakończona. Teraz nawet listy od starego Toma sprawiają ból. Ale kopalnie nadal prosperują, zwłaszcza odkąd pod złożami miedzi dokopano się cyny. Hal i Johnnie... Zakradł się do pokoju Kitty, pustego o tej porze, gdyż córka była na lekcjach, i wziął z toaletki fotografię. Dwóch roześmianych osiemnastolatków. Jeden rzeczywiście trzyma ogromny kufel. Jak ten Hal wyrósł! Nie wiadomo kiedy minęło tyle lat. Henry tak mało o nim wie... Chłopak wolał spędzać wakacje u Herberta w Lletharrog niż w domu. O Halu zawsze mówiono, że przypomina ojca, ale ta jego postawa - niedbała,

nawet arogancka, jedna ręka w kieszeni, w drugiej kufel, ta uniesiona w górę brew - czyż to nie Johnnie? I nagle załała go rzeka wspomnień. Odłożył fotografię na miejsce, wrócił do palarni i usiadł przy biurku.

Mój drogi Halu, niestety, nie mogę przyjechać czwartego, ponieważ tego dnia mamy w domu gości na lunchu. Poproszę jednak stryja Edwarda, żeby mnie zastąpił, a Molly i Kitty na pewno zechcą mu towarzyszyć...

Hal przebiegł wzrokiem list, po czym wrzucił ramionami, podał go i wrzucił do kosza. Oczywiście to sprawa tej baby, od razu wiedział, jak będzie. No i dobrze. Skoro ojcu nie zależy, by zobaczyć go przy wiosłach, można sprawę uznać za zamkniętą. Dotąd uczciwie przykładał się do wiosła, bo skrycie wierzył, że ojciec może być dumny z jego sukcesów. Ale najwyraźniej nie jest, nic go to nie obchodzi. To już ostatni semestr w Eton, a ojciec w ciągu czterech lat odwiedził go tylko raz. Tak samo będzie z Oksfordem. Okolicznościowy list, czek na pokazną sumę, ale nic więcej. No dobrze, zdażył się przyzwyczaić, teraz to już nieważne.

Podczas drugiego roku pobytu Hala w Oksfordzie Molly wybrała się za wodę z wizytą do Eyre'ów i zaręczyła się tam z Robertem O'Brienem Spencerem, sędzią pokoju, a zarazem przyjacielem wuja Billa.

Jest przesympatyczny - pisała do brata - i kocha każdy skrawek tego kraju tak samo, jak ja. Nie myśl, że robię to dlatego, że chcę uwolnić się od Adeline, bo to nieprawda, bez względu na to, co powie ojciec. Naprawdę lubię Roberta, ale najwspanialsze ze wszystkiego jest to, że będziemy mieszkali zaledwie trzydzieści mil od Clon-merel Zamierzam zapytać ojca, czy pozwoli nam pojechać tam na Boże Narodzenie i przewietrzyć trochę kochane stare śmieci. Oczywiście musisz także się zjawić, razem z Kitty i Lizette.

Dom, po dziesięciu latach znowu dom. I w dodatku ta poczciwa Molly wychodzi za rodaka! To największa sensacja, odkąd znalazł się w Oksfordzie, jeszcze większa od tamtej wiosny, kiedy startował w zawodach wiosłarskich przeciwko Cambridge. Trzeba będzie ją uczcić, zaprosić wszystkich przyjaciół na obiad i porządnie się zaprawić. Wprawdzie pieniądze przeciekają mu ostatnio przez palce niczym woda przez sito, ale stare kopalnie wytrzymają to jakoś. Na-

maluje też portret Molly i wręczy go szczęśliwemu oblubieńcowi. Gwiazdka w domu, mój Boże...

Molly wyszła za mąż w listopadzie. Odbyło się huczne wesele, którego wspa-
niałości nawet Adeline nie dała rady zaćmić. Oczywiście to ona wszystko zorga-
nizowała, ale chociaż uparła się, że dom przy Lancaster Gate nie pomieści tak
wielkiej liczby gości i przyjęcie musi się odbyć w hotelu - wielkim, ponurym i
pozbawionym stylu - nie mogła odwrócić powszechnej uwagi od rozpromienio-
nej panny młodej, która stojąc pośrodku sali, przyjmowała życzenia, ani po-
wstrzymać szmeru podziwu dla Kitty, jej pierwszej druhny. Ta ostatnia, obecnie
siedemnastoletnia, wyrosła na prześliczną, podobną do matki panienkę i w ni-
czym nie przypominała już rozbrykanego żrebaka. Adeline nie udało się także
odciągnąć męża od upartego pana młodego, który wyprosił w końcu zgodę na
wizytę rodzeństwa w Clonmere podczas Bożego Narodzenia.

- Wygraliśmy! - krzyknął radośnie Hal, zacierając ręce. - Nareszcie nasze na
wierzchu! Nie rób takiej wystraszonej miny, Lizette, ona nas nie słyszy, a jeśli
nawet, to nic mnie to nie obchodzi. Kitty i ja zabieramy cię z powrotem do domu
za wodą.

I rzeczywiście szesnastego grudnia przeprawili się do Slane. Tam wsiedli w
pociąg do Mundy, gdzie okazało się, że parowy stateczek z kołem łopatkowym
wciąż jeszcze kursuje mimo końca sezonu i może ich przewieźć przez zatokę do
samego Doonhaven. Dziesięcioletnia Lizette stała przy relingu między bratem a
siostrą, po raz pierwszy chłonąc wzrokiem ów widok. Ściągnięta twarzyczka
dziewczynki utraciła wreszcie spłoszony wyraz i na policzkach ukazały się ru-
mieńce. Z południowego zachodu dał lekki wiatr, niebo było pełne puszystych
obłoczków, dalekie wzgórza zieleniły się w słońcu.

- To zamek Andriff, babcia się w nim urodziła - wyjaśnił Hal, wskazując od-
ległą budowlę. - Mamy tam kuzynów, spodziewam się, że Molly ich także zapro-
siła, muszą już być dorośli. A ten kościółek w cieniu na tamtym brzegu to Ard-
more. Jeździliśmy tam co niedziela i mama jest tam pochowana.

Jaki malutki i opuszczony! Nie oszczędza go żaden wiatr... I ona tam leży już
dziesięć lat, nie mając obok nikogo bliskiego? Czy nikt nie kładzie kwiatów na
jej grobie? Hal poczuł skurcz w gardle. Takie to wszystko odległe, takie dawne...

A tam znów Hungry Hill wznosi ku niebu swój granitowy łeb. U podnóża są
kopalnie ze swymi kominami, barakami, traktami. Kiedy stateczek okrążył garb

wyspy Doon, ukazał się długi rząd zabudowań garnizonowych, a w cieniu między wzgórzami - miasteczko Doonhaven.

- Spójrzcie w górę tego potoku za portem, to już Clonmere! -krzyknął Hal.

Patrzyli w milczeniu na swój rodzinny dom, który opuścili jako małe dzieci. Słońce świeciło na szare mury, odbijając się w oknach; dobudowany fronton po latach nabral patyny i wyglądał jak integralna część budynku. Wciąż jednak było tam cicho i pusto - odkąd w roku 1871 wynieśli się robotnicy, nikt tam niczego nie tykał. Ze starej wieży powiewała chorągiew, na potoku stały zacumowane łodzie.

Po policzkach Kitty spływały łzy.

- Wiem, że to głupie, ale nic nie poradzę - mówiła, uśmiechając się do Hala. - Myślałam, że będzie jakoś inaczej, ale wszystko jest takie samo.

- W jednej łódce ktoś siedzi - zauważył Hal. - Może Sullivan albo Baird? Pewnie łowi łososie.

- Na drzewach poniżej parku nadal mieszkają czaple! Patrz, Lizette, za tym drugim potokiem widać ich wielkie, nieporządne gniazda... O, to już falochron portu, ale przy odpływie w basenie jest za mało wody. Pewnie rzucimy kotwicę na otwartym morzu i popłyniemy do brzegu szalupą.

- Na nabrzeżu stoją Molly i Robert! - zawołała Lizette. - I jeszcze jacyś państwo, on jest ubrany jak pastor. Ma długą siwą brodę.

- To wujek Tom! - wrzasnął Hal. - Kiedyś był najlepszym przyjacielem ojca. I ciocia Harriet, patrzcie, macha chusteczką!

- A ta panienska to pewnie Jinny. Dobry Boże, miała sześć lat, kiedy wyjeżdżaliśmy, więc teraz ma szesnaście.

Stateczek, młócąc zawzięcie wodę, obrócił się rufą. Za chwilę z dziobu zrzucono kotwicę. Przez rozkołysaną wodę płynęły ku nim łódki. Wszyscy się uśmiechali, wymieniali uściski rąk i całusy. Wujek Tom jedną rękę oparł na ramieniu Hala, drugą obejmował Kitty. Ciocia Harriet porwała Lizette w ramiona i mocno przytuliła. Jinny wodziła brązowymi oczami po ich twarzach.

- Boże, błogosław wam wszystkim - rzekł wujek Tom swym tubalnym głosem. - Ogromnie się cieszymy, że znów możemy powitać was w domu.

Znajome „kocie łby”, plaża z drobnych kamyczków, łódki na fali. Stary sklepik Murphy'ego, na rogu drugi, ze świecami, po przeciwnej stronie placu pub. Akurat był dzień targowy i składano stragany. Jakiś pastuch pędził krowy przez wzgórze. Na placu stali mężczyźni, gryząc słomki i oddając się, jak zwykle, błogiemu nieróbstwu. Jakaś kobieta wydzierała się od progu na sąsiadkę, z domu wybiegło brudne dziecko z palcem w buzi. Na schodku sklepiku Murphy'ego stał ksiądz z kapustą pod pachą. Drogą z Hungry Hill schodziło ze śpiewem kilku górników w roboczych ubraniach.

- Po cośmy w ogóle stąd wyjeżdżali? - pytał z żalem Hal. - Dlaczego ojciec nas zmusił?

Wujek Tom uśmiechnął się i ujął go pod ramię.

- Mniejsza o to - rzekł. - Ważne, że znów jesteście w domu.

Jak dobrze było znów zobaczyć kochanego wujka i ucałować pulchny policzek cioci Harriet! Wdychać znajomy zapach probostwa - skórzanych foteli, paproci, psów, zasiąść do gigantycznego podwieczorku i zajadać się pysznym, domowym plackiem z owocami... Wspomnienia - szczęśliwe wspomnienia - cisnęły się jedno przez drugie.

- Czy nadal ubijasz sama masło, ciociu, i zbierasz śmietankę z mleka muszelką?

- Czy wujek jeździ w każdą niedzielę do Ardmore?

- A pamiętacie, jak po podwieczorku rozwiązywaliśmy szarady i mama udawała, że nie może odgadnąć rozwiązania, a tak naprawdę znała je od początku?

- Albo jak Kitty wpadła do bagna podczas pikniku na wrzosowiskach Kileen?

- Albo wyprawę do Blue Rock?

- A przyjęcie w garnizonie na wyspie?

Lata spędzone w Londynie jakby przestały istnieć, podobnie jak Oksford i Eton. Adeline i Lancaster Gate to tylko zły sen.

Molly pamiętała o życzeniu brata i Hal już pierwszego wieczoru rozejrzał się po pokoju na wieży. Był tak wzruszony, że nie mógł mówić. Bole'owie nigdy tam nie zaglądali, toteż ściany dotąd nie wyzbyły się zapachu stęchlizny, znamionnego dla niezamieszkanyc wnetrz. Obrazki wyblakły, na niektórych widać

było pleśń. Na starej szafce wciąż stało pudełko pełne ptasich jaj, okryte grubą warstwą kurzu. Do kogo właściwie należała ta kolekcja? Hal nie mógł sobie przypomnieć. Może do dziadka, który wygrał srebrny puchar na psich wyścigach? Zdjął ostrożnie pudełko i oczyścił je z kurzu. Były tam także kawałki wędki, zupełnie nienadające się do użytku. Jak dobrze, że Bole'owie zostawili wszystko w nienaruszonym stanie! To przecież osobiste drobiazgi, związane wyłącznie z rodziną. Dom także się nie zmienił, może trochę przygasł, trochę się postarzał. Niektóre dywany nieco się przetarły, zasłony w jadalni zupełnie się rozlatywały. Służba, którą Molly sprowadziła z domu Roberta, orzekła, że kuchnia nie nadaje się do użytku, a pompa w stajni jest pęknięta.

- Ale czy to ważne? - spytała przy obiedzie Molly. - Grunt, że jesteśmy w domu i choćbyśmy mieli piec świątecznego indyka na kominku w jadalni, będzie nam smakował lepiej niż gdzie indziej.

Znów słyszeć plusk wody w potoku. I znów nad Hungry Hill wschodzi pyzaty biały księżyc. Tyle było do obejrzenia, tyle do roboty, a wszystko to, niestety, w bardzo krótkim czasie. Dziwnie się czuli, nie widząc w stajni ani jednego ze starych koni. Wozownia także ziała pustką, gdyż powóz wiele lat temu zabrano do Londynu. Stary Tim nie żył, a w jego mieszkaniu nad stajnią zamieszkał parobek Roberta. Niektóre szyby były pęknięte, w szparach między kamieniami brukowymi rosła trawa.

- I pomyśleć, że dawniej wszystko to lśniło czystością! - rzekła Molly do męża. - Pamiętam, że chłopak co rano mył całe podwórko, potem czyścił konie i dopiero wtedy Tim zajeżdżał powozem przed front, jeśli mama wybierała się do Doonhaven. Nawet jeśli Bole'om nie zależało na porządku, był przecież rządca i on powinien o wszystko zadbać.

- Zawsze tak jest, kiedy zabraknie właściciela - tłumaczył jej Robert. - Trudno mieć pretensje do rządcy czy kogoś innego, bo przecież widzą, że nikt się tym nie interesuje. Po co mieliby dbać o posiadłość jeśli pan dziedzic nie pokazuje się od dziesięciu lat? Ale nie martw się, Molly, póki tu jesteśmy, spróbujemy coś z tym zrobić.

Hal i Kitty wybrali się w odwiedzin do mieszkańców domków w Oakmount, ale rozmowa, z początku ożywiona, szybko zaczynała się rwać, więc oni także czuli się obco.

- Ach, panienska to wykapana matka, świeć, Panie, nad jej duszą -zachwycała się wdowa po Timie. - Te same piękne oczy... - I tak dalej w tym stylu przez co najmniej kilka minut.

Zrobiło się im ciepło na sercu, że tak mile ich wita i wspomina, ale zaraz zaczęło się narzekanie. Takie ciężkie czasy, trudno związać koniec z końcem, syn i córka w Ameryce... Wszystko to mówiła z oczami utkwionymi w Hala, więc oddał jej wszystkie drobne, jakie znalazł w kieszeni. Zgarnęła je chciwie, a kiedy już się pożegnali, Hal obejrzał się przez ramię i zobaczył, że stara mruczy coś do siebie. W tym momencie zrozumiał, że oni nic dla niej nie znaczą, a wspominki o matce to tylko sposób na wyłudzenie pieniędzy. Poszli na probostwo, gdzie wujek Tom i ciocia Harriet szybko przywrócili im dobry humor.

- Dziesięć lat to szmat czasu - mówił wujek - ale to jeszcze nie powód do zmartwienia. Ważne, żeście wrócili i chcecie tu zostać. Hal, co zamierzasz robić po skończeniu Oksfordu?

- Nic. Cieszyć się życiem i malować obrazki dla przyjaciół. Ciotka Harriet pokręciła głową.

- Widzę, że nie uczono cię we właściwy sposób. Za dużo pieniędzy, za mało kierunku. Chodź, pomożesz mi ubijać masło, Jinny ci pokaże, jak to się robi.

W wyszorowanej do białości mleczarni ciocia krzątała się wśród garnków i rondli.

- Popracujesz trochę na chleb powszedni zamiast rozpierać się przy stole i pić maślanekę. Jinny ma dwa razy tyle energii co ty, choć daleko jej do twego wzrostu.

- Kobiety do roboty, mężczyźni do zabawy - zażartował Hal, pociągając Jinny za włosy. - Pamiętasz, jak płakałaś, kiedy wywróciłem cię z taczek na ziemię?

- Tak, ale potem ją pocałowałeś i przeprosiłeś - wtrąciła ciotka.

Hal wsadził palec do miski z żółtą śmietanką i zerknął chytrze na Jinny, która z podwiniętymi do łokci rękawami i włosami upiętymi na czubku głowy obsługiwała maślnicę.

- Teraz jesteś już za duża na całowanie, prawda?

- O wiele za duża - odparła poważnie dziewczyna.

- I zbyt rozsądna, by wypadać z taczek?

- Zależy, kto je prowadzi.

- A może zrobimy rundkę wokół ogrodu i przekonamy się?

- Raczej nie.

- To chodźmy na ryby, jeśli będziesz taka dobra, że mi zaufasz.

- Niczego nie obiecuję, póki nie wyciągniesz palucha ze śmietany. Hal wybuchnął śmiechem. Wysunął się zza stołu, usiadł przy niej i ujął rączkę maślnicy.

- Ach, Jinny, nigdy nie wyjeżdżałaś z domu, to nie rozumiesz, co człowiek czuje po powrocie.

Nie ma co popadać w przygnębienie z powodu lat, które stanęły między nimi a mieszkańcami Clonmere. Samo miejsce wcale się nie zmieniło, więc trzeba cieszyć się każdą chwilą. To były naprawdę szczęśliwe święta. Kuchenny piec dał się namówić na upieczenie indyka, którego następnie uroczyście pokroił Hal, przyjmąwszy na siebie rolę pana domu. Podzielił ptaka na tak wielkie porcje, że dla niego samego został tylko szkielet. Zebrało się mnóstwo gości, gdyż oprócz Brodricków przyjechali Spencerowie, Callaghanowie oraz kuzyni z Andriff - Simon, Judith i Frank. Po świątecznym obiedzie bawili się w chowanego w nowych pokojach, skąd niosło się echo tupotu ich nóg, wesołych okrzyków i śmiechu. Tom Callaghan stał z żoną w korytarzu oddzielającym obie części domu i słuchał tych wszystkich odgłosów.

- Co za tragedia! - westchnął. - A przecież mogło tak być przez cały czas. W pokojach stałyby meble, dzieci dorastałyby tam, gdzie ich miejsce, Henry byłby nadal taki dobry i kochany...

- Myślisz, że kiedyś tu wróci? Pastor pokręcił głową.

- Czytałaś jego listy, więc wiesz, co się z nim dzieje. To już inny człowiek.

- Hal jest taki do niego podobny! Ten sam wdzięk, uśmiech... A jednak brak mu entuzjazmu, tej energii, którą zawsze przejawiał Henry. I czasem mówi z taką goryczą, że zupełnie nie pasuje to do jego wieku.

- Dziesięć lat zaniedbania i wszystkie nauki matki poszły w ką.

Gdyby Henry przedarł się przez mur, jaki między nimi wyrósł... ale i to pewnie by nie pomogło, skoro fundamenty legły w gruzach.

Kitty zbiegała ze schodów, ścigana przez młodego Simona Flowera. Lizette, nareszcie z rumieńcami na wychudłej twarzyczce, skradała się na palcach do

nigdy nieużywanego salonu. Z galerii dobiegał śmiech; Robert złapał Molly i przewalcowali razem aż do szczytu schodów. W małym buduarze, nad zabitym sztabami frontowym wejściem, Hal zmagął się z balkonowymi drzwiami, które - pordzewiałe i wypaczone od wilgoci - nie chciały się otworzyć.

- To miał być buduar mamy - powiedział do Jinny. - Ojciec chciał, żeby przylegał do sypialni. Podoba ci się?

Kiwnęła głową.

- Często patrzyłam w to okno od zewnątrz. Zakradałam się tu, kiedy Bole'owie wyjeżdżali. Jest zupełnie tak, jak sobie wyobrażałam. W kącie, blisko ognia, postawiłaby pewnie biureczko, tu jeden fotel, tam drugi...

Uśmiechnęła się do Hala ciepło, ze zrozumieniem.

- Pamiętasz ją? - spytał. Pokręciła głową.

- Tylko tyle, że miała bardzo łagodny głos i ciemne włosy, a kiedy przychodziłam tu na podwieczorek, zawsze mnie całowała.

Hal patrzył przed siebie z rękami w kieszeniach.

- Wiem. Najgorzej, że i ja nie przypominam sobie więcej. A jednak kochałam ją najbardziej na świecie. - Raz jeszcze spróbował otworzyć drzwi, ale nic z tego nie wyszło, więc odwrócił się i wzruszył ramionami. - Nie dam rady, są zamknięte na amen. Niech tak zostaną, teraz już nikt nie zamieszka w tej części domu.

Jinny szła za nim galerią w stronę schodów. Uczestnicy zabawy w chowanego przenieśli się do starego budynku i wielki hall opustoszał.

- To dziwne - odezwał się Hal - ale kiedy się słyszy o nawiedzonych domach, to zwykle chodzi o stare budynki, nie nowe. A jednak czuję, że pełno tu duchów.

Jinny wyciągnęła do niego rękę.

- Nie miałbyś nic przeciwko temu, gdyby to była twoja matka, prawda?

Wyglądała bardzo młodo i była bardzo pewna siebie. Nie bała się trzymać go za rękę w pustym hallu.

- Ale to nie jest ona i dlatego tak mi dziwnie. W tych kątach kryje się duch mego ojca, chociaż on wciąż żyje. - Obejrzał się na czarną pustkę za drzwiami. -

Chodź, Jinny, nie chcę teraz myśleć o nim, tylko o nas. Są święta, powinniśmy się weselić, być szczęśliwi...

3

Kiedy w końcu stycznia towarzystwo opuściło Clonmere, Molly z mężem zabrali Lizette już na stałe do swego domu w sąsiednim hrabstwie, Kitty zaś zamieszkała u Flowerów w zamku Andriff. Tylko Hal wrócił za wodę, zamierzając przenoćować przy Lancaster Gate przed powrotem do Oksfordu.

- Pamiętaj, chłopcze - powiedział mu wujek Tom, żegnając go na nabrzeżu Doonhaven - że masz w naszym probostwie swój dom. Nie ze względu na twoich rodziców, tylko na ciebie samego. Wszyscy cię bardzo lubimy, Jinny będzie brakowało twego towarzystwa.

- Dziękuję, nie zapomnę.

Wielki smutek go ogarnął, kiedy stateczek odbił od brzegu i wypłynął na wody zatoki Mundy. Clonmere, miasteczko i wyspa Doon wkrótce stały się znowu tylko szarymi cieniami u podnóża wzgórz. Ferie, które tak wiele dla niego znaczyły, należały już do przeszłości. Czy kiedyś tu wróci? Rozpacz podpowiadała, że to pożegnanie na zawsze.

Przy Lancaster Gate okazało się, że ojca i macochy nie ma w domu. Hal usiadł w salonie i zaczął przeglądać magazyny. Wydawało mu się, że pokój jest pełen Adeline - jej książek, robótek, papieru listowego. Wszystko starannie ułożone, ale jakoś brak tu wygody, myślał, oczekując lada chwila szybkich, zdecydowanych kroków macochy i jej drażniącego śmiechu. Znowu poczuł dawny lęk przed nieuchronną koniecznością rozmowy. Żeby jakoś ukoić nerwy, poszedł do jadalni i nalał sobie dużą whisky z wodą sodową - to jedyny sposób na przetrwanie wieczoru. W Doonhaven nigdy nie czuł takiej potrzeby, tylko tutaj, w tej zimnej, bezosobowej atmosferze Lancaster Gate nie mógł się obejść bez alkoholu. Zanim ojciec z macochą wrócili, był rozgrzany i pełen fałszywej odwagi; teraz może stawić czoło całemu światu - nie taki diabeł straszny, jak go malują.

- Przypuszczam - powiedziała Adeline przed obiadem - że Clonmere przypomina chlew, a wy tarzaliście się w brudzie, jedząc jakieś odpadki?

- Wprost przeciwnie - odparł Hal. - Molly tuczyła nas jak koguty przed walką, a na probostwie nikt jeszcze nie chodził głodny.

- Czy rezyduje tam ten pastor, którego żona wciąż kręci się po kuchni? To chyba jedyny sąsiad na przestrzeni wielu mil. Jak wasz ojciec znosił takie życie? Bardzo mnie to ciekawi.

- Callaghanowie to najmiłsi ludzie, jakich znam - bronił wujostwa Hal. - Wujek Tom i mój ojciec byli za dawnych czasów nierozłączni.

- *Faute mieux**¹⁶ - zaśmiała się Adeline. - Nie sądzę, żeby teraz gustował w towarzystwie starego, nudnego pastora, żyjącego na odludziu. Gdyby nie prawo majoratu, jutro by sprzedał Clonmere, powtarzał mi to setki razy.

Wszedł Henry i za kilka minut podano obiad.

Hal jadł w milczeniu, płonąc z oburzenia. Co za podła kłamczucha! Tak lekko mówi, że ojciec chciałby sprzedać Clonmere! To niemożliwe, nigdy by tego nie zrobił. Ale w czasie obiadu Adeline jak zwykle prowadziła rozmowę, nie patrząc na niego, i wciąż robiła aluzje do absurdalnych kosztów utrzymywania posiadłości, która nie przynosi żadnego zysku i tylko ciągnie kapitał. Ani razu przy tym nie wymieniła nazwy Clonmere, jako przykład podawała swoich znajomych na północy Anglii. Ludzie ci przez lata borykali się z pustym domem i zaniedbanym majątkiem, ale teraz właśnie udało im się go pozbyć.

- Sprzedali ziemię pod budownictwo za fantastyczną cenę i są wdzięczni losowi, że mogli się od niej uwolnić. Teraz zamierzają spędzać większość czasu za granicą. Oczywiście nie mieli dzieci, więc nie musieli zawracać sobie głowy żadnym majoratem.

Dopiero kiedy opuściła pokój po deserze, Henry zaczął wypytywać syna o Doonhaven i Clonmere. Pod lekkim, obojętnym tonem wyczuwało się jednak pewien niepokój i skrywaną ciekawość. Co słychać u Callaghanów? Czy Tom mocno się zmienił, postarzał? Czy Bole'owie dbali o teren, czy też wszystko za-

¹⁶ * Z braku czegoś lepszego.

rosło? Czy rządca był uprzejmy? Czy Hal słyszał jakieś pogłoski na temat zamiany miedzi na cynę i perspektyw na przyszłość?

- Podobno cyny jest mnóstwo - wyjaśniał Hal. - I łatwiej ją wydobywać niż miedź, nie wymaga takiego nakładu pracy. Wujek Tom mówił, że kilku górników zwolniono. Nie rozumieją dlaczego, skoro pracowali przez długie lata.

- Będą musieli się z tym pogodzić - rzekł sucho Henry.

- Tak sędzę, ale wujek Tom uważa, że jest im trudno, bo w ciągu jednego dnia zawaliło im się całe życie. Ostatnia zima była bardzo ciężka, wielu młodych przymierza się do emigracji, niektórzy już wyjechali do Ameryki.

- To nie moja sprawa. Tym, których nadal zatrudniam, płacę przyzwoite pensje i będę to robił, póki wydobywanie cyny nie przestanie się opłacać.

- A potem?

Henry wzruszył ramionami.

- Zamknę kopalnię albo sprzedam ją w stosownym psychologicznym momencie. Czasem myślę, że byłoby to najmądrzejsze rozwiązanie.

- Wujek Tom przypuszcza, że masz taki zamiar, i chyba się tym martwi. Mówił, że wielu ludzi straciłoby wtedy pracę.

- Tom jest pastorem, on się tym przejmuje niejako zawodowo, ale my nie musimy. Mam prawo zrobić z moją własnością, co mi się podoba, a kopalnie są moje.

Hal nie odezwał się więcej. To w końcu nie jego rzecz. Przypomniał sobie nagle wizytę u grobu matki w przeddzień wyjazdu. Wybrał się tam dwukółką pastora i zabrał ze sobą Jinny. Grób był zadbane i obsadzony roślinami cebulkowymi. Jinny mówiła, że jej rodzice pilnują porządku, a na wiosnę zawsze kwitną żonkile.

Stali tam razem, Jinny przy okazji zmiotła suche liście, odsłaniając napis: *Katherine - ukochana żona Henry'ego Brodricka*. Czy powinien opowiedzieć o tym ojcu? Ten jednak o nic nie pytał. Nigdy nie wspominał o Ardmore ani nawet o nowej części zamku.

- Więc Kitty i Lizette zdecydowały się tam zostać razem z Molly? - spytał. - Najwyraźniej wolą jej towarzystwo od mojego.

- Och, gdyby wiedziały, że tego chcesz, na pewno by wróciły. Henry nie odpowiedział. Obracał w palcach nóżkę kieliszka.

- Przypuszczam - odezwał się po chwili - że nie zgodziłbyś się na złamanie majoratu?

Hal osłupiał.

- Co masz na myśli?

- Twój pradziadek sporządził długi i bardzo szczegółowy testament. Aby sprzedać posiadłość, muszę uzyskać zgodę mego spadkobiercy, nie wolno mi uczynić tego na własną rękę. Gdybyś nie miał nic przeciwko temu, zrobiłbym to za kilka miesięcy, po twym dojściu do pełnoletności, i oczywiście zapewniłbym ci przyzwoitą sumę na utrzymanie. Sądząc z twoich wydatków w Oksfordzie, bardzo ci się to przyda.

Hal poczerwieniał.

- Przykro mi, ojcze, nie mogę tego zrobić. Nie sędzę, byś rozumiał, ile Clonmere znaczy dla mnie, Molly i Kitty. Bez względu na to, co czujesz, to nasze miejsce na ziemi, nasz dom.

- Wyjechaliście stamtąd jeszcze jako dzieci. Nie mówię o tym wypadzie świątecznym, w końcu to była tylko wycieczka. Adeline wciąż powtarza, że utrzymywanie miejsca, które pochłania tak ogromne sumy na pensje i remonty, budzi śmiech. I ma rację, ta posiadłość drenuje mi tylko kieszeń, a nic w zamian nie daje.

- Oto ewangelia według świętej Adeline - burknął Hal.

- Nie musisz zaraz być impertynencki. Twoja macocha to bardzo przewidująca kobieta i mówi z sensem. Co ja mam z Clonmere? Odpowiedz, jeśli potrafisz. Nie byłem tam dziesięć lat.

- Sam jesteś temu winien. To miejsce istnieje, czeka na ciebie, jest wciąż takie samo, tylko bardziej zaniedbane. Kiedyś je kochałeś i nadal kochasz, a nie zbliżasz się do niego, bo się boisz.

- Czego miałbym się bać?

- Och, nie przejmuj się tak, nie chodzi o mamę. Ona nie będzie cię prześladować, już dawno ci przebaczyła. Powiedziała mi o tym, kiedy odwiedziłem jej grób, którego ty pewnie nawet nie widziałeś. Ty się boisz siebie, tego człowieka,

jakim kiedyś byłeś. Boisz się, że kiedy przekroczysz próg zamku, duch twej przeszłości wyjdzie z cienia i zacznie cię straszyć. Dlatego chcesz sprzedać Clonmere, myślisz, że on wtedy zostanie tam pogrzebany raz na zawsze.

Hal wstał, blady i drżący. Słowa same cisnęły mu się na usta, ledwie zdawał sobie sprawę z tego, co mówi.

- Piłeś - wycodził ojciec. - Podejrzewałem to jeszcze podczas obiadu. I nie pierwszy raz ci się to zdarza, Adeline mnie ostrzegła, że wpadłeś w nałóg. Ona się na tym zna, ma swoje sposoby. Widziała, jak zakradłeś się do kredensu i pociągnąłeś sobie, myśląc, że nikt cię nie widzi.

- Jeśli nawet tak-było, to wiesz dlaczego? Bo inaczej nie mógłbym usiedzieć między wami przy stole, wiedząc, że z każdym dniem stajesz się bardziej bezradny, nieszczęśliwy i pod każdym względem od niej uzależniony. Molly, Kitty i ja, a nawet biedna Lizette nie znaczymy dla ciebie nic, absolutnie nic, a teraz Adeline próbuje cię zmusić do sprzedaży Clonmere. Dzięki Bogu, że mogę temu zapobiec. Nie zgodzę się na złamanie majoratu, choćbyś mi dał dziesięć tysięcy...

Urwał gwałtownie, bo do pokoju weszła Adeline.

- Co się tu dzieje? Aż w salonie słyhać, jak Hal się wydziera. Chcecie, żeby służba przybiegła z sutereny?

- A niech przybiegnie, kto chce, nic mnie to nie obchodzi! Ale wiedz, że tym razem popełniłaś błąd. Nie dam się przekupić i nie dopuszczę do sprzedaży mojego domu dla twojej przyjemności.

- Idź spać - rzekł krótko Henry. - Może rano będziesz zdolny do rozmowy.

- Może - dodała Adeline. - Jeśli przedtem nie dobierze się do karafki. Spójrz na niego. - Wskazała z naganą w oczach na roztrzęsione ręce Hala. - Mam nadzieję, że jesteś dumny z syna, dobrze mu zrobił miesiąc w tym waszym kraju, co? Chłopak ledwie trzyma się na nogach. Musiał sobie nieźle tam pociągać, a teraz wrócił do starego nałogu. Nareszcie widzisz go takim, jaki naprawdę jest. I skoro już mowa o pieniądzach, to rzuć łaskawie okiem na kilka rachunków, które nadeszły podczas jego nieobecności. Oksfordzcy kupcy nie zwykli czekać w nieskończoność. Bardzo pouczające, w rzeczy samej. Weźmy na początek ten: pięćdziesiąt funtów za wino dla młodego dżentelmena tylko w ostatnim semestrze. - Rzuciła rachunek na stół. - A tu jest drugi i trzeci, cały plik, którego przestudowanie zajmie ci jutrzejszy ranek. I wreszcie miły liścik z twego banku, paniczku Hala. Dyrektor zawiadamia cię, że przekroczyłeś saldo o dwieście funtów.

Hal miał naprzeciw siebie dwie twarze: chłodną, obojętną ojca i czerwoną z podniecenia macochy.

- Jak śmiesz otwierać moje listy? - syknął. - Kto ci pozwolił?

- Ależ mój drogi, nie dramatyzuj. Masz te same inicjały, co twój ojciec, więc myślałam, że to do niego. A tu masz jeszcze *billet-doux**¹⁷ z za wody, nadszedł z wieczorną pocztą. Stokrotnie przepraszam, że zerknęłam, ale charakter pisma wskazywał na jakąś pomywaczkę. Kimkolwiek jest ta osóbka, podpisała się „Jinny”.

Zaśmiała się ironicznie, trzymając list przed nosem Hala. Ogarnięty furją chłopak uderzył ją na oślep, trafiając w kącik ust. Adeline zachwiała się i przyłożyła rękę do twarzy. Z rozciętej wargi ciekła strużka krwi. Henry błyskawicznie rzucił się na syna, złapał go za kołnierz i popchnął na stół.

- Ty pijany dumniu! - krzyknął. - Czyś do reszty zwariował? Hal wyrwał mu się i stał naprzeciwko blady i drżący.

- Dobry Boże, Hal, jak ci nie wstyd! Żeby uderzyć kobietę? To największa podłość, jakiej może dopuścić się mężczyzna. Weź moją chustkę, Adeline, a najlepiej idź na górę i niech Marcelle się tobą zajmie. Ale przedtem ten młodzieniec cię przeprosi.

- Nie - odparł spokojnie Hal.

Henry przyjrzał się uważnie blademu, rozczochranemu synowi. Na podłodze leżały porozrzucane rachunki, zmięty liścik od Jinny był wkopany pod stół.

- Albo przeprosisz Adeline, albo wynoś się z mojego domu - rzekł Henry, patrząc na niego twardymi, bezlitosnymi oczami. - Od początku sprawiałeś same kłopoty. Matka rozpuściła cię jak dziadowski bicz, więc uważałaś się za Bóg wie kogo. Za trzy miesiące kończysz dwadzieścia jeden lat i czym się wyróżniłeś? Pijaństwem, przepuszczaniem moich pieniędzy i malowaniem kiepskich obrazków. Chyba nie sądzisz, że jestem z ciebie dumny?

Hal wyszedł wolno z jadalni. Adeline się nie odzywała. Obserwowała ojca i syna, trzymając przy ustach chusteczkę.

¹⁷ * Liścik miłosny

- Pamiętaj! - zawołał za synem Henry. - Masz moje słowo: przeprosisz Ade-line albo raz na zawsze opuścisz ten dom.

Hal nie odpowiedział. Nawet się nie obejrzał. Otworzył frontowe drzwi i przez chwilę patrzył na ulicę. Potem - tak jak stał, bez kapelusza - wyszedł prosto na deszcz.

4

W dniu swych dwudziestych piątych urodzin Jinny Callaghan postanowiła zrobić generalne porządki. Zbyt wiele rzeczy nagromadziło się w jej sypialni na probostwie. Podręczniki szkolne o wiele bardziej przydadzą się teraz księdzu z Doonhaven, jeśli oczywiście zechce je wziąć. Zaniesie mu je następnego dnia, ryzykując ostrą odprawę: prezent od heretyczki, przewiązany czerwoną wstążką. Tak czy inaczej, rodzice się uśmieją. Sentymentalne historie dla pańienek zatrzyma dla swej chrześniaczki, córeczki Molly. Zatrzyma też swój pierwszy koszyk do robót, który otrzymała od matki na dziesiąte urodziny. Śmiesznie jest tak siedzieć na podłodze z podwiniętymi nogami i odnajdywać stare skarby. Są i fotografie, tych na pewno się nie pozbędzie. Ojciec za czasów studenckich w grupie kolegów. Wygląda na poczciwego figlarza, pewnie zresztą nim był. Obok stoi pan Brodrick ze swym bratem Herbertem, który także jest teraz duchownym i czasem pisuje do ojca. Jacy są wszyscy weseli! A tu ona sama jako niemowlę - siedzi na matczynych kolanach w białej wykrochmalonej sukience. Jakiż popłoch wyziera z tych okrągłych jak paciorki oczek! Albo zdjęcie z pikniku na Glen Be-gh - oni wszyscy i dzieci Brodricków. Molly nic się nie zmieniła, wciąż jest tą samą roześmianą, szczęśliwą ósówką, co wtedy, ale kto by pomyślał, że Kitty, brzydkie kaczątko, wyrośnie na taką piękność? Jinny grzebała w zdjęciach, szukając fotografii sprzed dwóch lat, ze ślubu Kitty Brodrick z jej kuzynem Simonem Flowerem. Jest! Stoją razem na schodach zamku Andriff, Kitty taka śliczna, a ona, Jinny, jako druhna wygląda przy niej jak flądra... Lizette, biedaczka, nigdy nie wyzbyła się tego wylęknionego spojrzenia, ale była wysoka niemal tak jak Kitty, a wykręconej nogi nikt pod długą suknią nie dostrzegał. To całkiem w stylu Kitty, zawsze przecież serdecznej i wspaniałomyślnej, że uparła się, by Lizette

zamieszkała z nimi w zamku Andriff, czemu dobroduszny Simon bynajmniej się nie sprzeciwiał.

Jinny wyprzątnęła całą szafkę, a następnie sięgnęła na półkę po pudełko oklejone taśmą. Zawahała się przez chwilę, po czym usiadła na łóżku, oderwała taśmę i otworzyła wieczko. W środku był plik listów, na wierzchu leżało kilka obrazków. Jeden z nich to jej portrecik z rozpuszczonymi na plecy włosami. Namalował go podczas owych pamiętnych świąt w Clonmere. Dwa przedstawiały Clonmere, inny - szkic piórkiem - wyspę Doon, dwa pozostałe - góry i okryte śniegiem puste, nieprzyjazne przestrzenie. Jinny przejrzała wszystkie uważnie, jeden po drugim, po czym odłożyła je na bok i wydobyla listy od Hala. Pierwsze - szalone, pełne żalu, nadeszły jeszcze z Londynu, a potem zjawił się ów śmiały, obiecujący list, pisany w Liverpoolu, tuż przed wyjściem w morze statku do Kanady.

Jestem pewien, że wierzysz we mnie, Jinny, nawet jeśli wszyscy inni przestali. Zobaczysz, pewnego dnia mój ojciec będzie ze mnie dumny.

Pozostałe listy z pierwszych lat w Kanadzie miały stempel poczty w Winnipeg. Z dat na kopertach wynikało, że wysyłane były niemal co miesiąc w roku 1881 i 1882. Charakteryzował je lekki, uczniowski styl - wszystko było nowe, ekscytujące, Hal wyraźnie cieszył się, że podjął decyzję wyjazdu. Oksford ze wszystkim, co sobą przedstawiał, wydawał się należeć już do innego świata.

Słyszę, że przegraliśmy zawody wioślarskie, czyli że fakt opuszczenia przeze mnie łodzi nie przyczynił im szczęścia. Ale myślałem o mojej osadzie tego dnia i nawet się za nią modliłem, chociaż kiedy człowiek od świtu do zmierzchu goni za bydłem, nie zostaje zbyt wiele czasu na wspomnianie dawnych przyjaciół. Mam tu wspaniałe życie i cieszę się każdą minutą.

Pierwsze listy były pełne nadziei, Hal zamierzał poświęcić się gospodarowaniu na ranczo i spodziewał się sukcesu.

Oczywiście pierwsze lata będą najtrudniejsze. Ciężko jest żyć tylko z tego, co pradiadek zostawił mi w testamencie, ale od ojca, nie wezmę ani pensa, i tylko to się liczy. Powiedz Molly, że zapuściłem brodę i wyglądam wprost zabójczo.

Do jednego z listów dołączył nieostrą fotkę: stoi ramie w ramie z dwoma ranczerami, ma podwinięte rękawy koszuli, brodę i wygląda na strasznego opryszka.

Raz na miesiąc jeździmy do Winnipeg - pisał w roku 1883 - i przepuszczamy całą forszę. Oglądamy różne widoki, stawiamy drinki dziewczynom, a ostatnio wdaliśmy się nawet w bójkę. Frank, mój wspólnik, wpadł w szal po pijaku i stuknął jakiegoś gościa w łeb. Oczywiście musiałem go wesprzeć i za naszą krzywdę spędziliśmy noc w pudle. Cóż, pierwsze koty za płoty. Gdyby doszło to do uszu Adeline, na pewno by powiedziała: „A nie mówiłam?”. Podziękuj kochanemu wujkowi za bardzo miłe widziany czek, ale niech więcej tego nie robi.

W następnych latach ton listów zaczął się zmieniać - stopniowo, niemal niepostrzeżenie.

Frank robi się niemożliwy, chyba trzeba będzie się rozstać. Chcę spróbować czegoś na własną rękę, zobaczymy, jak na tym wyjdę. Mam odłożonych dość pieniędzy, by kupić małe ranczo i sam być sobie szefem.

Chyba jednak nic z tego nie wyszło, gdyż po półrocznym milczeniu napisał, że udało mu się dostać posadę w banku w Winnipeg, co uznał za miłą odmianę po trudach wiejskiego życia.

Doszedłem do wniosku, że do hodowli bydła trzeba się urodzić, inaczej nie ma mowy o sukcesie. Zresztą klimat jest tu zbyt surowy dla przybyszów z innej strefy. Wciążu ostatniej zimy straciłem ładnych kilkanaście funtów na wadze. Najgorzej jest rano, kiedy trzeba wstawać po ciemku i wyjść na śnieg bez porządnego śniadania. Ach, jak ja tęsknię za ciasteczkami cioci Harriet! Teraz, kiedy jestem w mieście, żyje mi się znacznie łatwiej, mam też zupełnie wygodne mieszkanie.

Ale i w banku utrzymał się zaledwie dwa miesiące, gdyż następny list pochodził z Toronto i zawierał tylko kilka linijek.

Zacząłem znowu malować. W końcu to właśnie zawsze lubiłem najbardziej. Nikt mi nie rozkazuje i jestem panem swego czasu. Niektórzy tutaj twierdzą, że głupio postępuję, próbując znów czegoś innego. Nie sądzę, żebym zbił fortunę, ale przynajmniej jestem wolny, a od jakiegoś czasu bardzo mi tego brakowało.

Potem umilkł na cały rok. Dopiero jesienią roku 1886 nadszedł list pełen cichej rozpaczy, pisany drżącą ręką, miejscami nie do odczytania.

Byłem ciężko chory, mam zupełnie zrujnowane zdrowie. Mimo wszystko to Adeline miała rację, a nie Wy. Do niczego się nie nadaję, jestem chodzącą pomyłką i dawno bym z sobą skończył, gdybym miał odwagę. Sprzedałem parę obrazków, ale od miesięcy nic nie robię. Pomyśl o mnie czasem, Jinny, a zwłaszcza wspomnij ową Gwiazdkę w Clonmere, kiedy miałaś szesnaście lat, a ja dwadzieścia. Teraz nie byłabyś o mnie najlepszego zdania.

To ostatni już list, sprzed trzech lat. Odpisała, ale po wielu miesiącach zwrócono jej odpowiedź z dopiskiem: „Wyjechał”, na kopercie. Poszła potem do ojca i opowiedziała mu całą historię, a po policzkach ciekły jej łzy. Okazał jej tyle dobroci i wyrozumiałości, przeczytał ostatni list Hala, siedząc tuż obok i obejmując ją ramieniem.

- Gdybym była mężczyzną - mówiła wśród łkań - pojechałabym do Kanady i przywiozłabym go do domu. Na pewno bym go znalazła.

Tom Callaghan spojrzał na jej płonące żarem oczy, na drobny, zdecydowany podbródek.

- Wierzę ci, Jinny, ale Bóg stworzył cię kobietą. Może jednak pewnego dnia odnajdziesz swego Hala i dasz mu pociechę.

Od tej chwili minęły trzy lata. Jinny odłożyła listy do pudełka razem z obrazkami i zamknęła wieczko. Nigdy ich nie wyrzuci, będzie je czytać wciąż od nowa, aż całkiem się zestarzeje. Może Hal już umarł i nie cierpi, ale co z tego? Ona, Jinny, zawsze będzie pamiętać chłopca, który trzymał ją za rękę w ciemnym, upiornym Clonmere w dzień Bożego Narodzenia, a potem czuł się zaszczuty i samotny. Teraz, jeśli żyje, ma około trzydziestki - nie jest już chłopcem, kiedyś jednak siedział przy stole w mleczarni, pił maślanekę, maczał palec w misce ze śmietaną, gdy matka nie patrzyła... Albo drażnił się z nią ze śmiechem, trzymając ręce w kieszeniach... Albo pływał łódką po potoku... Tyle obrazów przesuwano się jej przed oczami, a każdy miły sercu. Muszą wystarczyć do końca życia, bo innych już nie będzie.

Włożyła pudełko do szafki i zeszła na dół na urodzinowy lunch. Ogrodnik Patsy uśmiercił z tej okazji kurczaka, a matka przyrządziła specjalny pudding. Jinny udała zaskoczenie, stosownie do okoliczności, chociaż ten sam rytuał powtarzał się co roku. Rodzice obserwowali wyraz jej twarzy, kiedy rozpakowywa-

ła prezenty, wydając oczywiście okrzyki zdumienia i zachwytu. Zawsze tak samo, rok w rok, a jednak wszyscy to uwielbiali.

- Ach, tatku, zegarek! Jesteś taki kochany! Przecież to ten sam, który podziwialiśmy na wystawie w Slane, a ty go chytrze kupiłeś!

- Nie ma w tym żadnej chytrności - uśmiechnął się Tom. - Kitty Flower wybrała się do Slane i załatwiła mi to.

- A od mamy papeteria! Czemu mnie tak psujecie? - Obeszła stół i kolejno ich ucałowała. - No jasne, już wiem! Tatko chce pożyczać zegarek, żeby się nie spóźniać do kościoła, a mama będzie notować przepisy kuchenne na moim nowym papierze. Uknuliście spisek przeciwko mnie!

- Jesteś zbyt spostrzegawcza - rzekł Tom. - A co masz zamiar zrobić z dzisiejszym popołudniem? Może pojedziesz do Kitty?

- Nie. Chętnie wybiorę się na spacer, jeśli nie jestem wam potrzebna.

- Będę smażyć dzemy - odparła Harriet - ale tym razem cię oszczędzę.

Aż trudno uwierzyć, myślała Jinny, idąc wolno wzdłuż potoku Clon-mere i patrząc na dalekie Hungry Hill, że pod tą granitową, bielejącą w słońcu ścianą pracują w trudzie i znoju ludzie. Czasem ulegają wypadkom, nawet giną, a wszystko to dla korzyści kogoś, kto mieszka daleko, w obcym kraju, i ani trochę o nich nie dba. Dom, który ma nad tym potokiem, przypomina grobowiec - zamknięte okiennice, sztaby na drzwiach. Czasem tylko domostwo ożywa, kiedy Molly z mężem i dziećmi przyjeżdżają na parę tygodni, ale przeważnie stoi martwe, tak jak dzisiaj. Henry Brodrick z żoną mieszkają teraz w Brighton, tak mówiła Molly, podobno sprzedali dom przy Lancaster Gate, a tu takie piękne Clon-mere nie może się doczekać właściciela... Jinny zapatrzyła się na balkonik nad nowym frontonem. Dziwnie jest pomyśleć, że nikt tam nigdy nie stał i nie spoglądał na trawiastą skarpe i podjazd. Kiedyś ktoś o tym marzył, ale marzenia spełzły na niczym.

Ścieżką nad potokiem powędrowała do bramy. Przez wody portu przedzierał się stateczek z Mundy. Właśnie minął wyspę i przed falochronem rzucił kotwicę. Odkąd w Andriff powstał hotel, przyjeżdżało tu sporo gości, pewnie też żony górników wracały z targu w Mundy. I żołnierze z garnizonu na wyspie. Od czasu do czasu wzmacniano go, odpowiadając na kaprysy i obawy władz, ale w Doonhaven nie interesowano się specjalnie polityką.

Jinny odwiedziła jeszcze kilka rodzin z domków w Oakmount i po piątej wróciła na probostwo. Weszła od strony ogrodu. Przed mleczarnią Patsy rąbał drewno.

- Ma panienka gościa - rzekł, wskazując głową dom. - Przyplłynął statkiem i powiem szczerze: od razu wiedziałem, że ta ucieczka nic nie da

- Kto to jest, Patsy?

- Panienka wejdzie, to sama zobaczy. Ja nic nie powiem. I znów zajął się pracą, mamrocząc coś pod nosem.

W hallu stała matka. Wyglądała na zdenerwowaną i zasmuconą.

- Myślałam, że już nigdy nie wrócisz. Wejdz do ojca, dobrze? Jest w gabinecie. Aha, Jinny... przygotuj się na niespodziankę. Przynajmniej coś pośredniego między niespodzianką a szokiem. Jakie to dziwne, że akurat w twoje urodziny...

Uśmiechnęła się leciutko, chociaż w kąciku jej oka zabłysła łza.

Jinny poszła do gabinetu. Ojciec stał przy kominku i rozmawiał z kimś, kto siedział w wysokim fotelu przy oknie, tyłem do drzwi. W tych kwadratowych ramionach, w pochyleniu głowy dostrzegła coś znajomego. Postąpiła krok naprzód, jeszcze niedowierzająca, ale zarazem dziwnie pewna.

- Hal, prawda?

Podniósł się z fotela, wysoki, wymizerowany, cień chłopaka z jej marzeń. Na twarzy miał liczne zmarszczki - ślady przebytych cierpień i rozczarowań. Wyglądał znacznie starzej niż na swe trzydzieści lat, starzej, a zarazem dziwnie niedojrzale. To był Hal odarty z młodości, lecz wciąż z nadzieją w sercu. Podszedł bliżej, ujął jej rękę i uśmiechnął się po dawnemu. Ten właśnie uśmiech kochała i pamiętała najlepiej ze wszystkiego.

- Widzisz? Wróciłem. Jestem niedołęgą, niczego nie osiągnąłem, ale wujek mówi, że mogę zostać. Nie wyrzucisz mnie, Jinny? Nadal we mnie wierzysz?

Hal i Jinny osiedli po ślubie w Doonhaven, w dawnym domu doktora Armstronga. Stary lekarz nie żył od kilku lat i budynek, który od probostwa dzieliło tylko pięć minut marszu, stał pusty. Pastor z żoną wyposażyli młodą parę w meble oraz bieliznę pościelową i stołową, a skrzętna młoda gospodyni w ciągu dwóch tygodni sprawiła, że w domu zrobiło się wygodnie i przytulnie.

W krótką podróż poślubną wybrali się do krainy jezior. Przywieźli ze sobą fotografię zrobioną w Slane tuż przed powrotem do Doonhaven: stoją na niej obok siebie, sztywni i upozowani - Hal z kapeluszem w rękę i podejrzliwą, butną miną, jakby stał przed prokuratorem, a nie fotografem, Jinny podniecona, z nadzieją w oczach, w żeglarskim kapeluszu, zsuniętym na tył kędzierzawej głowy, ściska w rękach mufkę. Zdjęcie ustawiono z dumą na kominku w nowej siedzibie.

Hal dziwnie się czuł, mieszkając w Doonhaven zamiast w Clonmere. To śmieszne, ale miał kompleks niższości i jakoś nie potrafił pozbyć się go do końca. Wierzył, że Jinny tego nie dostrzega; była dla niego taka dobra, kochająca i wyrozumiała, a zarazem taka dumna z ich domu, bądź co bądź, brzydkiego, obskurnego budynku w środku miasteczka. Za nic nie chciał, by domyśliła się, jak smuci go widok na pocztę i sąsiedztwo szewca. Oczywiście niechęć ta wypływała ze snobizmu i niewypowiedzianej tęsknoty za przestrzenią i odludnym położeniem Clonmere, ale cóż mógł poradzić, skoro to tam było jego miejsce, a nie w Doonhaven.

Kiedy tego rodzaju myśli przelatywały mu przez głowę, złościł się na siebie za niewdzięczność i tym bardziej starał się chwalać Jinny to za nowe zasłony, to pięknie ułożony bukiet, to za upieczone na niedzielę ciasto.

- Czasem wyłazi ze mnie niedźwiedź i brutal, najdroższa - mówił, przyciągając ją na kolana. - Błagam cię, nie zważaj na to i nie trać cierpliwości. Skłonność do złych nastrojów przywiozłem z Kanady, podobnie jak kiepskie zdrowie.

- I właśnie po to tu jestem - odpowiadała, głaszcząc go po włosach. - Żeby przeganiać czarne myśli i trzymać cię za rękę.

- Jesteś kochana, a ja jestem największym szczęściarzem na świecie. Teraz podaj mi młotek i parę gwoździ, zobaczę, czy potrafię powiesić ci tę półkę, którą chcesz mieć w spizarni. Kanada nauczyła mnie przynajmniej tego, że przydaje się w domu.

Zanim zdecydowali się zamieszkać w miasteczku, pastor zapytał Hala, co sądzi o ewentualnym powrocie do Clonmere. Ten jednak pokręcił od razu głową i widać było, że nie zamierza ustępować.

- Posiadłość nie należy do mnie, tylko do ojca. Nie napisał do mnie, odkąd dziewięć lat temu opuściłem Londyn. Jak po czymś takim mógłbym tam zamieszkać?

- A ty do niego pisałeś? Prosiłeś o przebaczenie?

- Tak... kiedy po raz pierwszy przyjechałem do Winnipeg. Nie otrzymałem odpowiedzi i na tym zakończyłem sprawę. Nigdy już do niego nie napiszę.

Tom Callaghan umilkł. Tylko Bóg mógłby uzdrowić stosunki między ojcem a synem. Jeśli on, Tom, się do tego wmixsza, najwyżej wszystko pogorszy. Zawiadomił dawnego przyjaciela o powrocie Hala, o jego złym stanie zdrowia i porażce, jaką poniósł w Kanadzie, wreszcie o jego zaręczynach z Jinny. Henry skomentował to dość lakonicznie:

Zawsze wiedziałem, że Hal pogmatwa sobie życie. Obawiam się, że Twoja córka traci niepotrzebnie czas.

Tak więc Clonmere pozostało odcięte i Hal Brodrick musiał osiąść w Doonhaven. Jinny sama gotowała posiłki i tylko do szorowania podłóg przychodziła codziennie dziewczyna. Pan domu nosił węgiel i czyścił buty.

- Robiłem to w Kanadzie, więc i tu korona nie spadnie mi z głowy - oświadczył.

W tym momencie zobaczył, że po drugiej stronie drogi stoi Mike Doolan i przygląda mu się z ironicznym uśmiechem, jakby nim gardził. Ilekroć Hal próbował do niego zagadać, spotykał się z chłodną, obojętną miną.

- Śmieszne - powiedział do Jinny - ale to im nie w smak. Kiedy mieszkaliśmy w Clonmere i zaliczaliśmy się do „państwa”, przejeżdżaliśmy tędy powozem i ścigały nas nienawistne spojrzenia. Mimo to szanowano nas, a przynajmniej szanowano mego ojca. A teraz, gdy zdecydowałem się osiedlić wśród nich, traktują nas jak intruzów. Och, nie, nie ciebie; do ciebie przywykli, jesteś córką proboszcza. Ale od Brodricków można, według nich, oczekiwać najwyżej kopniaka.

- Za bardzo się przejmujesz. Wciąż myślisz o tym, co ci chcą powiedzieć i jak się będziesz bronił. Musisz po prostu być sobą, to i oni przestaną się boczyć, to tylko duże dzieci.

- A ja kim jestem? Sam diabeł tego nie wie. Myślałem, że zostanę hodowcą bydła, ale się myliłem. Malarzem? Nie potrafię sprzedać ani jednego obrazu. Nawet nie mogę powiedzieć, że jestem Halem Brodrickiem z Clonmere. Skoń-

czony ze mnie niedojda, który ma o wiele za dobrą żonę i żyje z łaski teścia. I ludzie o tym wiedzą, w tym cały problem. Mają wszelkie prawo, by mną gardzić.

- Wcale tobą nie gardzą, a ty nie jesteś żadnym niedojdą, tylko moim Halem. A jednak trochę się martwiła.

Pierwsze uniesienia po długiej nieobecności szybko przybladły. Hal często popadał w milczenie, złe nastroje, a potem znów rozpaczał, że unieszczęśliwia żonę.

- Jestem dla ciebie ciężarem. W pół roku po ślubie nie będziesz mogła na mnie patrzeć. Nie miałem prawa proponować ci małżeństwa.

Jinny zwierzała się czasem ojcu, on zaś kiwał ze zrozumieniem głową.

- Problem polega na tym, że Hal czuje się od nas zależny, a z drugiej strony, brakuje mu siły, by stanąć na własnych nogach. Porozmawiam z nim i zobaczymy, co się da zrobić.

Ale potem zasiadali wokół kominka na probostwie i wprost trudno było pojąć, że ten zgorzkniały człowiek potrafi tak czarować wszystkich swym urokiem, tryskać wesołością, pokpiwać z cioci Harriet, że zbiera śmietankę muszelką, wytykać wujowi zbyt długie kazania. Kiedy stał, obejmując Jinny ramieniem, proboszczowi wydało się, że patrzy na Henry'ego sprzed trzydziestu lat. Tak samo sypał jak z rękawa zabawnymi anegdotkami o ludziach i miejscach, o różnych szaleńczych pomysłach i awanturniczych przedsięwzięciach, w których uczestniczył też jego kanadyjski wspólnik, ów bezecny Frank.

- Powiedz mi, mój chłopcze, czy to duma nie pozwala ci zarabiać na życie? - spytał pastor, kiedy panie wyszły z pokoju.

- Nie, nie duma. Raczej lenistwo. Właśnie dlatego nie udało mi się w Kanadzie.

- Ależ nie. W Kanadzie ci się nie powiodło, ponieważ byłeś samotny, nie miałeś przyjaciół i wszystkie pieniądze przepuściłeś w barach. Tutaj ci to nie grozi.

- Więc co proponujesz, wujku Tomie? Moich obrazków nikt nie kupi. Zawiozłem w zeszłym tygodniu trzy płótna do Słane i ani jednego nie sprzedałem. Wstydzilem się Jinny pokazać na oczy, bo ona uważa mnie za dobrego malarza, ale po paru drinkach i to mi przeszło.

- Tak, tak, ale w ten sposób znowu się rozchorujesz i skończy się jak z Kanadą. Według mnie, powinieneś malarstwo traktować jako hobby, to bardzo dobry

sposób spędzania wolnego czasu. Ja zaś chcę wiedzieć, czy stać cię na nowe wyzwanie.

- Co miałbym robić? Proboszcz zamrugał oczami.

- Znasz starego Griffithsa, dyrektora kopalni?

- Znam.

- Kierownik jego biura wyjechał do Ameryki. Griffiths potrzebuje kogoś do prowadzenia ksiąg i mnóstwa innych rzeczy, którym sam nie podola. Obowiązują normalne godziny pracy: od dziewiątej do szóstej, pensja będzie niska, ale nie do pogardzenia. Co ty na to?

Hal wsadził ręce do kieszeni i skrzywił się.

- Brodrick ma tyrać za kilka funtów tygodniowo w kopalni, która pewnego dnia przyniesie mu tysięczne zyski? Wolne żarty!

- Nie myśl o „pewnym” dniu, tylko o dzisiejszym. I pamiętaj, że nie bierzesz pieniędzy od ojca. Pensja wypłacana jest kierownikowi biura, bez względu na jego osobę. Ale czy zdołasz pozbierać się na tyle, by dać sobie radę? Znam kogoś, kto byłby z ciebie bardzo dumny, gdyby ci się udało... Myślę o Jinny.

Hal przez chwilę nie odpowiadał. Stał, wpatrując się w ogień.

- Niczego tak nie pragnę, jak szczęścia Jinny - rzekł w końcu. -A jednak w głębi serca wiem, że i tak ją zawiodę. Bo widzisz, wujku, jestem nicponiem. Zawalę tę robotę tak samo, jak wszystko.

- Nie, chłopcze, nie zawalisz.

- No więc dobrze, niech będzie.

I tak dwudziestego piątego lutego 1890 roku Hal Brodrick wyruszył do kopalń swego ojca na Hungry Hill, ramię w ramię z mężczyznami z Doonhaven. W biurze powiesił kapelusz na haku i zasiadł na wysokim stołku przy pulpicie, naprzeciwko młodego Murphy'ego, syna właściciela sklepu. W drugim pokoju piastował swój urząd pan Griffiths. Hal pamiętał czasy, kiedy obecny dyrektor stał z kapeluszem w ręku przed jego ojcem, a teraz on sam, jako podwładny urzędnik, mówił grzecznie „dziękuję panu”, odbierając tygodniową pensję razem z młodym Murphym i innymi.

Dziwnie się czuł, wtopiony w tłum innych pracowników. Dwadzieścia lat temu zajeżdżał tu uroczyście z ojcem, ludzie na ich widok odkrywali głowy, pamiętał też, że kiedyś pozwolono mu zjechać na dół, aby mógł zobaczyć fedrujących na przodku górników, i pokazano wielkie pompy w maszynowni. Teraz po raz pierwszy miał się zapoznać z wewnętrznym życiem kopalni, zupełnie odizolowanym od świata zewnętrznego.

O szóstej rano budził go dźwięk dzwonu, który wzywał górników do pracy, dając jednocześnie sygnał wymęczonym ludziom z nocnej szychty, że mogą wyjeżdżać na powierzchnię. Dzwon odzywał się niezmiennie od blisko siedemdziesięciu lat, ale kiedy mieszkańcy Doonhaven - mężczyźni, kobiety i dzieci - podążali za jego głosem do kopalń, Brodrickowie w Clonmere przewracali się właśnie na drugi bok i w ogóle go nie słyszeli. Z Doonhaven na Hungry Hill prowadziła linia kolejowa i górnicy z miasteczka mieli zapewniony dojazd. Hal słyszał gwizd pary i stukot kół, czasem tupot nóg pod oknem, gdy ktoś śpieszył się na kolejkę. Na dworze było jeszcze ciemno i świeciły gwiazdy.

Biedaczyska, szeptał Hal do Jinny, czując, że w jakiś niejasny sposób ponosi winę za tak wczesne wstawanie górników w ponure i zimne poranki. Potem sumienie mu dokuczało, kiedy pojawiał się w biurze przed dziewiątą, dowieziony tam przeważnie dwukółką proboszcza. Kobiety i dzieci zatrudnione przy płukaniu rudy patrzyły, jak przejeżdżał obok; miał wówczas wrażenie, że się z niego podśmiewają, gdyż -ich zdaniem - nie potrzebował pieniędzy i pracował tylko dla kaprysu.

W końcu każdego miesiąca, kiedy należało zamknąć rachunki i złożyć raporty, Hal musiał pracować po godzinach, aby ze wszystkim nadażyć. Wracał wtedy kolejką o szóstej razem z górnikiemami, a Jinny zrywała się wcześniej, żeby dotrzymać mu towarzystwa i dopilnować, by zjadł śniadanie przed wyjściem. Za pierwszym razem mężczyźni trzymali się od niego z daleka - rozmawiali i żartowali tylko we własnym gronie. Był wśród nich niejaki Jim Donovan, syn Pata, który miał farmę u stóp wzgórza. Z rozmowy wynikało, że zatrudnił się w kopalni pierwszy z rodziny.

- Jasne, że to prawda - mówił, zerkając przez ramię na Hala. - Za dawnych czasów cała ta ziemia należała do nas.

- Racja, Jim - rzucił jeden z jego kompanów. - Sam diabeł puścił wam ją w dzierżawę.

- Tylko nie diabeł! Dziadek dziadka mojego dziadka był ni mniej, ni więcej tylko przywódcą, mieszkał w tamtym zamku na dole, żył jak panisko i nie tykał się brudnej roboty. Miał pod sobą z tysiąc chłopów, a przyjaźnił się z samym królem Francji.

- To prawda - poparł go ktoś. - Francja zawsze nam pomagała i Hiszpania także, wiem to od ojca.

- A kto w takim razie zastrzelił dziedzica za uprzykrzanie życia przemytnikom? - spytał inny. - To jeszcze jedna prawdziwa historia, która wydarzyła się w Doonhaven.

- Zrobił to któryś z Donovanów - odparł Jim - i trudno go potępiać. Jakim prawem dziedzic psuł zarobki niewinnym ludziom? Sam bym zastrzelił każdego, kto by mi się tak przysłużył.

- A potem ci z garnizonu założyliby ci stryczek - zaśmiał się tamten.

- Ach, guzik mnie oni obchodzą! Prędzej czy później wykurzymy ich stąd, a wtedy zaproszę was na wyspę na zajęcie.

Gdyby znajdowali się w Kanadzie, Hal włączyłby się do rozmowy i żartował z Jimem Donovanem, tak jak z tamtejszymi ranczerami. Ale tutaj nie mógł sobie na to pozwolić. Ci ludzie nie zapomnieli, że jest Brodrickiem, synem właściciela Clonmere i kopalń, uważali go za sztywnego zarozumialca. Gdyby spróbował włączyć się do rozmowy, poczuliby się niezręcznie albo pomyśleliby, że robi to z łaski, czy też chce być z nimi w dobrych stosunkach, bo ma w tym jakiś ukryty cel. I tak pomimo uśmiechów i starań, by wydać się przyjacielskim i naturalnym, Hal zyskał tylko „dzień dobry” plus jakąś uwagę na temat pogody.

Do jego obowiązków należało między innymi nadzorowanie wypłat w każdy piątek. Nie cierpiał tego dnia najbardziej z całego tygodnia. Musiał siedzieć obok pana Griffithsa w kantorku ze stosem monet pod ręką i wyczytywać nazwiska z długiej listy. Następnie wręczał pryncypałowi odliczoną kwotę, ten zaś przekazywał ją podchodzącym kolejno górnikom. Pensje wydawały się Halowi żałośnie niskie, przeważały w nich monety. W każdy piątek ścisnęło mu się serce, kiedy słyszał ciężkie kroki mężczyźni ustawiających się w kolejce przed drzwiami biura. Potem przychodził pan Griffiths i Hal zaczynał wyczytywać nazwiska - najpierw doświadczonych górników i inżynierów, potem ludzi pracujących na powierzchni, przeróbkarzy, kobiet i dzieci.

- Pat Torrens! - wołał i z szeregu występował wychudły, siwy człowiek o skórze jak pergamin, z wystającą grdyką i wielkimi workami pod oczyma. - Dwa funty.

Dwa funty za osiem godzin nerwowej pracy, może nawet w leżącej pozycji, na mokrym, głębokim poziomie pod wzgórzem. Potem taki biedak wychodzi na powierzchnię, przebiera się w pełnej przeciągów szopie, gdzie gwizdże wiatr, wraca do nędznej rudery na posiłek złożony z ziemniaków i solonej ryby, łapie parę godzin snu przy smrodliwym ogniu z torfu, a rano znowu czekają na niego wilgotne mury i czarna ściana skały.

Hal podał dyrektorowi stosik monet, unikając wzroku górnika. Z pewnością taki Pat Torrens musi sobie myśleć: oto jeden z tych, dla których haruję. Każda uncja rudy, którą w pocie i znoju wydarłem skale, obraca się w złoto, kiedy trafi za wodę do ojca Hala Brodricka. Pan Brodrick mieszka w wielkim domu, ma służbę, powozy i cały dzień nic nie robi. Nie chce mu się nawet zarządzać osobiście swoją kopalnią. Po prostu leży do góry brzuchem i napycha kieszenie złotem.

Pat Torrens poczłapał do wyjścia, a Hal wywołał następne nazwisko. I tak dalej, i tak dalej, godzina po godzinie, aż do kobiet i dzieci. Mały, może dziewięcioletni chłopczyk, wystąpił naprzód po swoją dwuszylingówkę - należność za stanie bosymi nogami na płukanej cynie albo rozbijanie rudy młotkiem przed płuczką.

Kiedyś, po zakończeniu wypłat, Hal natarł na dyrektora ze złością:

- To ma być sprawiedliwość? Powinni dostawać więcej. Przecież to, co się przeznacza na ich pensje, stanowi ledwie jedną dziesiątą dochodu mojego ojca!

Pan Griffiths wytrzeszczył na niego oczy.

- Zarabiają całkiem przyzwoicie, wiem, że w innych kopalniach jest gorzej. Nie oczekują więcej. To oczywiste, że pański ojciec musi mieć swój zysk, jest przecież właścicielem. Tylko proszę mi nie mówić, że jest pan radykałem, jeszcze gotów pan wywołać rewolucję.

- Nie jestem ani radykałem, ani rewolucjonistą i w nosie mam politykę. Ale po prostu jest mi wstyd.

- Och, daj pan spokój! - Dyrektor sięgnął po płaszcz. - To są fałszywe sentymenty. Proszę pilnować porządku w księgach i zapomnieć o moralnym aspekcie

sprawy. Poza tym pewnego dnia sam pan zostanie właścicielem, wtedy może pan rozdać im cały swój zysk.

- Owszem, ale problem polega na tym, że wcale nie będę chciał. Też będę wolał siedzieć na tyłku i korzystać z życia jak ojciec.

Wracał wieczorem do domu, mając za plecami kopalnię i jej odgłosy. Wysokie kominy, czerniejące na tle wzgórza, wskazywały niebo niczym wyciągnięte palce, przez otwarte drzwi kotłowni błyskały złowrogo płomyki ognia. Z szybów dobiegał stukot bębnow wyciągu, a od strony maszynowni rytmiczne pulsowanie silników pomp. W powietrzu unosił się cierpki odór płukanej rudy. Kiedy Hal wreszcie wyjechał na drogę, kiedy kominy zniknęły mu z oczu, a dym z pieców się rozwiął, kiedy ucichły kroki górników śpieszących na nocną szychtę, ciszę zakłócało już tylko miarowe człapanie klaczy Toma Callaghana i szum fal na zatoce Mundy. Hungry Hill wznosiło się nad drogą białe i ciche w świetle księżyca, w oddali migotały światła Doonhaven.

No tak, myślał Hal, pomimo tej odważnej mowy na temat ciężkiej pracy i niskich płac górników tak naprawdę marzę o komfortowym życiu w Clonmere. Chcę, żeby Jinny przebierała się do obiadu w wieczorową suknię, jak moja matka, i żeby do stołu podawał prawdziwy kamerdyner, a nie debilna dziewczka. Chcę korzystać z zysków kopalni,

jak moi przodkowie, i zapomnieć o kosztach. Nie znoszę wracać do tego obokurnego domu w miasteczku, gdzie zmęczona Jinny sama stoi przy garach, aby mi ugotować kolację.

Zostawił Patsy'ego z dwukólką przy probostwie i poszedł dalej pieszo. Od progu uderzyły go w nozdrza kuchenne zapachy - nie cierpiał ich, ale w małym domku, mimo wszelkich starań Jinny, nie sposób było tego uniknąć. Wybiegła go powitać z rozjaśnionymi, pełnymi miłości oczami, włosami w lekkim nieładzie i zaczerwienioną od stania przy piecu twarzą.

- Dziś twoja ulubiona kolacja - zapowiedziała radośnie. - Śledzie i kalafior z serem. Dostałam nowy przepis z bezcennej książki mamy. Ach, w bawialni dymi kominek, musimy go wyczyścić. Byli u nas Kit-ty i Simon, przywieźli piękny melon i trochę winogron, jak to pocziwie z ich strony! I wiesz? Simon chce kupić ten mały szkiec wyspy Doon widzianej od strony potoku!

- Tak naprawdę wcale go nie chce. Robi to z dobrego serca.

- Nie, kochanie, naprawdę nie powinieneś unosić się dumą. Simon uważa, że masz wielki talent, Kitty mi mówiła.

- Więc tylko on jeden myśli w ten sposób.

- Dlaczego tak brzydko mówisz? Ja także jestem dumna z twoich prac.

- A ja nie. Kiepski ze mnie malarz i okropny mąż.

- Przestań zrędzić, najdroższy. Usiądź sobie wygodnie i odpocznij. Nie zważaj na ten kominek, przyniosę ci kolację na tacy.

Hal rzucił się na fotel i wyciągnął do niej rękę.

- Czemu miałabyś mnie obsługiwać? - spytał, przyciągając ją na kolana. - To ja powinienem dbać o twoje potrzeby. Chciałbym cię widzieć z włosami zaczesanymi do tyłu i w sukni z dekoltem, a nie w tym starym fartuchu i ze zniszczonymi rękami.

- Skoro tak, to uczeszę się starannie, włożę ślubną suknię i wymoczę rękę w mleku, ale musisz mi obiecać, że będziesz grzeczny.

- Przecież jestem.

- Dobrze wiesz, co rozumiem przez grzeczność.

- Pewnie to, żebym zostawił w spokoju tę butelkę w kredensie? Nie martw się, i tak jest pusta.

- Och, Hal, a tak cię prosiłam, żebyś zostawił trochę whisky na wypadek przeziębienia...

- Zima się skończyła, nikt się już nie przeziębi. Jestem świnia i brutal, nie zasługuję na ciebie, dziewczyno. Czemu miałabyś mnie kochać?

- Nie wiem, ale tak jest - odparła z uśmiechem.

Wyciągnął nogi w stronę dymiącego ognia, myśląc o nowym hallu w Clonmere i wielkim kominku, w którym nigdy nie napalono. Niebawem Jinny przyniosła mu kolację. Śledzie trochę się przypaliły - a niech ją Pan Bóg kocha - ale przysiągł, że są wyśmienite. Potem usiadła przy nim z cerowaniem, a on bawił się jej włosami, patrząc w ogień.

- Powinnaś zająć się haftem, a nie moimi skarpetkami.

- A kto je za mnie poceruje?

- Powinnaś mieć pokojówkę i z pół tuzina służących. Ja wszedłbym do salonu w smokingu i z kwiatem w butonierce, po czym zasiedlibyśmy do sarniego combra i pilibyśmy starą brandy.

- To znaczy, że nie smakowały ci śledzie?

- Nic podobnego - odparł, całując ją w czubek głowy. - To znaczy tylko tyle, że kiedy patrzę na twój śmieszny kok, który upinasz, by ci włosy nie przeszkadzały przy kuchni, puszczam wodze wyobraźni. Masz tak cienką szyjkę, że mógłbym objąć ją jedną ręką. Dziwię się, że Patsy nigdy nie wpadł w szal i nie trafił swą siekierką ciebie zamiast kurczaka.

- Ach, pleciesz trzy po trzy. Zabierz to łapsko, bo nie widzę dziury w skarpetce.

- Zostaw to, kochanie.

- I będziesz chodził z gołymi nogami?

- Chcę, żebyś usiadła przy mnie i żebyśmy razem patrzyli na grę płomieni.

Odłożyła posłusznie robotę i zwinęła się przy nim na starym, skórzanym fotelu z probostwa. Niewiele mówili. Woleli słuchać tykania zegara doktora Armstronga i deszczu bębniącego cicho o szyby, i patrzeć, jak torf na palenisku zapada się coraz niżej.

Nieopodal, na probostwie, Tom Callaghan pisał list do Herberta Brodricka z Lletharrog. *Drogi Herby,*

Nie masz pojęcia, jaka to dla mnie radość otrzymać znów list od kogoś z rodziny. Nie widziałem Cię wprawdzie od lat, ale na pamiątkę przeszłości mam fotografie Twoje i Twoich braci. Tak miło czytać uprzejme słowa o naszej drogiej Jinny - że jest takim błogosławieństwem dla biednego Hala. Nigdy nie wspominam o nich w listach do Henry'ego, bo cokolwiek bym napisał, on wciąż będzie powtarzał, że Hal to beznadziejny przypadek. Ja jednak z przyjemnością stwierdzam, że jest on jednym z najbardziej uroczych ludzi, jakich znam - właściwie to wykapany ojciec z lat młodości - i zaczyna pomалу wydobywać się z dołka. Nie mają jeszcze dzieci, ale powtarzam Jinny, że i na nie przyjdzie pora. Są z pewnością jedną z najszczęśliwszych par, jakie widziałem...

Hal niezbyt często czytał gazety, bo też mało go interesowały sensacje dnia. W zimowe wieczory po powrocie z kopalni lubił tylko siedzieć z Jinny przy kominku i słuchać jej paplaniny albo śmiać się razem z nią z tego, co wydarzyło się w biurze. Dlatego kiedy pewnego wiosennego dnia w roku 1894 wybrał się do Slane, by kupić kilka rzeczy dla Jinny i ich gospodarstwa, a potem usiadł w pubie i przeglądał lokalną gazetę, przeżył prawdziwy szok. Na środkowej stronie zamieszczono długi artykuł o odkryciu wielkich złóż cyny na Malajach i utworzeniu spółek do ich eksploatacji. W opinii autora oznaczało to rychły upadek rynku wewnętrznego. Tymczasem życie Hala płynęło ostatnio utartym trybem: dni spędzał nad księgami w kopalni, potem wracał do Jinny i dziecka. Wzrosty i spadki cen niewiele dla niego znaczyły, a kiedy stary Griffiths kręcił głową i snuł ponure rozważania na temat kiepskich perspektyw w handlu zarówno miedzią, jak cyną, Hal składał to na karb wrodzonego pesymizmu pryncypała. Gdy jednak przeczytał artykuł, sprawdził na kolumnie finansowej aktualną cenę cyny i przekonał się, że wynosiła osiemdziesiąt cztery funty, a jeszcze pół roku temu - sto. Tak, stary Griffiths miał prawo być pesymistą. On, Hal, pochłonięty sprawami domowymi zaniedbał śledzenie fluktuacji handlu, z którego żył. Ciekawe, co też ojciec o tym myśli? Tego wieczoru, kiedy wrócił do domu, zastał w bawialni teścia z malutkim Johnem-Henrym na kolanach. Zapytał go, czy widział artykuł w „Slane Advertiser”.

- Owszem, widziałem. Uważam, że jest całkiem sensowny. Już niedługo czekają nas zmiany.

- Jak myślisz, wujku, co zrobi mój ojciec?

- Henry zawsze miał głowę do interesów. Możesz być pewien, że od dawna śledzi tę malajską aferę, a także spadek cen w ciągu ostatniego półrocza. Już piętnaście lat temu jako jeden z pierwszych właścicieli kopalń przerzucił się z miedzi na cynę, a Kornwalijczycy poszli szybko w jego ślady, przynajmniej ci, którzy mieli szczęście, no i kapitał.

Proboszcz chciał coś powiedzieć, ale że w tym momencie weszła Jinny, aby zabrać dziecko do łóżeczka, poczekał, aż znów zostaną sami.

- Więc nie dotarły do ciebie żadne plotki?

- Nie, wujku, zresztą nigdy ich nie słucham.

- Nawet o tym, że twój ojciec zamierza wkrótce sprzedać kopalnię?

Hal pokręcił głową przecząco.

- Pierwszy raz o tym słyszę, ale może Griffiths nie chciał mi powiedzieć przez delikatność. A co do ludzi, to codziennie wymyślają coś nowego. W zeszłym tygodniu Jim Donovan opowiadał komuś, że u podnóża Hungry Hill jest złoto, które w całości należy do niego.

- Jim Donovan ma manię wielkości, jak większość tej rodziny. Ale to, co ci powtórzyłem, nie jest plotką. W niedzielę po nabożeństwie rozmawiałem z Griffithsem. Podobno zza wody nadeszły listy, których ci nie pokazano, od pewnego dyrektora spółki z Londynu, a także od twojego ojca i jego adwokatów. Negocjacje są już w toku.

Hal zapalił fajkę i poruszył nogą ogień.

- Po tym, co dziś przeczytałem, nie mogę go winić. Jeśli ceny cyny dalej będą spadać, nie opłaci mu się utrzymywać kopalń w ruchu. Ale co za dureń chce je kupić?

- Speculanci. Ludzie, którzy nie mają pojęcia o tej ziemi ani kraju, ale utrzymują kopalnie w ruchu do ostatka, żeby wycisnąć z nich każdą uncję cyny, zanim nastąpi krach. Nie jestem prorokiem, ale to właśnie się zdarzy, możesz być całkowicie pewien.

- Dziwnie będzie pomyśleć, że kopalnie nie należą do rodziny. Pradziadek przewróci się w grobie.

- Z tego, co o nim słyszałem, to nie wchodzi w rachubę. Miedziany John nie bawił się w sentymenty. Raczej zatarłby ręce z radości, że jego wnuk pozbył się ich w porę i nic na tym nie stracił, w przeciwieństwie do kilku kornwalijskich rodzin, które poszły z torbami. Tak, tak, mój Halu, nie wszyscy Brodrickowie bujają w obłokach. Są wśród was naprawdę tęgie głowy.

- Szkoda, że do nich nie należę. Zrobiłbym wtedy więcej dla siebie i dla Jiny.

Po kilku dniach w Doonhaven gruchnęła wiadomość, że Henry Brodrick sprzedał kopalnię spółce z Londynu. Pan Griffiths wziął Hala na bok i pokazał mu listy oraz kopię umowy.

- Siedemdziesiąt cztery lata - westchnął Hal - i na tym koniec. Ileż to łez i potu, ile zabiegów i trudu! Może to śmieszne, panie Griffiths, ale nie byłem przychylnie nastawiony do tych kopalń, uważałem, że psują krajobraz i naruszają dziki majestat Hungry Hill. A jednak teraz, kiedy mają pójść w obce ręce, czuję opór i nie chcę, by tak się stało.

- To nie wpłynie na pańską sytuację, panie Brodrick. Nowa spółka przejmuje cały personel.

- Tak... Ale niezupełnie to miałem na myśli.

- No cóż, pański ojciec ma głowę na karku, to wszystko, co mogę powiedzieć. Właśnie podpisał kontrakt życia, a pan także nie ma się czym martwić. Kiedyś zgarnie pan cały zysk.

On nic nie rozumie, myślał Hal. Przecież te kopalnie to część rodziny, jak Clonmere. Teraz są sprzedawane, a zamek stoi pusty. To nie w porządku. W ten sposób wszystko się rozprasza.

Dwa tygodnie później nowy dyrektor przyjechał osobiście na inspekcję swej własności. Miał surową twarz i mówił donośnym, władczym głosem z północnym akcentem. Chodził po kopalniach, poganiając pana Griffithsa i zasypując go pytaniami z taką szybkością, że ten wyraźnie wpadł w popłoch. Halowi przybysz tylko mignął przed oczami, kiedy przechodził przez biuro. Po tej wizycie nastąpiły inne. Zjeżdżali specjaliści od eksploatacji złóż, nowi inżynierowie, nowi sztygarzy. Po raz pierwszy w życiu Hal czuł jedność z górnikami, a i oni to chyba zauważyli, gdyż stali się bardziej otwarci i przyjaciele. Przeklinali „zawziętych buców z północy” i rechotali, kiedy Hal nazywał ich jeszcze gorzej. Teraz i on wiedział, co to znaczy pracować dla obcego, być na jego rozkazy i z produktu kopalni mieć zaledwie tygodniową pensyjke.

- Wiesz - mówił do Jinny - byłem okropnym hipokrytą. Przez te wszystkie lata, kiedy codziennie chodziłem do pracy, wiedziałem w głębi serca, że kopalnie należą do rodziny, więc pewnego dnia będą moje. I chociaż czułem się głupio wobec ludzi, to jednak miałem z tego jakąś wewnętrzną satysfakcję. A teraz kopalnie już w ogóle przestaną mnie obchodzić. Mogę pracować w tartaku w Slane albo w cegielni w Mundy. I mam pretensje do całego świata, zupełnie jak Jim Donovan czy każdy inny górnik.

- Wiem, to smutne. Odkąd pamiętam, widywałam wagoniki z napisem „Brodrick”, sunące z portu do kopalń. Czy teraz zmienią ten napis?

- Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi. Ale i tak nie potrafię wybaczyć ojcu.

Pastor miał rację, nazywając nabywców spekulantami. Za czasów Miedzianego Johna, a potem Henry'ego, kiedy jeszcze mieszkał w Clonmere, obowiązywała zasada, że złoża eksploatuje się ostrożnie i powoli, nigdy nie schodzi się zbyt głęboko i nie ryzykuje marnowania rudy poprzez nieumiarkowane wypłukiwanie. Wszystko planowało się na lata, nie na najbliższe dni. Rudę, która mogła być pozyskana bardziej umiejętnie w ciągu sześciu czy siedmiu lat, zostawiano w spokoju, a najpierw wydobywano tę bliższą powierzchni.

Nowa kompania nic sobie z tych zasad nie robiła. Za swoje pieniądze chcieli natychmiastowej rekompensaty, dlatego dobrali się do najbogatszych złóż i w ciągu pół roku cała ruda została wydobyta i załadowana na statki. Cena cyny nadal spadała i chociaż zyski były natychmiastowe, ponoszono też ogromne straty. Doonhaveńscy górnicy, przyzwyczajeni od dwudziestu lat do nonszalanckiego, niefrasobliwego podejścia do pracy, gdyż stary Griffiths specjalnie ich nie poganiał, spotkali się z żądaniem dwakroć większego wydobycia w tym samym czasie. Aby się na to zgodzili, trzeba było podnieść im zarobki.

Nowi właściciele zdecydowali się na ten krok. Chcąc wycisnąć z górników, ile tylko się da, ogłosili na kilka miesięcy pokaźne podwyżki.

Ludzie - zarówno ci z dołu, jak i ci z powierzchni - przyjęli wiadomość z zachwytem. Nowi właściciele nie byli już „bucami z północy”, tylko „fajnymi chłopami, którzy znają się na robocie”. Całą górniczą społeczność ogarnęła gorączka pracy. Piece płonęły całą noc, wagoniki między portem a kopalnią kursowały tam i z powrotem. Hal biedził się nad księgami do wieczora, oszołomiony tempem zmian, ale jego teść kręcił ze smutkiem głową.

- To wszystko jest fałsz, ludzie nic nie rozumieją. Spójrz tylko na cenę w dzisiejszej gazecie: siedemdziesiąt pięć funtów za tonę, o dziesięć mniej niż w zeszłym tygodniu! Nim minie kilka miesięcy, po spekulantach nie zostanie nawet ślad, a kopalnie się zamknie.

- Ależ w ziemi są jeszcze ogromne ilości cyny - protestował Hal - zresztą między także, trzeba je tylko wydobyć. Słyszałem, jak ktoś o tym mówił.

- Wydobycie potrwa dopóty, dopóki spółce się opłaci, a potem wszystko zostanie nietknięte tam, gdzie natura to umieściła.

Kwiecień... Maj... Czerwiec... Lipiec... Minęło niemal pięć miesięcy, odkąd kopalnie trafiły w nowe ręce. W trzecim tygodniu lipca przyjechał z Londynu główny inżynier, zatrudniony w spółce na kontrakcie. Powiedział panu Griffithsowi, że kazano mu złożyć raport.

- Jeśli chcą to ciągnąć do końca lata, nie obejdzie się bez wymiany instalacji głównych pomp, a mówiąc między nami, nie sądzę, by stać ich było na takie koszty. Raczej podejrzewam, że po raz ostatni widzę Doonhaven.

Wyjechał dwa dni później razem ze swą trzyosobową ekipą. Zaczęły krążyć nowe pogłoski, że obecna maszyna idzie na szmelc, a z za wody sprowadzi się nową. Następna plotka dotyczyła zarobków - rzekomo znów mają je podnieść. Ten i ów podpytywał Hala, czy coś mu na ten temat wiadomo.

- Przykro mi - odpowiadał - wiem tyle, co wy. Nie sądzę jednak, aby przy obecnej niskiej cenie kompania zdecydowała się na podwyżki. Widzieliście dzisiejszą gazetę? Cyna jest już po sześćdziesiąt cztery funty za tonę.

Wsiadał właśnie do dwukółki, zamierzając jechać do domu, kiedy z grupki górników wystąpił Jim Donovan i przytrzymał lejce.

- Więc to dlatego pan Brodrick sprzedał kopalnię? - spytał.

- Ojciec do mnie nie pisuje - odparł Hal - ale wydaje mi się, że to dość oczywiste.

- Na pewno zgarnął kupę forsy. - Donovan szturchnął łokciem swego kompana. - Kto jak kto, ale on nie ucierpi na spadku ceny.

- To właśnie w kręgach finansowych określa się jako „głowę do interesów” - zaśmiał się Hal, odjeżdżając.

Mężczyźni odprowadzali go wzrokiem, szepcząc między sobą. Nie wierzą w ani jedno moje słowo, myślał Hal. Wyobrażają sobie, że jako syn dawnego właściciela muszą wiedzieć, co w trawie piszczy.

Stary Griffiths wyglądał na przepracowanego i zmartwionego.

Dwudziestego czwartego lipca dyrektor wyjechał do Słane i przez ; chłopaka, który go odwoził, przysłał wiadomość, że interesy zatrzymają go w mieście przez parę dni. W doonhavenskim porcie jeden ze statków kompanii miał właśnie wypłynąć z załadunkiem do Bronsea. Hal skorzystał z okazji, by wejść na pokład i udzielić szyprowi kilku wskazówek. Znał go dobrze, gdyż człowiek ów dowodził statkiem jeszcze za czasów dziadka.

- Czy to prawda, co opowiadali mi w Bronsea przed wyjściem w morze? - spytał szyper.

- A co takiego opowiadali, kapitanie Davis?

- Ze „Lucy-Ann” to już ostatni statek z cyną.

Hal odstawił szklaneczkę rumu, którym poczęstował go szyper.

- Chyba próbowali pana nabrać.

- No, nie wiem. Nie wyglądało to na zwykłe plotki w dokach. Nie kto inny, jak agent wytapiaczy mi powiedział: „Następny ładunek będzie ostatni, Davis. Kopalnie w Doonhaven kończą wydobywanie”. Ale po tej stronie nie słyszałem o tym ani słowa. Mówi się tylko o zmianie właścicieli i fortunie, jaką ostatnio każdy tu zbija.

- Prawda pewnie leży pośrodku.

- Siedzę w tym interesie od pięćdziesięciu lat. Zacząłem jako dwunastoletni chłopak na statku mojego ojca „Henrietta”. Pamiętam pańskiego pradziadka, staro Miedzianego Johna, jak go nazywano, jego kapelusz z szerokim rondem i laskę z kulą. Osobiście chodził do portu i doglądał załadunku. Nie oglądał się na znak Plimsolla*¹⁸. Luki odpływowe do pełna, aż woda przelewała się przez pokład i jazda do Bronsea na przyplwywie, bez względu na kierunek wiatru. No cóż, było, minęło. Dziwnie będę się czuł bez zatoki i świateł garnizonu na wyspie, mrugających do mnie z daleka.

- Nalej pan jeszcze tego doskonałego rumu. Wypijmy za przeszłość, co się będziemy martwić na zapas.

Kiedy następnego dnia Hal jechał do kopalni, zobaczył, że drogę blokuje tłum podnieconych ludzi, w tym także kobiet i dzieci. Niektórzy, roześmiani od ucha do ucha, sypali żartami, inni z błędnym wzrokiem chodzili od grupki do grupki, gestykulując i zadając pytania.

Drzwi baraku obróbki były otwarte na oścież, w środku nikt nie pracował. Z kotłowni wychylił się strażak z fajką w zębach. Najwięcej ludzi zgromadziło się

¹⁸ * Linia dopuszczalnego zanurzenia statku.

wokół szybu. Właśnie wyjechała na powierzchnię nocna zmiana i natychmiast została ogarnięta przez robotników naziemnych.

- Co z tą trzyszylingową podwyżką? - wrzasnął ktoś.

- Co tu się dzieje? - zwrócił się Hal do grupki mężczyzn przed wejściem do biura.

- Wstrzymali wydobywanie. Spójrz pan na tę wywieszkę. Mają nas spłacić. Nic z tego nie rozumiemy, panie Brodrick. Coś nie tak? Przecież pod ziemią jest pełno rudy!

Hal nie odpowiedział, tylko wszedł do biura. Pośrodku stał pan Griffiths w płaszczu i kapeluszu, otoczony przez grupkę doświadczonych robotników i inżynierów, którzy zasypywali go pytaniami. Miał bladą, ściągniętą twarz.

- Niczego się ode mnie nie dowiedziecie. Nic nie mogę zrobić, otrzymałem polecenie, tak samo, jak wy. Ostatni raz dziś odbieram pensję, nie ma w tym ani mojej, ani niczyjej winy. Do biur w Slane nadeszły stosowne decyzje na piśmie, potem przekazano je do mnie. Całą maszynię kupiła firma w Slane, która pewnie sprzeda ją na złom. Powtarzam, nic więcej nie wiem.

- A co z urobkiem, który został na dole? Przecież nie wszystko wywieziono na powierzchnię.

- Musi tam zostać, bo spółka już nie płaci za pracę, przynajmniej tak powiedzieli mi w Slane. Każdy zatrudniony otrzyma dziś wypłatę. Może firma, która kupiła maszyny, zechce kogoś z was zatrudnić, ale moje rozkazy są jasne, nie mam już żadnej władzy. Powiadam, że nie jest to niczyja zła wola. Zawinił spadek ceny, to wszystko.

Wycofał się do drugiego pokoju. Hal poszedł za nim i zobaczył, że szef stoi przy biurku i z rezygnacją przewraca papiery.

- Co ja mogę zrobić? - spytał bezradnie. - Przecież dla mnie to taki sam szok, jak dla nich. Owszem, odłożyłem to i owo, moja żona jest skrzętną gospodynią, więc kupiliśmy niedużą posiadłość na północy, gdzie zamierzamy spędzić starość. Ale nie oczekiwałem, że krach nastąpi tak szybko. I spójrz pan, ile tego liczenia, kartoteki sięgają siedemdziesięciu pięciu lat wstecz, wszystko trzeba sprawdzić i posortować, to i owo spalić, a reszta niech idzie do Slane. Ale przede wszystkim ucierpią ludzie - mężczyźni, kobiety, dzieci. Oni nie odkładali na czarną godzinę, a ostatnio wydawali na prawo i lewo, bo dostali podwyżki. Gdy-

by wszystko odbyło się stopniowo, może by zrozumieli, ale to był grom z jasnego nieba.

Potem nastąpiły ponure godziny, kiedy Hal po raz ostatni usiadł w biurze obok pana Griffithsa, by wypłacać ludziom pieniądze. Odgłos ciężkich kroków górników nigdy jeszcze nie brzmiał tak złowieszczo. Podchodząc do biurka, każdy zadawał to samo pytanie: „Dlaczego tak się stało? Z jakiej racji zamyka się kopalnie, skoro pod ziemią zostało tyle bogactwa?”. Niektórzy byli oszołomieni, inni zbuntowani i wściekli, kilku posunęło się do gróźb.

- Oszukali nas - oświadczył jeden z nich. - Namówili do pozostania w kraju i przez to straciliśmy szansę dorobienia się gdzie indziej. Mam syna w Afryce Południowej, dwa miesiące temu prosił, żebym przyjechał i razem z nim pracował w tamtejszych kopalniach. Odmówiłem, a teraz jest za późno. Co ja mam robić? Siedzieć w tym kraju i przymierać głodem?

- Bardzo mi przykro - odrzekł po raz setny cichym głosem dyrektor. - Nic nie mogę zrobić. To wina spadku ceny.

Tupot nóg, zmęczone, gniewne twarze. Szli, jeden za drugim, bez chwili przerwy, bez końca.

- Właściciele na tym nie tracą - zauważył któryś. - Siedzą na forsie i mają zapewnioną starość, a wszystko naszym kosztem.

- Dobrze gadasz - odezwał się z tyłu Jim Donovan. - Oto pan Bro-drick, syn poprzedniego właściciela. Taki nie musi zastawiać koszuli, prawda, proszę pana? Po prostu zamieszka sobie za wodą.

Przeszedł z urażoną, zaciętą miną. Na zwykle tak wesołej, zuchowatej twarzy widać było głębokie bruzdy - piętno gniewu i rozgoryczenia.

Wzięli wypłatę, ale nadal nie rozumieli, że to już koniec, że nie ma nic do roboty. Wciąż wystawali przy szybie, przy kotłowni, przy płuczce, gapiąc się bezmyślnie na załadowane w połowie wózki i wagoniki.

- Co za marnotrawstwo! - powiedział ktoś. - Przecież to bez sensu. Coś musi być nie w porządku, gdzieś popełniono błąd.

Ale błędu nie było. Kopalnie na Hungry Hill po prostu przestały działać. Wreszcie wygasły paleniska, bezdymne kominy podniosły czarne oblicza ku niebu. Ustał hałas, zatrzymały się tryby maszyn i nad całym terenem kopalń zapadła głucha cisza, zakłócana tylko krokami robotników, którzy jakoś nie chcieli się

rozejść. W biurze pakowano do skrzyń stopy dokumentów. Hal ledwie już widział na oczy; od pięciu dni pracował do dziesiątej wieczorem. Na każdym kroku natykał się na jakiegoś wystającego leniwie przy drodze górnika z takim samym otepiętym spojrzeniem i zaciętym wyrazem twarzy, jak u Jima Donovana. Kobiety, nie ruszając się z domków, wołały coś do siebie piskliwymi głosami, dzieci, podekscytowane wolnością, goniły się po pustych zabudowaniach kopalni albo budowały zamki na stertach nieuprzątniętego miału węglowego. Nikt im tego nie wzbraniał, mogły robić, co chciały, nikt nie wydawał żadnych poleceń. Nim minął tydzień, wszystkie rozliczenia były niemal gotowe. Ludzie z wolna się rozpraszali, schodzili grupkami do miasteczka, gdzie wysiadali w pubach, pijąc i śpiewając. Kopalnia zaczynała nabierać wyglądu opuszczonego miejsca; drzwi do kotłowni kiwały się na złamanym zawiasie.

- Kompletna ruina - powiedział Hal do Jinny. - Nie chcę już nigdy widzieć tych kopalń. Co za diabeł mnie podkusił, że nie wyjechałem stąd zaraz po sprzedaży, pięć miesięcy temu?

Pastor z żoną i Jinny robili, co w ich mocy, żeby pomóc tym rodzinom, które nie miały żadnych oszczędności. Tom Callaghan był w trudnej sytuacji, ponieważ ci najbardziej poszkodowani nie należeli do jego Kościoła i podlegali opiece katolickiego księdza.

- Nie pora teraz na podkreślanie różnic - mówił do młodego duchownego, prawie chłopca, przysłanego do Doonhaven zaledwie pół roku wcześniej. - Musimy pracować razem i dokładać wszelkich starań, by pomóc tym biedakom. Na szczęście Bóg okazał tyle litości, że zesłał ten cios w lecie, a nie w zimie.

Księżyk aż rwał się do współpracy i z wdzięcznością przyjął radę starszego mężczyzny. Uzgodnili, że salę parafialną na probostwie Callaghana przeznaczy się na magazyn żywności i odzieży. Każdy mieszkaniec, który znajdzie się w potrzebie, może tam przyjść i uzyskać pomoc. Pieczę nad magazynem przejęła Jinny wraz z matką, a tymczasem proboszcz z panem Griffithsem jeździli tam i z powrotem do Slane, gdzie pomagali załatwiać formalności w urzędzie emigracyjnym, gdyż ponad połowa górników zdecydowała się na wyjazd z kraju. Ludziom zależało, by wsiąść na statek jeszcze przed nastaniem jesieni i urządzić się jak najprędzej w Ameryce, Australii czy Afryce.

Najłatwiejszą sytuację mieli doświadczeni górnicy, którzy zdołali odłożyć trochę pieniędzy. Ci szybko otrzymywali zgodę, bo wiadomo było, że wkrótce znów staną na nogach. Ale ludzie bez konkretnego zawodu - robotnicy naziemni, strażacy i inni, którzy wydawali pensje na bieżąco, stanowili prawdziwy pro-

blem. Wielu z nich pochodziło z najbliższej okolicy, a że od dzieciństwa pracowali w kopalniach, nic innego nie umieli. Starsi mężczyźni podchodzili do tego bardziej filozoficznie - wruszali ramionami i wracali na swój skrawek ziemi. Przyjemnie jest mimo wszystko wygrzewać się na słońcu i dla odmiany nic nie robić; może przed zimą coś się odmieni. Młodzi jednak stracili grunt pod nogami. Zaczęli łączyć się w bandy, które rozbijały się po okolicy, popełniając różne przestępstwa, i wcale nie czuli się winni. Łamali płoty, kradli prosiaki i drób, rabowali sady. Wkrótce pogłoski o ich wyczynach wzbudziły przerażenie wśród mieszkańców, toteż zamiast współczucia doczekali się szorstkich słów ze strony sędziów śledczych i pogrózek wezwania na pomoc żołnierzy z garnizonu.

- Wszystko rozejdzie się po kościach - mówił Simon Flower, który po dziadku odziedziczył dobroduszość i tolerancję. - Za parę miesięcy będą spokojnie kopać ziemniaki i karmić świnię. Dajmy im się wy-szumieć.

- Tak, tak, całkowicie się zgadzam - odparł pastor. - Wszystko się rozejdzie po kościach, a chłopcy wrócą na rolę. Ale przedtem wyrządzą wiele szkody i narobią kłopotu sobie i innym.

- To prawda - poparła ojca Jinny. - Znam parę osób, które poważnie się obawiają Jima Donovana i jego kompanów. W zeszłym tygodniu obrzucili kamieniami pana Griffithsa i okulawili mu konia. I jestem niemal pewna, że to oni wybili szyby na poczcie.

Zdaniem Hala nikt poza jego teściem nie rozumiał w pełni, jaki szok przeżyli ci biedacy, kiedy z dnia na dzień zamknięto kopalnię. Zнали je przecież od dziecka, pracowali tam jeszcze ich ojcowie, aż nagle to, co zapewniało życie, samo stało się martwe. A już najbardziej drażnił ich fakt, że pod ziemią wciąż zalega ruda, która czeka, by ją wydobyć. Nie mogli pojąć, iż tak cenny minerał nagle stał się bezwartościowy.

- Świat przecież nadal potrzebuje cyny, no nie? - pytał Jim Donovan.

I jak takiemu wytłumaczyć fakt, że na Malajach jest tania siła robocza? Już prościej postawić mu drinka i poradzić, by zapomniał o kłopotach. Sam Hal cieszył się z odzyskanej wolności. Dobrze, że nie wrywa go już ze snu gwizd maszyny ani łoskot wagoników. Może się wylegiwać do dziesiątej, a potem wychylić się z okna i chłonąć zapachy lata, ewentualnie wziąć pudełko z farbami, sztalugi oraz kanapki i wybrać się na cały dzień do Clonmere, malować senny potok pod zamkiem, niski garb wyspy Doon albo zielony masyw Hungry Hill.

- To najlepsza z twoich prac - oświadczyła Jinny, kiedy po trzech dniach przyniósł do domu mokre jeszcze płótno. - Wiesz? Jestem pewna, że gdybyś wysłał ten obraz do londyńskiej Akademii, przyjęliby go i dostałbyś ze sto gwinei!

- Albo sto świstków z odmowami - uśmiechnął się Hal. - Nie, dziewczyno, nie zaryzykuję jeszcze jednego ciosu w moją dumę. To prezent dla Johna-Henry'ego na drugie urodziny. Kiedy dorośnie, popatrzy na słońce nad wierzchołkiem Hungry Hill, tak jak je namalowałem, i wspomni, że to stare wzgórze przyniosło kiedyś jego rodzinie fortunę. Zanim skończy dwadzieścia jeden lat, kominy zarosną trawą.

Stali koło siebie, patrząc na obraz, gdy nagle otworzyły się drzwi i wszedł proboszcz z otwartym listem w ręku.

- Hal, mam dla ciebie nowinę. Nigdy nie zgadniesz jaką.

- Znalazłeś mi nową posadę, ale ostrzegam cię, że jej nie przyjmę.

- Nic z tych rzeczy. To list od twojego ojca. Wybiera się do Slane i pojutrze będzie w Doonhaven.

7

Nad zatoką Mundy zachodziło słońce. Wraz z nadejściem wieczoru przestała wiać bryza i na bladym niebie wyroiły się puszyste „baranki”.

Hal stał przy jeziorze na Hungry Hill, patrząc na Doonhaven i Clonmere. Miasteczko rozrzucone nad wodami portu było jeszcze w zasięgu słonecznych promieni, ale Clonmere okrywał cień. Drzewa wokół zamku tworzyły wzór jak na obciowej materii, dalej leżały wrzosowiska przedzielone białą drogą, wiodącą ku rzece Denmare i Kileen. Świat w dole wydawał się nierealny i odległy, zamglony jak senne marzenie w środku dnia, i tylko samo wzgórze zachowało wyrazistą ostrość. W powietrzu mieszały się różne aromaty, darń pod nogami była zielona i dobrze ubita. Nawet granitowe skały, wystawione przez cały dzień na słońce, promieniowały ciepłem.

Oto obraz, jaki powinienem namalować, myślał Hal. Nie pejzaż wzgórze z Doonhaven ani Clonmere, ale widok z góry: ludzie mali i nieważni, ot, mrówki kręcące się wokół swoich spraw. Brodrickowie przychodzą i odchodzą, miesz-

kańcy Doonhaven żenią się, płodzą dzieci i umierają, kopalnie, które przez lata rozbrzmiewały łoskotem maszyn, nagle cichną. Wszystko to razem wzięte stanowi ducha Hungry Hill. Pewnego dnia to namaluję, a jeśli okażę się zbyt leniwy, może wyręczy mnie John-Henry. Ale cokolwiek stanie się z tym krajem, wzgórze pozostanie nieskalane, to do niego będzie należało ostatnie słowo.

Odchodził już od jeziora, kierując się na wschód, w stronę kopalń. Wcześniej zjadł lunch i całe popołudnie spędził na samotnej wędrówce, trawiony dziwnym niepokojem, którego nie potrafił wytłumaczyć nawet Jinny.

Jutro przyjeżdża ojciec. Zobaczy go, dotknie jego ręki, będzie z nim rozmawiał. Ojciec, którego Hal nie widział od piętnastu lat, odkąd wyszedł z jego domu jako niespełna dwudziestoletni chłopak. W chwilach największej samotności w Kanadzie ułożył w myśli wiele listów, ale nigdy nie przełał ich na papier. W Doonhaven także „pisał” do niego w ten sposób. Opowiadał o kopalniach, o Jinny, o dziecku, ani razu jednak nie wziął pióra do ręki. Zawsze dzieliła ich ta sama cisza, ta sama rezerwa, która w końcu miała być przełamana, ale Hal bał się, że nic z tego nie wyjdzie i że jutrzejsze spotkanie okaże się fiaskiem. Staną naprzeciw siebie ze ściśniętym gardłem, skrepowani, podobni, a jednak nazbyt się różniący, i wreszcie ojciec odezwie się tym wymuszonym, niby to żartobliwym tonem: „No, Hal, jak się miewasz? Jak tam twoje malowanie, he?”.

Odpowiedź będzie taka sama: nieporadna i bojaźliwa. Z trudem uda mu się wykrztusić coś w rodzaju: „W porządku, dziękuję”. Ojciec odczeka chwilę, spodziewając się czegoś więcej, ale się zawiedzie, więc w końcu odwróci się z ulgą do Toma Callaghana, który samą swą obecnością złagodzi napięcie.

Ojciec... Popatrzy pewnie ze współczuciem na Jinny, która, aby ukryć nieśmiałość, zacznie się popisywać, chcąc za wszelką cenę dogodzić teściowi. Potem zaprezentują mu Johna-Henry'ego. Ciche, pełne spokojnego wdzięku dziecko nie będzie przygotowane na taką okazję. Wystrojone w odświętne ubranko, na pewno wpadnie w zły humor i z naburmuszoną miną odwróci się od dziadka, wtulając głowę w poduszkę. Tak, to będzie klęska na całej linii...

Hała z każdym krokiem ogarniała coraz większa złość.

Czemu ojciec przyjeżdża tak nagle i zakłóca cały porządek ich życia? Podobno ma interesy w Slane, tak napisał w liście - chodzi o sprzedaż nieruchomości w mieście, były też jakieś sprawy związane ze statkami oraz kompanią górniczą.

Kompania górnicza... Owszem, niech ojciec przyjedzie i zobaczy te wystygłe kominy, rozwaloną maszynę, stosy gruzu i w ogóle całą tę ruinę. Niech pog-

da z panią Connor, która w tydzień po zamknięciu kopalni urodziła piąte dziecko, w domu nie ma ani pensa, a jej mąż Tim leży pijany na ulicy, bo nie dostał pozwolenia na wyjazd do Ameryki.

Tak, ojciec ma tu mnóstwo rzeczy do obejrzenia. Nie musi się martwić ani trzymać za kieszeń, to przecież nie jego wina. Wyszedł z całej afery jak sprytny, przedsiębiorczy człowiek, tuż przed krachem na rynku. Wystarczy, że popatrzy na górnicze rodziny, na opustoszałą kopalnię, na takich jak Jim Donovan, którzy rabują okolicę z mordem w oczach, a potem wróci spokojnie do Brighton, aby żyć sobie z Adeline jak u Pana Boga za piecem. Dzierżawcy nadal będą płacić renty nigdy niewidzianemu dziedzicowi, a pleśń i wilgoć dobiorą się do murów zamku, ale Henry'ego Brodricka nie będzie to dotyczyć. Hal przeciął odnogę wzgórza i stał teraz przed opuszczoną kopalnią. Poniżej widać było baraki obróbki i wysoki komin kotłowni. Na rumowisku przed kotłownią palił się ogień i w powietrzu kłębił się czarny, gryzący dym. Zszedłszy nieco w dół, Hal zobaczył tłumek mężczyzn, którzy śmiejąc się i rozmawiając, wrzucali do ognia kawałki

drewna. Jeden z nich cisnął właśnie wielką deskę, oderwaną z ławki w biurze.

Był to Jim Donovan. Hal przelazł przez stertę miału za szybem i przyłączył się do towarzystwa.

- Warto by może oszczędzić trochę drewna na zimę - rzekł. - Czemu go nie zbierzecie na stos zamiast palić? Mielibyście opał dla rodzin w chłodne dni.

Ten i ów zerknął na Jima, jakby szukając jego rady. Donovan patrzył na Hala ze złością. W czapce na bakier wyglądał jak zaperzony kogut.

- Szanowanko dla pana Brodricka! Jak widzę, obchodzimy właśnie tatusiowe włości, bacząc, by nie spotkały go żadne dalsze straty? Najlepiej od razu pójść na skargę do magistratury, niech nas wsadzą do pudła!

- Nie zrobiłbym tego, Jim, powinieneś lepiej mnie znać. Dla mnie możecie sobie zdemolować wszystko, co pozostało z kopalń, ale przecież wam samym przyda się opał na zimę.

Jim skrzywił się i zacisnął z urazą usta, po czym kopnął w ogień duże polano.

- Słyszałem, że pan Griffiths wyjeżdża na północ. Podobno za granicą czeka na niego dom. I taki ktoś śmie łągać w żywe oczy, że nic nie wiedział o zamknięciu kopalń!

- Powinien się wstydzić! - dodał ktoś inny. - Cały czas spokojnie się meblował, a nas utrzymywał w niewiedzy, niczym małe dzieci. Nie ma sprawiedliwości na świecie, oj, nie ma!

- I nie będzie - warknął Jim - jeśli nie weźmiemy prawa we własne ręce! Niech sobie pan Griffiths jedzie do swego nowego domu, nam nic do tego, ale najchętniej skreśliłbym mu kark. I wszystkim innym, którzy maczali palce w tym oszustwie.

Zbliżał się do Hala z zaciśniętymi pięściami, podnosząc coraz bardziej głos. Jego kompani także zaczęli go osaczać, wydając gniewne pomruki.

Biedaczysko, myślał Hal. Wypił dwa głębsze w pubie i zamiast po-leżeć w spokoju, zaczyna szaleć.

- W porządku, Jim. Możecie wieszać psy na Griffithsie, ale on nie przyłożył do tego ręki, przysięgam. Wiedział tyle, co ja, taka jest prawda.

Ktoś w tyle gwizdnął, ktoś inny parsknął śmiechem.

- Śmieję się, śmieję - rzekł Jim. - Pan Brodrick jest taki sam, jak cała reszta wypasionych dżentelmenów z gębą pełną frazesów. To on cały czas śmieje się z nas w kułak. Więc pan o niczym nie wiedział, panie Brodrick? I kiedy pański ojciec sprzedał kopalnię londyńskiej spółce, też nie miał pan o tym pojęcia, tak? A jednak my mamy lepsze informacje. Wiemy, że pośredniczył pan między panem Griffithsem a swoim ojcem i londyńską spółką. Czyż to nie przez pańskie ręce przechodziły wszystkie listy ze Slane, Londynu i Bronsea, oprócz tych, które otrzymywał pan do domu? Wprawdzie mój ojciec ma raptem kilka świń i krów, wypasa je na skrawku ziemi wielkości dłoni, chociaż za dawnych czasów ta cała okolica należała do naszej rodziny, ale klnę się na wszystkich świętych w niebie, że nie jestem taki głupi, jak na to wyglądam.

Obrócił się na pięcie, by sprawdzić, jakie wrażenie zrobił na kompanach.

- Słusznie gadasz, Jim! - pochwalił go ktoś. - Zawsze mówiłem, że masz serce lwa.

Hal wzruszył ramionami. Znudziło go już to umyślne wykręcanie kota ogonem. Nie ma sensu przekonywać kogoś takiego, jak Jim Donovan. Wędrówka po wzgórzu porządnie go zmęczyła, chciał jak najprędzej wrócić do Jinny, zjeść kolację i dobrze się wyspać przed spotkaniem z ojcem.

- Dobranoc - uciał, po czym odwrócił się w stronę żuźlowego traktu, który prowadził do głównej drogi.

Ale Jim Donovan i jego banda napierali nań coraz mocniej.

- Nie tak prędko, panie Brodrick. Chyba nie skończyliśmy jeszcze rozmowy. Zbyt wiele rodzinnych rachunków mamy do wyrównania, chociaż minęły lata. Czyż to nie powóz pańskich rodziców przejechał mego kuzyna po pamiętnym bankiecie? Stangret strzelił z bata i konie stratowały biedaka tak, że aż mózg rozprysnął się po drodze. Potem zostawili go i odjechali, jak gdyby nigdy nic. Po wszechnie wiadomo, że ucieszyła ich ta śmierć, ze względu na romans pańskiego stryja z naszą kuzynką.

Hal zerknął przez ramię na rozwścieczonego mężczyznę.

- Na miłość boską, Jim! Idź do domu i prześpij tę złość. Odprowadźcie go albo zanieście, jeśli nie da rady sam. Nie mam ochoty wszczynać kłótni o mego stryja, ojca czy kogokolwiek innego.

Nie odpowiadali, więc Hal skierował się na żuźłowy trakt. Nie uszedł kilkunastu kroków, kiedy coś uderzyło go w głowę. Kamień miał ostre, poszczerbione krawędzie, toteż przeciął skórę do krwi. Hal obejrzał się na napastnika i wówczas drugi pocisk trafił go tuż nad okiem.

- Co robisz, przeklęty głupcze? - wrzasnął. - Chcesz się bić? To wychodź i walczy my uczciwie!

Ruszył ścieżką w ich stronę, porządnie rozeźlony, bo krew zalewała mu twarz. Natrafił jednak na istny grad kamieni i po chwili osunął się na ziemię, a tłum rozjuszonych mężczyzn rzucił się nań z wrzaskiem. Ktoś wykręcił mu ramię, uniemożliwiając obronę, kilku innych przycisnęło go do ziemi własnymi ciałami.

- Zaciągnijcie go na drogę i niech tam leży, jak kiedyś twój kuzyn! - krzyczał jakiś głos.

- Lepiej go spalić! Niech go ogień pochłonie!

Zawiązano mu oczy chustką - na tyle mocno, że nic już nie widział. Czuł pod powiekami krew z rany na czole i robiło mu się niedobrze od jej mdlącego zapachu.

Napastnicy wśród wrzasków i rechotu chwycili go za ręce i nogi, po czym ponieśli żuźłową drogą do ogniska.

- Wy cholerni durnie! - wymyślał im Hal słabym głosem. - Chcecie ściągnąć sobie na łeb całą okolicę? Pójdziecie za to na dwadzieścia lat do pudła!

Ktoś uderzył go w usta - na pewno Jim Donovan - a potem rzucono go twarzą na kupę gruzu, krztuszącego się i kaszlącego, z rękami związanymi z tyłu.

- Zostawcie go tu, niech zgnije. Czas do domu, Jim, dość zabawy jak na jeden wieczór, nie?

Widok półprzytomnej ofiary na stercie kamieni wprowadził ich w zakłopotanie. To wszystko przez Jima. Teraz lepiej brać nogi za pas i trzymać się jak najdalej od Doonhaven. Głosy brzmiały coraz słabiej, zagłuszał je chrzęst kroków, kiedy napastnicy wspinali się na hałdę i przechodzili na drugą stronę wzgórza. Hal słabł coraz bardziej, czuł potworne mdłości. Krew ciągle ciekła i przedostawała się nawet do ust. Ognisko zgasło i wszędzie panowała cisza, a pewnie i ciemności.

Jinny będzie się martwić, myślał. Pójdzie na probostwo i ściągnie wujka Toma.

Jak mógł być taki głupi i wdawać się w rozmowy z Jimem i jego bandą? Powinien zawrócić z drogi już w chwili, kiedy ich spostrzegł. I na co zdało się jego współczucie dla głupich bękartów? Hal przewrócił się na bok i z wysiłkiem rozluźnił postronek na rękach. Potem rozdarł chustkę, ale z przerażeniem odkrył, że nic nie widzi. Jedno oko -to poniżej rany - w ogóle nie chciało się otworzyć, drugie było sklezione krwią. Trzeba znaleźć wodę, obmyć je i dopiero potem ruszać do domu - pięć mil w gęstniejących ciemnościach. Hal z trudem podniósł się na nogi i próbował odzyskać poczucie kierunku. Woda powinna być koło baraku obróbki, gdzie płukano cynę, ale po omacku nie mógł się zorientować, z której strony hałdy. Posuwał się wolno naprzód z wyciągniętymi rękami, krok po kroku, bezradny jak ślepiec. Myślał o ojcu, który rano miał przyplłynąć do Słane. Kiedy przyjedzie do Doonhaven, zastanie syna w łóżku, posiniaczonego i z zabandażowanymi oczami. Nie uwierzy w historyjkę o bójce na Hungry Hill, gdyż mieszkając od dwudziestu pięciu lat za wodą, zdążył zapomnieć o dziwnych obyczajach i szalonych przypadkach w swoim kraju, gdzie mężczyźni najpierw ze sobą piją, po chwili zaś się tłuką, a wszystko z powodu czegoś, co wydarzyło się przed ich urodzeniem. Zdenerwowana i wystraszona Jinny wprowadzi ojca do sypialni, ten zaś spojrzy tylko na syna i już będzie wiedział swoje: pijacka burda oczywiście; kobieta stara się to ukryć. Na samą myśl o tak typowej, lecz nieuchronnej ocenie Hal zaśmiał się bezradnie; mowy nie ma, by udało mu się wytłumaczyć ojcu, co naprawdę się stało. Prościej będzie dać spokój, niech sobie

ojciec dalej uważa, iż Hal jest pasożytem i pijakiem, który w sobotnie wieczory wraca do domu na chwiejnych nogach, jak połowa mężczyzn w Doonhaven od zarania wieków.

Ręce natrafiły na coś szorstkiego i twardego - może mur ceglany? Nogi zawadziły o wystającą deskę.

Niech to diabli, myślał półprzytomnie. Wcale nie jestem przy baraku obróbki, to wygląda raczej na ścianę kotłowni. Znów ruszył przed siebie ostrożnie, czując, że kręci mu się w głowie. Nagle uświadomił sobie ze smutkiem, że ów piękny dzień na Hungry Hill, który miał mu przynieść spokój i ukojenie, zmierza do zupełnie bezsensownego końca, zresztą jak całe jego życie.

Jinny się zmartwi... i wujek Tom... przez niego będą nieszczęśliwi. Wszystko tonęło w ciemności, niczego nie widział tymi przekłętymi, zapuchniętymi oczami. Pewnie w ogóle nie znajduje się przy kopalniach ani nawet na Hungry Hill. Za to znowu jest dzieckiem. Chodzi po pogrążonych w mroku nowych pokojach w Clonmere, próbując odszukać drogę do sypialni mamy. Drzwi do buduaru są tuż obok, musi tam wejść, otworzyć wypaczone od wilgoci okiennice - i już jest mamą. Czeka na niego na nigdy nieużywanym balkonie.

Nad Hungry Hill ukazał się księżyc. Hal czuł na sobie światło i myślał, że to mama zapaliła dla niego tę lampę, a teraz stoi w otwartych drzwiach. Chciał do niej podejść, był już blisko, ale nagle rozwarła się przed nim czarna otchłań...

8

Jinny ubrała synka z wielką starannością, on zaś nie protestował ani się nie wrywał, gdyż mimo swych dwóch lat rozumiał, że spadło na nich nieszczęście i nie trzeba jeszcze bardziej martwić mamy. Siedział grzecznie na jej kolanach i nadstawiał nóżki, kiedy wciągała mu najpierw skarpetki, a potem czarne buciki ze sprzączkami. Następnie wyjęła z bibułki nowiutkie ubranko z aksamitu w kolorze butelkowej zieleni z koronkowym kołnierzem i mankietami, szesała mu po raz pierwszy włosy na bok, odsuwając z czoła gęstą, ciemną grzywkę. Chłopczyk zobaczył łzę w kącie jej oka i zrobiło mu się smutno, bo nic nie mógł na to poradzić. Zerknął nad jej ramieniem na pilśniowy kapelusik, który kupiła mu w

sklepie. Wiedział, że nie będzie mu w nim wygodnie, i nie miał ochoty go wkładać. Był czarny, podobnie jak buciki i suknia mamy. Ta ładna, niebieska, została w szafie. Kiedy Jinny skończyła ubierać malca, postawiła go na krześle i przyjrzała mu się krytycznym okiem, jakby żałowała, że nie jest większy. Potem uśmiechnęła się do niego, chociaż w kąciку jej oka nadal czała się łza.

- Wyglądasz ślicznie - powiedziała - i jestem z ciebie dumna. Proszę, żebyś był bardzo grzeczny, bo idziemy z wizytą do dziadka.

Mały zastanowił się przez chwilę, bo niezbyt dobrze zrozumiał. Wreszcie buzia mu się rozjaśniła.

- Do dziadzi, tak?

- Nie, nie do dziadzi. To ktoś inny, jeszcze go nie znasz. Pojedziemy do Clonmere i tam się z nim spotkamy.

To wydawało się jasne. Clonmere to ten wielki dom z balkonem i dużymi oknami, chodzili tam często na spacer. Chłopczyk zsunął się z krzesła i pozwolił sobie włożyć przebrzydły kapelusik z gumką pod brodą.

Zeszli do hallu, trzymając się za ręce; na drodze czekał Patsy z dwukółką i konikiem. John-Henry sprawdził, czy koszyk piknikowy jest na swoim miejscu, ale okazało się, że go nie ma.

- Piknik? - spytał, patrząc z nadzieją na matkę, ale ta pokręciła głową.

- Nie, synku. Dziś nie będzie pikniku.

Przyjął to do wiadomości, ale jak dotąd dwukółka zawsze kojarzyła mu się z pakowaniem jedzenia i dziadzią obładowanym pledami, laskami, płaszczami i parasolami. No cóż, może tym razem jazda dwukółką to rodzaj rekompensaty za aksamitne ubranko i kapelusik.

Mijając probostwo, Jinny zajrzała do gabinetu ojca.

- No to jedziemy - oznajmiła siedzącemu przy biurku pastorowi. Tom Callaghan okręcił się w krześle. Miał smutną twarz, ale w głęboko osadzonych oczach wiele czułości dla córki i wnuka.

- Tylko niczego się po nim nie spodziewaj. To twardy i zimny człowiek, Jinny, zupełnie inny niż ten, którego, pamiętasz z dzieciństwa. Dawny Henry lubił się śmiać, był wesoły, tak samo, jak nasz drogi Hal. Czas nie obszedł się z nim łaskawie.

- Nic od niego nie chcę - odparła Jinny. - Zależy mi tylko na tym, żeby zobaczył Johna-Henry'ego.

- Tak, tak, rozumiem.

Wsiadła z synkiem do dwukółki i pojechali najpierw główną ulicą, potem zaś pod górę, koło osiedla w Oakmount, aż dotarli do długiego muru i bramy posiadłości.

Przy wjeździe stała młoda pani Sullivan. Dygnęła przed Jinny, która odwzajemniła się poważnym ukłonem. John-Henry siedział sztywno przy matce. Jak dotąd, nikt przed nią nie dygał, to też pewnie wiąże się z aksamitnym ubrankiem.

Zerknął na jej dłonie. Miała rękawiczki, a przecież nosiła je tylko zimą albo kiedy w niedzielę jechała z dziadzią do kościoła. Dwukółka toczyła się podjazdem, przez zaniedbany park i las z potokiem po lewej stronie, aż wreszcie na trawiastej skarpie ukazał się zamek. Z jednego komina unosił się dym, okna w starej części były otwarte na oścież, a na zakręcie stał powóz z bagażami na koźle, obok miejsca woźnicy. Frontowe drzwi do hallu, które Jinny zawsze widziała zamknięte, teraz stały otworem.

Zawahała się przez chwilę, ale w końcu przyzwyczajenie wzięło górę i kazała Patsy'emu podjechać do bocznego wejścia w starej części domu. Zaczęła się trochę denerwować. Poprawiła dziecku koronkowy kołnierz i wyprostowała kapelusik. Coś z tego, co przeżywała, udzieliło się synkowi, mały czuł się niepewnie i trochę się bał; chciał zostać z Patsym w dwukółce.

- Nie - odparła matka stanowczo. - Idziesz ze mną. Proszę, żebyś bardzo grzecznie przywitał się z dziadkiem i podał mu rączkę.

Boczne drzwi także były otwarte, ale mimo to Jinny zadzwoniła. Brzęk dzwonek odbijał się echem od pustych ścian korytarza. Pojawił się służący - pewnie przyjechał ze swym panem z Londynu.

- Pani Brodrick? - spytał.

John-Henry po raz drugi zobaczył, jak jego matka się kłania. Bardzo mu się to spodobało - taki godny, wdzięczny gest. Spróbował ją naśladować, poruszył główką w górę i w dół, ale matka zrobiła niezadowoloną minę. Pewnie to jedna z tych rzeczy, które wolno tylko dorosłym.

Służący otworzył drzwi po drugiej stronie hallu i wprowadził ich do dużego pokoju - jadalni. Wprawdzie obrus usunięto, ale przez środek stołu biegł pas zielonego sukna.

Tu jedliśmy świąteczny lunch, kiedy miałam szesnaście lat, a Hal dwadzieścia, pomyślała Jinny. Służący podpalił kilka polan na kominku, gdyż mimo lata panował dojmujący chłód. Przy ogniu stały dwa fotele. Jinny nie wiedziała, czy powinna usiąść, czy raczej stać. Spodziewała się, że ojciec Hala będzie na nich czekał. Drzwi w drugim końcu pokoju były otwarte, pamiętała, że dalej znajdował się korytarz do nowego skrzydła. Może teść właśnie tam poszedł? Stała dalej przed kominkiem, trzymając dziecko za rączkę. Chłopczyk rozglądał się ciekawie i w pewnym momencie wskazał paluszkami portret na ścianie - wizerunek młodej dziewczyny o ciepłych, brązowych oczach i ciemnych, kręconych włosach. Na szyi miała sznur pereł.

- Tak - szepnęła Jinny. - Jest bardzo ładna.

Po drugiej stronie kominka wisiał portret matki Hala. Jacy musieli być do siebie podobni! Ta sama rezerwa, to samo zapadanie w milczenie bez powodu... Wtem synek pociągnął ją za rękę. Obejrzała się przez ramię i zobaczyła ojca Hala. Nie takim zapamiętała go z dzieciństwa, w niczym nie przypominał też szkicu Hala, wiszącego w gabinecie na probostwie. Był szczuplejszy, twarz - dawniej szeroka i stanowcza - jakby mu się zapadła. Prawie już nie miał włosów na czubku głowy, a te, co zostały, niemal zupełnie posiwiały. Usta tworzyły wąską linię, oczy wydawały się bardziej wyłupiaste. Postąpił krok do przodu i wyciągnął rękę.

- Jesteś Jinny, tak? Kiedy ostatni raz cię widziałem, miałaś sześć lat.

Chciała zachować się wyniośle i godnie, od razu przemówić w obronie Hala, jeśli trzeba, oskarżyć Henry'ego o zaniedbanie i brak serca, ale po tych słowach cała niechęć do teścia gdzieś się ulotniła. Zobaczyła, że jest tak samo wylękniony i niepewny jak ona. I bardzo samotny.

- Tak, jestem Jinny, a to John-Henry.

Chłopczyk podał rączkę, tak jak mu kazano, a potem spojrzął na drzwi. Może teraz już pójdą?

- Usiądziesz? - Henry wskazał jej fotel, Jinny zaś szepnęła chłopcu, żeby był grzeczny.

Przez chwilę Henry nic nie mówił; patrzył to na dziecko, to w ogień.

- Jakie masz plany? - zapytał wreszcie.

- Nadal będę mieszkać w Doonhaven obok rodziców. Przynajmniej póki John-Henry nie pójdzie do szkoły. Potem... Sama nie wiem, to zależy od wielu spraw.

- Przypuszczam, że Tom chciałby go widzieć pastorem?

- Nie sędzę. Raz, kiedy rozmawialiśmy o przyszłości, wspomniał, że najlepiej by było, gdyby wstąpił do marynarki. Ale nie musimy jeszcze o tym myśleć.

Znowu zapadła cisza.

- A Hal? Miał jakieś pomysły w tym względzie?

Jinny przytrzymała paluszki, które skubały koronkę kołnierza.

- Nie. Hala nie interesowało wykształcenie czy zawody. Po prostu wyobrażał sobie, że... że pewnego dnia John-Henry zamieszka w Clonmere.

Henry wstał i z założonymi do tyłu rękami patrzył na Jinny i chłopca.

- Wiele lat temu chciałem sprzedać posiadłość, Hal pewnie ci o tym mówił. I nadal chętnie bym to zrobił, ale jak wiesz, Clonmere podlega prawu majoratu. Kiedy umrę, a twój syn osiągnie pełnoletność, będzie mógł zrobić, co zechce, na przykład wypowiedzieć majorat w testamencie.

-Tak.

Henry chodził wolno tam i z powrotem.

- Majątek ziemski to dziś duże obciążenie. Nie ma już takiej wartości, jak dawniej. Niebawem wkroczymy w nowy wiek, świat szybko się zmienia. Ten kraj może wolniej od innych, ale zbyt długo mieszkam za granicą, by coś wiedzieć na ten temat, zresztą mało mnie to obchodzi.

Mówił bez goryczy, ale ze smutkiem, jakby w chwili, gdy spojrzał na swój dawny dom, dosięgła go przeszłość.

- Czy nigdy pan tu nie wróci? - spytała Jinny.

- Nie. Skończyłem z tym na zawsze.

Stał teraz przed nią z założonymi do tyłu rękami i głową przechyloną na bok. Hal także lubił tę pozę. Mimo wszystko wiele miał z ojca, bardzo wiele, nie tylko do matki był podobny.

- Kopalnie już nie istnieją - ciągnął Henry. - One także wiązały mnie z tym krajem. Przyniosły mojej rodzinie bogactwo, ale czy szczęście? Chyba nie. To jeden z powodów, dla których je sprzedałem, wcale nie dlatego, żeby pozbyć się nieściągalnego długu. Teraz został tylko ten dom, więc jeśli ty i chłopiec chcecie tu zamieszkać, to proszę bardzo, ale nie ma mowy o żadnych środkach na utrzymanie, przynajmniej do mojej śmierci. Teraz nie zamierzam wydawać na ten cel ani pensa.

Jinny poczerwieniała. Przed takim Henrym ostrzegał ją ojciec. Człowiek, który dba przede wszystkim o własne interesy, a właściwie o interesy swej żony, i nie sięgnie do kieszeni dla nikogo, nawet dla własnego wnuka.

- Ten dom jest dla nas za duży - odparła. - Ale mieszkając przy probostwie, możemy tu często zachodzić. Kiedy John-Henry podrośnie, zrozumie, że pewnego dnia Clonmere stanie się jego własnością.

Wydało się jej, że Henry patrzy na nią dziwnie, z litością. Trzymała mocno rączkę dziecka, jakby z tego uścisku czerpała siłę i pociechę.

- To już trzecie pokolenie mojej rodziny, wychowywane tylko przez jednego z rodziców - zauważył Henry. - Straciłaś Hala, ja straciłem Katherine, moja matka także owdowiała młodo. Przekonasz się, jak ciężko jest żyć w samotności.

- Wiem, że nie będzie mi łatwo. Ale kocham Johna-Henry'ego i wcale się nie boję.

Spojrzał w górę, na portret Katherine. Potem bardzo wolno wsunął rękę do kieszeni kamizelki i wydobył okrągłe, skórzane puzderko. Trzymał je przez chwilę, po czym nacisnął zameczek i wyjął miniaturową replikę portretu ze ściany. Podobieństwo było doskonale uchwycone, chociaż kolory miejscami się rozmazały i włosy wydawały się nieco jaśniejsze niż na oryginale.

- Nie pokazywałem tego nikomu i nadal nie zamierzam. Hal namalował to dla mnie, kiedy jeszcze był chłopcem. Dał mi to w dniu, kiedy przywiozłem do domu Adeline, i chyba nigdy mu nie podziękowałem. Widzisz, obaj czuliśmy wobec siebie pewne skrępowanie.

Jinny przyjrzała się miniaturce i po chwili oddała ją Henry'emu. Ten umieścił obrazek w puzderku i schował do kieszeni.

- Mam ten portrecik od dwudziestu lat - wyjaśnił. - Adeline nigdy go nie znalazła. - Na jego wargach pojawił się cień uśmiechu i Jinny na ułamek sekundy zobaczyła dawnego Henry'ego, tego roześmianego, młodego człowieka, który stał obok jej ojca na wspólnej fotografii. - Nie wydasz mnie, prawda?

Jinny pokręciła głową.

Odwrócił się i wyjrzał przez okno na trawiastą skarpe nad potokiem. Słońce oświetliło skrawek dywanu i w powietrzu tańczyły drobinki kurzu.

- Masz szczęście, że jesteś córką Toma i Harriett. Rodzice zaopiekują się tobą i chłopcem, przynajmniej nie będziesz sama. Dochód Hala automatycznie przechodzi na ciebie, wiesz chyba o tym. I tak jak powiedziałem, po mojej śmierci wszystko dziedziczy twój syn. - Zerknął z wahaniem na drobną, poważną figurkę w aksamitnym ubranku. - Pusty dom, brzemień zwątpień i marzeń... niewielkie to dziedzictwo.

John-Henry oparł się o matkę i pociągnął ją za rękę. Niespecjalnie spodobał mu się ów dziwny pan, który patrzył na niego z litością. Chłopczyk chciał znowu znaleźć się na probostwie, u dziadzi, wśród znajomych, zrozumiałych rzeczy.

- Ma mnie dość - zauważył Henry z uśmiechem. - W porządku, młody człowieku, nie będę was zatrzymywał. Też już wyjeżdżam.

Wyszedł z nimi do hallu. Gotowy do drogi służący stał w otwartych drzwiach, przed domem czekał powóz.

- Taka podróż w odległe czasy to błąd. Staraj się zawsze patrzeć w przyszłość - rzekł Henry.

Ogarnął spojrzeniem dom, zabite sztabami okna nowej części i żelazny balkonik nad drzwiami. Potem uścisnął dłoń Jinny, dotknął lekko główki dziecka i wsiadł do powozu. Służący zatrzasnął drzwiczki i zajął miejsce na koźle obok stangreta. Henry wychylił się przez okno.

- Pożegnaj ode mnie Toma i matkę - zawołał. - Już się z nimi nie zobaczę. I przypomnij ojcu, co powiedział mi trzydzieści lat temu: „Wolę być dobrym jak Eyre'owie niż sprytnym jak wy, Brodrickowie". Niestety, dobroć umarła i leży głęboko w ziemi. Spryt nadal żyje, tylko stał się degeneratem.

Raz jeszcze rzucił okiem na szare mury zamku i trawiasty stok, na majaczącą w oddali wyspę i ciemny masyw Hungry Hill. Raz jeszcze uśmiechnął się do Jinny.

- Nie znałaś mojej matki, co? Umarła wiele lat temu w Nicei. Ostatnie słowa, jakie wypowiedziała do mnie, brzmiały: „Nie rób takiej poważnej miny, mój chłopcze. Myślenie nikomu jeszcze nie wyszło na dobre”. Nie wiem, czy miała rację, ale faktem jest, że myślenie zawsze sprawia mi ból. Możesz opowiedzieć tę historyjkę swemu synkowi, kiedy obejmie dziedzictwo.

Dał rozkaz stangretowi i uniósł kapelusz. Powóz potoczył się podjazdem i wkrótce zniknął za drzewami. Kiedy wjechał w las, z drzew zerwały się czaple i z krzykiem pofrunęły w stronę wyspy.

TLR

EPILOG

Dziedzictwo

1920

TLR

John-Henry skręcił w Queen Street i zaraz od progu domu oderwał się wartownik.

- Nie radzę iść dalej - rzekł. - Na końcu ulicy wybuchła strzelanina i można oberwać kulkę od kogoś z naszych.

Jakby na poparcie tych słów w oddali rozjazgotał się karabin maszynowy i zapiszczwały opony. Wartownik wyszczerzył zęby.

- Ktoś ma kłopoty.

Na końcu ulicy samochód zarzuciło na chodnik, z dolnego okna wysunęła się lufa strzelby, skierowana w stronę placu. Mężczyźni na chodniku rzucili się na ziemię. Ktoś wybiegł z domu i skoczył na stopień auta; w rękach trzymał strzelbę. Przy placu pojawił się patrol. Samochód przyśpieszył i koło najdalszego domu skręcił w tylną uliczkę. Żołnierze za nim strzelili, a potem pobiegli przez plac w stronę poczty na rogu. Tymczasem ci, którzy leżeli na ziemi, podnieśli się i otrzepali ubrania, jakby nic się nie stało. W jednym z górnych okien przeraźliwie krzyczała jakaś kobieta. Kościelny zegar wydzwonił piątą. John-Henry zapalił papierosa i uśmiechnął się do żołnierza.

- Można by pomyśleć, że po czterech latach wojny ludzie będą mieli po dziurki w nosie strzelania - zauważył.

Żołnierz wyjął zza ucha skręta i poprosił o ogień.

- Nie w tym kraju - odparł. - Tu każdy może wsadzić nóż najlepszemu przyjacielowi, a potem pójść z kwiatami na pogrzeb.

John-Henry odrzucił ze śmiechem zapalną.

- To niesprawiedliwe. Ja także jestem jednym z nich, ale jeszcze nikogo nie zarżnąłem.

Ruszył wolno dalej, w stronę placu, na którym przed chwilą strzelano. Zauważył wiele powybijanych okien, nie wskutek incydentu sprzed kilku minut, ale

toczących się od paru tygodni walk. Na placu nie było już żołnierzy, z wyjątkiem strażnika przed budynkiem policji. Na krawędzi chodnika młody mężczyzna z rękami w kieszeniach rozmawiał z kobietą. Miał wychudłą twarz i wyglądał na przygnębionego.

- Wzięli Micky'ego Farrana - mówił właśnie, ale na widok Johna-Henry'ego urwał i zaczął przyglądać się własnym butom.

Po chwili oboje odeszli i Johnowi-Henry'emu wydało się, że na ulicy zrobiło się zupełnie pusto i cicho. Po drugiej stronie placu wznosiły się resztki barykady, a na jezdni leżały kawałki drutu kolczastego. Nagle z jasnego nieba spadł deszcz, ale po paru minutach ustał. W oddali zahuczała syrena okrętowa - odpowiedział jej cienki, piskliwy sygnał z holownika. John-Henry myślał o tym, co powiedział mu żołnierz o tutejszych ludziach. Może to i prawda, a jednak...

Przed oczami przesunęły mu się twarze zapamiętane z dzieciństwa. Oto drogi dziadzia - siwy, z wielkimi, głęboko osadzonymi oczami - idzie, garbiąc się lekko, przez plac targowy w Doonhaven. Przekupka przy straganie podnosi ku niemu zalaną łzami twarz i wzywa wszystkich świętych, by mu błogosławili, gdyż znalazł pracę dla jej syna. Nie zapomni mu tego do końca życia. Babcia - drobna, skrzętna kobietka - zbiera muszlą śmietankę z mleka, targa Johna-Henry'ego za uszy, bo łaskotał służącą w łydki szczotką z piór, a po chwili jest już w połowie drabiny. Patsy - ogrodnik w dni powszednie, a w niedziele stangret - opowiadał mu legendy o wrózkach z Hungry Hill i chochlikach, które ryły podziemne korytarze i zwodziły górników za dawnych czasów. Nie wiedziałby pewnie, jak się trzyma nóż, gdyby nie musiał strugać patyków albo zarzynać świń. Może po zarznięciu świni łatwiej zabija się człowieka...

Ulice w tej części miasta wyglądały normalnie. Kiedy John-Henry skręcił w terasę, przy której mieszkała ciocia Lizette, i zobaczył w sąsiednim ogrodzie dziecko z kołem, niemal roześmiał się na wspomnienie pisku opon na Queen Street, terkotu karabinu maszynowego i rozgoryczonego głosu mężczyzny, który mówił, że „wzięli Micky'ego Farrana”.

John-Henry nacisnął dzwonek do mieszkania numer pięć, po czym wszedł po schodach do małej, przeładowanej meblami bawialni, gdzie ciocia Lizette siadywała dzień po dniu, szydełkując koronki, sprzedawane następnie na zasilenie funduszu dla niewidomych dzieci. Ta osobliwa pasja musiała mieć swe korzenie w podświadomym żalu nad własnym dzieciństwem, kiedy Lizette, kulawa i zaniedbana, drżała ze strachu przed niedobrą macochą. Na widok bratanka podniosła się z uśmiechem na poźółklej nieco twarzy, mrugając oczami zza szkieł.

- Jesteś, drogi chłopcze! - wykrzyknęła, John-Henry zaś zauważył z radością, że jej głos - podobnie jak głos jego matki - ma przyjemne, melodyjne brzmienie z okolic Slane, które zawsze przywodziło mu na myśl szczęśliwe lata dzieciństwa. - Twoja mama uprzedziła mnie, że przyjdiesz, a ja jej nie uwierzyłam. Pomyślałam sobie, że taki młody człowiek ma ciekawsze sprawy po powrocie do kraju niż wizyta u ciotki.

- Ale nie ten młody człowiek. Ten nadal nie może zapomnieć mię-tówek, które trzymałaś w kredensie.

Ciocia Lizette uśmiechnęła się i zdjęła okulary. Teraz zobaczył, że jej oczy są tak ładne, jak oczy cioci Kitty, i przypomniał sobie miły dom w Andriff, gdzie wszystkim żyło się tak szczęśliwie. Ciocia Kitty, ciocia Lizette, wujek Simon - wszyscy mieszkali razem w wielkiej harmonii z kilkoma zaledwie służącymi, za to ze zbyt liczną sforą psów. Trwało to, póki dzieci nie dorosły i nie rozproszyły się po świecie. Potem ciocia Kitty umarła, a ciocia Lizette nadal mieszkała z wujkiem Simonem; coś takiego mogło się wydarzyć tylko w tym kraju.

- Jak się miewa mama? - spytała ciotka.

- Doskonale, jest bardzo szczęśliwa i dziękuje ci za koronkową serwetę. W sam raz pasuje na stół w jadalni. Mam dla ciebie pieniądze; mama nie dowierza poczcie w dzisiejszych czasach.

Sięgnął po portfel i wyjął banknot.

- Ach, nie powinna zaprzętać sobie tym głowy! Będzie dość czasu, gdy skończy się cała ta strzelanina i ludzie znów zaczną zachowywać się normalnie. Gdzie dziś toczyły się walki, pewnie na ulicach?

- Poprószyli kulami kilka wystaw, kiedy tu szedłem, ale chyba większych szkód nie wyrządzili. O co w tym wszystkim chodzi, ciociu Lizette? Ty na pewno nie masz żadnych uprzedzeń.

Ciotka odczekała, aż pokojówka przyniesie herbatę i zamknie za sobą drzwi.

- Trzeba bardzo uważać - rzekła cicho. - Maggie jest u mnie od trzech lat, ale jej brat walczy po stronie rebeliantów. Wczoraj się zaklinała, że nie widziała go od pół roku, ale oczywiście kłamała. Ostatnio zaczęły znikać papierosy, które trzymam dla gości. Gdzie mogłyby się podziać, jak nie za stanikiem Maggie? Na pewno wymyka się wieczorami i rozdaje je za rogiem.

- Musisz się pilnować, bo ci żołnierze zrobią rewizję.

- I niczego nie znajdą. Jestem lojalną poddaną króla, jak reszta mojej rodziny od wieków. Żaden Brodrick nie mieszał się do polityki, chociaż mój ojciec raz startował w wyborach do parlamentu w czasach swojej świetności. Akurat tego dnia przyszedł na świat twój ojciec.

John-Henry chrupał grzanekę z masłem, rozglądając się po niewielkim wnętrzu, przeładowanym meblami z Andriff, Dunmore, gdzie mieszkała ciotka Molly, a nawet częściowo z Clonmere. Ciotka Lizette gromadziła je przez lata jak skarby i za nic by się z nimi nie rozstała.

- Z tego, co udało mi się dowiedzieć, żaden Brodrick nie dokonał niczego wielkiego. Wszyscy albo umierali młodo, albo zapijali się na śmierć.

Ciotka zmarszczyła brwi i dołała mu herbaty.

- Wojna i służba w marynarce zrobiły z ciebie cynika. To nieprawda, co powiedziałeś. Brodrickowie w tym kraju zawsze cieszyli się szacunkiem.

- A kto ich szanował i za co?

Odchyliła się w krześle i splotła przed sobą ręce. Mimo swych pięćdziesięciu lat miała długie, szczupłe dłonie młodej kobiety.

- Choćby za to, że byli właścicielami ziemskimi. Wypełniali swe obowiązki wobec Boga i króla. Dzierżawców trzymali krótko, ale traktowali uprzejmie. Dziedzice Clonmere zawsze byli zwolennikami prawa i porządku. Ludzie widzieli w nich symbol władzy, i to mądrej władzy.

John-Henry uśmiechnął się znad brzegu filiżanki.

- Może i tak, ale może również nie życzili sobie żadnej władzy, Boga czy króla. I sama widzisz, co z tego wynikło. Znasz ich dewizę „My i tylko my”?

Cmoknęła z niecierpliwością.

- To stek nonsensów. Przecież inaczej nie mogliby istnieć. I nie mów mi tylko, że z nimi sympatyzujesz, bo ci wypowiem dom. Powinieneś się wstydzić, jeszcze kilka miesięcy temu nosiłeś królewski mundur!

- Nie mówiłem, że z nimi sympatyzuję. Nie obchodzą mnie ani jedni, ani drudzy, tylko po prostu miałem nieszczęście poznać obie strony tego konfliktu.

- Więc niech ci nie przyjdzie do głowy, żeby zamieszkać w Doonhaven, bo szybko będziesz miał dość. Tam, jeśli pada deszcz, a ty powiesz: „Jaka śliczna

pogoda", każdy przytaknie, choćby dlatego, żeby ci sprawić przyjemność, a sobie oszczędzić kłopotów.

- Ale to przecież idealny sposób na życie! Gdyby wszyscy tak postępowali, nikt by się nie kłócił, nie byłoby wojen ani bezsensownych walk.

Ciotka zastanawiała się przez chwilę, wreszcie pokręciła głową.

- To byłoby niemoralne - rzekła z powagą. John-Henry się zaśmiał.

- Deszcz czy pogoda, moralne czy nie, proponuję, żebyśmy wybrali się w najbliższym czasie do Doonhaven i odwiedzili Clonmere. Wyjechałem stamtąd tuż przed śmiercią dziadzi, jeszcze przed wojną. Pewnie wszystko tam się wali, chociaż ludzie ze stróżówki powinni doglądać posiadłości.

- I co zrobisz, kiedy już się tam znajdziesz? John-Henry wyciągnął wygodnie nogi.

- Będę tam mieszkał. Może poproszę mamę, żeby także się zdecydowała. Wiesz, ciociu, przez cały czas służby w marynarce, kiedy toczyła się wojna, tylko to jedno było dla mnie czymś realnym. Czy na Morzu Śródziemnym, czy na Dardanelach, bez przerwy kołatała mi w głowie jedna myśl: „Ten przerośnięty młodszy oficer, który poci się w maszynowni, wychodzi na ląd na Malcie i spóźnia się z przepustki, nie jest wcale Johnem-Henrym. Ten prawdziwy stoi przed zamkiem w Clonmere i patrzy na potok i Hungry Hill". Tam właśnie jest moje miejsce, tam są moje korzenie, tam się urodziłem i wychowałem.

Ciotka Lizette włożyła okulary, przesunęła się do okna i wzięła do ręki szpulę.

- Też się tam urodziłam, ale całe dzieciństwo spędziłam w Londynie. Kiedy miałam dziesięć lat, twoja ciocia Molly wyszła za mąż i wszyscy pojechaliśmy do Clonmere na święta. Nigdy nie zapomnę widoku wzgórz, koloru wody w zatoce Mundy ani starego stateczku z kołem łopatkowym kursującego do Doonhaven. - Umilkła na chwilę, pochyłona nad robótką. - Ale to ogromne gmaszysko, jak na samotnego młodego człowieka.

- Czekam na mnóstwo roboty. W lesie trzeba powycinać chaszczę, doprowadzić do porządku ogród. Nie uznaję półśrodków, ciociu, już nie jestem młodszym oficerem w maszynowni. Zamierzam zostać Johnem-Henrym z Clonmere i niech wszyscy idą do diabła! Chociaż nie, nie wszyscy. Lubię ludzi i sam chcę być lubiany. A ty, ciociu, do staniemy najlepszy pokój gościnny i rozpalimy na twoją cześć wielki ogień w głównym hallu.

- Chyba nie zamierzasz mieszkać w tej nowej części?

- Czemu nie? Dziadek zbudował te pokoje po to, by z nich korzystać, czyż nie?

- Owszem, pięćdziesiąt lat temu, kiedy było mnóstwo służby, powozów, koni, kiedy kopalnie na Hungry Hill pracowały dniem i nocą. Teraz jednak Doonhaven to senna dziura, w której ze świecą by szukać kogoś do roboty, a ludzie do siebie strzelają. O, teraz... Słyszysz?

U wylotu ulicy rozległ się tupot nóg. John-Henry wychylił się z okna obok ciotki. Środkiem jezdni przechodzili żołnierze, prowadząc między sobą dwóch cywilów z rękami założonymi do tyłu i czapkach zsuniętych na oczy. Na chodniku zebrał się tłumek gapiów, jakaś kobieta wyzywała głośno żołnierzy. Wreszcie jeden z nich ruszył w stronę tłumu, próbując odsunąć ludzi dalej. Tupot stopniowo cichł...

- Tak między nami, ciociu. Gdybyś na przykład znalazła jednego z tych ludzi, choćby brata Maggie, w swojej kuchni, to byś go wydała?

- Może być winnym śmierci niewinnych ludzi. Miałabym obowiązek go wydać.

- Nie odpowiedziałaś na moje pytanie - nalegał John-Henry. - Wydałabyś go czy nie?

Spojrzała na niego z ukosa. Ciemne oczy za okularami zamrugwały.

- Może i tak. Ale potem podpisałabym petycję o ułaskawienie.

Niebo pociemniało i o szyby zabębnił deszcz.

- Gdzie się zatrzymałeś?

- W hotelu „Metropole”.

- Skoro tak, to lepiej już idź, mój drogi. Chyba nie chcesz znaleźć się na ulicy po zmierzchu? Jak zamierzasz się dostać do Doonhaven? Nie wiem, czy kursują pociągi i co ze statkiem do Mundy.

- Mam samochód, ciociu.

- Musisz uważać, bo gotowi ci go zabrać, a ciebie samego związać jak kurczaka i wrzucić do bagażnika... jeśli nie wylądujesz w rowie w kulą w plecach.

- Może przyłączę się do rebeliantów - rzekł z figlarnym błyskiem w oczach.

Pocałował ją na pożegnanie i ruszył przez ciche ulfce z powrotem do hotelu. Wszędzie stały patrole; zatrzymywano go trzy razy. Ulice były zupełnie wyludnione, okiennice pozamykane. John-Henry zaszedł do hotelowego baru, również pustego, z wyjątkiem barmana i jakiegoś młodego człowieka, siedzącego w kącie nad gazetą. Mężczyzna, mniej więcej w jego wieku, zerknął na wchodzącego, po czym wlepił weń pytające spojrzenie. Wyglądało na to, że skądś go zna, ale nie może sobie przypomnieć nazwiska. John-Henry odwrócił się tyłem i zamówił whisky z wodą sodową.

- Było dziś trochę zamieszania, co? - zagaił rozmowę. Barman wytarł szklankę ściereczką i spojrzał dyskretnie na mężczyznę, który znów zajął się gazetą.

- Trzech ludzi zabili na placu - szepnął. - Tak mi przynajmniej powiedziano. Ja tam nic nie wiem, cały dzień siedziałem w hotelu.

Odszedł w drugi koniec i udawał, że przestawia szklanki. Boi się, pomyślał John-Henry. Jeśli powie o słowo za dużo, ten gość w kącie może na niego donieść. Gdzie też ja go widziałem? Ale mężczyzna skrył się za gazetą.

John-Henry sączył swoją whisky, myśląc o cioci Lizette, żyjącej samotnie w swym mieszkanku, najmłodszej i najbardziej kruchej z całego rodzeństwa. Obie jej siostry umarły podczas wojny, ledwie dożywszy średniego wieku. Śmieszna ta nasza rodzina, myślał. Albo umieramy młodo, albo dożywamy nieprzyzwoicie sędziwego wieku. Dziadek Henry Brodrick dobijał w Brighton osiemdziesiątki, kiedy dosięgła go śmierć. Zona nie pozwoliła przewieźć jego ciała za wodę, do Ardmore, uparła się, by go pochować na wielkim, białym cmentarzu miejscowym. John-Henry pamiętał, jak w Darthmouth otrzymał list od matki z wiadomieniem o śmierci dziadka Brodricka. Potem, podczas wakacji, wybrali się z matką na piknik do Clonmere i snuli marzenia na przyszłość. Ale wybuchła wojna i trzeba było o wszystkim zapomnieć...

Drzwi otworzyły się z impetem i weszło trzech oficerów. Śmiali się i żartowali.

- Przysięgam, to szczerza prawda - mówił jeden. - Parę lat temu całe towarzystwo wybrało się do Londynu na grób Casementa. Przywieźli ze sobą wieńce, kwiaty i Bóg wie co jeszcze. Ale zarządca cmentarza ich wykiwał, bo kiedy spy-

tali go, gdzie ten grób, pokazał im miejsce pochówku Crippena*¹⁹ i paru innych typów, oni zaś padli na kolana, przeżegnali się i zaczęli odmawiać „Zdrowaś Mario”. Zarządca mało nie pękł ze śmiechu.

Oficerowie oparli się o bar i zamówili drinki.

- To nie są ludzkie istoty - odezwał się drugi. - Powinniśmy dostać rozkaz, by powystrzelać te szumowiny.

Pierwszy z oficerów zerknął na Johna-Henry'ego. Mimo zaciętych ust w oczach miał iskierki wesołości.

- Co pan w siebie wlewasz?

- Ducha*²⁰ tego kraju - odparł John-Henry, unosząc szklaneczkę.

- To zapraszamy do nas - roześmiał się oficer. - Staramy się go zgłębić do dna.

Położył kapelusz na barze i John-Henry przyjrzał mu się dokładnie: znienawidzony emblemat znienawidzonej zgrai. A jednak jego właściciel wydał mu się dość nieszkodliwy. Wypełniał tylko swoje obowiązki, słuchał rozkazów.

- Jesteś z tego przeklętego przez Boga kraju? - spytał oficer.

- Owszem. I co więcej, chcę tu zamieszkać.

- Musisz mieć źle w głowie. Chyba że lubisz sport. Na czym, jak na czym, ale na koniach to oni się znają.

- Tam, skąd pochodzę, można też postrzelać do bażantów. Na bagnach są słonki, a na wyspie Doon i Hungry Hill zające.

- Wyspa Doon? - odezwał się inny oficer. - Miałem przyjaciela w tamtejszym garnizonie. Na zachód od Mundy panuje spokój, jak sędzę. Ludzie nieskorzy tam do zamieszek.

¹⁹ * Sir Roger Casement (1864-1916) - patriota irlandzki, powieszony przez Brytyjczyków za zdradę. Crippen - słynny seryjny morderca brytyjski.

²⁰ * Zob. przypis na str. 35.

- Bo są zbyt leniwi - odparł John-Henry. - Zupełnie tak jak ja. Może napijecie się ze mną? Nie sądzę, abym był pierwszym spośród mych ziomków, który okazuje wam gościnność.

Barman wysunął się naprzód, a John-Henry przeniósł się bliżej oficerów.

- Whisky z wodą sodową dla tych dżentelmenów i dla mnie.

Słuchał jednym uchem historyjek z pola walki, o tym, jak w pewnym północnym miasteczku rebelianci zdobyli i podpalili ratusz, a potem zabrakło im amunicji i musieli uciekać w góry.

- Ruszyliśmy na poszukiwania - opowiadał oficer - i sprowadziliśmy wszystkich z powrotem. Dwóch umarło od leżenia na mrozie, resztę zastrzeliliśmy następnego ranka. O tak, zdarzają się nerwowe chwile, nie zawsze siedzi się na tyłku.

I wszystko to ciągnie się od wieków, myślał John-Henry, a moja rodzina w ogóle w tym nie uczestniczy. Mieszkali w swoim Clonmere, budowali kopalnie, handlowali miedzią, jeździli do Slane, nie zważając, kto się wykrwawia na poboczu, byleby oni mogli żyć w spokoju.

Mnie także zależy tylko na tym, by to szaleństwo się skończyło a ja żebym mógł pójść w ślady przodków.

Oficerowie dopili drinki i zaczęli poprawiać pasy.

- Co dalej? - spytał John-Henry.

- Patrol, A może nóż pod żebro. Przyłącz się do nas. - To nie dla mnie - uśmiechnął się.

- Jak już zabijemy dość twoich ziomków, przyjedziemy do ciebie postrzelać do bażantów. Dobranoc, trzymaj się, chłopie, - Dobranoc.

Barman zaczął spuszczać żaluzje i ryglować drzwi.

- To ostatni goście - rzekł. - Już nikt się tu nie pokaże. Zechce pan wyjść przez hotel, dobrze?

John-Henry rozejrzał się po lokalu. Rzeczywiście poza nim i barmanem nikogo już nie było.

- Kiedy tu wszedłem, w tamtym kącie ktoś siedział. Wydawał mi się znajomy. Nie wie pan, kto to taki?

Barman potrząsnął głową.

- Mieliśmy tu dziś istny młyn.
- Musiał wymknąć się po cichu. Żałuję, miałem wrażenie, że pochodzi z Donhaven.

Barman przetarł ścierką kontuar.

- Jeśli naprawdę jest z pańskich stron, to szkoda, że widział, jak pan pije z Czarno-brunatnymi^{*21}.

John-Henry wytrzeszczył na niego oczy.

- O co panu chodzi? Przecież ja nie znam tych ludzi, nic dla mnie nie znaczą.
- Tak, tak, ale wie pan... to zabawny kraj. Dobranoc panu.

I zgasił światło nad kontuarem, na znak, że nie zamierza kontynuować rozmowy.

John-Henry poszedł schodami do swojego pokoju. Odsunął zasłony i spojrzał w niebo. Deszcz już nie padał i świeciły gwiazdy. Z mokrych ulic unosił się zapach świeżości i wiosennej nocy. Kościelny zegar wydzwonił godzinę, tuż pod oknem przemaszerował patrol.

2

Do rana wypogodziło się zupełnie i kiedy John-Henry wyjeżdżał ze Słane drogą na Mundy, świeciło słońce. Humor mu dopisywał, gdyż był młodym, zdrowym człowiekiem, miał sprawny samochód i jechał do domu. Chłopięce ma-

²¹ * Czarno-brunatni (Black-and-Tans) - żołnierze brytyjskich sił zbrojnych, wysłani do Irlandii w celu stłumienia rewolty 1920 roku. Nazwa pochodzi od kolorów mundurów.

rzenia miały się wreszcie ziścić. Minęła wojna, a wraz z nią nerwowa służba na obcych wodach pod tropikalnym słońcem. Wracał w swoje strony, tam, gdzie jego miejsce. Nawet powietrze było tu łagodne jak nigdzie na świecie, a okryte mgiełką wzgórze miały w sobie magiczny czar.

Ciocia Lizette wątpiła, czy John-Henry da sobie radę sam w Clon-mere, odległym o dwadzieścia mil od stacji kolejowej. Mówiła, że nie będzie wiedział, co ze sobą zrobić. Pewnie myślała, iż po trudach wojny będzie spragniony towarzystwa i rozrywek, nie potrafi usiedzieć w jednym miejscu. John-Henry uśmiechał się tylko, gdyż niepokój wiązał się dla niego z pobytem w Salonikach, gdzie nic nie było pewne ani prawdziwe i gdzie żyło się w ciągłym strachu. Człowiek, który chodzi po swej własnej ziemi, wdycha jej zapach, nie może czuć niepokoju, zwłaszcza jeśli ją kocha. A co do towarzystwa, to cóż - ma swoje myśli i marzenia, poza tym fascynuje go zgłębianie przeszłości, dzięki której może uda mu się zrozumieć obecne czasy. Kimże bowiem jest on sam, jeśli nie produktem tamtych lat? Patrząc wstecz, dowie się czegoś o przyszłości. Może sto lat temu tą samą drogą jechał Miedziany John i, pełen wiary w siebie, przekazywał swemu praprawnukowi nie szorstkość charakteru, nie oschłość serca czy majątkowe ambicje, ale wyłącznie dziwną swobodę w posługiwaniu się cyframi, tak aby najbardziej karkołomne rachunki układały mu się w głowie z największą łatwością. Ironia losu polegała na tym, że była to jedyna spuścizna, przekazana potomnym przez założyciela rodzinnej fortuny, dzieło jego życia natomiast, kopalnie miedzi, obrastało mchem i rdzą wśród pofałdowań Hungry Hill. Dlaczego rozczulam się nad małymi pieskami, rannymi ptakami czy nawet skrzętnymi pszczołami? - myślał John--Henry. Czyż nie dlatego, że syn Miedzianego Johna bardziej kochał psy niż ludzi i za nic w świecie nie rozgniółby osy na szybie, gdyż dobry Bóg ją stworzył do życia pod słońcem?

Przypominały mu się teraz urywki historii rodziny, różne osoby, o których matka czasem mu opowiadała, wiedząc, że się tym interesuje. Niesforna Fanny-Rosa, biegająca boso po trawie i łamiąca męskie serca, pewnie złamała przy okazji i własne, chociaż nikomu się do tego nie przyznała... Dziewczyna o łagodnych oczach - Jane z portretu, patrząca z ręką na sercu w stronę wyspy Doon...

- To właśnie Fanny-Rosa Flower wniosła złą krew do rodziny Bro-dricków - mówiła matka, kiwając mądrze głową.

No i nieszczęsny Johnnie... Jego ceremonialne szpady wciąż wiszą, skrzyżowane, nad kominkiem w bibliotece w Clonmere, ale John-Henry je zdejmie i wyczyści do połysku, żeby Johnnie w swym grobie czuł, że się o nim pamięta.

- Przywrócenie temu miejscu dawnej świetności zajmie ci sporo czasu, synu - ostrzegła matka. - A do nowej części domu będziesz musiał kupić meble.

- Nie szkodzi, gdybym miał to robić aż do końca życia - odpowiadał.

Nawet z brudnymi podłogami i pajęczynami w kątach będzie to jego miejsce na ziemi, jego królestwo. A co do zabaw i rozrywek, o które tak się martwiła ciocia Lizette? Na wyspie są bażanty i zające, w strumieniu łososie, w jeziorze na Hungry Hill małe brunatne pstrągi. Za sąsiadów wystarczą mu mieszkańcy Doonhaven, a jeśli pastor i ksiądz katolicki zechcą zapomnieć o różnicach religijnych i przy niedzieli zjeść z nim zimną wieprzowinę, to on, John-Henry uzna, że spełnił swój obowiązek wobec kraju.

Miał już za sobą całe mile monotonnej, nudnej jazdy, teraz wznosiła się przed nim dzika, najeżona skałami droga na przełęcz. Między granitowymi głazami rosły janowce i wrzosi. To tędy musiał przejeżdżać karetką pocztową Miedziany John po podpisaniu umowy z Robertem Lumleyem. Ten ostatni także podróżował tędy w ponurym nastroju do zamku Andriff ze swego dworu w Duncroom, którego nagie mury sterczą teraz ku niebu po splądrowaniu przez rebeliantów. Gorzka wendeta - co to komu da i czym się skończy? Czemu ludzie muszą się zabijać i przelewać krew pod bożym niebem, skoro pachną janowce, wiatr rozwiewa wrzosi, a na bagnach pogwizdują słonki?

Zwolnił nieco, gdyż droga w tym miejscu się zwążyła. Kiedy dojechał do zakrętu, zobaczył przed sobą barykadę z gałązek wrzosu i przeciągniętego w poprzek drutu. Obok stał człowiek ze strzelbą. John-Henry podjechał bliżej i zgasił silnik. Mężczyzna się nie poruszył, trzymał go jednak na muszce. Nagle włożył dwa palce do ust i przeraźliwie gwizdnął. Na ten sygnał zza głazów wysunęło się z pół tuzina jego uzbrojonych kompanów. John-Henry żadnego z nich nie znał. Jeden, przypuszczalnie przywódca, oparł się o drzwi samochodu.

- Nazwisko? - warknął.

- John-Henry Brodrick.

- Dokąd pan jedzie?

- Do domu, Clonmere koło Doonhaven.

- Służył pan podczas wojny w marynarce, nie?

-Służyłem.

- Z kim pan trzyma w polityce?

- Z nikim.

- Nocował pan wczoraj w hotelu „Metropole” w Slane?

- Tak.

- Dobra. - Przywołał gestem dwóch swoich ludzi. - Muszę pana prosić o opuszczenie auta.

- Dlaczego?

- To nasza sprawa. Jeśli odejdzie pan spokojnie, nie spotka pana żadna krzywda. Ale wystarczy jakaś sztuczka i kula w plecy.

- Co zrobicie z moim samochodem?

- Już go pan nie zobaczy. Samochody są dla nas zbyt cenne.

Po raz pierwszy się uśmiechnął. John-Henry wzruszył ramionami.

- Ostrzegano mnie, bym nie brał samochodu, sam jestem sobie winien. No to róbcie swoje. Dokąd mam iść?

- Proszę stać spokojnie, póki nie zawiążemy panu oczu. Powtarzam raz jeszcze: nie chcemy pana skrzywdzić. Ręce do tyłu... Przytrzymaj go, Tim. Wiesz, co masz robić, gdyby próbował jakiegoś numeru.

Co za skrajna głupota, tak dać się wciągnąć w zasadzkę! Mówiono mu przecież w Slane, że to szaleństwo wyjeżdżać samochodem na drogę. Teraz go pewnie zastrzelą i zostawią na tych wzgórzach. Ale najbardziej bolała utrata auta. Stary, wierny przyjaciel w rękach tych szaleńców, którzy pojedą nim prosto do piekła... Żadnej nadziei, by go odzyskać. John-Henry brnął chwiejnie przez wrzosa i kamienie, prowadzony przez dwóch mężczyzn po bokach, i kłął bezradnie pod nosem. Uszli tak może ponad trzy mile, po czym się zatrzymali. Zgrzytnął zamek w drzwiach, ktoś powiedział kilka słów po cichu, wreszcie usunięto jeńcowi opaskę z oczu i postronki z nadgarstków. Stał teraz na klepisku w opuszczonej chacie. W kącie leżała wiązka słomy, małe okienko zatykały szmaty, na palenisku czerniały wypalone patyki i popiół.

- Będzie pan musiał zostać tu przez jakiś czas - powiedział ten, który go rozwiązał. - Ja będę na zewnątrz i mam rozkaz nafaszerować pana ołowiem w razie próby ucieczki. Przyniosę panu coś do jedzenia i picia.

- Jak długo potrwa to szaleństwo? I czego się po mnie spodziewacie?

- Nic o tym nie wiem. Mam swoje rozkazy, to mi wystarczy. I wyszedł, ryglując za sobą drzwi.

A niech ich Bóg pokarze! Czego, do diabła, chcą? Czemu mam być zamieszany w rewoltę, która mnie guzik obchodzi i z którą nie mam nic wspólnego? - myślał John-Henry. Usiadł na słomie w kącie, bo w izbie nie było krzesła ani ławy. Strażnik okazał się słowny, gdyż niebawem przyniósł mu trochę chleba i bardzo kwaśnego sera oraz dzbanek wody.

- Pewnie nie macie piwa? - spytał więzień.

- Nie, ale mam przy sobie flaszkę z odrobiną whisky. Może pan sobie łyknąć, jeśli wola.

John-Henry skorzystał z poczęstunku, a jego strażnik rzekł z uśmiechem:

- No i w porządku. Mogę zdobyć więcej, jeśli zechcę. Będzie pan tu do rana, a może jeszcze jeden dzień, tyle mi wolno powiedzieć.

- Słuchajcie no... Weźcie mój portfel, jest w nim dwadzieścia funtów, tylko pomóżcie mi się stąd wydostać.

- Nie chcę pańskich pieniędzy. Zabralibyśmy je wcześniej, gdybyśmy potrzebowali. Ma pan nas za bandytów?

- A nie ukradliście mi samochodu?

- To pożyczka dla sprawy. Odzyska go pan, kiedy kraj odzyska wolność.

- To absurd i dobrze o tym wiesz. Po co mnie tu trzymacie?

- Przecież mówiłem, że nie wiem. Jak Boga kocham. Gra pan w dwuosobowego wista?

- Raz mi się zdarzyło, ale od dawna nie grałem.

- Mam w kieszeni talię kart. Możemy rozegrać partyjkę, szybciej minie czas. Nie mam nic do roboty przed tą chatą, po co mam na próżno gapić się na wrzosa. Przynajmniej dotrzymamy sobie towarzystwa.

- W porządku, dawajcie karty.

Zasiedli więc w ciasnej chacie przy plamie światła wpadającego przez zatka-
ne okienko. Rozegrali partię wista i wysuszyli butelkę. Co za zwariowane czasy,
myślał John-Henry. Razem z moim strażnikiem oddajemy się zakazanym roz-

rywkom, wierząc, że każdy z nas zapłaci drugiemu wygraną. On bierze ode mnie pieniądze, których duma nie pozwala mu ukraść, a jednocześnie omawiamy sposoby zastawiania sideł na króliki. Jutro mój towarzysz wpakuje mi kulę w plecy, a potem, być może, zapłacze z żalu i przyniesie kwiaty na pogrzeb.

Minęły dwa dni. Kompan imieniem Tim wychodził co pewien czas i wracał z chlebem, zimnym bekonem, niekiedy z kurzym udkiem. Przynosił też whisky, by nie dopuścić do rozłączenia duszy z ciałem, John-Henry zaś za każdym razem pytał:

- No, Tim, kiedy egzekucja?

Tim pokręcił głową.

- Mówiłem, że nie ma mowy o żadnej egzekucji.

- Więc co ja robię w tej przeklętej chacie?

- Odpoczywa pan z pożytkiem dla duszy - odpowiadał Tim. Znów szła w ruch talia zatłuszczonych kart i znów lała się whisky.

Ileż to Tim już wygrał? Piętnaście, siedemnaście funtów? John-Henry nie pamiętał, ale biorąc pod uwagę gorzałkę, była to dość uczciwa wymiana. Może przy rozgrzanym ciele i umyśle nie będzie się bał, gdy go wezmą na rozstrzelanie.

Trzeciego wieczoru Tim przyniósł więcej niż zwykle whisky. Oga-rek świeczki dawał słabe światło, karty się lepiły, a torf, którym palili, okropnie dymił. John-Henry ziewnął i ostatecznie wyciągnął się na słomie z rękami pod głową. Spał mocno, a obudził go dopiero czerwony brzask wpadający przez otwarte drzwi. Tima nie było, nad wzgórzami rozwiewała się biała mgiełka. John-Henry podniósł się, przetarł oczy i wyjrzał na światło dzienne - wymizerowana, niechlujna postać ze słomą we włosach i trzydniowym zarostem. Stał przy otwartych drzwiach, rozkoszując się ciepłem słońca na twarzy. Nisko nad wzgórzami przeleciał kulik i zniknął. Tuż przy nodze więźnia leżała przyciśnięta kamieniem, wilgotna od rosy gazeta z wczorajszą datą. Na pierwszej kolumnie zaznaczono coś krzyżykiem i czyjaś ręka dopisała: „Czytaj na stronie 3”. John-Henry podniósł gazetę i zobaczył zdjęcie Clonmere, a nad nim wielki tytuł: *HISTORYCZNY ZAMEK ZBURZONY*.

Ukląkł i rozłożył gazetę na ziemi, bo ręce za bardzo mu drżały. Każdy róg przycisnął kamieniem, żeby wiatr nie zawijał brzegów. Pod zdjęciem zamieszczono kilka linijek tekstu drobnym drukiem:

Zamek Clonmere koło Doonhaven nad zatoką Mundy został ubiegłej nocy spalony przez nieznaną sprawców. Trochę rzeczy uratowali ludzie z wioski, którzy obudzili się i widząc dom w płomieniach, ruszyli na pomoc, ale do rana budynek spłonął doszczętnie. Właściciel, pan John-Henry Brodrick, prawdopodobnie przebywa obecnie w kraju.

Pierwszy poryw ślepej furii dość szybko minął, pozostawiając go w stanie tego odretwienia. Z ziemi zerwał się skowronek, by pieśnią powitać nowy dzień, mgły rozwiały się do reszty, odsłaniając jaskrawe słońce. W oddali migotało blade morze. Ruiny wymarzonego domu patrzyły na swego dziedzica z kawałka zadrukowanego papieru, ale Johnowi-Henry'emu stanął nagle przed oczami tajemniczy mężczyzna z hotelowego baru, a potem niebieskooki, piegowaty Tim, który zamieniając przyszłość swego więźnia na flaszkę whisky, szepnął nad zatłuszczonymi kartami: „My i tylko my”.

3

Gniew minął, żal także gdzieś się ulotnił. Wydało mu się, że patrzy na coś, co w jego sercu na zawsze pozostanie jako niezniszczalny symbol, bez względu na to, co stało się z cegłami i kamieniami. Nigdy już nie oderwie się od przeszłości, wciąż będą się go czepiać niewidzialne ręce osób, które cały czas w nim tkwiły, choć ich nie widział na oczy. Kiedy stał wśród zgliszczy, nie uważał tego za pożegnanie, ale za swego rodzaju inaugurację przyszłości. Pewnego dnia zrozumie w pełni ogrom swej straty i wróci, ponieważ to jest jego miejsce. W młodym wieku złość i ból mijają równie gwałtownie, jak nadchodzą, toteż John-Henry, rozgrzebując nogami popioły, czuł nawet coś w rodzaju podniecenia poszukiwacza skarbów.

Ludzie okazali mu wiele delikatności. Trzymali się z daleka, nie nachodzili gruntów, by pogapić się na poczerńnięte mury. Miał swoje dziedzictwo tylko dla siebie. Wiedział doskonale, że i tak zabrali już to, co chcieli - przed jednym z domków w Oakmount rozpoznał część toaletki, a przy stróżówce jakieś dziecko bawiło się porcelanowym wazonem, który dawniej stał na kominku w salonie. Pewnie wiele innych rzeczy leżało schowanych po domach w Doonhaven, gdyż

pożar, podobnie jak rozbity statek, uważany jest za własność ogółu, póki nie wkroczy prawo i władza. John-Henry nie reprezentował ani jednego, ani drugiego. Po prostu starał się wykorzystać szanse w kraju rozdartym przez wojnę domową, a jeśli stracił swą własność, pozostało mu tylko cierpieć w milczeniu. Wśród nielicznych ocalałych przedmiotów odnalazł na trawiastym zboczu nieknięty portret uśmiechniętej ciotecznej prababki Jane. Bardzo go to ucieszyło, gdyż lubił ten obraz i chciał go widzieć w domu matki. Ciekawe, że z pewnej odległości mury zamku wydawały się nienaruszone, podobnie jak kominy i wszystkie okna. Dopiero z bliska było widać, że w środku nie zostało zupełnie nic, a sufitem jest niebo. Mógł jednak chodzić po zgliszczach i rozpoznawać każdy nieistniejący pokój. Stara część domu ucierpiała najbardziej, nowa natomiast, nigdy niezamieszkana, wyglądała tak, jak zapewne pięćdziesiąt lat temu, kiedy trwała budowa i ojciec jako jeszcze chłopak wspinał się po rusztowaniach. Żelazny balkon nad drzwiami wejściowymi był powykręcany, ale cały. Uczepiony ryzykownie osmalonego muru robił wrażenie czegoś nierealnego na tle nagich okien buduaru. Nie wiadomo czemu John-Henry najbardziej sobie cenił właśnie te dwie rzeczy: balkon i portret ciotki Jane. I ogień, z przedziwną bezstronnością, je oszczędził.

Kiedy John-Henry zakończył przeszukiwanie zgliszczy i stał na skarpie pod zamkiem, zobaczył od strony podjazdu stado krów, poganiane leniwie przez pastucha w czapce na bakier i żdźbłem trawy w zębach. Zwierzęta skubały trawę na poboczach, ucieszone z nowego pastwiska, wtykały pyski w zarośla i rozdeptywały żwir. Wreszcie przewodnik stada zobaczył w dole potok i poprowadził resztę na brzeg, do dawnego wodnego ogródka, pełnego wybująłych roślin, ongiś dumy Barbary i Jane, potem zaś do samego potoku, gdzie piły chciwie, podnosząc od czasu do czasu łby i zerkając na drugi brzeg. Pastuch je obserwował, smagając trawę kijem, starał się jednak odwracać wzrok od ruin zamku - może przez delikatność.

John-Henry zszedł do niego na brzeg. Mężczyzna - młody, mniej więcej w jego wieku - wyjął trawkę z ust i dotknął czapki.

Johnowi-Henry'emu od razu wydało się, że skądś go zna - musiał go widzieć całkiem niedawno, w ciągu zeszłego tygodnia. Nagle sobie przypomniał; pastuch był uderzająco podobny do owego człowieka z baru w Slane. John-Henry pozdrowił go krótko, po czym obaj umilkli i wlepili wzrok w krowy.

- Byliście tu, kiedy podpalali dom? - zagadnął John-Henry. Pastuch pokręcił głową i dalej patrzył na stado.

- Byłem we własnym łóżku i nie miałem o niczym pojęcia, póki matka mi nie powiedziała. - I po chwili namysłu dodał: - Nie zrobił tego nikt z Doonhaven.

John-Henry zapalił papierosa.

- To dobrze. Nie wyrządziłem im przecież żadnej krzywdy. Pamiętam waszą twarz, ale nie mogę dopasować nazwiska...

- Eugene Donovan, wnuk Pata. Tego, który kiedyś miał farmę koło Hungry Hill. Mój ojciec, Jim Donovan, po zamknięciu kopalń wyjechał do Afryki Południowej.

- Rzeczywiście, teraz sobie przypominam. Przejęliście farmę po śmierci dziadka. Czy macie brata?

- Owszem, na imię mu Michael. Ale on nie lubi gospodarstwa,

- Co się z nim stało?

- Nie widzieliśmy go od dawna. Przyjaźnił się z Patem O'Connorem i jego chłopakami.

- A! Rozumiem.

W taki to zawołany sposób dano mu do zrozumienia, że niczego więcej się nie dowie. Ale teraz mógł prześledzić całą historię od samego początku. Znowu stanęła mu przed oczami twarz Michaela Donovana ze Slane. Pewnie prosto z hotelowego baru udał się za miasto do swoich, kompanów i powiedział im, że John-Henry Brodrick z Clonmere stawia drinki wrogom kraju, a więc jest zdrajcą. I dlatego podpalono mu dom. Nie zrobił tego sam Michael ani nikt z Doonhaven, gdyż mogłoby im to przynieść pecha i nie byłoby zgodne z wolą świętych. John-Henry o tym wiedział, podobnie jak pastuch Eugene Donovan, ale żaden nie wyrzekł na ten temat ani słowa. Sprawiedliwości stało się zadość, więc nie ma o czym gadać.

Jakie to dziwne, że jego rodzina od pokoleń dokładała wszelkich starań, by w kraju zapanował postęp, ale tutejsi ludzie nie chcieli żadnego postępu, a Brodrickowie nie mogli tego pojąć. Prawie przed dwoma wiekami Morty Donovan strzelił w plecy Johnowi Brodrickowi, ponieważ ten próbował wtykać nos w nie swoje sprawy. Obowiązek, prawo, dyscyplina, posłuszeństwo... John Brodrick próbował wpajać te zasady przemysłnikom z Doonhaven, oni zaś je odrzucali. I oto po Johnie Brodricku pozostał tylko kamień na zapomnianym cmentarzu, jego krew zaś raz na rok burzy się w potoku - tak głosi legenda. Ale ludzie nadal trud-

nią się szmuglem, kradną dziedzicowi bydło, łowią ryby w zakazanych miejscach... Może gdyby pierwszy John Brodrick potrafił zrozumieć, że ludzi nie wolno do niczego zmuszać i że ziemia należy do nich, dożyłby sędziwego wieku i zmarł naturalną śmiercią. Potem Miedziany John uruchomił kopalnie, i co? Do dziś czernieją na wzgórzu, porastają mchem, janowcem i wrzosem - to wszystko, co pozostało z przemysłu, którego nikt tu sobie nie życzył. John-Henry widział te kominy, podobne do pomników nagrobnych wśród granitowych skał. Kiedy wojna domowa się skończy i zawitają w te strony turyści, będą spoglądać na ruiny Clonmere takim samym okiem jak on w czasach dzieciństwa na zmarnowane kopalnie: to po prostu relikty nieudanej przeszłości, toteż po latach winny obrócić się w proch, z którego powstały.

- A wy? - spytał John-Henry swego rozmówcę. - Nie macie ochoty pójść za przykładem brata i walczyć za swój kraj?

Eugene Donovan uśmiechnął się i nie przestając żuć trawki, wskazał na bydło, które zdążyło już wyjść z potoku i pasło się teraz pod oknami zamku.

- Widzi pan te krowy? Odkąd pamiętam, marzyłem, by móc je tu wypasać. Czysty kaprys, rzecz jasna, ale zawsze to we mnie tkwiło, a kiedy zamek się spalił, od razu sobie pomyślałem: „Nareszcie!”. Ale przysięgam na Boga, że nie przyłożyłem do tego ręki.

- I nie mieliście innych pragnień?

Pastuch namyślał się przez chwilę, po czym spojrzał na ruiny.

- Tam z tyłu są stajnie. Ogień ich nie zniszczył, a ja za kilka funtów mógłbym w nich urządzić oborę. Na wzgórzu jest marna trawa w porównaniu z tutajszą.

John-Henry sięgnął do kieszeni po portfel i wyjął ostatnie trzy funty, jakie mu zostały z przegranych w karty do piegowatego Tima.

- Weźcie sobie te stajnie, jeśli wam się przydadzą. I ziemię pod wypas także. Tu macie parę funtów na remont.

Eugene Donovan przeliczył banknoty.

- Szasta pan pieniędzmi - zauważył.

- To wszystko, co mi zostawili. Tak sobie myślę, że tu właśnie moja rodzina popełniła błąd. Ja mam srebro, ty ziemię. Wolałbym na odwrót, ale nie dali mi wyboru.

- Jest pan dżentelmenem. Może pan podróżować, zwiedzać świat. Na pewno zbuduje pan sobie za wodą jeszcze piękniejszy dom niż ten tutaj.

Szare kosmyki chmur nasunęły się nagle na słońce i zaczęło padać. John-Henry nie odpowiedział. Postawił kołnierz płaszcza i schował ręce do kieszeni. Eugene Donovan nacisnął czapkę na czoło i gwizdnął na kundla, który mu towarzyszył. Nagle chmury się rozstały i na stoku Hungry Hill ukazała się smuga słonecznego blasku.

TLR